



Dina Rubina

Pismo Leonarda

Bohaterami tej powieści są outsiderzy, mający świadomość swojej inności, z którą borykają się każdego dnia bo nie potrafią odnaleźć swojego miejsca w świecie biznesowych interesów i rozbuchanej konsumpcji.

Dina Rubina

Pismo Leonarda

Przełożyła

Margarita Bartosik



Linie Nikolskiej

- akrobatce powietrznej

Gdy zaś wrócił i został sam jeden,
ktoś zmagął się z nim aż do wschodu jutrzenki.

Księga Rodzaju 32, 25

Niech nikt więc nie oczekuje, że będziemy mówili
cokolwiek na temat aniołów.

Baruch Spinoza, *Etyka*

Część pierwsza

Leworęczność to cecha atawistyczna i zdegenerowana... Często występuje u chorych umysłowo i przestępców, jak również u geniuszy.

Cesare Lombroso

1

Dzwonek był uporczywy i długi jak gwizd lokomotywy; to na pewno międzymiastowa.

Telefon stał w przedpokoju pod dużym owalnym lustrem i kiedy dzwonił ktoś z krewnych męża, Masza miała wrażenie, że lustro rusza się i zaraz spadnie, jakby obok przejeżdżał pociąg.

- Proszę czekać - usłyszała w słuchawce bezbarwny głos telefonistki. - Mariupol na linii. - Czy wybierają ich do tej pracy według głosu?

Dzwoniła Tamara, kuzynka męża.

Zazwyczaj odzywała się, by złożyć życzenia noworoczne albo poinformować o śmierci kolejnej ciotki - Anatolij miał w Mariupolu cały tabun krewnych w podeszłym wieku.

Masza od razu chciała oddać mu słuchawkę, ale Tamara niespodziewanie rzuciła:

- Czekaj no, Maszo, mam do ciebie sprawę...

I ze skrępowaniem w głosie wypaliła, że po nieudanym wycięciu wyrostka robaczkowego zmarła siostrzenica cioci Lidy z Jejska. Tak to.

- Której to cioci Lidy?

- Przecież widziałas ją na moim weselu! Świętej pamięci Lida, nie z naszej strony, tylko ze strony...

No i już nie można jej było powstrzymać... Krótko mówiąc, była to Lida nie ze strony rodziny z Mariupola, tylko tej z Jejska...

Po wielu latach starań Masza zrezygnowała z próby zapamiętania wszystkich powiązań w licznej rodzinie męża.

- ...otóż siostrzenica zmarła, ale została jej trzyletnia córeczka.

- No i co?

A to, pospiesznie mówiła Tamara, denerwując się z jakiegoś powodu, że nikt z krewnych nie chce się tą dziewczynką zaopiekować, chociaż są wśród nich ludzie zamożni: kuzynka zmarłej jest technikiem dentystycznym, dobrze jej się powodzi...

W rodzinie Anatolija od pokoleń żywi zgodnie kroczyli razem ze zmarłymi, wesoło nawołując się, kłócąc, śpiewając i opróżniając kolejną szklaneczkę.

Dziwne, że nikt z nich nie chciał wziąć tego dziecka.

Masza zacisnęła zęby. Nie denerwuj się, powiedziała sobie, nikt nie ma zamiaru cię obrazić, nikogo nie obchodzą twoje problemy.

- Tomka... - odezwała się już spokojnie. - Po co mi o tym wszystkim mówisz?

Potok słów na chwilę się urwał... Słysząc tylko zgiełk jakichś głosów w tle i Masza nagle zrozumiała, że Tamara pofatygowała się na pocztę, odstała w kolejce...

- No, może byście się zastanowili, Maszo... - powiedziała kuzynka przeproszającym tonem. - Przecież nie macie dzieci, a to okazja, nie? Bądź co bądź skończyłaś już... trzydzieści sześć lat?

- Trzydzieści cztery - niecierpliwie odparła Masza. - I wciąż nie tracę nadziei! Leczę się.

- No, jak chcesz... - rzuciła Tamara zrezygnowanym głosem, od razu straciwszy zainteresowanie rozmową. - Może jednak zapiszesz telefon tej baby, tej dentystki? Tak na wszelki wypadek?

I Masza, sama nie wiedząc czemu, zapisała, chyba po to, żeby zrobić przyjemność Tomce - w końcu ta głupia chciała jak najlepiej.

Wszystko tam u nich było takie proste, u tych tępych mariupolskich krów...

Odłożyła słuchawkę i uniosła głowę. Z owalnego lustra w czarnej rzeźbionej ramie uważnie patrzyła na nią wciąż jeszcze młoda kobieta o żywej, usianej drobnymi piegami, sympatycznej twarzy. Przez otwarte na oścież drzwi za jej plecami widać było odpoczywającego po dyżurze męża. Jego bosa stopa kiwała się w takt ni to myśli, ni to bezgłośnie nuconej melodyjki. Twarz miał zasłoniętą otwartą książką, ale tytułu i nazwiska autora nie dało się odczytać, bo w lustrze były odwrócone na wspak.

W dalszej perspektywie odbijało się okno z niespokojnie miotającą się na wietrze, obsypaną białymi „świeczkami” koroną kijowskiego kasztanowca. A wyżej wylaniała się z głębi błękitna pustka nieba - odbicie łączyło się ze swym pierwowzorem, topniejąc w nieistnieniu...

Ten obraz wzbudził w niej nagły niepokój.

Co się dzieje?, pomyślała, wsłuchana w niewyraźny, lecz narastający strach. Co się ze mną dzieje? Czowała lęk przed zapraszająco otwierającą się otchłanią. Czemu wywołało go zwykłe odbicie w domowym lustrze?

Przez całą noc nie mogła zasnąć i dwa razy wstawała, by odmierzyć sobie trochę waleriany... Tola się nie odzywał, chociaż słyszała, że i on wiercił się w łóżku aż do świtu.

Dokładnie rok temu, po wieloletnich męczących zabiegach, urodził im się piękny, duży, martwy chłopczyk.

*

Następnego ranka po rozmowie z Mariupolem poczekała, aż za mężem zamkną się drzwi, i wykręciła numer telefonu tej dziwnej krewnej, która nie mogła czy nie chciała

zaopiekować się osieroconą siostrzenicą.

Wszystko poszło jak z płatka: i dodzwoniła się szybko, i kobieta była na miejscu, i słyhać było świetnie. A rozmowa okazała się krótka, rzeczowa i wyczerpująca, jakby los czym prędzej chciał odwrócić stronę z nic nieznaczącym tekstem.

Już po pierwszym zdaniu wypowiedzianym przez Maszę kobieta stwierdziła:

- Pani i tak tej dziewczynki nie weźmie. Jest bardzo wychudzona.

- Co to znaczy? - zapytała Masza. - Jest chora?

- Powtarzam, nie weźmie jej pani. Wystraszy się jej widoku.

- A... gdzie ona teraz jest? Kto się nią opiekuje?

- Taka serdeczna sąsiadka, przyjaźniła się z Ritą. Załatwia tej dziewczynce miejsce... w domu dziecka.

- Adres! - wykrztusiła Masza, z trudem łapiąc powietrze.

Kobieta podyktowała i Masza bez słowa odłożyła słuchawkę.

Tola zadzwonił ze szpitala i powiedział, że ma dwa bilety na Rajkina¹. Idziemy?

- Nie chce mi się...

Przez cały wieczór nie mogła znaleźć sobie miejsca, a potem wzięła się do przeglądania papierów. Siedziała wyciszona, zamyślona, niczym pasjansa układając świadectwa dojrzałości, dyplomy, akt ślubu i listy, które Tola pisał do niej, będąc studentem Wojskowej Akademii Medycznej.

Mąż wyszedł z łazienki i zanim położył się do łóżka, długo patrzył na nią, pochyloną nad kolorowymi kartonowymi okładkami dokumentów. Stopy w miękkich kapciach chowała pod krzesłem, jakby była zziębnięta. Na widok męża uniosła głowę i uśmiechnęła się ze skruchą.

- No to pojedź tam, wyjaśnij sprawę... - Westchnął. - Przecież to ty będziesz ją wychowywać.

*

Do Jejska Masza dotarła bez problemów, z jedną przesiadką, ale kiedy trafiła pod wskazany numer na ulicy Szossiejnej, okazało się, że na lato dziewczynka wraz z domem dziecka wyjechała za miasto.

Wyjazd załatwiła jej ta sama serdeczna sąsiadka Szura. Podczas wakacji od wielu lat zatrudniała się w sierocińcu jako pomoc kuchenna, mając z tego same korzyści: darmowe jedzenie, morskie powietrze i pełne utrzymanie.

¹ Arkadij Rajkin - popularny radziecki satyryk (wszystkie przypisy, jeżeli nie oznaczono inaczej, pochodzą od tłumaczki).

O tym wszystkim Masza dowiedziała się od dwóch rozmownych staruszek wiecznie przesiadujących na ławeczce przed blokiem.

- Szura była cała w nerwach, na śmierć się zamartwiała: no nie chce mała jeść i już, jakby ktoś jej usta zasznurował. Może przejdzie jej tam wśród dzieci? Bo inaczej będzie z nią krucho...

- A co z ojcem? - zapytała Masza. - I w ogóle jest jakiś ojciec czy nie?

- O-ojciec? Ojciec je-e-est, a jakżeby inaczej... - chętnie wyjaśniła jedna z kobiet. - Ale siedzi za kratami. Świetne miejsce, na garnuszku państwa.

Ten żart bardzo rozbawił jej koleżankę, która długo się śmiała, gdacząc jak kwoka, ocierając usta dłonią i powtarzając w kółko:

- Święta prawda, za kratami, święta prawda!

Masza poszła na dworzec autobusowy i za radą staruszek kupiła bilet do stacji Dołżańska.

Na wakacje dom dziecka przenosił się do trzypiętrowego budynku byłego sanatorium należącego do zakładów metalurgicznych, a może tekstylnych. Jakies cztery lata temu przekazano go Ministerstwu Zdrowia i po remoncie urządzono sanatorium dziecięce. Leczyli tam dzieci z porażeniem mózgowym i nawet nieźle leczyli. A latem jeden z budynków wynajmowano sierocińcom.

Oprócz wysłuchania tych informacji Masza była zmuszona poznać wiele innych faktów z biografii postawnego pana w pasiastej piżamie: „Moje życie i walka w montażowni fabryki traktorów”.

Natknęła się na niego przypadkiem, w czasie spaceru - czekając na koniec leżakowania w domu dziecka, niespokojnie przechadzała się wzdłuż kamiennego ogrodzenia nabrzeża - a on, nie wyczuwając, jak strasznie jest podenerwowana, nie odstępował jej ani na krok.

Zaczęło się od tego, że długo nie mogła znaleźć Szury, tej s e r d e c z n e j s ą s i a d k i, która załatwiła dziewczynce miejsce na letnisku. Odsyłano ją z jednego piętra na drugie i wszędzie słyszała, że Szura „dopiero co tu była” albo że „widocznie pojechała po zakupy”, aż jedna z pracownic w pustej stołówce, obrzuciwszy Maszę uważnym spojrzeniem od stóp do głów, powiedziała:

- A Szura, tego... tak w ogóle...

- Co: w ogóle?!

- To znaczy... wolne se wzięła. Zęby wyrywa.

A dyrektorka, z którą można było porozmawiać o dziewczynce, rano pojechała do

Jejska i miała wrócić dopiero o czwartej...

Masza wyszła na zalane czerwcowym słońcem nabrzeże.

Długa biała plaża życiodajnej mierzei była upstrzona letnikami w kolorowych kostiumach kąpielowych. W wilgotnym, jeszcze nienagrzanym słońcem powietrzu niesły się dźwięki uderzanej piłki i głośne okrzyki grających przy dziurawej obwisłej siatce. Jeden z graczy głuchym pacnięciem posłał mocną podkręconą piłkę. Opalona dziewczyna w granatowym kostiumie kąpielowym zapiszczała z nadmiaru emocji i rzuciła się za nią w stronę nadchodzącej fali... Przez kilka nieskończenie długich sekund dziewczyna biegła, grzęznąąc w piasku, a piłka wisiała w powietrzu, obracając się wśród delikatnych kędzierzawych obłoczków, po czym nieubłaganie zaczęła spadać, aż uderzyła w mokry piasek tuż przy wodzie, poruszyła się na boki i znieruchomiła.

Niedaleko Maszy grupka mężczyzn i chłopców tłoczyła się wokół faceta, który siedział na skrzynce po piwie i błyskawicznymi ruchami rąk przesuwiał jakiś przedmiot po desce umieszczonej na drugiej skrzynce. Wyglądali by jak filateliści pochyleni nad rzadkim znaczkiem, gdyby nie dziwna aura hazardu emanująca z tego kręgu. Wroga cisza zawisała nad ich głowami, by po chwili wybuchnąć zrozpaczonymi wyzwiskami, śmiechem i pogroźkami. Krąg uczestników na krótko się rozpadł i wtedy widać było rude kosmyki siedzącego i jego sprytne ręce, jakby gotowe w każdej chwili rzucić się do ucieczki. Po czym otaczający go krąg znów niebezpiecznie się zamykał.

Jakaś gra, pomyślała Masza, na pewno hazardowa, związana z oszustwem, przegraną, rozpaczą, zemstą...

Słońce rzucało oślepiające wiązki na ultramarynową toń przezroczystej wody z dwiema jaskrawoczerwonymi łatami dmuchanych materaców. Delikatna opalowa mgiełka spowijała chylące się na horyzoncie niebo. Sfery niebieska i morska odbijały się w sobie nawzajem dwoma gigantycznymi lustrami aż do bezgranicznego bezdennego błękitu...

Dlaczego te miarowo napływające do brzegu fale, rozleniwione ciała na kolorowych matach i czysta niczym na akwareli linia horyzontu napawały ją tak beznadziejną tęsknotą, jakby nie było już dla niej ratunku? Skąd to uczucie, że znalazła się w pułapce, która lada chwila się zatrzśnie? Przecież nikt i nic nie może jej do niczego zmusić...

- ...a ja wtedy prosto do inspekcji ludowej - mamrotał facet, coraz bardziej się nakręcając. - Co tam u was, towarzysze, dzieje się w tych halach?

- Przepraszam pana! - oschle przerwała mu Masza. - Ja... muszę już iść!

Odwróciła się i poszła.

Za jej plecami rozległy się wściekłe wyzwiska, przeraźliwy krzyk, odgłos zrzuconej

deski i rudy jegomość przemknął obok niej, pędząc nabrzeżem. Jego granatowe satynowe spodnie łopotwały na wietrze.

Dwa bachory biegły za nim, gwizdząc i coś wrzeszcząc...

*

- Oczywiście, może ją pani zobaczyć... - oznajmiła postawna barczysta dyrektorka (po prostu grenadier jakiś - ileż materiału musiało pójść na jej biały kitel!). - Czemu nie? Proszę bardzo!

Rozmowa toczyła się w długim przechodnim pomieszczeniu, podobnym do obszernego korytarza zamkniętego z obu stron przeszklonymi drzwiami. Był to jednocześnie pokój przyjęć i dobrze wyposażony gabinet zabiegowy - nawet ze stołem do masażu.

- Tylko niech pani nie uważa nas za dręczycieli. Przecież ona w zasadzie nie jest naszą wychowanką. Właściwie to nawet nie wiadomo, jakim prawem tu jest... Niech pani usiądzie, weźmie do ręki książkę i udaje, że ją czyta. I proszę zachować spokój. Mam na myśli: niczym się nie zdradzić... Krótko mówiąc, nie jęczeć! Starać się panować nad sobą.

Blisko pół godziny Masza siedziała w fotelu, bezskutecznie próbując uciszyć walące serce i wlepiając wzrok w otwartą książkę, którą jej podsunęto - podręcznik medyczny z zakresu gimnastyki leczniczej stosowanej przy porażeniu mózgowym.

Wokół niej żwawo uwijała się kobitka z mokrą ścierką na długiej szczotce, operując nią jak kijem hokejowym wbijającym krążek pod stoły i kozetki. Sama też przypominała wielki krążek - okrągła, szybka: zdążyła i ścierkę wycisnąć, i wdać się w ożywioną pogawędkę z pielęgniarką.

Pielęgniarka mówiła z akcentem charakterystycznym dla mieszkańców republik nadbałtyckich:

- ...No nie pamiętam ich twarzy, nie pamiętam i już! Rozpoznaję wszystkie dzieci po nokkach-rękkach. Przecież one co rokku do mnie na elektroforezę przychodzą. Jak tylko zobaczyłam tę nóżkę z blizną na kkolanie, od razu go poznałam: Igorekk! Wittaj, Igorkku, ależ urosłeś! Ty mi nie mów, jak on wygląda, tylko powiedz, jakiego koloru są jego majtki...

Przeszklone drzwi otwierały się i znów zamykały. Dwukrotnie przemknęły przez nie jakieś panienki w białych, modnie uszytych, krótkich kitlach. Wreszcie ponownie się otworzyły.

Masza uniosła głowę i ledwie się powstrzymała, by nie krzyknąć: coś ścisnęło jej serce i puściło, pozostawiając w piersi lodowaty chłód.

Ujrzała przed sobą szkielecik w majteczkach. Podobne widziała za obozowym drutem kolczastym Buchenwaldu, na filmie dokumentalnym puszczanym przed seansem w kinie.

Wtedy zamknęła oczy i oparła głowę na ramieniu Toli.

Nie mogła pojąć, jak takie dziecko, z przeświecającą przez skórę chropowatą łodygą kręgosłupa, mogło stać, chodzić... i w ogóle utrzymywać się na nogach! A obok wielkiej dyrektorki już całkiem wyglądało jak komar, którego można zdmuchnąć jednym chuchnięciem.

Masza poczuła się słabo i pochyliła głowę nad książką, ale zamiast liter widziała zielone oczęta wychudzonej kruszynki i burzę jej kasztanowych kędziorków.

- No-o-o... - gruchała basem dyrektorka. - Idziemy-idziemy, Aniu-Aniuto, krok po kroku... - I doprowadziwszy szkielecik do Maszy, powiedziała: - Przywitaj się z ciocią!

- ...dobry... - Masza usłyszała szeleszczący szept, nie mając odwagi, by unieść głowę i się uśmiechnąć.

Kiedy drzwi za dziewczynką i dyrektorką się zamknęły, wstała, upuszczając książkę z kolan, i zawołała z oburzeniem:

- Jak tak można?! Jak można było doprowadzić dziecko do takiego stanu?! Ile ona waży?! Przecież jest niedożywiona, nie widzi pani?!

- I kkomu pani tto mówi? - zmieszła się kobieta z republiki nadbałtyckiej. - Dziewczynkka przebywa ttu od pięciu dni... Jest pani jej kkrewną?

Masza wybiegła z pokoju.

*

Nazajutrz stała za szklanymi drzwiami sanatoryjnej stołówki, wypatrując w tłumie dzieciarni burzy kasztanowych kędziorków. Ale nic nie widziała, bo miała łzy w oczach. (W szczycie sezonu urlopowego nie udało jej się wczoraj wynająć pokoju, więc noc spędziła w poczekalni dworcowej). Wyobrażała sobie różne okropności: na przykład, że dziewczynka zmarła tej nocy z wycieńczenia.

Potem zeszła na parter i czekała pod zamkniętymi drzwiami gabinetu na dyrektorkę. Zobaczywszy na końcu korytarza grenadierską postać w białym kitlu, zagroziła jej drogę i rzuciła z rozpaczliwą desperacją:

- Wezmę to dziecko! Proszę mi tylko pomóc w załatwieniu formalności.

Później siedziały razem prawie półtorej godziny i Masza zapisywała pod dyktando dyrektorki poszczególne punkty wszystkich dziewięciu kręgów piekielnych, przez które musiała przejść w rekordowo krótkim czasie, biegając z dokumentami po urzędach.

Wciąż była roztrzęsiona, otwarcie próbowała zostawić na stole pieniądze, wsunąć je do kieszeni obszernego dyrektorskiego kitla, włożyć między strony księgi ewidencyjnej w kartonowej okładce i co rusz chwytając ciężką chłopską dłoń kobiety, mamrotała błagającym

tonem:

- Żeby tylko ktoś przy niej posiedział, nakarmił, chociażby paroma łyżeczkami, ale często, proszę!

Aż w końcu dyrektorka nakrzyczała na nią i obie się rozplakały, dziękując sobie nawzajem nie wiadomo za co...

A s e r d e c z n a s ą s i a d k a Szura, której Masza bezskutecznie szukała, przez cały ten czas stała za uchylonymi drzwiami gabinetu dyrektorskiego i z obawą podsłuchiwała ich rozmowę.

Kiedy już było jasne, że sprawa została załatwiona i ta nie pierwszej młodości kobieta spaliła za sobą wszystkie mosty. Szura najpierw mocno zmrużyła oczy, a potem szeroko je rozwarła, wlepiając wzrok w niebieski kwadrat okna w odległym końcu korytarza, i zaczęła namiętnie i niezgrabnie się żegnać. Tak niegdyś mogła żegnać się jej babcia, próbując przemówić wnuczce pionierce do rozumu.

Nagle się zorientowała, że pomyliła k i e r u n e k, i aż ją zmroziło: nie tak, tylko tak! Splunęła trzykrotnie przez lewe ramię i z tą samą gorliwością ponownie przeżegnała się szerokim ruchem ręki, tym razem poprawnie.

Stała bezgłośnie, uważając, by nie skrzypnęła pod nią deseczka parkietu. A nuż coś nie wypali i dziewczynki nie wezmą.

Ale najbardziej ze wszystkiego bała się samej dziewczynki - bardziej niż własnej śmierci!

2

...Chcesz, moje lustreczko, opowiem ci smutną historię nieszczęśliwej miłości.

Tylko się nie śmieję. Jest to historia prawdziwej miłości missis Clarkson, mojej tutejszej gospodyni, i dzikiego gąsiora, który pewnego razu spadł na jej trawnik.

Jestem bardzo podekscytowany i dlatego mogę pisać w nieskończoność: ostatni akt dramatu rozegrał się wczoraj na moich oczach. To znaczy, siedziałem w swojej szopie, którą gospodarze na wyrost zwą o f i c y n ą, zdzierając za nią niemałe pieniądze, i udawałem, że szlifuję ten arcytrudny do wykonania fragment z finału *IV symfonii* Beethovena, gdzie fagot trajkuje i kończy po klarncie. I jeszcze jeden, z drugiej części - szalenie trudny i pikantny flirt w trzydziestodwupunktowym rytmie, który trzeba wykonywać niezwykle lekko, jak baletnica na paluszkach, co całkowicie obala twierdzenie mojego niezapomnianego nauczyciela Nikołaja Kuźmicza: „Fagot, chłopcze, to instrument melancholijny...”.

Ale wróć do swego bajania, na które, niczym Szeherezada, dostałem łaskawe przyzwolenie.

Otóż jakieś trzy lata temu na trawnik za domem moich gospodarzy spadł cudny śnieżnobiały gąsior; spadł obok garażu, w którym trzymają traktor, kosiarkę, narzędzia ogrodowe i inne rupiecie, a czasami urządzają tam *garage-sale*. Opowiadałem ci już, jak w zeszłym roku kupiłem od nich za dolara dziewiętnastowieczną filiżankę z sewrskiej porcelany? Oderwane uszko przymocowano byle jak, chyba nawet za pomocą plasteliny. Podgrzałem, rozdzieliłem, użyłem delikatnego superkleju, pochuchałem, oblizałem... i teraz stoi u mnie na półce, połyskując prawie nienaruszoną złotą obwódką na niebieskim tle... Moja namiętność do antyków wygląda idiotycznie, biorąc pod uwagę fakt, że oboje nie mamy własnego dachu nad głową.

Nagle sobie uświadomiłem, że tę nienasyconą miłość do wykwintnej porcelany zawdzięczam dziadkowi. W przeszklonym kredensie trzymał porcelanową figurkę odpoczywającego po polowaniu psa w kolorze czekoladowym. Figurka była przedwojenna. Wiesz, czemu tak sądzę? Sygnatura - słynna sygnatura LFZ na brzuchu - była zielona. Po wojnie obowiązywała już fioletowa... Miał tam też taki biały półmisek z wizerunkiem pionierów na obwódce: chłopczykiem i dziewczynką; chłopczyk dmucha w trąbkę, a dziewczynka w chustce pionierskiej trzyma wyprostowaną dłoń przy czole w pionierskim pozdrowieniu. Dziadek zapewniał, że półmisek pochodzi z lat dwudziestych. Zdziwiłem się: czy w latach dwudziestych byli już pionierzy? No to z trzydziestych, poprawił się...

Och, wybacz gadule! Sam byłem pionierem. Bardzo dobrze to pamiętam.

A teraz robimy ogromny skok: ze Żmerynki roku pięćdziesiątego drugiego przenosimy się do stanu Kansas roku dziewięćdziesiątego ósmego. Stulecie wprawdzie to samo - dość odrażające, gasnące w mroku i hańbie.

Otóż gąsior nie mógł dogonić swoich, był zmęczony... a później się okazało, że ma uszkodzone skrzydło.

Missis Clarkson uratowała go przed psami sąsiadów, wyleczyła, wypielęgnowała - i przez całe lato gąsior nie odstępował jej ani na krok, jak pies. A ona do wszystkich swoich przyjaciół wysyłała zdjęcia, które ukazały się nawet w lokalnej gazetce ze wzmianką: „Missis Clarkson ze swoim podopiecznym”. Jesienią podopieczny pomyślnie odleciał do swego miejsca zamieszkania.

Następnego lata wróciła już parka.

Gęsi spacerowały po podwórku i czuły się jak u siebie w domu: widać było gąsiora z dumą oprowadzającego przyjaciółkę po swoich włościach. Podobnie ja pokazywałem ci Rüdesheim, kiedy przyjechałaś tam po raz pierwszy.

Pamiętasz nasz pokój w tamtejszym zamku? A „zmrożone wino” w kamiennej piwnicy? A pijanych kibiców miejscowej drużyny piłkarskiej, którzy na cały głos śpiewali ludowe piosenki? A metalową gondolę kolejki linowej we mgle, z której wypłynął ku nam zabawny albinos o wylupiastych oczach i w brązowym tyrolskim kapelusiku - ten, co (dziwne!) cię tak wystraszył?

Ale wróćmy do gęsi: następnego lata przyleciało ich całe stado. Zajęły podwórko, nikomu nie dając przejść, i przeganiały intruzów wkraczających na ich teren, ponieważ uznały go za własny. Wszystko było zapaskudzone ich odchodami. Córka gospodarzy, studentka, która przyleciała na wakacje ze swoim boyfriendem, odleciała już następnego dnia, zaatakowana przez gęś. Syn w ogóle zrezygnował z wizyty. Biedna missis Clarkson ledwie wytrzymała do jesieni i chyba nawet zamówiła w kościele mszę dziękczynną, wdzięczna Panu za sezonowe uwolnienie od nieproszonych gości. (Jest bardzo pobożna; w salonie wisi portret jej pradziadka z wzruszającą dedykacją na dole: „Miedze me pomyślnie i droga mi posłuszna”).

Ale tej wiosny liczyła już nie na pomoc siły wyższej, tylko wyłącznie na siebie i na romantyczny okres ptasich wędrówek przygotowała się zawczasu. Z hodowli na sąsiedniej farmie pożyczyła dwa charty irlandzkie, które, zobaczywszy ogromny biały baldachim klucza gęsi sfruwający na podwórko, zerwały się z miejsca jak torpedy i drżąc z wściekłości, przeganiały nieszczęsne ptaki do samego wieczora, nie pozwalając im wylądować.

Gęsi miały się nad trawnikiem niczym podmuchy śnieżnej zamieci, która wisiała

nad naszymi głowami, sycząc i klekocząc... Trzeba było widzieć tę bitwę! Powietrze aż wibrowało od huku: krzyki zaskoczonych i rozgniewanych ptaków, wycie, ujadanie i warczenie psów myśliwskich!

Pani Clarkson patrzyła na ten pojedynek przez kuchenne okno i połykała łzy.

Coś się stało w jej zadbanym, uporządkowanym świecie. Coś się popsulo...

Nawet mnie zrobiło się jakoś nieswojo i nie tylko dlatego, że nie mogłem dłużej dąć w fagot, kiedy powietrze wokół aż falowało od straszliwej kakofonii. Po prostu ta smutna historia czemuś mi przypomniała - zgadnij co i kogo?

Dziwną rzeczą jest nasza wyobraźnia, a jeszcze dziwniejszą - nasza pamięć.

Dlaczego ludzie z głębokiej amerykańskiej prowincji przypominają mi moich sąsiadów z Gurjewy? Dlaczego tak jest? Przecież tu na każdym kroku widzę dobrobyt i dostatek, a tam, w mieście mojego dzieciństwa, widziałem jedynie burze piaskowe, ciężką mętną rzekę Ural, bezkresny step dookoła, mięsiste błoto, wiązy, dzidę², nędzne ogródki pod oknami. Były jeszcze działki za miastem, gdzie ludzie sadzili ziemniaki (nawet mówiło się „jedziemy na działkę!”) i gdzie bujnie rozrastała się psianka, nazywana przez miejscowych woroniaszką.

A czy ty w ogóle wiesz, co to jest *woroniaszka*? To taki niewielki chwast z czarnymi, potwornie słodkimi jagodami. Zielsko śmietników. Porządni ludzie, jak mawiała moja mama, nie powinni tego jeść. Ale ja, w krótkim czasie po zamordowaniu ojca zostawszy ulicznikiem, biegałem do sąsiadów Sołodowów na moje ulubione pierożki z woroniaszką. (Smażono je na oleju bawełnianym; słonecznikowy był na specjalne okazje). Sąsiedzi litowali się nade mną: niewyjaśnione zabójstwo mojego ojca, głównego inżyniera miejscowej rafinerii, przez wiele lat zajmowało mieszkańców miasta i rodziło współczucie dla sieroty.

Sołodowowie karmili mnie pierożkami z woroniaszką, aż pękałem z przejedzenia...

Zabawna to była rodzinka: niespokojna, wrzaskliwa, skora do bójek - każdy miał swój niepowtarzalny charakter, nawet najmłodszy. Przyjaźniłem się z ich średnim synem Gienką - kłamczuchem, zbójem i spryciarzem. Jest teraz mnichem w Wafaamskim klasztorze, który zawsze sływał z surowej reguły, i nie widzę w tym nic dziwnego.

Tatusiek ich, wujek Wasia, pochodził z jakiejś mordwińskiej wsi i był wielką partyjną szychą. Chłop niegłupi i uczciwy, ale lubił wypić. I wtedy strasznie się awanturował. Krzyczał na żonę: „Lolka, ty skończona idiotko, gorszej od ciebie nie ma!”. Rzucał w dzieci kulą, jak pirat Silver, i zawsze trafiał. Kaleka o jednej nodze, straszny zapaleniec, postanowił założyć wokół domu prawdziwy sad i każdego dnia z niezwykłym uporem urzeczywistniał

² Dżida - drzewko z brązowymi mączystymi owocami o słodkim smaku.

swoje marzenie: wyciągał łopatę, krzesło, siadał na nim i jedyną kończyną, jaką miał, kopał dół pod kolejne drzewko owocowe. Zasadził w ten sposób czterdzieści siedem drzewek! Ty, dziecko urodzajnej ukraińskiej ziemi, nie zrozumiesz takiego poświęcenia.

A wujek Wasia tego dokonał.

Ożenił się z ciotką Lolą, córką wroga ludu. Tego czynu też, dzięki Bogu, nie jesteś w stanie zrozumieć ani ocenić. No i dobrze.

Ze złocistym warkoczem i zdumiewająco błękitnymi oczami była w młodości taką pięknoscią, że partyjny działacz wujek Wasia zapomniał o „mądrości, honorze i sumieniu naszej epoki”³ i ożenił się z dziewczyną, biorąc na utrzymanie cały tabun jej młodszych braci i siostr. Jak również starą matkę, o której trzeba by opowiedzieć osobno i z uczuciem. Kapitolina Timofiejewna - tak się nazywała - była wysuszoną i upartą staruszką, ponoć ze szlacheckiego rodu. To po pierwsze. Po drugie, dzieci i wnuki myślały, że jest analfabatką. W czasach naszego dzieciństwa owa sprzeczność nie wydawała się dziwna, po prostu się nad tym nie zastanawialiśmy. Ale teraz jestem przekonany, że ów nagły analfabetyzm przejawiał się w momencie, kiedy troje jej już dorosłych dzieci - po rozstrzelaniu ojca - wyrzekło się matki za p o ś r e d n i c t w e m g a z e t y i ta została z trojgiem najmłodszych i bez dachu nad głową. Czy jakąś szczególną rolę odegrała w tym jej niechęć do radzieckiej prasy, czy może kierował nią zwyczajny strach... trudno dziś na to pytanie odpowiedzieć!

Była bardzo surowa i jeśli coś jej się nie podobało, bez słowa chwyciła za włosy i ciągnęła ofiarę przez pokoje. Szyła - niestrudzony pracuś - ubrania dla całej rodziny. Potrafiła wszystko - szyć spodnie, palta, tkąć gobeliny z wizerunkiem Puszkina (nawet dość podobnym, ale zbyt wyszukany, jeśli chodzi o gamę kolorystyczną: ciemnozielone bokobrody wzdłuż wychudłych policzków barwy kakao; całość wykonana jedwabnymi niciami).

Otóż wujek Wasia nie bał się wziąć na siebie takiego niebezpiecznego ciężaru. Przy czym spierał się przez całe życie z surową teściową, a kiedy ta zmarła, szczerze ją opłakiwał; nawet wpadł w ciąg alkoholowy i walił głową o ścianę. Drugiej takiej, mówił, nie znaję.

Czasami, nabawiwszy się do upadłego, zostawałem u nich na noc: kładłem się na sofie w dużym pokoju, chociaż spokojnie mogłem przebiec przez ulicę i wrócić do domu. Ale mama po tragicznej śmierci ojca nigdy już nie doszła do siebie, pogrążona w dziwnym długotrwałym zamyśleniu nad swoim losem. Wróciwszy z pracy do zimnego nieposprzątanego mieszkania, padała na kanapę i leżała tak godzinami, ospale gryząc jabłka - te, które dziadek każdego roku przywoził ze Żmerynki. Patrzyła w okno nieobecny

3 „Mądrość, honor i sumienie naszej epoki” - proletariat.

wzrokiem i prawie ze mną nie rozmawiała. Teraz nazwano by to ciężką depresją i wyleczono w ciągu trzech miesięcy, ale wtedy sąsiadki zarzucały jej niedbalstwo i uważały, że jest złą matką.

Dlatego czasem zostawałem na noc u Sołodowów.

Przypominam sobie, jak budziłem się rano przy dźwiękach hymnu Związku Radzieckiego, nadawanego w radiu...

A kiedy otwierałem oczy, widziałem ciocię Lolę z rozpuszczonymi włosami. Jak niema ofiara, nadstawiająca miękkie gardło pod nóż oprawcy, siedziała na krześle z odchyłoną do tyłu głową - tęga, otępiała po nocnym śnie, w liliowym szlafroku z flaneli - niczym jagnię w oczekiwaniu na strzyżenie złotego runa. Za nią stała malutka babcia Kapitolina Timofiejewna i szerokimi ruchami rąk rozgrzebywała jej niesamowite, nie gorsze niż u Samsona kudły. Najpierw ubijała je palcami, spulchniała bruzdy, wytyczała głębokie rowy. Potem oddzielała, rozrzucała i przekładała na boki grubym grzebieniem o dziesięciu zębach. I wreszcie splatała, skręcała sznury, formowała warkocz jak na rzeźbie. Po zakończeniu tych ciężkich robót brała taki sam szeroki zamach i przerzucała przez ramię córki złoty warkocz, połyskujący niczym boa dusiciel.

Z zapartym tchem obserwowałem przez zmrużone oczy cały ten ceremoniał. Mnie, główniarzowi, nie wiem czemu, wydawał się wtajemniczeniem o charakterze intymnym.

Po latach, budząc się obok kobiety, dochodziłem do wniosku, że wszystko, co u kobiet wiąże się z włosami, owiane jest niepojętą tajemnicą.

Ależ się rozgadałem.

Nie mam pojęcia, kiedy trafi do ciebie ten list, i tym bardziej się nie łudzę, że mi odpowiesz. Mimo wszystko wolę twoje milczenie niż te marsjańskie lustrzane bazgroły, na których widok ciarki chodzą mi po plecach.

No to kiedy się zobaczymy?

Do października mam podpisany kontrakt z orkiestrą z Des Moines. To kawał drogi, ale przyzwyczailem się do tego sennego prowincjonalnego miasteczka, które można znaleźć tylko na miejscowej mapie. Rosną tu lipy niesamowitej piękności, a poza tym nie chce mi się przeprowadzać. Na próby jeżdżę samochodem albo - jeśli mam ochotę się przespać w drodze - autobusem: dwie godziny, z przystankiem w Kansas City.

Tu, moje dziecko, na Środkowym Zachodzie, ludzie są bardzo prowincjonalni. Zwłaszcza ci w autobusie, niemajątni. Oto, proszę ciebie, obrazek z wczoraj. Czarny żebrak: oczy jak u dzikiego konia, wspaniały niski baryton, wilgotny ochrypy śmiech - bez powodu - w oprawie dużych białych zębów. Ubrany okropnie: dziurawe dzinsy, splowiała koszula w

kratę włożona na zatłuszczony golf à la lata siedemdziesiąte, bure adidas.

I przez bite dwie godziny nawijał bez chwili wytchnienia w tym swoim, no wiesz, czarnym slangu, tak że nic nie można zrozumieć. Mówił z uczuciem, życzliwie, w przestrzeń, jakby zwracał się do niewidzialnego rozmówcy. Reszta pasażerów wlepiła wzrok w okno, zatkawszy uszy słuchawkami odtwarzaczy.

A na krótkim przystanku, chcąc rozprostować nogi, zapamiętałe tańczył na chodniku w rytm tylko przez niego słyszanej muzyki: z papierowym kubkiem kawy w jednej ręce i zapalonym papierosem w drugiej. Głowa kiwała mu się niczym na zawiasach, ramiona, ręce, biodra i kolana zataczały kręgi, jakby bezskutecznie próbował objąć, przytulić kogoś niewidocznego...

A kiedy ja obejmę ciebie, możesz mi powiedzieć?

Miejscowa orkiestra z jej małostkowymi kłótniami znudziła mi się i po październiku nie będę przedłużać kontraktu, tylko przeniosę się gdzieś bliżej ciebie. Profesor Mietlicki namawia mnie, bym przeprowadził się do niego do Bostonu. Wyobraź sobie, że mając ukończone dziewięćdziesiąt lat, jeszcze robi plany występów i zajęć na jakąś dekadę naprzód. „Simon, niech pan nie będzie idiotą - mówi do mnie. (Moje imię Profesor wymawia na tutejszą modłę i nawet mi się to podoba: jest coś arystokratycznego w jego brzmieniu. Nie to co w plebejskim: Sienia, które przez całe życie biegnie za mną w głupich podskokach). - Czego pan tam szuka w tej nędznej Europie, czemu pana tak tam ciągnie, jak do miodu?”

A ciągnie, odpowiadam, och, jak ciągnie! Wyruszę więc wkrótce na poszukiwanie ciebie - odezwij się, proszę, daj jakiś znak.

Gdzie jesteś teraz, moja lustrzana dziewczynko? We Frankfurcie? W Montrealu? W Berlinie? W jakie magiczne sztuczki z zaświatami grasz: „Płonący pierścień”? Skrzynie ze znikającymi zakochanymi? Lustrzane kule z latającymi głowami?

Kto się w ciebie wpatruje, mój skarbie, kto się w tobie odbija?

Te pytania uważaj za retoryczne. Mam nadzieję, że dotrzymujesz mi wierności. Do diabła z wiernością cielesną!

Tylko wracaj do mnie czasami.

Tylko wracaj, proszę cię...

3

- Stary grajek Sienia, ten to dopiero kochał ją do szaleństwa. Ona zresztą też go chyba kochała. No... nawet jeśli nie kochała, to jednak była do niego bardzo przywiązana. Pisał do niej listy na poste restante, bo był taki staromodnie ceremonialny. Nigdy nie wiedział, doszedł list czy nie, skoro mu nie odpowiadała albo kreśliła parę słów tym swoim dziwnym pismem. Otwierasz list i gapisz się jak głupi, oglądasz kartkę ze wszystkich stron, do góry nogami obracasz, a i tak nic nie możesz zrozumieć. Abrakadabra jakaś. Prawdziwy szyfr szpiegowski! I taka złość człowieka bierze! Chciałby strzepnąć z kartki te bazgroły, jak się strzepuje pajęczynę z lustra! Chyba macie tam u siebie w Interpolu speców od rozszyfrowywania takiego pisma.

Ale Sieni to nie przeszkadzało. Nic go w niej nie dziwiło, nic nie drażniło.

Na przykład: zawsze rozpędzała samochód do zawrotnej szybkości, nie mówiąc już o motorze! Obojętnie, czy знаła drogę, czy nie! Nikt nie mógł tego wytrzymać, nikt prócz Sieni. On zawsze pozwalał jej prowadzić i siedział obok zadowolony, głupio się uśmiechając, jakby wybrał się karocą na przejażdżkę po Lasku Bulońskim i witał się ze znajomymi baronowymi, unosząc cylinder.

I w ogóle nie był o nią zazdrosny. Jej przypadkowe romanse nic go nie obchodziły. Zresztą ich obojga nic nie obchodziło. Naprawdę!

Byli... jak by to powiedzieć... zaabsorbowani swoją miłością. Był w nią wpatrzony jak w obrazek, wprost nie mógł oczu od niej oderwać. Chociaż prawie zawsze przebywał bardzo daleko i był o wiele starszy od niej. Taki dziwny związek...

Nawiasem mówiąc, ja od razu rozpoznałem pański głos... po tylu latach. To zadziwiające! Jak tylko usłyszałem w słuchawce: „Władimir?”, coś mi w głowie zaświtało: Interpol, śledczy Kerler.

Mogę o coś zapytać, panie Kerler...? Po co znów wracacie do tej sprawy? Wydawało mi się, że została zamknięta. Tyle lat minęło. I Sienia ze swoim zamyślnym fagotem już nie żyje...

... Mogę zapalić? Dzięki Bogu, są jeszcze w Montrealu lokale, w których przynajmniej na tarasie można palić. Całkiem im tu, na Zachodzie, odbiło... Tak w ogóle to jestem panu wdzięczny, że zgodził się pan przesłuchać mnie na wolności... Żartuję! Po prostu przy piwku i fajkach rozmowa jakoś łatwiej się toczy. Chociaż o niej... no, sam pan rozumie... o niej zawsze trudno mi jest mówić. Tym bardziej że dawno już wszystko powiedziałem, jeszcze na pierwszych przesłuchaniach.

...Nie, nie była pięknnością. Wyglądała zwyczajnie: zwykły nos, czoło... Oczy miała wyraziste, to prawda. I spojrzenie niespokojne, dziwne: jakby zawsze czujna, do niczego nieprzywiązana, w każdej chwili gotowa odlecieć... Ale w naszym zawodzie oczy nie grają żadnej roli. Filmują nie nasze twarze, tylko samą akcję. Twarz kaskadera to zepsute ujęcie. Musimy tak dublować aktora, żeby widz nie zauważył podmiany. Była w tym wręcz genialna! Miała ciało wprost do tego stworzone. I niesamowity refleks: mimo obu rąk zajętych potrafiła chwycić spadającą szklankę i postawić ją na miejsce. Jeden mój znajomy, fizjolog, tłumaczył mi, że są tacy ludzie, leworęczni od urodzenia: mają inny podział funkcji w półkulach mózgu. Naukowo to się nazywa: *am-bi-dekst-try*. I że australijscy naukowcy odkryli niedawno, że tacy ludzie szybciej oceniają sytuację i szybciej podejmują decyzję, i w sporcie, i w życiu codziennym. Czemu pan się uśmiecha? Że głupoty opowiadam, tak? Przecież ja się na tym ni cholery nie znam. Tylko powtarzam, co słyszałem. No i sam byłem świadkiem.

Wy tłumaczę to panu, jak potrafię: została stworzona przez naturę jakby na specjalne zamówienie. Idealna do skoków, salt, balansowania na linie i innych trików. Cokolwiek by robiła, chciało się na nią patrzeć. Przyciągała wzrok i uwodziła. I zbudowana była... nie to co te gwiazdy porno z napompowanymi piersiami i lśniącymi ciałami. Wręcz przeciwnie: była niewysoka, taka... chłopięca... o bardzo proporcjonalnej budowie, no wie pan, każda część ciała idealnie dopasowana do reszty. Poruszała się jakby w odpowiedzi na czyjeś nieme zawołanie. Wydawało się, że stale nasłuchiwała. Nawet kiedy z podnieceniem o czymś opowiadała. Czasem tak się zdarza: sympatyczny gość już się spakował, włożył buty i kurtkę i tylko czeka na taksówkę. Rozmowa jeszcze żywo się toczy, żarciki, śmiech... ale on wciąż nasłuchuje, czy samochód na niego już nie czeka? I człowiekowi nagle ściska się serce! Dlatego że... nie wiadomo, czy kiedykolwiek się jeszcze zobaczymy.

... Cholera, ostatni papieros... Dziękuję, palę tylko du murie... powinni tu mieć.

*Mesje, sil wu ple, an pake dio du murie e dio fan du mond...!*⁴

Wie pan co, mnie się tu podoba. Myślałem, że tu geje się zbierają. A nie? Zresztą wszystko mi jedno, geje czy nie. Też są ludźmi... Weźmy Geneviève, bardzo ją szanuję. Pan przecież ją przesłuchiwał, nie? Widział ją pan. Zgadza się, za dużo pije, ale nie to miałem na myśli; jest kimś, kto wszystko w swoim życiu zmienił. Co innego było jej pisane. Niech pan sam powie: dziewczynka z zapadłej wioski na wybrzeżu Bretanii. Wiatr, deszcz... Ojciec rybak, zarobki marne, kilka dni na morzu. Matka w jakimś barze podawała rybakom alkohol. Pięcioro rodzeństwa i takie solidne katolickie wychowanie, że nic go nie zachwieje, tak się wżarło w człowieka. I co? Kiedy Geneviève zrozumiała, że pociąga ją... co innego... no... że

4 (Zniekształ. fr.) - Proszę pana, poproszę paczkę du murie i fan du monde! (przyp. autorki).

jest inna... zerwała z rodziną, wyjechała do Kanady, wałęsała się, głodowała... i w końcu zwyciężyła. Trudno teraz wyobrazić sobie Cirque du Soleil bez niej. Jest urodzonym modelarzem i fotografem, ale żyje jak chce, to chciałem powiedzieć. A do tego potrzebna jest siła, i to nie miała...

...No, trochę zboczyłem z tematu, przepraszam.

A jeśli chodzi o nasz zawód... Oczywiście, często pracowaliśmy w jednej ekipie podczas kręcenia filmów... Rosyjscy kaskaderzy są na Zachodzie cenieni, nierzadko nawet wolą ich od swoich; jesteśmy ludźmi niezawodnymi, zwariowanymi: robimy, czego od nas żądają. Chcesz, żebym walnął głową w beton, to walę. Słynne rosyjskie zuchwalstwo, a tak naprawdę - rosyjskie szaleństwo. Brali nas więc i do zachodnich filmów, i do różnych klipów...

Co to znaczy: „była dobrym kaskaderem”? Była najlepsza! Najlepsza, rozumie pan?! Jako jedyna kobieta w Europie potrafiła utrzymać motocykl na przednim kole...! A robi się to tak: rozpędza się motor na prostej, potem gwałtownie hamuje przednim kołem. Najważniejsze, by droga była sucha i motor nie wpadł w poślizg.

W momencie hamowania, dzięki szybkiemu nachyleniu kierowcy do przodu, tył unosi się w górę i wtedy trzeba utrzymać równowagę i odpowiedni przechył, żeby nie przekoziółkować przez kierownicę, nie skrócić sobie karku. Dla kobiet ten trik jest bardzo trudny pod względem fizycznym. One nie mają takiej masy ciała, siły rąk. Rozumie pan?! A ta dziewczyna to potrafiła!

Jezu, i czego pan tak się uczepił jej dyskwalifikacji... Mówiliśmy już na ten temat... Wie pan, amerykański psycholog Marvin Zuckerman uważa, że są ludzie, których organizm potrzebuje ciągłego stresu, adrenaliny. Tacy czują, że żyją, tylko wtedy, gdy choć raz dziennie dostaną porządnego kopa. Potrzebują tego jak narkotyku. Są przyzwyczajeni do elektryzujących wstrząsów strachu. I powiem panu, że właśnie tacy zostają kaskaderami. Niech pan sam pomyśli... czy normalny człowiek będzie ryzykował tylko po to, żeby zamiast niego jakiś chłystek aktorzyzna mógł popisać się w kadrze tuż przed trikiem i zaraz po nim: patrzcie, jaki ze mnie twardziel?

Nie-e-e, to są ludzie... no wie pan... Oni muszą mieć mocny system nerwowy. Skoki, triki samochodowe, motocyklowe, konne, fechtunek - to jeszcze nic takiego, tu człowiek jeszcze może liczyć na swój refleks, umiejętności, ciało. Ale ogień... woda... z tym już nie ma żartów...

To prawda, że wtedy nie chciała się palić... I przerwała zdjęcia. Wie pan, jak wyglądają triki z ogniem? Kaskader wkłada specjalne ubranie. Kiedyś było z azbestu, ale

potem uznali, że jest szkodliwe, więc zaczęli je robić z takiego tworzywa syntetycznego, niby ognioodpornego... no i człowiek ładnie w tym wygląda. Pod ubraniem azbestowym czy syntetycznym jest podszywka z cienkiego filcu, która chroni przed oparzeniem. A kostium wkłada się na to specjalne ubranie, posmarowane napalmem... Napalm? Ależ nie, to jest mączka kostna rozpuszczona w benzynie. Wygląda jak galareta. Smaruje się nią głównie plecy. Człowiek biegnie, płomień ciągnie go do tyłu... W filmie to świetnie wygląda. Ale... jest jeszcze całkowite palenie. Wtedy kaskader zakłada maskę z ognioodpornego materiału z otworami na oczy i nos. Bo widzi pan, kiedy człowiek się pali...

*Ekskjuze-mua, mesje, purje-wu bese set miuzik dio merd...?*⁵

... Otóż, kiedy człowiek się pali, wpada w panikę. Na przykład, wiatr zawieje nie w tę stronę, czy jeszcze coś... Grozi to poparzeniem. No więc biegniesz, biegniesz, palisz się powolutku... Stop-klatka! Padasz prosto na brzuch, rzucają na ciebie brezent lub kołdrę; wodą nie wolno gasić, bo można poparzyć się parą. Używają do tego gaśnicy... W pobliżu już czeka dwóch asekurujących. Tamtego razu, w scenie z Joanną d'Arc, zabezpieczał jeden. Jeden! Na dodatek nieprawidłowo założył jej maskę. Pełną maskę, rozumie pan? Jezu, czy pan w ogóle rozumie, co to znaczy?!

...O czym to ja mówiłem?... Już wiem! Płomień buchnął do góry i ona zaczęła się dusić, zerwała maskę... Została jej po tym taka cienka różowa blizna na lewej kości policzkowej. Pudrowała ją... bezskutecznie...

Ale zdyskwalifikowano ją nie wtedy, tylko jakieś trzy lata później.

Byłem tam w czasie tych zdjęć.

Pracowaliśmy w jednej ekipie, kilka trików mieliśmy wykonać we dwójkę. Nie pamiętam, jaki tytuł miał ten film w Rosji. Włoski reżyser... zapomniałem, jak się nazywał... film akcji, pościgi... totalna szmira. Nigdy nie czytam tych kretyńskich scenariuszy. Angażują nas do paru bijatyk czy do wypadku samochodowego. Przyjeżdżamy, bijemy się, przewracamy, robimy co należy, bierzemy zapłatę i do widzenia! Krótko mówiąc, miała skoczyć ze skały do tej ich pieprzonej Zatoki Neapolitańskiej, i to w niebezpiecznym miejscu; trzeba było bardzo uważać, by trafić w wąski przesmyk między dwiema skałami.

No więc: kamera, wszystko gotowe, każda minuta kosztuje cholera wie ile zielonych... A ona podbiegła do przepaści i zatrzymała się. Znieruchomiała. Stała jak wryta... A potem odwróciła się i poszła sobie precz.

...Nie mam pojęcia!... Nie jestem pewien, czy się wystraszyła. Wie pan, w czasie wykonywania triku kaskaderzy zwykle są bliscy hysterii. Mówię panu, że nie wiem, co ją

5 (Zniekształ. fr.) - Przepraszam pana, czy można ściszyć tę cholerną muzykę? (przyp. autorki).

powstrzymało. Może jakieś pokrętko w niej, nie wiadomo gdzie, się przekreśliło i w jednej chwili postanowiła skończyć z tym raz na zawsze. Mam teraz przed oczami jej twarz: taką... wyzwoloną, rozumie pan? Takie twarze chyba mają niewinnieni przez sąd... Idzie, oczy zielone z granatowym odcieniem, zupełnie jak woda w tej zatoce. Reżyser się drze, dyrektor nieprzytomny, aktorzy wściekli jak psy, zdjęcia przerwane... A ona idzie wolna... jak wiatr... nie, jak morze!

Od tamtej pory zaczęła zarabiać na życie, prezentując show z lustrami. Ustawiała oświetlenie, tworzyła konstrukcje z różnych lustrzanych urządzeń... Na przykład dla znanego kasyna w Berlinie: Europa-Centrum na Breitscheidplatz. Wymyśliła taką kulę, nazwaną Kulą Niewidką. Na zewnątrz - fasetowa konstrukcja, plastik z napyleniem... A w środku... nie uwierzy pan. Wisi na scenie gigantyczna kula. Otwierana za pomocą pilota - odsuwa się taki prostokątny segment z boku, a wewnątrz panuje absolutna, nieprzenikniona, aksamitna ciemność. I jak wsuniesz tam rękę - ręka znika. Efekt kosmicznej czarnej dziury. Tłumaczyła mi, ale niewiele z tego zrozumiałem. Nie jestem w tym dobry, nigdy nie byłem dobry w naukach ścisłych. Zrozumiałem jedynie tyle, że chodzi o zamknięty system luster...

I wie pan co, ona była cholernie wymagająca. Pracowała głównie we Frankfurcie, w słynnym Tiger Palace, była też u nich konsultantem do spraw oświetlenia. Jak nikt znała się na wszystkich tych reflektorach, skanerach świetlnych, filtrach dichroicznych i innej abrakadabrze.

Zarabiała świetnie. Nie wiadomo tylko, gdzie się te pieniądze rozplywały. Wcale by mnie nie zdziwiło, gdyby r o z p ł y w a ł y s i ę w dosłownym sensie. Upychała je po kieszeniach dzinsów i kurtki... Chociaż, pamiętam też, że co miesiąc wysyłała okrągłą sumkę pewnym osobom. Na przykład Nince, byłej partnerce z cyrku. Mam na myśli - z naszego wspólnego występu. Czuli się winna, że niby przez nią Ninka straciła pracę i została na lodzie. Mówiłem jej: „Oszalałaś? Też mi emerytkę znalazłaś...! Ninka to twarda baba, dawno już występuje z innym zespołem". Ale ona się uparła! Wysyłała i wysyłała przez całe życie. Albo temu... staremu durniowi, który jeszcze w dzieciństwie nakładł jej do głowy głupot o lustrach. Jemu posyłała do Indianapolis... mimo że i bez niej świetnie sobie radził, skoro miał pod ręką tłuste amerykańskie frykasy... Krótko mówiąc, nigdy nie zależało jej na dobrach materialnych. Pracowała dużo, to fakt.

Wszystko miała rozpisane na trzy lata naprzód. Nigdy nie wiedziałem, gdzie w danej chwili jest, dokąd mknie na swoim motorze. Prowadziła dość oryginalne życie - to tu, to tam, to znów jakby pod ziemię się zapadała. W każdym kraju wypożyczała motor lub solidny sportowy biker, kiedy chciała się przemieszczać autostradami, albo cruiser, wygodny w

mieście. I żadnego bagażu: tylko plecaczek ze zmianą bielizny, odwieczny notes do obliczeń... Kwestię garderoby rozwiązywała w prosty sposób: zatrzymywała się przy najbliższym sklepie, kupowała kolejny zielony albo granatowy sweterek, podkoszulek, czy co tam jeszcze, odpowiedni do pogody... A potem zostawiała to po drodze: w hotelu, w „dziupli” u Geneviève albo porzucała na ławce - dla bezdomnych... Nie znałem drugiej takiej osoby, równie nieprzywiązującej wagi do swojego wyglądu. Troszczyła się jedynie o strój motocyklisty, ale i to w razie konieczności. Z motocyklem nie ma żartów - rozwija prędkość do dwustu kilometrów, więc byle chrapaszcz może zrzucić cię z siodła, jeśli uderzy w twarz. Dlatego trzeba zaopatrzyć się we wszystko - kurtkę, porządne buty, rękawiczki, kask...

Siedzieliśmy razem niedaleko stąd, u Figara, jakieś dwa miesiące przed... no, przed tym wszystkim. Była w świetnym humorze, opowiadała, że na przyszły rok zaprosili ją do tutejszego kasyna De Montreal, by pokazała kilka numerów z lustrami w czasie festiwalu fajerwerków... Mówiła, że specjalnie dla nich przygotowała fantastyczny trik z użyciem sztucznych ogni. „Wołod'ka - powiedziała. - Wyobraź sobie dwa gigantyczne naturalne lustra: czarne lustro nieba i czarne lustro zatoki...”

Tak-tak... Próbowала wyjaśnić mi zasadę działania tej sztuczki - coś z dodatkowo osadzonymi na oknach i dachu wklęsłymi lustrami, które dwukrotnie odbijają ogień - i to, co się dzieje na sali, i że wszystko w jakiś tam sposób wysyłają w przestrzeń, gdzie pojawiają się gigantyczne miraż: ludzie niesamowitych kosmicznych rozmiarów wśród całego tego wybuchowego szaleństwa.

Przyznam się, że nigdy mnie nie pociągały te jej lustrzane pomysły. Nie mogę sobie przypomnieć nic konkretnego z jej wyjaśnień...

Tylko patrzyłem, jak nabiera lody, kładzie na pomarańczowy język i tak śmiesznie ssie koniuszek łyżeczki. Jak dziecko...

Panie Kerler... jak pan, do cholery, ma na imię? Robert? Ja przecież, Robercie, świetnie pamiętam ją jako pięcioletnią dziewczynkę! Oboje jesteśmy z Kijowa, od siódmej klasy chodziliśmy do jednej szkoły... A jeszcze wcześniej moja matka ze trzy razy sprzątała u nich w domu. Pewnego dnia wzięła mnie ze sobą. Ojciec akurat wpadł w kolejny ciąg alkoholowy, a przedszkole było zamknięte z powodu kwarantanny.

Matka mówiła do mnie: *Ty, Wołodeczku, rota zamkny u ludej i tak kultumenko mówczy, jak nymyj*⁶.

Żyliśmy wtedy w takiej biedzie... że aż strach wspominać! Tatusiek nie bardzo troszczył się o domowy budżet. Raz przepił w zimie moją karakułową czapkę... A jej ojciec

6 (Ukr.) - Ty, Wołodieczku, przy ludziach zamknij buzię i tak kulturalnie milcz jak niemy.

był lekarzem wojskowym, pułkownikiem, pracował w szpitalu na Pieczercze, w dodatku nie jako szeregowy lekarz, tylko kierownik oddziału zakaźnego. Silny taki, potężny, rosły chłop. Matka również solidna, Mar'kirillowna... operami i symfoniami się zajmowała w szkole muzycznej...

Mieszkali na dawnej Żyłańskiej, w przedrewolucyjnym domu z takimi kręconymi żeliwnymi barierkami na balkonach. A mieszkanie mieli duże, z telefonem i tajemniczym lustrem w przedpokoju... Dla mnie to wszystko było jak... jak nie z tej ziemi! Pamiętam: wchodzimy. Naprzeciwko, ciut z boku, wisi na ścianie lustro, cały korytarz się w nim odbija. Jak ktoś idzie tym korytarzem, to najpierw pojawia się w lustrze, a dopiero później osobiście wychodzi do gości. I nagle z tego ogromnego lustra pędzi ku nam wiercipięta: zęby wyszczerzone, oczy płoną, śmieje się do rozpuku. Biega w tę i we w tę po korytarzu i tupie, tupie nogami! Jakby miała gdzieś wszystkie te dobre maniery.

A ja byłem grzecznym chłopcem. Tatusz krótko mnie trzymał: siedź cicho, gówniarzu, i najlepiej za szafą. Dlatego bardzo się zdziwiłem, że ona tak hałasuje. I że za to nie obrywa. Moja matka mówi do niej: *Zołotko, dytynko, kudy i ty biżysz? Wzmokrejesz, jak ota guska!*⁷

A ta śmieje się do rozpuku: „To nie ja, to moja radość mnie niesie!”.

...Ja, proszę pana, może dlatego całe swoje życie do góry nogami wywróciłem, że zawsze miałem ją przed oczami. Wolną, dziką... inną niż wszyscy! Może chciałem w ten sposób wyzbyć się swojego strachliwego dzieciństwa, wykorzenić je z siebie, zgnieść niczym robala...

Ta-a... Zabawne, ale bardzo się zdenerwowałem, kiedy pan zadzwonił i zaproponował spotkanie... Pomyślałem, a nuż coś znaleźli, a nuż... coś nowego! Chociaż z drugiej strony - cztery lata minęły, co tu jeszcze można znaleźć... A ja wciąż nie mogę tego zrozumieć, nie mo-gę!!! Załóżmy, że ciało zniknęło... Ale motocykl, motocykl to przecież nie rybka, do oceanu nie odpłynął! Co?! Jest przecież, kurwa, z żelaza! I co, ryby go zżarły?! Delfiny pożyczły, żeby się przejechać?!

...Przepraszam... Wszystko w porządku! *Mesje...* proszę się nie denerwować! Wszystko okej... wszystko okej... Zdarza się... Straciłem panowanie nad sobą...

Miałem nadzieję, że pan mi coś nowego powie... A piwo to taka podstępna rzecz, panie Kerler... panie Robercie, jakie to szczęście, że mówi pan po rosyjsku. Bo inaczej sam nie wiem, co bym zrobił... Pewnie byłbym jak wilk... A jeśli chodzi o piwo... pije się jak wodę, a potem taka tęsknota człowieka ogarnia... To lepiej od razu coś mocniejszego łyknąć.

Już wiem, że po tym piwie na pewno nie zasnę. Będę leżał jak kłoda, gapił się w

7 (Ukr.) - Złotko, dziecko, gdzie ty biegniesz? Spocisz się jak ta gaska!

ciemność, a kiedy zamknę oczy, zobaczę ją, pięcioletnią, jak tupiąc nogami na korytarzu, wybiega do mnie prosto z lustra: czoło spocone, zęby wyszczerzone i cała aż się trzęsie ze śmiechu: „To nie ja, nie ja! To moja radość mnie niesie!”.

Przyjrzyjmy się tym oto dwóm zabawkom.

Pierwsza to Calineczka. Tajemnicza niewolnica stalowego kwiatka. Żeby wyzwolić delikatną panienkę z ciemnicy, trzeba naciskać i naciskać kciukiem - aż zdrętwieje - guzik metalowej rurki w kształcie strzykawki. Sprężyna wprowadza w ruch krążek, płatki na nim się otwierają i z nateżonym brzęczeniem zaczynają obracać się coraz szybciej, zlewając się w migającą niewyraźną obręcz. Widać przez nią siedzące w środku maleństwo z niezmiernie smutnej, mimo szczęśliwego końca, bajki Andersena...

Czeka ze zmarzniętymi nóżkami skulonymi pod czerwoną sukienką. A kiedy tylko przestanieś naciskać guzik, kwiatek znów pochłonie więźniarkę. Szybciej, szybciej, trzeba ją uwolnić! Rozchylić stalowe, mocno zwarte płatki kwiatka!

Ale złamany kwiatek obnaża niedbale pomalowany plastikowy klocek. I nieważne, ile razy zniszczy się kupioną przez tatę kolejną zabawkę, w nadziei na znalezienie w środku kwiatka prawdziwej Calineczki, bo zawsze wychodzi to samo: figa z makiem, tandeta.

Drugą zabawką jest akrobata na drążku. Uruchamia się go jak maszynę do szycia Poliny - obrotem dźwigienki z boku. Granatowe ubranko, celuloidowa twarz z idiotycznym, ale zuchwałym uśmiechem. Ten typek jest rad każdemu i gotów kręcić się od rana do wieczora, póki ręka się nie zmęczy. Dźwigienka cały czas zgrzyta. Akrobata unosi się na wyprostowanych ramionach, robi koziołka i po chwili już jest pod drążkiem, gotowy do ponownego bicia rekordów.

*- Niuta-a-a, ty b troszki widczepylasia wid toi żelezjaki wizguczej!*⁸

To nowa niania, Christina, krewna dozorczyńni Markowny. Przyjechała z Pirnowa i siedzi Markownie na karku. Niuta wyobraża sobie, jak wyskoczywszy z pociągu, Christina sadowi się okrakiem na plecach Markowny i pogania ją, pogania, przerzuciwszy grube nogi na jej pierś.

To tatuś wymyślił, by zatrudnić Christinę zamiast „naszej kochanej Poliny”, której w szpitalu rozcinają brzuch, żeby wyjąć z niego jakieś kamienie.

Christina jest wielka od dołu i ma malutką tępą główkę. Jakby jej ciało pospieszyło się i wyhodowało sobie rozłożyste nogi, chwytne ręce, szeroki tyłek... A do pilnowania całego tego bogatego gospodarstwa osadzono na korpusie płaski głąb kapuściany z mocno zwiniętym na karku kokiem i nigdy niezamykającymi się ustami. I z tych oto ust wylewa się potok głupot w śpiewnym narzeczu, nazywanym przez Maszę „surżykiem”.

8 (Ukr.) - Niuta-a-a, może byś się na chwilę odczepiła od tego zgrzytającego żelastwa!

- *Mar'kirilna, ta czogo ž wona use liwoju mastaczit'? U nei prawa ruka, baczu, ni do czogo negodna*⁹.

Ciekawe. Polina jest niby taka mądra i tak szybko potrafi czytać, w odróżnieniu od Niuty. Czemu więc nałykała się kamieni, głupia gęś?

- Niuta jest leworęczna, Christino, i nic na to nie poradzisz. Taka już jest. Proszę nie zwracać na to uwagi.

Masza prowadzi Christinę do kuchni, bo niby chce wydać jej polecenia w sprawach domowych. Ale zaraz będzie ją szeptem pouczać, jak powinna traktować „dziecko”. A dziecko jest trudne, rozbrykane, niezdolne skupić się na czymkolwiek. To znaczy, skupia się jednocześnie na kilku rzeczach. W tej chwili, na przykład, bez ustanku kręci zgrzytającą korbką mechanicznej zabawki, a lewą nogą kopie szmacianego arlekina z przepiękną wesołą porcelanową twarzą.

Kupiono go niedawno w Centralnym Domu Towarowym, na rogu Kreszczatika i ulicy Lenina, w dziale *Igraszky*¹⁰. Jego kostium - „wenecki”, jak powiedział tatuś - jest podzielony na pół: jedna połowa z ciemnogramatowego atłasu, a druga z żółtego aksamitu.

I to właśnie bardzo dziewczynkę wzburzyło.

- Nieprawidłowo! - powiedziała do Maszy. - Kup na odwrót! Granatowy: po drugiej stronie!

- Macie może uszyte na odwrót? - Masza zapytała pulchną i rumianą jak lalka sprzedawczynię. - Moja córka, nie wiem czemu, chce, żeby granatowa była lewa połowa.

- A co za różnica? - z rozdrażnieniem odparła rumiana lalka.

- Bierzcie tego. Patrzcie, jaki *harny chłopec*¹¹.

Ale Niuta wyrwała rączkę z dłoni Maszy i zaczęła tupać nogami, zapamiętała i z żalem powtarzając:

- Nieprawidłowo, nieprawidłowo!!!

- Rozpuszczają dzieci, a potem przez całe życie się męczą - powiedziała sprzedawczyni z naganą w głosie.

Arlekin został jednak kupiony. Po co?! Przenicowany kłamczuch, łgarz, odmieniec! Trzeba by się jeszcze dowiedzieć, kto i po co go tutaj p r z y s ł a ł. I trzeba go lać, póki się nie przyzna!

- Niutoczko, idę do pracy! - Masza krzyczy z korytarza. Jest już w prochowcu i

9 (Zniekszt. ukr.) - Mar'kirilno, czemu ona wciąż lewą się posługuje? Widzę, że prawa do niczego nie jest jej potrzebna.

10 (Ukr.) - Zabawki

11 (Ukr.) - piękny chłopiec.

kapeluszu.

- Idź... - rzuca dziewczynka, nie patrząc na nią, i nogą wpycha arlekina pod kanapę.

Nigdy Maszy nie nazwała mamą, chociaż na Anatolija od razu zaczęła radośnie wołać „tata!”. Zdarzały się chwile, kiedy mówiła do Maszy „Ma” - jak tysiące dzieci nazywają swoje matki. Ale Masza nie ludziła się - była to tylko pierwsza sylaba jej imienia.

Drzwi trzaskają, Christina starannie i metodycznie je zamyka, dwukrotnie przekręcając klucz, zakładając łańcuch, uważnie przyglądając się ich pomalowanej brązową farbą dębowej powierzchni - czy przypadkiem nie przegapiła jakiegoś zamka, rygła, zasuwki? A po chwili staje na progu pokoju dzieciennego.

- *Ta-a-ak - mówi. - Czi tut banda Petlury gulala, czi diwczina żywe*¹²

I nie otrzymawszy odpowiedzi, przez moment obserwuje zachowanie dziecka.

- *Znaczyt', ne tramwiruwaty was, Anna Anatoljewna...* - Nagle zmienia ton: - *Jidy-no siudy, ujobiszcze!*¹³

O, to już coś ciekawego! Christina znów zaczęła mówić owym cudownym, czarującym językiem, którym porozumiewali się kierowcy z zakładu mleczarskiego; a wtedy wołano do niej „odejdz-natychniast-od-okna-nie-słuchaj-tych-świństw!”.

Wczesnym rankiem ochroniarz zakładu rozsuwał ciężkie skrzydła metalowej brudnoszarej bramy i dziesiątki żółtych cystern, ze znakiem firmowym na bokach, wypelzało z podwórka na ulicę. Kiedy stały w korku, rycząc przeciągle i radośnie jak krowy, na ulicy imienia działacza rewolucyjnego Żadanowskiego - dawnej Żyłańskiej - wybuchały kwieciste fajerwerki specyficznego żargonu kierowców, bardzo dosadnego i nie całkiem zrozumiałego.

- *Jidy-no siudy!* - zawołała Christina. - *Likuwaty tebe budemo... Sztopat'-perelicowuwat'... Ot każy: ty, Niuta, umna czy dura?*¹⁴

- Mądra - z przekonaniem odparła dziewczynka.

Christina zwinęła dłoń w trąbkę, podniosła ją do swego okrągłego kurzego oka i zaczęła przez nią patrzeć jak przez lunetę.

- *Ne widat'. Usi umny prawoj rukoj weszczi chapajut', a ty lewoju... Ta szcze ne podstupyś k tebe, to ne każy, ce ne roby... A nu dawaj grat'!* - nagle wrzasnęła. - *Taka ż wesela gra! Stij, ne ruchajsia! Zaraz bude w nas polczelowieka!*¹⁵

12 (Zniekszt. ukr.) - Czy tu banda Petlury szalała, czy dziewczyna mieszka?

13 (Zniekszt. ukr.) - No więc nie wolno pani denerwować, Anno Anatoljewno... Chodź no tu, potworze!

14 (Zniekszt. ukr.) - Chodź no tu. Będziemy cię przerabiać... Cerować-przenicowywać... Powiedz no: jesteś, Niuto, mądra czy głupia?

15 (Zniekszt. ukr.) - Nie widać. Wszyscy mądrzy prawą ręką chwytają, a ty lewą... Do tego nie wiadomo, jak z tobą postępować, tego nie rozkazuj, tamtego nie rób... No to się zabawimy! Jest taka wesoła gra! Stój, nie ruszaj się! Zaraz będzie z nas pół człowieka!

Pobiegła do kuchni, potrząsając ciężkim tyłkiem, i wróciła z kilkoma kuchennymi ścierkami, a potem z brzegu obszernej spódnicy wyciągnęła trzy ogromniaste agrafki.

- Stać, Burionko¹⁶!

Nie, z Christiną jest zdecydowanie ciekawiej niż z Poliną. Tamta tylko prowadzi na pobliski plac zabaw i statecznie buja ciężką powolną łódeczką metalowej huśtawki, nie pozwalając jej unieść się pod niebiosa. Chodzą też do Lipek¹⁷, do parku Batutina, gdzie rzeczywiście rosną lipy - ogromne, pachnące, a wiosną na ich gałęzkach pojawiają się zielone śmigła, lepkie na końcach. Można je otworzyć i przykleić sobie na nos.

Do tego wszystkiego Polina nie daje spokoju, głupio żądając, by czytać szyldy. Sama też, przeciągle, jakby rozpędzała huśtawkę, wyśpiewuje: *Tka-ny-ny... Pro-dowol-czi to-wa-ry ...Re-mo-o-ont wzut-tia*¹⁸. Idiotyczne zajęcie, biorąc pod uwagę fakt, że w domu i tak mówi się po rosyjsku. I Polina również mówi po rosyjsku. Po co więc zwracać uwagę na szyldy?

No i jeszcze zamęcza śmiesznymi bzdurami - jakimś „językiem niemieckim”. Wszystko dlatego, że Polina to była *frebeliczka*. Na początku Niuta myślała, że to coś podobnego do *h i s t e r y c z k i*. Kiedy Niuta robi bałagan, rozzłoszczona Polina właśnie tak ją przezywa. Ale się okazało, że dawno, dawno temu żył niemiecki profesor Fróbel (chudy jak śledź człowieczek z krzaczkami rzadkiego zarostu na zapadniętych policzkach), który uczył panienki pedagogiki, czyli wychowywania dzieci tak, aby te nie rozrabiały i nie kłęły jak szewc. Otóż te panienki *frebeliczki* (długi rząd obciążonych riaszami obfitych biustów i kapelusików z wisienkami i rajskimi jabłuszkami na rondach) zbierały grupy dzieci, po siedmioro-ośmioro, prowadziły je na spacer do parku, wychowywały i uczyły języków. Języków! I czego tu uczyć?! Wystarczy wyciągnąć język daleko, daleko... jak najdalej... i sięgnąć nosa... świetnie! Ale i tak to tylko jeden język, jeden, i już!

Niuta w lot chwyta wszystkie te „ajn-cwaj-draj-fi-ir, in di szule gejen wi-ir”, co Polinę wprawia w zachwyty. „Maszeńko! Maszeńko! - krzyczy już od progu po powrocie ze spaceru. - Jednego nie mogę zrozumieć: dlaczego dziecko, które ze słuchu błyskawicznie zapamiętuje wierszyk w języku obcym, nie potrafi przeczytać ani słowa w ojczystym?!”.

A co tu rozumieć? Przecież w głowie jest takie lustro, w którym, jeśli bardzo się skupić, odbija się wszystko, co zechcesz. Trzeba tylko złapać w lustro potrzebny przedmiot albo słowo czy - żeby było jeszcze zabawniej - cyfrę. I w chwili kiedy lustro złapie już to, na co poluje, można uznać to za *z ł a p a n e n a z a w s z e*. Czy nie każdy tak ma? I z literami też wszystko byłoby w porządku, gdyby je pisać *p r a w i d ł o w o*, a nie głupio, na

16 Burionka - odpowiednik polskiej Mućki.

17 Lipki - dzielnica Kijowa.

18 (Ukr.) - Tkaniny, Produkty spożywcze, Naprawa obuwia.

odwrót, tak jak powypisywano na szyldach...

Ale w Polinie podobało jej się to, że po spacerze zawsze kupowała coś słodkiego. Pulchne żółte polano eklerka, oblane czekoladą, z pysznym kremem czy bitą śmietaną. Albo babeczki z różowym syropem i zatopioną w nim czerwoną wisienką...

A poza tym na ulicy Polina nic nie może jej zrobić. Na ulicy Polina nie może zamęczać jej swoją głupią askorbinką¹⁹, paskudnym kwaśno-gorzkim proszkiem, którym szpikuje ją w domu; rozwija płaskie pergaminowe opakowanie, robi z niego rurkę i sypie proszek na pokornie wysunięty w kształcie czerpaka język Niuty, powtarzając: „Ot-wie-ra-my u-u-us-ta!”. Na ulicy to Polina jest zależna od Niuty, ponieważ się boi, że dziewczynka jej ucieknie. Co już się zdarzało, a Niuta potrafi mknąć szybko, prawie jak motocykl. Krótko mówiąc, jeśli Christina nie zacznie się zajmować tymi wszystkimi bzdurami, będzie to dla niej ogromny plus.

I dobrze by było, gdyby została na zawsze.

Chociaż Ma powiedziała, że Christina poopiekuje się Niutą tylko przez te kilka dni, kiedy w szpitalu będą Polinę ciąć i znów zaszywać. Tata już jej tłumaczył, jak człowieka tną i zaszywają, a potem wyciągają nici.

Po tym ekscytującym opowiadaniu, trzy lalki zostały przez Niutę rozprute i wypatroszone.

No tak...

Tyle że Polina nie wróci ze szpitala. W ogóle już nie wróci, nigdy. Może tak jej się tam spodoba, że wciąż będzie połykać kamienie, a potem nadstawiać pod nóż swój gruby brzuch?

Christina tymczasem szybko i mocno owinęła dziewczynkę ścierkami, przywiązując do tułowia lewą rękę i zostawiając wolną prawą. Zwinnie spięła ścierki agrafkami i obróciła Niutę, przytrzymując za ramię.

- *Tiu! Ot lalka!*²⁰

- Jestem... mumią?!

- *Chto-o ce?*²¹

- Oglądaliśmy z tatą na obrazku... to taki starożytny zabandażowany umarłak.

- *Fuj! Ta chiba i ty mertwiak. Ty żywa diwczina. Chód' na kalidor, glan'-no w dzerkało!*²²

19 Askorbinką (ros.) - witamina C.

20 (Ukr.) - Fiu! Ale laleczka!

21 (Ukr.) - Kto to?

22 (Ukr.) - Jaki z ciebie umarłak. Jesteś żywą dziewczynką. Chodź na korytarz, popatrz no w lustro!

Niuta próbowała się przejść i omal nie upadła.

- Ja... nie mogę... nogami! - poinformowała wystraszona.

- *Use możesz!* - zawołała Christina. - *Breszesz, możesz! Niżki-to w tebe on wony obie!*

*Piszły praweńkoj nożen'koj upered. A nu, topaj!*²³

Przez jakieś pięć minut z trudem poruszały się razem w kierunku przedpokoju. Wisiało tam cudowne, drogocenne i potajemne... Ale o tym nikomu nie wolno mówić.

Dlatego że w ciągu dnia, kiedy Polina zapadała w drzemkę, trzeba było tylko przyciąć się jak drapieznik, cierpliwie czekając, aż ze skórzanego fotela w jadalni, gdzie niania „przeglądała gazety”, rozlegnie się jej donośne chrapanie. Wraz z pierwszą falą potężnego ryku na tle lekkiego szelestu gazet należało zerwać się z miejsca - praktycznie lecąc w powietrzu i stąpając jedynie po pięciu nietrzeszczących deskach parkietu - i pognać w stronę pokoju dziecinnego, gdzie na szafce obok tapczanu Poliny stoi jej stare, z ciemnymi plamkami, okrągłe lustro na wysokiej nóżce, zdobione emalią. Na emaliowanej podstawie nadgryziony czasem carewicz Iwan porywa na kulawej kobyłce całkiem już bezgłową Marię Rukodielnicę.

I gdyby ostrożnie postawić to lustro na szafce z obuwem w przedpokoju, akurat naprzeciwko drugiego, „generalskiego” lustra w rzeźbionej czarnej ramie, i powoli wpłynąć w głęboką, falującą mocnymi strumieniami przestrzeń między nimi, otworzą się wtedy dwa wejścia do nieskończonych lustrzanych korytarzy...

Niuta nauczyła się ukrywać tę zabawę, dlatego że Ma nie znosi luster i niechętnie się w nich przegląda, a nawet chyba trochę się ich boi, co jest już całkiem niemądre z jej strony! Pewnego razu przyłapawszy Niutę w trakcie powolnego upojnego tańca między dwiema lustrzanymi strugami, z których łagodnymi rytmicznymi impulsami wylewał się czarujący dźwięczny chłód, wystraszyła się nie wiadomo czemu, i odebrała jej lustro Poliny, wołając bezradnie: „Co ty wyprawiasz! To nie do pojęcia, jakimi głupstwami się zajmujesz!”.

I oto w połowie zabandażowana Niuta stanęła na baczność przed wysokim „generalskim” lustrem ozdobionym świecznikami z brązu.

- Kto... to? - zapytała ochryplym głosem, patrząc na jednoręki pakunek, który wyglądał jak pół człowieka. Przyglądała mu się jak zwykle badawczo, odwracając odbicie - z prawej strony na lewą - tak jak powinno być, ale, co dziwne, teraz miała z tym większy problem.

Moment rozpoznawania siebie w lustrze zawsze był dla niej jak spowolniony skok ze

23 (Ukr.) - Wszystko możesz! Łziesz, potrafisz! Przecież masz dwie nóżki! Idziemy najpierw prawą nóżką. No, idź!

spadochronem. Nigdy nie potrafiła od razu połączyć się z własnym odbiciem. W pierwszej chwili czuła zdziwienie na swój widok, zaskoczenie, ucisk serca: ktoś stał w jej ubraniu. Musiała siebie odwrócić. I za każdym razem na nowo uczyć się patrzenia.

Chociaż zawsze rozpoznawała swoje odbicie w zniekształconej powierzchni: w wodzie, w łyżce, w pękatym boku emaliowanego czajnika.

- *O-ot...* - rzekła zadowolona Christina. - *Oce tak u nas w Pimowo lewszej wyworaczuwajut. Ty w nas skoren'ko budeś mołodcom!*²⁴

I Niuta przez dwie godziny uczyła się - z pomocą Christiny - w prawej nieporadnej ręce trzymać łyżkę, rozczesywać włosy, chwycić piłeczkę, rzucać na podłogę i podnosić z niej różne rzeczy. A nawet korzystać z kawałka gazety²⁵ w ubikacji.

- Christina, starczy już - poprosiła wreszcie. Jej twarz zmizerniała, oczy pociemniały, na górnej wardze wystąpiły kropelki potu. A najważniejsze, że w tym czasie ani razu nie splunęła, nie kopnęła nogą zabawki, która w niczym nie zawiniła, i nie rozwrzeszczała się. - Rozwiąż mnie! Mam już tego dosyć!

Christina ułożyła swoje czerwone paluchy w wielką figę i podsunęła ją Niucie pod nos.

- *Ot!* - rzuciła. - *Trymaj! Nazad ne poidemo. Ot paparika u pjat' z ospitala pryjde, tak u polpjatogo i widszczepnu. Božen'ka terplaczych polublaje! A lewaków proklatych božen'ka na duch ne wynosyt! Chosz z bisom wodytysia?*²⁶

Niuta umęczonym wzrokiem patrzyła na swoją dręczycielkę. Z jakimś nieznanym i, sądząc z intonacji Christiny, mało sympatycznym diabłem zadawać się nie chciała. Chociaż było jej obojętne, czy Bóg ją lubi. Oczywiście lepiej, gdyby lubił.

Ale... jeśli do niczego nieprzydatna prawa ręka stanie się tak samo mądra i zręczna jak lewa, to będzie można podrzucać od razu pięć piłeczek, jak ten żongler z wędrownego cyrku!

Dziewczynka przysiadła na stołku i w zamyśleniu po raz pierwszy podrapała się w nos prawą ręką.

Jezu, żeby tak jeszcze raz głośno wciągnąć w nozdrza tę intensywną zniewalającą woń: mieszankę nawozu, końskiego potu, świeżych trocin, rozgrzanych reflektorów i brezentu! Jak mocno wali serce, kiedy zaczyna grać orkiestra i robi się tak odświętnie. Promienie czerwonego i niebieskiego światła biją po oczach, a księżę w krótkim lśniącem płaszczu, balansując z długim drążkiem w rękach, niesie na ramionach miniaturową

24 (Zniekszt. ukr.) - Oto... Oto jak u nas w Pimowie leworęcznych wywracają. U nas szybko będziesz zuchem!

25 Zamiast trudno dostępnego papieru toaletowego powszechnie używano kawałków gazety.

26 (Zniekszt. ukr.) - Trzymaj! Nic z tego! Tatuś o piątej wraca ze szpitala, więc o wpół do piątej się odcepię. Bóg cierpliwych lubi! A przeklętych leworęcznych nie znosi! Chcesz się z diabłem zadawać?

dziewczynę niemal bez ubrania, która cała świeci się i mieni cekinami, niczym prawdziwa Calineczka! I nagle przy ogłuszającym akompaniamencie bębnow dziewczyna podrywa się i obiema stopami sprężyscie ląduje na linie!

Tata też klaskał jak oszalały i kupił drugie *crème brûlée*²⁷ w brązowym opakowaniu z narysowanym muszkietierem. Ale Niuta nie mogła jeść. W ustach jej zaschło. Siedziała, nie odrywając wzroku od areny... Po linie w jej kierunku, w w e w n ę t r z n y m l u s t r z e - tym znajdującym się ciut powyżej oczu - szła ona, Niuta, z długim drążkiem trzymanym w rękach dla równowagi. Jak tamta Calineczka! Ale Niuta nie ta dzisiaj, tylko z przyszłości.

- Tatusiu! - zawołała podniecona, ciągnąc ojca za rękaw płaszcza przeciwdeszczowego. - Ja też tak umiem! Będę umiała... potem, później... za wiele dni... też tak będę robiła!

- Co ty tam mamroczesz, córeczko, głupoty jakieś! - Ojciec tylko machnął ręką i błyskawicznie pochłonał *crème brûlée*, jak później się tłumaczył: „ze zdenerwowania, nieświadomie, w trzech kęsach”.

Otóż ten żongler po przedstawieniu...

Niuta i tata wyszli jako ostatni, ponieważ ona nie chciała iść. Żongler stał, a ściślej mówiąc, sprężyscie kiwał się na wszystkie strony w ciemnym kąciku obok gaśnicy. Trenował: podrzucał i łapał pięć złotych piłeczek. Czasem piłeczka spadała, żongler chwycił pozostałe - układał jedną po drugiej na swojej dużej dłoni - i schylał się, żeby podnieść tę, co spadła. I złoty punktowy łuk ponownie tworzył się nad jego głową.

- Zaczekaj, tatusiu... - powiedziała dziewczynka błagającym tonem, zatrzymując się obok.

Wprost nie mogła oderwać oczu od tego widoku. Nie miała pojęcia skąd, ale wiedziała, kiedy piłeczka spadnie. A tak naprawdę zauważała ją, jak zawisa trochę niżej od pozostałych, co znaczy, że lekko odchyła się od wspólnego toru... Przepuściła jedną, drugą... a potem, błyskawicznie przechyliwszy się w lewo, chwyciła spadającą piłeczkę i podała ją żonglerowi.

- Brawo!!! - zawołał, biorąc od niej piłeczkę w swoją gorącą dłoń. - Lewą, lewą?! Bra-a-awo!!!

Do domu biegła w podskokach. Leciąca daleko przed siebie, wyprzedzając ojca i do niego wracając, jak szczęśliwy piesek przynoszący patyk swojemu panu.

A wtedy ojciec się uśmiechał i mówił:

- Bra-a-awo!!! Lewą, lewą?! Bra-a-awo!!!

27 Lody, bardzo popularne w Związku Radzieckim.

5

...Już w pierwszej chwili wiedziałem, że znam ją od dawna; że jest tą małą śmieszką wiercipiętą, która zrobiła na mnie takie wrażenie, a nawet przestraszyła - wiele lat temu w kijowskim mieszkaniu zupełnie obcych mi ludzi.

Nasza orkiestra miała występy w kilku miastach Ukrainy i wicedyrektorka filharmonii poprosiła, by przekazać jej krewnym jakiś pakunek („Sienieczko kochany, niech pan nie odmawia!"). Był miękki i lekki - i dlatego się zgodziłem. Nie cierpię łączyć z cudzymi przesyłkami, kiedy muszę jeszcze targać fagot w futerale.

Do tego wszystkiego okazało się, że ci krewni mieszkają na ulicy Żadanowskiego, dawnej Żyłańskiej, Żyłańskiej, Żyłańskiej, która w powszechnej pamięci utrwaliła się pod tą właśnie nazwą.

I na której kiedyś bywałem ze swoim dziadkiem podczas krótkich letnich pobytów w tym mieście.

Kochałem Kijów i nieźle go znałem. W dzieciństwie każde wakacje spędzałem u dziadka w Żmerynce i wtedy zawsze przyjeżdżaliśmy na tydzień do Kijowa. Zatrzymywaliśmy się u jego znajomej, byłej akrobatki cyrkowej, w przeludnionej komunałce mieszczącej się w starym piętrowym domu na Żyłańskiej.

Panna Iwanowna - tak o niej mówiono. Nazwisko miała jakieś ormiańskie... Jeśli dobrze pamiętam, trochę handlowała - dla zabicia czasu. Chwaliła się, że pierwszy w życiu biznes zrobiła na sandałkach, które uszyła z żołnierskich pasów, a potem sprzedała je na bazarze; ponoć pilnie potrzebowała pieniędzy, bo zakochała się na zabój w pewnym przystojniaku z obsługi areny.

Była namiętną palaczką, kopcila jednego papierosa za drugim, ale petów nie cierpiała i nazywała je umarlakami. Na widok stojącej w kuchni popielniczki pełnej niedopałków natychmiast rozkazywała; „Zabierzcie tych umarlaków!".

W komunałce mieszkało wielu oryginałów, jakby na potwierdzenie jej dawnego przeznaczenia - dziadek mówił, że niegdyś mieścił się tu jeden z najlepszych kijowskich burdeli.

To zadziwiające, że tak różnorodne towarzystwo potrafiło żyć ze sobą dość dobrze, bez awantur. I jaka barwna mieszanina tam się gnieździła! Był na przykład pewien malarz dziwak, typ absolutnie aspołeczny. Nosił bardzo malownicze łachy, podejrzenie przypominające damskie. Może gdzieś je zbierał, może kradł suszące się na podwórku, a może wdzięczne muzy obdarowywały go swoimi starymi ciuchami. Mistrz zmuszał mnie i

dziadka do pozowania. Portretów wprowadzie nam nie dał i czasami ze smutkiem myślę, że bez wahania kupiłbym teraz podobiznę dziadka, za dobrą cenę... (Z drugiej jednak strony, co bym z nią zrobił, na jakim nieistniejącym gwoździu zawiesił, skoro ciągle jestem w rozjazdach?).

Pamiętam tę długą przemysłową ulicę, na której tu i ówdzie trafiały się stare czynszówki - z ornamentami, rzeźbionymi ozdobami, a nawet kariatydami! W odróżnieniu od Kreszczatika, zniszczonego podczas nalotów, rejon ten - Żyłańska, Saksagańskiego, Tarasowska, Starowokzalna, Czkałowa (dawna Stołypińska) - zachował się w całości i po brzegi przepełniony był gwarną ludzką masą rozmaitego pochodzenia. Turkotał, dzwonił tramwajami, wrzeszczał mocnymi gardzielami na Stadionie Centralnym, kipiał burzliwym cyrkowym życiem na słynnym Jewbazie²⁸.

Pamiętam wielkie niebrukowane podwórko z rozwieszoną bielizną, gołębnikiem, drewnutnią, skleconą z desek sławojką i ogromną kałużą wokół hydrantu.

Zgodnie ze sporządzonym przez dziadka planem zwiedzania - w którym filharmonia była punktem obowiązkowym i bezdyskusyjnym! - przemierzaliśmy miasto wzdłuż i wszerz, pieszo i pobrzękującymi tramwajami. Przy okazji dziadek kupował sobie części do zegarków.

Byłem wówczas zakochany w samochodach i zapach wielkiego miasta podniecał mnie do szaleństwa: ta niezwykła mieszanina zapachu gazołiny, gorącego oleju, świeżej benzyny, wydzielana przez mijające nas samochody, oraz smażonych pierożków na ulicznych straganach i polewanych wodą jezdni. Pamiętam też dozorców ze szlauchami w rękach oraz mnóstwo ogromnych, falujących na wietrze klombów czerwonych róż, goździków i tulipanów!

No i strasznie podobały mi się masywne kijowskie tramwaje (dziadek lubił powtarzać: „Póki chodzą tramwaje - żyjemy!”). W tamtym okresie dół miały pomalowane na kolor ciemnognatowy albo jaskrawoczerwony, a górę na kremowy - taki jak ciastka. A na płaskiej, tępej, jakby zdziwionej mordzie widniała rozłożysta pięcioramienna gwiazda.

Salę filharmonii, najlepszą w mieście, jeśli chodzi o akustykę, dziadek nazywał Kupieckim Zebraniem, a mieszczący się z tyłu ogród Pionierski - Kupieckim. Po koncercie prowadził mnie przez tory tramwajowe bardzo podekscytowany, nucąc pod nosem dopiero co słyszaną melodię - był namiętym melomanem, rozkochanym w instrumentach dętych.

- Klarnet, Sienczis, wszystkie rejestry ma dobre, prawie wszystkie - mówił. - Basy ma posępnie złowieszcze, jak na początku *V symfonii* Czajkowskiego. Pamiętasz, że słuchaliśmy jej poprzednim razem? A za nimi półtorej lub dwie oktawy, równiutkie, wspaniałe, z nerwem!

28 Jewbaz (jewriejskij bazar, ros.) - bazar żydowski (ofic. Galicyjski).

Każde tutti orkiestry przebije, choćby trzy forte, a nawet pięć! Płacz, raduj się, wyznawaj miłość: klarnet wszystko potrafi, wszędzie jest dobry... I atakuje błyskawicznie! Staccato ma wytworne...! Ale klarnet, Sienczis, to instrument bezpośrednio wyrażający uczucia, nawet kiedy brzmi złowieszczo! Nie ma w jego głosie podtekstu, ukrytego znaczenia. Fagot natomiast - to już zupełnie co innego... Przyjaciel, który grał w orkiestrze filharmonii właśnie na fagocie, opowiadał mi, że sam Rachlin, Natan Grigorjewicz Rachlin, wielki dyrygent, powiedział kiedyś na próbie *Patetycznej*: „Orkiestra, proszę słuchać fagotu! To on skręca!”. - Dziadek zatrzymywał się, zanim skręcił w kolejne przejściowe podwórko, a ja, posłusznie jak koń, stawałem obok niego. - A po solo fagotu, kiedy dęte prowadzą główny temat, Rachlin swoimi grubymi jak serdelki paluchami pokazywał każdą szesnastą! „Fagot skręca! Fagot skręca!”. Daj ci Boże, Sienczis, dożyć tego momentu, kiedy zrozumiesz, że to genialne słowa!

Przejściowe podwórka Kijowa - z ich kamiennymi stopniami, bramami, zmianami poziomu wysokości i omszałymi schodkami łączącymi ulice - przesywały pół miasta. Zewsząd dobiegał zapach gnijącego, zleżającego puchu topoli, a nad nim niosła się oszałamiająca woń lip i niewyobrażalnie delikatna niczym dźwięk dalekiego rożka angielskiego wieczorna woń aksamitnych liliowych kwiatków o operowej nazwie metiola.

Ale przeważającym zapachem był aromat okrągłego chleba - „amauckiej bułki” - i teraz mi się wydaje, że mimo całej swojej miłości do instrumentów dętych dziadek przyjeżdżał do Kijowa właśnie z powodu tego niepowtarzalnego, apetycznego zapachu sycącej amautki...

Jak opisać ten aromat? Nie wiem... Nie miał, w każdym razie, nic wspólnego z kwaśnym zapachem czarnego chleba czy słodkawym bułki drożdżowej.

Dziadek budził się wcześniej, brzytwą golił twarz nad starą, upstrzoną łysinkami rdzy umywalką w dostępnej dla wszystkich komunalnej kuchni, wzuwał kozaki zabitego włoskiego żołnierza i wychodził do pobliskiej piekarni, by zdążyć na jej otwarcie. A szedł tam jak na randkę z kobietą. Bo „amautka” pachniała jak kobieta - nieosiągalnym szczęściem.

W komunałce nazywali dziadka Amautkinem. I pytali: „Panno Iwanno, kiedy znów przyjedzie do pani ten Arnautkin?”.

W rosyjskim sklepie w Bostonie całkiem niedawno zobaczyłem okrągły bochenek z nalepką: „Arnaucka bułka”. I od razu go kupiłem.

Oczywiście nie miał nic wspólnego z bosko pachnącym Chlebem, z którym kojarzą mi się moje pobyty w Kijowie...

A więc do Kijowa zawsze przyjeżdżałem z przyjemnością i skrywanym

podnieceniem, chociaż pod koniec lat sześćdziesiątych było to już zupełnie inne miasto.

Ale w restauracji hotelu Teatralny - na rogu Włodimirskiej i Lenina, naprzeciwko opery - wciąż serwowano w trzech malutkich metalowych kokilkach świetną grzybową *julienne* na wywarze z kurczaka, po bardzo przystępnej cenie.

Następnego dnia po koncercie postanowiłem dostarczyć przesyłkę.

Rodzina, dla której wiozłem paczkę, okazała się cudowna, gościnna, a pani domu nawet była muzykalna. Jak się wyjaśniło, słuchała naszego koncertu - ach, gdyby tylko wiedziała... Krótko mówiąc, poczęstowano mnie herbatą, do herbaty doszło coś mocniejszego - w tamtym czasie nie wylewałem za kołnierz, serce miałem jak dzwon, jeszcze mi nie dokuczało.

I potoczyła się taka serdeczna rozmowa... Wspomnieliśmy, oczywiście, represjonowanych krewnych i znajomych, co w tamtych czasach nie było rzadkością. Wychowałem się w Gurjewie, a gospodyni, Masza, w Semipałatyńsku... Rzuciliśmy się ku sobie niczym zapomniani krewni. A jej mąż, wielki, małomówny, życzliwy Chochoł²⁹ - był, zdaje się, lekarzem wojskowym, i do tego wysokiej rangi - bez przerwy mi dolewał.

Nagle z jakiegoś zakamarka wyskakuje ta dziewczynka!

Ale najpierw usłyszałem donośny swojski wrzask:

- Niuta-Niuta-Niu-u-u-u!

Przede mną, jak spod ziemi, pojawiło się czupiradło, na oko pięcioletnie, wzrostu siedzącego psa, w kapeluszu z kwiatami, długiej jedwabnej matczynej spódnicy i bluzce z dużym dekoltem, w którym widać było dwa guziki - dziecięce wyłupiaste sutki.

- Chceta zobaczyć śliczno-o-otkę?!

Hop!!! - i pantofelek poleciał do góry, omal nie trafiwszy obcasem w kieliszek ojca.

Hop!!! - i drugi pantofelek zahaczył o ciężki pięcioramienny żyrandol, który niebezpiecznie zakołysał się nad naszymi głowami.

W ślad za dziewczynką przybiegła panna z dużym tyłkiem i nieproporcjonalnie małą głową, ogromnymi łapskami próbując złapać tę wiercipiętę i zapędzić ją z powrotem do puszki Pandory, z której tak gwałtownie wyskoczyła. Ale nie potrafiła ani dogonić, ani poradzić sobie z tym małym huraganem. I dziewczynka jeszcze dwukrotnie wbiegała w różnych przebraniach, wrzeszcząc:

- Chceta zobaczyć śliczno-o-otkę?!

Tak naprawdę nie przepadam za dziećmi, nie rozumiem ich. Nie wiem, jak z nimi rozmawiać, nudzę się w ich obecności, niecierpliwie, próbuję zwiąć.

²⁹ Ukrainiec (potoczne).

Ale ta mała tak świetnie podskakiwała i jeszcze zdążyła okręcić się wokół własnej osi. No po prostu pasikonik jakiś...

Zauważyła mnie dopiero wtedy, gdy wbiegła po raz drugi. Znieruchomiła na chwilę... i nagle wybuchnęła śmiechem, dźwięcznym, błazeńskim, chwytając się za brzuch. Usta miała rozciągnięte od ucha do ucha, tak że widać było duże stałe zęby na przemian z mlecznymi, ostrymi. W miejscu górnych kłów widniały dwie dziurki. Taka zabawna istotka. Biła z niej ogromna radość życia! I dzika energia. A oczy miała niezwykle, morskiego koloru - zieleń z granatem; mimo śmiechu przyglądały się człowiekowi uważnie, „dorośle”, jakby pytały: skąd jesteś? Coś ty za jeden?

- A ty co? - pytam ją. - Z czego się tak śmiejesz?

- *Oj, smiczno!* - zawołała. - *Smicz-no!*³⁰

- Co cię tak śmieszy?

- Jest jak tatuś! - krzyczała, skacząc i pokazując na mnie palcem. - Urodził się jak tatuś!

I wtedy stało się coś dziwnego: twarze gospodarzy jakoś tak... zgasły, posmutniały.

- Niuto, pora spać! - ostrym tonem rzucił ojciec.

- Jak tatuś! W tym samym dniu! - I wybuchnęła śmiechem.

- A kiedy tatuś ma urodziny? - spytałem to szczerbate dziwadło.

Podniosła nogę do ucha, chwyciła ją w kostce, przyciągnęła do twarzy i wypaliła:

- *Diawiacnactoje sen-tia-pria*³¹!

Zdębiałem, chrząknąłem... Zgadła! A ona wciąż kręciła się i wyrabiała z nogami cholera wie co, jednocześnie machając rękami jak wiatrak. Teraz takie dzieci nazywają nadpobudliwymi, ale wtedy nikt podobnej diagnozy nie stawiał. Mówiono po prostu: nieznośne dziecko. *Oj, smiczno!!!*

Była nieznośna...

Ale najbardziej zdziwiły mnie twarze jej rodziców, ich przepaszające uśmiechy, opuszczony wzrok, jakby została ujawniona wstydliva choroba w rodzinie. Ojciec się podniósł - nie wypadało pouczać dziecka przy gościu - i zaczął wypraszać ją z pokoju, rozkładając ręce i popychając ją swoim dużym cielskiem na koniec korytarza, gdzie widocznie miała swój pokój. Ale ona jeszcze ze dwa razy z niego wybiegała, radośnie wyrzaskując jakies dziecinne głupoty i kończynami wyczyniając takie sztuczki, że dostałem zawrotu głowy. I za każdym razem zażenowany ojciec zrywał się, by ją uciszyć. A kiedy

30 (Ukr.) - Oj, śmiesznie!

31 (Ukr.) - Dziewiętnastego września.

wreszcie wrócił, powiedziałem do niego:

- Macie państwo bardzo... wysportowaną córkę. Musicie zapisać ją na akrobatykę.

Oboje z wdzięcznością zaczęli kiwać głowami:

- Tak-tak, już nam o tym mówiono. We wrześniu zapiszemy ją do kółka sportowego...

To dziwne, ale nawet mnie nie zapytali: A kiedy, tak naprawdę, ma pan te swoje urodziny? Widocznie wiedzieli, że trafia bez pudła. Widocznie od wczesnego dzieciństwa ich zadziwiała...

Szkoda, że byłem już nieźle podпиты, bo pijanemu wszystko jedno, czy podadzą mu datę urodzenia, czy śmierci...

Jak myśmy wszyscy wtedy pili, mój ty Boże, jak pili!

Mrawiński, co powszechnie wiadomo, zamykał na klucz w swoim gabinecie słynnego waltornistę Udalcowa. Ten przez okno spuszczał na sznurku trzy ruble, na dole już czekał w pogotowiu chłopiec i co sił w nogach pędził do monopolowego, a potem obwiązywał sznurkiem butelkę i Udalcow wciągał swoją zdobycz do góry. Po czym, pijany w sztok, grał genialnie!

Klarncista Baranow i oboista Tupikow wszędzie chodzili razem, ponieważ osobno nie mogli utrzymać się na nogach.

W teatrze Kirowa fagocistę alkoholika zamykali w pomieszczeniu dla orkiestry. Pod koniec trzeciego aktu był już porządnie wstawiony. Jak mu się to udawało? Tylko rosyjskie samorodki to potrafią. Fagot ma na dole srebrny kieliszek zamykający tubę. Otóż ów Kulibin przyspawał do niego jeszcze jeden kieliszek, do którego wlewał życiodajny płyn, i na próbach po łyżeczku pociągał go przez rurkę tworzącą dodatkowe es. I w ten sposób się doprawiał, biedak. Nawiasem mówiąc, to on jest autorem słynnego w świecie muzycznym powiedzonka: „Jeden dzień w tygodniu trzeba powstrzymać się od picia, żeby wstrząsnąć organizmem!”.

No więc tamtego wieczoru, ugoszczony przez dobrych ludzi, zapomniałem o dziewczynce. Dopiero rankiem, po przebudzeniu w hotelowym pokoju i oplukaniu twarzy zimną wodą... przypomniałem sobie o niej. I wystraszyłem się! Ależ, pomyślałem, numer! I ty, głupi, nie przypodobałeś się, nie podlizzałeś tej potwornej małej... Może inne daty też by ci podała, pięcioletnia Sybilla... Później nieraz wspominałem to dziwne stworzenie. Ale z czasem zapomniałem...

I oto jesienią osiemdziesiątego ósmego roku trafiłem do Moskwy. Przypadkiem, i też po pijanemu, znalazłem się w cyrku na Cwietnym Bulwarze. Poprzedniego dnia przyjechałem z Pitra³² do przyjaciela: był taki słynny fagocista, świętej pamięci Misza Diatłow. Jego siostra,

32 Piter - potoczna nazwa Leningradu.

administrator hotelu Mińsk, zawsze umieszczała mnie w pierwszorzędnym pokoju. Wypiliśmy, serdecznie pogawędziliśmy, a nazajutrz Misza nie mógł wstać. Grypa go dopadła, a może miał problemy z sercem czy nerkami. Dzwoni do mnie do hotelu i błaga, bym zamiast niego zagrał w cyrku na wieczornym przedstawieniu, a później na porannej próbie - taka drobnostka, ze trzy godziny.

Oczywiście się zgodziłem, by ratować przyjaciela. Tym bardziej że w młodości przez wiele lat związany byłem z cyrkiem i jego brawurowy repertuar nie był mi tak całkiem obcy. A z partyturą Dunajewskiego już sobie jakoś poradzę.

Stoję po próbie, chowam instrument do futerału i przy okazji wyłapuję dobrze znane mi dźwięki - rankiem cyrk rozbrzmiewa własną muzyką. Senną ciszę burzy ryk drapieżnika, okrzyk tresera, trzask bicia - najwcześniej odbywa się tu tresura zwierząt. Po dziesiątej zaczynają powoli ściągać artyści skowronki: jedni ćwiczą, drudzy przychodzą pogadać.

Bez zbytniego zainteresowania przysłuchuję się rozmowie dwóch stojących za mną kobiet. Nie pamiętam szczegółów, ale jedna z nich mówiła coś o wiosennych występach w Armenii. A druga odparła: „Nie będzie żadnych występów... Nie denerwuj się”.

Na co pierwsza: „Zwariowałaś? Na tablicy ogłoszeń wisi rozporządzenie dyrektora”.

Wtedy drugi głos, niski taki, chłopięcy, nagle wyśpiewał: „Nie bę-ędzie, nie bę-ędzie, nie bę-edzie...”.

Jakby mnie ktoś kopnął.

Obróciłem się. I od razu ją ujrzałem. Nie to, żebym w dorosłej dziewczynie, takiej zwyczajnej, w dżinsach i granatowym sweterku, rozpoznał tamtą śmieszkę, nieznośnego bachora, akrobatkę. Po prostu patrzyła na mnie surowo. Jakby znów wołała do mnie: „Chceta zobaczyć śliczno-o-otkę?!”.

Niewysoka, lekka, smukła. Kolor oczu - mieniący się niczym woda w rwącym strumieniu w słoneczny dzień...

Ręce mi się zrobiły takie ciężkie, że o mało nie upuściłem futerału z fagotem. Wszystko we mnie zadrzało, poruszyło się... Pomyślałem tylko, że chyba rzeczywiście nici z tych wiosennych występów w Armenii. I że trzeba by ją zapytać, czy nie mieszkała w Kijowie pod koniec lat sześćdziesiąt...

A ona nagle rzuciła wyraźnie i ironicznie:

- *Smicz-no!*

Stałem i patrzyłem na jej wąski, ale okrągły i twardy podbródek, na niepasujące do niego bezbronne dziecięce usta. Od razu było widać, że są miękkie...

6

Masza w milczeniu rozebrała się w ciemnej sypialni, po omacku złożyła ubranie na fotelu i wyjęła spod poduszki nocną koszulę.

- Ja nie śpię - odezwał się Anatolij. - Możesz włączyć lampę.

- Śpij... już sobie poradziłam.

Weszła pod kołdrę, wyciągnęła się i znieruchomiła.

Dzień był męczący i bardzo smutny... Pochowali Polinę, starego przyjaciela rodziny Maszy, można powiedzieć - jej członka. Najpierw była niedoszłą narzeczoną taty, a potem - kiedy aresztowano go w trzydziestym szóstym - przyjaciółką mamy do końca życia.

I odwiedzała ich w Siemipalałyńsku. A Masza przez całe studia na Akademii Muzycznej w Kijowie mieszkała w ogromnej komunałce na Podole³³, w jednym pokoju z Poliną, wieczorem rozkładając sobie cienki materac na podłodze.

Jak na swoje siedemdziesiąt pięć lat Polina była jeszcze bardzo energiczna i z wielkim zaangażowaniem opiekowała się Niutą, a właściwie to postawiła ją na nogi. Przecież Masza przywiozła ją lekką jak piórko - na rękach wyniosła z pociągu. Polina wtedy wprowadziła się do nich na stałe.

I coś skomplikowanego, zdawałoby się, jest w rutynowym wycięciu pęcherzyka żółciowego! Już zaczynała dochodzić do siebie po operacji. Była, jak zapewniał Tola, gotowa na powrót do domu. Aż tu nagle - niespodziewane zatrzymanie akcji serca.

Masza odwróciła głowę w stronę męża i zobaczyła, że światło latarni za oknem odbija się w jego otwartych oczach.

- Tolu - wyszeptała. - Powiedz mi... Przecież nie można było przewidzieć tego zakrzepu...

- Nie można było, nie można! Uspokój się już. To rzecz nieprzewidywalna.

- Jak w takim razie...

Oboje leżeli w milczeniu, ale każde z nich miało przed oczami tę samą scenkę sprzed trzech dni, kiedy jedli w kuchni kolację. Christina uskarżała się na dziwactwa swojej ciotki, dozorczyńni Markowny. Ta bowiem wypożyczyła telewizor, który włączała „sobie” tylko czasami.

- *Bereże, stara durena. Dumaje, szo koły zberigaty, to wono ne zraschodujet'sia!*³⁴

Jednocześnie bez powodzenia próbowała nawinać na widelec długi makaron, aż w

33 Podół - dzielnica Kijowa.

34 (Zniekszt. ukr.) - Oszczędza, głupia stara. Myśli, że jak będzie oszczędzać, to się nie zużyje!

końcu wzięła go w grube palce i głośno wciągnęła ustami.

Po kolacji wyszła, dźwięcznie wycalowawszy w oba policzki i nos trochę już zmęczoną Niutę. Masza, z uśmiechem powtarzając zabawne słówka niańki, zauważyła, że to dziewczyna dobra i serdeczna, ale kiedy Polina wreszcie wróci ze szpitala, Christinę trzeba będzie...

Wtedy Niuta uniosła głowę znad „Murziłki”³⁵, którego nie czytała, tylko jak zwykle od końca oglądała obrazki, i powiedziała:

- Nie, Christina niech zostanie. Jest śmieszna. Ona mnie prze... ni... cowuje!

- Niutoczko, Christina będzie przychodzić do nas w gości. Przecież nie chcesz, żeby nasza kochana Polina...

- Nie kochana! Nie Polina! Ona nie wróci!

- Nie pleć głupstw! - uciszył ją ojciec. Byli przyjaciółmi i Tola pozwalał sobie na rzeczy, na które nigdy by sobie nie pozwoliła Masza. Mógł nawet dać klapsa, kiedy dziecko na to zasłużyło.

- Pojutrze wypisują Polinę ze szpitala i wtedy sama będziesz ją witała z kwiatami.

Dziewczynka nie odezwała się, ze zdziwieniem patrząc to na ojca, to na matkę. Jakby próbowała i nie potrafiła wytłumaczyć im czegoś oczywistego, co nie potrzebowało wyjaśnień, w czym nie było jej winy i czego oni nie mogli i nie chcieli zrozumieć.

- Ależ tatu-u-usiu... - powiedziała przeciągle, obrażonym tonem. - Przecież Polina i tak nie wróci!

Tola wysunął rękę spod kołdry i zapalił nocną lampkę.

- Maszeńko - powiedział. - Nie zwracaj tym sobie głowy. To się zdarza, naprawdę się zdarza. Wrażliwe dzieci mają... intuicję. Popatrz na nią, jest taka żywa...

- Tolu, może jednak zaprowadzić ją do psychiatry?

- Bzdury! Jest absolutnie zdrowym dzieckiem. Tylko nadpobudliwym.

- I wciąż uważasz, że nie trzeba jej uczyć posługiwania się prawą ręką zamiast lewą? Przecież później w szkole...

- Bzdury! Jaka różnica, którą ręką je i którą będzie pisała? Co za średniowieczne podejście, co za przesady... Cicho!

- Ona śpi...

- Zrozum - ciągnął ściszym głosem. - Oduczony leworęczny może zostać jąkałą, neurotykiem, Bóg wie kim! Później będziemy gorzko tego żałować.

Akurat, pomyślała z wyrzutem. Sam się zamartwiał, kiedy...

35 „Murziłka” - ilustrowane czasopismo dla najmłodszych.

Na początku Anatolij rzeczywiście nie mógł pogodzić się z tym, że dziewczynka, błyskawicznie zapamiętująca każdy tekst, nie potrafiła nauczyć się składania liter w słowa.

- Ależ to niemożliwe! - gorączkował się. - Przecież jesteś inteligentną, bystrą małpką! No już, powtarzaj za mną: - Be... U-u-u... Wychodzi „bu-u-u”.

Prawdziwa awantura wybuchła z powodu nieszczęsnego słowa „bublik”. Po burzliwym nieporozumieniu, mamrotaniu, burczeniu i szlochach ojciec kazał jej iść do kąta, a po pięciu minutach pozwolił wrócić, lecz ona dalej stała tam uparcie i nawet nogi miała mokre od łez.

Tola jednak, ze swoim „chocholskim uporem”, jak mawiała Masza, tym razem postanowił doprowadzić sprawę do końca.

- No dobrze, starczy już tego beczenia, bo nic po tobie nie zostanie prócz kałuży. Chodź tutaj. To niemożliwe, byśmy tego nie opanowali!

I rzeczywiście, pierwsza sylaba została pokonana błyskawicznie: „bub!”, „bub!”. Ale na tym osiągnięciu utknęli. Drugiej sylaby - „lik” - już nie udało się sforsować.

- Tu jest... o kilogramie - powiedziała Niuta.

- O jakim kilogramie?! O jakim kilogramie, tumanie jeden!!! - Ojciec padł na krzesło.

Zamilkł na chwilę, żeby się uspokoić, a potem znów wziął do rąk kartkę z wielkimi i wyraźnie wypisanymi literami.

- EL! I! KA! „Lik”, rozumiesz? Co w tym trudnego, skoro już przeczytałaś „bub”. „Lik”, „lik”! El-i-ka! LIK.

Odwrócił kartkę, podsunął ją Niucie, opuścił wzrok... i nagle podskoczył jak oparzony.

- Maszo!!! - krzyknął.

Przybiegła wystraszona Masza.

- Popatrz tylko - powiedział zdenerwowany. - Ona czyta na wspak. Zamiast „lik” czyta „kil”.

- Niuto, umyj ręce, będziesz jadła zupę. I obetrzyj łyzy.

- Nic nie rozumiesz! „Bub” przeczytała tylko dlatego, że brzmi tak samo przy czytaniu z lewej strony do prawej i odwrotnie. I mówi: kilogram, kilogram... Myślę sobie, co to za kilogram, do diabła? A ona przeczytała „kil” zamiast „lik”!

- Daj jej spokój - odparła Masza smutnym głosem.

Teraz, po pogrzebie Poliny, przypomniała jej się tamta noc w pociągu, kiedy wreszcie wiozła do Kijowa swoją kruchą zdobycz. Migotliwe światło księżyca rozjaśniało zasłony w luksusowym przedziale; dziewczynka zasnęła i wyglądała jak cień, skulona w mroku na

sąsiednim łóżku.

Na wieszaku huśtał się jej plecaczek z parą majteczek, skarpetkami i kraciastą sukienką z oderwaną falbanką na bufce. „To... wszystkie jej rzeczy?“, zdziwiła się Masza, biorąc plecaczek z rąk wychowawczynie. „Wszystkie... - odparła kobieta. - To wszystko, w czym do nas przyszła”.

Pociąg mknął, rozwijając w nocy maksymalną prędkość, szarpał na zakrętach jak wystraszony koń, a ona nie była w stanie pozbyć się uporczywej, dziwnej myśli: że zmierzają nie do Kijowa - gdzie ma swój dom, Anatolija i Polinę, która już nie mogła doczekać się małej - tylko ku nieskończonej, nieprzytulnej pustce, gdzie istnieje jedynie ta prędkość, niepokój i migocące światło księżycy...

Cała ta biegania ostatnich dni - kolejki do notariusza, walka z urzędnikami - kompletnie ją wykończyła. Bała się, że dziewczynka się nie doczeka, zniknie, odejdzie... I nie udało się znaleźć sąsiadki Szury, która mogła coś powiedzieć o dziecku, o jego przyzwyczajeniach, ulubionych rzeczach. Nieuchwytna sąsiadka jakby się przed nią chowała, unikając spotkania.

A niech tam, co za różnica? Najważniejsze, żeby teraz szybko zrobić badania... przeprowadzić kurację witaminową. Otoczyć troską, miłością, zabawkami... smacznie karmić! Dobrze, że ma przy sobie Polinę z jej bezgranicznym oddaniem i nieustanną gotowością do tarcia jabłek i marchewki...

No i, oczywiście, trzeba zająć się rozwojem dziecka, bo ma wyraźne luki. Cały czas milczy! Ale, dzięki Bogu, nie jest niemową i ze słuchem też nie ma problemów, więc kiedyś wreszcie zacznie mówić!

Obudziło ją nieprzyjemne wrażenie, że ktoś bacznie jej się przygląda. Otworzyła oczy i mało nie podskoczyła ze strachu. Dziewczynka siedziała obok niej na łóżku i w niebieskawym świetle nocnej lampki wyglądała jak bezcielesny malutki elf.

W milczeniu patrzyła na Maszę, uważnie obserwując jej twarz. Długie, badające dorosłe spojrzenie wystraszyło ją nie na żarty; od dzieciństwa tak się nie bała (przemknęły jej przez głowę scenki nocnego straszenia na koloniach: w czarnym-czarnym pokoju... siedziała czama-czama...).

Może ona jest... lunaticzką?, pomyślała w panice.

- Aniu, Aniu... - zawołała cichutko i dziewczynka od razu odezwała się całkiem przytomnym, smutnym głosem. - Dlaczego nie śpisz, dziecinko?

Mała patrzyła na nią bez słowa. Maszy zaschło w gardle.

- Jeśli chcesz, to połóż się ze mną... - Opadła na poduszkę i poklepała dłonią miejsce

obok siebie... - Połóż się... przy mamie...

Dziewczynka poruszyła się i złożyła ręce na kolanach.

- Nie jesteś moją mamą - oświadczyła zachrypniętym głosem, w którym zabrzmiała taka nieznośna tęsknota, że Masza aż usiadła.

- Niuto... - wyszeptała. - A gdzie jest... twoja m-mama?

Dziewczynka odwróciła swoją niebieskawą twarzyczkę, na której widać było tylko ogromne oczy, westchnęła i powiedziała:

- Mama odeszła w lustro.

- Tolu... - powiedziała Masza zdławionym głosem. - Pamiętasz, jak w kwietniu weszła do bramy i oznajmiła: „Wkrótce będziemy mieli zielone drzwi”? I następnego dnia wywiesili ogłoszenie o remoncie i pomalowali drzwi na zielono. A ty mówiłeś o teorii prawdopodobieństwa, o zbiegach okoliczności... Tolu! Ja się boję...

Objął ją bez słowa. Chwilę tak leżała, schowawszy głowę pod pachę męża. Cały czas czekała, że jak zwykle żartobliwym tonem zacznie mówić o nowych odkryciach w dziedzinie psychologii, zgodnie z którymi człowiek... On jednak milczał. A kiedy Masza już przysypiała, nagle powiedział spokojnym, wyraźnym głosem:

- Wiesz co, Maszo, może byś tam pojechała!

- Dokąd? - Wystraszyła się.

Bordowe zasłony w oknie sypialni złowieszczą płonęły w świetle latarni.

- Tam, skąd ją przywiozłaś.

A po chwili milczenia dodał:

- I wypytaj... o co wtedy nie zapytałaś.

Dwa tygodnie później wzięła kilka dni wolnego i pojechała do Jejska.

Tak naprawdę nie wiedziała, po co tam jedzie i jakich sensacji oczekuje od obcej kobiety, jakich potwierdzeń? I co wtedy może zmienić się w ich życiu?

Za oknami pociągu nagle wyłaniały się w łysinach łąk żółte jeziorka kwitnącego gorczycznika, w ciemnych zaroślach gęstego lasu migwały wszystkie odcienie zieleni. Na wierzchołku wzgórza szerokie pole koniczyny falowało na wietrze i wyglądało niczym tarka do prania.

Pociąg wychodził ze strefy deszczu i zanurzał się w słoneczne opary, a po chwili deszczowa mżawka znów zaczynała osiadać na szybach... Czerwcową szczodra zieleni wdzięcznie oddychała po przelotnych ulewach...

Minęli zagrodę, gdzie czekoladowy żrebak tarzał się w szmaragdowej trawie, wierzgając nogami w powietrzu i ukazując miękki jak poducha, zamszowy brzuch. Matka

trącała go takim samym zamszowym pyskiem.

W ciągu tych dwóch lat Masza postarzała się o dziesięć. Znow przebudziły się w niej niewyraźne dziecięce lęki, które nawiedzały ją od czasów siemipałatyńskiej szkoły, kiedy wracając do domu, przeskakiwała przez pęknięcia w asfalcie i zakładała: jeśli na żadne nie nadepnę, wszystko będzie dobrze i tatuś wróci. I zawsze nadeptywała. Próbowwała udobruchać jakąś siłą wyższą: Boga oczywiście nie ma, ale ktoś przecież musi odpowiadać za ten świat! Czula to, wiedziała - musi odpowiadać! I tego kogoś... kto... jednym słowem, tę siłą wyższą trzeba było ubłagać, zjednać albo jeszcze lepiej - skurczyć się tak, by jej nie zauważyła... Świadomość n i e u c h r o n n o ś c i tego, co miało nadejść, od dzieciństwa była dla niej czymś najokropniejszym.

Dręczył ją strach o dziewczynkę, o przyszłość, a najgorsze, że dręczyło ją coś wstydlwego, ukrytego gdzieś bardzo głęboko: nie przyznałaby się do tego nie tylko mężowi, ale nawet przed sobą, że boi się jej, swojej małej córeczki... Boi się?! I po raz pierwszy pomyślała o niej jak o obcej osobie: boi się Anny...

Anny, która w jakiś potworny sposób wiedziała coś o n i e u c h r o n n o ś c i, przeczuwała ją i spokojnie podążała na spotkanie z nią... Co znaczy, że w j a k i ś s p o s ó b była częścią owej tajemniczej siły. I na samą myśl o tym Masza chciała się skulić.

Już w taksówce przypomniała sobie, że sąsiadka Szura może teraz kroić chleb w domu dziecka na letnisku, i zmartwiła się - nie miała ochoty znów uganiać się za widmem.

Ale drzwi, do których zadzwoniła, od razu się otworzyły i - tak samo jak wtedy, po tym pierwszym, dziwnym, przeklętym telefonie - wszystko się ułożyło. Na widok nieznajomej Szura zbladła tak bardzo, że Masza zauważyła to nawet w ciemnym korytarzu. Skąd mogła wiedzieć, że Szura cały czas pamiętała o kobiecie, która tak ufnie i pokornie weszła do pułapki, i o dziewczynce, którą zabrała ze sobą, złapawszy ją tuż nad przepaścią.

- Czego... pani chce? - gburowato burknęła zaskoczona i wystraszona Szura. Aż sama się zmieszała, wstydząc się swego zachowania. - Pani do kogo?

Masza stała, życzliwie przyglądając się przysadzistej starszej kobiecie o dziobatej twarzy.

- Przepraszam, nie znam pani *otczestwa* - powiedziała. - Aleksandrowna?

- Wołodimierna. - Szura szerzej otworzyła drzwi i wciągnęła brzuch. - Proszę wejść, nie ma co tak stać w progu...

Po czym nastąpiła niepotrzebna i bezsensowna wymiana zdań, podczas której Szura nagle zrozumiała, że los właśnie zsyła jej przebaczenie, o które tak często modliła się przed

snem. I teraz nie miała zamiaru tego stracić. Dlatego energicznie przerwała niezręczną przedmowę i wstępne wypytywania nieoczekiwanego gościa i powiedziała:

- Jakie tam *otczestwo*! Jesteś Masza, tak? Dobrze. Chodźmy do kuchni. Właśnie robię kotlety mielone. Zara tu brzeg stołu wytrę, herbaty się napijemy...

Masza usiadła. Obie milczały przez chwilę, przygotowując się do rozmowy. Szura pospiesznie sprzątała miskę z farszem, nastawiała wodę na herbatę, kroїła resztki jakiegoś kupnego ciasta.

- A ja nawet nic do herbaty nie mam...

- Nic nie przyniosłam...

Powiedziały to jednocześnie i atmosfera od razu się rozluźniła. Szura wyciągnęła filiżanki i usiadła przy stole naprzeciwko Maszy.

- No i jak tam? - zapytała. - Co słyhać? Po co przyjechałaś?

Masza zmieszała się... Nie wiedziała, od czego zacząć. A pytać o najważniejsze tak na początku...

- Ja... wie pani... chciałam się czegoś dowiedzieć... o rodzicach mojej dziewczynki. Pani chyba dobrze ich znała?

- Rodzice... to brzmi pięknie! - Szura się uśmiechnęła. - Dumnie. Z rodziców to ona tylko matkę miała, Ritę. I to wszystko. Porządna z niej była babka, niech spoczywa w spokoju, dobra... zwyczajna! Ciebie, Maszo, co konkretnie interesuje? Wał prosto z mostu.

Ale Masza i teraz nie potrafiła tego powiedzieć tak po prostu. Nie potrafiła!

- Chodzi o to... - wykrztusiła zmieszana - że dziewczynka pamięta setki numerów telefonów... prawie jak Victor Hugo, co to znał numery wszystkich fiaków w Paryżu.

- Zdarza się - oznajmiła Szura. - Mój wujek potrafił naśladować głos każdego ptaka. Powiesz do niego: Wujku Fimo, zrób drozda! I ten jak zacznie gwizdać, śpiewać... Nawet byś nie odróżniła. A jak raskę udawał...!

I Masza już nie powiedziała, że jej córka, patrząc na obcego, może podać jego numer telefonu i datę urodzenia.

Woda w czajniku zaczęła się gotować. Szura podniosła się, sypnęła z pudełka herbatę, zalała ją wrzątkiem, wytarła mokry blat. Obie milczały...

- A... ojciec?

- Nie było żadnego ojca!

- Rozumiem - szybko powiedziała Masza. - Nie o to mi chodzi. Przecież wszystko rozumiem. Po prostu... chciałam zapytać... nic a nic nie wie pani o jej ojcu? Zupełnie nic?

- Czemu nie wiem? - zdziwiła się Szura. - Wszyscy go tu znali, rudego Arkaszkę! No,

wreszcie się zaparzyła... Nadstawiaj szybciotko filiżankę. Zaparzam, jak mnie Uzbegy uczyli. Tu przez długi czas Uzbegy przyjeżdżali, melonami handlowali na bazarze, u mnie się zatrzymywali. Dobrzy ludzie. Nauczyli herbatę zaparzać jak należy. Od tej pory nie lubię na łapu-capu... Herbata zaparzana z miłością smakuje inaczej...

I kiedy Masza zaczęła już myśleć, że niczego więcej się nie dowie - bo czego właściwie oczekiwała, skoro sama krąży wokół problemu, nie mówiąc wprost - Szura odezwała się dobitnym tonem:

- Otóż Arkaszka Miesin... No dobra, opowiem. Niech mi świętej pamięci Rita tam wybaczy... On przecież chłopcem był, rozumiesz? Nie? No ten tak zwany ojciec był chłopcem, kiedy Aniuta się urodziła. Piętnaście latek miał, góra szesnaście. Ale skandal, co? Nie do pomyślenia! *Gorono, rajono*³⁶ molestowanie nieletniego i inne brudy. Sama rozumiesz... Z błotem ją mieszała... obgadywali! Wszyscy wzięli ją na języki! Że bibliotekarka w szkole powinna kultury uczyć i miłości do książek, a ta - małego znieprawiała... Szła ulicą, a tam za nią kamienie prawie że leciały... Ja bym po takiej hańbie skończyła ze sobą. Ale ona, Rita, była twarda. Miała wtedy, ile ona miała, żeby nie skłamać... jakieś trzydzieści sześć lat... Wprawdzie chudziutka taka, z wydatnym nosem... na dziewczynkę wyglądała. Ale jak to się mówi: jeśli zapomniłaś, ile masz latek, do dowodu se zajrzyj! Najgorsze, że bachor był draniem. Czasem kradł, a później z koleżkami kioski rabował. A teraz za kratami siedzi, za naparstki.

- Za co? - nie zrozumiała Masza.

- To taka gra, nie znasz? Naparstnikiem jest.

- Nie, nie znam - ponuro odparła Masza, prawie już nie słuchając. Myślała o tym, że jej dziewczynka ma bardzo... hmm... barwny rodowód.

- Toż to gra taka, w naparstki! Siedzi dziadyga, zbiera wokół siebie ludzi i pyta, pod którym naparstkiem ma kulkę. I dawaj ruszać obiema rękami, naparstki tam i z powrotem przestawiać. A frajerzy wczasowi stoją obok jak głupki i pieniądze przepuszczają. Mają za swoje, widać łatwo im przyszły! Więc Arkaszka co robił: od małości wiedział, jak z tymi naparstkami postępować. Chodził tam i wygrywał. I niepotrzebnie się tym przechwalał. Ale taki już miał parszywy charakter, język latał mu jak łopata. Ja, mówił, Mie-esin jestem, syn samego Mie-esina! No więc na początku lekko oberwał, postraszyli go tylko...

- Jakiego Miesina? - zdziwiła się Masza.

- A ty co, nie słyszałaś... artysta taki jest, pokazuje różne sztuczki. Myśli cudze czyta, hipnozę stosuje. Miesin... Niedawno czytałam o nim w gazecie. Ponoć jeszcze żyje... A imię

36 *Gorono, rajono* (ros.) - skrót od: miejski wydział oświaty; rejonowy wydział oświaty.

ma... Oj, zapomnialam. Niemieckie takie... Folk czy jakoś... Tak, Folk Miesin.

- Co-o-o?! - Masza popatrzyła na Szurę. - Wolf Mes-sing?! - Zamachała rękami i głośno się roześmiała. - Jezu, co za bzdury pani wygaduje!

- Czemu od razu bzdury? - obraziła się Szura. - On tu u nas przez dwa lata z rzędu występował. Artysta Moskiewskiej Filharmonii. „Doświadczenia psychologiczne” się nazywało. Mój świętej pamięci Sioma nawet na scenie był i potem mówił, że to wszystko prawda, bez oszustwa. Zahipnotyzowany Sioma kazał Folkowi iść do trzeciego rzędu i z kieszeni Michała Stiepanycza paczkę jawy wyciągnąć. Był taki siwy, rozczochrany. Aż się cały trząsł, tak się wysilał...

- Ale... co to ma wspólnego! Nie rozumiem...

- No przecie tłumaczę ci: Zinka tamtego lata administratorem w domu kultury była. Przystojna taka kobitka, młoda, naturalna blondynka... Prawdziwa pokusa dla artysty... no, zdarza się. I powiem ci, brzuch jej mniej więcej w tym samym czasie zaczął rosnąć. Inaczej po co by chłopcu obce nazwisko dawała? Widocznie chciała pochwalić się przed ludźmi, podkreślić, jaka to ona ważna...

- Ale... przecież jemu zawsze żona asystowała! Wiem, opowiadano mi...

- Żona, żona - ironicznie podchwyciła Szura. - Kiedy to żona dla chłopca była przeszkodą? W takich sprawach, sama wiesz... jak ładna kobitka zechce, to żona może nawet dzień i noc z karabinem pilnować... a chłop odejdzie na chwilkę, żeby się wysikać, i patrzysz, a tu inna już mu... asystuje.

- Chwileczkę - wymamrotała Masza. - Wygląda na to... że moja Niuta...?

Że twoja Niuta, ze współczuciem pomyślała Szura, jest podwójnym bękartem!

Bała się jednak powiedzieć to na głos. I żeby Maszę pocieszyć, zauważyła:

- Ale, jak naród mówi: nieślubne przeważnie i piękne, i mądre się rodzą!

Masza siedziała przygarbiona; była wstrząśnięta i zdruzgotana. Nie tknęła herbaty ani ciasta.

Nagle przypomniała jej się historia koleżanki, Lenoczki Zariadnej, śpiewaczki Opery Kijowskiej. Otóż Lenoczka chwaliła się, jak to kiedyś, podczas stażu w Filharmonii Swierdłowskiej, poproszono ją, by odebrała z dworca przyjeżdżającego na występy tajemniczego Wolfa Messinga, o którym już wtedy wszędzie było głośno. Stała na peronie z bukietem róż, drżących w jej rękach, oczekując, że zaraz ujrzy postawnego czarodzieja o romantycznej powierzchowności... a z wagonu wysiadł niewysoki drobny człowiek. Oczywiście nie dała po sobie poznać rozczarowania, przywołując na twarz wyraz szacunku i zachwytu, ale mężczyzna się roześmiał i powiedział: „Nie jestem duży, no cóż. Ale kiedyś

pani zrozumie, że wzrost nie jest do szczęścia potrzebny!"

No i jak tu sobie ze wszystkim poradzić, rozpaczała Masza, z tymi nietuzinkowymi genami... i z przeklętym rodowodem...?

A Szura przeciwnie, rozprostowała plecy, jakby się uwolniła od ciężaru. Mówiła teraz chętniej, coraz bardziej się ożywiając:

- I co to, myślę, za rodzina, która sierotkę zostawia na pastwę losu, jak to się mówi! Do chrztanu z taką rodziną! Nawet na pogrzeb nie przyjechali. A czort z nimi, pomyślałam. Sami se urządziliśmy stypę, w kawalerce Rity, tu obok, na naszej klatce schodowej. Wszystko jak trza: lustra zasłoniłam³⁷, stół nakryłam, galaretkę z nówek przygotowałam, pieróg z kapustą upiekłam. Po pogrzebie wpadliśmy tu, wypiliśmy, popłakałyśmy z jej koleżankami, pieśni pośpiewałyśmy... Dobrześmy posiedziały. No a później... co robić? Wzięłam dziewczynkę do siebie, póki sprawa się nie wyjaśni. Gdzie miałam ją dać? Spała razem ze mną, o tu, przy ścianie. Budzę się ja w nocy, czuję... nie ma jej! Zaczęłam nasłuchiwać, ale nic, wszędzie cisza, i w ubikacji, i w kuchni! Jezus Maria, gdzie diabli dziecko porwali?! Zerwałam się, patrzę: drzwi wejściowe otwarte, na klatce światło się pali, w ichniej kawalerce - też. No to wybiegłam na paluszkach z mieszkania, boso... a serce wali...! Zajrzałam do nich i mało ze strachu nie oszalałam: dziecko stoi na stołku przed lustrem, taka kruszynka, sama skóra i kości... Zrzuciła czarną chustę na podłogę i tak uważnie patrzy, jakby do środka zaglądała... Jakby nasłuchiwała kogoś... tam, w środku. Och, siła diabelska...! A twarzyczkę miała taką radosną, jasną, jakiej nigdy u dzieci nie widziałam... Przesuwa paluszką lewej ręki po lustrze, jakby człowieka malowała, i głaszcze kogoś, głaszcze... To ja cicho tak, delikatnie, by nie wystraszyć - żeby jąkała nie została - wołam do niej: „A-anu-u... Aniu-ut-ko-o-o... Kogoś tam wypatrzyła?”. A ta nawet się nie obejrzała i spokojnie odpowiada: „Mamę...”. Mówię o tym tera i aż mróz mi po plecach przechodzi!

I wtedy Masza przypomniała sobie, jak Anatolij po raz pierwszy wnosił na drugie piętro lekką niczym piórko dziewczynkę. Jak otworzyli drzwi, weszli do mieszkania, a uradowana Polina biegła, pstrykając po drodze wyłącznikami i zapalając wszędzie światła w nadciągającym zmroku. Czeski żyrandol Śnieżek, odbijający się w wysokim starym lustrze, jeszcze bardziej rozświetlił przedpokój.

Apatyczna twarzyczka dziecka nagle się ożywiła, pojaśniła. I dziewczynka wyszeptała z zachwytem, jakby ujrzała coś niezwykłego:

- Lu-u-ust-ro...

A Szura nie mogła się już zatrzymać. Wreszcie zrzuciła z siebie ciężar, który

³⁷ Zasłanianie lustra, kiedy w domu znajduje się nieboszczyk, to stary rosyjski zwyczaj.

przygniatał ją przez ostatnie dwa lata, i teraz jak najszybciej musiała się wygadać, ulżyć sobie. Pragnęła, by Masza zrozumiała ją i... pogodziła się z losem.

- I właśnie wtedy, wybac mi, Mario, twardo postanowiłam, że jej nie wezmę - mówiła gorączkowo. - Chciałam trzymać się od grzechu jak najdalej. Kim ona jest, co takiego w tych lustrach widzi...? Babka moja była wrózką we wsi Oster, dużo ludzi do niej chodziło. Nawet z Czernihowa przyjeżdżali. Otóż mówiła mi: jak zobaczysz, że człowiek lewą ręką je czy się żegna, uciekaj i nie oglądaj się. To nie dzieło boże, tylko diabelskie sztuczki. To jego, leworękiego, pomiot...

Zerknęła na zmieszaną Maszę i urwała. Ugryzła się w język...

A po dłuższej przerwie dodała:

- Od tej pory dziewczynka przestała jeść. Coraz słabsza się robiła... Jakby Rita ciągnęła ją za sobą. Już byłam przekonana, że odejdzie za nią. Załatwiłam jej miejsce na letnisku, żeby przynajmniej wśród ludzi umarła, żeby tego piętna na mnie nie było... Ale sama wiesz, jak wyszło. Widocznie na razie musi tu zostać. Tego nigdy nie można przewidzieć: z jakich powodów jeden ma odejść, a drugi do starości ciągnąć... Widać taki twój los...

Zamilkła, zastanawiając się, co by jeszcze powiedzieć na pocieszenie tej nieszczęsnej kobiecie, która siedziała pogrążona w ciężkim milczeniu, wpatrując się w niepotrzebnie - bo teraz zeschnie - pokrojone ciasto.

Żeby tak zdążyć jeszcze mielonych nasmażyć w tym całym zamieszaniu.

Szura wytarła dłonie o fartuch, westchnęła i dodała surowo, choć ze współczuciem:

- Tera wygląda na to, że ty musisz ten krzyż nieść!

Część druga

Dostałem od niego mnóstwo listów. Jak przyjemnie widzieć je w lustrze...! Pewnego razu w jednej z galerii Wersalu udało mi się pokazać je panu markizowi de Marini. A on bez wysiłku przebiegł oczami kilka wierszy i powiedział: - To jest napisane lewą ręką, i to dobrze napisane.

- I dobrze przeczytane - odpowiedziałem.

Henri Duchenne, *O uczniach oburęcznych*

...Wychowywałem się na pograniczu Europy i Azji.

Miasto Gurjew, moje dziecko, leży nad rzeką Ural i znane jest dzięki bohaterskiej śmierci Czapaja. Oto krótka notka geograficzna z czasów mojego dzieciństwa. Gurjew był miastem obwodowym w Kazachskiej Socjalistycznej Republice Radzieckiej. Znajduje się tam Nizina Nadkaspijska, a na niej półwysep Mangyszłak, ropa, gaz i inne dary przyrody. Dlatego w Gurjewie, który w przeszłości był miastem kupieckim, kozackim i rybackim, a więc porządnie przez bolszewików przetrzepanym, roiło się od przyjezdnych speców, takich jak mój ojciec.

Od razu po wojnie wywiózł nas z dostatniej Żmerynki, czego mu mój dziadek nie mógł wybaczyć, nawet po jego śmierci w tajemniczych okolicznościach.

Ciało ojca z trzema ranami kłutymi w klatce piersiowej i boku wyłowili z rzeki Ural rybacy. Miałem wtedy pięć lat i za cholere nic z tego nie pamiętam, ale w wyniku owego incydentu moja współczująca nauczycielka nie wymagała ode mnie, bym uczył się na pamięć wiersza: „Do chaty wbiegły dzieci, wołając co starczy siły: Tato, tato, nasze sieci umarłaka wyłowiły...”³⁸.

A mama nawet po tym wszystkim odmówiła powrotu na Ukrainę, twierdząc, że nie może „zostawić grobu Saszy”, chociaż miesiącami go nie odwiedzała i „grób Saszy” wyglądał wyjątkowo ponuro, jak zresztą i inne mogiły.

Otóż specjaliści, zesłani oraz ci, co uciekli przed władzą radziecką z własnej nieprzymuszonej woli do zapadłej dziury... Bo Gurjew to nie żaden kurort, tylko właśnie taka zapadła dziura. Stepy byłego chanatu nogajskiego - glina, kamienie i sitowie... Klimat ostry - latem do plus pięćdziesięciu, w zimie do minus czterdziestu stopni. Śnieg był tu zjawiskiem rzadkim. I zimą, i latem w powietrzu unosił się piasek...

Architektura Gurjewa też nie porażała przyjezdnego turysty: na głównej ulicy, oczywiście Lenina, wznosiły się dziwne radzieckie budowle, później na obrzeżach wyrosły bloki potworki - *chruszczoby*³⁹... A kiedy nadciągały deszcze, przed wejściem do każdego urzędu wystawiano spawane ze stalowych listew ogromne koryta napelnione mętną wodą. Sterczały w nich drewniane kije z przymocowanymi kawałkami rogoży. Obywatelom-towarzyszom proponowano przed wejściem opłukiwanie obuwia. Obrazek w stylu socartu: tu, powiedzmy, *gorkom* partii⁴⁰, a przed nim kolejka solidnie wyglądających wujków, którzy

38 Aleksander Puszkina, *Topielec* (przeł. Włodzimierz Słobodnik).

39 *Chruszczoby* (ros.) - niewysokie bloki mieszkalne z cegły, budowane w czasach Chruszczowa.

40 *Gorkom* partii (*gorodskoj komitet partii*; ros.) - miejski komitet partii.

splukują glinę z kaloszy. I do kina też trzeba było przychodzić odpowiednio wcześniej. Krótko mówiąc, tłusta lepka glina kazachskich stepów umilała nam życie przez długie miesiące.

Ale my mieszkaliśmy w Żyłgorodku - co dla zwykłych śmiertelników było niczym Londyn, Paryż, Konstantynopol i Bóg jeden wie co jeszcze. To osiedle dla kierownictwa budowali niemieccy jeńcy. Domy były piętrowe, z kamienia, z tarasami, witrażami w oknach, kolumnami, balaskami i innymi architektonicznymi ozdóbkami w barokowym stylu. Wszystkie pomalowane na biało i otoczone alejami, na których rosły wiązy... Jednym słowem, prawdziwy Bagdad.

Mieścił się nasz Żyłgorodok tuż nad brzegiem Uralu, przy ogromnym parku - założonym przez tych samych Niemców - który przyciągał z racji tego, że odbywały się w nim tańce, imprezy i letnie turnieje warcabowe w cieniu rozłożystych drzew.

Ale główną rozrywką mojego wczesnego dzieciństwa były komary, a dokładniej: zaciekle walka z nimi. Komary niszczone za pomocą specjalnego urządzenia podobnego do cysterny z mlekiem, tylko że zamiast mleka wydobywały się z niej kłęby trującego żółtego dymu. Biegliśmy za tą cysterną, która jechała bardzo powoli, i robiliśmy zakłady, kto dłużej wytrzyma w oparach potwornego smrodu... Ja i Gienka Sołodow, który teraz jest mnichem w Walaamskim klasztorze (ze względu na surową regułę nazywanym Północnym Athosem), wytrzymywaliśmy dłużej od innych.

Ale przecież chciałem opowiedzieć ci o Europie i Azji.

Otóż most przez rzekę Ural był na początku tymczasowy, pontonowy - z trudem mijaly się na nim dwie ciężarówki; później wybudowano prawdziwy. A na nim dokładnie pośrodku była przymocowana drewniana tablica w kształcie rombu przedzielona pionową czerwoną kreską. Na jednej połowie widniał napis: „Europa” ze strzałką w odpowiednim kierunku. Na drugiej: „Azja”, też ze strzałką dla takich leniwych uczniów jak ja.

Nie idźcie, dzieci, do Azji. I oto dwa razy w tygodniu przemieszczałem się autobusem z Azji do Europy i z powrotem.

W Europie znajdowała się szkoła muzyczna, gdzie wiecznie pijany Nikołaj Kuźmicz uczył mnie gry na fagocie.

Miał problemy z oddychaniem i płuca czarne od palenia papierosów, i kiedy z obramowanej kością słoniową tuby dobywał się kolejny kiks, Nikołaj Kuźmicz uśmiechał się zmieszany, wdychał i mówił: „Ech! Kiedyś dmuchałem - wióry leciały! A teraz nawet śnieg nie topnieje...”.

Podejrzewam, że niegdyś prowadził inne życie, bardziej odpowiednie dla człowieka

wykształconego; w każdym razie pierwsze informacje na temat historii instrumentów dętych, jeśli nie liczyć chaotycznych lekcji dziadka, otrzymałem właśnie od tego człowieka z trzęsącymi się rękami.

Obaj długo przesiadywaliśmy po zajęciach. Wpisywał mnie do planu jako ostatniego, na siódmą trzydzieści, i prowadził lekcje w pokoju nauczycielskim - w szkole stale brakowało wolnych sal. A potem obowiązkowo trzeba było napić się z nim herbaty.

- Wyobraź sobie, chłopcze, naszego włochatego przodka - mówił Nikołaj Kuźmicz, wprawnym ruchem starego kawalera podwijając wystrzępione brzegi rękawa swojej koszuli.

- Jaskiniowiec, a też go ciągnęło do sztuki wysokiej! Zmajstrował z drewna rurkę, dmuchnął, zdziwił się, przewiercił otwór... Wstawił piszczałkę do drewnianego stożka i, proszę bardzo!, pojawił się przodek oboju...

Ostrożnie wyciągał grzałkę ze środka bulgoczącego wulkanu, w kąpiel mocnej herbaty wrzucał dwa-trzy kawałki żółtego łupanego cukru i zapraszającym gestem przesuwając w moją stronę szklankę w metalowym koszyczku z napisem „Kolej kurska”.

- ...Fagot zaś pochodzi od włoskiego słowa *il fagotto*, co znaczy, proszę mi wybaczyć, „wiązka drewna”. Jest oczywiście trochę młodszy, ale też zalicza się do najstarszych instrumentów dętych, tak samo jak obój. Ma najniższe brzmienie w grupie dętych drewnianych, nie licząc kontrfagotu, ale to już jest zupełnie drewno...

Lekkim delikatnym ruchem rąk odrzucał jak kołderkę szeroki kawałek wytartego zamszu i czule, niczym ukochane dziecko z kołyski, wyjmował z otwartego futerału instrument, nigdy nie omieszkawszy przypomnieć: „Kopia Jakuba Dennera!”. I byłem świadkiem, jak wiśniowy fagot - jeszcze milczący! - budził się po dotknięciu jego *rąk*.

- W każdej grupie instrumentów istnieje podstawa. Tak jak w życiu: trzeba się na czymś oprzeć. Dla instrumentów miedzianych jest to puzon basowy z kwartwentylem albo tuba. Widziałeś, jak idzie orkiestra wojskowa i z tyłu niesie takie ogromne błyszczące straszdyło? To helikon, tuba w wariacie marszowym. W grupie perkusyjnej rolę basu pełnią kotły, duży bęben się nie liczy, ma nieokreślone górne tony... Grupę smyczkowych prowadzi wiolonczela z kontrabasem. A grupę dętych drewnianych - fagot. Spytasz, czemu nie klarnet? Przecież spokojnie może przekrzyczeć fagot! A więc ci powiem: dlatego że fagot to bas, ma najniższą tessiturę...

Tak długo żyję, a nigdy nie widziałem bardziej czułego, miłosnego ruchu warg niż ten, jakim Nikołaj Kuźmicz przykładał usta do swego instrumentu. I fagot rozpoczynał przedziwny monolog. W tym ściskającym serce „głosie znikąd” słychać było nienarzucający się czar smutku, nieuchwytnie zatracenie, wspomnienie przeszłości.

- Jak wspaniale brzmi linia dwa staccata, dwa legata. Słyszysz? Staccato wyraźne, a legato liryczne, szlachetne... A teraz powiem ci coś obrazoburczego. Duszę fagotu pojęli tylko romantycy. W ich muzyce klarnet pyta albo stwierdza. A kto odpowiada? Zawsze odpowiada fagot. I w pierwszej oktawie, posłuchaj!, osiąga taką tenorową wyrazistość, aż płakać się chce... - I odejmując stroik od ust, dopowiadał: - Fagot, chłopcze, to instrument melancholijny...!

Znalazłem się tam przypadkowo, w czasie ferii wiosennych. Wałęsałem się samotnie po ulicach, tęskniąc za dziadkiem, który zmarł w lutym pięćdziesiątego trzeciego, nie doczekawszy parszywej śmierci Wielkiego Ojca Narodu. Nie było cię jeszcze na świecie, maleńka.

Wtedy zresztą wcale tak nie myślałem; byłem tylko trzynastoletnim zaniedbanym chłopcem i po prostu oplakiwałem dziadka.

Chyba ci już opowiadałem, co to był za człowiek... Urodził się w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym roku i doświadczył wszystkich okropieństw dwudziestego wieku. Był najlepszym zegarmistrzem w obwodzie Winnickim i całe życie spędził w Żmerynce, chociaż to jeszcze o niczym nie świadczy. Obdarzony niezwykle głębokim, oryginalnym umysłem, miał stronniczy stosunek do ludzi - żywił albo wyraźną sympatię, albo antypatię; posiadał bogate wnętrze; gorzko ironizował z byle powodu, wyczulony na absurdy życia. Miał w sobie coś z Celine'a...

A poza tym łączyła go silna więź z folklorem, różnymi ukraińskimi powiedzonkami typu: *Za kompaniju ta j żyd powisylsia*⁴¹.

Kiedy miał dość sprzeczek ze mną, rzucał ostro: *Abo graj, abo groszy wiertaj*⁴². A najbardziej lubił powtarzać: *Abo pułkownik, abo pokijnik*⁴³.

W ciągu życia dziadek zgromadził wspaniałą księgozbiór; był namiętnie, jak prawdziwy koneser, przywiązany do muzyki klasycznej (dęte przedkładał nad smyczkowe) i posługiwał się pięknym językiem rosyjskim. I to w Żmerynce! I to biorąc pod uwagę fakt, że nawet nie skończył pobierania nauk w chederze, zmuszony rzucić szkołę, bo nie układało mu się z mełamedem, który bił go za zadawanie pytań.

Później już nie zaprzętał sobie głowy książkową mądrością, korzystając z gotowych formułek. Poza tym miał na utrzymaniu młodsze siostry. Jednym słowem, był to bardzo kulturalny człowiek po trzech klasach chederu, przepełniony taką wewnętrzną niezależnością, jakiej już nigdy u nikogo nie widziałem - prócz ciebie, moje dziecko.

41 (Ukr.) - Dla towarzystwa Żyd się powiesił.

42 (Ukr.) - Albo grasz, albo zwracasz pieniądze.

43 (Ukr.) - Albo pułkownik, albo nieboszczyk.

Otóż dziadek zmarł nagle, przed kolejnym wyjazdem do Gurjewa, tuż po przybyciu ze wszystkimi swoimi pudłami i tobołami do Kijowa, gdzie zwykle przesiadał się na pociąg do Kazachstanu - każdej wiosny do nas przyjeżdżał, by „dożyć swoje kazachskie zdechlaki”. Przywoził plastry miodu od przyjaciela pszczelarza i pyszne ukraińskie jabłka.

I przy tych tobołach zmarł w mieszkaniu komunalnym, u swojej dawnej przyjaciółki, już gotowy do podróży - w kozuchu i w słynnych kozakach, zdjętych z zabitego włoskiego żołnierza. Opowiem ci kiedyś historię tych kozaków. Tego trzeba słuchać na żywo.

Załamany po jego śmierci ulotniłem się na trzy tygodnie ze szkoły - zupełnie jak on kiedyś - no a potem przyszły ferie wiosenne. Wąsaty⁴⁴ zdechł, a kraj się zatrząsł, plując krwią i sącząc ropę swojej nieszczęsnej przeszłości... Ale już nie miałem przy sobie dziadka.

Zmarłem jak pies. I wtedy natknąłem się na ceglany barak z otwartymi drzwiami. Wszedłem więc do środka, żeby się ogrzać. Na korytarzach było ciemno i wilgotno, ale drzwi z napisem „Pokój nauczycielski” zostawiono uchylone. Przez żółtą szczelinę sączyło się elektryczne światło, dobiegał szum gotującej się wody, czuć było dym z papierosów i boski zapach, którego nie da się pomylić z żadnym innym - dokądkolwiek los by mnie rzucił, wszędzie go będę pamiętał.

A ty, moje dziecko, lubisz „pomazaj”? Chciałem zapytać, czy lubisz „pomazaj” tak, jak ja go lubię...

Chociaż możesz nie wiedzieć, co to jest. Więc ci wyjaśnię. Przychodzisz w gości, powiedzmy, do Gienki Sołodowa. Czym cię częstuje? Zgadłaś, smażonymi ziemniakami. Czasem okraszonymi cebulką, kiełbaską czy słoninką. I razem zjadacie to w ciągu minuty, prosto z patelni, oczywiście. A na dnie przywarły chrupiące resztki, cebulka, mięsko... I wszystko już stamtąd wyskrobałaś, została tylko mętnożłocista kałuża oleju. Wtedy od skórki chleba odrywasz kawałeczki, kruszysz je, przyciskasz widelcem czy palcami, żeby nasiąkły olejem... To właśnie jest ów „pomazaj”.

Zapukałem i wszedłem. I rzeczywiście, przy stole siedział nieogolony facet i wyjadał z patelni smażone ziemniaki. Na płytce elektrycznej popielatymi strużkami dopalała się metalowa spirala. Facet na chwilę uniósł głowę, skinął do mnie i powiedział:

- Przyłącz się, chłopcze!

Tak się zaczęła moja muzyczna kariera - od wspólnego „pomazaja”. Próbował też poczęstować mnie wódeczką, ale w tamtych czasach nie byłem jeszcze amatorem tego trunku.

Potem wskazał głową w stronę sprytnie zakręconej trąbki, połyskującej na sąsiednim stoliku, i zapytał:

44 Stalin.

- Lubisz muzykę?

Był już porządnie wstawiony. Taka rozmowa typu: „Lubisz muzykę? Nie, jasnie panie, niepijący jestem...”.

- Powiedzmy, że lubię - odparłem.

- Jesteś Żydem, chłopcze? - zadał kolejne pytanie.

- No, jestem - przyznałem. Tak właściwie byłem tylko pół-Żydem, ale nigdy się nie wypierałem swojego pochodzenia, ze względu na dziadka.

- No to - stwierdził - ucz się gry na fagocie.

- Dlaczego na fagocie? - zdziwiłem się.

I wtedy Nikołaj Kuźmicz w przystępny sposób wytłumaczył mi, że jeśli chodzi o fortepian czy skrzypce, to tu od Żydów aż się roi. Ale fagotu jak dotąd nie opanowali. W każdym razie, nie w szkole muzycznej miasta Gurjew. A szkoda, bo w duszy tego narodu kryje się dźwięczna tęsknota, absolutnie niezbędna do wydobywania z fagotu prawdziwej muzyki. „Ponieważ prawdziwa muzyka, chłopcze, to prawdziwa tęsknota. Zwłaszcza kiedy chodzi o fagot, bo on śpiewa tylko o tym, co było i już nie wróci. Zaraz ci to zademonstruję”.

Krótko mówiąc, miałem wtedy szczęście, bo inne instrumenty, normalne i znajome, jak choćby fortepian, na czas ferii były niedostępne, a jedyny szkolny stary fagot z zacinającymi się przyciskami Nikołaj Kuźmicz właśnie kończył naprawiać.

Nie wiem, czy to „pomazaj” dodał mu sił, czy wódeczka go rozgrzała, ale w chwili gdy wziął fagot i przystawił go do swoich pulchnych ust z zarostem nad górną wargą, i w pokoju nauczycielskim rozbrzmiał jego powolny, zgorzkniały, głęboki, przytłumiony głos, zostałem przez niego zniewolony raz na zawsze, do końca swoich dni, ja - stary drewniany dęty z orkiestry.

Wtedy też, nad patelnią wytartą skórkami chleba, otrzymałem, nie wstając ze stołka, pierwszą lekcję budowy instrumentu.

- Zapamiętaj, chłopcze, i później się nie skarż, że obrywasz ode mnie bez powodu: to jest „kozak”, a to „kolano”; trzy klapki na skrzydle i dwa na „kozaku”. Ten oto sznurek przyczepia się do balansu i zakłada na szyję, i wtedy prawa ręka jest wolna... Aha, i najważniejsze: wygięta metalowa rurka, o ta, nazywa się „es”. Wsuwa się w nią rozdwojoną trzcinkę. A robią ją tak: strugają dwa płatki z sitowia, żłobią i szlifują wewnętrzną stronę, ścinają, zginają w pół... owijają drutem i wstawiają w korek. I tę oto piszczałkę będziesz trzymał w ustach przez całe swoje życie... Zwróć uwagę na szlachetną budowę tego starego instrumentu: jak tuba barwy kości słoniowej pięknie harmonizuje z wiśniowym kolorem korpusu... Fagot jest arystokratyczny niczym hrabia de Saint-Germain. Robią go z

wysokogórskiego bośniackiego klonu żółtego, a potem malują wiśniową farbą i lakierują. Skoki temperatury i wilgoć to nasi odwieczni wrogowie. Dlatego instrument pokrywa się specjalną bejcą. Jest to stara metoda zabezpieczania drewna... Weźmy naszego klasyka Gribojedowa. Pisał o fagocie, że jest zachrypniętym wisielcem. Klasyk wyraźnie się zagalopował, chłopcze. Fagot, oczywiście, nie przekrzyczy orkiestry jak obój czy klarnet. Ale z resztą instrumentów ze swojej grupy współgra idealnie niczym wieloletni małżonek. Weźmy chociażby *Damę pikową* Czajkowskiego. Uwertura. Fagot z klarnetem prowadzą temat przez oktawę. Jaka harmonia tembrów! Ciarki po plecach przechodzą! Posłuchaj...

Instrument rozbrzmiał przeciągle, przymilnie i posępnie; za oknem prószył niespodziewany marcowy śnieg, po czym nagle sypnął dużymi świątecznymi płatkami.

W pokoju nauczycielskim palił się półokrągły piec, pomalowany na srebrno i przepasany stalowym odbłyskiem światła padającego z latarni na dworze.

Fagot coś smutno i dobitnie tłumaczył ukochanym głosem dziadka, którego bezskutecznie szukałem wszędzie, a znalazłem tu, w ceglanym baraku szkoły muzycznej.

Spocilem się z gorąca, zdenerwowania i rozpierającego mnie uczucia, ale nie odważyłem się zdjąć swetra. Miałem na sobie spodnie dziadka, podciągnięte pod same pachy i przewiązane jego starym krawatem.

Chyba znów cię zanudzam swoim nieszczęsnym dzieciństwem w Gurjewie - Bóg z nim. Wszystko to jest już takie dalekie.

A blisko, bardzo blisko, znajduje się pewne winiarskie miasteczko, do którego trafiłem całkiem przypadkowo i teraz chciałbym cię tam zabrać. Z okna mojego pokoju widać szarą jak mokry asfalt wstęgę Renu, pośrodku którego ciągnie się, niczym lisi ogon, długa wysepka porośnięta bujną roślinnością.

Chyba już ci pisałem, że mam w październiku występy we Frankfurcie - z chórem chłopięcym z Wiesbaden. Karl Berenger, kierownik chóru, spisał się świetnie: wszystko zorganizował. Zawsze jestem tak bardzo wdzięczny za odrobinę luksusu i wygody, nawet jeśli mi się należą! To przez moje „gurjewskie plebejuszostwo”, jak mówiła mama. A tu, na dodatek, Karl zaplanował mi dwa dni wolnego! Dwa rajskie wolne dni, o których marzyłem z tęsknotą, myśląc o tobie. Ale nic już nie mówię. Rozumiem, kontrakt to kontrakt, a chicagowski Auditorium Theatre nie jest firmą, którą można zlekceważyć... Przyzwyczailem się już do tego, że te twoje przekłete zwierciadła kradną mi ciebie. Jednym słowem, zostałem sam. I nie wiem czemu, zachciało mi się wyjechać gdzie oczy poniosą.

Margarita, administrator chóru, poradziła mi, bym zwiedził Rüdesheim, ojczyznę reńskiego winiarstwa. To niedaleko Frankfurtu... Wziąłem samochód i pojechałem.

Wiesz, jak wyglądają Niemcy w październiku, w słoneczny dzień: niebieskie sklepienie unosi się wysoko nad głową, a rzeźbione gęste obłoki wyglądają tak, jakby ktoś z ogromnej tuby szczodrze wycisnął białą farbę na granatową paletę; przepełnione niesamowitą łagodnością piękno malowniczego Renu z jego stromymi brzegami porośniętymi winoroślą, wieże i wieżyczki zamków na czerwonożółtych zboczach, odbłask słońca na czarnym antracycie wysokich dachów i kogucikach kościelnych iglic.

Zatraciłem się w tym pięknie. Jechałem i jechałem wśród oślepiająco żółtych połąci kwitnącego rzepaku, wzdłuż ciągnącego się aż po horyzont pola. Pośrodku, niczym ogromny karabin, kręcił się zraszacz, który wystrzeliwał do góry mgiełkę wody. Minąłem właściwy zakręt, zawróciłem i z nie mniejszą przyjemnością przez prawie dwadzieścia minut jechałem z powrotem, a pole, winnice i zraszacz miałem teraz po lewej stronie.

Krótko mówiąc, przyjechałem, zostawiłem samochód na parkingu i błądziłem uliczkami, zaglądając do pensjonatów i przytulnych hoteli. Uczciwie starałem się wybrać najtańszy, ale jak zwykle podobały mi się najdroższe. Niestety, mama miała rację, moje „gurjewskie plebejuszostwo” zawsze bierze górę nad głosem rozsądku.

Mama miała rację i dlatego leży na cmentarzu w Gurjewie. Trudno sobie wyobrazić bardziej ponure miejsce. Jest to ogromna połać typowo kazachskiej gleby: szarej i wyschniętej gliny poprzecinanej głębokimi pęknięciami, bez śladu drzewka, krzaczka czy choćby trawy. Jednym słowem: *takyr*.

Wszystkie metalowe ogrodzenia, krzyże i piramidki na grobach są pomalowane srebrną farbą, w którą wżera się pył. Pamiętam rozgrabioną sypiącą się kapliczkę z wybitą połówką drzwi, obszarpane ściany z widocznymi prostokątami w miejscach, gdzie niegdyś wisiały ikony. I jak okiem sięgnąć - wysepki grobów, krzywe ścieżki, metalowe ozdóbki z gwiazdami. Ile ich jest, moje dziecko, ile jest tych przeklętych miejsc na ziemi...

Ale starczy już tego narzekania. Pomówmy o czymś przyjemniejszym.

Błądziłem po wesołym górzystym miasteczku, między domami z pruskiego muru, w poszukiwaniu taniego pensjonatu, a moje lubieżne oczy cały czas zezowały w stronę wieży starego zamku Rüdesheim, nieprzyzwoicie drogiego.

No i oczywiście, w końcu właśnie tam wynająłem pokój, w którym chciałbym cię przytulić. Zaraz ci go dokładnie opiszę.

Nasz hotel mieści się w dawnym zamku i należy do rodziny Breuer, posiadającej też okoliczne winnice, winiarnie i niezliczoną ilość sklepików z winem. Oni dosłownie kąpią się w winie, cała ta rodzinka, szczodrze je rozlewając wszędzie i wszystkim, jak to się zdarza tylko w przypadku wyrobów własnej produkcji.

Kiedy sprzątano pokój, w którym miałem się ulokować, posadzono mnie w fotelu w przepięknym holu i dziewczyna w ludowym stroju - szara spódnica z ręcznie tkanego materiału, mocno ściągnięty koronkowym gorsetem biust, bufiaste rękawy - przyniosła kieliszek cierpkiego rieslingu, który od razu uderzył mi do głowy.

Szybko wyobraziłem sobie, jak lekko się popisując, siedzisz na moim lewym kolanie - ściągając ze starego hulaki Rembrandta z jego przepiękną Saskią; moja lewa dłoń stęskniła się za twoim biodrem! - i oboje na zmianę popijamy z kieliszka. Uciechy porzuconego starca. Jeśli wkrótce się nie zobaczymy, całkiem uschnę.

W recepcji, wspaniale wyposażonej w najnowocześniejszą elektronikę, siedziała opalona Niemka, błyskając białymi zębami i dużymi sztucznymi perłami - które świetnie ze sobą współgrały! Na moje pytanie, kiedy mam zapłacić za pokój, tylko machnęła ręką i rzuciła: „Kiedy pan zechce!”.

W książce meldunkowej nie było miejsca na dane z paszportu. Powiedziałem o tym recepcjonistce. „A po co mi pański paszport?”, odparła wesoło.

I wszystko - bezszelestna winda, światło automatycznie zapalające się na korytarzach i towarzyszące gościom, wygodny pokój odpowiedniej wielkości, dopasowany niczym rękawiczka na dłoni, ogromna łazienka z różnymi przyjemnymi udogodnieniami i podłogą w biało-czarną szachownicę jak na obrazach małych mistrzów holenderskich; taki sam wzór ozdobił zasłony na łukowatym oknie głęboko osadzonym w ścianie; lustra: od wysokiego, naprzeciwko drzwi, do okrągłego, powiększającego w łazience, ukazującego zdziwione oko przypominające włochatą meduzę - wszystko było dokładnie takie, jak to sobie wyobrażałem w swoich marzeniach o „małym miasteczku, przystanku w drodze”.

Natychmiast się rozebrałem, napuściłem wody do wanny i długo się unosiłem i zanurzałem w puszystej pianie, trzymając się za poręcze po bokach. Wypelźłem rozgrzany i jęczący z tęsknoty za tobą. Wytarłem się do czerwoności i zapadłem w obszerną śnieżnobiałą pościel, przeznaczoną dla nas obojga. I spałem przez trzy godziny, nie słysząc muzyki z restauracji na dole, dzwonów kościelnych ani głośniego śpiewu turystów...

Krótko mówiąc, spędziłem dwa cudowne dni w samotności, przepelniony myślami o tobie.

Kilka razy przypomniła mi się twoja harmonijka ustna - ta, którą po brzegach zdobią dwie kiczowate ślicznotki w zmętniałych emaliowanych owalnych ramkach. Obudziłem się w nocy... Miałem taki realistyczny sen: z całych sił dmuchałaś w harmonijkę, fałszując *Lili Marlene*. Może dlatego mi się to przyśniło, bo kręci się tu kataryniarz z białym bolończykiem, przez swoją zachrypniętą katarynkę energicznie przepuszczający nadzieję w postaci mocno

zmienionej, ale ciągle nieśmiertelnej *Lili Marlene*.

Nawiasem mówiąc, mój dziadek dość często nucił ją podczas pracy. Pamiętam ten jego kartonowy kieliszek w oku, lekki stukot zegarmistrzowskich narzędzi i podśpiewywanie, w idealnej tonacji. Niemieckiego dziadek nie znał, ale znał oczywiście jidysz. Obawiam się, że robił to po swojemu i że frycom jego wykonanie raczej by się nie spodobało.

Pół dnia łąziłem za kataryniarzem, po rosyjsku nucąc to, co pamiętałem z przekładu Brodskiego, a czego dziadek, niestety, nie znał: „Obok ko-szar, w świetle la-tar-ni, krążą pa-ra-mi li-i-ście we wrześ-niu... (Mój Boże, jak rozczulający jest ten kudłaty bolończyk - niczym zwiędły aster na ulicy - aż serce się kroi z żalu!). Ach, jak daw-no pod tą ścia-ną sta-łem, sta-łem i na cie-bie czekałem, Li-li Mar-lene...”.

Ale muszę ci opisać nasze schronienie.

Na korytarzu, przed drzwiami do pokoju, wiszą drewniane głowy. Mają na czubkach półeczki, na których aż chce się postawić butelkę.

Każda głowa coś symbolizuje, prawdopodobnie typ charakteru. Pod czterema jest nawet podpowiedź: z przodu półeczek, na poziomie czoła, wyrzeźbione są napisy. *Optimist* - okrągłe policzki, usta rozciągnięte w niemy zachwycie i przymrużone oczka idioty; *Pessimist* - smętnie uniesione brwi, bruzdy wokół ust wykrzywionych w podkówkę, haczykowany drewniany nos. Tuż za nim *Stoiker* - absolutnie tępa morda, i *Choleriker* - modelem był chyba nieszczęśnik cierpiący na hemoroidy w fazie obostrzenia; oczy wysoko uniesione, usta rozdziawione... no po prostu szkoda chłopaka. Jest jeszcze twarz wyraźnie kobieca, okrągła i uśmiechnięta - to prawdopodobnie sangwinik - i szczerząca zęby starcza maska. Hipochondryk? Mizantrop? A może przyplątała się średniowieczna wiedźma, już skazana na stos? Widzę też w kącie jakąś babską fizjonomię z pożądlivym uśmiechem. Puszczam do niej oko, kiedy przekręcam klucz w zamku.

Dzwony i dzwoneczki na porośniętej bluszczem czworokątnej wieży zamku mają dźwięk nie metaliczny, ale raczej szklany, lekko brzęczący, zwłaszcza w południe, kiedy melodia jakiejś ludowej piosenki, długo rozbrzmiewającej nad miasteczkiem, w trakcie refrenu unosi się wysoko do góry i tam zamiera.

Na wieży widnieje chorągiewka - beczka do wina pomalowana na złoty kolor. Na beczce - upierzona strzała. Na strzale - sójka.

W hotelowej restauracji muzyka gra nawet w ciągu dnia. W południe kelnerzy otwierają wysokie szklane drzwi na patio oplecione winoroślą, szybko ustawiają stoły i krzesła, kładą obrusy, machając nimi jak skrzydłami. Fortepian rozbrzmiewa beztroskimi mazurkami i walcami. A wieczorem dołączają flet i skrzypce.

Cały hotel jest swojsko obwieszony zdjęciami winiarzy z rodziny Breuer - o wszystkich porach roku i w różnych ujęciach. Wiadomo, że dla właścicieli nie ma nic piękniejszego. Winnice, winnice we wszystkich postaciach; wysokie reńskie brzegi, jakby uczesane gigantycznym grzebieniem - delikatna zieleń w maju, płomienna czerwień we wrześniu. Czarna grafika nagich winorośli, hieroglify gałęzi w zimie na tle zaśnieżonego zbocza.

W czasie spaceru natknąłem się na zamek z piętnastego wieku. Jak się okazało, jest w nim muzeum mechanicznych instrumentów muzycznych z prywatnej kolekcji, którą pięćdziesiąt lat temu zgromadził entuzjasta amator, sądząc po zbiorach, wcale nie biedny.

Właściwie to tylko zajrzałem na dziedziniec, ale kiedy zobaczyłem tam grupę rosyjskich turystów z tłumaczem, ucieszyłem się z okazji i cichutko do nich dołączyłem.

Zamek jest wspaniały: autentyczne, wyblakłe malowidła na ścianach, wyszczerbione płyty posadzki, niskie piwniczne sklepienia. I właśnie tam rozpoczęło się zwiedzanie.

Było zaplanowane z niemiecką dokładnością, co do najmniejszego szczegółu. Oprowadzał młody przewodnik z przyjazną twarzą romantyka, jasnymi niebieskimi oczami, dobrym uśmiechem, rzadkimi rudawymi wąsikami i bródką, które prawdopodobnie zapuścił, by dostosować się do stylu całej kolekcji. Był też odpowiednio do tego ubrany: w surdut z łatami na łokciach, spraną koszulę i zatłuszczone na kolanach spodnie. Na głowie miał stary kapelusz kataryniarza.

Przechodził od jednej pianoli do drugiej, od katarynki z osiemnastego wieku do wybijającego melodyjki stojącego zegara, od muzycznych szkatulek różnych kształtów i rozmiarów do pomalowanego we wzory grającego krzesła (wystarczyło na nim usiąść), od mechanicznego pianina do gigantycznej wioli, i z takim zachwytem i zdumieniem pierwszy zaglądał do wnętrza eksponatów, jakby nie oprowadzał tu wycieczki, tylko sam dopiero co odkrył te skarby - triumf ludzkiej pomysłowości, absolutnego słuchu i technicznego geniuszu.

Spotkała mnie tam miła niespodzianka: zobaczyłem taką samą muzyczną szkatułkę, jaka stała na okrągłym stoliku z szydełkową serwetką w pokoju cioci Fridy. W Żmerynce.

Lakierowane pudełko z czerwonego drewna o głuchym pogłosie, z kluczykiem i korbką w dolnym panelu. Na wewnętrznej stronie uchylanej przykrywki była umieszczona kartka z napisem: „Fortuna. Juliusz Henryk Zimmerman. Najlepsza muzyczna szkatułka”. A niżej, mniejszymi literami: „Dźwięczny i przyjemny ton. Eleganckie wykonanie. Solidna konstrukcja”.

I całkiem już drobnym maczkiem, na samym dole: „S-Petersburg, Morska 34”.

Na koniec chłopak nakręcił wszystkie szkatułki, które pobrzękując starczymi głosami,

zaczęły się nawoływać w starodawnej sali, aż zabrakło im sił, czyli rozkręciła się sprężyna. Jak bardzo są wytrzymałe. A my, mój skarbie?

Nawiasem mówiąc, jest tu również kolejka linowa prowadząca na wierzchołek góry. Uwielbiam wszystkie atrakcje świata, kupiłem więc bilet, wsiadłem do metalowej gondoli i popłynąłem pod niebiosa, zostawiając w dole szkarłatne rzędy rozkraczonych winorośli.

O, płody winnych pędów!

Podchmieleni Niemcy, jak zauważyłem, są dość prostacy, dobrodusznicy i lubią niewybredne żarty: zrzucić koledze pomarańczowo-czarną czapkę w barwach ulubionej drużyny, podstawić mu nogę albo zrobić coś w tym guście.

Wieczorami Rudesheim wypełnia chóralny śpiew - niosą się słowa marszów, hymnów i pieśni ludowych, czyli tak zwanej muzyki popularnej. Tłumy drą się na całe gardło, a towarzyszą temu salwy niewyobrażalnego rechotu, potrafiącego przestraszyć każdego. Jednym słowem: *marschieren und probieren...*

Za trzy tygodnie kończę występy i wtedy będę mógł przylecieć do ciebie, dokąd będziesz chciała. Wystarczy, że napiszesz parę zdań - w jakim chcesz narzeczu, a najlepiej cyframi, żebym odgadł, gdzie cię szukać. Nie widziałem cię już od trzech miesięcy! I może, kochanie, wreszcie kupisz sobie komórkę?

Jeśli zaś... jeśli... o, ten kataryniarz znów łązi gdzieś w pobliżu i kręci swoim perpetuum mobile, rączką starej katarynki, a bolończyk wytacza się spod jego stóp prosto pod nogi turystów. „Jeś-li w oko-pach nie um-rę ze stra-chu... - z muzycznego pudła dobywa się, w nieznośnie pogrzebowej tonacji, słodka przeciągła melodia - jeś-li mi snaj-per nie zro-bi-dziu-ry... jeś-li sam się nie pod-dam... to znów bę-dę się z to-bą ko-chał, Li-li Mar-lene!".

Z tobą. Lili Marlene!

Stęskniłem się za twoją harmonijką. Czy grasz na niej beze mnie, mój skarbie?

8

Handlarka pestkami mieszkała na rogu Krasnoarmiejskiej i Żyłańskiej, w okolicy Stadionu Centralnego, i w dni powszednie sprzedawała je wprost z okna sutereny. Zwinięte z gazety tutki, włożone jedna w drugą, leżały na ziemi.

Starucha nie miała ani jednego zęba, ale zawsze gryzła pestki. Łuski kruszyły się i zawisały wokół jej zapadniętych ust. Przypominała chłopca, który namydlął podbródek i już uniósł brzytwę, by zdjąć pianę, ale coś odwróciło jego uwagę i teraz tak chodzi z mydlanymi ochłapami na twarzy.

Pestki - dobrze uprażone, długie czarne ząbki, potocznie nazywane „końskim zębem” - można było łuskać nawet rękami, w odróżnieniu od pestek rosyjskich: malutkich, pękatych i oleistych. Cena wszędzie była taka sama: dziesięć kopiejek za szklanę.

Ale w dni ważnych meczów futbolowych starucha siadała na chodniku. Ustawiała się do niej kolejka i wtedy nikt już nie chciał czekać na tutki: faceci się spieszyli i nadstawiali kieszenie.

Niuta i tata też kupowali szklanę „końskiego zęba”, bo jeśli już zdecydujesz się iść na mecz, musisz się zachowywać jak wszyscy: łuskać pestki, wrzeszczeć, gwizdać, wkładając dwa palce do ust, wykrzykiwać nazwiska oraz imiona graczy. No i o sędzi nie zapomnieć - jest, oczywiście, kaloszem.

Bo inaczej, co to za życie, co za przyjemność.

Przy wejściu na stadion tłum gęstnieje, pęcznieje, napiera, zalewa cały plac, faluje wokół kas - kamiennych beczek z okienkami jak strzelnice.

Tata od razu przerzucał Niutę przez ogrodzenie.

Ale w czasie mistrzostw, półfinałów czy finałów brał ją na barana. Jeśli tłumy były ogromne, panowało ogólne podniecenie i w powietrzu wyczuwało się nerwową atmosferę, dziewczynka sama prosiła ojca: „Weź mnie na barana!”.

Unosił ją wtedy i sadzał na plecach, a ponieważ był wysoki, Niuta dobrze stamtąd widziała zielone boisko z bramkami i trybuny oświetlone ogromnymi reflektorami.

Między rzędami przechadzała się ciotka z przewieszonym przez ramię kramikiem: *A os' komu bilaszy-pirożky?*⁴⁵ - I odrzucała za tłuszczoną ściereczkę: - *Wybyraj, zołotko, jakij na tebe dywyt'sia*⁴⁶.

Krótko mówiąc, na stadionie było bardzo wesoło! Ryk stutysięcznych trybun narastał i

45 (Ukr.) - Komu smażone pierożki z mięsem?

46 (Ukr.) - Wybieraj, złotko, który ci się podoba.

opadał, falując, w zależności od tego, jak potoczy się gra... I Niuta uczciwie „kibicowała”, chociaż zawsze wiedziała, jakim wynikiem skończy się mecz; wiedziała też, komu zaraz strzelą gola i komu sędzia przyzna rzut kamy. Na początku myślała, że wszyscy to wiedzą. Ale się okazało, że nie, chociaż było to przecież takie proste: na środek czoła, przed zamknięte oczy, wysuwa się lustrzany zeberkowaty tunel podobny do papierowego języka, który tatuś błyskawicznym ruchem potrafił zwinąć z kartki zeszytu, a potem z całej siły dmuchać Niucie prosto w twarz. Na końcu lustrzanego tunelu, jak w kalejdoskopie, pojawia się jasny krąg, promieniujący cyframi i wyrazami w różnym stopniu natężenia, albo postaciami... a czasem po prostu m i l c z ą c y m i o b r a z a m i...

Niuta chytrze mrużyła oczy i wyśpiewywała:

- Mecz sko-ończy się wyni-i-ikiem... wyni-i-ikiem... mam to powiedzieć?!

A wtedy tatusiowi od razu psuł się humor. Na jego twarzy pojawiał się taki kwaśny wyraz, jakby dostawał nagłego skurczu brzucha, jakby chciał, by zamilkła na zawsze.

- Nie, nie mów! - ucinał i odwracał się.

Do-obrze... Nie będziemy mówili...

Co innego Fira Awielewna - oto kto spokojnie, a nawet beznamiętnie przyjmuje wszystkie przepowiednie Niuty. Może dlatego, że jest niewidomą staruszką? I też zapalonym kibicem.

„Firawielna” to babcia i głowa wielkiej niespokojnej rodziny Girszowiczów z sąsiedniego podwórka, na którym Niuta od pół roku ma koleżankę. Rodzina składa się z wujka Żory, kierownika hali w zakładzie Trans sygnał, kogucika o zadziornym tenorku, w znoszonych spodniach od dresu; jego żony, cioci Rozy - młodszej córki Firawielny - pielęgniarki na oddziale chirurgicznym w szpitalu; ich siostrzenicy Soni, córki-rozstrzelanej-siostry-Busi-niech-spoczywa-w-spokoju-i-niech-piekło-pochłonie-wszystkich-jej-zabójców; ich starszego syna Borii, studenta szkoły muzycznej (gra na wiolonczeli) oraz sześciolatniej zezowatej Ariszy, z którą przyjaźni się Niuta.

Nawiasem mówiąc, Arisza też uczy się muzyki: gra na fortepianie, w szkole, gdzie pracuje Masza. I ma - jak twierdzi Masza - ab-so-lut-ny słuch!

A nad nimi wszystkimi, niczym plemienny bożek, stoi niewidoma Firawielna, niech-nam-żyje-sto-lat...

Girszowiczowie mieszkają w jednym - wprawdzie ogromnym - pokoju w rozgałęzionej komunałce. Wiolonczela Borii niedbale podpira ścianę w ciemnym kącie wspólnego korytarza. Czasami stoi bez futerału i wtedy intymnie, kusząco połyskuje rumianym lakierowanym bokiem.

Zupełnie jak roznegliżowane, zaspane prostytutki o poranku na paryskiej ulicy Saint-Denis, połyskujące jędrnymi biodrami i niedbale podpierające ściany.

Oprócz Girszowiczów w komunalce mieszkają różne ciekawe typy. Rodzina majora alkoholika Pietii. Jego groźna żona Lubow Kazimirowna, która chyba jest łysa: zawsze nosi na głowie beret, lekko uniesiony niczym puchowa poducha w kącie łóżka. (Pewnego razu Niuta wpadła na nią w korytarzu. Lubow Kazimirowna we flanelowym szlafroku, spod którego wystawała nocna koszula, mknęła do ubikacji; na głowie miała beret spłaszczony za uchem niczym poduszka). Każdego ranka Lubow Kazimirowna wysyła po mleko swoją ośmioletnią córkę Nadię. I każdego ranka z ich pokoju niesie się jej donośny dramatyczny ryk: „Znowu?! Znowu pół bańki wypilaś?! Żłopiesz to mleko jak wodę!”.

W kwadratowym pokoiku obok łazienki gnieździ się dziwaczny staruszek Fajuszczenko. Malarz. Nawet w lecie chodzi omotany szalikiem, w damskich filcowych półbutach na suwak i w damskiej karakułowej czapce, jakby przyrośniętej do głowy: jego mocno kręcone włosy dokładnie odwzorowują - i przedłużają - kędziorki siwych karakułów.

Pewnego razu pojawił się w kuchni w starej kapocie z oderwanym prawym rękawem.

Wujek Żora zapytał go: „Co to za dziwna chlamida, towarzyszu Fajuszczenko?”.

Ten zaś odparł: „A cóż w tym dziwnego, Żoriku. Ta ręka mi marznie, a w tę, którą pracuję, jest mi gorąco...”.

Tą pracującą ręką Fajuszczenko maluje rozkoszne obrazy, głównie akty. Nieraz wyjdzie z pokoju, żeby wymyć pędzle w łazience, a przez szczelinę w drzwiach nagle jak nie błysną czyjeś woskowo białe plecy! I cały czas biega po mieście w poszukiwaniu kolejnej muzy.

Pewnego dnia przyprowadził urzędniczkę z wydziału paszportowego ŻEK-u⁴⁷, czarnowłosą dorodną śmieszkę. Piła herbatę w kuchni i onieśmielona szeptała do mistrza: *Ta szo wy, ja i ne wmiszczysia u ramu!*⁴⁸

Na co Fajuszczenko rechotał na całe gardło i wrzeszczał: „Ja panią zmieszczę, wcisnę! Sadło się nie gnecie!”.

I wcisnął. Stworzył cykl aktów w stylu Rubensa i później sprzedawał na Bessarabce⁴⁹. Cały ŻEK przez tydzień chodził oglądać tę wystawę. Wokół obrazów tłumnie zbierali się amatorzy prawdziwej sztuki. Chociaż urzędniczkę natychmiast zwolniono za niemoralne zachowanie.

A w wąskim i długim pokoju za kuchnią mieszka tajemnicza Panna Iwanna,

47 ŻEK (*Żyliszczno-Ekspluatacyonnaja Kantora-*, ros.) - biuro administracji domów.

48 (Ukr.) - Co pan, ja przecież nie zmieszczę się w ramie!

49 Bessarabka - duży bazar w centrum Kijowa.

niezwykle brzydka starucha z wybieloną, aż do niebieskawego odcienia, mocno naciągniętą skórą twarzy, upiornie kontrastującą z ceglastą pomarszczoną szyją. Panna Iwanna jest surowa, pilnuje czystości w kuchni i gani tych, co zostawiają niedopałki. Zabierzcie ode mnie, krzyczy, tych umarłaków!

Wymyśla też groźne rymowane przestrogi. Pisze je na połówce kartki z zeszytu i pinetkami przyczepia w różnych kątach mieszkania. Nad kuchenką gazową wisi jedno z jej srogich dzieł, zachłapane tłustymi plamami z patelni: „Kto ruszy moje zapalczki, ten oberwie po jajeczkach!”.

Drzwi prowadzące do tego wesołego towarzystwa zawsze stoją otworem. To znaczy, tak naprawdę są zamknięte, ale zamek da się otworzyć za pomocą zwykłej kopiejki. Albo po prostu byle czym. Siostrzenica Girszowiczów Sonia, córka-rozstrzelanej-siostry-Busi-niech-spoczywa-w-spokoju-i-niech-piekło-pochłonie-wszystkich-jej-zabójców, otwiera zamek pilniczkiem do paznokci. A Niuta i Arisza raz dokonały tego za pomocą patyczka do lodów.

Panna Iwanna twierdzi, że w komunalce kiedyś mieściły się „pokoje”. Co to znaczy, ani Arisza, ani Niuta nie miały pojęcia, ale nad każdymi drzwiami rzeczywiście widniały stare zardzewiałe blaszane tabliczki z wypukłymi numerami.

Wieloosobowa rodzina Girszowiczów mieszka w pokoju, nad którym wisi zachłapana farbą do ścian, zaśniedziała tabliczka: „Sala balowa”. U nich nawet kozetka się *zachowała* - z wysoko wznoszącym się, niczym falą, wytwornym drewnianym oparciem po jednej stronie.

W ogromnej czterdziestometrowej kuchni też widocznie kiedyś tańczono albo przyjmowano gości - stoi tu wielki rzeźbiony kredens, cały opleciony dębowymi liśćmi. Na jego częściowo potłuczonych szklanych drzwiczkach Panna Iwanna wiesza swoje rymowane ostrzeżenia: „Grozi państwu szpitalne łóżko! Był tu kiedyś burdel, nie wysypisko!”.

Ale bano się nie Panny Iwany, tylko niewidomej Firawielny. I szanowano ją.

Kiedy zalany w sztok major alkoholik Pietia nie miał sił dopełnić do toalety na końcu korytarza, obok kuchni wyjmował swoje *ene majse*, jak mówiła Firawielna, i kiwając się, jakby kołysał dziecko do snu, zamykał oczy i z upojeniem lał na podłogę. Ponieważ wszyscy mieli dobry wzrok, nikt nie chciał patrzeć wtedy na Pietię, tylko Firawielna wychodziła na odgłos szemrzącego dźwięku i uważnie nasłuchiwała, czekając, kiedy major skończy. Za plecami nazywała Pietię szmatą - za brak charakteru. Uważała go za pantoflarza.

- Wyszczesałeś się, Pietiu? - pytała surowo.

Petia otwierał oczy i patrzył na kałużę. Powoli przytomniał i robiło mu się wstyd.

- Wyszczesałem, Firawielno - odpowiadał skruszony.

- No to bierz się teraz do sprzątnia!

I dziarski major ze ścierką pełzał po podłodze, przeklinając swój nałóg.

Urodziła się w miasteczku Jemilczyno, tuż obok domów czeskich osadników. Była starszą córką krawca i jego pilną pomocnicą - wysyłał ją do osady, by zbierała zamówienia, mierzyła obwód talii i biustu. Tam zaczęła palić papierosy, poznała europejski styl, nauczyła się od Czeszek gotowania i przesadnej schludności, a także czeskich słówek i piosenek. Kiedy była w nastroju, nuciła dziewczynom:

*Holki wybigały, wulej kupowały,
Panty namazały, aby ne werzały
Dwirki u kumury...*

Kiedyś Anna zanuciła tę piosenkę czeskiemu skrzypkowi, przyjacielowi i koledze Sieni z Bostońskiej Orkiestry Symfonicznej. Prawie wszystko rozumiał i wpadł w zachwyt. Piosenki tłumaczyło się - według Firawielny - mniej więcej tak:

*Dziewki wybiegały, olej kupowały,
Zawiasy smarowały, żeby nie skrzypiały
Drzwi do tej świetlicy...*

W miarę religijna Firawielna w sobotę nic nie robiła, ale jeśli zdarzał się mecz, mogła złamać świętą zasadę. Kiedy odbywały się mistrzostwa albo kiedy nasi zdobywali złoty medal, przez dwa dni pościła, jak przed Sądnym Dniem. Chociaż z palenia nie rezygnowała. Na Dzień Kobiet inne babcie dostawały w prezencie jedwabne pończochy, a dzieci Firawielny kupowały jej świąteczne opakowanie papierosów marki Trzej Bohaterowie.

Pamiętała nazwiska wszystkich graczy kijowskiego Dynama, jak również tych najważniejszych z moskiewskiego CSKA, Spartaka, Dynama czy Torpeda.

I kiedy po meczu tłum walił Żyłańską w dół, mówiła do Ariszy lub Niuty:

- Wyjrzyj przez okno, zapytaj o wynik.

Dziewczynki wyglądały i pytały. A nawet otrzymywały odpowiedź.

Tu pozwalano Niucie mówić wszystko. I mówiła. A kiedy przepowiedziany przez nią wynik zgadzał się z wykrzykniętym przez kiboli - dodatkowo ozdobionym wulgaryzmami i splunięciem na chodnik - Firawielna stwierdzała z uznaniem:

- O! Zgadza się. Zuch dziewczyna. Ma rozum ta wiercipięta!

Straciła wzrok jeszcze przed wojną, z powodu jaskry. Zasłaniała twarz chusteczką lub

koronkowym szalikiem, bo wstydziła się ślepoty.

Często odwiedzali ją ziomkowie. Rozmowa prowadzona była w jidysz, ściszonymi głosami; w tym czasie Arisza i Niuta pod stołem bawiły się lalkami. Nad ich głowami szeleścił, bulgotał, pojękiwał nieznamy język i Arisza niekiedy wołała: „Tłumaczenie!”. Jeśli bardzo przeszkadzała, Firawielna po omacku szturchała ją nogą.

Ale ciekawska i uparta Arisza mimo to krzyczała: „Tłumaczenie!”, zamiast odpowiadać księciu - trzymanemu przez Niutę - czy młodzianka córka młynarza wyjdzie za niego za męża.

Pewnego razu Niuta powiedziała do niej:

- Odczep się od nich. Gadają o bzdurach: dzieci, wnuki, zięć jest draniem, Lusi udało się dostać polskie kozaczki. A na medycynę przyjmują tylko gojów.

Przy stole na górze zapadła cisza. Po chwili przerwał ją zdziwiony głos starszej kobiety:

- Ona co, rozumie jidysz? Ta dziewczynka?

Firawielna, niewzruszona, a nawet z pewną dumą, odparła:

- Ona wszystko rozumie!

Starucha, niczym król Salomon, udzielała rad, rozstrzygała sporne kwestie między krewnymi, przewidywała zdarzenia, wygłaszała sądy. Mężczyźni, wychodząc, całowali ją w rękę. Po wielu latach Anna zrozumiała dlaczego. Babcia miała twarz zasłoniętą chusteczką, więc zostawała ręka: symbolizująca szlachetność i wdzięk.

Firawielna nigdy nie dotykała prezentów, które jej przynoszono, i od razu oddawała je dzieciom. Po tym jak straciła wzrok, jej patologiczne przywiązanie do porządku przerodziło się w rodzaj natręctwa. Ufała tylko Mani, swojej starszej córce, która mieszkała po sąsiedzku i codziennie przynosiła matce obiad. Córce, u której mieszkała, Rozie, ufała mniej: uważała, że kobieta pracująca wszystko robi byle jak i nie ma czasu, żeby skupić się na gotowaniu. Barszcz ukraiński gotowano Firawielnie bez kapusty. Wiedziała, że trafiają się w niej robaki i że trzeba myć każdy liść, nie patrząc, a dzieci kroїły kapustę w duże kawałki. Nigdy też nie próbowała cudzych kotletów mielonych ani faszzerowanej ryby - niczego, co trzeba było wyrabiać rękami. Nie wierzyła w czystość cudzych rąk.

Stare sąsiadki zazdrościły jej i bez żenady wygarniały:

- Niektórzy to dopiero potrafią się urządzać: córka codziennie obiadki gotuje, zięć wynosi nocniki, a syn co miesiąc przysyła pieniądze. Ależ niektórzy mają szczęście!

Na co Firawielna odpowiadała im z uśmiechem:

- A wy spróbujcie stracić wzrok.

Niutę traktowano w tej rodzinie dobrze, to znaczy nie zauważano jej obecności, jak nie zauważa się obecności domowników. No kręci się tu jakaś... i niech się kręci...

Tym bardziej że większość czasu Arisza i Niuta spędzały na dworze.

Pośrodku ogromnego podwórka znajdowało się skupisko szop, gdzie składowano nędzne rupiecie. Niektórzy z biedniejszych mieszkańców trzymali tam kury, a w jednej żyła oszalała z samotności i głodu suka Larwa.

Ale po jakimś czasie szopy zburzono i podwórko stało się wspólne: dla czteropiętrowego budynku, parterowego baraku w głębi i dwupiętrowego domu komunalnego z mrowiem lokatorów popychanych w suterenach, komórkach i byłych łazienkach.

Mieszkańcy parterów hodowali w przydomowych ogródkach kwiaty: jaskrawoczerwone dalie, cynie, aksamitne bratki. Swojsko i delikatnie roztaczał aromat krzak drobnych herbacianych róż w rogu. Drzewko bzu z niepozornymi bladymi kwiatkami tak rozkosznie i intensywnie pachniało w maju, że aż chciało się oddychać głębiej.

A dzika winorośl tak mocno oplotła dom swymi zylastymi pędami, że Boria, kiedy zgubił klucze, dostał się do mieszkania przez kuchenne okno. Chociaż mógł bez problemu otworzyć zamek tłumikiem wiolonczeli.

Rósł też na podwórku ogromny kasztanowiec, wiosną bujnie obsypany śmietankowobiałym wzruszającym kwieciem: mnóstwo stożkowatych „świeczek” tworzyło gęstą koronę. Później na gałęziach wyskakiwały kłujące owoce. Kiedy były zielone, gospodynie zbierały je, suszyły i kładły do szaf z ubraniami oraz do mąki - kasztany odstraszały mole i robaczki.

Pod koniec lata cała ziemia była usypana popękanymi zielonymi łupinami: ze środka - niczym końskie oko - wyglądał lakierowany kasztan. Arisza i Niuta nawlekały je na nici i biegały obwieszane brązowymi naszyjnikami.

I przez cały letni dzień toczyło się ciekawe życie na strychu - wśród promieni słonecznego światła z tańczącym w nich kurzem, girland poskręcanych przewodów, aluminiowych czajników, poobijanych porcelanowych słoników i kawałków starych gramofonowych płyt, wśród pudeł z przedrewolucyjnymi książkami ze starą pisownią z *jat*⁵⁰, znoszonych butów nie do pary, powyginanych rowerowych szprych.

Jednym z pierwszych znalezisk był plakat „Kakao van Houtena”: w okienku między otwartymi okiennicami siedział gruby facet z krzaczastymi brwiami, uśmiechający się jak wojak Szwejk. Miał na sobie surdut i muszkę, a na tysej głowie fez z kitką. W ręce trzymał filizankę z napisem „Kakao van Houtena”, z której unosiła się, jak dym z parowozu,

50 *Jat* - usunięta po rewolucji litera rosyjskiego alfabetu.

kędzierzawa para. „Nigdy się nie denerwuję - było napisane pod obrazkiem - i zawsze jestem w dobrym humorze, ponieważ odkąd zamiast kawy i herbaty piję na śniadanie prawdziwe KAKAO VAN HOUTENA, moje mięśnie okrzepły, trawienie się poprawiło, a NERWY SĄ JAK ZE STALI. Z jednego funta - sto filiżanek”.

W tamtym okresie zaczęli nagminnie umierać weterani wojenni i na strychach coraz częściej można było natrafić na ich żółtoróżowe błyszczące protezy. Pewnego razu Niuta znalazła prawą nogę, niemal całą, trochę ponad kolano, z zasznurowanym pięknym butem. Zjawiała się z nim w domu - mimo wszystko jeden to lepiej niż nic. Ojciec się śmiał, a Masza, krzywiąc się z obrzydzenia, wyniosła but na śmietnik, choć Niuta płakała i tłumaczyła, że należy do bohaterskiej protezy. W końcu wspólnie z Ariszą pochowały protezę razem z butem na pustym placu za szkołą.

Kiedy indziej Arisza wygrzebała w stercie szmat lewą rękę i dla wszystkich urządziła na strychu przedstawienie, udając, że gra tą ręką na fortepianie. Aż wreszcie w stosie przyniesionego przez kogoś chlamu została odnaleziona taczka dla inwalidy „samowara”. Tak nazywano ludzi bez nóg, którzy poruszali się na kwadratowej desce z łożyskowymi kółkami. Taczka była prawdziwym skarbem!

Niuta i Arisza natychmiast pobiegły szukać stromego miejsca, z którego leciałoby się jak na skrzydłach. Tak zimą zjeżdżały z Batyjewej Górki - w miedzianych miskach zamiast sanek. Błyszczące w słońcu żółtymi, zielonymi i czerwonymi burtami miski uważane były za najbardziej szykowne.

Z tawką pod pachą Niuta weszła do ogrodu botanicznego stromą ulicą Tołstoja, a wystraszona Arisza wlokła się za nią jak ogon, płacząc i powtarzając:

- Niutko, oszalałaś...! Niutko, wszystko powiem babci, Niutko-o-o!

Ale Niutka zjechała! Położyła się brzuchem na taczce, kazała Ariszy porządnie ją popchnąć... i tylko wiatr zagwizdał jej w uszach, a łożyska huczały, kręcąc się coraz szybciej; szary pas asfaltu wił się przed oczami, dookoła dzwoniły i zgrzytały tramwaje i trolejbusy pstrokatego miasta, a w ślad za nią leciały okrzyki i wrzaski...!

Taczka powolutku zwolniła, kółka przestały zgrzytać i skrzypieć, tylko szybko bębniły... szalony zawrót głowy zelżał, odpłynął i ustał...

Niuta rozejrzała się, wciąż rozplaszczona na taczce jak żabka. Ktoś obok głośno zauważył:

- *Tak to ż ne chłopiec!* To diwka! Wo, skażenna!⁵¹

Nad nią stało dwóch chłopaków, całkiem dorosłych. Jeden pokręcił palcem przy

51 (Ukr.) - Przecież to nie chłopak! To dziewczyna! Ależ stuknięta!

skroni, patrząc na Niutę ze zdumieniem. A drugi powiedział:

- *Nie-a, to ne diwka!*⁵² To kas-ka-der-ka!

A w wir tego burzliwego życia Niuta wpadła dzięki wciąż tej samej Christinie, która otrzymała od Maszy i Anatolija całkiem uzasadnioną *carte blanche* na wychowanie dziewczynki - po tym jak oboje ze zdziwieniem odkryli, że...

Ale to zdarzenie wymaga osobnej wzmianki.

*

- Ma, a ja mogę już grać na pianino - pochwaliła się Niuta.

- Na pianinie, Niutoczko. - Masza poprawiła ją z roztargnieniem. Właśnie nakrywała do stołu. Tola miał lada chwila wrócić ze szpitala. Niuta siedziała już nad swoim talerzem. - A lepiej mówić: na fortepianie. Tak jest poprawniej.

- O, popatrz! - rzuciła córka, nie słuchając jej, i zaczęła szybko przebierać paluszkami po obrusie, zderzając dłonie.

Noza jeszcze brakuje, zauważyła Masza, i nagle kątem oka dostrzegła te dwie zwinne dziecięce rączki, synchronicznie wykonujące jakieś skomplikowane pasaże.

- Mam teraz dwie ręki! - poinformowała ją córka, wystukując tony, które tylko ona słyszała.

Masza poczuła, jak jej serce zanurkowało, a potem poszybowało do góry.

Uniosła widelczyk Niuty, ten z emaliowaną kolorową papugą na rączce, który z przyzwyczajenia zawsze kładła córce „tak jak dla leworęcznych”, i ze ściśniętym gardłem, ale niespiesznie i nie podnosząc wzroku, zamieniła miejscami nóż i widelec. I Niuta, nie przerywając głupiego gadania, machinalnie wzięła nóż do prawej ręki, jakby robiła to przez całe życie.

- Ciekawe - powiedziała Masza. - Bardzo ciekawe, córeczko. Jak to się stało?

- Mnie Christina nauczyła - wymamrotała Niuta z pełnymi ustami.

- Ona mnie... obwiązywała, bandażowała... jak mumię... i... prze-ni-co-wy-wa-ła. Jak palto! I teraz wszystko umiem! Umieć piłeczki w cyrku rzucać, sto sztuk naraz... Ma! Maszuto?! - Spojrzała na Maszę zdziwiona, z policzkiem wypchanym jedzeniem. - Czemu płaczesz?

Później potrafiła dość precyzyjnie wskazać ów przelom, owo przejście - w siódmym roku życia - za którym świat otworzył się z zupełnie innej perspektywy, jakby coraz sprawniejsza prawa ręka podniosła zasłonę, do tej pory opuszczoną. Jakby ktoś z zewnątrz

52 (Ukr.) - Nie, to nie dziewczyna!

włączył po prawej stronie mocny reflektor, oświetlając daleko - wokół, do góry i w głąb - przestrzeń potajemnej lustrzanej sceny. Świat rozszerzył się w obie strony, zrównoważył, stał się pełny i panoramiczny.

Ciało w jego wnętrzu poruszało się zwinnie.

I potworny, nienasycony pociąg do luster, które odbijały i dopełniały jej prawą stronę, osłabł, uspokoił się.

Od tamtej pory potrafiła dokładnie wytłumaczyć, czym jest gra rozumu.

To stan, kiedy w głowie unoszą się bąbelki, jak w szklance z lemoniadą, mózg bulgocze, coś w nim pstryka... Kolorowe cyfry zaczynają się przesuwać, łącząc się i znów dzieląc jak żywe... Obrazki chaotycznie wynurzają się na powierzchnię, nadymają, zyskują objętość i gdzieś w okolicy czoła odbijają się w całej galerii luster, ustawione w pary jak do menueta i przepływające w równym szeregu arabeskami, zaczarowanymi wzorami; jeden zmienia drugi, topnieje, wypłukując odbłysek dziwnej kalejdoskopowej zorzy, żeby za chwilę zgasnąć i ponownie rozkwitnąć, niczym gobelin, na aksamitnym wiśniowym, liliowym, granatowym pulsującym nocnym tle...

Tak się dzieje wtedy, kiedy siedzi na stolku i nie może zrozumieć - jak to się stało, że upłynęło tyle czasu...

*

Otóż do rodziny Firawielny Niutę przyprowadziła Christina. Miała w tym mieszkaniu do załatwienia swoją sprawę - „pasjansową”.

Tajemnicza Panna Iwanna, była akrobatka cyrkowa, kładła pasjanse i wróżyła z kart. W jej pokoju - wąskim i długim - przy oknie stał nawet specjalny stolik do kart obity zielonym suknem, niegdyś kupiony w antykwariacie na rogu Saksagańskiego i Krasnoarmiejskiej. Oprócz stolika, metalowego łóżka i połyskliwej szafy na ubrania, uroczyście nazywanej „szyfanierem”, był tu jeszcze oparty o ścianę cienki materac, na którym nocowali zwykle jej liczni goście odwiedzający Kijów.

- Zaczekaj tam, koło kuchni - nakazała Christina. - Pół godzinki. *Poky meni sud'bu skazut*⁶³.

Los mogła jej wywróżyć równie dobrze i Niuta, gdyby Christinę choć raz to zainteresowało. Ale widocznie karty - prawdziwa, zatłuszczona i brudna talia tarota - były dla niej koniecznym atrybutem potwierdzenia wyroków.

Niuta w tym czasie zajrzała do kuchni, gdzie przy stole zobaczyła wysuszoną staruszkę z twarzą przesłoniętą koronkowym szalem. Obok niej siedziała na taborecie

53 (Zniekszt. ukr.) - Póki mi będą wróżyć mój los.

kędzierzawa, śliczna dziewczynka dłubiąca widelcem w talerzu. Szkoda tylko, że lewe oko ciągle uciekało jej do środka, jakby spieszyło się, żeby czym prędzej wszystko obejrzeć.

- Kroki obce... lekkie... - nagle odezwała się staruszka, prostując plecy. - Co, Riszele? Obcy?

- Nie, babciu... - odparła kędzierzawa, śmiejąc się i zezując.

- Swój...

I Niuta od razu poczuła do nich taką sympatię!

Podeszła bliżej, nie spuszczać wzroku z ziemniaczanych placuszków. Kędzierzawa podziobała je widelcem i zwróciła się do babci:

- Mogę dziewczynce dać na spróbowanie swoje *latkes*? Jest bardzo głodna.

- A czy ona jest dobra? - zapytała stara. - Jak nie, to nie dawaj.

Niuta i kędzierzawa wymieniły spojrzenia i obie jednocześnie parsknęły śmiechem.

A kiedy zaczerwieniona Christina opuszczała pokój Panny Iwanny, Niuta z Ariszą były już najlepszymi przyjaciółkami i nawet umówiły się, że następnego dnia pójdą z Zojką po wafle do zakładu mleczarskiego.

W drodze powrotnej do domu Christina wyznała Niucie w wielkiej tajemnicy, że wyjdzie za mąż i to wkrótce - jesienią.

- W zimie - poprawiła ją Niuta. - Wszędzie będzie śnieg.

A narzeczony, kontynuowała podekscytowana Christina, jest już prawie wdowcem, ale czemuś nie siedzi w jednym miejscu, tak powiedziała Panna Iwanna.

- Bo on cały czas pociągami jeździ - ochoczo wyjaśniła Niuta.

A Christina zachichotała i nie zatrzymując się, przyciągnęła głowę dziewczynki do swego krągłego i twardego biodra, pogłaskała ją i powiedziała:

- Moja ty gaduło!

*

Polować na wafle w zakładzie mleczarskim najlepiej było z Zojką. Bez niej nic z tego nie wychodziło - tylko wstydu się człowiek najadł. Jedyne Zojka potrafiła tak bezczelnie podczołgać się do okna sutereny, żałośnie pochlipując: *Tiotechki, tiotechki! Isty хочimo! Troszki isty хочimo, goło-o-dni my!*⁵⁴

Zojka... zadziwiający typ małej wiercipięty. Jej rodzina gnieździła się w najciemniejszym zakątku parterowego baraku, w dawnej komórce: norze wielkości ośmiu metrów kwadratowych, z obdrapanymi ścianami i klepiskiem zamiast podłogi. Mieszkali tam w szóstkę - cztery córki i rodzice. Zojka była najmłodsza.

54 (Ukr.) - Ciotechki, ciotechki! Chcemy jeść! Jesteśmy trochę głodne, jesteśmy gło-o-odne!

Więszą nędzę trudno sobie wyobrazić. Ojciec Zojki, maszynista pociągu towarowego, w domu bywał rzadko. Wracał, pił przez tydzień, rozstawiał wszystkich po kątach i znów w drogę. Matka zaś, obłożnie chora, od trzech lat nie wstawała z łóżka.

Zojka była chuda, ruchliwa i wiecznie głodna - może miała robaki? Jeść chciała zawsze, i to w dużych ilościach. Sąsiedzi dokarmiali ją jak mogli. A kiedy nie dokarmiali, sama sobie brała. „O, Berta pierożki piecze!”, mówiła, poruszając nozdrzami. Berta mieszkała na ostatnim piętrze dwupiętrowego domu komunalnego w głębi podwórka, często piekła pierożki i wyносиła blachę na balkon, żeby wystygły.

Zojka włąziła na dach, zostawiając Ariszę i Niutę na czatach, i nabijała pierożki na długi kij. Więcej niż cztery nie brała; trzy dla siebie, jeden - po połowie dla dziewczynek. Jeśli zdarzało się, że dzieci wychodziły na podwórko z kanapką, jabłkiem czy, nie daj Boże, z czekoladą - wtedy musiały bardzo uważać! „Lenin kazał wszystkim się dzielić!” - krzyczała, wrywając im jedzenie z rąk.

Nigdy nie korzystała z ubikacji, tylko kucała tam, gdzie ją przypiliło, pod pierwszym lepszym drzewkiem czy oknem.

Christina nienawidziła Zojki: za brud, za kłamstwa, za wiecznie wyciągniętą po prośbie rękę. Nazywała ją Mowgli, jak bohatera spektaklu, na którym kiedyś była z Niutą w TJUZ-ie⁵⁵.

- *I jeśli chto u gamno wstupiu, analiza ne treba*⁵⁶ - mawiała. - Od razu wiadomo, że to Zojki!

Pewnego razu starsza siostra Zojki, szukając jej - a było to już w ósmej klasie, kiedy Zojka nie wiadomo gdzie szlajała się po kilka dni - dotarła do domu Niuty. Wypytała, gdzie mieszka doktor Nesterenko, weszła na drugie piętro i nieśmiało zadzwoniła do drzwi. Otworzyła jej Christina. Na pytanie zaniepokojonej dziewczyny, czy ktoś nie widział Zojki, z pogardą odparła:

- *Może, de sriot' na pryrodi*⁵⁷...

...Ulica Żadanowskiego, która na zawsze pozostanie Żyłańską, była długa i pełna życia, życia burzliwego, bogatego w wydarzenia.

Tuż przy stadionie, obok domu numer sześć - trzypiętrowego, starego, z kokieterijną wieżyczką-rotundą na dachu, tego domu, w którym mieszkają artyści i muzycy z operetki, a nawet, co wynika z kamiennej tabliczki pamiątkowej, niegdyś żył słynny Oleksandr Riabow, autor operetki *Wesele w Malinówce* - ulica robi się wąska jak kiszka, tak że dwa samochody

55 TJUZ (Teatr Junogo Zritiela; ros.) - Teatr Młodego Widza.

56 (Zniekszt. ukr.) - Gdy ktoś wdepnie w gównno, nie trzeba badań.

57 (Zniekszt. ukr.) - Może gdzieś sra na świeżym powietrzu.

nie przejadą; ale właśnie tam, pod wiekowymi kasztanami, jest urzekająca, zacieniona, przytulna. Później zaś oddala się od stadionu i zbliża do placu Pobjedy, a tak naprawdę do Jewbazu (wszystko wokół często ma podwójną nazwę, tak jak w przypadku imienia Niuty: jest obce, oficjalne imię Anna i jest swojskie, ciepłe, śpiewne: Niu-u-u-ta-a-a!). Otóż po drodze do ogromnego Jewbazu - gdzie stoi cyrk pod srebrzystym kaskiem, a także dom towarowy Ukraina oraz hotel Lybed - Żyłańska traci swój skromny czar, robi się nudna, nabiera przemysłowego wyglądu, a w okolicach dworca staje się po prostu brzydka jak każdy przydworcowy rejon... Ale nadal jest cholernie pociągająca! Czego tylko tu nie ma... Samych zakładów zatrzęsienie: Leninska Kuźnica, Transsignał, TEC-3, z wieżą chłodniczą podobną do piramidy egipskiej, zakłady odzieżowe imienia Gorkiego, była spółdzielnia głuchoniemych. No i spółdzielnia kolejarzy, gdzie na ogromnym placu, między barakami a warsztatami z piłą mechaniczną, można znaleźć mnóstwo ciekawych rzeczy: różne szczapy, pałeczki, stare gwinty, wkręty, potłuczone szkło do wykorzystania w zepsutym kalejdoskopie, grubiućki, równo ścięte drewniane krążki... i wiele innych skarbów.

Wszystko to jednak jest niczym wobec wabiącego zewu zakładu mleczarskiego.

...Dział wafli znajdował się w wysokiej suterenie, której okna wychodziły prosto na ulicę.

I kiedy zawiewał wiaterek z odpowiedniego kierunku, od smakowitego waniliowego zapachu wafli aż kręciło się w głowie i chciało się biec pod okna zakładu.

Dzieci kładły się na ziemię i wpatrywały w wykafelkowane niebieskawe wnętrza sutereny. Potrafiły godzinami obserwować proces wypiekania wafli: jak w każdym p r z e i s t o c z e n i u, było w tym coś magicznego.

Robotnice w białych fartuchach i turbanach z gazy wstawiały ciasto do pieca i przykrywały je wielką płaską żeliwną płytą. Strużki ciasta wypływały pod jej ciężarem, błyskawicznie twardniały i robiły się złociste. I te oto strużki, te odpady wafli, kobiety usuwały, zbierając je dużą szufelką do mąki.

Najważniejsze było nie przegapić tego momentu! Zojka zaczynała skomleć durnowatym głosem żebraczki:

*- Tiotyczki, nam! Dajcie nam. Isty хочzi-i-imo!*⁵⁸

Klękała pod oknem, nadstawiała brzeg swojej brudnej sukienki, do której jakaś robotnica o miękkim sercu wrzucała garście złocistych chrupiących pyszności.

Nic bardziej smacznego od tych boskich okruszków Niuta w życiu nie jadła, chociaż

58 (Ukr.) - Cioteczki, nam! Dajcie nam. Chce-e-emy jeść!

przez całe dzieciństwo ojciec i Masza karmili ją samymi smakołykami. I zawsze na deser do herbaty czy kawy - w najdroższych restauracjach i w każdym kraju - prosiła kelnerów poufnym tonem: „I jeszcze dwa-trzy wafelki... Jak to, nie macie wafelków?”.

Ale najlepsze było obserwowanie procesu wypiekania rożków do lodów. Ciasto wlewano do formy, dociskano przykrywką, a po upieczeniu zawsze dwa, trzy rożki okazywały się wybrakowane. Robotnice wrzucały je do pudełek. I wtedy Zojka urządzała prawdziwe przedstawienie. Łkała, błagała, czekała, jęczała... Wstyd było na to patrzeć! Ale tak się chciało schrupać rożek!

Niuta i Arisza leżały spokojnie, z zachwytem obserwując historię Zojki - zapewne tak północne plemiona z oddali cierpliwie obserwują zawodzącego szamana.

A wtedy któraś z robotnic nie wytrzymała i podchodziła do okna, by wysunąć przez kraty „niestandardowe” rożki. I Zojka zwinnymi łapkami chwyciła pierwszą jałmużnę. Zapracowała na nią!

Wiewiórki - amerykańskie i kanadyjskie wiewiórki, bezczelne żebraczki - przypominały jej małą Zojkę. Pewnego razu na uniwersytecie w Middlebury, w stanie Vermont, dokąd przyjechała odwiedzić Ariszę, zobaczyła na ścieżce zwierzątko - wykapanie ucieleśnienie jej byłej koleżanki. Rudo-biaława wiewiórka siedziała na odrzuconej przykrywce kontenera na śmieci i sprytnymi łapkami coś przebierała, z obawą dookoła się rozglądając.

Robotnice przezywały Zojkę spryciarą i sknerą i wołały do niej: „Hej, ty, obzarcuchu, podziel się z dziewczynkami!”.

Pewnego dnia (było to już po „prawie ślubie” Christiny z jej „prawie wdowcem”, ojcem Zojki, Wasilijem Fiodorowiczem, tym, co rzeczywiście nie mógł usiedzieć w miejscu, kursując pociągami między Taszkientem i Irkuckiem - ale to już zupełnie inna historia), Niuta wracała z Christiną od Panny Iwanny i kiedy przechodziła obok okien działu wafli, zawołała ją jedna z robotnic, paląca przy lufciku papierosa. Dziewczynka podeszła, by się przywitać, a wtedy ciotka wysypała jej całą górę rożków i resztek wafli, tak że przez dwa dni Niuta czuła się jak zdobywczyni i co chwila częstowała domowników, podejrzliwie pytając: „Ma, ty czemu moich wafli nie jesz...?”.

Na początku lat siedemdziesiątych komunalki zaczęto likwidować i Zojka, jej obłożnie

chora matka i siostry jako pierwsze otrzymały trzypokojowe mieszkanie.

Przez długi czas nie mogły przyzwycząć się do tak wielu pokoi i mieszkały w jednym.

Chyba właśnie wtedy Christina po raz pierwszy i ostatni odwiedziła rodzinę Wasilija Fiodorowicza - było to wydarzenie historyczne. Nie wiadomo, czy sumienie ją gryzło, co raczej mało prawdopodobne, a może przyszła, żeby się zorientować, czy nie uda się wywalczyć pokoju dla „prawie wdowca”.

Jego obłożnie chora żona nadal nie wstawiała. Christina przysiadła na brzeжку jej łóżka i zaczęła mówić o tym, jak to Wasi teraz bardzo się poprawiło - i z wyżywieniem, i ze zdrowiem. A był przecież całkiem do niczego, nieborak, wprost dogorywał...

Później zaś opowiadała:

- Smotru, wona krasna sdielałasja, jak burak! I mnie: Prastitutka ty biesstyża!⁵⁹ - Christina westchnęła, wygładziła dłońmi spódnice na wydatnym brzuchu i zakończyła: - Nu szo ż, ja molcza use snisła...⁶⁰

A Zojka, nagłodowawszy się w dzieciństwie, zdała do technikum gastronomicznego.

Kiedy po wielu latach Anna przyjechała odwiedzić ojca, spotkała ją w restauracji Kijów. Dama o obfitych kształtach, cała obwieszona złotymi błyskotkami, poznała Annę z daleka i rzuciła się ku niej z drugiego końca sali. Popłakując i ocierając chusteczką perłowe powieki, w kółko powtarzała: „Niutko, ty nic się nie zmieniłaś, jak Boha kocham!”.

Dowiedziawszy się, że Anna dalej „chodzi po linie”, tylko pokiwała głową. Po piętnastu minutach na stolik wjechała ogromna taca „od naszego szefa kuchni”.

- Od kogo? - zdziwiła się Anna.

- Toż od Zoi przecie, Wasiljewny! - powiedziała z wyrzutem kelnerka.

...W domu ojciec i Christina wysłuchali opowiedzianej przez zachwyconą Niutę bajki o królownie-żabce. Ojciec zauważył: „Szef kuchni w restauracji Kijów - nie to co Berty pierożki kraść”.

(Już wtedy czuł się nie najlepiej, ale nie chciał się badać - być może domyślał się prawdziwej przyczyny swoich porannych mdłości i wieczornych bólów).

Christina natomiast uśmiechnęła się z pogardą i powiedziała: „A ty ż u niej chławnego nie sprosiła. Ide ż tieper ona sriot!”⁶¹.

*

Przed rozpoczęciem nauki w pierwszej klasie Niuta zachorowała na odrę, i to tak ciężko, że ojciec - sam przecież lekarz od chorób zakaźnych - dwukrotnie przywoził do córki

59 (Zniekszt. ukr.) - Patrzę, a ona czerwona się zrobiła jak burak! I do mnie: Prostytutka bezczelna...

60 (Zniekszt. ukr.) - No cóż, zniosłam wszystko w milczeniu.

61 (Zniekszt. ukr.) - A ty o najważniejsze jej nie spytałaś. Gdzie ona teraz sra?

jakąś starszą panią.

Pani była autorytetem w dziedzinie chorób dziecięcych, profesorem, ale zachowywała się nie jak profesor, tylko jak litościwa babcia; tatusia nazywała „Toleńką” i chyba bardziej współczuła jemu i półprzytomnej ze strachu Maszy niż samej chorej. Okrągłe lustro na jej wysokim czole - zupełnie jakby ktoś przesunął do tyłu rzadkie włosy niczym chustę - wesoło puszczało zajączki. Trawiona gorączką Niuta wpadła w zachwyty, oblizła spierzchnięte wargi i powiedziała:

- Ty masz takie na zewnątrz, a ja wewnątrz.
- Gdzie? - zdziwiła się Sofia Nikołajewna.
- O tutaj! - Niuta dotknęła palcem środka czoła.

Maszy zamarło serce.

- Córeczko... - wymamrotała. - Nieładnie jest pokazywać paluszkami.

Kiedy stan dziewczynki zaczął się poprawiać, pierwsze półrocze w szkole trwało już w najlepsze i Masza była skłonna jeszcze przez rok zatrzymać osłabioną Niutę w domu. Christina też uważała, że *taja chwilkina chramota ot nas ne sbežit*⁶². Ale ojciec pozostał nieugięty. Kobieta powinna oszczędzać lata, powiedział niezrozumiale.

I Masza zaprowadziła Niutę do szkoły. Przyszły - jak było umówione z dyrektorką - godzinę przed zajęciami. Stały w pokoju nauczycielskim trochę speszone.

- Wiero Pietrowno... - dyrektorka zwróciła się do szczupłej ponurej kobiety, która poruszała się dość niezgrabnie. (Widocznie w dzieciństwie chorowała na polio, domyśliła się później Masza, kobieta miała nie całkiem sprawną lewą rękę). - Wiero Pietrowno, to jest Ania Nesterenko. Już pani o niej mówiłam... Była chora, więc trzeba ją trochę poduczyć.

I Wiera Pietrowna zaprowadziła Niutę do pustej klasy. A zdenerwowanej Maszy - która próbowała wspomnieć o „specjalnym traktowaniu” dziewczynki („Wie pani, ona ma trudności z czytaniem i pisanem... ponieważ...”) i nawet chciała towarzyszyć córce w pierwszych dniach na zajęciach - kazała się uspokoić i poczekać na korytarzu.

Posadziwszy Niutę w pierwszej ławce, nauczycielka wręczyła jej ołówek, kartkę w linie i zaczęła szybko pisać na tablicy okrągłe duże litery, powtarzając:

- To nic, jeśli od razu wszystkiego nie zrozumiesz. Przepisz z tablicy, a później się zastanowimy.

Niuta siedziała, w napięciu przenosząc wzrok z tablicy na ołówek i z tablicy na kartkę. Serce mocno i dźwięcznie uderzało jej o żeberka. Ołówek to nie widelec ani nóż, które są tylko przedmiotami codziennego użytku i nie wymagają szczególnej uwagi,

62 (Zniekształt. ukr.) - Te książkowe mądrości nam nie uciekną.

podporządkowane prostemu celowi. Ołówek zaś daje początek żywiołowi powstawania słów, a każde słowo jest niczym pączek, który rozkwita, stając się „świeczką” na kasztanowcu, i przyłącza się do pięknej puszystej korony... „Którą rękę ukarać, którą ulaskawić?”. Obie są równie sprawne, ale w koniuszkach lewej pulsują prądy wysyłane przez serce i kropelki krwi spieszą się, spieszą...

- No... przepisuj!

Wiera Pietrowna usiadła przy stole naprzeciwko Niuty, wyciągnęła z torebki puderniczkę i zaczęła poprawiać makijaż. Dziwna to była puderniczka, z podwójnym lusterkiem: i z jednej, i z drugiej strony. Wyłapywała twarz i ręce Niuty i chciała coś podpowiedzieć. Pokierować...

Nie. Nie wolno patrzeć, powiedziała sobie dziewczynka, tam przecież wszystko wygląda inaczej... A ja muszę zrobić na odwrót. Na odwrót!

Zdecydowanym ruchem chwyciła ołówek i przepisała na kartkę rząd liter z tablicy.

- Ty co, piszesz lewą ręką? - nieprzyjemnie zdziwiła się Wiera Pietrowna, chowając puderniczkę do torebki. I spojrzała na kartkę.

- Jesteś leworęczna?

Niuta od razu zrozumiała, że stało się coś okropnego. Patrzyła, jak szkarłatny rumieniec gniewu zalewa szyję nauczycielki i pełźnie do góry. Po chwili cała twarz wyglądała tak, jakby ktoś uparcie walił nią o ławkę.

- Na złość mi robisz? - wybuchnęła Wiera Pietrowna. I wycedziła wściekłym głosem:
- Jeszcze raz coś takiego napiszesz, wyślę cię do szkoły dla czubków!

Te słowa podziały na dziewczynkę niczym cios w twarz - nawet odrzuciło ją na oparcie ławki. Jakby grzesznika postawiono nad dołem, z którego wydobywały się kłęby krwawej pary i niesło się zduszone wycie zgubionych dusz, i zmuszano go, by tam patrzył, boleśnie trzymając go za kark...

Przez całą noc uczyła się z Maszą odwracać litery. Wciąż miała przed oczami szkolną tablicę, będącą niepojętym, pełnym przeciwieństwem lustra z jego spokojną przezroczystą głębią i nieukrywaną dobrą wolą. Czerń szczelnie zamkniętej szkolnej tablicy promieniowała śmiertelną grozą.

Niuta nie pozwalała Maszy pójść spać.

- Ma - prosiła. - Zróbmy to jeszcze raz!

- No dobrze... - Maszy zamykały się oczy. Nazajutrz miała w szkole muzycznej sprawdziany z romantyków, i to w dwóch grupach.

Pisały długopisem. Długopisem, nie ołówkiem. Masza uważała to za dalekowzroczone

posunięcie: nie zawsze przecież jest się pierwszoklasistą. I prawą ręką, prawą. Potrafisz! Mądra dziewczynka! I literki równiutkie. Tylko się nie poddawaj...

- No, starczy na dziś, córeczko... - westchnęła. - Pora iść spać, jest już po drugiej...

- Nie, Ma! - błagała Niuta. - Obróćmy jeszcze trzy litery!

Od tej pory aż do końca szkoły długopisem pisała prawidłowo, ale jak tylko sięgnęła po kredę czy ołówek, doznawała paraliżu woli i wtedy ukośne, dziwaczne, przyprawiające o zawrót głowy tajemnicze litery wylatywały spod jej ręki, mknąc od prawej do lewej - zdolne zaistnieć wyłącznie w lustrze.

*

- A u nas artysta z cyrku zamieszkał! - radośnie oznajmiła Arisza.

Spotkały się w bufecie, w napęczniałej kolejce za pierożkami - przywożono je na dużą przerwę gorące i zrumienione, ułożone w równe rzędkie na ogromnych blachach.

W czwartej klasie koleżanki rozdzielono według alfabetu. Niuta trafiła do klasy „A”, Arisza - do „B”. Poza tym Arisza bardzo dużo czasu poświęcała muzyce, w zimie została laureatką dziecięcego konkursu „Młode talenty” i teraz była przeciążona rozszerzonym programem nauczania.

A Niuta od pół roku chodziła do kółka sportowego w klubie przy zakładzie mleczarskim.

Bardzo za sobą tęskniły i na każdej przerwie rzucały się sobie w ramiona, nie patrząc na to, gdzie się znajdują - w bufecie, na korytarzu czy na szkolnym podwórku, jeśli była dobra pogoda. Czasem Arisza pytała: „Prawda, że dziś mniej zezuję? Jestem ładna?”. I Niuta gorąco ją zapewniała: „Potwornie!”.

- Klaun! Prawdziwy! Mieszka u Panny Iwanny, śpi na materacu. Ona jest jego starą znajomą. Miał załatwiony hotel, ale powiedział: Nie, u was przytulniej. Taki bezpośredni. I zabawny, bardzo zabawny!

...A teraz jeszcze klaun. Życie jest takie ciekawe! I tak dużo się dzieje. A ona i bez tego ma swoją tajemnicę. W postaci rozczochanego jegomościa w okularach o grubych szklach i z poranionymi i pościeranymi opuszkami palców całych w plastrach. I o tajemniczym imieniu średniowiecznych alchemików: Eliezer.

Jakieś dwa miesiące temu Niuta po zajęciach akrobatycznych biegła korytarzem klubu, spiesząc się do wyjścia. Tatus miał wrócić ze szpitala wcześniej niż zwykle i obiecał zabrać ją do zoo. Wszyscy pędzili tam jak szaleni, by obejrzeć dwa słoniątka: Rawi i Szaszi. Podarował je kijowskiemu zoo Dża... ha... larlar Ner jakiś tam, krótko mówiąc, hinduski król. Ale ona i tata chodzą tam dla małą, którymi nigdy nie można się znudzić. Przywódcą jest

zgarbiony stary pawian; cały czas odwraca się do tłumu czerwoną dupą... Oczywiście nie wolno się tak wyrażać i trzeba mówić „pupa”. A Masza nawet tego słowa nie zna i nazywa dupę „miękkim miejscem” albo jeszcze gorzej: „bułeczką”. Ale Niuta i Christina znają wszystkie słowa, jakie trzeba. Kiedy Christina kąpie Niutę (swoją drogą, pora już przegnać niańkę z łazienki!), powtarza energicznie: *A nu, ledaczka, ne hwilon’! I żopku, i pis’ku nadraj moczalkoj, jak sledowajet byt’ po chichijenie...*⁶³

Otóż pawian zawstydzą wszystkich swoją czerwoną dupą.

Ale Niuta z tatą od dawna mają w zoo swoją ulubienicę - zwinną chytrą małpkę, figlarę i złodziejkę, i przychodzą w odwiedziny właśnie do niej.

To przed jej kłatką jakieś trzy lata temu tata szybciotko wytłumaczył córce podstawy teorii Darwina. Ale Niuta słuchała go nieuważnie, pilnie śledząc przymilne podchody „ich” małpki kręcącej się wokół srogiego pawiana, i wiedziała, że kiedy ten tylko się odwróci, mała wyciągnie taką podobną do ludzkiej, smagłą i pomarszczoną rączkę i zwędzi marchewkę z kosza pełnego warzyw.

- W ten oto sposób małpa stała się człowiekiem! - zakończył tata.

Córka podniosła na niego oczy i zapytała ufnie:

- I wcale się nie zdziwiła?

...Biegając korytarzem klubu, Niuta jak zwykle zwołała obok tablicy ogłoszeń - wciąż potrzebowała trochę czasu, by skupić się i obrócić wiersz w trakcie czytania. I znieruchomiała. Na kartce z zeszytu, w starannie namalowanej czerwonej ramce, jej **n i e d o z w o l o n y m , p r a w i d ł o w y m p i s m e m** - które błyskawicznie przebiegła wzrokiem - było napisane:

„retsuL owtselórK ęcajumjaZ”.

I trochę niżej to samo, czarnymi o d w r ó c o n y m i literami:

„Zajmujące Królestwo Luster:

Zapraszamy do nowego kółka, gdzie możecie dowiedzieć się wszystkiego o tajemniczych lustrach, teleskopach, lunetach i innych optycznych cudach. Zapisy w pokoju numer trzy na pierwszym piętrze, u Eliezera”.

Jęknęła, nie wierząc własnym oczom, zawróciła, wleciała na pierwsze piętro i tam, przed upragnionymi drzwiami, mało nie staranowała głową czyjegoś miękkiego brzucha. Zobaczyła przed sobą wielkiego grubego człowieka z takim zwartym, kruczoczarnym krzakiem na głowie, że ostrzyć go dałoby się chyba tylko ogrodowym sekatorem. Za szklami okularów pławiły się czarne wiśnie ironicznych oczu.

63 (Zniekszt. ukr.) - No, leniu, nie kwicz! I dupkę, i cipkę wyszoruj gąbką, jak nakazuje higiena!

- Hej, jeźdźcu! - powiedział krzaczasty. - Dokąd tak mkniesz? Do Królestwa Luster? -
I zapraszającym gestem szeroko otworzył drzwi.

- A ja... - ciężko dysząc, wymamrotała dziewczynka - ...ja, ja też... mogę...

Podbiegła do stołu, gdzie leżały zawczasu przygotowane kartki z zeszytu, chwyciła długopis i ołówek i szybko - tak Arisza obiema rękami grała rozchodzące się gamy - napisała w różne strony, po s w o j e m u - na lewo i o d w r ó c o n y m i literami - na prawo:

Rewe ta stogne Dnibr szirokij!!!⁶⁴

- Cholerka! - cicho i z uznaniem rzucił za jej plecami okularnik.

- Dziecko, jesteś geniuszem?

- Jestem Nesterenko - odpowiedziała mu uskrzydłona. - Niuta!

- A więc to na ciebie, Niuto Nesterenko, czekałem jak głupi trzy dni...?

Już po tygodniu jej palce też były pozalipiane plastrami, ponieważ Eliezer uczył ją szlifowania brązowej płytki, z której robili lustro według metody starożytnych Egipcjan. Na okrągłą płytkę, zgodnie z założeniem, przedstawiającą tarczę słoneczną, świetnie nadawała się przykrywka mongolskiej szkatułki Maszy. Niuta ochoczo zwędziła ją z sypialni rodziców.

Mimo zachęcającego zaproszenia do kółka „Królestwa Luster” nikt jednak prócz Niuty się nie zapisał i dyrekcja klubu je „zlikwidowała”. Spotykali się więc z Eliezerem tylko we dwoje, za każdym razem gdzie indziej.

Eliezer skończył z wyróżnieniem uniwersytecki wydział fizyczno-techniczny, ale był na rencie z powodu jakiejś dziwnej choroby, którą nazywał „nuda” („Nagle zawładnie mną, aniele mój, Niuto, gryząca suka-nuda... Więc muszę przepędzać ją tabletkami”), i pracował w dziale luster zakładu meblarskiego imienia Bożenki - „żeby o wszystkim zapomnieć”, jak sam mówił z uśmiechem.

Po szkole Niuta czasem odwiedzała go na zapleczu i jak zaczarowana patrzyła na jego pulchne, ale precyzyjne ręce pokrywające szło amalgamatem, rozcinające je zgodnie z szablonem i robiące podkładkę na „tył”, żeby lustro się nie zbiło.

- Zwykle płaskie lustro, aniele mój, Niuto - mawiał - odbija wszystko jak leci: jednakowo z lewej i z prawej strony, z góry czy z dołu... Reszta to owoc interpretacji ujrzanego obrazu, co odbywa się w naszym mózgu, nieprosto zbudowanym. Widzisz swoje odbicie i w myśli porównujesz je ze sobą, znajdującą się po tamtej stronie. Za lustrem...

- A... czy to możliwe? - pytała z zapartym tchem. - Tak... bez pozwolenia?

- Nie wiem, o jakie pozwolenie pytasz, ale niektórzy całkiem poważni naukowcy sądzą, że istnieją lustrzane wszechświaty. Mam mówić dalej?

64 (Ukr.) - Huczy i stęka Dniepr szeroki!!!

- Tak!

- No to słuchaj... A kiedy się znudzisz, daj znać... pójdziemy na lody... Był, proszę cię, taki uczyony, Everett, który domyślił się, że istnieje niezmierna liczba wszechświatów, równoległe z naszym, chociaż o trochę innych parametrach fizycznych... Czeka, czy ty wiesz, co to jest neutrino? A-a-a, od tego trzeba zacząć. Otóż neutrino to jedna z cząstek elementarnych, z których zbudowana jest materia. Rozumiesz? Fizycy odkryli, że w czasie określonych ruchów przestrzeni, na przykład obrotu, właściwości cząstek pozostają niezmiennie. Oprócz neutrina! Tylko jego właściwości zmieniają się w lustrzanym odbiciu... No i jak teraz odtworzyć całkowitą symetrię teorii cząstek?

- No jak? - powtórzyła za nim dziewczynka, z fascynacją obserwując ruchy jego grubych palców próbujących wymacać coś w powietrzu, nakreślić jakąś figurę unaoczniającą „symetrię teorii cząstek”.

- Można przypuścić, że neutrino ma lustrzanego sobowtóra. Ja, założmy, jestem neutrinem, a ty moim lustrzanym odbiciem...

Niuta głośno się roześmiała, wyobrażając sobie, że w lustrze zamiast grubasa Eliezera odbija się ona, Niuta. I że jednocześnie robią do siebie miny - ależ ubaw...!

- A stąd... - ciągnął pieszczotliwym tonem Eliezer, odczekawszy, aż dziewczynka się uspokoi - ...stąd już mały krok do przypuszczenia, że podobne lustrzane sobowtóry mają też inne cząstki. A wtedy-y-y... Co wtedy? Co, aniele mój, Niuto, zbudowane jest z cząstek?

- Materia! - wypaliła „anioł Niuta”, podskakując z emocji i nie rozumiejąc, skąd w czasie rozmowy z Eliezerem biorą się potrzebne słowa, kiedy myśl niczym linoskoczek na niewidzialnie rozciągniętej linii kroczy między l u s t r a m i umieszczonymi gdzieś w czołowej części jej głowy a l u s t r a m i pod czarnym kłującym krzakiem na głowie tego zabawnego grubasa.

- Dobrze! Co znaczy, że z lustrzanych cząstek tworzy się...?!

- Lustrzana materia!!!

- Tak jest... A teraz biegnijmy na lody.

- Będziemy zreć, póki on nie patrzy!

Na początku Niuta rozglądała się dookoła, sądząc, że Eliezer spotkał jakiegoś niesympatycznego znajomego, przed którym trzeba się chować. Ale pewnego razu ujrzała za jego plecami przezroczystego, i n n e g o E l i e z e r a, zupełnie białego, jakby si ę n a ż a r ł lodów do tego stopnia, że szron pokrył jego włosy, brwi i rzęsy... Wzdrygnęła się i powiedziała:

- Ty jednak z tym... nie przesadzaj. Tobie przecież nie wolno słodkiego.

Wieczorami długo nie mogła zasnąć, rozmyślając o wszystkim, o czym w ciągu dnia rozmawiała z Eliezerem. W końcu oczy jej się zamykały... i lustra zaczynały sennie falować drobnymi zmarszczkami, lekko kołysać się jak rzęsa w stawie... Wydawało się, że jeszcze chwila... i cienka twarda powłoka lustra całkiem się rozpuści, kiedy ona, Niuta, będzie przechodzić do innego - obiecanego przez Eliezera - równoległego, prawdziwego lustrzanego wszechświata, który przyjmie ją do swego raczej wodnego niż powietrznego żywiołu, by mogła się rozkoszować, przężnie ślizgając się i prując przezroczystą toń...

I tam, gdzie istnieje prawdziwe życie, gdzie ludzie poruszają się prawidłowo - tam na pewno spotka swoją prawdziwą mamę.

Nie wiadomo skąd wiedziała, że jest w jej życiu Najważniejszy. Najważniejszy nauczyciel i w ogóle najważniejszy człowiek. Wierzyła w każde jego słowo, ustawiała lustra, chłonąc wszystko, o czym opowiadał i czego uczył. A uczył - wiedziała o tym - rzeczy najważniejszych. Dlatego że tam, w jej dalekiej przyszłości, setki, tysiące luster o niezwykłych właściwościach i kształtach odbijały niebo i ziemię, korytarze i sale w najróżniejszych krajach i miastach...

I jeszcze jedno: tak samo spokojnie jak Firawielna odniósł się do jej daru prawdziwej i dnywa. Chociaż osobiście, niestety - i to ją zaskoczyło! - niczego podobnego robić nie potrafił. Widocznie wszystkie jego lustra, wszystkie jego liczne lustra znajdowały się nie w środku, ale na zewnątrz.

I nigdy o nic jej nie pytał, niczego nie wyciągał z niej na siłę, niczym nie stresował. Tylko raz - kiedy wbrew jego woli na zawsze zabierano go daleko-daleko... („Zabierają mnie do Królestwa Luster”) - zapytał:

- Niuto, mój aniele... Czy jeszcze kiedyś się spotkamy? - A kiedy to mówił, jego grube wargi drżały.

Popatrzyła mu prosto w oczy i powiedziała zdecydowanym tonem:

- Tak!

Wiedziała już o tym, że brąz i srebro dobrze odbijają obraz i nie pokrywają się utlenioną warstwą, że szkodliwy rtęciowo-cynkowy amalgamat w poprzednim stuleciu zastąpiono posrebrzaniem, bo było to mniej szkodliwe; знаła też dużo faktów z historii luster, albo, jak je nazywał Eliezer - „twarzo odbić”.

Na przerwach dorywała Ariszę, żeby z zachwytem opowiadać jej o chińskich

wojownikach, zabierających na pole walki szklane amulety, i o chińskich nowożeńcach, którzy w dniu ślubu trzymają lusterka na sercu. I o buddyjskich klasztorach, gdzie do dziś święcą wodę za pomocą lustra...

Wkrótce miała wraz z Eliezerem wypróbować wenecką metodę dmuchania szkła. Sąsiad Eliezera, Georgij, pracował w hucie szkła na Stalince, obok zakładów piwowskich. Ten zaszępioty i małomówny człowiek oprowadził ich po hali produkcyjnej, pokazując zadziwiające rzeczy i sucho rzucając coś w rodzaju: „wanny stopu”, „ładowacz wsadu”, „kanał podajnika”.

Zabawnie kichał: podnosił zgięte kolano, rozstawiał łokcie, strzygł uchem jak zatrwożony koń i rękami wykonywał ruch, jakby przełamywał o kolano niewielką gałąź, wydając przy tym krótkie rzenie...

Potem Eliezer i Georgij kupili sobie piwo w kiosku zakładu piwowskiego i siedli na ławce na skwerku. (Maszuta chyba by zemdląła, widząc córkę w towarzystwie dwóch dziwnych typów z kuflami w rękach).

Wszędzie fruwał lekki jak piórko puch topoli, zbierał się w grudki i toczył po ziemi. Nieopodal trzech chłopców podpałało te srebrzyste obłoczki. Puf!!! - i zjawiskowy błysk gwał.

A w przyszłości! W przyszłości czekało na nich morze luster: płaskich, wklęsłych, wypukłych, ze sferyczną i cylindryczną powierzchnią, luster, które można wykorzystywać w magicznych sztuczkiach, na latarniach morskich, w projektorach oraz różnych innych przyrządach - na przykład astronomicznych lub nawet spek-tral-nych!

- A najstarsze szklane lustra - Niuta opowiadała Ariszy - jeszcze przed tymi w Rzymie, robiono w Sydonie, starożytnym fenickim mieście z wielkim portem, na wybrzeżu Morza Śródziemnego. Cumowały tam statki i marynarze ze wszystkich stron świata wywozili stamtąd szklane lustra, ponieważ dawały najczystsze odbicia...

- Najczystsze? - Arisza marszczyła czoło.

- No tak, obraz był bez mętnego powtórzenia linii. Patrzysz i wiesz: tak, to ja!

Jakieś dwadzieścia pięć lat później, siedząc na uskoku muszelkowego cypla w Hof-Dorze, starożytnym porcie w fenickim mieście Dor, niedaleko Hajfy, Anna przypomniała sobie długie godziny spędzone na zapleczu u Eliezera, jego czarny skórzany fartuch wytarty na brzuchu, jego specyficzną wymowę z „j” w słowach „pjat’”, i „objazan” oraz nienasycone pragnienie ciągłego poznawania, którym zaraził ją ten chorowity grubas ze sztywnym żywopłotem na głowie.

Przepiękna palma na brzegu cichutko szemrała, poruszana morską bryzą.

W trawie pod palmą leżało mnóstwo bordowych daktyli z zamszowym spodem, podziobanych przez ptaki. Fenicjanie dawno już odeszli, myślała Anna, a daktyle wciąż tak samo sprawnie, jak tysiące lat temu, spadają i spadają w trawę, żywiąc ptaki, mrówki, żuczki, a przy okazji i człowieka.

Jak się okazało, Eliezer mieszkał z bratem. I to bratem niezwykłym - w myślach Niuta od razu nazwała go o d m i e n i c e m.

Po raz pierwszy jechała z Eliezerem do jego mieszkania na Podole. Na ulicy Chałturina wsiedli do tramwaju numer dziewięć. Przypominający ślepeca kijowski tramwaj typu „ciągnij i pchaj”, z jednakowymi pyskami na przeciwległych końcach, z trudem pokonywał stromy podjazd na Włodzimirskiej.

Eliezer, śmiesznie drapiąc się grubymi palcami w kłujący żywopłot na głowie, uprzedził Niutę:

- Tylko się nie zdziw. Mam brata bliźniaka, ale bardzo oryginalnego. Niczym moje odbicie w nierealnym lustrze. Kiedyś wymyślę i zmastruję takie lustro: patrzy w nie brunet, a odbija się blondyn...

Mieszkali w komunałce w piętrowym pochyłym domu przy ulicy Bohaterów Trypola, w pokoju po babce Lizie. I kiedy Eliezer grubymi knykциями palców lekko postukał w drzwi, otworzył je i powiedział: „A to jest mój brat Abram. Cześć, Bumo!”, zza stołu podniósł się... Niuta aż zaniemówiła i stała tak, nie odpowiadając na powitanie. Zobaczyła negatyw Eliezera: wszystko, co u niego było czarne, tamten miał białe: włosy, brwi, rzęsy...

Później Eliezer powiedział do niej z wyrzutem:

- Mogłaś być trochę grzeczniejsza!

I miał absolutną rację. A to, że znieruchomiła... Nie wiadomo, czego się tak wystraszyła. Nigdy nikogo się nie bała - takich potwornych inwalidów spotykała na ulicach i w parkach, półludzi, oszpeconych wojną i chorobami; żebraków, śmierdzących pijanych starców - żuli, męty, margines społeczny... I nigdy się ich nie bała, nie czuła do nich obrzydzenia. Rękę podawała, pomagała wdrapać się na stopnie tramwaju, usiąść na ławce... A tu potwornie się wystraszyła schludnego oschłego człowieka w starannie wyprasowanej koszuli i ciepłej domowej bluzie, który od razu i herbatę przygotował, i ciastka podsunął.

Buma - mimo że tak pieśczośliwie nazywany - wyraźnie tu rządził. Po jakichś czterdziestu minutach zaczął sprzątać ze stołu, oznajmiwszy spokojnie i zdecydowanie:

- A teraz czas się pożegnać. - Chociaż wiadomo było, że p o ż e g n a ć s i ę musiała tylko Niuta. - Eliku, widzę, że jesteś zmęczony. Pora odpocząć.

Ruchem dłoni powstrzymał Eliezera, który zerwał się, by odprowadzić Niutę, i z uśmiechem powiedział coś dziwnego:

- Nie ludź się, nie odpadnie.

I Niuta zaczęła grzecznie się ż e g n a ć, czyli wyszła z pokoju - czując na sobie żalodne spojrzenie Eliezera - a potem błędziła ciemnym, długim, krętym korytarzem i przewróciwszy czyjeś narty w kącie, wymacała zamek drzwi wejściowych i z ulgą wydostała się na wolność...

W zapadającym zmroku długo czekała na tramwaj numer dziewięć... I długo, nieskończenie długo, jak jej się zdawało, jechała do domu.

Przez pół nocy wierciła się w łóżku, nie mogąc zasnąć: ledwie zamknęła oczy, stawał przed nią biały odmieniec, negatyw Eliezera, i groził jej palcem, zasłaniając sobą p r a w d z i w e g o brata; wszyscy, mówił, wszyscy powinni już pożegnać się na zawsze...!

*

Ojciec był nieco zaniepokojony i zdumiony tą jej gwałtowną fascynacją lustrami; uważał Eliezera za mocno stukniętego lenia i nie akceptował ich dziwnej przyjaźni przy takiej, jak mówił, „różnicy wieku”.

Firawielna natomiast, zamyślona, oznajmiła z aprobatą, że jest to imię biblijne i tłumaczy się jako „Szczęść Boże”. (Arisza prychnęła: Też mi „szczęść”).

Jeśli zaś chodzi o Maszę, to strasznie się zdenerwowała, nie chcąc nawet słyszeć o jakichś tam lustrach - po prostu w głowie się nie mieści, jakie szalone pomysły ma ta dziewczynka!

A raz urządziła prawdziwą awanturę - w związku z dwóją z wypracowania - krzycząc na cały głos, co zupełnie nie było w jej stylu:

- Ja ci dam lustra! Ja ci wybiję z głowy te bzdury!

Chociaż nikt nie wiedział, jak i czym łagodna Masza miała zamiar „te bzdury” z córki „wybijać”.

Ale Niuta w tym czasie nauczyła się już odpływać jak rybka: przy najmniejszym napięciu wyslizgiwała się z domu, bezgłośnie zamykając za sobą drzwi. Wskakiwano za nią do przedpokoju, ale w lustrze migiała tylko kitka pasiastej czapki Pinokia, jakby dziewczynka przestąpiła zielonkawy owal i zapadła się w Królestwo Luster. Znikała na wiele godzin nie wiadomo gdzie. Na żadne pytania nie odpowiadała... Milczała nie z uporu czy ze złości, tylko tak jak milczy głęboka woda w pochmurny dzień.

Masza miotła się po ulicach, biegła po okolicznych podwórkach, a w skrajnych

przypadkach sterczała przy oknie, omal nie tłukąc głową o szybę.

Wreszcie na zwiady do zakładu meblarskiego imienia Bożenki została wysłana Christina, która wtedy pojawiała się u nich już tylko dwa razy w tygodniu, udając bardzo zajętą matkę rodziny. Choć co to za rodzina: niby-mąż, niby-wdowiec Wasilij Fiodorowicz prawie nie bywał w domu, tygodniami szwendając się po różnych Irkuckach, Taszkientach czy innych Erewaniach... A po powrocie wpadał w potworny ciąg, do utraty świadomości, więc można powiedzieć, że Christina wcale nie była taka zajęta. Dobrze przynajmniej, że Markowna do tego czasu szczęśliwie zdążyła wyciągnąć kopyta i nie widziała, co w jej pokoju wyrabia zalany w sztok Wasia: jak przepija zdobywczy serwis obiadowy, przez jej świętej pamięci męża przywieziony z Lipska, oraz kryształowy jugosłowiański wazon, wystany w potwornej kolejce ze sprawdzaniem listy obecności i mordobiciem...

Ze zwiadu Christina wróciła całkiem uspokojona.

- No co? - niedbale odpowiedziała pytaniem na pytanie. - Gruby taki Żyd, zupełnie stuknięty. Ale człowiek porządny. *Ditio nie obide*⁶⁵. A poza tym, nie rozumiem: *Szo za szucher?*⁶⁶ Przecież ją czegoś nauczy, nie? A nuż się przyda w życiu.

I Masza odpuściła. Nikomu nie potrafiła wyjaśnić, o co jej chodzi.

Córka odsuwała się od niej, odchodziła, odpływała coraz dalej. Coraz bardziej należąc do n i e u c h r o n n e g o.

- Jeden z powidłami! - wykrzyknęła Arisza, stając na palcach. - I jeden z ryżem!

Niuta kupiła to samo i obie, jedząc w biegu, pomknęły schodami na pierwsze piętro - było już po dzwonku.

- Przyjdź dziś po zajęciach - zaproponowała Arisza. - Ale przed piątą, bo klaun ma wieczorem przedstawienie. On takie miny zabawne robi, że uśmieć się można!

Ale klaun nie robił pociesznych min. Był bardzo smętny. A może raczej zamyślony, z wyrazem nieustannego zdziwienia na twarzy. Nawet kiedy wychodził z kuchni, niosąc czajnik i przypadkowo wpadł na Niutę, oblał ją wodą i oboje znieruchomieli, na jego twarzy z wysoko uniesionymi brwiami wciąż malowało się wielkie zdumienie.

- Ormianka? - zapytał.

- Czemu? - zmieszła się dziewczynka.

- Tak pytam, na wszelki wypadek - wyjaśnił.

Nazywał się Jengibarow. Szczupły, przygarbiony, wiotki jak pręcik. Z niezdarnie

65 (Zniekszt. ukr.) - Dziecka nie skrzywdzi.

66 (Zniekszt. ukr.) - O co tyle szumu?

zwieszonymi rękami przypominającymi pędy.

Posępna żona majora Pietii, Lubow Kazimirowna, przezywała go „robakiem”. Patrzcie, mówiła, „robak” idzie. Nie lubiła cudzych gości. Do niej nikt nigdy nie przyjeżdżał.

Ale ta niezdarność - jak od razu domyślała się Niuta - była zwodnicza. Klaun miał muskularne i niezwykle silne ręce. Kiedy już dobrze się poznali i polubili, nagle skoczył w bok, jedną ręką chwycił Ariszę w pasie, obrócił, podrzucił dość wysoko - aż zaczęła pisać, głupia! - i bez trudu złapał ją pod pachami jak polanko. Szkoda, że to nie mnie tak chwycił, jestem przecież lżejsza i zwinniejsza od Ariszy, pomyślała Niuta. Na zajęciach akrobatycznych trener zawsze ją chwalił, mówiąc, że jest wprost stworzona dla poręczy, drążka i liny. I chociaż aż się rwała do wykonania energicznych skoków, przewrotów, salt i szpagatów - ależ by wleciała pod sam sufit, wraz ze spadającą koleżanką tworząc wspaniały duet! - wstydziła się jednak tu, w kuchni, zaprezentować swój popisowy numer, czyli gwiazdę. Miała na sobie szkolny brązowy mundurek, a pod spodem rajtuzy - wszystko przez tę przekłętą Christine! Więc o gwieździe lepiej było zapomnieć... Tylko wstydu by się człowiek najadł.

A kiedy już pośmiali się do woli i naprawdę zaprzyjaźnili, klaun nagle zaczął się kłaniać, żegnając je podejrzanie żałośnie. Długo ścisnął im dłonie, jakby lada moment miał wyjechać na zawsze - Arisza i Niuta nawet wymieniły spojrzenia - po czym zniknął w pokoju Panny Iwanny.

Ale drzwi zaraz się otworzyły i - hopla! - do kuchni wymaszerował... oj, przecież klaun szedł na rękach, włożywszy je w stare kozaki, które Panna Iwanna trzymała w swoim „szyfanierze” i każdej wiosny czyściła pastą do butów, jakby miała zamiar iść w nich na przedstawienie do operetki! Kroczył na rękach, włożonych do tych śmiesznych sznurowanych kozaków, szybko gestykulując uniesionymi nogami jak parą zwinnych rąk: to załamywał je w desperacji, to klaskał, to próbował bosą stopą wytrzeć łzę...

Kozaki zaś w tym czasie przytupywały, wybijając czeczotkę, kręcąc piruety. Była to, jak mawiała Panna Iwanna, „niezapomniana reprzyza”. Ale w samym środku przedstawienia stara wróciła ze sklepu i nie zwracając uwagi na zachwyty dziewczynek ani zaangażowanie klauna, powiedziała do niego srogo:

- Lonia, proszę zostawić kozaki! To pamiątka po moim świętej pamięci przyjacielu.

Klaun błyskawicznie stanął na nogach i, wciąż z uniesionymi ze zdziwienia brwiami, rozłożył ręce, skruszony poruszając kozakami - aj-aj-aj...

Tego samego wieczoru Arisza i Niuta, z liścikiem od „wujka Loni”, przedzierały się przez tłum oblegający wejście do cyrku.

Dwie baby bileterki stały po obu stronach otwartej połówki drzwi, tak że ominąć ich wieloręki, chwytny kordon było niemożliwe.

- *Ta szczo czogo?*⁶⁷ - rozwrzeszczała się jedna z nich na widok podsuniętego przez Ariszę liścika.

Dziewczynka zaczęła mamrotać coś o wujku Loni, który mieszka u nich, i że to on osobiście zaprosił, o, proszę przeczytać. A tymczasem tłum z tyłu napierał, sypały się wyzwiska, jakiś cwaniaczek pochylił się i prześlizgnął z boku niczym węgorz... Baby się wściekły, zakłęły, jedna krzyknęła do drugiej:

- Ot diabeł! On co, po całym mieście swoje bazgroły rozdaje?!

- I odepchnęła Ariszę, a tłum natychmiast wchłonął dziewczynki i zniósł je ze schodów na ulicę.

Arisza stała i płakała, mocno zezując; do tego wszystkiego zgubiła rękawiczkę, zupełnie nową.

Niutę nagle ogarnęła wściekłość. Własne ciało wydało jej się silne i płaskie niczym ostrze promienia; miała dziwną pewność, że za chwilę przesyje ten tłum na wskroś, bez trudu minie znieawidzone baby i znajdzie się wewnątrz, pod kopułą!

- Zaczekaj tu! - rzuciła do Ariszy, nie oglądając się. - Zaraz wracam...

Przeszła może dziesięć kroków i raptem zawróciła, pospiesznie wyjmując z uszu ametystowe kolczyki, prezent od taty na dziewiąte urodziny.

- Potrzymaj... przeszkadzają... - powiedziała, patrząc gdzieś niewidzącym wzrokiem.

I odeszła równym, lekkim krokiem, jakby pozwalając, by ktoś niewidoczny ciągnął ją na smyczy; wmieszała się w tłum, między mężczyznę w szarym płaszczu a dwóch nastolatków, i na oczach osłupiałej Ariszy po chwili mignęła za babami. Nie prześlizgnęła się, nie sforsowała, nie przeskoczyła, tylko przeszła spokojnie, a nawet... obojętnie, jakby była nieobecna. Arisza nie potrafiła sobie tego sensownie wytłumaczyć. Stała, ściskając w pięści ametystowe kolczyki Niuty, które czymś wobec właścicielki zawiniły, i nie mogła oczu oderwać od drzwi, które wciąż połykały i połykały nowych widzów.

A Niuta, już w cyrku, przywarła plecami do kolumny, żeby utrzymać się na miękkich nogach - cała mokra, jakby wyszła spod prysznica... Ona też nie potrafiła wyjaśnić, jakim cudem te stare baby, patrząc na nią, jej nie zatrzymały. Wprawdzie rozkazała sobie, że musi stać się w ś r o d k u przezroczyta, to znaczy wpatrywać się we w ł a s n e l u s t r a, nie odrywając wzroku, a poczuwszy mrowienie w uszach, zrozumiała, że trzeba zdjąć kolczyki... Teraz trzęsła się ze strachu na myśl, że ktoś może ją zaprowadzić na posterunek

67 (Ukr.) - Co to takiego?

milicji.

Rozległ się trzeci dzwonek i publiczność popędziła na widownię...

Słychać było, jak muzycy stroją instrumenty, dzieci biegają w przejściach, skrzypią i trzaskają rozkładane siedzenia. Niczym słabe odgłosy gromu dobiegały z daleka porykiwania zwierząt... Stłumiony gwar unosił się nad czerwoną areną jak szum przypływu...

Niuta wiedziała, że zaraz górne światło zacznie słabnąć, blednąć - i zgaśnie... Nadejdzie chwila wstrzymania oddechu... Aż nagle!!! Gruchnie orkiestra, tram-tararam-bum-bum!!! Reflektory skierują się w stronę głębokiego rowu między trybunami, z którego w dwóch szeregach - półnadzy jak gladiatorzy - wybiegną artyści, błyszcząc niczym ozdoby choinkowe! Utworzą koło wokół areny, uniosą gołe ręce, witając się z publicznością. Burza oklasków przetoczy się jak podmuch wiatru. I rozpocznie się olśniewająca parada, wprowadzie z głupimi okrzykami typu: „Dziękujemy Kochanej Partii” i innymi bzdurami... Ale kto tego słucha...!

I wyjdzie wujek Lonia, smutny klaun w marynarskim podkoszulku w paski...

Cyrk też był w a ż n y.

Nie dlatego, że dość często chodziła z ojcem na wciąż te same przedstawienia, znała program i nazwiska artystów prawie na pamięć - całe szczęście, że do cyrku jest tak blisko. Nie, wcale nie dlatego. Patrząc na akrobatów, na balansujących z wachlarzami linoskoczków, sama szła po linie, uważnie, oplatając ją stopami, i prosto trzymając plecy... Cyrk - od dawna o tym wiedziała - b y ł m i e j s c e m d l a n i e j...

Strasznie ją korciło, by wślizgnąć się na widownię, cichutko oprzeć się o ścianę w jednym z przejść... I stać tam, wciągając w nozdrza specyficzny, ostry z a p a c h p r z e d s t a w i e n i a.

Ale na zewnątrz czekała na nią przemarznięta Arisza. I Niuta, nawet nie zaglądając na widownię, pobiegła do wyjścia. Baby oparte o framugi drzwi stały na posterunku, w oczekiwaniu na spóźnionych widzów, i spokojnie o czymś rozmawiały.

- Gdzie! - zawołała jedna z nich w ślad za dziewczynką. - *Szo tobi, powylażyło? Dywy, nazad nie pustymo!*⁶⁸

Niuta obejrzała się i - a macie za Ariszę! - przeciągle, jak Christina, wyśpiewała dźwięcznym głosem:

- Cio-ot-ki! Wy głu-u-upie kro-wy!

68 (Ukr.) - Tobie co, odbito? Z powrotem nie wpuścimy!

- Cyrk, wie pan, to instytucja nieskomplikowana. Tam każdy pomysł można sprawdzić wieczorem w obecności widzów. Spodobało się, więc robisz to dalej. A czasem spróbujesz... i kłapa.

Nasz klaun, wujek Kim Diewiatkin, opowiadał, jak występował z takim numerem: wkraczał na arenę z parasolką i walizką, w kapeluszu i palcie i stopniowo się rozbierał. Potem zonglował ciuchami, ubierał się i wychodził... Publiczność klaskała niemrawo.

I oto pewnego razu po przedstawieniu w Rydze stary klaun mówi do niego: „Niech obsługa zabiera całe barachło. Palto, kapelusz, walizkę. Nie trzeba się ubierać; niech światło zgaśnie - i koniec. Nie zwracaj tym głowy publice”. Wujek Kim spróbował - sztuczka prosta jak cep, a występ zrobił furorę. Nawiasem mówiąc, opowiadano mi, że Lonia Jengibarow jeździł do Odessy, do domu weteranów cyrku. I starszycy mu doradzali. Nie mieli zupełnie nic do roboty, więc pomagali mu w przygotowaniu programu.

...Ależ po co tak oficjalnie. Wołodia jestem. Mam nadzieję, Robercie, że siedzimy tu niejako śledczy z podejrzanym? No to świetnie. Może jeszcze piwo zamówię...

A pan, jak pamiętam, i poprzednim razem wspomniał, że jest zakochany w cyrku. Dobrze pana rozumiem... Ach, tak? Naprawdę...? Tym bardziej mnie to cieszy. Pewnie był pan wtedy małym chłopcem. Gdzie to było... w Mińsku? W którym roku...?

Pamiętam, pamiętam tamte występy. Przygotowaliśmy własny program. Był tam jeden trudny trik, nazywał się „skok na głowę”. A wykonywano go tak: wychodziliśmy na środek liny „ciuchcią”, czyli ja szedłem przodem z drążkiem do balansowania, a ona, trzymając się jedną ręką mojego ramienia, szła tuż za mną. Potem robiłem wypad jedną nogą, ona stawiała mi prawą stopę na udzie. Na komendę „ap” lekko kuciałem, jakby podnosząc sztangę, i podrzucałem ją, a ona, odbiwszy się, leciała wyprostowana do góry i, złączając nogi, lądowała na mojej głowie...

Pamięta pan? Był to bardzo trudny numer. Miałem na sobie taką ciasną filcową czapkę, żeby mi włosów nie powyrywało. A ona musiała szybko wyprężyć się jak struna, ścisnąć moją głowę stopami, złapać równowagę i pozwolić mi ruszyć do przodu. Wtedy, starając się nie przechylić, szedłem albo biegłem w stronę mostka... Do niej należało nie zachwiać się, stać w pozycji wyprostowanej, pozwolić mi w pełni balansować, ale nie na boki, tylko dokładnie nad liną...

Otóż ten trik - „skok na głowę na linie” - spośród kobiet potrafiła wykonać tylko Gadzikurbanowa, ale lądując nie na miękkiej czapce, na okrągłej powierzchni, tylko na

ogromnych rozmiarów hełmie z papier mâché - prawdziwym lotnisku.

Anna zaś, zdarzało się, co robiła? Troszeczkę krzywo wylądujesz, ciut mocniej się oprzesz na jednej nodze - a ona jak małopka wczepiała się palcami stóp, z całych sił ścisnęła moją głowę i trzymała się na słowo honoru, póki biegłem do mostka... Robiła ten trik niemal bezbłędnie. Wprawdzie raz, w osiemdziesiątym piątym roku, nie zsynchronizowaliśmy się na linie, Anna wypadła z rytmu i przez nią zerwałem więzadło. Dobrze, że stało się to na nisko zawieszonyj linie, w czasie prób... Długo się potem kurowałem...

Mieliśmy w programie jeszcze jeden trik, *looping the loop* się nazywał, pan też powinien go pamiętać. Na oczach publiczności sznurkami przywiązywałem stopy do liny, ślizgałem się na środek, balansując tylko za pomocą rąk, a potem udawałem, że spadam. Publiczność jęczała - a-a-ach!!! - a ja robiłem obrót i znów łapałem równowagę. I zaczynałem „kręcić *looping*” - obrót za obrotem, przy nerwowych akordach Pink Floydów, krok po kroku przesuując się w stronę mostka. Tuż przed mostkiem znów łapałem równowagę w górnym punkcie, co nie było łatwe po rozkręceniu się. Zanim zrobiłem ostatni krok na mostek, prosiliśmy orkiestrę, by podkreśliła mój zwycięski ruch donośnym akordem talerzy z marsza Dunajewskiego! Jednocześnie zapalały się wszystkie światła - wszystkie reflektory na maksa. I rozbrzmiewał marsz bez tego ostrożnego wstępu, tylko od razu od zwycięskiego pasażu. Publiczność zrywała się z krzesel!

Trik przyjmowano brawami, a ja w tym czasie odpoczywałem; czułem się bezpiecznie, byłem przecież przywiązany...

...Nie, żadna lonża nie wchodziła w grę. Byłem przywiązany sznurkami. Kupowaliśmy je w sklepie gospodarstwa domowego, mocne, grube na siedem-osiem milimetrów. Nie mogły się zbyt szybko przetrzeć. Chociaż ze dwa razy się zdarzyło, ale tylko na jednej nodze. Wtedy przestawałem się kręcić, łapałem równowagę w górnym punkcie, zdejmowałem z nogi przetarte strzępki i rzucałem na arenę. Trzeba było widzieć reakcję publiczności! Ryk się podnosił jak na stadionie.

Looping wygląda efektownie, wielu akrobatów zostawia go na koniec. Robią obroty na rękach, nogach, wokół drążków albo sztambertów, na których zawieszony jest trapez...

...Nie pan pierwszy mi mówi, że zapamiętał tylko ją. Ona rzeczywiście była taka... olśniewająca w tym swoim kostiumie... nazywaliśmy go „nagi” - bikini z elastylu w cielistym kolorze: wąskie majteczki i staniczek, gęsto usiane kolorowym czeskim szkiełkiem. Mieniło się i błyszczało w świetle reflektorów niczym drogocenne kamienie! A materiału nie było widać. Zresztą, jaki tam materiał - same trójkąciki na gumkach. To było bardzo odważne. I cholernie pięknie wyglądało. A na wierzchu długa do ziemi peleryna z przezroczystego

kapronu, wykończona białymi piórami. No a na głowie ogromny pióropusz. Niewygodny, ale szykowny. I wszystko to w półmroku, pod kolorowymi reflektorami... i tylko kamienie mieniły się na jej figurce. Ludzie jęczyli z zachwytem...

...A proszę bardzo, niech pan sobie zamawia, ja jeszcze nie jestem głodny... Chociaż... siedzimy tu już dość długo, można by i zgłodnieć... Nie, dlaczego, nie cierpię na brak apetytu... Choć szczerze powiedziawszy, na początku myślałem, że nie tylko jeść, ale i żyć bez niej nie potrafię... Ale sam pan widzi, żyję... I nawet nieźle... Za to Sienia...

A niech pan da spokój, jaka tam zamieć! Każdy sam sobie wybiera swoją zamieć... Wołałem zostać przy życiu i... czekać...

Nie rozumiałem... Przepraszam, nie rozumiałem... Że co?!

Ach, o to panu chodzi!!! Ach, to-o-o...!!! Więc dlatego umówił się pan ze mną w tej podrzędnej knajpce!!!

Chce pan, panie Kerler, powiedzieć, że nie wiedział pan tego wcześniej?! Też mi ostatnie wiadomości! Tak, nie wspominałem o tym w czasie śledztwa; nie myślałem, że to może mieć jakiś związek ze sprawą! A zresztą ma pan rację - nie chciałem o tym wspominać. Stare dzieje. Nie, to normalnie w głowie się nie mieści: znika człowiek, razem z motorem... a gliny się interesują, kto z kim żył dwadzieścia lat temu!

Zgadza się, była nie tylko moją wieloletnią partnerką w cyrku! Była też moją żoną. No i co z tego? Chce pan wiedzieć, czy miałem powody, by ją zabić albo życzyć jej śmierci? Ależ miałem czterdzieści powodów, by ją zabić! I z całego serca życzyłem jej śmierci!

Interesuje pana takie wyznanie?

Zmieni tok śledztwa?

Jeśli ktoś rzeczywiście próbował ją zabić - to tylko Geneviève. Sam pan zresztą wie, że Howard jej przeszkodził... No Howard... papuga Geneviève, garbaty żako. Wzięła go sobie z jakiejś hodowli, kiedy był umierającym pisklęciem, wybrakowanym, z wiadomych powodów: oprócz garbu miał też jakąś chorobę piór, wszystkie mu powyłaziły. Geneviève wykarmiła go pipetką. Wart był tego: mądrała, gaduła, żartowniś. I zakochany w Annie, jak człowiek. Poważnie: ledwo ją ujrzał, zaczynał stroszyć piórka, upiększać się i cały czas powtarzał: „Anna-chłopiec! Daj pocałuję...!”. Widział pan kiedyś, jak papugi się całują? Nie? Wyciągają dziób w stronę ust... zamykają oczy... zupełnie jak ludzie! Zwariować można!

I to właśnie on Annę uratował.

A potem, trzy miesiące później, Geneviève się przede mną wyplakała, opowiadając całą tę historię z takimi szczegółami, że aż mi włosy dęba stanęły. W jakiej musiała być rozpacz, nieszczęsna ptaszyna - mam na myśli Geneviève, oczywiście - żeby zaatakować

profesjonalistkę o stalowych mięśniach! Ależ płakała, biedna dziewczyna, jak gorzko płakała...

Szczerze mówiąc, Geneviève przez wiele lat była zakochana w Annie, bez wzajemności. Anna nie chciała rozmawiać na ten temat i zawsze ostro uciwała wszelkie aluzje. Tak w ogóle to w pewnych sprawach okazała się dziwnie staroświecka. Jakby zapomniała, że kiedy byliśmy studentami szkoły cyrkowej, bez dachu nad głową, szukaliśmy ustronnego miejsca, żeby się kochać. Biedactwa, nawet włamywaliśmy się do pustych kiosków w parku Gorkiego... Wybijesz dwie-trzy deski, rozścielisz kurtkę na zdeptanej, zaplutej podłodze... Oto gdzie przydawały się nasze umiejętności akrobatyczne.

...Dobrze. Chciałbym chwilę odsapnąć, w spokoju wypalić papierosa... Sam siebie miałem dość. A jej tym bardziej, tak jak można mieć dość współwzięnia.

Ja, wie pan, ledwie zamknę oczy, a już widzę jej twarz, i nigdy się tego nie pozbędę, póki żyję.

Już panu wspominałem, jak zobaczyłem ją po raz pierwszy, pięcioletnią...

Drugi raz spotkałem ją w piwnicy, w klubie bilardowym zakładu mleczarskiego. Przychodziła tam z ojcem. Fascynował się sportem i wszędzie zabierał córkę - na stadion, na strzelnicę, do klubu. Nawiasem mówiąc, kiedy na piętnaste urodziny poprosiła go o motorynkę, kupił ją bez sprzeciwu. Tak w ogóle to był to wspaniały facet. I lekarz świetny. On nawet, wie pan, ordery za odwagę miał - w czasach pokoju. Był ordynatorem specjalistycznego szpitala zakaźnego, kilka razy wyjeżdżał na tereny objęte epidemią cholery. Na przykład do Karakałpacji, w sześćdziesiątym piątym chyba, i później w siedemdziesiątym - do obwodu astrachańskiego. Sam te ordery widziałem, i wszystkie jego dyplomy z Rady Najwyższej... Nie mówiąc już o tym, że osobiście udał się do Czarnobyli, chociaż miał już wtedy swoje lata. I prawdopodobnie od tego umarł. Zbyt długo znajdował się w strefie skażenia. Potężny chłop, kozacka krew, mógłby do stu lat dociągnąć. Chociaż Anna twierdziła, że zmarł z tęsknoty za żoną.

...Otóż w klubie zakładu mleczarskiego był bilard, w piwnicy. I my, chłopcy, biegaliśmy tam, by się pogapić na grę.

I właśnie tam ją zobaczyłem. Ależ ona grała! Coś niesamowitego! Siedmioletnia dziewczynka! Oczy miała na poziomie wysokości stołu. Jakoś tak dziwnie brała kijek w lewą rękę, ale mogła też w prawą, zabawnie wydymała wargę i uderzała z taką precyzją, że chłopom czapki z głów spadały. Do dziś widzę ten obrazek: ogromne zielone oczy nad zielonym suknem stołu bilardowego...

Ale poznałem ją później, kiedy w siódmej klasie przyszła do naszej szkoły, sto

czterdziestej piątej.

Mieliśmy matematyczkę Izoldę Siergiejewnę - paskudną, złośliwą jędzę... dobrze chociaż, że nie gryzła. Pamiętam, że miała twarz mniszki o bladych ustach. Sprawiała takie wrażenie, jakby w klasie było jej zimno. Wywoływała ucznia do tablicy, a sama szybciotko cofała się do okna i niby przypadkiem siadała na kaloryferze. Widocznie marzła...

I już na pierwszej lekcji wywołała do tablicy Annę. Wyobraża pan sobie?! Chociaż co tam pan może sobie wyobrazać, my też o niczym nie wiedzieliśmy... Ojciec Anny, jak się okazało, przedstawił w starej szkole zaświadczenie, by nauczyciele nie wywoływali jej do pisania na tablicy, tylko ustnie odpytywali albo pozwolili pisać na kartce. Ale Izolda o tym nie wiedziała, może rodzice z nią tego nie załatwili, a może nasza mniszka olewała wszystkie zaświadczenia, co też niewykluczone. I złośliwie wywołała, stać ją było na to, żeby sobie obejrzeć tę córeczkę tatusia, której nie wolno ruszyć, tę księżniczkę na ziarnku grochu...

No i ją wywołała: „Nesterenko Anna!”.

Właśnie wtedy usłyszałem, jak się nazywa. Zobaczyłem ją w klasie i tak mnie w dołku ścisnęło, że nie mogłem oddychać! Siedziała z tyłu w sąsiednim rzędzie, na prawo ode mnie. Nie odważyłem się odwrócić, ale prawa strona twarzy płonęła mi jak piec. Nes-te-ren-ko Anna! An-na Nes-te-ren-ko!, powtarzałem niczym refren piosenki...

Izolda ponownie ją wywołuje, unosi ze zdziwieniem swoje cienkie brwi i pyta: „Ty co, Nesterenko, masz problemy ze słuchem?”.

Mówię panu, ona potrafiła jeszcze przed prawdziwą kompromitacją tak człowieka zdołować, że idąc do tablicy, już się czuł jak parszywe gówno.

Odwracam głowę, patrzę - Anna, błada jak kreda, wychodzi z ławki i drepcze do tablicy niczym skazaniec na szafot.

Izolda daje jej do rozwiązania jakieś równanie - już teraz dokładnie nie pamiętam - a ta stoi przy tablicy plecami do klasy, nieruchomo, z uniesionymi rękami, jak niewidomy, który chce wymacać coś strasznego tuż przed sobą... Wreszcie sięgnęła lewą ręką po kredę i zaczęła pisać.

Pamiętam, że w klasie rozległo się westchnienie, a potem zapadła grobowa cisza... Kreda stuknęła i stuknęła o tablicę... Anna miała przecież wyjątkowe zdolności matematyczne, ale nikt niczego nie mógł zrozumieć przez te jej bazgroły. Wszyscy przycichli, osłupiali, zaintrygowani... Poczuliśmy... że jest inna, rozumie pan? Jakby cień innego świata przepłynął obok nas bezgłośnie, niczym statek w nocy... Ależ gadam od rzeczy! Raz mi Sienia w Las Vegas tłumaczył naturę aniołów - spotkałem go przypadkowo, w dziewięćdziesiątym ósmym, i spędziliśmy noc przy butelce. To znaczy, nie dosłownie boskich aniołów, tylko ludzi,

których możliwości przekraczają... no, którym z niedopatrzenia w niebiosach czy gdzie tam daje się więcej niż zwykłemu śmiertelnikowi... I w zależności od tego, jak człowiek później radzi sobie z takim ciężarem... z jaką godnością go niesie... no nie, już zupełnie bzdury zaczynam wygadywać... A on tak ładnie to wyjaśniał, tak przekonująco... No dobra! O czym to ja chciałem...?

Aha. Otóż Izolda Siergiejewna, gdy usiadła na kaloryferze, już tam pozostała, jakby się do niego przykleiła. Uwa-a-ażnie wodziła oczami za lewą ręką tej cudacznej uczennicy, która coraz szybciej wybijała czeczotkę kredą na tablicy - tra-ta-ta-ta-ta.

Skończyła pisać i stoi tyłem do klasy. Ręce i głowę opuściła... Potem mi wyznała, że bała się obejrzeć.

A Izolda nagle mówi: „Ach, to tak... Spodziewałam się czegoś w tym rodzaju. - Odwraca się w strony klasy i pyta: - Czy ktoś z was wie, co to jest «pismo Leonarda?»".

Nikt się nie odezwał.

Izolda uśmiechnęła się, mocniej otuliła grubym swetrem narzuconym na plecy i gadała prawie przez całą lekcję, tłumacząc, że to jest takie pismo typowe dla niektórych leworęcznych - nazywają je też l u s t r z a n y m. Dlatego że przeczytać je można tylko w lustrzanym odbiciu. I że Leonardo da Vinci, wielki malarz i wynalazca, też nim pisał na swoich rysunkach i obliczeniach matematycznych. Kiedyś sądzono, że ów najślynniejszy z leworęcznych w ten sposób zaszyfrował swoje genialne pomysły. Ale niektórzy współcześni naukowcy - psychologowie i fizjologowie - z tym się nie zgadzają. Że to niby taka wrodzona umiejętność, w wyniku niezwyklej budowy mózgu u części leworęcznych. I w psychologii nawet pojawił się termin „pismo Leonarda". Oznacza nie tylko ten sposób pisania, ale też cały zespół cech takiej unikatowej osobowości. Co właśnie zademonstrowała nam Anna Nesterenko, nasza nowa uczennica. Siadaj, Aniu. Wszystko dobrze rozwiązane. Piątka.

A ta stoi jak wryta i tylko widać, że kreda podryguje w jej lewej ręce.

Na przerwie nie dawaliśmy jej spokoju: każdy podbiegał z kartką i prosił, by coś napisała tym swoim „pismem Leonarda". I ona pisała... taka szczęśliwa...

Od tej pory aż do końca szkoły pozostała z Izoldą w najlepszych stosunkach. Przecież kolegowala się z tym stukniętym geniuszem Eliezerem, który po coś wbijał jej do głowy wszystkie te uniwersyteckie mądrości. W każdym razie nawet Izolda czasem otwierała usta ze zdziwienia i pytała: „A skąd ty to wiesz?".

Przecież mówię, że do liczb podchodziła z pasją. Miała duże zdolności matematyczne... I wszystko w jej życiu mogło ułożyć się inaczej, gdyby nie ta... gdyby nie ta jej zdolność... Te możliwości, o wiele większe, niż są potrzebne człowiekowi do szczęścia...

No co jeszcze mam panu opowiedzieć? Że przez dwa lata wszędzie za nią biegałem jak pies? I godzinami marzę na lodowisku na stadionie Centralnym - na dolnym boisku odbywały się mecze, a na górnym w zimie urządzano lodowisko. Na okrągło grała głośna muzyka: „Na naszym podwórku... jest pewna dziewczynka” albo „Zabiorę cię do tundry, zabiorę tylko ciebie...”. Czekałem, kiedy się pojawi - w zielonej moherowej czapeczce, chłopięcej kurtce, na łyżwach „śnieguroczkach” - i będziemy mogli zrobić parę okrążeń. Czekałem na ten moment, kiedy zdejmie rękawiczkę, wetknie ją za pasek i jej gorąca dłoń znajdzie się w mojej...

To przecież dla niej zapisałem się do sekcji walk i przez cały rok uprawiałem boks, żeby się bić na śmierć, gdyby ktoś na nią napadł... Aż strach pomyśleć, jak ją kochałem, jaka to była męczarnia i jaka tragedia! Całkowite wycieńczenie organizmu...

Pamiętam, że w ósmej klasie, przed egzaminami na początku czerwca, czekałem na nią na ławce niedaleko uniwersytetu - godzinami tam przesiadywała z tym dziwakiem nawiedzonym, Eliezerem. Choć był stuknięty, jakimś cudem miał chody we wszystkich bibliotekach. Siedzę, patrzę na koniec alei, gdzie miała się pojawić. Akurat kwitły topole, zmora miast, wróg alergików. Wszędzie kłębił się puch, lepki jak pajęczyna, dosłownie tumany tego puchu się unosiły...

Śledziłem ją wszędzie: i w tramwajach, i godzinami sterczałem za szopami, skąd wygodnie było obserwować jej bramę. Wreszcie wyszedłem. Postanowiłem, że od razu wszystko jej wygarnę. Wyznam. Powiem po prostu, że zabiję, jeśli... Kiedy to postanowiłem, przez dwa dni w ogóle nie mogłem jeść, uwierzy pan? Nic do ust nie brałem. Trząsałem się jak zajac!

I oto wreszcie pojawia się na końcu alei! I idzie... płynnie tak idzie, rozpryskując sandałami kałuże puchu z topoli... A mnie z głodu i ze strachu wydawało się, że ona w powietrzu stąpa... po obłokach. Wyobraża pan sobie? No i wtedy spadłem z ławki: przytomność straciłem...

Tak mocno ją kochałem!

...Że jak? Co było potem...? Potem ją biłem... Też mocno... Dziesięć lat później. A ona nie jęczała, tylko po każdym uderzeniu pluła krwią i tak żałośnie pytała: „Boli, Wołodieczku? Boli?”. Póki jeszcze mogła mówić, póki przytomności nie straciła, cały czas powtarzała: „Boli, Wołodieczku?”.

- *Hi*, George, jak się masz? Nie wiedziałem, że już wróciłeś. No i jak tam było w Londynie? Dobrze poszło...? U mnie wszystko w porządku, dziękuję... Poznaj mojego przyjaciela Roberta. A to George... Miło było cię widzieć, stary... Zdzwonimy się. Cześć!

...Mój francuski jest okropny. Ale rosyjski nie lepszy. Nie szkodzi, że przedstawiłem pana jako swojego przyjaciela? Przecież nie mogłem powiedzieć - proszę poznać śledczego z Interpolu, właśnie mnie przesłuchuje... No nie przesłuchuje, dobrze, rozmawia... Nawiasem mówiąc, zawsze ich myliłem: który jest George, a który Roger. Są bliźniakami. Jeden gej, drugi normalny, albo jak tu mówią: *straight*. Obaj pracują w Cirque du Soleil. Roger jest akrobatą powietrznym, a George zajmuje się castingiem. Kochanek dyrektora administracyjnego... Jak się pomyśli, że mają takie same namiętności, zwariować można...

A wracając do tematu... Całkiem możliwe, że nigdy bym jej nie wyznał miłości. Skończylibyśmy szkołę i rozbiegli się w różne strony... Przebolewałbym, jak większość zakochanych chłopców. Pomyśleć tylko, że miałbym zupełnie inne - in-ne - życie! Bez niej. Nawet sobie tego nie wyobrażam...

Ale tak się składa, że to ona mnie wybrała. A właściwie, nie wybrała, tylko wskazała: teraz jesteś mój.

Stało się to w dziewiątej klasie, pod koniec maja, przed samymi wakacjami. Wszyscy już tylko lato mieli w głowie... Po zajęciach wuefu reszta pobiegła do szatni. Zostałem sam na sali gimnastycznej. Dzień był bezchmurny, wszystko skąpane w słońcu, na drewnianej podłodze kładły się jasne kwadraty ogromnych okien. Siedzę na macie, w środku takiego słonecznego okna, obejmuję kolana... i tęsknię. Nagle w drzwiach staje ona. Może czegoś zapomniała... A może mnie wreszcie dostrzegła. Albo jakiś inny kaprys miała. Nigdy nie wiedziałem, czym się kieruje.

Podchodzi do mnie bliżej, bliżej... tak że ujrzałem jej okrągłe kolana tuż nad swoją twarzą... Poczulem się głupio, zmrużyłem oczy i nawet bałem się na nią spojrzeć. A ona nagle łapie mnie obiema rękami za uszy i ciągnie do góry. Zerwałem się na równe nogi. Objęła mnie - mocno tak... jak chłopak. Że niby jesteś teraz przy mnie, nie bój się, nie zostawię cię. Wyobraza pan sobie? Stoję nieprzytomny, serce mi wali, wczepiam się w nią niczym dziecko nad przepaścią, boję się ręce oderwać. Staliśmy tak chyba z pięć minut w tym słonecznym kwadracie na podłodze, mocno objęci. Jak brat z siostrą...

O co więc jeszcze chciał mnie pan zapytać? Ale, za pozwoleniem, zostawię pana na chwilkę... Piwo, rozumie pan...

...Kiedy się odlewałem, za przeproszeniem, przypomniałem sobie, jak oboje, żeby się załatwić, rozbiegaliśmy się w różne strony na polu kukurydzy, na obrzeżach Żmerynki... W ciągu dnia robiliśmy tyle okrążeń motorem w środku „beczki”, że wieczorem ledwo docieraliśmy na pole, by paść bez sił. Leżeliśmy i patrzyliśmy w rozgwieżdżone niebo... Kiedy wokół murem wznoszą się zarośla kukurydzy, gwiazdy na czarnym niebie wiszą nad

głową niczym lampy w pokoju. Tam nas przyłapał stróż Panas Red'ko i od tej pory przychodził każdego wieczoru, aż do naszego wyjazdu. Lubił opowiadać różne historie. Taki mały facecik, mimo upału w waciaku i watowanych spodniach, z dubeltówką na ramieniu i z pieskiem, który wcale nie wyglądał na stróżującego - aż dziwne, że mu pola nie wyczyścili.

Wie pan, co to jest „beczka”? To urządzenie do trików motocyklowych. Rzeczywiście przypomina ogromną drewnianą beczkę, jakieś cztery metry wysokości, ze spiczastą, niczym namiot Szemachańskiej królowej⁶⁹, kopułą z brudnego brezentu. W środku biegnie kołem galeria dla widzów. Stawiano je zwykle na bazarach, ale nie pod szyldem cyrku, tylko innej chałtury - „Sojuzattrakcyonu”.

W radzieckim cyrku, i to dawno temu, był zaledwie jeden numer motocyklowy - „Kula odwagi” w wykonaniu Majackich: męża, żony i córki. Sprzęt do niego okazał się jednak zbyt duży do transportowania, nieopłacalny, dlatego więcej podobnych występów nie urządzano, z góry odrzucając wszystkie zgłoszenia...

Poza tym, kiedy pod kopułą cyrku niczym wiewiórki w kole krążą motocykliści, a ty siedzisz sobie komfortowo i patrzysz z boku... nie robi to żadnego wrażenia. Natomiast w środku „beczki”, kiedy tobą też trzęsie i cię podrzuca, serce wali ze strachu i cała konstrukcja się chwieje, a zawodnik lada chwila wyleci z toru... to już zupełnie co innego. Nawiasem mówiąc, w amerykańskim cyrku takich pokazów jest bardzo dużo. Pracują całe rodziny: „beczkę” stawiają i rozbierają dość szybko, i przewożą własnymi ciężarówkami.

Ale „Sojuzattrakcyon” też bardzo dobrze na tym wychodził.

A nasza historia zaczęła się od tego, że Anna już w dziewiątej klasie jeździła na motorynce po całym Kijowie. Christina przerobiła jej starą skórzaną kurtkę ojca na odjazdową kurteczkę, a ojciec przywiózł z Mongolii męskie buty z naturalnej pierwszorzędnej skóry. I jeszcze kupiła sobie gogle. Ależ ona pędziła! Ależ pędziła! Jak w zachodnich filmach. Pamięta pan tego motocyklistę z *Amarcordu* Felliniego? I co miałem w takiej sytuacji robić? Pieszko za nią gonić? Przez kilka miesięcy rozładowywałem po lekcjach ciężarówkę z warzywami w sklepie samoobsługowym Friedmana. Byłem wysportowany. I już wiosną uskładałem sobie na motocykl. A żeby tatuś nie przepił, trzymałem go w szopie u Girszowiczów - Anna przyjaźniła się z ich córką Ariszą...

Chwileczkę, może pan o niej słyszał, niedawno tu występowała. Znana karylionistka, Irene Girszowicz, gra na kościelnych dzwonach... Nie miał pan przyjemności? Wie pan, że to robi mocne wrażenie, do łez można się wzruszyć. Mnie tak w ogóle to słoń na ucho nadepnął; ważne, żeby było rytmicznie i głośno. A tu - śmiesznie nawet przyznać - wzruszyłem się...!

69 Postać z bajki *Złoty kogucik* Aleksandra Puszkina.

Może dlatego, że to Arisza, jej koleżanka, no i ściskające za serce dzwony... niczym głos niebios. Jakby cię wprost pytał - czy wiesz, robalu, co miałeś i co straciłeś?

Krótko mówiąc, mieszkali po sąsiedzku, też na Żyłańskiej. Anna spędzała u nich więcej czasu niż w domu. Jej mamuśce wtedy całkiem odbiło na punkcie luster... Sądziła, że jakaś zła siła jej stamtąd zagraża, ze środka. I że niby ktoś, jeśli się nie mylę... ktoś z lustra podmienia jej córkę. No po prostu bredzenie jakieś. Ale to już inny temat.

Otóż w komunalce, w której mieszkała Arisza - a lokum było wspaniałe, sama kuchnia ze czterdzieści metrów - żyła też staruszka, Panna Iwanna. Ciekawa babunia, gwiazda cyrkowa z zamierzchłej przeszłości - straszna dziwaczka. Sama paliła i innym - nawet dzieciom - łaskawie zezwalała w swojej obecności palić. Nie cierpiała tylko niedopałków. Ledwie zdążysz wypalić i zgasić papierosa w popielniczce, natychmiast się zjawia: „Zabierać mi stąd umarlaka!”. Ona tak pety nazywała. I wierszyki pisała na tematy codzienne. Głównie dotyczyły porządku. Wejdiesz do toalety, a tam nad spłuczką plakacik odręczny: „Drogi obywatelu, szanuj tych, co tu sprzątają! I pamiętaj o tym zawsze, na sedesie siadając!”.

No a ja zawsze byłem przy Annie niczym pies na krótkiej smyczy, cały czas przy prawej nodze. Zimą jeździliśmy na nartach na wyspie Truchanow. Dojeżdżaliśmy do stacji Hydropark w tłumie narciarzy, wśród stukania nart i wrzasków: „Facet, oczy mi tymi kijkami wydlubiesz!”. Latem zaś pędziliśmy tam na motorach. Ależ panorama stamtąd się rozciągała - od cerkwi Andriejewskiej z jej kopułami po Ławrę Kijowsko-Pieczerską... I jaki zapach się unosił - aromat trawy przemieszany z wonią rzeki. Niesamowity!

Anna i Arisza były nierozłączne jak siostry. Bardzo się przyjaźniły! Więc ja również przesiadywałem w ich kuchni, popalałem...

I oto przed ostatnimi wakacjami siedzimy w kuchni z Ariszą i jej ślepą babką... Też niesamowita starucha była - kiedyś o niej panu opowiem, przy okazji... Nagle wychodzi ze swojego pokoju Panna Iwanna i pyta: „Młodzi, a nie chcecie zarobić parę groszy?”. I mówi, że ma znajomego, który wraz z małżonką wykonuje numer na motocyklu i teraz jeździ z nim po prowincji. Ale małżonka jest już w tak zaawansowanej ciąży, że nie mieści się na motorze. I czy latem Anna nie chciałaby jej zastąpić w „beczce”? Nauczyć się numeru nie problem. Z tydzień to zajmie, góra dwa... Teraz jest szczyt sezonu, można nieźle zarobić... I Anna się zapaliła. Ona zawsze rzucała się jak opętana na każdy szalony pomysł. Nie miałem nic do gadania! Zawsze byłem przy niej...

Wtedy po raz pierwszy uciekliśmy z domu. Ale przynajmniej liścik ojcu zostawiła. Świetnie ten liścik pamiętam. Anna bardzo śmiesznie napisała go prawą ręką, takim okrągłym pismem, dziecięcym: „Tato! Nie martw się, zawsze jestem z tobą!”.

No co mam panu powiedzieć... Było to nasze pierwsze wspólnie spędzone lato...

„Roman i Irina Kupczy: szalony lot!”. Afisze mieli kolorowe jak trzeba. Ale gdyby zwała się jakaś inspekcja, wszyscy byśmy oberwali, a zwłaszcza Roma. Byliśmy szesnastoletnimi dziećmi, bez żadnego zabezpieczenia... E-e-ech... Ni cholery wtedy nikt się nie bał, wszyscy mieli to gdzieś. Teraz czasem sobie myślę, w jakim obłąkanym kraju żyliśmy. Nie da się tego opisać!

Interes się kręcił w dość specyficzny sposób: co pół godziny do „beczki” wpuszczano nową grupę widzów. Sami sprzedawaliśmy i sprawdzaliśmy bilety. Potem przebieraliśmy się za zasłonką - kask, specjalne ubranie... I jazda: parę okrążeń na podłodze, potem po przejściowym pochyłym torze, coraz wyżej i wyżej, i „wy-y-żej kierujemy lot naszych skrzydeł!”⁷⁰. Najważniejsze to nie stracić orientacji, trzymać się szerokiej linii wymalowanej po bokach!

Jak się wtedy czujesz? Normalnie. Wibracje, wie pan, nie są przeszkodą - tak cię przyciska do ściany, że ciało staje się wiele razy cięższe. To tylko tak się wydawało, że leciliśmy jak ptaki. A przy prędkości sześćdziesięciu kilometrów na godzinę taki podmuch w „beczce” się tworzy, że policzki rozdyma jak żagle i kiszki skręca. Publiczność z zachwytem wyła razem z motocyklami. Anna i ja zmienialiśmy się. Roma był nie do zdarcia. My jeździliśmy na łożach rodzimej produkcji, a on miał zdobyczne bmw, niezniszczalne. Wyglądało zwyczajnie, ale chodziło idealnie: silnik jak w samochodzie, mocny, choć jednocylindrowy... Roma był prawdziwym asem, mógł jeździć, siedząc bokiem, tyłem... I nawet na stojąco. A żeby mu w głowie całkiem się nie pomieszało, od rana pociągał z gwinta. Więc pod wieczór w „beczce” unosił się nie tylko smród spalin, ale i odór alkoholu.

Pogoda tamtego lata była wymarzona! Sucho, gorąco... W sklepie sportowym w Winnicy kupiliśmy śpiwory i chodziliśmy spać jak najdalej - do lasu, w pole... Żółta kukurydza, zielona trawa, czarne nocne niebo ze szkiełkami gwiazd...

No i sam pan chyba rozumie... że właśnie tam wszystko się między nami zaczęło...

Mieliśmy po szesnaście lat. Może pan sobie wyobrazić, jaka burza przewalała się po nieszczęsnym polu pilnowanym przez Panasa Red'kę.

Kiedy natknął się na nas po raz pierwszy... A tak naprawdę, to jego piesek z radosnym szczekaniem wskoczył na nasz śpiwór, potem czyjaś ręka odsunęła zarośla kukurydzy i ujrzeliśmy wąsatą dobroduszną twarz z dubeltówką przy uchu. Facet zawołał ze zdziwieniem: *Chłopcy! Szo ce take?*⁷¹. Na początku wziął Annę za chłopca; przed całą tą motocyklową

70 Słowa znanej radzieckiej piosenki.

71 (Ukr.) - Chłopcy! Kim jesteście?

epopeją ostrzygłem jej piękne włosy prawie do korzeni, żeby wszy przypadkiem nie złapała, no i żeby w „beczce” o coś nie zaczepiła... Zaczęliśmy rozmawiać... I wie pan, jak on się do nas przywiązał! Co wieczór nas odwiedzał. Znał tyle bajek, przypowieści, historii, że Gogol by mu pozazdrościł...! A przed nocą na pole wszystkie letnie zapachy się zlatują. Świerszcze cykają, z daleka dobiega ujadanie psów, w charakterze akompaniamentu, w lesie sowa pohukuje... Krótko mówiąc - cicha ukraińska noc, dokładnie taka, jak ją opisywano.

A do tego Panas Jagorowicz ze swymi bajkami.

Opowiadał, jak jego dziadek pracował „na pańszczyźnie”. Nie wiem czemu, ale wszystkie jego historie były związane z „panami”. Zawsze tak przeciągle zaczynał: „O-o-oto jedzie pan na ko-o-oniu...”. Ileż diabelstwa było w jego historiach - koszmar! Wreszcie szedł sobie, uspokajaliśmy się... i po niebie do świtu coś przemykało między gwiazdami... Kometą, spadająca gwiazda, a może wiedźma na miotle...

Co znaczy młodość! Na wszystko sił starczało. Nawet jeździliśmy kąpać się w Bohu. Mieliśmy tam swoje potajemne miejsce: stromy brzeg, powykręcana zgarbiona sosna na jego skraju, a do jej grubej dolnej gałęzi jakiś dobry człowiek przywiązał „tarzanę”. Chwytasz za nią obiema rękami, cofasz się, bierzesz rozbieg i - le-e-ecisz na tej huśtawce prawie na środek rzeki albo dokąd lina sięga. Do tej pory mam przed oczami lejącą Annę: lekką niczym listek... Puszczą linę i... spada...! Stoję nad wodą i patrzę uważnie, gdzie się wynurzy. Upływają sekundy... kolejne... serce mi zamiera! Aż nagle wyłania się z wody przy samym brzegu!

Takie to było beztrioskie, podniebne motocyklowe lato...

...Dziesiątą klasę jednak skończyliśmy. I nawet nieźle. Mogliśmy iść na jakieś poważne studia. Ten fajtłapa, ten kudłaty geniusz Eliezer mógł ją przecież zarazić jakimś optyczno-metrycznym szaleństwem... Ale wtedy już wyemigrował do Ameryki - zna pan tę falę żydowskiej emigracji pod koniec lat siedemdziesiątych. Ponoć brat go zmusił do wyjazdu. Mieszkali razem.

Byli, nawiasem mówiąc, bliźniakami, ale bardzo dziwnymi. Ten drugi był albinosem. Proszę sobie wyobrazić: taka sama twarz, tylko włosy, brwi i rzęsy zupełnie białe... Kiedy stali obok siebie - w głowie się mogło pomieszać. Tylko ten drugi bliźniak, w odróżnieniu od Eliezera, wydawał się normalny. Taki milczący oschły pan, bardzo surowy.

Był architektem w jakimś instytucie naukowym, projektował coś dla ferm hodowlanych. Eliezer we wszystkim się go słuchał, chodził jak na sznurku, jakby był nie jego bratem, tylko synem... Często się zdarzało, że siedzieliśmy u Eliezera, piliśmy z nim herbatę i prowadziliśmy burzliwą rozmowę... Oni zawsze o czymś niezrozumiałym dyskutowali;

siedzisz między nimi i nic nie zrozumiesz, jak na konferencji naukowej: „niewidzialne dziury”, „zagadka optycznego pozytronium”, „skrzywienie promieni świetlnych”. Nagle wchodzi ten drugi... właśnie wrócił z pracy. I jakby chłodem od razu powiało, no po prostu święty inkwizytor się zjawił. „Eliku - mówi - jesteś zbyt podekscytowany. Pora odpocząć...”. I jeszcze jakieś dziwne zdanie dodawał: „Nie łudź się, nie odpadnie”. Nie wiem, o co mu chodziło. Co takiego miało nie odpaść?

I wtedy grzecznie się wynosiliśmy... A może brat rzeczywiście się o niego troszczył? Przecież ten jej lustrzany geniusz był nie tylko cukrzykiem, cierpiał też na depresję. Żyd z cukrzycą i depresją - to jak na Kijów tamtych czasów stanowczo za dużo. Widocznie brat doszedł do wniosku, że w Ameryce będzie mu lepiej.

Anna odnalazła go wiele lat później - tego Eliezera - w jakiejś zapadłej dziurze, w Indianapolis. I nawet go odwiedzała. Pomagał jej robić obliczenia do projektów, ale to było później, znacznie później. Wtedy mieszkał już sam, nieruchawy stary grubas objęty „ósmym programem”⁷². Do Anny zawsze zwracał się: „aniele mój, Niuto”. Chyba jeszcze żyje. Tylko nogę mu amputowali, przez cukrzycę...

...O czym to ja mówiłem?

Aha. Tamtego lata ona jak szalona marzyła o szkole cyrkowej, i to nie w Kijowie, blisko domu, tylko w Moskwie. Ona, wie pan, zawsze musiała gdzieś pędzić, lecieć, biec... Nieważne dokąd. Byle jak najdalej stąd.

A ja - wiadomo. Byłem przy niej. Na zawsze...

72 „Ósmy program” - jeden z amerykańskich programów socjalnych dla imigrantów.

...Przyszła do mnie do hotelu. Otworzyłem po trzykrotnym, przerywanym stukaniu - jakby samo przeznaczenie pukało do moich drzwi.

Stała w progu. „Chceta zobaczyć ślicznotkę?”.

Po raz pierwszy w życiu poczułem, że podłoga poruszyła się pod moimi stopami - a przecież byłem trzeźwy. Okropnie się na siebie zezłościłem!

Jej oczy nawet w najpogodniejszych chwilach napawały mnie niepokojem. Ich zatrważający kolor - przezroczyista zieleń, jaka bywa na morskiej płyciźnie nad szarymi kamykami, które połyskują pod załamującymi się porannymi promieniami słońca - zmieniał się w zależności od oświetlenia i oczywiście od tych jej sweterków we wszystkich morskich odcieniach, w których było jej do twarzy. W połączeniu ze świeżą opaloną cerą działało to jak orzeźwiający powiew bryzy, nawet kiedy zeskakiwała z motocykla, z błyszczącym od potu czołem.

Patrzyłem na nią, stojącą w progu mojego pokoju, i wszystko, dosłownie wszystko w tych oczach gorgony widziałem. W jednej chwili ujrzałem całe nasze życie: nieskończone rozstania, wieczną tułaczkę, samoloty, pociągi, motocykle... drogi, miasta, motele, sale koncertowe... i jakąś śnieżną zamieć: powalone drzewa, zasypany samochód...

Obrazy zawirowały i przemknęły przed moimi oczami niczym tornado... A może to ona przekazała mi je na odległość? Niczego nie ukryła, żebym nie miał wątpliwości - nie będę się nudził.

I wszystko to proponowano mnie - w moim, jak pisali klasycy, podeszłym wieku?!

Cofnąłem się, zamachałem rękami i powiedziałem: „Nie! Nie! Na Boga!”.

Weszła i zamknęła za sobą drzwi.

...W tym czasie grałem już w zasłużonym⁷³ leningradzkim zespole i w cyrku prawie nie dorabiałem. Choć niekiedy się zdarzało... Nie jest to zbyt wyczerpujące zajęcie: wieczorne występy bez uciążliwych prób. Marsze, walce i fokstroty - to nie dwumian Newtona.

W środowisku cyrkowym znalazłem się zupełnie przypadkowo jeszcze podczas studiów. Przyjaciel Aloszka, wspaniały puzonista, zaciągnął mnie do swojego kolegi - malarza.

„Jest przykuty do łóżka - oznajmił radośnie. - Wyobraź sobie, że on w ogóle nie wstaje!”. Póki nie dojechaliśmy autobusem na Pietrowską Stronę i nie doszliśmy do typowego

73 Zasłużony, czyli wyróżniony nagrodą państwową.

domu z cegły, nie mogłem zrozumieć, dlaczego o ciężko chorym koledze mówi z takim lekceważeniem. Wszystko się wyjaśniło, kiedy weszliśmy.

Malarz rzeczywiście wylegiwał się na zapadniętym tapczanie i nie miał najmniejszego zamiaru z niego się podnieść. Rok temu, śpiewnie opowiadał puzonista Aloszka, Grisza zarobił kupę szmalu na zleceniu z cyrku. Całe honorarium wypłacono mu w banknotach dziesięciorublowych; przyniósł je do domu w plastikowej torbie i powiedział żonie: „Póki się nie skończą, nie ruszam się z miejsca”. I przez cały następny dzień pracował jak skazaniec: oklejał ściany pokoju czerwonymi niczym rybie łuski banknotami, leciutko mocując je taśmą jeden przy drugim, potem tak samo rząd niżej... Przykleił wszystkie, po czym na długo zaległ na tapczanie. Budząc się rano, podziwiał łuskowate czerwone rzędy i nucił w zamyśleniu: „Ranek zdobi miękkim światłem mury starego Kremla”⁷⁴. A kiedy przez otwarte okno wlatywał wiaterek, banknoty na ścianach poruszały się i szeleściły.

Leżał tak już od roku. Ściany wyglądały jak jesienne drzewa z mocno przerzedzoną koroną.

Na nasz widok bardzo się ucieszył i zawołał: „Irka, skocz no po wódę!”.

Żona podeszła do ściany, delikatnie oderwała banknot i wyszła... A kiedy już się rozgrzewaliśmy, zjawiły się jeszcze trzy osoby - dwóch krzepkich chłopaków i dziewczyna: taka żyłasta, jakby z gumy... Na początku myślałem, że są z Kirowskiego⁷⁵, ale później się okazało, że z cyrku. Mieli ogromne problemy z wysławianiem się. Ci z baletu też nie byli Spinozami, niemniej jednak... I tak oto wraz z Aloszką, wspomniałym puzonistą, znalazłem się w towarzystwie o napompowanych mięśniach, mocnym słownictwie i lekkiej, niezwykle pojemnej moralności. I obaj radośnie rzuciliśmy się w ten tygiel. W cyrku płacili mało, ale dla studenta każdy grosz się liczy. Później, nawet kiedy już grałem w porządnych orkiestrach, czasami zaglądałem do cyrkowców.

Ciągnęło mnie do ich świata z jego galerią niesamowitych min, z jego siłaczami, klaunami, akrobatami, magami, treserami zwierząt, z pięknem muskularnych ciał, z perukami i nakładanymi nochalami. I z beznadziejną niezdolnością do innego życia. Była w nich prężna, beztraska siła, a jednocześnie czarująca bezmyślność. Niekończące się święto zapomnianych dróg, wozów, namiotów... i niezobowiązującej przyziemnej miłości.

Krótko mówiąc, nieźle znałem cyrk i jego ludzi, z kilkoma się przyjaźniłem, z wieloma piłem, a ilu wysłuchałem... Z tuzin dobrych powieści można by wysmażyć.

Cyrkowcy z natury są jak zwierzęta, tu liczy się ciało. Trzymają się w stadzie jak

74 Słowa popularnej radzieckiej piosenki Wasilija Lebediewa-Kumacza.

75 Opera Kijowska im. Siergieja Kirowa.

małpy, są bojaźliwi, stronią od świata, ufają tylko swoim. Nieprzypadkowo żyją i pracują w rodzinach wielopokoleniowych. I obcych przyjmują niechętnie. Cyrk to ich naturalna ekologiczna nisza.

Wkrótce potem ze zdumieniem odkryłem coś dziwnego: cyrkowcy w przeważającej większości są leniwi i nieprzyzwyczajeni do systematycznej pracy. Takie życie deprawuje nadmiarem wolnego czasu. Próba trwa godzinę-półtorej, a i to tylko w przypadku, kiedy numer wymaga dopracowania. (Nie licząc żonglerów, bo ci trenują nawet po dwanaście godzin dziennie. Znałem takiego, co nawet siedząc na sraczu, podrzucał piłeczki).

Gdyby oceniać ich w kategoriach sportowych, to cyrkowców należałoby porównać do sprinterów. Kiedy trzeba - mogą całymi dniami nie wychodzić z cyrku, wisieć na podnośniku, montować sprzęt, przygotowywać rekwizyty, szyć kostiumy. Wieczorem, przed publicznością, dają z siebie wszystko, a potem piją, żeby rozładować napięcie. Tak w ogóle to w środowisku cyrkowców pije się strasznie, głównie piwo i portwajn.

Popularny w tamtych czasach klaun Kim Diewiatkin zaczynał pić o świcie. Jak tylko otwierano sklep z alkoholem. Zwłaszcza upodobał sobie portwajn Agdam. Przed wieczornym spektaklem bez trudu obalał pięć butelek. Praca była dla niego rutyną. Przez całe życie zawodowe pilnował, by nic w swoich występach nie zmieniać. Przez czterdzieści lat pracował - jak Ołówek⁷⁶ z Kleksem - z pieskiem Maniutą... Oczywiście Maniuta z czasem przenosiła się do lepszego świata, ale natychmiast pojawiała się jej kolejne wcielenie. Nie chciał wymyślać i przygotowywać nowych numerów, skoro wysiłek twórczy uważał za głupotę. I najważniejsze było, żeby pod koniec reprzyzy nie pomylić forgangu z bocznym przejściem i nie poczłapać właśnie tam. Tego starannie pilnowała jego żona Ninoczka, główny nawigator; czujnie trwała na swoim stanowisku i głośno wołała zza kotary: „Kimuszko, tutaj, tutaj!”, a on szedł za dźwiękiem kochanego głosu.

Pamiętam pewnego akrobatę, skończonego pijaka: wykonywał na szrudłach trzy salta, odbiwszy się od trampoliny.

„Paszo, po co tyle wódki żłopiesz? - pytano go. - Jak jutro będziesz skakał?!”.

„Robię to tak - wyjaśniał. - Raz: ziemia mignęła, dwa: mignęła. A za trzecim razem kończę, rozkładając ręce!”.

Przez cały weekend, ma się rozumieć, nie wstają z łóżka. No a po „zielonym spektaklu” - to takie końcowe przedstawienie - piją na umór i już wiadomo, że techników nie będzie w pracy przez trzy dni...

Język, którym się posługiwali, w dziewięćdziesięciu procentach składał się z

⁷⁶ Słynny radziecki klaun.

przekleństw, a na pozostałe dziesięć procent przypadają czasowniki i rzeczowniki: „stał w stójce”. O ich dzieciach powszechnie mówiono, że „urodziły się w trocinach”, ale oni mówili, że „wyszły z tyrsy”, co przypadło mi do gustu - brzmiało jak z gogolowskiego *Płaszcz*. Pamiętam, jak podczas próby akrobata powietrzny Dowejko krzyczał do kogoś na arenie: „Ja to robiłem, kiedy ty jeszcze w tyrsie się walałeś!”.

Wszystkie sprawy, kłopoty, intrygi mieściły się we wszechogarniającym pojęciu „cyrk”. Wszystkie rozmowy, żarty, zaczepki krążyły wokół cyrku. Podśmiewano się z „tyrsowików”, czyli tych, co pracują na dole: iluzjonistów, klaunów, ekscentrycznych muzyków, treserów małych zwierząt. Do cyrkowej elity zaliczano akrobatów powietrznych, linoskoczków, jednym słowem: grupę wysokiego ryzyka.

I wszyscy byli potwornie niewykształceni i biedni.

Nie było biedniejszego od artysty cyrkowego. Jak Cyganie, z łatwością adaptowali się w każdych warunkach; mieszkali taborami, to znaczy całymi rodzinami, w tak zwanych hotelach robotniczych czy akademikach i tam gotowali sobie na kuchenkach elektrycznych. Po spektaklach wiele razy jadłem z nimi kolację: każdy przynosił coś ze swojego pokoju i kładł na wspólnym stole - usmażone ziemniaki, na przykład.

Z powodu ogólnie panującej biedy wszyscy zaciekle bili się „o wyjazd”. Występy zagraniczne dawały możliwość dobrego zarobku. Jak zresztą i w naszym muzycznym środowisku.

Pamiętam, że Mrawiński krzyczał na próbach: „Znam was! Tylko byście chcieli ciocię Maszę nakarmić!”. Był to eufemizm, oczywiście. Przywozili ciuchy, sprzedawali je... Krótko mówiąc: „ciocię Maszę” karmiono występami zagranicznymi.

Przywożono tyle towaru, ile się dało. Byli tacy, co przemycali i pięćset par rajstóp.

Cyrkowcy chowali swoją kontrabandę w kontenerach: w klatkach z lwami i niedźwiedziami. A kto odważy się tam zajrzeć - celnik?! Nikt nie chciał ryzykować.

Przez pewien czas nawet miałem romans z akrobatką powietrzną, nie była już wprawdzie w szczytowej formie. Pracowała na trapezie. Stała na głowie na sztej-trapie. Kiwała się nieco ociężale... Blondynka o rzeźbionych ramionach, zgrabnych kiedyś, trochę za grubych nogach i specyficznym sposobie poruszania się, przypominającym koński chód. Uważano, że jest pociągająca. Nie przepuściła żadnemu młodzieńcowi pracownikowi z obsługi. Siedząc podchmielona w towarzystwie, z rozkoszą kładła nogę na stole albo na krześle, przeciągała się, wyginała, masowała podbicie stopy czy łydkę, podobnie jak się głaszczę szyję konia... I wzdychała: „Żeby tak szybciej pod kopułę. Tam jest bezpieczniej...”.

...Czy muszę mówić, że w czasie kiedy Przeznaczenie trzykrotnie zapukało do moich

drzwi, nikt z bohaterów przedsiębiorstwa pod szyldem „Cyrk” nie mógł już wzbudzić we mnie odrobiny romantycznych uczuć?

Z przyjemnością wykopałbym tę panienkę... gdyby nie pewien wieczór w kijowskim mieszkaniu wiele lat temu; gdyby nie hałasy, podskoki, tupot i bieganie zabawnej dziewczynki oraz wymieniona przez nią - przy okazji całego tego rozrabiania - data moich urodzin. I co tu ukrywać - gdyby nie dziwne dreszcze i uczucie ciężkości ogarniające całe ciało, kiedy tylko usłyszałem pukanie do drzwi.

Nawiasem mówiąc, dzień wcześniej widziałem ich występ - ten słynny, z deską. Przyznaję też, że z tego powodu przełożyłem o dzień swój powrót do Pitra i wieczorem zjawiłem się na przedstawieniu.

Był to rzeczywiście romantyczny, efektowny pokaz. I muzyka świetnie dobrana - z płyty grupy Space - delikatne, falujące pobrzmiwanie, bezcielesne, księżycowe.

Krzyżujące się światła reflektorów z całkowitych ciemności wyłoniły męską postać w białym atlasowym trykocie. Akrobata stał pośrodku liny i zamiast drążka do balansowania miał długą na jakieś sześć metrów deskę - opuścił ją na linę, po czym lekko wyrównał nogami. Z przeciwległych mostków, miękko stąpając i balansując za pomocą wachlarzy, zeszyły dwie dziewczyny. I oto się spotkały...

O ile orientowałem się w tych sprawach, dla akrobatek było to niełatwe: musiały jednocześnie stanąć prawą stopą na desce i przenieść tam lewą stopę, co wymagało pełnej synchronizacji, by nie przeciążyć zbytnio jednej strony i wiedzieć, jak daleko postawić nogę, kiedy dołączyć drugą, jak powstrzymać ewentualne huśtanie... Krótko mówiąc, była to precyzyjna robota całej trójki.

Obie dziewczyny powoli, bokiem, zaczęły przesuwając się ku przeciwległym końcom deski. Widać było, jak deska wygina się i drga. Reflektory parami śledziły artystki. Każdą spowijało czerwone i granatowe światło. Przesuwały się na przeciwległe brzegi, a na samym końcu deski - cóż za widowiskowe posunięcie!

- ich pięty na moment zawisały w próżni i przy westchnieniach wystraszonej publiczności wracały na deskę. Dziewczyny synchronicznie obracały się twarzą do środka i nieruchomiały w półobrocie. Na widowni wybuchała burza oklasków.

Akrobata w tym czasie zszedł z liny. Zostały tylko dwie samotne figurki na krańcach deski.

Włączyła się lustrzana kula i na arenę spłynęły płaty białego światła niczym powoli wirujący śnieg. Aż tu nagle, niespodziewanie dla widzów, jeden koniec deski zaczął przechylać się w dół. Dziewczyny huśtały się coraz mocniej i mocniej. Wyglądało to

niezwykle efektownie: długa huśtawka wśród śnieżnych płatków, zawieszona na dziesięciometrowej wysokości, i dwie lekkie figurki balansujące na jej brzegach w promieniach reflektorów, coraz niebezpieczniej huśtające się w takt szalonych obrotów lustrzanej kuli...

Widownia po prostu wyła z zachwytu...

A ja nie mogłem oderwać od nich oczu... zwłaszcza od jednej. Druga była świetną akrobatką, wspaniałą, profesjonalną artystką o zgrabnej, bardzo kobiecej sylwetce. Ale ta pierwsza... szybka jak jerzyk, była wręcz stworzona z tych płatków śniegu i księżycowego pyłu. Wydawało się, że gdyby nawet źle postawiła stopę i zsunęła się z deski, nadal - jakby nigdy nic - szybowałaby pod kopułę cyrku, a potem wolno opadała prawie na samą arenę i znów unosiła się wysoko...

Nie czekałem na koniec owacji, „komplementów” i innych wyrazów zachwytu wdzięcznej publiczności. Wytarłem chusteczką spocone dłonie i wyszedłem na świeże powietrze... postanawiając, że przestanę się wygłupiać i jeszcze tego samego wieczoru wyjadę do Pitra.

...Zdażyłem się już spakować, kiedy zapukała i weszła. Wyglądała zupełnie jak chłopiec i lekceważyła moje paniczne okrzyki: „Nie, nie, za nic w świecie!”.

Chyba jeszcze powiedziała, że odtąd należymy do siebie - coś w tym stylu, jakiś banał.

Zapytałem, czy gówniara przypadkiem nie przesadza. „Czy pani nie rozumie - dodałem surowo - o ile jestem od pani starszy?”.

„Milcz - odezwała się. - Mam to gdzieś”.

Sprzeciwiłem się: „O nie, przepraszam bardzo, nie jestem pedofilem. Lubię dojrzałe panie, z ciężkim biustem, zwisającym zadkiem i masywnymi nogami...”.

Bez słowa pchnęła mnie z całej siły w pierś i rzuciła się na mnie, tak jak z mostu rzucają się do rzeki. Padliśmy na podłogę i mocny prąd porwał nas bezlitośnie i nieodwracalnie...

I od tamtej chwili „napięcie nogi i konwulsje torsu z obrotem wokół własnej osi rodzą to uniesienie, którego dusza już nie może się doczekać...”⁷⁷. Otóż od tamtej chwili - jak to pisano w klasycznych powieściach? - „mój los został przesądzony”.

⁷⁷ Josif Brodski, *Michail Barysznikow*.

Choroba Maszy objawiła się nagle i w sposób dość dziwny: w holu budynku centralnego studia telewizyjnego. Masza przyjechała tam, by akompaniować bałajkarzom ze szkoły muzycznej. Wsiadła do windy z jakąś niepozornie wyglądającą kobietą, odwróciła się do ściany i nagle poczuła, że jeśli zaraz spojrzy za siebie, zobaczy u tej kobiety kły.

Gwałtownie wyciągnęła z torebki puderniczkę, otworzyła ją i uchwyciła w lusterku przygasłą twarz kobiety, która obojętnie gapiła się w ścianę... Ale niewytłumaczalne i złowieszcze było to, że w okrągłym lusterku za kobietą stał jeszcze ktoś, tyłem do Maszy, i trzymał w rękach lusterko, a rząd karków i twarzy mnożył się w nieskończoność, tak że nie można ich było rozróżnić, i znikał w czeluści puderniczki, w mosiężnej bezdennej strefie obłędu.

Winda się zatrzymała. Masza wysiadła, powłócząc nogami, i wysiłkiem woli przegnała koszmarnie zwidy. A do obiadu już zapomniała o całym zdarzeniu.

Trzy tygodnie później poszła z Anatolijem na koncert orkiestry Francuskiego Radia pod batutą Cluytensa (program był niezwykły, na przykład symfonia *Lalo*). Kiedy w wyłożonej lustrami łazience sali koncertowo-kinowej Ukraina myła ręce, podniosła głowę i w lustrze, za swoim odbiciem, ujrzała plecy i tył głowy jakiejś kobiety myjącej ręce, a przed nią, w oddali, z lewej strony stała kolejna, i n n a M a s z a: myła ręce i wyraźnie się uśmiechała, a nawet puszczała oko do tej, która stała naprzeciwko po prawej... Obie wymieniały spojrzenia i podśmiewały się z p r a w d z i w e j Maszy.

Zrobiło jej się słabo. Dwie życzliwe kobiety, z których jedna na szczęście okazała się pielęgniarką z jakiegoś szpitala, zaczęły ją cucić, przez co spóźniły się na drugą część koncertu. Tola najpierw siedział w sali jak na szpilkach, a później miotał się w holu, nie wiedząc, co się stało.

Po tym wszystkim dłużej już nie mogła przed nim ukrywać, że dzieje się z nią coś złego i niewytłumaczalnego.

No a później była wizyta u Jakowa Mironowicza Stielkina, znanego psychiatry, do którego trzeba zapisywać się z dwumiesięcznym wyprzedzeniem, ale, dzięki Bogu, był ze środowiska lekarskiego... Tola jeszcze tego samego wieczoru zadzwonił pod jego numer domowy i Stielkin - co znaczy kindersztuba i korporacyjność! - zachował się jak należy: natychmiast przyjął, uspokoił i namawiał, by „odpocząć i się podleczyć”.

Masza od razu się rozchmurzyła. I nawet przeszła się z Tolą po Kreszczatiku - jak rzadko człowiek może tak sobie po prostu pospacerować! Zajrzeli do domu towarowego,

kupili cudowny staromodny kapelusik z maleńką woalką, stylizowany na lata dwudzieste. Masza wyglądała w nim cudownie - wykapana Mary Pickford! Szkoda tylko, że nie chciała przejrzeć się w lusterku na ladzie.

Potem wpadli do kawiarenki Grota, zjedli lody śmietankowe i przypomnieli sobie, jak Tola oświadczył się Maszy wiele lat temu, w nędznym kinie Družba tuż obok, ze zdenerwowania zapomniawszy języka w gębie. Ścisnął jej małą dłoń i mamrotał: „Pozwoli pani obwieścić jej swoją miłość!”.

A teraz jadł lody i co chwila wołał: „Madame Nesterenko! Pozwoli pani obwieścić jej swoją...”.

Masza nawet ze dwa razy się uśmiechnęła.

W ostatnim czasie unikali rozmów o Niucie - Masza nie chciała. Tola próbował wstawić się za córką, napomykając, że sam w młodości uciekł z Mariupola, aż nad Morze Białe, by trochę zarobić, i zaczął się na stacji biologicznej. I nic się nie stało, Maszeńko, widzisz, wszystko się ułożyło, wyszedłem na ludzi... Ale przerwała mu, potwornie wykrzywiając usta, jakby próbowała zdławić wycie, tak że natychmiast zamilkł. I miała rację: chłopiec na stacji biologicznej i dziewczyna pędząca na motorze w śmierdzącej pijanymi chłopcami jarmarcznej „beczce” - to zupełnie dwie różne rzeczy. Lepiej w ogóle nie myśleć, gdzie ona lata, ten mój motocyklowy anioł...

...Kiedy weszli po schodach do mieszkania i Tola jak zwykle pstryknął przełącznikiem, oświetlając w lustrze szczupłą i przygarbioną nieznaną kobietę w staromodnym czarnym kapelusiku na głowie, Masza gwałtownie się cofnęła, osunęła na podłogę i zaskłała z udręką w głosie: „Zabierz, zabierz!”. Kapelusz spadł jej z głowy i potoczył się w kąt jak śmieszny czarny kłębek.

Tola chwycił żonę pod pachy, zaprowadził do sypialni, rozebrał, uspokoił... A potem, przeklinając, obcęgami długo wyciągał ze ściany stare gwoździe. Zdjął ciężkie zabytkowe lustro w rzeźbionej owalnej ramie i odwrócił je w komórcę do ściany - „cholera, jakbyśmy mieli w domu nieboszczyka!”.

No i trzeba było sięgnąć po wałokordin⁷⁸, walerianę... oraz inne mało skuteczne środki - dotąd nikt nigdy u nich nie chorował, brakowało nawet mocniejszych pigułek na sen, nie były potrzebne, no bo i po co? Gdy tylko nastał ranek, Tola zawiózł żonę taksówką do słynnej kliniki Pawłowa na Kurieniowce, gdzie przesiedział z nią cały dzień.

*

Tamtej nocy Niuta miała jeden z najgorszych koszmarów sennych w swoim życiu:

78 Wałokordin - krople na uspokojenie.

rozczochna Masza z opuchniętą twarzą tłukła lustra...

Były to jakieś wysokie lustra wbudowane w ściany. Pękały z cichym trzaskiem, śmiejąc się mnóstwem krzywych odłamków. Bosa Masza miotała się z niemym krzykiem od lustra do lustra i waliła na prawo i lewo obcasami pantofli ściskanych w dłoniach.

Najstraszniejsze jednak, że zarazem było to owe tajemne l u s t r a, odbijające cały prawdziwy świat jej córki, i że ten kruchy świat z każdym uderzeniem, z każdym okrzykiem triumfującej szalonej Maszy rozsypywał się, ociekał krwawymi pęknięciami...

Niuta z trudem się obudziła...

Leżała plackiem, potwornie rozbita, nie mając siły się ruszyć. Próbowwała zrozumieć - za co? Starła się po omacku znaleźć jakiś prześwit w zwałach odłamków. Nad nią, niczym szkolna tablica, wisiało nieprzeniknione niebo. Wreszcie zazieleniło się poranną mgiełką. Niuta z wysiłkiem woli gwałtownie zerwała się z łóżka.

- Dokąd to? - rzucił zaspany Wołod'ka.

Nie odpowiedziała, gorączkowo upychając rzeczy do plecaka. Czuła ogromne zmęczenie w całym ciele, głowa pękała od świdrującego bólu, ale najgorsze, że l u s t r a, wszystkie jej l u s t r a... były matowe, popękane. I długo, męcząco długo, tygodniami, będą odtwarzać się teraz na nowo, warstwa po warstwie, zarastając cienką powłoką, odbitym blaskiem, falującym światłem...

Nic w tej chwili nie w i d z i a ł a. Po prostu przeczuwała, że z Maszą dzieje się coś złego.

- Muszę jechać do domu, Wołod'ka. Coś się tam stało - powiedziała zmęczonym ochrypłym głosem.

- Skąd to wiesz? - spytał zaskoczony.

Jeszcze się nie przyzwyczylił... nie czuł kołysania otchłani pod jej stopami. Zatrzymała na nim spojrzenie: jasny język na głowie, zaspana, zdziwiona, dziecinna twarz, wargi czarne po wczorajszej leśnej jagodzie... Mój ty biedaku...

Sama, pomyślała z beznadzieją. Nie wciągaj go do tego, musisz być sama!

I odparła cicho:

- Wiem.

*

Przeszłość nieodstępnie prześladowała Anatolija i Maszę N a n o w y c h ś c i e ż k a c h: to właśnie do cerkwi Kirillowskiej, stojącej na terenie kliniki psychiatrycznej, Masza przyprowadziła Anatolija w czasie ich pierwszej randki, by pokazać mu postaci w ikonostasie namalowane przez Wrubla. I wytłumaczyła, że do obrazu Matki

Boskiej z taką niekanoniczną, cierpiętniczą twarzą pozowała cudza żona, kobieta o imieniu Emilia, w której Wrubel był potajemnie zakochany. Tola patrzył na ikony z ogromnym przejęciem, a potem powiedział, że dla kochającego mężczyzny jego kobieta zawsze jest jak Matka Boska. I za te słowa Masza pokochała go na zawsze...

Nie wysłał telegramu do córki, bo niby dokąd miał wysłać - na wieś do „beczki”⁷⁹?

Ale kiedy wieczorem, wracając ze szpitala, podchodził do domu od strony Włodimirskiej i z przyzwyczajenia podniósł wzrok, zobaczył światło w kuchennym oknie, jęknął i wbiegł po schodach jak młodzik.

Jasno oświetlony przedpokój wyglądał, jakby był ślepy - z bielmem po lustrze na ścianie.

Niuta wyszła z kuchni i znieruchomiała w progu.

Była piękna - opalona, szczupła, z krótkimi, ale kręcącymi się, złocistymi od słońca włosami i z wyrazistymi oczami, w których szalał wodny żywioł. Powiało od niej zdrowym świeżym powietrzem prowincji, kąpielami w Bohu, plonami, płodami i energią ukraińskiego lata...

Anatolij ciężko opadł na starą kozetkę obitą wytartym wiśniowym aksamitem i nie odrywając oczu od córki, powiedział cicho:

- A u nas, Niuto, nieszczęście... - I pomyślał ze smutkiem: Po co ja to mówię? Przecież ona...

- Wiem, tato - odparła spokojnie.

Podeszła do ojca i mocno go przytuliła. Anatolij nie wytrzymał i rozplakał się, rozplakał się po raz pierwszy w życiu, nie wstydząc się córki.

Później, kiedy pili w kuchni herbatę, zapytał niepewnym głosem:

- Niutoczko... jak możemy zmienić... nasze życie?

A córka, patrząc mu prosto w oczy, odpowiedziała:

- Ono już się zmieniło, tato. Nic na to nie poradzisz. Nie zamartwiaj się tak... Masza wróci. Za jakieś pięć tygodni.

I rzeczywiście: upłynęło półtora miesiąca i w szóstej klasie szkoły muzycznej wyciszona, zmizerniała Masza dyktowała uczniom daty z biografii Ferencza Liszta, słynnego węgierskiego kompozytora, którego córka Cosima znana jest również z tego, że wychodząc za mąż za Ryszarda Wagnera...

...I tylko lustro nadal stało w komórce, pluskając o głuchą ścianę niczym potajemna

⁷⁹ Nawiązanie do opowiadania Antoniego Czechowa *Wania*, w którym chłopiec adresował list: „Na wieś do dziadka”. Zwrot jest powszechnie używany w mowie potocznej.

morska toń...

Część trzecia

... Tylko bogowie mogą położyć kres wolności naszego rozumu. Jeśli zaś nie chcą się mieszać, zmuszeni jesteśmy wymyślać własne prawa albo z obawą błądzić po bezdrożach wolności, marząc o znalezieniu oparcia choćby w zamkniętych bramach, choćby w głuchej ścianie.

Thornton Wilder, *Idy marcowe*

Na parapecie w kuchni akademika szkoły cyrkowej leży kogucik na patyku - lepki różowy lizak owinięty w folię po czekoladzie Alonka.

Kogucik jest wspólny.

Studenci nim zakąszają, a dokładniej: czasem liżą go po spożyciu portwajnu. Poliżą parę razy i starannie zawijają w folię do - następnej balangi. Wygląda tak, jakby leżał tu od dziesięcioleci i kilka pokoleń cyrkowców wychowało się na tym „złotym koguciku”⁸⁰.

Nawiasem mówiąc, za picie, jeśli przyłapią, mogą nawet wyrzucić ze szkoły. Od czasu do czasu komisje robią naloty na akademik. Dwóch-trzech wykładowców maszeruje, głośno tupiąc, i zagłada do wszystkich kątów, a nawet garnków - istne gestapo! Burzyciele spokoju z górnego, „męskiego” piętra uciekają z butelką w rękę przez okno na parterze - z pokoju Anny i dwóch innych studentek.

Pokój - co stanowi jego zaletę - jest narożny, ostatni na korytarzu. A za oknem biegnie wzdłuż całego budynku mocna rura. Łatwo więc przedostać się przez lufcik do akademika i tak samo niezauważalnie z niego wydostać.

Wieczorami w pokoju panował ruch jak na dworcu! Dziewczyny drzwi już nawet nie zamykały, żeby ich nie budzono. Przybiegłeś, wybiegłeś - twoja sprawa. Tylko nie hałasuj, daj ludziom spać. Przecież rano idziemy na zajęcia.

Wśród wykładowców trafiali się też i „swoi”, byli artyści.

Pewnego razu Stróże moralności zwalili się znienacka, więc chłopaki co sił w nogach popędzili do tajemnego wjazdu. Grupka uciekinierów bezgłośnie i zwinnie - czegoś się jednak nauczyli w naszej słynnej szkole - wysypała się przez lufcik jeden za drugim. Ostatni wyslizgnął się jak węgorz, miękko lądując na ziemi.

Anna podeszła do okna, by zamknąć lufcik, i znieruchomiała. Na podwórku, w gęstym cieniu wielkiej topoli, coś się poruszyło i z mroku wyłonił się, kuśtykając, staruszek Firs Pietrowicz Ziemcew, nauczyciel żonglowania. Podeszedł do okna, pokręcił głową i z uśmiechem rzekł cicho: „Ech, Nesterenko, Nesterenko... Nierozumne z ciebie stworzenie!”. W milczeniu obserwował pospieszną ewakuację i nikomu nic nie powiedział.

Jeśli chodzi o napoje wysokokowe, były to głównie portwajn albo słodkawe wino Lidia, kupowane dzięki „ogromnemu” stypendium w wysokości trzydziestu rubli. Prymuska Anna dostawała więcej - całe trzydzieści pięć rubli! Wołod'ka natomiast zawsze oblewał parę przedmiotów, a potem brał się do nauki, przygotowywał się, męczył, zdawał egzaminy

80 Nawiązanie do *Złotego kogucika* Aleksandra Puszkina.

poprawkowe... Jego edukacja przypominała naciąganie na siebie zbyt krótkiej kołdry: gdy za drugim razem zaliczał teatr zachodni, oblewał wychowanie muzyczne; nauczył się jednego - drugie natychmiast wylatywało mu z głowy... Za to z rytmiką, tańcem, specjalizacją - w skrócie „spec” albo „specucha” - nigdy nie miał żadnych problemów.

Na obiady biegali do stołówki wydawnictwa Prawda, niedaleko szkoły. Za pół rubla serwowano tam porządy zestaw obiadowy: na pierwsze zupę jarzynową albo barszcz ukraiński, na drugie gulasz z typowym radzieckim dodatkiem - gumowym makaronem albo rzadkim purée ziemniaczanym. Były też kotlety, ale gulasz miał coś cenniejszego, a mianowicie: sos. Zbierasz ze stołów niedojedzony chleb i maczasz go w sosie... Czasami podawano sałatkę ze świeżej kapusty z majonezem - zawsze to jakieś witaminy! No i kompot z rozgotowanych jabłek i moreli przypominających zdechłe meduzy. Krótko mówiąc - dało się żyć.

A w dniu wypłaty stypendium, jeśli nie narobiłeś za dużo długów, to nawet mogłeś zaszaleć - wpaść do Szaszłyecznej na Nieglince czy do Polewego Stanu, przez studentów nazywanego Stanem Seksualnym⁸¹...

W akademiku też nikt głodny nie chodził. A to Ninka dostanie od rodziców z Winnicy paczkę z cegłami czekolady wyniesionej z tamtejszej fabryki słodyczy, a to Nadieżda sprzeda na lewo parę biustonoszy (jej siostra pracuje w zakładach bieliznianych w Mińsku i „w naturze” wspiera młodszą Nadię).

Można też zrzucić się, kupić ziemniaków i nażreć się do bólu brzucha. Albo ugotować zawieszistą zupę w ogromnym emaliowanym garze, wrzucając do niego wszystko, co się znajdzie w szafkach (jak żołnierz gotujący polewkę z cholewy). I wszyscy będą się nią zajadać przez trzy dni z rzędu - i chłopaki z pierwszego piętra, i dziewczyny z parteru. I jeszcze aktorzy przybiegną - szkoła Szczepkińska⁸² i jej akademik znajdują się na tym samym podwórzu.

Wieczorami bywało wesoło. Ninka - współlokatorka Anny - śmieszka, znawczyni kawałów, umie trochę grać na gitarze siedmiostrunnej; pobrzękuje figlarnie i drze się na całe gardło, żeby nie było słyhać, jak fałszuje. „Czekajcie! - woła nagle w środku piosenki. - Kawał mi się przypomniał: statkiem płyną Rosjanin, Ormianin i Żyd...”.

Jest jeszcze piękna Łotyszka Sandra, ale rzuci studia pod koniec pierwszego roku, jak żartowali koledzy - „z powodu kalectwa: potwornej puchliny wodnej”. Puchlina czy nie, ale brzuch jej wzdęło - to fakt. Tak bywa, gdy stracisz czujność. W ciąży nie da się ćwiczyć na

81 Potowoj (ros.) - seksualny.

82 Wyższa Szkoła Teatralna im. Michaiła Szczepkina.

trapezie. Sandra jednak, można powiedzieć, miała szczęście: chłopak - obcy spoza cyrku - nieoczekiwanie poprosił ją o rękę. Nawet sama się zdziwiła: ależ porządny się trafił! W ten sposób niespodziewanie została moskwianką.

Jakieś dziesięć lat później, po przedstawieniu w Starym Cyrku Sołomońskiego na Cwietnym Bulwarze - był to ostatni sezon przed jego zamknięciem i zburzeniem - do garderoby przedrze się pulchna blondynka z dwoma synkami i rzuci się na Annę i Wołod'kę, całując ich i mamrocząc jakieś czule słówka...

Takie pozdrowienia z młodości...

I Anna w swoim oślepiającym stroju, ściągnięta w talii wąskim, wysadzonym błyszczącymi sztucznymi kamieniami paskiem do przypinania lonży, nie zdążywszy zdjąć ogromnego pióropusza z rudawych kręcących się włosów, będzie stać i uśmiechać się. Czując nagłą chęć, by pogłaskać te dwie chłopięce rozwichrzone główki!

Budynek GUCEI⁸³ na Piątej Ulicy Jamskiego Pola - niewielki i przytulny - od samego początku był dla niej jak dom rodzinny.

Wbiegała do holu, oddawała kurtkę do szatni, w biegu sprawdzała pocztę - może ojciec napisał list albo Christina nabazgrała jakąś kartkę? - i mknęła dalej. Naprzeciwko drzwi jest otwarte przejście, niczym kulisy w teatrze: prowadzący stamtąd w prawo i w lewo korytarz półpięścieniem okala główną „okrągłą” arenę. Odbywają się tam próby pokazów końcowych, przeglądy, egzaminy, spektakle - ale do tego wszystkiego i Annie, i Wołod'ce jeszcze daleko.

Na parterze są również: pokój nauczycielski, bufet, szatnie z prysznicami, warsztaty i charakteryzatornia.

A na pierwszym piętrze, w wielkiej sali prób zwanej „kwadratową” areną, trenują studenci pierwszego i drugiego roku. I to już jest prawdziwa arena, prawie jak w cyrku: na dole - barierka dookoła, na podłodze - miękkie dywanowe pokrycie rozłożone na trocinach, na górze - długi półokrągły balkon. Są tu oczywiście wszystkie urządzenia potrzebne do ćwiczeń: drążki, kółka, trapezy, ścieżki dla akrobatów, nisko zawieszony drut...

Pierwsze zajęcia z akrobatyki - pełne wstydu i zażenowania - Anna zapamiętała na całe życie. Niby co takiego nadzwyczajnego jest w szkolnym trapezie... Ale to chwiejne cholerstwo tańczy pod tobą dosłownie jak żywe: wystarczy, że drgniesz, a zaczyna huśtać się na wszystkie strony, staniesz na nim - próbuje uciec spod stóp. Im bardziej starasz się je

⁸³ GUCEI (Gosudarstwiennaja Szkoła Cyrkowego i Estradnogo Iskusstwa; ros.) - Państwowa Szkoła Sztuki Cyrkowej i Estradowej.

okiełznać, tym mniej cię słucha. I, oczywiście, nie chodzi o strach: zgodnie ze wszystkimi wymogami zasad bezpieczeństwa Anna ćwiczy na lonży przyczepionej do specjalnego paska w talii. Cienka lina prowadząca w górę jest przerzucona przez zamocowany na suficie krążek i swobodnie przesuwa się w ruchomym kółku. Drugi koniec liny, zakończony sznurem, trzyma stojący na dole nauczyciel, który Annę ubezpiecza. Choć częściej się mówi „passuje”; i trzeba to robić umiejętnie: trzymając lonżę, cały czas ją napinać, żeby za bardzo się nie poluzowała - w przeciwnym razie studentka może spaść z trapezu i się poobijać. Jednocześnie, pilnując odpowiedniego napięcia, nie wolno za bardzo sznura naprężyć, bo wtedy można ściągnąć na dół biedaczkę, która i bez tego chwieje się na trapezie niczym świąteczna chorągiewka na maszcie.

Trapez przypominał Annie tarzanekę na Bohu. Poirytowana myślała, że jak zaraz się rozpędzi i zawiśnie, poniesie ją prosto w stronę wielkiego okna, a stamtąd - na ulicę.

Na dole stał Łazurin, nauczyciel Anny. Z góry jego żółta łysina otoczona cygańskimi kędziorami wyglądała jak piątak w trawie. Naciągał lonżę i kpiąco pokrzykiwał:

- Patrzcie na nią! I ona marzy o tym, żeby zostać akrobatką powietrzną! No już, spadaj! Do kogo mówię? Spadaj!

Anna zamknęła oczy, zacisnęła zęby i puściła trapez. Poczowała, jak leci w dół i w lewo, aż - hopla! - zawisła na sznurze. A Łazurin jeszcze parę razy pociągnął ją w górę i w dół, w górę i w dół, jak małpkę. Tak bawiła się w dzieciństwie, nakręcając nieszczęsnego akrobatę na drążku. A teraz wisiała niczym miękki wór, ze zmrużonymi oczami, i wstydziła się, że wygląda jak ostatnia oferma.

- Widzisz, że nic ci się nie stanie?! - krzyczał Walentin Siemionowicz. - Rozluźnij się... I stań... Ta-a-ak... Postój sobie, oswój się...

Walentin Siemionowicz był człowiekiem posepnym, bez sentymentów. Ale szkolił świetnie. Twardy i wymagający, walił prosto z mostu, nie oszczędzając nikogo i nie przebierając w słowach. Czasami i mięsem potrafił rzucić.

Zajęcia - podoba się czy nie, krępujesz się czy chcesz się popisać - są dostępne dla wszystkich. Każdy może na nie przyjść i sobie popatrzeć! Wołod'ka często stał na górnym balkonie, wśród grupy studentów starszych roczników - na tle wiecznej „Leniniany”, pod plakatem z sierpem i młotem. Martwił się o Annę... Ale i drapieźnie, niespokojnie rozglądał się dookoła - biedak, był o nią zazdrosny.

Anna czasami odwracała się, by obrzucić go spojrzeniem: nawet stąd mogła dostrzec, jak mocno jest zbudowany, jaki ma piękny tors, jak ostatnio uwidoczniły się jego mięśnie i mięśnie klatki piersiowej... Dla obojga było to niespodziewane i nowe - rzeczowy i

profesjonalny stosunek do półnagiego ciała.

Przychodzili do szkoły rano, wkładali ciemne trykoty i nie zdejmowali ich przez cały dzień. Od dziewiątej rano do dziesiątej wieczorem wykłady przeplatały się z ćwiczeniami, więc nie przebierali się na zajęcia teoretyczne - siedzieli w strojach gimnastycznych, już przyzwyczajeni do takiego widoku. Kiedy przychodziły upały, siedzieli na zajęciach skąpo ubrani.

Kabinki prysznicowe były otwarte jak w koszarach. Krępujesz się czy nie, musisz po zajęciach zmyć z siebie pot. Tym bardziej że w akademiku na Puszczej Łazienek nie ma, jest tylko toaleta na końcu korytarza.

Po próbach człowiek był tak zmordowany, że pod prysznicem już nie rozglądał się na boki - kompletnie obojętny, czy ktoś go widzi. Zmywał pianę, po omacku chwycił sprany bawełniany ręcznik, rozcierał ciało jak najmocniej i aż jęczał - takie miał obolałe mięśnie!

Zajęcia gimnastyczne były bardzo wyczerpujące; pękała skóra na dłoniach, krwawiły odciski... Po nich człowiek marzył tylko o jednym - żeby dowlec się do akademika i paść na łóżko. Żonglerzy, ci to dopiero mieli dobrze: chowali się w kąciu i podrzucali kółka albo piłeczki jak nakręceny. Co w tym trudnego: stoisz sobie i ruszasz grabiami. Chociaż i oni czasami mieli dłonie popękane od kółek.

To właśnie Łazurin sprawił, że w ciągu trzech lat opanowała technikę, która później ani razu jej nie zawiodła: huśtanie się na nogach, rękach, obroty, „chorągiewka”, spadanie z czubków palców i z pięty... weszło jej to w mięśnie, w więzadła, ukształtowało plastykę ruchów. Wpłynęło na jej chód, rozpiętość ramion, a czasem nawet na sposób myślenia.

- Trik - mawiał - każdy trik, jeśli robić go jak należy, jest bezpieczny... Oto spadanie z czubków: rozstaw nogi, czubki palców u stóp razem... Dobrze... Teraz wyrzut ciała do tyłu!!! Zuch dziewczyna...! Najważniejsze to obrócić staw skokowy górny na zewnątrz, wtedy nogi mocno utkwiają w kątach trapezu, i możesz sobie spokojnie wisieć... Zrozumiałaś? Na początku strasznie jest wisieć głową w przepaść, potem się przyzwyczajasz... A później się spodoba!

Później rzeczywiście się spodobało, zwłaszcza nie na statecznym trapezie, tylko na rozkołysanym.

Musisz rozhuścić pięciometrowy trapez jak najwyżej, żeby w skrajnych punktach amplitudy zbliżyć się do linii poziomej. I w chwili kiedy trapez ponownie wraca do punktu szczytowego, puszczasz ręce i wyginasz plecy, by wzlecieć po tej samej trajektorii i zaczepić się nogami w kątach trapezu. I już wisząc, rozkładasz ręce, jakbyś chciała wziąć w ramiona cały świat. Trapez unosi cię pod samą kopułę, skąd słychać zachwycone „a-a-ach!!!” i oklaski. I ty lecisz... lecisz, prawie nie czując własnego ciała...

A ciało żąda, żebyś sięgnęła jeszcze wyżej, jeszcze dalej, jakby chciało przebić niewidzialną powłokę tego świata i znaleźć się poza granicami przestrzeni, w innym, lustrzanym wszechświecie...

Po pierwszym roku Anna i Wołod'ka każdą wolną chwilę spędzali na balkonie „kwadratowej” areny. Zwłaszcza kiedy swój solowy numer na trapezie przygotowywała Tania Maniewicz - akrobatka powietrzna, gwiazda ostatniego roku. Sam Łazurin uważał, że jest genialna! Jej lekka, szczupła sylwetka oplatała drążek trapezu, w górę i w dół, w górę i w dół - rytmicznie, precyzyjnie, w niesamowitym tempie!

Anna nieraz miała wrażenie, że nawet gdyby Tania puściła ręce, wciąż leciałaby po przekątnej, unosząc się coraz wyżej, by potem zanurkować ku podłodze i ponownie wzlecieć do drążka...

*

Wśród nauczycieli - cyrkowców na emeryturze - dużo było ludzi nietuzinkowych. Każdy z nich niepowtarzalny, z pokreślonym życiorysem i niełatwym charakterem, no i takimi manierami, że człowiek nie wiedział: śmiać się czy płakać.

Ot choćby Kławdia Iwanowna Mastyrkina.

Relikt szkoły, po prostu baobab jakiś z pierwotnej puszczy - uczyła od czasu założenia szkoły, czyli od dwudziestego szóstego roku! Sam Ołówek był jej uczniem. Prowadziła zajęcia z tańca. Marcepanowa wróżka w nieokreślonym wieku, o melodyjnym głosie Królowy Śnieżki z filmu rysunkowego, z różem na okrągłych niczym jabłuszka policzkach i... w reformach pod kraciastą spódnicą. Na widok Kławdii Iwanowny niewzruszenie unoszącej nóżkę w wysokiej *attitude* i demonstrującej intymną część damskiej garderoby w postaci jasnoniebieskich reform studenci pierwszego roku zaniemówili z wrażenia. Później przyzwyczaili się i przestali zwracać na to uwagę.

Dla wielu pokoleń absolwentów szkoły cyrkowej niebieskie reformy Kławdii Iwanowny pozostały jednym z najczulszych wspomnień o Alma Mater.

Ale ulubienicą wszystkich była Elina Jakowlewna Podworska, za plecami nazywana Elką: niewielkiego wzrostu, niezwykle zjadliwa, z siwymi kędzierzawymi włosami i karkiem zapaśnika.

Prowadziła zajęcia z historii teatru zachodniego i cyrku. Pamiętała imiona, a nawet przezwiska wszystkich absolwentów, i dobrze ich rozumiała. Przecież uczyły się tu głównie dzieci artystów: nieuki, zaniedbane bachory, wieczni wędrowcy w ciągłych rozjazdach. Akrobaci, którym usta były potrzebne tylko po to, by „nimi jeść”.

Elina Jakowlewna z prawdziwie antycznym uporem wbijała do ich tępych łbów Sofoklesa i Eurypidesa. I mówiła:

- Inteligentów z was nie zrobię, ale przynajmniej nie będzie mi wstyd, gdy otworzycie usta. Pięć procent! W waszych pustych głowach powinno zostać pięć procent wiedzy. Wtedy będę mogła spokojnie umrzeć.

Wydzierała z nich tę wiedzę niczym poborca należny podatek. Żądała, by nauczyli się na pamięć imion bohaterów sztuk Szekspira i nudnych greckich tragedii. Wyzywała z kpiącym uśmiechem, ale do wszystkich zwracała się per pan, pani. I im bardziej beznadziejny był student, im wolniej myślał i z większym trudem się wysławiał, tym owo „pan” było pojemniejsze i bardziej wieloznaczne...

Po latach, na rozstajach i skrzyżowaniach cyrkowych dróg, Anna nieraz spotykała absolwentów swojej uczelni, których ubogie słownictwo mogło porazić nawet cyrkową klacz. Ale Antygonę i Elektry zapamiętali na zawsze. Elki szkoła...

Pod koniec pierwszego roku Anna o mało nie rzuciła studiów.

Pewnego dnia po próbie (Łazurin krzyczał, ganił i parę razy mocno walnął ją w kolano, jakby chciał je wyprostować) stała namydlona pod słabym strumieniem płynącym z zardzewiałego prysznica. Czuła słodkie drżenie napiętych mięśni, powoli rozluźniających się w gorącej wodzie.

- Cześć, Nesthenko!

Nawet nie musiała otwierać oczu. Tania Mankiewicz: mówiła niskim głosem, przyjemnie grasejąc, jakby właśnie ssła cukierka... taką kwaśną landrynkę...

- No co... widziałam cię te haz... Nieźle! Chohągiewkę tylko trzymaj! Przyciśnij do hęki i trzymaj... Uda się.

Anna zaczerwieniła się, coś burknęła, zanurkowała pod strumień wody i zaczęła pospiesznie zmywać pianę z twarzy i włosów, żeby podziękować, powiedzieć, że zawsze patrzy z otwartymi ustami...

Tania stała obok drewnianej ławki, plecami do Anny, wieszając na haczyku kostium gimnastyczny. Była wysoka, nawet bardzo wysoka jak na akrobatkę, i miała idealną figurę. Wyprostowane, przez lata treningu pięknie wyrzeźbione plecy wyrastały, jak z wazonu, z umięśnionych pośladków. Dziewczyna wzięła ręcznik i odwróciła się, żeby wejść do sąsiedniej kabinki; wypisz, wymaluj córa starożytnej Grecji, nie trzeba iść do żadnego muzeum, wystarczy tylko stać i podziwiać. Zwłaszcza piersi - niewielkie, sprężyste, jak u wszystkich gimnastyczek, szeroko rozstawione, doskonale harmonizujące, niczym w helleńskiej rzeźbie, z talią, biodrami i umięśnionym brzuchem.

Anna szybko wytarła ręcznikiem twarz, by powiedzieć tej niesamowitej, sympatycznej i pięknej dziewczynie, nim jeszcze nie weszła pod prysznic, że...

...I nagle za cielesną powłoką żywej Tani ujrzała inną, półprzezroczystą - leżącą jak bezkształtny worek na arenie, z otwartymi martwymi oczami. A w górze bezgłośnie, obojętnie huśtał się pusty trapez, zwisała zerwana lonża...

Anna dziko wrzasnęła.

Tania zachwiała się, poślizgnęła na mokrych kafelkach i upadła...

Anna dalej krzyczała z przerażenia. Po raz pierwszy, bez jej woli, okrutnie i dotkliwie - niczym uderzenie bicia - l u s t r a p o k a z a ł y ś m i e r ć!

Trzasnęły drzwi, do łazienki wbiegło kilka osób i dziewczyny odciągnięto w różne strony.

- Co się tam stało? Pobiły się? - pytał ktoś z korytarza.

- Nie, nie wygląda na to... Może szczura zobaczyła...

Tania, owinięta ręcznikiem, powtarzała zaskoczona:

- Wahiatka, wahiatka... zaczęła się drzeć bez żadnego powodu!

Mokra, dygocąca, oszalała Anna odpychała czyjeś ręce, które próbowały ją objąć, uspokoić, i mamrotała błagalnym tonem:

- Taniu! Lonża się zerwie! Trapez... Nigdy! - Jedna z dziewczyn pomogła jej się ubrać, ktoś na siłę wyciągał ją z łazienki, a ona, drżąc na całym ciele, wciąż opierała się i krzyczała: - Nie idź na arenę, Taniu...! Nigdy w życiu!!!

Wreszcie zdołano ją wyprowadzić.

- Przecież mówię, że zwahiowała - tłumaczyła koleżance przybita Tania, oglądając długie krwawiące zadrapanie na biodrze. - Co znaczy „nie idź na ahenę”? A gdzie niby mam iść? Do warzywniaka, piethuszkę sprzedawać? Ależ pech... za tydzień przegląd, a tu taki phezent!

- Może ci zazdrości... - zauważyła koleżanka.

W dniu kiedy Tania Maniewicz zabiła się na „okrągłej” arenie podczas ostatniej próby przed egzaminami końcowymi, ktoś przypomniał sobie o zdarzeniu w łazience. Lonża łatwo się rwie, kiedy lina jest poplątana. A ta cała była skręcona... Tylko czy można było przewidzieć? o Annie stało się głośno we wszystkich grupach, w bufecie i w pokoju nauczycielskim. Powtarzano jej imię wzburzonym, ściszym głosem. Wiedziała? Ale skąd?! Ponoć była strasznie zazdrosna. Co pani mówi? Może to i przesady, ale znam u nas w Malejewce jedną babcie... Myśli pani, że rzuciła na nią urok?! Kto wie, nie wykluczam tego... Dziewczyny, przecież ona rzuciła na nią urok, wysłała na tamten świat!

Wołod'ka przybiegł do akademika i wdarł się do pokoju Anny. Leżała plackiem, odwrócona do ściany, a wokół niej rozsiadły się trzy współczujące, wystraszone koleżanki.

- Zamorduję wszystkich!!! - warknął, ciężko dysząc. - Wynocha stąd, do diabła!!!

I kiedy dziewczyny, ze strachu potykające w drzwiach, wywiało na korytarz, położył się obok Anny, wsunął rękę pod jej plecy i trzymał w mocnym uścisku, przywierając do jej lekkiego, nieruchomego ciała.

Nie wiedział i nie chciał wiedzieć, czy zrobiła to naumyślnie, czy przypadkowo. Chciała tego czy nie. Kochał ją tak, że gdyby trzeba było dla niej zabić kilka osób, zrobiłby to z fanatycznym oddaniem.

Ale nie miało znaczenia, jak mocno się w nią wtulał; wiedziała, że jest sama, zupełnie sama w obliczu przerażającej otchłani, którą ukazywały - zawsze niespodziewanie - jej l u s t r a. Wiedziała, że bezlitosna siła, która ją obracała, zgniatała i łamała, bawiąc się tą nierówną walką, nie puści już swojej zabawki. Owa tajemnicza siła to zamierała na całe miesiące, to niczym gigantyczny boa dusiciel zwałała ją z nóg, wykręcając, podrzucając, łapiąc i ściskając, póki jej ofiara nie wykrzywi ust w niemym okrzyku: Zmiłuj się!!!

Cały czas miała wrażenie, że jest obserwowana z kpiną i lubością: a masz, popatrz sobie... widzisz, co się dzieje...? Nie uciekniesz mi... daj się nacieszyć, człowieczku... daj się pobawić twoją rozpaczą, szamotaniem twojej nieśmiertelnej duszy! Też mi coś - dusza...

Nie... Nie! Możesz mnie zabić, powiedziała w duchu do tej niepojętej potwornej siły, możesz mnie złamać, rozkruszyć na kawałki. Możesz zetrzeć mnie w proch. Ale nic więcej.

Nie pozwolę ci bawić się moim kosztem... Nie będziesz się mną bawić..

Nigdy! Nie będziesz!

*

Tamtego roku szkoła odwołała wszystkie przeglądy i występy absolwentów.

A Wołod'ka i Anna zaczęli się w pewnej budzie - „Moskiewskim cyrku na scenie” - i wyjechali na letnie występy do Gorkiego.

W tym artystycznym zespole (z głupawym repertuarem estradowym z lekkim ukłonem w stronę cyrku) Anna grała rolę Królowej Śnieżki na wrotkach, a Wołod'ka był brodatym krasnoludkiem. Uciekał od niej, szybko pedałując na monocyklu. Komiczna scenka na trzy minuty - szkolne akrobacje, proste triki, łatwy chleb, letnia synekura...

Zespołem, w ciągu tygodnia skompletowanym „tu i tam”, kierował niemłody cyrkowiec, a raczej były cyrkowiec, którego p o k r ę c i ł o. Poruszał się bokiem, patrząc przez lewe ramię, i dlatego przezywano go Korkociągiem. W młodości był górnym akrobatą.

W wolnych chwilach chłopaki dorabiali sobie w domach kultury na prowincji. Pewnego razu, kiedy robił stójkę na szczycie piramidy, dużym palcem u nogi trafił w oprawkę żarówki. Cała grupa została porażona prądem.

Po tamtym występie Korkociąg otrzymał swoje przezwisko, a wraz z nim rentę. Ale jego niespokojna natura nie znosiła przestojów. Każdego lata dzięki pomocy kumpla, urzędującego w Ministerstwie Kultury, kompletował kolejną grupę nieudaczników. Oprócz zielonej młodzieży - studentów szkoły cyrkowej, którym można było płacić grosze, resztą pieniędzy dysponując według własnego uznania - w występach brali też udział ludzie bardziej doświadczeni, czyli nałogowi pijacy.

Na przykład, taki ekscentryczny muzyk Żeka, zupełnie beztalencie. Dyrektorzy cyrków, płacąc mu pełną stawkę, woleli zdejmować jego numer z afisza, żeby tylko nie przynosił im wstydu i nie zaważył programu.

Przy swojej niebywalej ignorancji - nie skończył nawet szkoły średniej - Żeka miał prawdziwie napoleońskie ambicje. Mówił górnolotnie i lubił wtrącać mądre słówka przez siebie wymyślone. Kiedy zaważył przedstawienie, uważał to za pech, przypadek, przewrotność losu. „Nieustanny stres i nieprzyjemności”, tak twierdził. Do sprzętaczek, stajennych, obsługi areny przemawiał niskim barytonem. Rozmawiając z ważnymi artystami i administracją, przechodził na beczący tenorek. Gdy zanosilo się na bijatykę, błyskawicznie przełączał się na piskliwy wrzask. Czyli rozpiętością głosu demonstrował i potwierdzał swoją specjalizację: był przecież muzykiem ekwilibrystą.

W cyrku przezywano go Zadrygą⁸⁴.

Akrobata Siemion Arkadjicz - jedyny, prócz młodzików, niepijący artysta, to znaczy pijący, oczywiście, ale wieczorami, po przedstawieniu - zachowywał się z powściągliwą godnością. Swój elegancki numer prezentował przy dźwiękach romantycznej muzyki, na wysokim białym podeście, w pięknym granatowo-białym oświetleniu. Jego szczupła delikatna postać wyginała się w powolnych piruetach, na chwilę zamierała w wyszukanych arabeskach i znów ożywała...

Robole z Gorkiego siedzieli oczarowani tym zastygłym pięknem.

Była jeszcze Marina, kobieta guma, ale w środku udanego sezonu jej numer zdjęto z afisza: w czasie pokazu skądś wyskoczył szczur, usiadł przy jej twarzy i z ciekawością zaczął się na nią gapić, zaglądając w oczy. Z przerażenia zeszywniał jej kręgosłup. Pogotowie zabrało biedaczkę prosto ze sceny - wygiętą w pałąk.

Absolutnie niepowtarzalny występ dawał Łotysz Aleksiej Troks. To była czysta

84 *Zadryga* (ros. żargon) - żaloszny, nieuczciwy człowiek.

manipulacja: miał czarująco zwinne ręce. Pokazywał sztuczki z kartami, kólkami, monetami, zapalkami...

Wychodząc na scenę, bezskutecznie próbował zapalić zapalkę o podeszwę swego eleganckiego buta... I kiedy niezadowolona publiczność zaczynała się z niego śmiać, w jego lewej ręce zapalała się druga, ukryta tam zapalka.

Występ kończył trikiem, który zawsze miał powodzenie: chodził wzdłuż rzędów i odwracając uwagę widzów, po mistrzowsku ściągał zegarki z rąk prostodusznych gapiów. Potem zapraszał na scenę paru „niedowiarków” i na oczach nieufnej publiczności, w chwili gdy obracał i ustawiał ochotników, mimochodem im również zdejmował zegarki. I wszystko to w dobrym tempie, z żarcikami i wierszykami osobiście przez niego skleconymi, dość zresztą zabawnymi. Tak że w finale, kiedy magik zwracał zwędzone zegarki, na widowni rozlegały się ogłuszające oklaski.

Każdego dnia, odbębniwszy swoją dziecinnie łatwą fuchę, Anna i Wołod'ka schodzili do sali - czasami Anna nawet nie zdejmowała wrotek - by podziwiać „wujka Loszę” i finezyjny popis jego rzeczywiście zwinnych rąk. I nigdy nie mieli dość.

Nie wiadomo jakim cudem Korkociąg załatwił „swoim zuchom” nocleg w hotelu dla cyrkowców w słynnej dzielnicy Kanawino. Wujek Losza zapewniał, że to właśnie w tutejszych noclegowniach i spelunach Gorki znajdował swoich bohaterów. I dodawał: „Powąchajcie, maluchy, i zapamiętajcie odór prawdziwego życia i historii. Wszystko jest tu nim przesiąknięte”.

I rzeczywiście, aż nie chciało się wierzyć, że od czasu ukazania się słynnej sztuki⁸⁵ Gorkiego minęło tyle lat: wokół hotelu i w okolicach wałęsały się tak przerażająco teatralne typy, jakby na pięć minut wyskoczyły z charakteryzatorni, by napić się piwa tuż za rogiem.

W samym hotelu też nie brakowało skończonych alkoholików, byłych cyrkowców.

Każdego ranka znana wszystkim Kat'ka, była akrobatka powietrzna, zbierała butelki i zebrała o kufel piwa w pobliskim kiosku. Mieszkała ze swoim serdecznym przyjacielem, również byłym cyrkowcem, którego wszyscy nazywali Zającem - dość krzepkim staruszkim, alkoholikiem o długim stażu, podczas przedstawień dorabiającym w charakterze asystenta. Żyli ze sobą bardzo zgodnie, chlejąc przez wiele dni, a kiedy nie mieli za co, Zając sprzedawał Katię panom na delegacji mieszkającym w tymże hotelu. Niedrogo. Czasami za butelkę.

W obskurnym holu z wyszczerbionymi kaflami podłogowymi wisiało ręcznie napisane ogłoszenie, rozpaczliwe wołanie sprzątaczkii Marusi: „Drodzy towarzysze! Mam do

⁸⁵ *Na dnie* (1902 r.).

was serdeczną prośbę, byście nie szczali w bramie! To jest potworna praca sprzątać po was!".

Całe bawiące tu na gościnnych występach towarzystwo wieczorami wędrowało z pokoju do pokoju. Choć „moskwian" (bądź co bądź ludzi kulturalnych, ze stolicy) po znajomości czasem wpuszczano „na odpoczynek" do pustego bufetu. Było to pomieszczenie obite zniszczoną sztuczną boazerią i na zawsze przesiąknięte zastarzałym odorem piwa.

Żeka kręcił z bufetową Gerdą Iwanowną, samotną damą z trwałą ondulacją na resztę życia. Starannie podkreślała usteczka fioletową pomadką - à la moja pierwsza nauczycielka - nadając im kształt przymilnego serduszka, jak na tanich pocztówkach. I pachniała bardzo solidnie: wieloletnim zakwasem perfum Bez zabijającym nawet mocną woń nieświeżych krewetek w szklanej gablocie bufetu.

Swoje romantyczne imię zawdzięczała matce, która w dzieciństwie obejrzała na jarmarku spektakl wędrownych lalkarzy. Ogromny, z tatuażem na czole zamorski Maur, który nie wiadomo skąd się tam wziął, odgrywał scenę romantycznej miłości, założywszy na ręce dwie lalki. Od tego dnia księżę Kaj i księżniczka Gerda na zawsze zamieszkali w rozpalonej wyobraźni dziewczynki. I kiedy trzydzieści lat później urodziła córkę, początkowo zamierzała dać jej oba imiona naraz, połączone w radosnym związku: Kajgerda. Widząc jednak, jak skrzywił się na to jej mąż, beznadziejny jąkała, machnęła ręką i pożegnała się ze swoim marzeniem.

Za gościnę Gerdzie płacono - zostawiano butelki po piwie. Nigdy nie omieszkała przypomnieć: „Pieniądze, chłopcy, na dupie nie rosną!". I miała, jak podkreślał wyrozumiały Korkociąg, całkowitą rację.

I w tym „przytulnym, przestronnym miejscu", wyprosiwszy u Gerdy grube szklanki, żeby napić się jak należy, cały zespół zasiadał wokół złączonych stołów, zasłanych lepka ceratą. Rozmowa zwykle kręciła się wokół zalet cyrkowych bufetów. Nie tych dla widzów, tylko służbowych, przy garderobach. W końcu były przecież bardzo ważną częścią ich życia.

- A ja wam powiem - mówił ekwilibrysta Siemion Arkadjicz, starannie łamiąc na kawałeczki tabliczkę czekolady i układając je na rozłożonej chusteczce do nosa - że najlepsze bufety dla cyrkowców są w Homlu, Mińsku i Ałma Acie...

- W Ałma Acie, Siomo, przy cyrku mają nawet własną piekarnię!

- wtrącał Korkociąg, uważnie rozlewając piwo do szklanek. Nigdy nie uronił ani kropli, choć na pewno sprawiało mu to niemałe trudności. Szklanki były pożyczone, więc obchodzono się z nimi ostrożnie. - Jakie tam eklerki robią, pamiętasz?

- No-o... Natomiast Gorki, Jarosław i Tuła to istny horror; głód gorszy od tego w czasie oblężenia Leningradu. Jak się tam jedzie, trzeba koniecznie zabrać ze sobą konserwy,

suchary i zupki w proszku. Wszystko, co się da.

Wtedy do rozmowy włączył się Żeka Zadryga, oznajmiając, że gorszego bufetu od tutejszego po prostu nie ma. Same gotowane jajka i krewetki.

- Za to alkoholu w bród - ripostował Korkociąg. - Tu dyrektor sam popija, dlatego też pilnuje, by i lud pracujący miał tego pod dostatkiem. No, na zdrowie!

Cyrkowcy opróżniali szklanki, chrząkali, kulturalnie wycierali usta dłonią i brali kawałek czekolady.

- Tu u nas, w Gorkim, był taki przypadek... Bufet dla artystów znajduje się tuż za forgangiem, przy wejściu do foyer... No i różni pijacy i bezdomni przedostają się do środka. Pamiętam, stoimy sobie za kurtyną, rozgrzewamy się... Półmrok, trwa przedstawienie. Patrę, a tu wór jakiś leży. Przyglądam się: menel spity do nieprzytomności. Wyczołgał się z bufetu i pomylił kierunek. Zamiast w prawo do foyer, skręcił w lewo. No i zmorzyło go w najświętszym miejscu: pod tablicą ogłoszeń.

- W Gorkim nawet bufetowe są bezczelne! - dodawał Korkociąg, nalewając drugą kolejkę. - Niebawem chamstwo! Jedna tak zaczęła podskakiwać, że nasz klaun Kola Sokolniczy, znasz go przecież, Siomo, nie wytrzymał, chwycił z lady liczydła i walnął ją nimi w głowę, aż usiadła, a liczydła szlag trafił. Odciągnęliśmy Kolę i ukrywaliśmy go przed milicją, póki ta nie odjechała... Ale baba przynajmniej trochę się uspokoiła. I potem wszyscy pytali Kolę: „A ty co, chciałeś z nią się policzyć liczydłami?”.

- Z drugiej strony, gdzie Sokolniczy, tam draka, nawet na noże - wtrącał Żeka. - Co... nieprawda?

- Ależ oczywiście! - zgadzał się Korkociąg. - Przecież nic nie mówię. Kola jest wybuchowy. Tobie, Żeka, też parę lat temu mordę obił, nie?

Podchmielony Żeka lubił po paru kolejkach opowiadać o swoim powodzeniu wśród kobiet.

- No, myślę, obalę jeszcze pół szklaneczki! - zwierzał się poufnym tonem. - Obaliłem! No, myślę, zara zaatakuję!

Kolejnym ulubionym tematem było rozprawianie o tym, który cyrk z czego słynie. Każdy cyrk, tak jak człowiek, ma przecież swoją reputację. Są też o złej sławie. Charkowski, na przykład... tam zawsze coś złego się działo.

- Ciągle, no ciągle jakieś nieprzyjemne historie z treserami... - mówił wujek Losza. - Korkociąg, pamiętasz tę rumuńską treserkę, którą lew zabił?

- Ach, to! W Charkowie dużo śmiertelnych wypadków się zdarza. Tak samo jak w Iżewsku.

- W Iżewsku nie... nie zawsze - precyzował Aleksiej. Lubił dokładność i nie znosił niechlujstwa w rozmowie, podobnie jak i w pracy. - Tam tylko linoskoczkowie lecą. Wielu z nich spada i ulega kalectwu. A nawet się zabija. Mój brat, kiedy groziły mu występy w Iżewsku, dwa razy szedł na chorobowe i dla pewności jeszcze się upijał. I udawało się! A rok po jego „chorobie” tam znowu któryś z linoskoczków spadł. Pechowe miasto, nic nie poradzisz...

Anna i Wołod'ka zaprzyjaźnili się z wujkiem Loszą.

We fraku i muszce wyglądał i zachowywał się na scenie jak goguś: szarmancko cmokał panie w rączkę, zalotnie ruszał podmalowaną brwią. Wieczorami zaś - w pokoju, przy piwie - cały blichtr spływał z niego niczym rozmazany makijaż z twarzy. Widać było zmarszczki, czerwone żyłki na nosie i policzkach i oczy zmętniałe jak u starca. Ale sypał historyjkami z życia cyrku oraz pouczającymi „spostrzeżeniami” i nigdy się nie powtarzał.

- Prawdziwa manipulacja to wielka sztuka - mówił. - Jeśli jesteś prawdziwym manipulatorem, musisz używać wszystkich palców obu rąk. I spojrzeniem, spojrzeniem odwracać uwagę widza, tak jak kaczka odciąga intruza od gniazda... Jesteś skazany na codzienną niewolniczą pracę.

Kiedy kładł na stole obie dłonie; jego długie czułe palce podrygiwały, jakby przysłuchując się rozmowie, w każdej chwili gotowe wyłowić z powietrza chusteczkę, rozplątać mocno związaną linę, wyciągnąć z ucha palącą się zapalną.

- Palce trzeba szlifować. Jak ślusarz za pomocą swoich narzędzi szlifuje niezwykle delikatne detale. Jak stary kreślarz ostrzy swój ulubiony ołówek. Rysunek skóry na opuszkach palców, skąd gliny zdejmują odciski, musi być zeszlifowany niczym szkło. Wtedy ci powiem, że osiągnąłeś niezbędny poziom, że dopiero teraz możesz dotykać! Dotykać płatką kwiatu! Skrzydła motyla! Oczu ważki! Nie robiąc im krzywdy. Pianiści nazywają to *touche*! W naszym zawodzie zdarza się to bardzo rzadko... ze świecą trzeba by szukać.

Wujek Losza podpierał pięścią zwiędły policzek, wzdychał, wlewał do szklanki resztkę piwa.

- W naszym fachu głównie kto pracuje? Konformiści różnej maści: albo ktoś, kto już zrobił swoje w specjalności wymagającej większego wysiłku i teraz nie może rozstać się z areną żywicielką, albo dziatki zasłużonych rodziców przejmujące gotowe triki po swoich starych... A poza tym: na czym polegają magiczne sztuczki w radzieckim cyrku? Przecież to głównie pudła. Różne pudła: większe, z asystentami w środku, mniejsze: ze zwierzątkami czy miotłami z farbowanych piór. Chałtura jak się patrzy. Takie, za przeproszeniem, sztuczki może pokazywać pierwszy lepszy z ulicy. W pudłach wszystko samo się robi! Najważniejsze,

by pamiętać, w jakiej kolejności to wykonywać, i po pijaku nie potknąć się o rekwizyt. Moja asystentka Lolka mówiła: „Najważniejsze, żeby dłonie się dotknęły, kiedy klaszczesz i wołasz: hopla!”.

Aleksiej zajmował pokój razem z Żeką Zadrygą, ale często bywał sam: Żeka buszował w tutejszych rajskich ogrodach, uganiając się za miejscowymi Ewami.

Prawie co wieczór Anna i Wołod'ka przesiadywali u wujka Loszy. Anna nie dawała magikowi spokoju, nawet kiedy głowa mu już opadała, a Wołod'ka zdążył trzy razy zasnąć i się obudzić.

- A Harry Houdini? - pytała. - Wujku Loszo, czy to prawda, że on wyzwalał się z łańcuchów pod wodą? Rzeczywiście się wyzwalał?

- Co znaczy „rzeczywiście”? - Wujek Losza czochrał resztki swojej żalosej fryzury. Starannie ułożone, z przedziałkiem pośrodku i posmarowane dekadencją brylantyną włosy lśniły na scenie, a wieczorem zwisały z czoła jak brudna szmatka. - Zwariowałaś. Zapomnij słowo „rzeczywiście”, kiedy mowa o manipulacji, magii! Sztu-ce...! Houdini to klasyk gatunku, ale umarł dawno temu, w dwudziestym szóstym roku! Kto teraz pozna jego sekrety? A wiesz, na cześć kogo Houdini, który tak naprawdę nazywał się Ehrich Weiss i był Żydem z Budapesztu, przyjął ten pseudonim? Na cześć słynnego francuskiego iluzjonisty Roberta Houdina... Żył taki we Francji, w miasteczku Blois, w dziewiętnastym wieku. To dopiero był magik! Miał potężny intelekt i diabelską smykałkę. Nikt po dziś dzień nie potrafi powtórzyć jego lustrzanych sztuczek...

- Blois? - wypytywała Anna. - Houdin... Jak to się pisze?

Tu, nieskrępowana, lewą ręką gorączkowo notowała w kajeciku swoją ulotną abrakadabrą, niepokornym pismem Leonarda... Wołod'ka czasem zaglądał jej przez ramię i szybko się odwracał: nawet w głowie mu się kręciło, gdy próbował coś odczytać.

- Na dodatek - ciągnął wujek Losza - wszyscy dopuszczali się potwornych mis-ty-fi-ka-cji...! - Język już mu się plątał, ale sensu rozmowy nigdy nie gubił. Niekiedy milkł pośrodku zdania, jakby sprawdzając w myślach to, co powiedział, z satysfakcją kiwał głową i wracał do przerwanej wątku. - Potwornych mistyfikacji! Znałem słynnego Messinga. I powiem ci, że prywatnie Wolf Grigorjicz był spokojnym, wręcz zamkniętym w sobie człowiekiem. A na scenie?! Tryskał energią i potrafił porządnie wystraszyć. Takie są prawa gatunku! Na tym polega prawdziwe mistrzostwo! Artyzm! Sceniczny blask! Rozumiesz?

- An-ka-a... - po raz kolejny prosił wyrwany ze snu Wołod'ka.

- Chodźmy spać!

- Czekaj! - zbywała go. - I co, ten Houdini pracował z magicznymi pudłami?

Aleksiej fukał, opadał na oparcie krzesła, z oburzeniem wodził mętym wzrokiem.

- On je wymyślał! I były to zupełnie nietypowe pudła! U nas przecież z jakimi pracują: ich sekret tkwi albo w podwójnym dnie, albo w ściankach. Kiedyś ci dokładnie wytłumaczę, na trzeźwo... Krótko mówiąc: od spodu pudła mocuje się lustro pod kątem, o tak... - pokazywał, przechylając dłoń. - Odbija się w nim podłoga i stwarza iluzję pustki. Co tu jest najważniejsze? Pilnować się, nie leżeć do przodu, żeby nie odbiły się w tym lustrze twoje nogi czy tyłek. Zdarzało się i to, pamiętam takie przypadki...

- A gdyby dodać ściankę z tej strony?

- Z której?

Anna wyciągała z kieszeni džinsów złożoną wpół kopertę, długopis i rysowała:

- Tu... tak... Albo tak...

- Nie zrozumiałem...! A to po co...

- Nie patrz stąd. Stoisz tu. Tak? Widzowie siedzą tam... I wtedy w tym oto segmencie pojawia się martwa strefa, którą można wykorzystać... Zaczekaj, tu jest za mało miejsca... - Odwracała kopertę zaadresowaną przez Ariszę i z zapalem kreśliła po drugiej stronie.

- A niech mnie! - mamrotał stary magik. - Ależ mózgownica u tej dziewczyny...!

I zaczęli omawiać detale. Wołod'ka przechodził na łóżko wujka Loszy, zasypiał i znów się budził od ich krzyków:

- A to niby skąd się weźmie? Fantastykę tylko pisarze tworzą!

- To nie fantastyka, wujku Loszo. To fizyka. Tu działa to samo prawo co w kosmicznej czarnej dziurze: grawitacja jest na tyle duża, że nie mogą jej przewyciężyć nawet obiekty poruszające się z prędkością światła. A więc i samo światło nie może uciec z tej dziury!

- Anka...! Świta już!

- Czekaj!!! - krzyczeli na niego zgodnym chórem.

Tego lata poznali też zasady, przesady i słówka z życia cyrkowców. Nigdy nie siadać plecami do areny żywicielki! Nigdy nie mówić „ostatni raz”, co uznawane jest za najgorszą wróżbę. Nie mówi się „robię trik po raz ostatni”, tylko trzeba powiedzieć, że „robię to jeszcze raz”. Pestek w cyrku się nie gryzie - można spalić program. A słowo „pożar” używane jest tylko w tym sensie, że „coś nie wypaliło”. Są też typowe dla cyrku słówka *mandraż*⁸⁶ i „kuraż”, które już dawno weszły do obiegu. *Mandraż* - wszyscy wiedzą, co to znaczy. A „kuraż”? Kiedy na próbie nie odważysz się wykonać triku bez lonży, a podczas występu, przed publicznością, szybujesz do góry, zapominasz o strachu i ostrożności i niepewne,

86 *Mandraż* (ros. żargon) - strach.

niewytrenowane jeszcze triki nagle wykonujesz perfekcyjnie, kiedy pławisz się w świetle reflektorów - silny, zwinny - wiedząc, że setki oczu zwrócone są na ciebie - wtedy w cyrku się mówi, że „numer wykonałeś z kurażem”.

- A jeśli chodzi o kuraż... - mówił Aleksiej - to coś ci powiem. Szczerą prawdę, przysięgam na wszystkie świętości. Przez całe życie arena była dla mnie świętym źródłem. Czerpałem z niej energię w dosłownym sensie... Bywało, że ledwie wleciesz się do cyrku, z gorączką czy po wczorajszym „odpoczynku”: tam boli, tu strzela, plecy jak rozeschła deska, głowa ciężka... Ciekawe, myślisz, jak się tam doczołgam, nie mówiąc już o pracy... Dopelzasz do forgangu: o-o... lepiej, lepiej... w głowie jakby się przejaśnia... w krzyżu przestaje łupać... No a kiedy słyszysz, że konferansjer cię wywołuje... i wychodzisz w świetle reflektorów!, wtedy już widzisz siebie jakby z boku: postawny, elegancki, tajemniczy... ech! Jestem przekonany, że tam, na arenie, rządzi jakaś siła! Nie potrafię tego wytłumaczyć. Na pewno coś ze sfery fantastyki. Wiele razy odczułem to na własnej skórze!

Pewnego wieczoru wujek Losza powiedział:

- Maluchy, macie przed sobą całe życie w cyrku. A ja odchodzę na emeryturę... Kończę, można powiedzieć, swoją karierę zawodową. Nie chcecie nabyć ode mnie kufra? To kufer przedrewolucyjny, z prawdziwego papier mâché. Trzydzieści pięć lat temu sam odkupiłem go od słynnego klauna Gusakowa, Michaiła Grigorjicza. A ten się zaklinał, że został jego właścicielem po śmierci artysty teatrów imperatorskich Mamonta Dalskiego.

- Wujku Loszo... - Wołod'ka się uśmiechnął. - Gdzie my go postawimy? Przecież nie mamy własnego dachu nad głową.

Ale Anna już się przy nim kręciła, już macała rogi-zapięcia... i uczepiła się tego starego kufra, tak jak tylko kobiety potrafią uczepić się rzeczy, która wpadła im w oko.

Trzeba przyznać, że w cyrkowych warsztatach robiono nieciekawe kufry: sklejka z skórą, brzegi na zewnątrz obite aluminiowymi okuciami - tanioccha! Wysoko cenione były przedwojenne niemieckie kufry - z fibry, wyglądające jak solidne skrzynie. Każdy szanujący się cyrkowiec miał taki kufer, albo i kilka. Były oznaką prestiżu i dumy. I kosztowały nie mniej niż dwieście pięćdziesiąt rubli.

A tu taka okazja, taki fart... w dodatku kufer z bogatą przeszłością!

Przepracowawszy w bandzie Korkociąga kolejny miesiąc, odkupili skrzynię od wujka Loszy bez targowania się, za niemałe pieniądze.

I tak przypadkiem, jeszcze nie planując swych przyszłych występów, Anna i Wołod'ka zostali właścicielami wspaniałego starego kufra - albo jak to wymawiano w cyrku: k o f e r a - przedrewolucyjnego, z prawdziwego papier mâché, trwalszego od radzieckiej

sklejki.

Była to istna szafa na ubrania - „szyfanier”, jak mawiała niezapomniana Panna Iwanna - do tego z nitami i z kłódką. Rogi wykończono mosiądzem. Postawiony na sztorc kufer otwierał się jak szafa i mógł się w nim schować człowiek - Anna, w każdym razie, swobodnie się tam mieściła. Miał też półeczki, lustro, szufladki, wieszaki. W środku oklejony był czerwonym jedwabiem, trochę wypłowiałym - bądź co bądź przeżył lata tułaczki! Anna stawiała między otwartymi połówkami, rozkładała ręce, przywoływała na twarz n i e b i a ń s k i wyraz, udając ognistego anioła z ciężkimi skrzydłami na szkarłatnym tle.

Po powrocie do Moskwy, przed rozpoczęciem drugiego roku nauki, złożyli podanie w ZAGS-ie⁸⁷ i grzecznie się pobrali - bladzi, spięci. Anna ścisnęła w dłoniach bukietek stokrotek. Świadkiem była Arisza, która właśnie przeniosła się z Kijowa do Moskwy, na drugi rok konserwatorium, przechodząc z klasy fortepianu do klasy organów. Na ślubnym zdjęciu stoi po lewej stronie Anny, jeszcze zezująca, przed operacją; ale i tak widać, jak szlachetne są jej delikatne rysy i jak podobna jest do swojej wyjątkowej babki Firawielny.

Kufer - jedyny dobytek młodej pary, przechowalnia rekwizytów do przyszłego numeru - Wołod'ka na własnych plecach wniósł do ciemnego i ciasnego pokoju na ulicy Kirowa; za to, co pozostało im z pieniędzy zarobionych latem, wynajęli pokój u stukniętego małżeństwa starych trockistów Bluwszteinów.

Przez wiele lat śnił jej się przerażający warkot helikopterów i czarne lustro wody w dole, marszczące się od podmuchów powietrza.

Święto marynarki wojennej.

Stali na lotnisku w Tuszynie, przebrani w kostiumy. Wszystko było rozpracowane co do minuty: dokładnie o dwunastej trzydzieści zasygnalizują im start (z powodu łoskotu silników nic nie słyszeli). Najważniejsze to nie przegapić tego momentu i jak tylko machną z przodu chorągiewką, a dwie gigantyczne ważki z już podwieszonymi na dwudziestopięciometrowej linie trapezami oderwą się od ziemi i powoli popłyną w powietrzu, trzeba szybko podbiec z prawej strony i usiąść na trapezie - lekki helikopter Mi-8 nie może długo wisieć w jednym miejscu. A „w razie czego”, jak im radzili - trzeba gwałtownie odskoczyć w prawo, żeby nie wpaść pod śmigło.

Po sygnale zrywali się z miejsca, błyskawicznie siadali na trapezie, machali rękami - jesteśmy gotowi! - i łysiejące trawiaste pole przechylało się, uciekając w dół.

W pierwszym momencie serce nurkowało razem z ziemią, ale już po chwili ciało ogarniał taki zachwyty, że nie mogli złapać oddechu. I nie czuli już żadnego strachu przed

87 ZAGS (Zapis aktów graždanskogo sostojanija; ros.) - urząd stanu cywilnego.

rosnącą wysokością.

Ludzie w dole unosili głowy i kiedy pod stalowymi brzuchami maszyn dostrzegli mikroskopijne figurki akrobatów na trapezach, zatrzymywali auta, wychodzili na jezdnie i radośnie do nich machali.

Wielopiętrowe bloki z góry wyglądały jak pudełka, wstęgi dróg się plątały... Miasto odpływało gdzieś w bok niczym bezkresny schemat radioodbiornika.

I tak, siedząc na trapezach, prawie dziesięć minut lecieli z Tuszyna do Chimek⁸⁸. A tam, triumfując niczym bogowie, schodzili z niebios na oczach świętującego tłumu.

Kiedy trapezy zawisały jakieś piętnaście metrów nad Zbiornikiem Chimkińskim, Anna i Wołod'ka rozpoczęli swój pokaz. Trwał nie dłużej niż pięć minut.

Triki były w zasadzie proste - na poziomie wymaganym podczas egzaminów po pierwszym roku: tam się rozciągnąć, tu wygiąć, zawisnąć na zgięciu kolana albo na jednej ręce w pięknej pozycji, zrobić „chorągiewkę”. Obuwie mieli miękkie, obcisłe sznurowane kozaczki z koziej skóry. Technicznie nic trudnego... gdyby nie wysokość. Każdy chłopiec może przejść po torach kolejowych, ale gdyby położyć tory między balkonami, powiedzmy, czwartego piętra - czy wielu chętnych się znajdzie?

Pracowali, oczywiście, bez zabezpieczenia. Kiedy zapytali o to organizatora pokazów, skrzywił się i powiedział: „Jakie tam zabezpieczenie? Po prostu trzymajcie się mocno i już!”.

Więc się trzymali. Patrzyli na siebie i wszystko starali się robić synchronicznie.

Anna na zawsze zapamiętała tę falującą, oleiście czarną wodę.

Rok później w Samarze występowali nad ziemią. To dziwne, ale wisieć nad zieloną trawką było o wiele przyjemniej. Rozumiała, że woda to jakaś szansa na uratowanie się w razie upadku, w odróżnieniu od przyjemnej trawki. Niemniej jednak...

Wesoła trawka samarskiej łąki daleko w dole mignęła przed jej oczami wiele lat później, kiedy stała na skalistym uskoku nad Zatoką Neapolitańską, gdzieś koło Ravello.

Reżyser dał znak, kamera ruszyła, Anna przebiegła ze sto metrów gajem pomarańczowym - według scenariusza, uciekając przed pogonią - i po paru sekundach miała rzucić się w dół, prosto między gęsto skupione bryły szmaragdowoczarnych skał ocieężale opadających ku wodzie... Była skoncentrowana i jednocześnie podniecona - jak przed wyjściem na arenę. Musiała tylko szybko i precyzyjnie nakreślić w myślach trajektorię skoku.

Ale ciemnogramatowy przesmyk skrzący się w dole nagle błysnął jak głębokie lustro, ukazując przerażonemu oku koniec podróży, ostateczne rozwiązanie, upragniony tunel do

88 Tuszyno, Chimki - peryferyjne dzielnice Moskwy.

*Królestwa Luster. Było to jakieś wyjście - niespodziewane, niezobowiązujące, zapasowe...
Niezasłużone na razie, nieoczekiwane wyjście dane w prezencie...*

Cofnęła się, oparła obiema dłońmi o ścianę powietrza, powoli się obejrzała...

I zawróciła - spocona, oswobodzona, wolna... Nie na zawsze, oczywiście, ale w tamtej chwili wydawało się... a może? Może...?!

Szła przez gaj pomarańczowy, odgarniając niskie gałęzie drzew i nie słysząc goniących ją wrzasków reżysera ani wściekłych włoskich przekleństw.

Pokaz „na helikopterze” kończyło opadnięcie i zaczepienie o trapez czubkami stóp. Trik oczywiście nietrudny, a jednak...

Helikopterem porządnie rzucało, powietrze od mocnych podmuchów zrobiło się skondensowane, sprężyste: odlecieć w cholerę można było w każdej chwili. Żeby złagodzić szarpnięcia, bezwładnie zwisali z trapezu. I w tej pozycji - głowami w dół - machali rękami, pozdrawiając publiczność...

Ludzie głośno bili im brawo. Ponoć grała muzyka, ale tam, w górze, nic prócz łoskotu nie było słychać. Dzieci piszczały, puszczając baloniki.

Potem maszyny zaczynały powoli nabierać wysokości, akrobaci podciągali się, siadali na trapezach i wznosili się pod niebiosy.

Była to świetna fucha: pieniądze otrzymywali od razu po występie, i to sumę zawrotną - po sto rubli na głowę. Mieli taki fart przez dwa lata. Na lotnisku w Samarze podszedł do nich główny dyspozytor, były pilot bojowy odznaczony orderem Czerwonej Gwiazdy - ścisnął im ręce, patrzył na Annę z zachwytem. Szanuję, mówił, odważnych! Nawet się zawstydzili - jacy tam z nich odważni? Wszystko wytrenowane, wyuczone, zakodowane w kręgosłupie i w mięśniach. Żaden wyczyn, po prostu taki już mamy zawód.

Żałowała tylko jednego: że ojciec nie widzi, jak ona lata, jak rzuca się na główkę prosto w przepaść, w ostatniej chwili powstrzymując się przed czystym, prawdziwym i ostatecznym szybowaniem! Ojciec by to docenił! Przerażony, z tabletką walidolu pod Językiem, ze ściśniętym gardłem - ale doceniłby!

Przez dwa lata z rzędu, po akrobacjach w obłokach, wyjeżdżali na tydzień nad morze, do Koktebelu⁸⁹ - przepuszczać pieniądze na owoce, szaszłyki i czebureki. I szaleli tam na całego. Wygrzewali się na słońcu, leniwie przechadzali po promenadzie, obserwując sztuczki cwanych graczy w napastrki.

- Ten to jest niesamowity - zauważyła Anna, zapatrzona w szybkie ruchy sprytnych rąk. - Ten by się nadawał na magika. Jest po prostu genialny!

⁸⁹ Koktebel - miasto na Krymie.

- Który... ten ciemnowłosy? - zapytał Wołod'ka, obejmując jej luszczące się ramiona z błyszczącymi wysepkami świeżej skóry.

- Nie - odparła. - Ten drugi. Rudy.

...Gdybyś potrzebowała praktycznej rady, moje lustreczko, proponowałbym wynająć tę mansardę chociażby na rok. Nie kosztuje dużo, jak na Frankfurt i dobrą dzielnicę, a mielibyśmy przytulne gniazdko, do którego byśmy się zlatywali - ty, mój aniele, i ja, stary siwy sęp. Chyba się nie mylę, że jest to mansarda na Schweizer Strasse - Tiger Palace zwykle przeznaczają ją dla swoich pracowników - parę kroków od Menu z jego mostami. To tam dwa lata temu, paskudną deszczową wiosną, spędziliśmy razem cały tydzień; czasami nawalał nam czajnik elektryczny, o ile dobrze pamiętam.

Najważniejsze, że człowiek otwierał oczy i miał nad sobą pobielony skośny sufit ze starymi potężnymi belkami, bardzo wysoki po lewej i całkiem niski po prawej stronie; były też dwa półokrągłe okna z widokiem na rzekę i mosty.

A ty miałaś jakieś problemy z występem, chyba nie takie lustra przysłali z warsztatu i nie tak je zamontowali: pod innym kątem niż trzeba... Nocami miotałaś się po mansardzie, a deszcz głucho mamrotał - prawie nad głową - w starej rynnie.

Pamiętam naszą niespieszną miłość o świcie...

Budziłem się o szóstej, wypoczęty. I kiedy ty spałaś do południa - co znaczy, że mój fagot również musiał leżeć beczynnie - wychodziłem na ulicę i rześkim krokiem zmierzałem do starej piekarni Eifler, otwartej od siódmej. Przez dobrych piętnaście minut starannie i z przyjemnością wybierałem dla nas coś do porannej kawy. Wypieki robiono na miejscu. Nad piecem wisiał plakacik: „O siedemnastej *eifler* wciąż jest świeży i ma chrupiącą skórę!”. I tak rzeczywiście było: mięciutka drożdżówka pod złocistą skórą. A jaki zapach tam się unosił! Mój Boże, co za zapach - cynamonu, jabłek, cytryn, goździków... a przez uchylone drzwi, z dzwoneczkiem w tonacji si bemol, wpadał delikatny wiaterek.

Lubiłem obserwować, jak sprzedawczyni - przysadzista pani w czerwonym firmowym fartuchu ze złotym napisem „Piekarnia Eifler” na obfitym biuście, z czerwoną apaszką na pulchnej jak bułeczka szyi - posypuje gruboziarnistą solą leżące na blasze precle i wstawia je do pieca. A na ladzie już leżały precle posypane migdałami i makiem, waniliowe plundery (ciocia Frida właśnie tak nazywała słodkie bułeczki) i przepyszne *krilppeli*, podobne do naszych pączków, szcudrze posypane cukrem pudrem.

Najsmaczniejsze były *krilppeli* z dżemem malinowym. A ciastka, a placki: śliwkowy, cebulowy, rabarbarowy i ich firmowy - „jabłecznik babci”!

W głębi lokalu stały trzy stoliki i krzesła z kręconymi nóżkami, gdzie można było napić się kawy lub świeżo wyciśniętego soku i oczywiście skosztować tutejszych wypieków.

O tak wczesnej porze już siedziały tam dwie wiekowe panie z nieskazitelnym manikiurem, bez pośpiechu delektujące się ciastkami.

Ale ja przecież spieszyłem się do ciebie! Obładowany niezmiernymi smakołykami w papierowych firmowych torebkach wracałem na mansardę, cichutko, żeby cię nie obudzić, przekręcałem klucz w zamku, wchodziłem i zaczynałem przygotowywać śniadanie: parzyłem kawę, pilnując unoszącej się pianki i obserwując przez okno sznur samochodów na Alte Brücke oraz „mrówczą ścieżkę” przechodniów na Eiserner Steg...

Na podwórkach kwitły już przepiękne magnolie - pamiętasz? - i kasztanowce: białe, zupełnie jak w Kijowie, ale też egzotyczne, liliowe... Nad nimi niespiesznie kłębiły się niskie chmury, pod mostami leniwie płynęła rzeka, a z kościoła Trzech Króli niosło się przeciągłe bicie dzwonów.

Kiedy „starszy” dzwon wydawał ostatni głęboki dźwięk, powoli przewracałaś się w łóżku, ukazując ciepły morelowy policzek z odcisniętym śladem poduszki.

Bierz, moje dziecko, bierz tę mansardę! Nie zastanawiaj się!

To dziwne: wychowałem się niedaleko rzeki. I nawet kiedy spędzałem lato u dziadka na Ukrainie, wciąż jeździłem do Gniwania, żeby kąpać się w Bohu, a i tak całe życie ciągnęło mnie do wielkiej wody i zawsze starałem się znaleźć blisko niej. Dlaczego?

W dzieciństwie, póki żył dziadek, przez cały rok marzyłem o wakacjach w Żmerynce. Ty, kijowianka, nie zrozumiesz tego władczygo zewu - lato na Ukrainie! Letnia noc na Ukrainie! Gęsta mieszanina ultramaryny głębokiego, a jednocześnie przezroczystego nieba, jego ciężąca nad ziemią błogość, kontemplacyjne migotanie Drogi Mlecznej.

Spałem na podwórku, na pryczy, którą dziadek zrobił dla mnie z desek i różnej wielkości pieńków. Zasypiałem późno, kiedy na granicy jawy i snu rodził się potajemny sen, w którym gwiazdy, księżyc, falowanie Drogi Mlecznej grały jakąś erotyczną sztukę z życia tureckiego haremu.

Rzekę Boh kochałem aż do bólu: drzałem na całym cieple, a usta mi siniały. Gotów byłem razem z chłopakami latać na tarzance od rana do nocy.

A czy ty w ogóle wiesz, co to jest tarzanka? W zasadzie to taki trapez własnoręcznie zrobiony. Nazwany na cześć Tarzana, nieznanego ci bohatera amerykańskiego filmu z Johnnym Weissmullerem w roli głównej. Jak on tam latał, mój ty Boże, jak latał po tych hollywoodzkich dżunglach, śmigając na linach ponad bagnami, w schludnych łachmanach i z nieskazitelnym przedziałkiem na głowie: dzika wolność w wydaniu amerykańskim.

A wracając do tarzanki... Brzeg musi być urwisty. Właśnie taki był w tym miejscu. Chwytasz obiema rękami za drążek, rozpędzasz się i lecisz nad rzeką, która nie jest może tak

szeroka jak Dniepr, ale nie jest też strumieniem. Zapierający dech w piersiach lot, który kończył się zanurzeniem w lodowatej wodzie, długim opadaniem na dno i równie długim powrotem, na resztkach wstrzymanego oddechu, wytrenował moje płuca na całe życie. Muszę ci powiedzieć, że oddech jest bardzo ważny podczas gry na instrumentach dętych.

Najbardziej lubiłem przyjazd, dworzec i drogę do domu.

Żmerynka, trzeba przyznać, ma wspaniałe dworzec w eleganckim stylu art nouveau; takiego nawet Wiedeń by się nie powstydział! Nasz sąsiad Fiedia codziennie wypijał flaszkę w dworcowym bufecie, wychodził na peron i krzyczał do przejeżdżających pociągów: „Nikogo się nie boję-ę-ę!”. Pewnego razu pobili go właśnie tam, na dworcu. Ale on wcale nie zrezygnował z owych ekscesów i dalej krzyczał za mknącymi pociągami. Wprawdzie sentencja trochę się zmieniła, a razem z nią, jak to się często zdarza, również wymowa polityczna. „Nikommu nic nie jestem winny!”, wrzeszczał odtąd wujek Fiedia, kiwając się na wietrze.

Dom dziadka stał na ulicy Puszkina. Już go oczywiście zburzyli, ciotka zmarła i tylko ja - w swoich lekkich snach o świcie - wciąż przechadzam się po jego lakierowanej podłodze ułożonej z desek. Rozkład domu znam na pamięć: z ulicy wchodziło się po drewnianych stopniach wprost na przeszkloną werandę, gdzie od zawsze stał roboczy stół dziadka, ze wszystkimi drobnymi narzędziami, na którym panował idealny porządek. Dziadek pięknie pracował.

Mama opowiadała, że w dzieciństwie mogła godzinami siedzieć i obserwować, jak naprawia zegarki. Ja też lubiłem skradać się z tyłu i patrzeć mu przez ramię.

- Sienczis... - mówił, odwracając do mnie twarz z założonym na jedno oko szkłem powiększającym w kształcie kieliszka.

- Broń Boże, żebyś podchodził do mnie bliżej niż na dwa kroki. Sapiesz jak parowóz. Zaraz zdmuchniesz mi strzałkę sekundową. Zrób dwa kroki do tyłu, Sienczis, i stój tam jak trusia!

Ale chodźmy dalej, moje dziecko... Dalej był salon, a w nim: skórzana kanapa z wysokim oparciem i przepięknie rzeźbioną półeczką, na której stały porcelanowe figurki, a o każdej dziadek mógł opowiedzieć ciekawą historię, oraz szafa na książki i fotel - wszystkie meble stare, rzeźbione. Z jadalni wchodziło się do sypialni, gdzie stało, czego nikt by się nie spodziewał, typowe panięskie łóżko, w którym dziadek spał, a obok była jeszcze jedna - i to ogromna! - szafa na książki. Ciocia Frida nazywała tę parę mebli Maszeńka i niedźwiedź⁹⁰.

Babcia zmarła w wieku czterdziestu lat, a dziadek po raz drugi już się nie ożenił.

90 Maszeńka i niedźwiedź - bohaterowie rosyjskiej bajki ludowej pod tym samym tytułem.

Lubiłem patrzeć, jak rano słał swoje „panieńskie” łóżko, starannie wygładzając - od środka ku brzegom - fałdy na prześcieradle, jakby głaskał niezapomnianego ducha ukochanego ciała.

Była też kuchnia, którą dziadek utrzymywał w takim samym idealnym porządku jak swój stół do pracy. Nawiasem mówiąc, dobrze gotował, a właściwie improwizował: brał to, co miał pod ręką. I robił świetne *latkes* - placki ziemniaczane.

Pomieszczenia gospodarcze były oczywiście na podwórku. Stała tam też szopa, gdzie wśród różnych rupieci mieszkwały kury, a raczej pomieszkiwały: ich obecność nie trwała zbyt długo, zaledwie do najbliższej sobotniej uczty, podczas której ze smakiem je zjadano. Przy czym nioska musiała koniecznie przejść inaugurację u rzeźnika. Ten gwałtownie skręcał jej kark i odrąbywał głowę jednym machnięciem noża. Był to rytuał. Nie religijny, tylko kulinarny: kury ze sklepu nie uważano za prawdziwą kurę. Potem ją skubano, opalano - tym zajmowała się ciocia Frida, młodsza córka dziadka - i gotowano na wolnym ogniu przezroczysty rosół: czystszy niż źródłana woda, bardziej wonny niż rajske ogrody.

Ach, byłbym zapomniał: w całym domu wisiały makatki wyhaftowane przez babcię krzyżykami, richelieu, mereżką. Przedstawiały idylliczne pejzaże, damy, kawalerów, kościół gotycki, podejrzenie przypominający ten w Żmerynce - spiczasty, strzelisty, z czterema pinaklami na dzwonnicy, wśród cienkich i tak samo spiczastych sosen, które jakby się spieszyły, by mu dorównać.

Pamiętam ulice: Główną, równoległą do naszej, Gorkiego, Szolema Alejchema - wszystkie zabudowane piętrowymi białymi lepiankami z werandą, jak u nas.

W niedziele mieszkańcy przechadzali się po ulicy Głównej. Tuż po wojnie puszczano w klubie - nie-pamiętam-jakich-zakładów-krawieckich - zdobyczne filmy *Dziewczyzna moich marzeń*, *Hinduski grobowiec*.

Będziesz się ze mnie śmiała, ale ja do tej pory wożę w futerale z fagotem trzy pocztówki - mój talizman, nędzne trofeum pechowego dzieciństwa... To zdjęcia aktorów z powojennej kolekcji mamy: są na nich Marika Rökk, Mary Pickford i Valentino...

Frida miała kolekcję płyt. I w upalne wieczory na naszej werandzie najczęściej rozbrzmiewał głos Lali Czernej z jej *Nie wyjeżdżaj, mój kochany* albo zachrypnięty figlarny tenorek Utiosowa z jego *Szerokim morzem*...

Pamiętam też, jak wybrukowane kocimi łbami jezdnie zamieniano na asfaltowe. W centrum było mało zieleni - klony, lipy - ale dalej, na Proletarskiej, Tołstoja, Szewczenki prywatne domy tonęły w prawdziwie rajskich ogrodach: sadach pełnych jabłoni, grusz, wiśni... No i oczywiście kwiatów. Wszędzie unosił się zapach jaśminu. To śmieszne, perfumy o jaśminowym zapachu wciąż wzruszają mnie do łez - może dlatego, że mama takich

używała? Albo dlatego, że przy schodach naszej werandy rósł krzak jaśminu?

A wieczorem rozkwitały drobne kwiatki metioli i wszędzie unosiła się ich intensywna słodkawa woń, którą były przesiąknięte nawet zasłony w otwartych oknach.

Każdego lata chodziłem z dziadkiem na grób babci. Droga na cmentarz żydowski prowadziła wzdłuż jabłoniowych sadów i piramidalnych topoli na tle rozkosznego głębokiego błękitu nieba. Naprzeciwko znajdował się cmentarz katolicki, nazywany „polskim”. Te malownicze pejzaże z kontrastową bogatą kolorystyką tak bardzo różniły się od rosyjskich, a tym bardziej od nędznych gurjewskich! A bliska obecność katolicyzmu nadawała wszystkiemu pewien posmak... jakby Adriatyku...

Dwa razy w tygodniu, schodząc ulicą Rewolucji Październikowej, towarzyszyłem cioci Fridzie w wyprawie na duży bazar (był też mały, ale my go lekceważyliśmy). I wiesz co, tyle lat minęło, a mnie wciąż się wydaje, że stoją tam w rzędach, przy górach pachnących jędrnych ukraińskich pomidorów, ci sami faceci i ciotki z zawieszonymi na szyjach plecionymi girlandami cebuli - wypisz, wymaluj jak z martwej natury - oferując przypominające miejską bułkę, ciemnozłociste sztabki masła w soczystych liściach łopianu.

A czerwonoróżowy bezwstyd mięsnych rzędów? Tusze, szynki, świńskie łby z figlarnie i jednocześnie sennie zmrużonymi oczkami! Było w nich coś metafizycznego...

A rzędy smakowitej ukraińskiej słoniny! *A nu, jidit' siuda, ženszyna, dywit'sia, jake salo hame, sołomoju palene*⁹¹. Słoma dodawała specyficznego aromatu.

Rzędy z kiszoną kapustą. *Kapustka, kapustka niedosolena, swižen'ka, ženszyna, a nu pokusztujtie, meni nie żalko. Wam dawaty znizu czy zwerchu?*⁹².

Rybne rzędy z ponurymi kłusownikami, którzy łowili w Bohu, gdzieś poniżej Sabarskiej GES⁹³.

Mleczne rzędy z niepowtarzalnym zapachem prawdziwego tłustego białego sera: leżącej w misce nierównej kuli z odcisniętą gazą na pękатыm boku. *Oce tylki sogodni wydzala, ce ne tworog, ce prosto masło*⁹⁴.

*Ženszyna, chaj dytyna poprobujie. Chłopczik, a nu każy - harny tworog?*⁹⁵.

Ja, nie chcąc nikogo obrazić, tylko się uśmiechałem. A one mówiły: *Ot baczyte. Dytyni narawyt'sia. To berit', bo meni szcze daleko ichaty*⁹⁶.

91 (Ukr.) - Podejdz no tu, kobieto, popatrz, jaka piękna słonina, wędzona w słomie

92 (Ukr.) - Kapustka, kapustka małosolna, świeżutka, kobieto, spróbuj, ja nie żałuję, Chcecie z dołu czy z góry?

93 GES (*gidroelektrostantsija*; ros.) - elektrownia wodna.

94 (Ukr.) - Dopiero dziś wyciskałam, to nie twaróg, to prawdziwe masło.

95 (Ukr.) - Kobieto, niech dziecko spróbujie. Chłopczyku, powiedz - piękny twaróg?

96 (Ukr.) - Patrzcie no. Dziecku smakuje. No to bierzcie, bo mnie jeszcze daleko trzeba jechać.

Na bazarze Frida przechodziła na dziwny język - ni to rosyjski, ni to ukraiński.

- *Raženku majesz?*⁹⁷ - zaczynała. - Przecież można ją nożem kroić! Stoi na baczność jak ołowiany żołnierz przed generałem. No to ile? Nie. Pytam, *szo stoit'* to złoto?

I jednocześnie próbowała dziewczynę udobruchać:

- *Oj, w tebe taki browki... nache namalowani*⁹⁸. *I szo ty je unosisz, ty lepiej cenę opuść!*

Na taki sam język przechodziła też i wtedy, gdy dokuczliwy sąsiad Fiedia podkradał coś z naszego ogródka.

- Ten bandzior, *szykomik, urkagan*⁹⁹ przeklęty! - wrzeszczała na całą ulicę. - Znow zerwał ogórka na zakąskę! *Szob* w dupie mu utknął! *Ot bisowa mat'*, Frida plecy *gne*, a ta czerwona morda nic tylko chrumka!

Ale wróćmy do tematu.

Słynna czekolada, kradziona z Winnickiej fabryki cukierniczej... Czasami była to ogromna, wielkości dwóch dłoni, czekoladowa figurka - ryba lub kogut - pospiesznie odlana w topornej formie domowej roboty. Ale najczęściej - po prostu bura cegła w kawałku folii. Prawdziwa gorzka czekolada, twarda jak granit.

W ścisiku i duchocie rzędów z ciuchami, wśród używanych rzeczy, jakichś błyszczących kozaków, filcowych butów, rozpinanych swetrów robionych na drutach, bezkształtnych spódnic na gumce i tkanych biało-czerwonych ręczników, zawsze można było wyprosić u Fridy malowany gwizdek.

Po bazarze często przechadzał się typ z czarnymi operowymi kędziorami (dlaczego operowymi? No tak... aria Ramzesa z *Aidy*). Nazywali go Ajsorem¹⁰⁰. Nie wiem czemu, ale te drobne spiralki brody i włosów odżywały w mojej pamięci, kiedy w British Museum patrzyłem na freski z profilami starożytnych asyryjskich królów.

Otóż Ajsor Jaszka nosił z przodu kramik na szerokim rzemieniu opasującym jego szyję. Miał w tym kramiku różne flakoniki, proszki, pudełka, kawałki pumeksu i inne drobiazgi.

Jaszka reklamował swoje specyfiki dobrze postawionym donośnym barytonem:

- *Naszo wam żyńka czy kochanka? Wiz'mit' oce* - wyciągał flakonik - *poływac do potribnogo miscia, ta kowzajte tudy-ciudy i use bude dobre!*¹⁰¹

I moja dorosła, ale psotna ciotka Frida nie odstępowała go na krok, dusząc się ze

97 (Ros.) - Masz kefir?

98 (Ukr.) - Ależ masz brwi... niczym malowane.

99 Od *szykor* (jidysz) - pijany; *urkagan* (ros. żargon) - złodziej.

100 Ajsor - Asyryjczyk.

101 (Ukr.) - Dla żony czy kochanki? Weźcie to, polewajcie potrzebne miejsce, wcierajcie i wszystko będzie dobrze!

śmiechu.

I jeszcze coś: w sierpniu pojawiały się jabłka - *siemierienka*, antonówka, biały nalew i jakiś zimowy gatunek wyselekcjonowany przez hodowców - ogromny rumiany owoc, niezwykle smaczny, kwaskowaty. Nazywał się chyba „pobieda”. No a bliżej jesieni pojawiała się kukurydza. A gdy dobrze się ją ugotowało - nie za długo, by nie popękały ziarna, tylko w sam raz - i zatapiało zęby w sprężystej, posypanej gruboziarnistą solą wypukłej kolbie... ach, lepiej nie rozdrapywać starych ran!

Krótko mówiąc: lato na Ukrainie.

Dziadek, jak widzę to dzisiaj, był prawdziwym i konsekwentnym dysydem. Na tyle konsekwentnym, że w ogóle mnie „nie oszczędzał”. Tak twierdziła Frida.

- Aj - mówiła. - Czy dziecko powinno słuchać twoich majsów?!

Majsy dziadka - po prostu różne opowiadki, które zbierał przez całe życie, z pouczającymi morałami, wstępem i rozbudowanym zakończeniem - przeważnie były bezsensowne i bezwzględne. Czasami nie rozumiałem, po co mi opowiada, jak został zabity okulista Gurwicz, u którego leczyło się całe miasto. Po co? - dziwiłem się.

- Żebyś wiedział, gdzie żyjesz - cierpliwie odpowiadał dziadek. - Żebyś nie robił sobie niepotrzebnych nadziei. Będiesz młody, żarliwy, natchniony. Będziesz chciał zło zmienić na dobro. Nie chcę, żebyś zmarnował na to lata życia. Ten kraj, Sienczis, jest krajem bandytów. Rozbójników. Niezależnie od władzy. Tu władza zawsze będzie zbójcka, ponieważ taką mamy ziemię. Wiatr gwizdże tu jak zbój...

- Daj już dziecku spokój z tymi swoimi majsami!

- Milcz, Frido - mówił dziadek. - Milcz i przypomnij sobie, kto ukradł niemieckiemu oficerowi paczkę papierosów... Otóż, Sienczis... Niech cię nie zwiedzie to, że oni czasem robią coś w odruchu serca. Po prostu zdarza się, że zbój bywa w dobrym humorze i akurat nie ma ochoty wyrzucać cię za burtę... Wybierz sobie jakieś mało dochodowe zajęcie, Sienczis... Niewinne, nic nieznaczące zajęcie, żeby nikt od ciebie nie zależał i nikt ci nie zazdrościł...

Jak widzisz, moje dziecko, trzymam się rad dziadka. Czy już ci pisałem, że w ciągu ostatnich kilku tygodni oswoiłem dulcian? To przodek fagotu. Ma niesamowicie piękny głęboki tembr, pełen cierpienia... czarująco-próżny...

Wybacz, że wypisuję głupoty. Już trzecia nad ranem, a ja wciąż nie mogę zasnąć. I nawet pograć nie mogę, bo sąsiedzi zadzwonią na policję. Coś jestem dziś nie w sosie. Nie potrafię bez ciebie żyć, moja lustrzana dziewczynko, już od dawna nie potrafię bez ciebie żyć.

A wracając do dziadka...

Każdego ranka po przebudzeniu wkładał słynne kozaki zabitego włoskiego żołnierza,

szedł do kiosku „Sojuzpieczat”¹⁰² i kupował wszystkie krajowe gazety, żeby móc je porównywać i „czytać między wierszami”.

Czekaj. Przecież do tej pory nie opowiedziałem ci historii tych kozaków, choć obiecałem. Zaraz ją opowiem, bo znów zapomnę.

Ale zacznę nie od kozaków, tylko od skradzionej paczki papierosów. Chodzi o to, że w czasie okupacji dziadek z dwiema córkami trafił do getta w Żmerynce - tam się urodziłem. Człowiek urodzony w getcie jest skazany - zgodnie z logiką rozwoju wypadków - na wałęsanie się po świecie, ponieważ boi się pozostać w zamknięciu choćby dzień dłużej, niż mógłby w nim wytrzymać.

Przeżyli cudem. Cudem, bo młodziotka Frida ukradła niemieckiemu oficerowi paczkę papierosów. Nie wiem, czy zwędziła ze stołu w pustym pokoju, przechodząc obok komendy, czy wyciągnęła prosto z kieszeni - co też nie jest wykluczone, bo stać ją było na coś takiego. Pamiętam z dzieciństwa, jak brała od dziadka jakąś książkę do poczytania i nawet jej nie otworzywszy, wrzucała do pieca na rozpałkę. „Zaczytywała”. Krótko mówiąc, złapali ją z tą paczką papierosów i zawieźli całą rodzinę do piwnicy na gestapo. Nie pozwolili wziąć tylko mnie: miałem dwa miesiące i tak wrzeszczałem, że mogłem przeszkadzać komendantowi.

A dalej to już całkiem nieprawdopodobna historia, ale ponoć nie ma nic bardziej nieprawdopodobnego niż życie: mama uprosiła ochroniarza Rumuna, by puścił ją po dziecko - że niby gdzie może uciec, i tak wróci do ojca i siostry. I ten ją puścił.

Po drodze spotkała sąsiadkę. I tu następuje zwrot akcji. Sąsiadka była w młodości cyrkówką, potem wyszła za mąż za starego Ormianina - jakąś szychę w *zagolsyrju*¹⁰³. A w czasie wojny otwarcie romansowała z rumuńskim oficerem. Była kobietą szaloną, odważną, jednym słowem - wybac mi - cyrkówką, chociaż już nieczynną zawodowo.

Chodzi o to, że w szopie przy naszym domu, w starej maminej rękawicy schowano jakieś pieniądze, odłożone przez dziadka na całkiem już czarną godzinę. Która, jak rozumiesz, właśnie nadeszła.

I mama, spotkawszy tę sąsiadkę cyrkówkę, uprosiła ją, by wzięła pieniądze i wykupiła nas za pośrednictwem swojego rumuńskiego oficera. I jak myślisz? Tamta wzięła i nie mam pojęcia jak, ale ubłagała Rumuna, a on wszystkich nas wykupił. Taka to historia cudownego ocalenia, libretto operowe bez szczegółów. Nie daj Boże poznać owe szczegóły. Nie daj Boże poznać wszystkie szczegóły naszego życia.

Nawiasem mówiąc, później ta sąsiadka na wszelki wypadek wyjechała do Kijowa i

102 Gra słów: *pieczatat' szag* - wybijać krok; *pieczat'* - prasa (ros.).

103 *Zagotsyrjo* (*zagotowitielnoje syrjo*, ros.) - zaopatrzenie w surowce.

przez wiele lat dziadek ją odwiedzał - czasami razem ze mną.

A co z kozakami? Czemu ciągle mi umykają i umykają, chociaż wystarczy, że zamknę oczy i już widzę mocne sznurowadła i cholewy z klamerkami. W dzieciństwie często patrzyłem na te kozaki i myślałem - gdzie jest włoski żołnierz, który je nosił? A teraz wspominam dziadka i myślę - gdzie są te kozaki włoskiego żołnierza, które tyle lat nosił mój dziadek?

To jest krótka historia.

Żmerynka zawsze była stacją węzłową. Niemcy zatrzymywali tam pociągi z poległymi żołnierzami i spędzali na peron mieszkańców getta, żeby przebierali zabitych w mundury galowe i przenosili do innych wagonów, jadących do ich ojczystych Niemiec. Żołnierze Wehrmachtu powinni byli odchodzić do lepszego świata odświętnie ubrani. I dziadkowi przypadła właśnie taka robota. Do tego czasu przeżył w getcie głodną i chłodną zimę, pochował żonę, odmroził nogi i ledwie się poruszał na tych swoich prawie kikutach. Przebierając jakiegoś zabitego Niemca w strój galowy, ściągnął z niego kozaki, które miał rzucić na stertę brudnych i zeszywniałych od krwi butów. Były to jeszcze całkiem porządne kozaki. Dziadek pomyślał... i je włożył. Zauważył to nadzorujący prace starszy szeregowy i chciał na miejscu rozstrzelać dziadka, ale kiedy kazał mu ściągnąć kozaki i zobaczył jego nogi, niespodziewanie się zlitował. I tylko przyłożył mu kolbę karabinu w plecy i zaprowadził do ciał włoskich żołnierzy. Masz, zdejmuj z tych. Z tych można. Że niby z Niemca Żydowi nie wolno, a z Włocha - tak.

Ależ to były kozaki, moje dziecko. Nie peszy cię taki brak skrupułów dziadka? Mnie - nie. Tamtego włoskiego chłopaka nie mogły już ogrzać, a dziadkowi uratowały nogi. I potem przez całe życie wkładał je rankiem - były nie do zdarcia! Nie do zdarcia! Sznurował, zapinał cholewy i dziarsko, prawie jak żołnierz, wybijał krok - wybacz kalambur - do najbliższego kiosku „Sojuzpieczat”. Będąc dzieckiem, zastanawiałem się, czy „nie nasze” kozaki przypadkiem nie są przyczyną, choćby nawet pośrednią, „nie naszych” poglądów dziadka?

Mój ty Boże, już czwarta godzina! A ja o dziesiątej mam próbę z Mietlickim. Nie wiem, czy pisałem, że wspólnie przygotowaliśmy program dla szacownej bostońskiej orkiestry barokowej, która nazywa się *Haendel and Haydn Society*, czyli „Towarzystwo miłośników Haendla i Haydna”. Świetnie brzmi, nieprawdaż? Orkiestra barokowa i chór. Muzycy grają na instrumentach z siedemnastego i osiemnastego wieku. Orkiestra słaba, ale jest miejscową atrakcją. Została utworzona w tysiąc osiemset piętnastym roku, jeszcze za życia Beethovena. A pewna dość wyrafinowana legenda głosi, że mieszkańcy zamówili u niego *Bostońską uwerturę*, ale stary głuchy kompozytor zmarł, nie zdążywszy jej napisać.

Każdego roku w grudniu, przed Bożym Narodzeniem, orkiestra wykonuje *Mesjasza* Haendla - i robi to już od dwustu lat. Takie bostońskie wydarzenie, w którym musi wziąć udział każda porządna rodzina wraz z dziećmi. Trwa to nudziarstwo trzy godziny, potem publiczność grzecznie klaszcze i dostojnie opuszcza salę. Miejscowi muzycy, którzy zakładali orkiestrę, oczywiście już nie żyją. My z Mietlickim jesteśmy przyjezdni. I żyjemy.

Nawiasem mówiąc, mieszkamy teraz prawie po sąsiedzku. A ja mam tylko jednego sąsiada, miłego i cichego idiotę. W odróżnieniu od poprzednich nie awanturuje się i nie narzeka na mój fagot; wręcz przeciwnie - godzinami czeka, kiedy łaskawie się obudzę i zacznę grać.

Ale mam z nim kłopot z jednego powodu: kiedy spotykamy się koło skrzynki pocztowej, muszę go powstrzymywać, żeby nie całował mnie w rękę.

A co do Profesora... Nie przestaję zachwycać się tym człowiekiem! I pomyśleć, że ma dziewięćdziesiąt trzy lata, a zachowuje taką jasność i błyskotliwość umysłu, takie poczucie humoru!

Wczoraj po próbie w Symphony Hall (uważa się, że sala ma niepowtarzalną akustykę, ale to bzdury, nic nadzwyczajnego) podwoziłem go do domu i zaczęliśmy gadać o Kreislerze.

W młodości Mietlicki dość długo grał z pewnym pianistą, który akompaniował wielkiemu Kreislerowi. „I tamten nauczył go kilku estradowych sztuczek, wszystkich tych spowolnień, glissando, melancholijnych vibrato... jednym słowem, tej całej tandety, którą uwielbia publiczność - opowiadał mi Profesor. Zamilkł na chwilę, a potem dodał: - Chociaż sam Kreisler miał publiczność w dupie, proszę mi wierzyć, Simonie. Tak, tworzył utwory salonowe, ale wykonywał je prosto i powściągliwie, trzymając się rytmu”.

Profesor świetnie mówi po rosyjsku, z lekkim akcentem. Urodził się w Warszawie, ale kilka lat spędził w Rosji. W czasie rewolucji! Wprawdzie ni cholery z tego okresu nie pamięta, był za mały. Jego ojciec, inżynier, budował mosty - przyjechał tam na zaproszenie. Po rewolucji musiał oczywiście wrócić do Warszawy: nadeszły czasy, kiedy bandyci na pastwę nadchodzącej fali rzucali każdego, kto nawinął się im pod rękę.

Marzę, byś poznała jego rodzinę. Jest dość ciekawa. Córka Julia, znana dziennikarka, relacjonuje wszystkie głośne procesy sądowe; cholernie popularna, często pojawia się w telewizji; ostra - po ojcu - ale charakter ma trudny. Przy czym, jak powiada Profesor, ma taki od urodzenia. Pewnego razu w trakcie jego głośnego tournée po Europie dzwoni żona i mówi: „Dłużej z nią nie wytrzymam! Przyjeżdżaj natychmiast!”. Musiał odwołać dwa koncerty, zapłacić ogromną karę i przyjechać. W jego obecności paskuda zachowywała się trochę lepiej.

Julia nie ma własnych dzieci, ale jakieś dwadzieścia lat temu adoptowała chińską dziewczynkę. Czy wiesz, moje dziecko - i to już ostatnia rzecz, którą dziś zawracam ci tę twoją zmęczoną lustrzaną głowę - że w Chinach obowiązek utrzymywania starych rodziców spoczywa na synach?

Dlatego urodzenie córki to nieszczęście. Noworodki płci żeńskiej często porzuca się po prostu przy drodze. W ten sposób Julia, jeżdżąc po Chinach w swoich dziennikarskich sprawach, znalazła jedną z takich dziewczynek wyrzuconych na pobocze. I ją adoptowała. Wzruszająca historia, nieprawdaż?

Już kończę, kończę, jesteś śpiąca...

Czekam na ciebie w Amsterdamie. Szesnastego. W hotelu... „Chceta zobaczyć ślicznotkę?”. Według moich obliczeń powinnaś tam być koło dwunastej. Chyba nie przyjedziesz na motorze? Wynająłem samochód; ruszymy przez Niemcy do Pragi, a stamtąd do Karłowych Warów, gdzie gram koncert.

Pamiętasz, jak siedem lat temu - tułacze bez grosza przy duszy, uliczni kuglarze, siedzieliśmy tam w pokoiku taniego pensjonatu i patrzyliśmy przez okno na powoli wyłaniający się z zamglonego wąwozu Grand Hotel Pupp, marząc, żeby kiedyś... Otóż, moja lustrzana dziewczynko, zarezerwowałem dla nas dwa noclegi w tym pałacu Szeherazady - nie martw się, dostałem porządną zniżkę. Cieszysz się? Natomiast w Amsterdamie jak zawsze zatrzymamy się w AMS Lairese - wiem, że nie bardzo go lubisz, ale zgódź się: jest blisko sali koncertowej, a ja, nieszczęsny, muszę z rana pędzić na próbę, wieczorem zaś na koncert, i tak przez trzy dni bez chwili wytchnienia.

No i mają tam niewielki przytulny ogród japoński, który można podziwiać w czasie śniadania. I takie wygodne szerokie łóżka! Takie szerokie łóżka! Przyjeżdżaj jak najszybciej!

Dzwoniłem do Pietera. Mój fagot jest już prawie gotowy, a ja nie mogę się nacieszyć i doczekać chwili, kiedy wezmę w ręce moje przyszłe dziecko - kopię instrumentu Ludwiga Elchentopfa, z osiemnastego wieku. Mógł ją wykonać tylko tak genialny mistrz jak Pieter de Koenig.

Ale ty już śpisz... Cichutko cię przykrywam i też idę się zdrzemnąć. Wiesz, o czym - we śnie, żebyś nie odgadła - czasami marzę? Nie, nie czasami, ale dość często. I wybac mi, staremu idiocie, że jestem taki wzniosły: marzę, żebyś była przy mnie, kiedy zasnę po raz ostatni.

Dobranoc!

Kiedy była na czwartym roku studiów, jej nauczyciel Łazurin wyjechał na Kubę, gdzie właśnie otwarto szkołę cyrkową. Solowy występ Anny na trapezie egzaminowała szalona staruszka Jelena Pawłowna Krasowicka. W czasach swojej burzliwej młodości była woltyżerką, potem występowała na trapezie. Nigdy nie wyszła za mąż, dzieci też nie miała. Mieszkała z siostrą gdzieś na ulicy Usijewicza w domu należącym do spółdzielni mieszkaniowej cyrkowców...

W pokoju nauczycielskim paliła papierosy, jednego po drugim, wkładając do gilzy watkę zamiast filtra.

Krasowicka była już dobrze po sześćdziesiątce, ale lonżę trzymała mocno i Anna całkowicie na niej polegała.

Na egzaminie końcowym Anna wystąpiła w zabawnej reprzyzie: w kostiumie marynarskim ze spódniczką, z zawadiacko zsuniętym beretem, przy akompaniamencie muzyki Dunajewskiego. Szczuplutka i zwinna podskakiwała do wiszącego *corps de pareil* i szybko - ustawiając nogi pod kątem - wspinała się po linie na trapez niczym chłopiec okrętowy po drabince. Robiła to lekko, zuchwale, poruszając się w takt muzyki - ręce już wtedy miała silne.

Na górze odczepiała lonżę, chwytając za gryf trapezu i po paru mocnych ruchach ciała nagle puszczała ręce, żeby - zgiąwszy nogi i obróciwszy się o sto osiemdziesiąt stopni - już po omacku zaczepić gryf łydkami i zawisnąć głową w dół.

Nazywało się to „pół piruetu z pięty w pozycji wiszącej”. Numer też kończyła takim samym półpiruetem, mocno huśtając się na trapezie przy czułym akompaniamencie Dunajewskiego...

Anna i Wołod'ka główny przedmiot zdali na piątkę. Teraz czekało ich długie huśtanie się w realnym życiu, w cyrkach, Byli bardzo młodzi, marzyli o dużej arenie, prawdziwym ryzyku, wysokości, reflektorach, oklaskach... Sławie.

I byli trochę zagubieni.

*

Po egzaminach Wołod'ka załapał się na wyjazd z dobrym zespołem, w charakterze dolnego akrobata, i od razu pojechał do Permu.

Anna trafiła do świeżo powstałej moskiewskiej grupy Cyrk-Rewia i przechodziła „okres prób” w Izmajłowie¹⁰⁴. Tam znajdowała się baza. Jej nazwa była pompatyczna i długa

104 Izmajłowo - dzielnica Moskwy.

- „Ogólnozwiązkowa dyrekcja do spraw przygotowań cyrkowych atrakcji i numerów”. Zakładano, że młodzi artyści, doskonaląc tu swoje pokazy, osiągną mistrzowską formę. Tygodnie ponuro upływały jeden za drugim... Czasu na ćwiczenia na arenie dawali mało - godzinę dziennie. I do tego w ramach oszczędności dyrekcja łączyła próby kilka numerów.

Anna przychodziła, rozgrzewała się, ćwiczyła swoje wymachy i piruety na trapezie, podczas gdy na dole skręcała się w precle para ekwilibrystów, a dwóch żonglerów przerzucało się buławami.

Przez resztę dnia po prostu się obijała albo przesiadywała u Ariszy w akademiku konserwatorium. Arisza rozprawiała o rzadkim instrumencie o nazwie karylion. Prowadziła korespondencję z francuskimi karylionistami i robiła zupełnie nierealne plany na przyszłość; chyba naczytała się jakichś powieści. Znała wszystkie europejskie kościoły, w których były te karyliony, i potrafiła gadać o nich godzinami.

Wieczorami Anna zanudzała się na śmierć w towarzystwie trockistów Bluwszejnów, którzy całkiem zwariowali na punkcie oszczędzania prądu. Dwadzieścia lat spędzili w radzieckich łagrach, więc uważali, że wystarczy jedna słaba żarówka w kuchni. Anna w myślach nazywała to „nostalgią po baraku”.

- Panienko - mówił do niej w kuchni Isaj Borisowicz. - Do trzeciej nad ranem paliło się u panienki światło. Z jakiej to okazji?

- Czytałam książkę - grzecznie odpowiadała mu Anna. A on krzywił usta w uśmiešku.

- Chciałbym zobaczyć, co czyta cyrkowa brać!

- Proszę bardzo - nadal łagodnie odpowiadała Anna i przynosiła z pokoju broszurę pod tytułem *M-teorii strun i struktura czasoprzestrzeni w zapętłonej kosmologii kwantowej*.

Isaj Borisowicz wytrzeszczał zmętniałe oczy za grubymi szklami okularów i krzyczał do żony:

- Irino Bogdanowno! Ona z nas sobie kpi!

Chłopak Ariszy, Edik Martirosian, doktorant na wydziale fizyki MGU¹⁰⁵, wypożyczał dla Anny książki i czasopisma w bibliotece uniwersyteckiej.

Co jakiś czas z głównej poczty dzwoniła do ojca do pracy. Ale takie kontakty były dla niej męczące nie tylko dlatego, że nienawidziła rozmów przez telefon, uważając je za bezsensowne, puste i zwodnicze - szelészczące powłoki bezbarwnego głosu... Nawet przez szmery i zakłócenia na linii

¹⁰⁵ MGU (Moskowskij Gosudarstwiennyj Uniwersitet) - Moskiewski Uniwersytet Państwowy im. M. Łomonosowa.

przebijała się do niej tęsknota ojca. Czowała po głosie, jak bardzo chciał się dowiedzieć: czy jest zdrowa? Szczęśliwa? Zdarzało się, że pytał ją wprost:

- Niuto, jesteś szczęśliwa?

Dźwięcznie się wtedy śmiała i odpowiadała przekonującym tonem:

- Ależ oczywiście, tato!

Cisza... jakiś szelest... dalekie pobrzękiwanie łyżeczki w szklance.

I nagle ojciec mówił:

- A naszą małą, Niuto, pamiętasz? Przenieśli ją do Odessy.

- Co?! - Niuta podnosiła głos. - Do Odessy?

- No tak... Przez jej paskudny charakter.

A ona nie mogła odgadnąć - nigdy niczego nie mogła przez telefon odgadnąć; lustra głuchły, zaparowały! - czy ojciec żartuje, czy jest smutny.

O Maszucie - po tych jego niepojętych łzach - starali się nie rozmawiać. Szczegółów Anna dowiadywała się z potajemnych, niepoprawnych, bardzo śmiesznych, gdyby nie treść, listów Christiny.

W tym czasie Christina już zdążyła przeprowadzić się do nich na stałe. Jej „prawie wdowiec”, za pijaństwo zdegradowany z maszynisty na konduktora, pewnego razu nie wrócił z dalekiej podróży - albo zaginął gdzieś podczas zacieklej targów ze spekulantami z południa, od których konduktorzy żądali słonej zapłaty za przewóz skrzyni pomidorów czy hurmy, albo znalazł schronienie w jakimś Erewaniu lub Alma Acie u boku czarnookiej samotnej grubaski...

Christina pisała tak samo, jak mówiła - „surżykiem”. Jej głos przebijał się przez pokraczne słowa i niezgrabne zdania:

Oto ojciec znów jeździł na cholere...¹⁰⁶

Przyszło mi tu siedzieć samej z Mar'kirilną i taki strach zostawać z nią samej a co jak chwyci ją tu bez Natol Makarycza? Po garści tabletek snuje się cichutka ale zdarza się że wszystkie wypluje... i wtedy z nią samą ależ strasznie mi jest Niutyńko nie daj Boże. Wszystkie lustra wokół porozbijała to my w domu wszystkie już pochowaliśmy ale ona i szyby próbuje bić zwłaszcza jak wieczorem zaczynają odbijać wtedy to trzeba biec szybko krzyczeć ratunku zasłaniać wszystko dookoła... A w szpitalu ojciec cały czas tylko płaci i płaci ona tam już wszystkie lustra porozbijała oni nowe wieszają w łazienkach czy na

106 „Na cholere” - w rejon wybuchu epidemii cholery.

korytarzach ale ona nowe też bije co za nieszczęście Niutyńko Jezus Maria zmiłuj się kto by mógł wiedzieć że nasza kulturalna Mar'kirilna z tą swoją muzyką stanie się niczym zwierzę dzikie...

Przed nowym sezonem zaczęli biegać po wydziałach urzędu, szukając miejsca w pokazach akrobacji powietrznej albo w lotach, gdzie mogliby występować razem. Nie chcieli znów się rozstawać - co to za życie z dala od siebie? W ciągu tego roku Wołod'ka całkiem zmarniał. Gdyby pracowali razem, mogliby przenosić się z miasta do miasta, bez obowiązku meldowania się, i nie przywiązując się do żadnego miejsca... Wystarczyło spakować wszystko do błogosławionego starego kufra... i leć sobie, dokąd wyślą.

Bardzo szybko się jednak okazało, że znalezienie pracy we wspólnym występie wcale nie jest takie proste.

Gdzieś potrzebowali chłopaka, a gdzie indziej dziewczyny. Poza tym niechętnie zatrudniano małżeństwa, bo to niepożądana koalicja w cyrku, gdzie knuje się intrygi, kopie pod kimś dołki i toczy wojny... Wszyscy byli niewolnikami na plantacjach urzędu głównego. A raczej dobrowolnymi chłopami pańszczyźnianymi. I odejść od swego pana mogli tylko na bezdomną głodną wolność - na bruk, donikąd.

Parę razy proponowano im całkiem już beznadziejne występy. Odrzucali takie propozycje. I urzędnicy na widok tej zbyt pewnej siebie pary zaczęli tracić cierpliwość.

W ten sposób zmarnowali całe lato i zupełnie upadli na duchu. Dwudziestego szóstego sierpnia, w dzień święta Radzieckiego Cyrku, po raz kolejny powlekli się do wydziału artystycznego, Wołod'ka odwoził Annę od tego pomysłu, przekonując, że nie ma sensu iść, bo w tym legowisku szakali pewnie już od rana wszyscy świętują... Ale Anna dopiła kefir, wypłukała butelkę pod kranem (oddawanie butelek do skupu było dodatkowym źródłem dochodu trockistów) i powiedziała zdecydowanym tonem:

- Włóż wyjściowe spodnie. Idziemy.

W urzędzie rzeczywiście pracowali na pół gwizdka - ktoś już wyszedł, ktoś zbierał się do wyjścia. Przy biurkach i na biurkach siedzieli jacyś obcy ludzie, ktoś palił, ktoś opowiadał kawały. Albina Konstantinowna - pączek z oszpeconą dziobatą twarzą, ta, co przez wszystkie te miesiące przeganiała ich niczym stare koty z tarasu na daczę - kładła świeżą warstwę pomadki na swoje nieprzyzwoicie pulchne wargi. I wykręciwszy czyjś numer telefonu, krzyczała do słuchawki:

- Władimir Iwany-y-ycz! Zdejmuj spodnie na ny-ycz! - Widać, że zdążyła już pociągnąć ze świątecznej butelki.

- Może znajdzie się dla nas coś na linie czy drucie?

Dlaczego Anna zapytała o linę? Po prostu wychwyciła pewien przekaz, dość wyraźny, wypowiedziany w myślach przez kobietę w ciąży siedzącą przy sąsiednim biurku - twarzy nie było widać, kobieta pisała coś starannie pochylona nad kartką...

Usłyszawszy pytanie, uniosła głowę i uważnie na nich spojrzała. Widocznie wydali jej się sympatyczni: tacy młodzi, zapaleni, jeszcze nie zdążyli się zapić.

- A może chcecie wziąć gotowy numer? Na linie z przejściowymi drabinkami.

Miała taką miłą twarz, całą w piegach, i małe pulchne dłonie, którymi co chwila wymachiwała, jakby szukając w powietrzu zgubionego drążka do balansowania.

I od razu wszystko się ułożyło, zbiegło, zgrało, jak to bywa tylko na życiowych zakrętach. Postanowiłam urodzić dziecko pod koniec kariery, wyjaśniała Luba. Kiedyś przecież trzeba się na to zdecydować. Właśnie załatwiam sobie emeryturę, zgodnie ze stażem; przez wiele lat kierowałam występem, a teraz nadszedł czas na pieluchy i śpioszki.

- Bierzcie, nie pożałujecie - mówiła podniecona, wymachując rękami. - Mieliliśmy dobry program, rodzinny, szczęśliwy, u nas przez wiele lat nikt się nie rozbił, były tylko drobne stłuczenia...

Jak dobrze, że dziewczyna akurat teraz zapytała o linę! Widać, że ma odwagę, miłość do wysokości... A tak się chce sprzedać numer komuś poważnemu, obiecującemu!

Albina Konstantinowna ze względu na święto też była łaskawie usposobiona; przysłuchiwała się rozmowie z matczynym uśmiechem na czerwonych lubieżnych ustach, a nawet obiecała „rozpatrzeć kwestię zapomogi pieniężnej na zakup sprzętu”.

I tak oto w jeden dzień, a dosłownie w minutę, stali się posiadaczami własnego numeru z pełnym wyposażeniem - sprzętem, kostiumami i partnerami.

*

Sprzęt okazał się przyciężki, niewysoki - prymitywny. Kostiumy były przestarzałe. Jedną partnerkę od razu zwolnili za pijaństwo. Druga, Gulnara, kobieta po trzydziestce, leniwa, już bez polotu, знаła tylko łatwe triki i niczego nowego nie chciała się uczyć. A oni Świeżo upieczeni linoskoczkowie - marzyli o wysokości, ryzyku, nowych trikach: żeby drabinki się kręciły! Żeby fruwać w powietrzu - oddychać pełną piersią, czuć przestrzeń, lekkość, przepaść pod sobą... Z zapalem zaczęli trenować na tym, co mieli. Chodzenie po linie to numer tradycyjny i stary jak piramida Cheopsa. Triki dobrze znane, aż do znudzenia: oto ustawili się na mostku, dolny akrobata idzie z drążkiem do balansowania w stronę przeciwnego mostka, górni linoskoczkowie tymczasem zbierają się na „grzędzie” - podwieszanych drabinkach, za które można się przytrzymać, stojąc na poręczach, i

przygotować się do występu albo po prostu efektownie sobie posiedzieć - „pozując”.

Są też trudniejsze numery: tu „drajkę” przenieść - piramidę z trzech cyrkowców, tam „firkę” - z czterech. Ale jak często publiczność może oglądać te wyczyny mięśniaków? Całe to przenoszenie, powtarzała Anna, jest nudne, nieciekawe, wcześniej już tysiące razy wykonywane...

I tak - marząc o wysokości i rozmachu, zaskakujących trikach, zamkniętych ze strachu oczach i spoconych ze zdenerwowania dłoniach widzów - po roku przygotowali program na tym nieciekawym, nieporywającym sprzęcie. Oboje byli jakby stworzeni do liny. Zwłaszcza Wołod'ka, którego wyróżniała plastyka ruchu i niesamowita umiejętność balansowania! Rekiny branży cyrkowej zaczęły kusić go propozycjami. Sam Wołżański zapraszał!

Wołod'ka odmówił. Wspólnie z Anną postanowili, że zrobią własny program. Sami.

*

W ostatnich miesiącach Annie wciąż przypominał się skwerek na Żyłańskiej, dokąd we wczesnym dzieciństwie Polina zabierała ją na spacer. Myślała o huśtawce... Ale nie o tych powolnych przyciężkich łódeczkach, które, gdyby nie bojaźliwa Polina, można było rozbijać do niebezpiecznej wysokości, co groziło upadkiem. Myślała o prymitywnej desce umocowanej w poprzek stalowej rury. Dzieciarnia siadała na brzegach tej deski i odpychając się nogami, to wlatywała w górę, to opadała... Deska sprężynowała, wyginała się - na jej końcach siadało nawet dwoje lub troje dzieci - nigdy jednak nie pękała. Dziwne, ale ta zwykła deska na skwerku nie dawała Annie spokoju!

Pewnego dnia po próbie oboje siedzieli w bufecie, przeżuwiąc kanapki z gumowatym serem. Anna w milczeniu patrzyła przez okno na podwórko, gdzie robotnicy rozładowywali ciężarówkę pełną desek.

- Co ci jest? - zapytał Wołod'ka. Zawsze się bał, kiedy popadała w głęboką zadumę.

- Nic - odezwała się. - Posłuchaj, nie daje mi spokoju pewien pomysł. Już od rana o tym myślę. Konstrukcja prosta jak... deska. Z tych, które wyładowują ci faceci.

Wołod'ka podążył za jej spojrzeniem. Jeden z robotników zrzucił drugiemu deskę na ramię i tamten bezgłośnie zaklął - sądząc po gestach i żywiołowej artykulacji.

- O czym ty gadasz? - zdziwił się Wołod'ka.

- Myślę, jakby z poziomej deski... zrobić pionową... postawić ją w pionie?

- W jakim pionie? Z jakiej poziomej?

- Chodzi o numer na linie... Co by tu wymyślić? Ile można ciągle to samo powtarzać za innymi?!

- A ty co... - Uśmiechnął się. - W kosmos masz zamiar na niej lecieć? Wszystkie triki

są tak samo zmurszałe Jak świat. Tysiące lat przed tobą skakano na linie. Wszystko dawno już zostało wymyślone.

- No tak, masz rację... - zgodziła się. Pusta huśtawka pod ogromnym kasztanowcem unosiła się i ze stukiem uderzała o ziemię. A kiedy siedziały na niej dzieci, sprężyste uginały nogi i odbijały się, napinały i odbijały...

- Chodźmy zapalić!

Na dworze mocno przygrzewało słońce. Trzech robotników kończyło wyładowywanie desek. Jeden stał na ciężarówce i podawał, dwóch brało je na barki i energicznie rzucało pod ścianę, Zwykle brzozowe sześciometrowe deski. Chyba do remontu.

I wtedy Annę olśniło... Aż ścierpła jej skóra: nagle zobaczyła swój niepowtarzalny, dziwny numer. Na dużej wysokości w zwolnionym tempie unosiła się i opadała deska położona w poprzek liny - romantyczna huśtawka w płatkach śniegu, leniwie spływających z lustrzanej kuli... Deska na linie?! To niemożliwe! Numer śmiertelnie niebezpieczny, na dwie sekundy - a potem długi uroczysty pogrzeb...

Kiedy robotnicy skończyli wyładowywanie i odjechali, podeszła do sterty desek i uważnie im się przyjrzała. Stała na jednej z nich, parę razy podskoczyła, by ją wypróbować.

Wołod'ka patrzył na nią, zmrużywszy oczy, i usiłował zgadnąć, do czego jest to jej potrzebne. I co jeszcze zrodziło się w tej niespokojnej głowie? Potem wyrzucił niedopałek i podszedł, by pomóc.

Wybrali najdłuższą deskę, z tych gładszych, bez sęków, przytaszczyli ją na arenę, położyli w poprzek barierki.

Tu w porę napatoczyła się Ninka - koleżanka z roku. Akurat kręciła się po sali prób, przygotowując łatwy numer ekwilibrystyczny. Anna i Ninka usiadły na brzegach deski i zaczęły się huścić niczym dwie dziewczynki. Deska sprężynowała, wyginała się, ale wytrzymała ich ciężar. Zawołali pracownika areny, żeby razem z Wołod'ką usiadł na tej huśtawce. Deska nadal wytrzymała obciążenie. Nie pękła, kochana. Nie pękła!

Po chwili, gorączkowo sobie przerywając, zastanawiali się, w jaki sposób umieścić deskę, żeby nie spadła.

- Po obu stronach środka ciężkości przybić cienkie listewki - zaproponowała Anna. - Zrobić taki rowek. Żeby później, przy publiczności, nie szukać tego środka po omacku, tylko od razu kłaść deskę na linę.

Zaczęli się sprzeczać, omawiać szczegóły...

Najpierw próbowali huścić się we dwójkę na niskiej linie - nic z tego. Nie można było

złapać kruchej równowagi, bez której nic by się nie udało.

Wtedy podszedł Wienia Tarasiuk, który gdzieś z boku spokojnie podrzucał swoje piłeczki, i nie przerywając zonglowania ani ledwie zauważalnych rytmicznych ruchów brody, powiedział:

- Tu są potrzebne dwie akrobatki o jednakowej wadze...

I tak do ich numeru trafiła Ninka, która została wierną partnerką na wiele lat.

Trenowali z zapalem, całymi dniami, jak nakręceni. Podnosili linę coraz wyżej, coraz niebezpieczniej. Nowo powstała huśtawka unosiła się i opadała nad areną, szybowała pod rusztowaniami... To właśnie był ten ich wymarzony, niebezpieczny lot.

Już pierwsze przedstawienie w Rydze zrobiło prawdziwą furorę. Bisowali pięć razy, co w cyrku raczej się nie zdarza. Dyrektor Igor Pietrowicz, tęgi mężczyzna z zadyszka, przybiegł do ich garderoby, ścisnął im dłonie i powtarzał:

- No, no! Jak długo pracuję w cyrku, nigdy czegoś podobnego nie widziałem!

Huścili się więc na swojej desce - w górę i w dół, w górę i w dół - na niewyobrażalnej wysokości, w próżni, w hipnotycznym krążeniu światła. Bez przerwy: w miastach i wsiach, na wielkich arenach i w namiotach wędrownych trup, w krajach, niebiosach...

- Geneviève? Robercie, już panu mówiłem, że to świetna dziewczyna. Prawdziwa kumpela. I tak dalej...

Anna zawsze zatrzymywała się u niej, kiedy bywała w Montrealu. A w Montrealu potrafiła mieszkać tygodniami, zwłaszcza kiedy miała pracę, kolejne zlecenie... Kochała Montreal, a u Geneviève czuła się jak w domu. Była tam taka klitka na dachu, całkiem samodzielna, nielegalnie dobudowana. Z merostwa od wielu lat przysyłano groźne pisma na oficjalnych blankietach, z żądaniem jej zburzenia. Ale sam pan wie, takie sprawy ciągną się latami... Mam nadzieję, że za życia Geneviève ta chatka Karlssona jeszcze postoji.

Otóż trafić tam można było tylko w jeden sposób: z klatki schodowej po kręconych stopniach wspiąć się na strych. A stamtąd drugie drzwiczki prowadziły prosto do budki na dachu. Ja nie żartuję: to budka w dosłownym sensie, jakieś osiem-dziewięć metrów kwadratowych, ale z rozkładanym łóżkiem i przymocowanym do ściany stolikiem, pod którym chowano toaletę... Nawet przenośna toaleta była za zasłonką: pełna autonomia. Anna uwielbiała to gniazdko. Tak je właśnie nazywała - gniazdkiem.

Do tego wszystkiego, jak już wspomniałem, czule ją kochała stara papuga Geneviève, czyli Howard. Nie uwierzy pan, ale ptak dosłownie tracił głowę, kiedy Anna się pojawiała. Trzeba go było brać na ramię i drapać w głowę, a wtedy zamykał oczka z rozkoszy... Mówił przez nos jak stary szuler karciany: „Anna-chłopiec... Daj pocałuję!”. Dlaczego „chłopiec”? Cholera wie, kto go nauczył. Anna przekonywała, że papugi to nie ptaki, tylko istoty podobne do elfów. Zwłaszcza żako - są bardzo bystre i inteligentne! I wie pan co, kiedy się słuchało, jak odpowiada z sensem - mimo woli można było w to uwierzyć...

I to Howard Annę uratował... Wyobraża pan sobie, jak musiał się wystraszyć, jaki wstrząs przeżyć, żeby zaatakować właścicielkę?! To po prostu w głowie się nie mieści! Coś takiego nie ma prawa się zdarzyć! Papugi zawsze bronią swoich właścicieli, lepiej niż psy! A tu taka historia... Wyobrażam sobie, jak dziobał ją w głowę, w rękę...! A ręce modelarze mają mocne. Widziałem, jak piłowała gipsowe popiersie... równomiernie, bez odpoczynku.

I tu coś takiego... Papuga, nie? Głupia papuga, co? Biła się jak rycerz...! A Geneviève blizna została - tuż przy oku... Jakby łza zwisła.

Wie pan... nie chcę wracać do tego nieszczęśliwego wypadku! Proszę mi wierzyć... Geneviève zawsze była chuda jak szczapa, a po tym, jak Anna zniknęła... została z niej dosłownie sama skóra i kości. O Annie w ogóle lepiej przy niej nie wspominać, Od razu uderza w płacz. Jest bardzo wrażliwa ta mała. Ale pan chyba przesłuchiwał Geneviève?

Widział ją pan. To silny, porządny człowiek... Kiedy jest trzeźwa, ma się rozumieć. Nie, nie przeczę sam sobie. Geneviève to prawdziwa Bretonka, oni tam wszyscy są jak z granitu, twardzi jak ich ziemia. I w niczym ona nie zawiniła... W niczym.

...Nie chcę już o tym mówić, panie Kerler. Anna bardzo nie lubiła takich rozmów i zbyt cierpiała z tego powodu... Zawsze się zasepiała, kiedy jakiś kretyn, przypadkowo dowiedziawszy się od kogoś... albo po prostu wywłachawszy coś takiego - rozumie pan, nie zawsze udawało jej się to ukryć - otóż kiedy taki ciekawski kretyn zaczynał zadawać figlarne pytania, jakie zwykle zadają wróżkom albo, kurczę, chiromantom... mogła i mięsem rzucić, po naszymu, cyrkowemu, no wie pan... Potrafiła być potwornie, niespodziewanie, i jak się teraz mówi, n i e m o t y w o w a n i e ostra.

Tak, rozumiem, rozumiem, pan dla dobra sprawy... Chociaż niby w czym ma to sprawie pomóc? Co najwyżej może odstraszyć. Przecież ja sam, nawiasem mówiąc, nie od razu się dowiedziałem, chociaż w tamtym okresie, we wczesnej młodości, czasem bawiła się swym darem jak lalkami. Podobało jej się wprowadzanie człowieka w konsternację, bez żadnych tłumaczeń. Bo i co tu tłumaczyć? Ja, pamiętam, sam osłupiałem - wtedy, na polu kukurydzy.

Stróż, Panas Red'ko, nasz kumpel, opiekun, można powiedzieć... pewnego wieczoru zaczął przechwalać się swoją rodziną. I *żynka*¹⁰⁷ u niego *taka uchwatliwa, taka staratelna! Tylko uw dom wchożu, kryczu...*¹⁰⁸ I tu Anna, naśladując jego głos, jak nie wrzaśnie mi nad uchem: „Natalia!”.

Stary najpierw się ucieszył: „Dobrze, zgadłaś...!”. A ona już nie chciała się zatrzymać. Postraszyła i starczy, nie? Ale młodość, radość, nasza miłość... Była jak szampan po otwarciu. Nie mogła się powstrzymać. Wszystkie imiona wymieniła - syna, córek. Wprawdzie przy młodszej trochę się pomyliła. Powiedziała: Lina, a to była Nina... Stary po prostu oniemiał. A moja Anna rechocze: „Co, Panasie Jagorowiczu, myślał pan, że tylko w dawnych czasach więdźmy po niebie latały? Niech pan tu w nocy przyjdzie. Wezmę pana na sabat!”.

I śmieje się jak wariatka...

Żarty żartami, ale stary więcej do nas nie przyszedł. A ona następnego dnia wyjechała - niespodziewanie. Miała zły sen o matce... Ale o czym innym chciałem. O sobie. Mnie te wszystkie czary też za bardzo nie cieszyły. Chociaż głupcem wtedy byłem, w dodatku zakochanym głupcem. Nie rozumiałem, ale przeczuwałem, co to za nieszczęście - ten jej niesamowity dar.

107 *Żynka* (ukr.) - żona.

108 (Ukr.) - Taka zwinna, taka pracowita! Ledwie zdążę wejść do domu, krzyknąć...

A później, kiedy w szkole zdarzył się incydent z tą akrobatką, i Anna niby to przepowiedziała, chciała ją przestrzec... ale nieważne, jak to tam było - najważniejsze, że wszyscy wprost głowy potracili: zaczęli unikać jej jak zarazy, paskudne rzeczy za plecami wygadywać... Wtedy zrozumiałem, że przez całe życie muszę ją chronić... przed wszelkim złem. Również przed nią samą.

...Jak by to panu powiedzieć... To przecież nie zawód. Nie wytrenowany trik. To dar delikatny, niebezpieczny... budzący grozę! Nie działa według rozkazu. Wszystko zależy od zbyt wielu czynników: nastroju, samopoczucia... Od tego, kto się znajduje obok... Poza tym ona sama nie wszystko o sobie wiedziała. Czasami odkrywała coś nowego. Była, na przykład, wstrząśnięta, kiedy pewnego razu przed występem... Krótko mówiąc, zgubiła grzebień. Siedzimy w garderobie, przygotowujemy się do wyjścia, malujemy... Miała wtedy taką niesamowitą burzę włosów, bez grzebienia ani rusz. Siedzi z rozpuszczonymi włosami, diadem odłożyła i tak uważnie patrzy na siebie w lustrze, jakby przenika je wzrokiem... Jezu, jak ja nienawidziłem tego jej przesiadywania przed lustrem! Pogoniłem ją - czego się grzebiesz, za chwilę wychodzimy, trzeba się rozgrzać. Nagle otwierają się drzwi i wkracza klaun, wujek Kim Diewiatkin, a z kieszeni jego spodni wypada grzebień, prosto do jej stóp - mały, brudny, z trzema wyłamanymi zębami.

Anna powoli się schyla, podnosi... i mówi speszona: „Dziękuję, wujku Kimie”.

A ten do niej: „Nie ma za co! To nie mój... ktoś zgubił”.

Pomyślałem wtedy, że w tym stanie nie można jej wypuszczać na arenę. Mamy przecież pracę wymagającą ogromnego skupienia, równowagi - nie tylko fizycznej, lecz także wewnętrznej. Za pięć minut występ, a ona siedzi i powoli rozczesuje włosy grzebieniem. I w lustro takim na siebie wzrokiem patrzy, że nie da się tego opisać... Zagubionym i... pełnym nienawiści! Rozumie pan?

Tak to wyglądało... Zdarzało się, że przywiozą nas gdzieś, ulokują... Czasami zatrzymywaliśmy się w mieszkaniach przyjaciół, którzy akurat wyjechali na występy gościnne. Wprowadzamy się, rozpakowujemy rzeczy, bierzemy prysznic... a tu ona nagle mówi, że zapomniała, roztrzepana, nożyczek do paznokci. I w nieznanym pokoju podchodzi do komody w kącie i w trzeciej szufladzie, pod stertą cudzych listów, znajduje nożyczki.

To, co dla innych było płaskie, ona widziała w całej objętości. Nic się popłaczę, kiedy robisz na drutach - to ona od razu wypatrzy ją w kłębku i z miejsca rozplątuje.

Bez biletu przechodziła... gdzie tylko chciała. Mnie tak to tłumaczyła: żeby tylko nie mieć na sobie niczego, co może być alergenem. Zapachu perfum, na przykład, błyskotek.

Kamienie, mówiła, są niebezpieczne. Zwłaszcza minerały... Ja dopiero potem, wiele lat później, przypomniałem sobie, jak na tych „motocyklowych” wakacjach kradliśmy jabłka w wielkim sadzie, w Pirogowie, niedaleko Winnicy. Stuknięty stary właściciel strzelał solą z dubeltówki. Chodził, pokrzykiwał i strzelał. Zostawiła mnie pod płotem, sama przelazła, zrywała jabłka i rzucała przez płot. Prawie się nie chowała. On strzelał do jakichś bachorów, wrzeszczał, dubeltówką potrząsał... a jej nie widział! Nie widział!

Ja, wie pan, nie bardzo pchałem się do niej z pytaniami. Ale czasem - zwłaszcza kiedy była zmęczona czy chora - sama nagle zaczynała mi coś opowiadać. To tak, jakby przypadkowo rozwiązywał się upragniony woreczek, a z niego powolutku wytaczał się błyszczący kamyczek. Kryształ. Mienił się, skrzył kolorami...

Pewnego razu w Taszkencie zachorowała na gripę w samym środku występów. Chociaż tak naprawdę to nic była grypa... tylko zdarzyło się tam coś okropnego. To znaczy nic nadzwyczajnego, zwykle cyrkowe bezprawie. U nas tyle zwierząt ginęło, wstyd się przyznać! Czasami śni mi się coś z przeszłości. - Jak płakały lwy morskie, kiedy przewożono je w klatkach podczas potwornych upałów.

A jak w wagonach towarowych przewożą zwierzęta z miasta do miasta! Z nimi przecież zwykle kto jedzie? Para z obsługi, zalana w trupa. Warunki okropne, zwłaszcza w zimie. Zdarzały się wypadki śmiertelne - albo siano się zapalało, albo zwierzęta po prostu zamarały. Kiedy cyrk jechał na występy do Ameryki, zwierzęta wysyłano statkiem. To dla nich też nic przyjemnego. A z nimi znowu para z obsługi plus czekista do pilnowania, żeby te głupki w porcie przypadkiem nie zabłądziły... Nie, prawdziwe bestie to treserzy, nie zwierzęta.

Jaki jednak świetny jest ten Guy Laliberté z Cirque du Soleil, że twardo postanowił zrezygnować ze wszystkich tych przestarzałych zabaw różnych dziadków Durowów¹⁰⁹ i innych dręczycieli! Przepowiedano mu całkowitą klapę: nie ma cyrku bez zwierząt! A on stworzył najlepszy cyrk na świecie.

O czym to ja chciałem? Ach tak, o wypadku w Taszkencie. Tam jeden magik - beztalencie, zero, program też miał gówniany - po przedstawieniu zapomniał wyciągnąć dwie psinki z „ładowni”. I poszedł w miasto poszaleć i się upić. Psy do rana siedziały ściśnięte w ciasnym pudle. Oczywiście udusiły się.

Co? Co to jest „ładownia”? To takie magiczne pudło z sekretem. Przed występem je „ładują” - przygotowują do pracy, a na arenie wystarczy naciskać guzik i wszystko samo wypada, wybiega, wylatuje... „Ładowaniem” nazywamy też przygotowanie sprzętu do

109 Iwari Durow - dyrektor słynnego moskiewskiego cyrku zwierząt nazywanego Kącikiem Durowa.

występów. Mówimy - idziemy, chłopcy, „ładować”: układamy rekwizyty na mostkach, zaczepiamy lonżę w potrzebnych miejscach, wieszamy wachlarze, wciągamy drążki do balansowania, wkładamy je w uchwyty na mostkach. Tak to u nas, linoskoczków, wygląda. Żeby wszystko było pod ręką, przygotowane z awansu.

A zwierzęta... Ten mit, wie pan, o h u m a n i t a r n e j t r e s u r z e... Bardziej okrutnego traktowania zwierząt niż w radzieckim cyrku nie było nigdzie! Napatrzyłem się na to, mam co opowiadać. Kiedy treser z asystentami wyprowadza z klatki niedźwiedzia na mocnych, naprężonych łańcuchach i już z daleka niesie się krzyk: „Cią-ą-ąg-ni-i-ij!”, wtedy ludzie rozpierzchają się w różne strony. Niedźwiedź to najbardziej niebezpieczne zwierzę, o wiele bardziej groźniejsze od lwa: nigdy nie okazuje, że zaraz ruszy do ataku. I jeśli uda mu się uwolnić, wszyscy uciekają gdzie pieprz rośnie - byle tylko schować się w jakiejś dziurze.

Ta-a-a... no więc te pieski. Nigdy nie widziałem Anny w takim stanie. Mówię panu, od dzieciństwa jej takiej nie widziałem! Jak ona się na niego rzuciła! Jak skoczyła! I tłukła pięściami okrutnie, jak we wroga. Ledwie ją odciągnęliśmy... I tego samego dnia powaliła ją wysoka gorączka. Położyłem się przy niej wieczorem - była rozpalona, miotała się, pospiesznie coś mamrotała, opowiadała. Dałem jej podwójną dawkę aspiryny i gorącą herbatę z miodem, całą ją wódką natarłem, żeby aż płonęła! Mieliśmy występy gościnne, nie było czasu na chorobę. Następnego dnia trzeba stanąć na arenie, na! linie - nie ma zmiłuj!

Wtedy to, (wtulona we mnie, żałośnie pochlipując, opowiedziała mi, jak w dzieciństwie pobiła dziewczynkę z ich podwórka, złodziejkę parchatą, Zojkę, tak chyba miała na imię. Za to, że w kuchni ukradła coś Firawielnie, niewidomej babci Ariszy, zwędziła jej prosto sprzed nosa. Krótko mówiąc, pobiła złodziejkę i sama padła w ich mieszkaniu... Arisza musiała biec po jej ojca, a on zaniósł ją na rękach do domu.

Przekonała się wówczas, że nie wolno jej podnosić ręki na drugiego człowieka. Że niszczą się wtedy jakieś lustra w części czołowej głowy. Rozpadają się na kawałki... I bardzo powoli się odtwarzają.

Nie ma sensu się w to zagłębiać, rozumie pan? Znałem każdą cząsteczkę jej ciała, każdą... Za prawym uszkiem miała taki malutki okrągły pieprzyk... całowałem go, a ona śmiała się od łaskotek... Ale do jej głowy zajrzeć nie potrafiłem. Nie potrafiłem.

...Myśli pan, że łatwo mi było? Że dobrze się czułem, leżąc obok kobiety, która wie o wszystkim, co się dzieje w twojej łepetynie? Chociaż było jeszcze coś. A mianowicie pewność, że cię trzymają. Tak, trzymają w dosłownym sensie. Opowiem panu o pewnym zdarzeniu.

Mieliśmy w programie jeden mistrzowski trik na pochyłej linie, bardzo długiej, co

pozwalalo na znaczną zmianę wysokości - z dwunastu metrów na siedemnaście, a nawet wyżej...

Szedłem z drążkiem, zatrzymywałem się, przewiązywałem oczy czarną opaską, odpinałem lonżę i dalej poruszałem się na oślepie... No, oczywiście, nie całkiem na oślepie - widziałem świetlny punkt, bo prosiłem, by reflektor kierować na mostek. I w pewnym momencie jakbym się potykał na tej pochyłej linii. Noga ześlizgiwała się, ludzie krzyczeli z przerażenia... a ja szedłem dalej i triumfalnie wchodziłem na mostek na ogromnej wysokości. Anna zaś stała na mostku i nie spuszczała ze mnie oczu. Trzymała mnie swoim spojrzeniem, czułem to - fizycznie, całym ciałem. Jakby dodatkowy drążek do balansowania się pojawiał, tyle że w środku, w okolicy kręgosłupa... Ale raz w Nowosybirsku...

Ona zawsze mówiła, że nie warto robić takiego stromego podejścia, ale ja, skończony osioł, uparcie powtarzałem, że trzeba bardziej stromo, bardziej! I dograłem się: albo podeszwę kozaka źle metalowym skrobakiem zeszlifowałem, albo niedostatecznie kalafonią natarłem... bo noga mi się ześlizgnęła i zrobiło się naprawdę niebezpiecznie, a po chwili już wisiałem na zawrotnej wysokości!

Jedną ręką wczepiłem się w linę, w drugiej trzymam ciężki drążek - aluminiową rurę z ołowianymi czopami na końcach, ważącą jakieś dziesięć-dwanaście kilogramów - nie mogłem przecież upuścić go na widzów, zabiłbym mnóstwo osób! I jeszcze opaska na oczach. A jednak czuję, że trzymają mnie, trzymają... No to łokciem, ramieniem - nie wiem jak - ale zdarłem opaskę z oczu, rzuciłem drążek na środek areny i na rękach dotarłem do mostka. Publiczność strach obleciała! A ja patrzę na Annę - na przeciwległym mostku - patrzę i wiem: trzeba powtórzyć numer. Inaczej nie można, inaczej kuraż mnie opuści, a nie ma nic gorszego dla linoskoczka. Wtedy, sam pan rozumie, chciałem jednego - znaleźć się na dole. Dopełznąć do garderoby, lec plackiem i nie ruszać się niczym zdechły pies... Ale patrzę na Annę: ma stężałą twarz i nieruchome oczy - jak zielone ognie... I te oczy mówią do mnie: Pójdziesz! Idź!

I znów stanąłem na linie... Widzowie krzyczą: Nie trzeba, nie trzeba!!! Bileterka nie wytrzymała, rzuciła program na podłogę i uciekła do foyer... I taka grobowa cisza zapadła, że w uszach dzwoniło jak w kościele... W dole, pod tą pochyłą liną, była jeszcze jedna, mocno naciągnięta. I gdybym na nią spadł, przecięłoby mnie na pół... Tak to wyglądało... Ale Anna trzymała mnie, wiedziałem, że trzymała... i poszedłem! To było zwycięstwo! Nie moje... Nasze zwycięstwo, rozumie pan?

Pozwoli pan, że zamówię sobie coś mocniejszego? Mam dziś wolny wieczór i dobrze by było, gdybym mógł w nocy zasnąć.

*Mesje! Mesje! Mesje, san gram de uiski, sil wu ple*¹¹⁰.

Otóż... o czym to ja chciałem? O tym, że nie było z nią łatwo, delikatnie rzecz ujmując. Ona przecież, rozumie pan, nigdy nie mówiła nieprawdy. I poczucie humoru miała raczej słabe. Waliła prosto z mostu, co myśli. Zgoda, też nie jestem wielkim dyplomata, ale z wiekiem nauczyłem się trzymać język za zębami - przecie żyjemy wśród ludzi. A ona - nie! Tak w ogóle, powiem panu szczerze, nie była *nice*, nie była miła i w jej towarzystwie człowiek wcale nie czuł się k o m f o r t o w o. Jeśli czegoś brakowało w naszym życiu, to właśnie komfortu. W każdym znaczeniu tego słowa.

Chociaż... nawet nie potrafię sobie wyobrazić, jak to jest, kiedy słyszysz, co o tobie myśli, w duchu mówi twój kolega z pracy... przyjaciel! Ciężki musiała mieć los! No a temu, kto wiedział o jej darze... temu w ogóle niełatwo było z nią rozmawiać. I nawet gdy, założmy, człowiek nie ma wobec ciebie żadnych złych zamiarów i zajęty jest wyłącznie własnymi sprawami, chyba też by nie chciał, żeby ktoś grzebał w jego myślach.

A tego daru, nawiasem mówiąc, nigdy nie używała do własnych celów! Nigdy...!

Nie, pomyliłem się. Raz się złamała. Ale wtedy nie miała innego wyjścia: w Kijowie umierał jej ojciec i ona wiedziała, przeczuwała, że jest umierający. A musiała użerać się z jakąś wredną urzędniczką w ambasadzie Ukrainy, gdzie nie chciano dać jej wizy. Anna miała z nimi jakieś zatargi w związku z historią w Atlancie...

Otóż, kiedy zrozumiała, że ojcu zostało niewiele życia, poszła do tej suki... i coś z nią zrobiła. Nie wiem dokładnie co, ale proszę mi wierzyć, te jej morskie oczy mogły, jeśli chciała, wciągnąć w wir i utopić każdą świadomość do jej pełnej utraty... Więc ta krowa z ambasady grzeczniutko wszystko podpisała i przypieczętowała. Anna opowiedziała mi o tym po kilku miesiącach, kiedy przyjechała z Kijowa, pochowawszy ojca, a ja wróciłem z Moskwy, z planu zdjęciowego do dwóch klipów. Wspomniała więc o tych o k o l i c z n o ś c i a c h mimochodem i z takim grymasem bólu na twarzy, że już nie naciskałem.

No i z czasem coraz bardziej jej unikali... A pod koniec zdarzały się dni, tygodnie, nawet miesiące, kiedy czuła się wśród ludzi jak trędowata.

Jedyną osobą, której nie przeszkadzał jej dar, był Sienia. Pewnego razu powiedział mi: „Wszystko, co ma przechowalnia pod tymi siwymi kudłami - i postukał palcem w czubek głowy - to tylko miłość, towar zleżały, niepodlegający opodatkowaniu”.

Już panu mówiłem: spotkaliśmy się przypadkowo w Las Vegas. Siedem lat temu.

Miałem kontrakt z Cirque du Soleil i przyleciałem szkolić dwóch nowych chłopców,

110 (Zniekszt. fr.) - Proszę pana! Sto gramów whisky poproszę (przyp. autorki).

którzy jako drugi zespół mieli występować w wodnym show, no wie pan, w tym słynnym „O”. A on akurat był tam na dwutygodniowych występach gościnnych ze swoją orkiestrą.

Zobaczyłem go w barze hotelu Bellagio. Siedział przy stoliku, uśmiechał się do siebie i powoli pił...

Wtedy już nie bałem się z nim spotykać. Jeśli do tej pory jej nie zabiłem, a przecież próbowałem zabić i miałem tego świadomość, i sam też nie miałem ochoty żyć... krótko mówiąc, skoro wtedy od razu jej nie wykończyłem, to jego tym bardziej... po tylu latach... Za co? W tym czasie już rozumiałem, że ona po prostu go wybrała. Tak jak mnie kiedyś.

Podszedłem, napiliśmy się w barze, potem przenieśliśmy się do jego pokoju i chlaliśmy tam do rana. Ja, wie pan... Nie mogę się pogodzić!!! Nie mogłem i nie mogę - że mnie rzuciła, wykopała ze swego życia. A nawet nie wykopała, tylko zostawiła, tak jak pijana zła matka zostawia swoje dziecko na dworcu, a sama jedzie gdzieś z kumplami jakimś przypadkowym pociągami podmiejskim... Robiła to całe życie. Tak samo porzuciła swoich rodziców. Przecież matka przez nią zwariowała, dosłownie postradała zmysły! A ojciec, ten wspaniały facet, jaki on był zagubiony, biedny, kiedy przyjechał do Moskwy. Miał nadzieję, że namówi ją do powrotu, chciał zabrać ze szkoły. „Niuto - błagał. - Niutoczko, wróć dla Maszuty! Ratuń Maszutę, córeczko!”. A ona tak na niego patrzyła... Nie sposób opowiedzieć, jak ona na niego patrzyła... jakby z oddali, w zamyśleniu, jakby widziała go przez mgłę czasu, rozumie pan? Jakby był jednym z przechodniów w tłumie ludzi, snujących się gdzieś daleko. I spokojnie mu odpowiedziała: „To nie pomoże, tato. To niczego nie zmieni”. Twarz miała taką... pełną pokory... Jakby pogodziła się ze swoim losem. Na wsiach widuje się takie twarze u kobiet, które pochowały troje dzieci, jedno po drugim... I tylko oczy... ja-a-ak nie smagną zielonym smutnym chłodem spod powiek! Wie pan, ja tak się wystraszyłem, że nawet z pokoju wyszedłem. Zapaliłem sobie i wyszedłem z papierosem na dwór... Niech, myślę, beze mnie to wyjaśniają.

A teraz, kiedy czasem nie mogę zasnąć do rana, myślę sobie: kto wie, kto to w ogóle może wiedzieć, co ona tam zobaczyła w przyszłości, za jaką winę pokutowała? I skąd miała siły, by brać na swoje barki taki ciężar: całą bezsensowność przyszłości, cały niepotrzebny balast naszych losów...

Jeśli chodzi o mnie, to pojechałbym za nią wszędzie. Wystarczyło powiedzieć: do Kijowa, na północ, na pustynię, na bagna, w niebiosy - dokąd by chciała...

Ale teraz nie ma co o tym gadać!

O czym to ja mówiłem? Aha, o chlaniu z Sienią w Las Vegas w dziewięćdziesiątym ósmym... Chciałem tylko zrozumieć: czemu rzuciła mnie, młodego, przystojnego, silnego, z

k którym tyle przeszła. Mieliśmy wszystko - i prawdziwą bliskość, i niebezpieczeństwo, i porażki, i sukces, i potworne napięcie ciała, w chwilach rozkoszy i ryzyka... a ona rzuciła, wykopała ze swojego życia! I tak przywiązała się do starego, siwego, wiecznie nieogolonego, niezdarnego grajka, który nie mógł jej zaoferować niczego prócz rzadkich spotkań, sentymentalnych listów i jakiejś złudnej, niby wiecznej miłości...

A on, wie pan, obojętnie, ile by wypił, nigdy się nie upijał. Okazał się bardzo wytrzymały. Muzycy są w tym gorsi od cyrkowców. I jego mowa stawała się taka... wyszukana, wysublimowana... Bez brzydkich wyrazów. Jakby prowadził wykład dla doktorantów... I to wtedy, w tym cholernym Las Vegas, w tym luksusowym amerykańskim sztucznym mieście pośrodku pustyni, przegadaliśmy o niej całą noc.

Żeby pan słyszał te jego dywagacje...! Myślałem, że zwariuję. Twierdził, na przykład, że była aniołem. Zabawne, prawda? Nie, nie tu, że była aniołem nieziemskim, tylko że, miała naturę spokrewnioną z pewnymi istotami, które są obecne w powszechnej świadomości jako archanioły różne... no i inne podniebne bractwo. Że ludzie w nie wierzą, bo te istoty czasami rzeczywiście pojawiają się na ziemi, wśród zwykłych śmiertelników... Na przykład, Chrystus... Jest pan wierzący? Ja tak w ogóle to nie jestem... Ale proszę mi wybaczyć prostolinijność... Ona dużo rzeczy umiała z tych, co On... wyczyniał! Na temat wskrzeszania zmarłych nic nie wiem. Chociaż nie było takiej okazji... Ale sama potrafiła udawać martwą - bez problemu! I tak dobrze, że od razu by pan pobiegł dzwonić do firmy pogrzebowej, na bank.

No, trochę namąciłem. Zacząłem od aniołów, a skończyłem na nieboszczykach. Niech spoczywają w spokoju. Nawiasem mówiąc, ta sztuczka nazywa się „żywy trup” - na starej Rusi pokazywali ją na bazarach i jarmarkach. Naprawdę. Uczyliśmy się tego na historii cyrku u Elki, Eliny Jakowlewny Podworskiej. Człowiek pogrążył się w głębokim transie, obniżył temperaturę ciała, drętwiał, oddech mu spowalniał, aż nie dało się go wyczuć... Do tego, oczywiście, trzeba mieć zdolności oraz siłę woli. Wie pan, kto to jeszcze potrafił robić? Stary Longo, fakir. Przychodził do naszej szkoły, nawet kiedy już był skostniałym staruszkiem. Otóż Longo dużo rzeczy potrafił: policzki drutami przebijał na wylot, szpadę do przelęku wprowadzał. Nawet oko wyjmował i na łyżeczce trzymał przy twarzy. Tak to... I Anna, po tym jak pokazał nam „żywego trupa”, przez wiele dni chodziła jakaś dziwna. Siedziała, trenowała... godzinami! I udało jej się... była taka uparta! Parę razy mocno mnie wystraszyła, aż sam ze strachu mało nie umarłem.

Ech, szkoda, że pan nie słyszał pięknej mowy Sieni! Teraz nie pamiętam tego dokładnie... co tam Spinoza twierdził czy inny Hegel... U niego wszystko było powiązane,

jakby jedno z drugiego wynikało w naturalny sposób, przekonująco. Są, mówił, ludzie, i takich jest mnóstwo, którzy przez całe życie dążą do tego, by zostać demi... demi-urgami - dobrze powiedziałem? A zdarza się, że demiurg z całych sił chce pozostać zwyczajnym człowiekiem. Rozumie pan, co to znaczy?! Przecież tak, jakby... „zwracam panu portret”¹¹¹ powiedzieć do samego Pana Boga!

I mimowolnie uwierzysz, że przez dziesięć lat byłeś związany z aniołem. A jak jeszcze przypomnisz sobie te jej oczy o poranku, kiedy je otwierała... jakby wciąż wpatrywała się w horyzont, który opuściła... jakby jeszcze goniła odlatujących s w o i c h... taka czysta głęboka zieleń! I nagle zaczynały ciemnieć od środka, wyrażając potworną tęsknotę... Zdarzyło mi się obserwować jej przebudzenia. To nic przyjemnego, powiem panu, kiedy się obejmuje taką smutną istotę... I trzeba by ją puścić, ale... jak? Dokąd?

A Sienia nie widział w tym żadnego problemu. Co, pytał, ciebie w niej niepokoi - jej nieobecność, wyobcowanie? To, mówił, przez szerokie pole widzenia. Powiedz mi, na jaką odległość widzi mrówka? A orzeł? Dlatego mrówka niesie do mrowiska paproch. A orzeł szybuje w chłodnych przestworzach. Jak myślisz, czy orzeł może polubić mrówkę? Może jej tylko współczuć, ponieważ widzi całą jej drogę do mrowiska, na której łatwo ją zgniecie bucior dziarskiego turysty, kroczącego z wesołą pieśnią na ustach w blasku leśnego słońca...

Byłem pijany, we wszystko uwierzyłem. Uwierzyłem, że przeżyłem dziesięć lat z aniołem, że zesłano ją na ziemię tylko po to, by mogła pobyć ze mną, a potem odwołano, że niby starczy już, a teraz, sukinkocie, idź sobie sam, zastanów się, co miałeś i co straciłeś... I mimo że jest mi ciężko, zastanawiam się nieraz: może ona t y m b y c i e m z e m n ą, t y r a n i e m w c y r k o w e j u p r z ę ż y, t u ł a c z k ą b e z d a c h u n a d g ł o w ą zapracowywała sobie na szansę zostania z Sienią? Który to z biblijnych facetów, nie pamiętam już, przez siedem, a później przez kolejne siedem lat, orał, by zasłużyć na swoją jedyną miłość?

Czasami jakby się ocknę i myślę sobie - kurde, po co mi było to koszmarnie życie: cyrk, towarzystwo wiecznie pijanych kumpli-partnerów, zarabianie na ryzyku i strachu... a teraz ta nadciągająca kanadyjska starość... Po co? Przecież to ona mi w głowie namieszała.

A z drugiej strony - co bym innego robił? Zapiłbym się jak tatuś... A ona mnie za uszy wyciągnęła, zachęciła, wsunęła w ręce drążek do balansowania i kazała iść po linie - nad życiem, nad ziemią, nad...! Zawsze - nad...! Zawsze!

Tak to...

Potem Sienia jakoś posmutniał i już myślałem, że zasnął. A on nagle podniósł głowę i

111 Fragment radzieckiego romansu *Kocham Nadzieję* Wiengierskiej.

tak wyraźnie, smętnie powiedział: „Można się jeszcze zastanawiać, które z nich jest bardziej szczęśliwe. I odpowie ci chłodna pusta gorycz bezdenne nieba”.

Właśnie... No właśnie, dobrze to sobie zapamiętałem: „chłodna pusta gorycz bezdenne nieba”.

Nie od razu trafili do Kijowa. Najpierw zjeździli wzdłuż i wszerz Azję Środkową, Ural, Daleki Wschód... W końcu urząd główny nie to, żeby nagle zaczął ich bardziej kochać, tylko czasami przychylił się do prośb dyrektorów różnych cyrków. A ci coraz częściej prosili o „linoskoczków Strieleckich”.

I w ten oto sposób w lutym osiemdziesiątego szóstego roku wylądowali w Kijowie.

Miasto do tego czasu bardzo się zmieniło. Park Pionierski, dawniej Kupiecki, został potwornie oszepeony pomnikiem ku czci przyjaźni ukraińsko-rosyjskiej: na promenadzie, która prowadziła do cudownego belwederu z widokiem na Dniepr, teraz wznosiła się granitowa grupa bojarów z Bogdanem Chmielnickim na czele i ogromna metalowa arka. Promenadę i główne placyki wyasfaltowano kosztem bujnej zieleni.

Ale na Bessarabce wciąż stały w długich rzędach opatulone handlarki z okolicznych i dalszych wsi, w fartuchach włożonych na zimowe kufajki, z głowami obwiązanymi jaskrawymi ukraińskimi chustami. Tak samo handlowały miodem, słoniną, kiszoną kapustą. I tak samo, zachwalając słoninę, rzeźnicy demonstrowali jej *miękką brązową skórkę uwędzoną w słomie: Oce pokusztujtie szkurku, baczitie, jaka wona m'jaken'ka*¹¹².

Mieszkańców komunałek dawno porozrzucano po nowych osiedlach. Girszowiczowie - Anna wiedziała to już z listów Ariszy - otrzymali trzypokojowe mieszkanie na Obołoni. Boria od dawna był żonaty ze skrzypaczką orkiestry Gostielradio¹¹³, urodziła im się córka, a on groził, że wyjedzie „do normalnego kraju”, gdzie prawdziwi muzycy nie wegetują, tylko dobrze zarabiają... Jego rodzice starzeli się razem z Sonią, córką-rozstrzelanej-siostry-Businiach-spoczywa-w-sпокою-i-niech-piekło-pochłonie-wszystkich-jej-zabójców... Firawielna cicho odeszła parę lat temu - jak święta, we śnie. Niezauważalnie dla siebie samej przeniosła się z ciemności tymczasowej do wiecznej.

- A może do światła? - pytała Arisza, która zdążyła pięknie rozkwitnąć, nie tylko dzięki temu, że w klinice doktora Fiodorowa zoperowała sobie zezujące lewe oko i teraz triumfująco i prosto patrzyła z ostatniego zdjęcia, które przysłała swojej starej przyjaciółce. Rozkwitła, jak to powiedziała Firawielna, „cała dookoła”: zaokrągliła się, nosiła modną fryzurę i w ogóle wyglądała jak zadbana mieszkanka Zachodu. Dość dużo czasu spędzała a to w Belgii, w mieście Malines - gdzie prowadziła wykłady na zaproszenie międzynarodowej szkoły karylionu - a to na występach gościnnych. Z Anną sporadycznie widywała się w

112 (Ukr.) - Skosztujcie skórki, patrzcie, jaka jest mięciutka.

113 Gostielradio - Państwowa Telewizja i Radio.

Moskwie, kiedy zawile drogi artystyczne jednej i drugiej się przecinały...

Arisza i jej mąż Marik - wówczas jeszcze dochodzący, a raczej przechodzący, jak czerwony sztandar, z rodziny do rodziny - mieli dwupokojowe mieszkanie w *chruszczobie* na Priesnieńskim Wale. Kiedy zjawiała się Anna, Marika wyrzucano na cały dzień, żeby nie plątał się pod nogami i nie wtrącał do kijowskich rozmów (tak w ogóle to był dość nierozgarnięty).

Arisza odwoływała lekcje oraz jakieś spotkania i wyłączała telefon.

Anna już od progu zaczynała jęczeć z zachwytu - Arisza robiła się coraz piękniejsza.

- Jestem ładna? - żałośnie, tak samo jak w dzieciństwie, dopytywała się Arisza. I Anna, jak w dzieciństwie, gorąco ją zapewniała:

- Potwornie!

I razem spędzały długi, rozkosznie niespieszny dzień: wstawiały do piekarnika firmowy placek grzybowy Firawielny, która w młodości dostała przepis w czeskiej osadzie, krzątały się w kuchni, paliły, gorączkowo rozprawiły o wszystkim, przerywając sobie nawzajem, a potem zalegały na kanapie, leniwie przerzucając się uwagami. Zasypiały... budziły się...

- Wiesz, kto jeszcze miał lekką śmierć? - zapytała Arisza podczas jednego z takich spotkań. - Stary Fajuszczenko! Nie uwierzysz: po seansie poszedł do łazienki umyć pędzle, upadł i umarł. Modelka czekała, czekała... wreszcie wybiegła, owinięta w prześcieradło, z jedną piersią na wierzchu... A najważniejsze, że on tak nie chciał wyprowadzać się ze swego pokoju! Mówił, że urządzi strajk włoski przed *gorispolkomem*¹¹⁴ wymachiwał rękami... No i urządził strajk... wieczny. Pamiętasz jego karakułowy placek na głowie? A obrazy sąsiedzi zabrali. Nawet major Pietia - jest już stareńki i rzucił picie - wziął jeden akt w tajemnicy przed Lubow Kazimirowną. A ona go odkryła, zrobiła awanturę i wyrzuciła na ulicę... później dozorca go znalazł. Wybrałam dwa portrety na kartonie... Nie są ukończone, ale coś w sobie mają... Poczekaj, zaraz ci pokażę!

Przyniosła z komórki dwa nieduże obrazy bez ramek i ustawiła je na krzesłach.

- Cały czas mam zamiar je oprawić - powiedziała. - Co za zwariowane życie.

- Kto to jest? - zapytała Anna, uważnie wpatrując się w oba portrety: starca i chłopca.

Starzec, namalowany w odcieniach ochry, widniał na pustym tle. Jego wyrazista twarz z dużym nosem, świadczącym o silnym charakterze, mocnym podbródkiem i spokojnymi oczami była uchwycona znakomicie. Chłopiec, również niedokończony, zamiast koszuli miał kilka szerokich granatowych maźnięć. Wyglądał tak, jakby przysiadł na chwilkę, by znów się

114 *Gorispolkom* (*gorodskoj ispolitiitielnyj komitet*; ros.) - miejski komitet wykonawczy.

zerwać i gdzieś popędzić. Miał sympatyczną twarz, na ogolonej głowie sterczała grzywka, szare oczy chytrze zerkały w bok, na ustach błędził lekki uśmiezek.

- Pojęcia nie mam - rzuciła Arisza, klapnawszy na kanapę, tuż przy Annie. I obie zamilkły, oglądając portrety. - Z tyłu obrazu ze starym jest napisane *Amautkin*. Może to nazwisko? Panna Iwanna by wiedziała... gdyby żyła. Ona wszystkich pamiętała.

- Ten chłopiec... - w zamyśleniu powiedziała Anna. - Znam go!

Arisza się roześmiała, objęła koleżankę, przyciągnęła do siebie, pocałowała w policzek.

- Opamiętaj się! - zawołała. - To już nie chłopiec, tylko dziadek... Zobacz datę na odwrocie: rok pięćdziesiąty drugi.

*

Ojciec przyszedł na przedstawienie już pierwszego wieczoru, kiedy dopiero zbierała się na odwagę, by zadzwonić i go zaprosić. Wzruszył ją, kupując najdroższy bilet. Usiadł w drugim rzędzie, naprzeciwko forngangu. Wybiegając po zwyczajowej zapowiedzi: „Powietrzni linoskokczkowie Strieleccy!!!”, Anna od razu go zobaczyła. Szklą jego okularów połyskiwały w świetle reflektorów, a poza tym ciągnęło ją, by spojrzeć w tamtą stronę. Miał nieruchomą, oficjalną, d o k t o r s k ą twarz - co oznaczało, że jest bardzo zdenerwowany.

Uniosła ręce, nieruchomiejąc w burzy okrzyków i czekając, aż ucichną oklaski, zawsze towarzyszące ich oszalałemu wyjściu na arenę. A potem dyskretnie spoglądała w stronę połyskujących szklami okularów. Widocznie wzrok mu się pogorszył, skoro już ich nie zdejmuje...

Wiedziała, że mu się podoba, bardzo podoba ich numer, przecież to rzeczywiście była pierwszorzędna robota, a ojciec dobrze się znał na takich rzeczach, zawsze lubił ryzyko i odwagę, piękno wysportowanego ciała, i szanował, a nawet czcił fizyczne umiejętności, mistrzostwo.

Po przedstawieniu poprosiła pracownika areny Sławę, by przyprowadził ojca do garderoby. Specjalnie została w kostiumie - niech zobaczy ją umalowaną, w stroju, z bliska. I kiedy wszedł, trochę się garbiąc w ciasnym pomieszczeniu, zastawionym kuframi, wciąż postawny, na chwilę aż znieruchomiał, nie osmielając się podejść do córki bliżej.

- Och, ależ jesteś... - zawołał.

A ona, zmrużywszy oczy, rzuciła się ku niemu i mocno się objęli, jak w dzieciństwie.

- Na barana już cię nie wezmę - powiedział.

I zaczęli mówić oboje naraz, jednocześnie, szczęśliwi! On, nie wiadomo po co, wymieniał wszystkie jej triki; chyba chciał pokazać, że zauważył, docenił i jest zachwycony...

Wołod'ka - jednak delikatny z niego człowiek - wyszedł, zostawiając ich samych... A oni wciąż sobie przerywali, wspominając dawne czasy, i nie mogli się nagadać...

Ale o Maszucie nie padło ani jedno słowo, ani jedno. Póki Anna nie powiedziała;

- Tato... wiesz co... chciałabym ją zobaczyć.

Ojciec od razu zamilkł, uśmiech zniknął z jego twarzy. Zamyślił się - widocznie szukał odpowiednich słów. Potem przypomniał sobie, że Niuta przecież... że nie trzeba szukać słów...

Wreszcie wykrztusił:

- Wiesz co, córeczko... Ona jest teraz w domu, po długim leczeniu... - I nagle, zezłościwszy się na siebie, uderzył dłonią o kolano: - Wiesz co? Przyjdź! Przyjdź! Ja... ją przygotuję, postaram się... Jest w okresie remisji... Nie ma sprawy!

A kiedy już podjął decyzję, znów się rozchmurzył, i zaczął opowiadać, że nie chcą go puścić na emeryturę!

- Po co ci emerytura? - zdziwiła się. - Jesteś jeszcze młody, tato!

Wrócił Wołod'ka, przyniósł z bufetu kawę i cukierki. I długo siedzieli tak we trójkę, aż ojciec poderwał się i jęknął, zerknąwszy na zegarek.

- Ależ ten czas leci! A wydaje się, że dopiero co przyszedłem... Christina została z Maszutą. Dobra z niej kobieta: tak chciała przyjść na przedstawienie, ale mnie puściła pierwszego.

- To nic - uspokoiła go. - Jeszcze zdąży zobaczyć.

Wychodząc, wyciągnął z kieszeni palta jakąś białą szpitalną kopertę, w której była mniejsza, i Anna natychmiast rozpoznała pismo.

Tylko jeden człowiek na świecie mógł zaadresować kopertę t a k i m pismem! Szybko wyrwała ją z rąk ojca i kiedy ten pospiesznie wyjaśniał, że list przyszedł na ich adres ze trzy lata temu, a on go schował, żeby Maszuta nie... i zapomniał o nim, stary dureń... Anna już czytała, zachłannie przebiegając wzrokiem wiersze i wchłaniając to niepowtarzalne krążenie sensu, pięknie biegnące odwrócone łączenia, które w jakiś niewytłumaczalny sposób powtarzały ruchy jej ręki, wplatając się w najdrobniejsze nachylenia, precyzyjnie układając się w wolnych miejscach i wpisując się we wzory porywów jej duszy...

„Aniele mój, Niuto!" - pisał Eliezer i każde słowo odzywało się w niej słodką tęsknotą za samą sobą: tą, którą w dziwny sposób odzwierciedlał ten fizycznie niepodobny do niej, ale wewnętrznie pokrewny człowiek, odbity w jej duszy niczym w lustrze. - „Nie wiem, czy przeczytasz ten list. Mam nadzieję, że kiedy? przeczytasz...”.

I kiedy ojciec poszedł, wciąż wracała do czytania już na spokojnie, upijając łyk

trzeciej z kolei kawy. Pograżona w głębokim milczeniu... ze dwa razy otarła oczy...

Przebrany i już bez makijażu Wołod'ka siedział na krześle i cierpliwie przeglądał zeszłoroczne wydanie czasopisma „Estrada i Cyrk”, czekając, kiedy Anna dojdzie do siebie i opowie o tym dziwaku, który wyskoczył jak diabeł z pudełka. Ciekawe, czym on się tam zajmuje, z czego żyje...?

*

Nazajutrz Anna miała wolny dzień. Z bukietem purpurowych astrów i dużym pudełkiem czekoladek wchodziła na drugie piętro, które znała na pamięć.

Brama była świeżo pomalowana. Napis „głupia Ania” wycięty w siódmej klasie na poręczy schodów przez niejakiego Wołod'kę Strieleckiego, zamalowano brązową farbą olejną, ale wciąż był wyczuwalny pod palcami.

W miarę jak szła na górę, oczami wyobraźni coraz wyraźniej widziała swoją desperacką ucieczkę. I wszystko już zrozumiał, całym sercem próbowała powstrzymać nadciągającą lawinę. Stała przed drzwiami... Ze dwa razy się cofała, schodząc po kilka stopni, i znów wracała. Tylko ją zobaczę, mówiła sobie. Wreszcie się zdecydowała, głęboko odetchnęła, jakby zaraz miała stanąć na linie. I nacisnęła dzwonek.

Otworzył jej ojciec, spięty i uroczysty - ubrany jak do wyjścia. Zrobił krok naprzód, przymknął za sobą drzwi i powiedział ściszym głosem:

- Zaczekaj tu momencik... Mam nadzieję... Popracowałem nad nią i... mam nadzieję!

Wszedł do mieszkania i po chwili Anna usłyszała jego sztucznie uroczysty głos, taki sam, jakim kiedyś naśladował Dziadka Mroza: „A kto to przyszedł do Niutoczki, kto przyniósł jej prezenty-podarki?!”.
- Maszuto! Maszeńko... Wiesz, kto do nas przyszedł?

Milczenie. Albo głos taki cichy, że nic nie słychać. Za to Christina jęknęła i wrzasnęła z zachwytem:

- Jak to? Czyżby nasza Niutka się zjawiła?!

Wszystko zepsuła, *wiedmidicha*¹¹⁵ jedna! I znów zapadła cisza... A potem ojciec powiedział rześkim głosem:

- Tak, nasza Niuta przyjechała, Maszeńko... Twoja córeczka przyjechała do ciebie w odwiedziny...

Niestety, aktorem też nie był, ani dyplomata... Biedak...

Anna gwałtownie pchnęła drzwi, weszła do środka, szybko zdjęła i powiesiła kurtkę, a czapkę rzuciła na krzesło.

115 (Ukr.) - niedźwiedzica.

Przez otwarte drzwi zobaczyła Maszutę siedzącą w fotelu. Bardzo się zmieniła: posiwiała, wyschnięta, a jednocześnie jakaś... ociężała. Później, wracając pamięcią do tego spotkania, Anna zrozumiała, skąd wzięło się owo wrażenie ociężałości: Masza miała nabrzmiałą, nieruchomą twarz, a jej niegdyś bystre oczy o głębokim spojrzeniu były przygasłe.

Podeszła, kucnęła przed nią, pogłaskała jej słabą dłoń i miękko powiedziała:

- Ma... tak chciałam cię zobaczyć.

Maszuta bezradnie popatrzyła na męża. A on z otuchą się uśmiechnął - ileż bólu było w tym uśmiechu.

- No co, skarbie, Niuty nie poznajesz?

- To nie ona - zaskrzeczała Masza nie swoim bezbarwnym głosem.

I nagle wstała. Anna też się podniosła. Widziała, jak powoli zmienia się twarz Maszy, jak narasta wzburzenie, wykwitają czerwone plamy na policzkach.

- Tola! - Masza odwróciła się do męża. - Ależ jesteś naiwny, naprawdę... Wiedziałam, że cię oszukają. Przecież to nie ona!

- *Ta kto że?! -* krzyknęła Christina. - Ale numer!

Zdenerwowany ojciec ukradkiem dawał jej znaki - milcz, głupia!

- Maszuto... - tłumaczył cierpliwie. - Umawialiśmy się... Wszystko uzgodniliśmy... Obiecałaś mi...

- Mówiłeś o Niucie! - wybuchnęła Masza. - Ale to nie jest ona, przecież widzę! Niuty, być może, od dawna już nie ma! To tamta, przeklęta! Z lustra!

Anna cofnęła się... Ojciec podszedł do niej i mocno ją przytulił.

- Maszo, Maszo! - zawołał błagalnym tonem. - Na Boga! Opamiętaj się, przecież to Niuta, nasza dziewczynka! Teraz jest wspaniałą artystką! Żebyś widziała, jak ludzie ją oklaskują, ile radości, ile zachwytu...

Jezu, po co on to... czyżby nie dostrzegał szaleństwa malującego się na tej obrzmiałej twarzy?

- Ma... - powiedziała w rozpaczy. I po raz pierwszy w życiu:

- Mamo!

Maszuta nagle się ożywiła, w jej oczach błysnęła jasna, natrętna myśl.

- Widzisz! - triumfująco rzuciła do męża. - Widzisz? Niuta nigdy nie mówiła do mnie „mamo”. To nie Niuta, to jej przeklęte odbicie! Zniszczyli Niutę, pożarli, a teraz przyszli po mnie! Tola...! Tola, stłucz jej odbicie! Stłucz!

I zaczęła krzyczeć, bryzgając śliną. Christina chwyciła ją z tyłu za łokcie, próbując

przytrzymać jej trzęsące się ręce. Ojciec też rzucił się do chorej i mocno objął wijące się ciało.

Anna wyskoczyła na korytarz, złapała czapkę i kurtkę, stoczyła się po schodach... i tak, z kurtką w ręku, przebiegła prawie całą Żyłańską.

Wreszcie zwolniła kroku... Zatrzymała się. Długo nie trafiając w rękaw, włożyła kurtkę, a potem czapkę, i wciągnęła do płuc mroźną spalenizną przydworcowego rejonu swego dzieciństwa...

Głuche pochmurne zimowe niebo było nieodwołalnie zamknięte na wszystkie spusty.

I nie odpowiadało na jej spojrzenia najmniejszym znakiem.

*

Jeśli naprawdę miała do kogoś szczęście, to do Ninki, partnerki, wesołej współlokatorki z akademika. Co za pomysłowa z niej była babka - wciąż ją zadziwiała. I oko miała takie, że z każdej sterty chlamu na ladzie jakiegoś zapyziałego *sielmagu*¹¹⁶ zawsze potrafiła wygrzebać coś ciekawego, znajdując w kartonowych pudełkach z uszkodzonymi kalejdoskopami odpowiednie szkiełko, szklane koraliki, części łańcuszka - i już wiedziała, do czego można to wykorzystać, do jakiego stanika, na jaki paseczek do lonży, żeby w świetle reflektorów mieniły się niczym drogocenne kamienie! Kostiumy w numerze to szczególnie nie bez znaczenia.

Oczywiście, istniało coś takiego jak cyrkowy zakład krawiecki. Ale żeby otrzymać zezwolenie na szycie, człowiek musiał przekroczyć progi wielu urzędowych gabinetów. Wymagało to większego wysiłku niż próby przed występem. O materiał też nie było łatwo, też był dla tych lepszych i gorszych. W cyrku wszędzie trzeba mieć znajomości.

A Ninka sama wymyślała wszystkie kostiumy i własnoręcznie je szyła. Jakaś lamówka potrafiła wykończyć płaszcze! Jeździła do jakiejś podmoskiewskiej miejscowości, do zakładu drobiarskiego, gdzie za piątaka dawali jej ogromny worek lekkich niczym puch, białych kurzych piór.

Potem w pokoju hotelowym przez dwa dni sortowały je, wybierając te najdelikatniejsze... Siedziały nagie, całe oblepione puchem - jak w tumanach miękkiego śniegu - kichały, złorzeczyły, przeklinały swoje życie i co chwila zrywały się, i biegły pod prysznic... Później wszystko myły i suszyły suszarką... Anna wymyśliła, by lekkie jak oddech piórka przyklejać na plastry i okręcać wokół ołówka. Powstawały puszyste małe boa, które Nina przyszywała do brzegów płaszcza.

I takie same białe pióropusze - też z kur - unosiły się na ich głowach, na giętkich

116 *Sielmag* (*sielskij magazin*; ros.) - sklep wiejski.

metalowych drutach! Falowały, poruszały się, wystarczyło tylko przechylić głowę... Gdyby te dawno zjedzone nioski wiedziały, jaka wspaniała sceniczna kariera czeka ich piórka!

*

Premiera w mieście! - przyspieszony oddech, drżenie rąk, a jednocześnie wybuch radości, ściskanie w żołądku, zwodnicza lekkość ciała. Światło wydaje się jaśniejsze, muzyka głośniejsza, oklaski brzmią niczym gigantyczna sztormowa fala, która spada na głowę...

Przed wyjściem na arenę rozgrzewali się za kulisami. Tam zawsze wisało wielkie lustro. I każdy - to był rytuał! - musiał się w nim obejrzeć ze wszystkich stron, przybrać parę póz. Przecież za chwilę zobaczy cię wymagająca publiczność.

Anna nie lubiła tych luster. Były zaśmiecone, wzburzone. W ich wnętrzu kłębiło się fałszywe życie, pełne twarzy odmieńców. Te cyrkowe lustra przy forgangu pochłonęły i przetrwały tyle kłamstwa, podłości, plotek, zdrad, pochlebstw; tyle peruk i nakładanych nosów w nich się odbiło, tyle fraków, smokingów, wykrochmalonych żabotów, wachlarzy, świecidełek, blichtru, tanich błyskotek... tyle przypudrowanych policzków, przyklejonych muszek, podmalowanych brwi, ust jaskrawoczerwonych jak pijawki... że odbijały już byle kogo i byle jak, i wszystkie obrazy były płaskie, zmizerniałe, bez życia.

Należało obchodzić się z nimi bardzo ostrożnie: przypadkiem nie stłuc, machnąwszy ręką czy nogą. To bardzo zły znak - odbić się w lustrzanym odłamku. Jeśli zobaczysz w nim swoje odbicie, już możesz biec do lekarza po zwolnienie.

Ale najważniejsza w tym wszystkim była ostatnia chwila przed spotkaniem z wielogłową, wielooką, wrzeszczącą widownią. Publiczność! Bóg, car, sędzia, kat - publiczność! Jaką cię zobaczy?! Jak oceni?

Panie Boże - zlituj się - ratuj - i bądź miłościwi. Premiera w mieście! Od rana drżysz ze strachu. A przed występem w ogóle nie czujesz własnego ciała. Przetrzesz dłonie wodą kolońską, żeby się nie pociły, albo lekko przypudrujesz magnezją - i do przodu! Stoisz na u r z ą d z e n i u - nogi słabe, w piersi gula. To normalne. I już nadchodzi twoja kolej: głęboki wdech, wydech. Z całej siły kilka razy ściskasz, zaciskasz i rozwierasz pięści. Wydajesz sobie wewnętrzny rozkaz: skup się! I wychodzisz na arenę spokojna i skoncentrowana. Chyba że niczego wokół siebie nie dostrzegasz... świat jest zamazany, niewyraźny, obojętnie pluska gdzieś w oddali...

A zgiełk zachwyconej widowni ledwie faluje gdzieś na obrzeżach twojej świadomości.

Gdy jednak numer jest dobrze przygotowany, codziennie go powtarzałaś i oswoiłaś, wtedy panujesz nad swoim ciałem jak doświadczony lektor nad głosem, wtedy już się nie

wyłączasz i zauważasz poszczególne twarze: tam dziewczynkę z zalepionym szkiełkiem okularów, tu wąsatego faceta w czapce. I słyszysz wszystko, wszystkie typowe odgłosy cyrku, chociaż trochę przytłumione...

Po wykonaniu numeru przez pierwsze pół godziny jakby szybujesz. Później, oczywiście, przychodzi zmęczenie. Zwłaszcza w niedzielę, po trzecim przedstawieniu... Byle jak zmywasz makijaż i człapiasz do hotelu, powłócząc nogami. Potężny wybuch energii niemal wysysa z ciebie wszystkie życiodajne soki. Czujesz w sobie ogromną pustkę... Suchą szeleszczącą ciszę mięśni...

No a siły każdy regeneruje na swój sposób. Jeden przez dobę nie wstaje z łóżka, drugi za butelkę chwyta niczym za koło ratunkowe, póki nie padnie. A jeszcze inny, na przykład Wołod'ka, po prostu śpi jak borsuk, a po przebudzeniu przyrządza sobie jajecnicę z dwunastu jajek. Przekąsi, niczym woźnica w karczmie, i znów jest świeżutki jak szczypiorek!

*

Ten okropny zwyczaj Anny, by prawie w ostatniej chwili biec z garderoby do forgangu, zawsze Wołod'kę wkurzał - w odróżnieniu od niej miał niesamowite poczucie czasu. Nieraz go spytasz - która jest godzina, a on, nie patrząc na zegarek, poda ci ją z dokładnością do dwóch minut. Zawsze się denerwował, kiedy Anna bujała w obłokach. Czemu ona tak się tam grzebie... Przecież chłopaki już się rozgrzały i słysząc, jak trio klaunów Sokolniczego kończy swoją „Furtkę”.

Jeśli akurat mieli czas, zawsze przychodzili wcześniej, by obejrzyć ich występ. Cała trójka wybiegała przy akompaniamencie słynnego czulego romansu: długi jak tyczka Jegor w roli młodej ruchliwej Cyganki, sam Sokolniczy, niskiego wzrostu, w makijażu i w ubraniu starego Cygana z kędzierzawą asyryjską brodą, i Witiok - jako młody Cygan z gitarą. Śpiewali najpierw przeciągle, kiwając się, z uczuciem... i stopniowo zwiększali tempo, zaczynali tańczyć... żeby po chwili pisać już na całego, w zapamiętaniu niszcząc ławkę i furtkę.

Miotali się po arenie w takim upojeniu, natchnieniu, namiętym zapamiętaniu wymalowanym na twarzy! Roześmiana publiczność spadała z krzeseł, ocierając łzy...

- Wychodzimy! - rzucił Wołod'ka i ruszył. Z garderoby do forgangu mieli dwa kroki.

Anna skończyła czyścić kozaczki metalowym skrobakiem, włożyła je, wzięła łapcie, narzuciła na kostium szlafrok i stanęła przed czerwoną aksamitną kurtyną. To tam, zdjąwszy obuwie ochronne i szlafroki, rozgrzani cyrkowcy czekali, aż ich wywołają.

Kiedy tak stoisz za forgangiem i wiesz, że zaraz wychodzisz, przełączasz się jakby na inny energetyczny poziom.

Już. Słysząc, jak niszczyciele Sokolniczego głośno rozwalają swoją furtkę.

Z przeciwległych końców korytarza wyłonili się z ciemności dwaj muzycy. Jeden niósł w ręku futerał - najwyraźniej skończył grać i kierował się do bufetu. Drugi natomiast właśnie stamtąd wracał. Krzyknął coś do pierwszego na temat dobrych parówek i dodał, żeby się pospieszył, bo inaczej wszystko zeżrą, jaskiniowcy... Na co pierwszy, podchodząc...

Czemu jej serce nagle zaczęło tak gwałtownie walić? Co - ojciec? Dlaczego - ojciec? Co za urodziny...? J e s t j a k t a t u ś...

- Po-wietrz-ni lino-skocz-ko-wie... - rozbrzmiał nadwyreżony bas Grigorija Lwowicza - ...Strieleccy!!!

Włączył się fonogram do ich numeru: melodyjne, falujące odgłosy szerokiego romantycznego morza... Całe światło zostało skierowane na forgang, młodzi asystenci rozsunęli kotary i Anna z Niną jako pierwsze płynnie ruszyły między szpalerem pracowników areny, a chłopaki - za nimi.

Grigorij Lwowicz z szacunkiem pochylił głowę, przepuszczając grupę artystów. Wszystko było jak zawsze - uroczyste wyjście do ludu carskiej rodziny...

...Następnego ranka, po próbie, poszła na górę do muzyków. Krew pulsowała jej w skroniach, napływała falami, ogłuszając i znów zamierając gdzieś głęboko w sercu.

I od razu go zobaczyła, rozpoznała... nawet z tyłu.

Wkładał do futerału swój instrument - któryś z dętych, nie znała się na tym - ruchem ostrożnym i prawie automatycznym, tak jak matka kładzie dziecko do kołyski. Miał piękne, silne dłonie...

Tak, to był ten sam człowiek, ich ówczesny gość, tylko już całkiem siwy i bardzo krótko ostrzyżony. Był podobny do ojca Maszuty na zdjęciach zrobionych podczas zesłania w Kazachstanie.

Spojrzał na perkusistę i coś do niego powiedział. Tamten się roześmiał. Była w tym muzyku jakaś dziecięca, figlarna p r z e k o r a wobec losu. Jak w niej samej.

... Przecież ja go znam, zawsze go znałam...

Był chłopcem... jej chłopcem, z którym powinna była biegać, zawsze razem... Oto kto był jej pisany, kogo powinna była sobie wychodzić-wylatać-wyskakać, na kogo zasłużyć... Kto przez całe życie powinien być obok niej, ale - przez jakiś błąd w wyliczeniach! - do tej pory jej umykał. I nagle się zjawiał - jaka szkoda, że prawie pod koniec lotu...

Wtedy muzyk się odwrócił, wciąż jeszcze ironicznie uśmiechnięty, zobaczyła jego zapadnięte siwe skronie, dwudniowy zarost, siateczkę zmarszczek w kącikach szarych oczu.

Oboje lekko się cofnęli, zmieszani. I w tym momencie powinni byli rozbiec się w

różne strony: nic się nie zdarzyło - i niech tak pozostanie.

Nie, już mnie nie wykorzystasz! Jak chcesz, możesz mnie łamać, deptać, skręcić mi kark, wziąć na tortury! Tylko nie rób mi tego!

Muzyk odbił się w matowobiałych, wczesnojesiennych lustrach... Jego fagot delikatnie i ponuro zawodził w śnieżnej zamieci.

I było już za późno.

Za późno.

*

Kiedy wróciła od Sieni do hotelu dla cyrkowców, Wołod'ka leżał na łóżku i oglądał w przenośnym telewizorze trzymanym na brzuchu mecz piłki nożnej między moskiewskim Spartakiem a kijowskim Dynamem.

Przez lata ich wspólnej tułaczki nabierało się trochę gratów. Wołod'ka był przywiązany do rzeczy, cenił ciepło domowe - nawet w czasie wyjazdów. I to dlatego wozili ze sobą lampę biurową, budzik, prześcieradła, obrus, coś z naczyń, lodówkę Morozko, a nawet pralkę Malutka. Anna miała też kilka swoich książek, nieczytanych przez zwykłych ludzi. Po długich wędrówkach niszczyły się i rozpadały, a ona wciąż oprawiała je i sklejała szerokimi plastrami.

- Gdzie ty łazisz? - rzucił machinalnie.

Nie musiała odpowiadać, tym bardziej że piłka była wreszcie po stronie kijowian („...piłkę przejął Prichod'ko! Podaje do przodu do Sidorowa, Sidorow odbija piłkę na środek, przyjmuje Bezborodnyj, rusza w stronę bramki, mija jednego obrońcę, drugiego...”).

- Wołodia - powiedziała, stojąc w drzwiach. - Odchodzę.

- Dokąd to? - zapytał z rozdrażnieniem, nie odrywając oczu od ekranu. - Przecież dopiero co wróciłaś! Gdzie cię nosi? Czeka tu głodny jak wilk...

Milczała... i to milczenie powoli tężało na tle pospiesznego mamrotania komentatora sportowego. Wołod'ka czuł coraz większy dyskomfort i chłód, mimo że wieczór był ciepły. I nagle odwrócił głowę i spojrzał na Annę.

Stała w progu jak przypadkowy gość, jak zupełnie obca kobieta, która wpadła tu na chwilę, tylko po to, by mu powiedzieć, że...

Dlaczego i jakim cudem od razu wszystko zrozumiał? Nawet po wielu latach nie potrafił odpowiedzieć sobie na to pytanie. Raczej podejrzewał, że ona mu to przekazała - na s w ó j s p o s ó b. A on wszystko zrozumiał i zobaczył. Może dlatego, że tak jak w dniu, kiedy o mało nie spadł z liny, trzymała go spojrzeniem... Trzymała z całych sił.

Zrzucił telewizor z brzucha. Usiadł na łóżku.

- Ty... co... - powiedział. - Anno... Anka?! Co ty...?!

- Odchodzę, Wołodia, na zawsze... - Patrzyła uważnie, z obawą, prosto w oczy, trzymając resztkami sił. - Zamiast mnie weźmiesz sobie kogoś do programu... Potrenujecie... Wszystko się ułoży, Wołodia...

Ale nie utrzymała.

Wstał. Poczł, jak bryła lodu unosi się z żołądka, chłodzi klatkę piersiową, studzi serce. Gardło mu tak zdrętwiało, że nie potrafił słowa z siebie wydusić.

Zrobił krok w jej stronę, chciał powiedzieć błagającym, żałośnie czującym tonem: nie moja kochana moja najdroższa moja jedyna opamiętaj się nie zrobisz mi tego nie ty tego nie zrobisz to koszmar obłąd zaćmienie... bez ciebie niczego nie chcę... ani tego kurewskiego cyrkowego życia... ani jednego dnia... kochana... kochana... kochana... kochana... I z tej wysokości leciał w dół, tak że nie sposób było się nie zabić.

...Bił ją strasznie od pięciu minut, kiedy do pokoju przypadkowo zajrzała wciąż ta sama niestrudzona Ninka. Zobaczywszy krew na podłodze i ścianach oraz leżącą bez ruchu Annę, wyglądającą, jakby już nie żyła, zaczęła wrzeszczeć jak opętana.

Przybiegli cyrkowcy, Wołod'kę schwymano, ktoś zadzwonił na milicję, pogotowie...

...i potem jeszcze długo wszyscy tłoczyli się w holu, z podnieceniem rozmawiając o tym, co zaszło.

Cała sprawa wydawała się dziwna i niejasna. Przecież byli taką zgodną parą! Zawsze nierozłączni! Tacy wspaniali, utalentowani... Przecież ich już na stopień zasłużonych artystów zgłoszono, nie?

- A co, chłopaki... na lewo skoczyła? Też mi powód! Od razu zabijać za coś takiego...

- Ależ głupia jesteś! To ciebie, Duśka, kurwa, codziennie można tłuc za coś takiego i ręce tylko niepotrzebnie sobie odbić. A u nich miłość była! Hamlet Ofelię za co wykończył?

- Nie Ofelię, durniu, tylko Julię!

- Wołod'ki szkoda - powiedział jeden z facetów. - Trzeba by list jakiś wspólnie napisać, tylko do kogo: na milicję czy do sądu?

Po trzech godzinach zapłakana Ninka wróciła z izby przyjęć i prawie do rana zmywała krew w pokoju. Co teraz będzie z ich programem, z asystentami, co robić ze sprzętem? Wołod'kę na pewno wsadzą za kraty... Dokąd pójdzie Anna, jeśli ją podleczą jak należy, i co będzie z nią, Ninką? Wszystkie te trudne pytania wirowały jej w głowie niczym bielizna w pralce Malutka.

Pełzała po podłodze ze szmatą, przesuując łóżko, krzesła, szafki...

Za jedną z szafek walały się dwa otwarte listy. Jeden jakiś szalony, napisany

odwróconymi literami, które tylko Anna potrafiła odczytać. Pewnie od tego typka z Ameryki. List był długi, wykaligrafowany na sześciu stronach. I nawet numery stron miał pisane na wspak. A niech to! Czego tylko w przyrodzie nie ma... Ale jakiś plan opisano prawidłowo, łacińskimi literami. Ninka nawet przeczytała nad strzałką: „Blois”.

Drugi list był od przyjaciółki Anki, tej organistki, a tak naprawdę dzwonnkowej... czy dzwonniczki...? Ninka zaczęła zachłannie czytać w nadziei, że może czegoś się z niego dowie.

Ale niczego się nie dowiedziała. Zwykły nudny list. Do tego stary - jak później odkryła - aż z osiemdziesiątego czwartego roku. Dzwonniczka pisała, że jest w Belgii świetnie przyjmowana, że przed koncertem mer zaprosił ją na degustację serów i innych pyszności, a potem był koncert. I że bardzo się denerwowała, dlatego że przed koncertem trzeba było wejść na dzwonnice, rozgrzać się, skoncentrować... a tu przyjęcie. Ale w końcu wszystko poszło świetnie. Niektórzy z widzów wchodzili na górę, żeby popatrzeć, jak gra, a na dole ustawiono wielki ekran dla publiczności - w tym celu na poddaszu zamontowano kamerę.

I że teraz prosto z Belgii jedzie na kilka koncertów do Francji: do Lyonu, Dijon, Meribel.

I jeszcze coś, Niutoczko... - pisała dzwonniczka. - Nagle, po wylewie, zmarła ciocia Ida, średnia córka twojej ukochanej Firawielny. Akurat byłam u rodziców w Kijowie. Nikt nie wiedział, jak to powiedzieć babci. Ale ona coś wyczuwała. W dniu pogrzebu przyleciał z Moskwy jej starszy syn i wspólnie z moją mamą postanowili ją przygotować. Ledwie weszli, babcia uniosła głowę i zapytała: „Idusia nie żyje?”. Oni w płacz, ja też, a ona - ani jednej łzy nie uroniła. Powoli się podniosła, podeszła do komody, wymacała tam czarny koronkowy szal, narzuciła go na głowę i pojechaliśmy. A pod domem stał już tłum ludzi - sąsiedzi, koledzy z pracy - ciocia Ida przez dwadzieścia lat była księgową w Arsenale, wszyscy ją szanowali... Na widok prowadzonej pod rękę niewidomej matki kobiety zawyły... A babcia ani drgnęła! Kiedy weszli do pokoju, wyciągnęła ręce, idąc w stronę trumny. Posadzili ją tam, a ona przesuwa rękami po twarzy Idusi i tylko coś szepcze, ale znów ani jednej łzy. A wokół zawodzenie jak w greckiej tragedii. Kiedy trzeba było wynosić trumnę, z trudem oderwali jej ręce od córki. Na cmentarz babci oczywiście nie wzięli, zostawili ze mną. Poprosiła mnie, bym zaprowadziła ją do okna. Nie zapomnę, jak stała przy oknie, kiedy wynosili trumnę. Zapytała, w którą stronę ma patrzeć, stała i p a t r z y ł a... nie oczami, oczywiście... Sercem.

A parę dni po pogrzebie upadła i złamała rękę. I - same nieszczęścia! - źle się zrosła, trzeba było znów łamać i nastawiać. Wyobrażasz sobie, jaki to musiał być potworny ból? Pojechałam z nią do szpitala. I taki lekarz serdeczny się trafił, współczujący, chociaż bardzo młody. Nastawia i pyta: „Boli, proszę pani?”. A ona pokręciła głową: „Czy to jest ból? Ja córkę właśnie pochowałam - to dopiero ból”. Lekarz posmutniał, nachylił się i ucałował jej dłoń...

Krótko mówiąc, nic sensownego Ninka z tego nie wyczytała i oba listy wrzuciła do plecakzka Anny.

Kiedy po raz ostatni wycierała podłogę mocno wyciśniętą szmatą, do pokoju zapukała dyżurna z ich piętra.

- Co robić? - zapytała. - Do tej waszej telegram jest z Kijowa, do Nesterenko Anny... Do Kijowa ją wzywają.

- Jaki znów Kijów?! - chlipnęła Ninka. - Ma złamane dwa żebra, prawy obojczyk... a zamiast twarzy... miazgę. Kochany mąż ją tak urządził... Gdzie ten telegram?

Otworzyła i przeczytała.

Co za dzionek!

Krzywo przyklejone wesołe literki, podobne do napisów w filmach rysunkowych, składały się na treść telegramu:

„Maszuta nie żyje wylatuj natychmiast pogrzeb jutro”.

...Miała ulubioną harmonijkę - takie trofeum artystyczne. Kiedyś, już dawno temu, podczas występów w Hamburgu albo w Berlinie, wybiegła do niej na arenę chińska dziewczynka i radośnie - nawet popiskując z nadmiaru emocji - wcisnęła jej w dłoń harmonijkę ustną. Anna przechowywała ten prezent przez całe życie, uważając go za dowód najwyższego uznania.

To była typowo niemiecka harmonijka. Na obciążonym granatowym safianem pudełku - podłużnym, lekko wygiętym, niczym niedopieczony precel - widniał złoty napis: *Unsere Lieblinge M. Hohner*. W dwóch medalionach po bokach prezentowały się ślicznotki o białych zębach. Brunetka z dużymi koralami i lekko zamazana blondynka w typie Marleny Dietrich - a może to właśnie była ona.

I ja, dla żartu, nauczyłem Annę melodii *Lili Marlene*, i nawet akompaniowałem jej na fagocie. Przystawiała harmonijkę do ust, wydymała je i dmuchnąwszy raz, na próbę, zaczynała grać z wytrzeszczonymi oczami, a bruzdy wokół jej ust robiły się głębsze.

Czy jest coś bardziej banalnego niż śmierć na wojnie
i bardziej sentymentalnego niż randki przy księżycu...

A wtedy ostrożnie, żeby jej nie zagłuszyć, podchwytywałem na fagocie:

Czy jest coś bardziej krąglego niż tve kolana...

Przyznam, że był to nietypowy duet, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że wykonawcy nawet nie fatygowali się, by zarzucić szlafroki na nagie ciała...

Mimo że była niezwykle utalentowana, jeśli chodzi o fantastyczną koordynację ruchową i bystry, wszechstronny umysł, nie miała żadnych zdolności muzycznych.

...Jakieś pięć lat temu zaciągnąłem ją do Rüdesheim, dokąd podczas występów w Niemczech lubiłem wpadać na spacer. Nasza wspólna *Lili Marlene* przechadzała się tam razem z nami, powoli dołączając nad koronami drzew do restauracyjnego tria, metalowego pobrzękiwania starczej katarynki, wieczornego śpiewu piwoszy i ulatując hen wysoko, w stronę winnic, nad którymi niewyraźnie jaśniały domki górnej części miasteczka.

Była wtedy szczęśliwa, widziałem to.

Raz tylko popsuł jej się humor, nie wiadomo z jakiego powodu.

W czasie spaceru natknęliśmy się na wyciąg linowy. Spontanicznie kupiliśmy bilety, podbiegliśmy do metalowej gondoli i wsiedliśmy.

Pomysł był dość idiotyczny, biorąc pod uwagę fakt, że tego dnia całe miasteczko spowijała taka gęsta, jak zefir¹¹⁷, mgła, że aż chciało się ją pomacać, a nawet odgryźć kawałek.

Wszystkie gondole - i te za nami, i te, co płynęły z naprzeciwka, wynurzając się nagle z mlecznej mgły - były zupełnie puste. Oczywiście, oszczędni i praktyczni Niemcy - turystów o tej porze roku widocznie się tu nie spodziewano - uważali za bezsensowne wydawanie pieniędzy na takie zabawy.

Wznosiliśmy się tak na oślep nie wiadomo dokąd, a metalowe puste gondole jedna za drugą wyłaniały się z wilgotnej mgły jak miniaturowe widma „Latającego Holendra”. Przycichliśmy, jedynie z rzadka coś do siebie szepcąc.

Objąłem ją. Wydało mi się, że tak właśnie wygląda nasze życie: kiedy widać tylko rękę i metalową linę, i przelotnie napotkaną pustą gondolę...

Nagle, w absolutnej ciszy, wynurzyła się kolejna gondola, w której dumnie siedział grubas-albinos w zamszowej kurtce i brązowym tyrolskim kapeluszu z czarnym piórkiem. Oboje aż jęknęliśmy - taki był nierealny i mlecznobiały, w równie mlecznobiałej mgle. I ten jego kapelusz koloru rdzy, nałożony niedbale, jakby z rozpędu, jakby ktoś szybko przebrał go za kulisami, nieprzytomnego, wrzucił do gondoli kolejki linowej i uciekł. Albinos przepłynął obok nas beznamiętnie i nawet piórko na jego kapeluszu nie drgnęło.

Anna tak strasznie zbladła, że zauważyłem to nawet we mgle.

- Kim on jest? - rzuciła ostro. - Czego tu szuka? Dokąd jedzie?

Roześmiałem się i mocniej ją objąłem.

- Skarbie - powiedziałem. - Nie dopuszczasz myśli, że jest takim samym idiotą jak my, a w dodatku samotnym idiotą, i nie ma co ze sobą począć, więc dlatego...?

- Nie! Nie, to nie tak... - powtarzała wzburzona. - Jest zbyt podobny do... I czarne piórko, jakby z nas kpił... - Widziałeś? On nie jest tu tak po prostu...

Zacząłem z niej żartować, zapewniając, że to taki wsiowy niemiecki diabełek, mały świntuch, rozsadnik grypy, postanowił przespacerować się po okolicy, natknął się na nas i sam się wystraszył.

Z trudem ją uspokoiłem. Zjedliśmy obiad w głębokiej średniowiecznej piwnicy, której pobielone ściany przesiąknięte były wielowiekowym winnym i piwnym odorem. A po drodze do hotelu zajrzeliśmy jeszcze do paru sklepików oraz spróbowaliśmy eisweinu - pysznego miejscowego wina. W rezultacie tak się wstawiłem, że w windzie, na oczach dwóch czcigodnych *Frau*, zacząłem ją obmacywać, niby zatroskany, czy wszystko ma na miejscu, i

117 Zefir - rodzaj słodkiej pianki, bardzo popularnej w Związku Radzieckim.

głośno pytać po niemiecku, czy nie ma nic przeciwko temu, bym ją dziś podrywał?

...A wieczorem dostałem ataku serca, i to tak silnego, że zeszytniałem. Ot, pomyślałem, i spełnia się twoje marzenie o odejściu w jej ramionach.

Ale ona pozostała absolutnie spokojna. Masowała moją pierś swoimi silnymi dłońmi, powtarzając:

- Nie bój się, nie umrzesz teraz. Umrzesz inaczej...

Uwierzyłem jej i rzeczywiście wkrótce doszedłem do siebie. Leżałem i ssąłem walidol, obserwując, jak rozczesuje włosy na tle okna oświetlonego blaskiem lamp z restauracji i przebiera się do snu. Jak słodko ścisnęło mi się serce na widok nocnej koszuli ześlizgującej się z jej szczupłych nagich pleców...

- A jak umrę? - zapytałem.

Uśmiechnęła się, zdjęła z grzebienia włos, zdmuchnęła... I patrząc na mnie z lustra, powiedziała:

- Ty, Sieniu, odejdziesz w czasie zamieci. Przy dźwiękach muzyki...

Speszony taką szczerością roześmiałem się:

- Czy nie jest to zbyt romantyczne, mój skarbie? - I przechyliwszy się przez łóżko, chwyciłem jej dłoń i pocałowałem.

...Była małowówna, nawet bardzo. Zdarzało się, że w ciągu całego dnia wypowiadała zaledwie parę zdań, i trzeba przyznać, że jej słownictwo nie należało do wyszukanych - odbiło się na nim wieloletnie przebywanie wśród cyrkowców i małżeństwo z tym w zasadzie niezłym chłopakiem. Ale prostym...

Nieraz mi się zdawało, że nikt niczego jej nie nauczył, że sama spontanicznie brała z otoczenia to, czego potrzebowała - tak jak ptak w locie łapie muszkę. Albo zjawiała się na tym świecie z niewielkim, ale trwałym zapasem tylko jej potrzebnej wiedzy, którą otrzymała gdzieś tam, sam nie wiem gdzie...

Czasami wręcz wpadałem w osłupienie. Pamiętam naszą pierwszą wspólną wizytę u Profesora. Czekaliśmy na gospodarza w salonie jego domu w Newtonville, przechadzając się od jednego pamiątkowego zdjęcia na ścianie do drugiego. Zatrzymaliśmy się przed tym, na którym młody uśmiechnięty Profesor i całkiem jeszcze młody Isaac Stern stali objęci w gondoli, na tle kopuły Santa Maria della Salute. Później pokazałem jej niewielkie zdjęcie w kolorze sepii, z widniejącym na dole zamasztyłym napisem „Mojemu drogiemu przyjacielowi...”, i powiedziałem:

- A to, moje lustreczko, Gershwin...

Podniosła na mnie wzrok i zupełnie poważnie zapytała:

- A Beethoven też tu jest?

Wiem, że nie żartowała.

Szczerze mówiąc, wszystkie te miłe kobiece banały o pokrewieństwie dusz - czy może... duchowym pokrewieństwie? - nie miały nic wspólnego z tą słodką trwogą, która nagle wypełniała moje serce, kiedy chłopięca sylwetka Anny pojawiała się w tłumie pasażerów samolotu albo kiedy z balkonu kolejnego hotelowego pokoju od rana wypatrywałem jej motocykla. Wreszcie się pojawiał...! Płynny ruch jej biodra, kiedy zeskakiwała z siodełka, podobny był do unoszenia smyczka nad altówką...

Ta słodka trwoga nie miała nic wspólnego z fizycznym napięciem, które ogarniało mnie za każdym razem, kiedy ją z o s t a w i a ł e m. Było to coś innego i nie mam teraz zamiaru określać tego słowami.

Zawsze porażała mnie jednoznaczność jej reakcji, dokładny podział świata na dobro i zło, jakby była pierwszym człowiekiem, jeszcze nieskażonym tragiczną i obrzydliwą historią ludzkiej moralności.

Czasami miała taki problem z wysławianiem się, że wydawała mi się cudzoziemką, która w pośpiechu nauczyła się mojego ojczystego języka, żeby ze mną porozmawiać. Zwłaszcza że wielokrotnie byłem świadkiem, jak zaczynała mówić w różnych obcych narzeczach: powoli się rozpędzając, ostrożnie macając dźwięki koniuszkiem języka, przetaczając po podniebieniu nieznanymi łączeniami sylab... oddzielne wyrazy... sklejjając je w zdania... a po dziesięciu minutach już gawędząc z kimś w zupełnie nowym dla niej języku. I chociaż wszystkiego się po niej spodziewałem i chyba nic już nie mogło mnie zaskoczyć, pewnego razu osłupiałem - w Paryżu, w galerii Orangerie, gdzie zostawiłem ją na pięć minut, a wróciwszy z toalety, zastałem grzecznie konwersującą z niemłodą japońską parą... po japońsku! Nie znali ani angielskiego, ani francuskiego. To po jaką cholere podróżowali?

Chwyciłem ją pod rękę i wziąłem na stronę.

- Ty co, ot tak sobie po prostu rozmawiałaś z nimi po japońsku?! - zapytałem.

A ona na to:

- Nie, oczywiście, że nie... nie znam japońskiego. Znam tylko jedno słowo: „Kamasutra”!

Parę razy mocno mnie zaskoczyła wywodami sformułowanymi precyzyjnie jak teoria matematyczna. I zawsze zadziwiała swoją pamięcią: nie mówię o jej zabójczej - przechowującej nieskończoną liczbę cyfr, przedmiotów, imion i twarzy - b a z i e d a n y c h, nie gorszej od komputerowej; te informacje trzymała wyłącznie dla siebie, nigdy mi ich nie ujawniając. Mam na myśli inną pamięć - do szczegółów. Zdarzało się, że nagle

mówiła:

- Chodźmy dziś do tej knajpki naprzeciwko dworca. Pamiętasz, w kwietniu dziewięćdziesiątego piątego gadaliśmy tam ze staruszką pianistą... na pewno już nie żyje... Pamiętasz, jak szybko, myśląc się, grał fokstrotę takiego płochliwego jak wróbelek. A na jego prawym małym palcu brakowało kłykcia...

Pewnego razu przy stoliku w jerozolimskiej kawiarni, patrząc na wielodzietną rodzinę religijnych Żydów, powiedziała z bezbronną dziecięcą szczerością:

- Wiesz, a ja bardzo dobrze pamiętam mamę...

I widząc zdumienie na mojej twarzy, pospiesznie dodała:

- Nie, nie Maszute, tylko moją mamę! Ona gdzieś pracowała i czasami miała nocne dyżury. A ja, taka malutka, zostawałam sama. I żeby się nie bała, mówiła do mnie: „Będę tu niedaleko, zaraz wracam, wskoczę tylko w to lustro, posiedzę tam i wrócę”. W naszym mieszkaniu wisiało okrągłe lustro w korytarzu, naprzeciwko drzwi wejściowych. Mama odwracała moją twarz w jego stronę i wtedy widziałam, jak ona w nie wchodzi i zamyka drzwi. I kiedy nie było jej w domu, wiedziałam na pewno, że jest w lustrze. Czasami długo stałam przed nim i wołałam: „Mamusiu, starczy już, wychodź!”. I często się udawało: drzwi w lustrze w końcu się otwierały i pojawiała się w nich mama...

I tak, zupełnie przypadkowo, dowiedziałem się, że nie była rodzoną córką tej cudownej kochającej się pary, do której domu zaprowadził mnie los wiele lat temu - szczęśliwie czy nieszczęśliwie? - ku mojej słodkiej rozpacz...

Nigdy więcej o tym nie wspominała.

Obawiam się, że te dziecięce lustrzane przygody, jak również tłamszona leworęczność, przeistoczona - niczym żaba w księżniczkę - w niezwykłą, mistrzowską umiejętność posługiwania się obiema rękami, doprowadziły ją do zachłyśnięcia się światem szkła pokrytego warstwą amalgamatu. I trwało to przez całe życie.

Jej ascetyzm, jeśli chodzi o ubrania i w ogóle wszystko, co należy do pociągającego świata ludzkich przyzwyczajęń, miłych sercu przedmiotów i drobiazgów, zdumiewał mnie, wiecznego tułacza. Cały jej majątek mieścił się w niewielkim plecaczku: coś z bielizny, para dzinsów, skarpetki... Oczywiście, dość często zapraszano ją na różne przyjęcia, gdzie bywała z obowiązku. Wpadała wtedy do sklepu i w ciągu dwudziestu minut kupowała sobie sukienkę, pantofle, torebkę - wszystko odpowiednio kosztowne, bo świetnie zarabiała - żeby później komuś je zostawić.

Drażniło mnie to. Parę razy zaciągnąłem ją do drogich butików, zmuszając do przymierzenia wieczorowych sukni (była bardzo zgrabna). Zwłaszcza w jednej strasznie mi

się spodobała - ciemnozielonej, ze szlachetną srebrzystą nicią. Tak pięknie podkreślała szmaragdową barwę jej oczu... wprost nie mogłem się na nią napatrzeć!

- Błagam - powtarzałem, nie wstydząc się sprzedawczyni, która patrzyła na nas, nie rozumiejąc, o co chodzi: tak bardzo owa scena nie pasowała do jej wyobrażenia o naturze kobiet i mężczyzn. - Błagam cię, kupmy tę sukienkę! Będiesz w niej olśniewająca!

Uśmiechnęła się, lekceważąco machnęła ręką i powiedziała:

- Już byłam olśniewająca w świetle reflektorów.

Jej jakby ciążyło posiadanie rzeczy i za ich pośrednictwem przywiązywanie się do czegośkolwiek. Nie miała na sobie ani pierścionka, ani łańcuszka na szyi, ani jednej pamiątkowej ozdoby. Wieczna motocyklistka - w kasku, rękawiczkach, kurtce. Sprawiała wrażenie człowieka w każdej chwili gotowego wybyć. Dokąd? Bóg jeden raczy wiedzieć. Wybyć, jak się wybywa w daleką podróż: na zesłanie, na przykład. Albo do nieba.

Nigdy nie wnikałem w to, jak opracowuje swoje magiczne sztuczki - przecież z czasem stała się jednym z niewielu specjalistów w tej dziedzinie. A nawet gdybym wnikał! I tak nic bym nie zrozumiał z tych wszystkich schematów i notatek, w dodatku nabazgranych jej szalonym pismem.

Nawiasem mówiąc, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem w jej notesie kartkę zapisaną tymi pętlami i kreskami - przypominającymi linię gwałtownego lotu jerzyka - nagle pomyślałem o niepiśmiennej babce Gienki, Kapitolinie Timofiejewnie. Przypomniały mi się kartki ze szkolnego zeszytu, o które przed śmiercią prosiła wnuki, i gryzmołac ołówkiem, zapelniała je podobnymi poskręcanyimi sznurkami. Wnuki, oczywiście, później zbierały i wyrzucały te kartki - na co komu bazgroły niegramotnej babci?

To o to chodzi, pomyślałem wtedy, to taka dziwnie niepiśmienna była świętej pamięci Kapitolina Timofiejewna... To dlatego, sprawdzając zadania z matematyki w zeszycie Gienki, targała chłopaka za włosy, powtarzając: „Jaka jest reszta z dzielenia, swołocz, no jaka?!”. I nigdy nie tknęła wypracowania z rosyjskiego. Widocznie i nad nią ciążyło niezwykle przekleństwo tego diabelskiego pisma.

Kilka razy byłem na jej przedstawieniach - nie ukrywam, że robiły na mnie wrażenie. Zwłaszcza kiedy w chicagowskim Auditorium Theatre pokazała ten oszalamiający numer - „Ogniste koło”. Ponoć do tej pory wałą na niego tłumy.

Próbowała wytłumaczyć mi techniczne detale, a ja udawałem, że uważnie jej słucham, potakując zgodnie głową... Oczywiście nic nie rozumiałem. Coś z cieniowanymi lustrami w kształcie cienkiej obręczy... Bóg z nimi, z technicznymi detalami. Lepiej opowiem, jak wyglądało to przedstawienie.

Na scenę w zupełnie ciemnej sali wchodziła tancerka ze świecą w rękę i przez parę minut ten słaby promyk migał, miotał się przy dźwiękach elegijnej muzyki. Tancerka wbiegała na czarny podest, gdzie już stało to dziwaczne u r z ą d z e n i e - jak w cyrkowym żargonie nazywała je Anna.

W tej samej chwili z trzech stron powoli opuszczano lekko nachylone lustra, zamykając ją w pułapce. I kiedy tancerka podnosiła świecę do szczytu stożka... lustrzane koło wybuchało szalonym ogniem, który odbijał się do tego w otaczających ją lustrach! Artystka szybko obracała się ze świecą i ogniste fale biegły wzdłuż koła, zamieniając się w szalony taniec ognia. Jej delikatna figurka miotła się na pomoście w ognistym kole - a tak naprawdę w świetle samotnej świecy sprytnie odbitej w lustrach - i nie potrafiła wydostać się z płonącego kręgu.

Była to zaciekle walka na śmierć i życie. Płomień buchał wokół tancerki, zamieniając jej rozpacz w pogański triumf, a nawet szaleństwo, które rosło i rosło, i w pewnym momencie stawało się nie do zniesienia: widzowi rozsadzało głowę, oślepiało oczy. Chciało się wrzasnąć: Starczy już, starczy, ratunku...!

Wreszcie lustra unosiły się w górę, muzyka cichła... W zupełnych ciemnościach, w ciszy, która ogłuszała bardziej niż muzyka, na czarnym pomoście życia zostawała tylko kobieta trzymająca w dłoni słabe światełko udręczonej samotnej duszy.

W zasadzie nie lubię podobnych widowisk.

Nie lubię sztuczek, *corps de ballet* z jego gołonogimi tancerkami świecącymi gołymi tyłkami... Na szczęście dawno skończyłem z cyrkiem.

Chociaż raz doznałem głębokiego wstrząsu: byłem z nią na tamtym świecie.

Zdarzyło się to we Frankfurcie - już po tym, jak postanowiła wynająć świetną mansardę na Schweizer Strasse, w dzielnicy Sachsenhausen. Zaproszono ją ponownie do słynnego varietes Tiger Palace, więc przez kilka dni od rana do nocy przesiadywała w niedużym warsztacie w Rüsselsheim, gdzie konstruowano urządzenie do przedstawienia według jej projektu.

Było mi szkoda tych zmarnowanych dni - aż pięciu. Wywalczyłem wolne w orkiestrze, żeby spędzić z Anną Boże Narodzenie, którego nigdzie nie świętują tak wesoło i smacznie jak w Niemczech.

Wszędzie kręciła się już świąteczna karuzela: na Romer stała ogromna choinka, wysokości ratusza. Z okna naszej mansardy widzieliśmy ją prawie całą; po zapadnięciu zmroku mieniła się ciepłymi światełkami, budząc we mnie iście dziecięcy zachwyt połączony z nostalgią. Główny plac i ulice w centrum były zastawione drewnianymi kramikami-

chatkami i tłumy ludzi podążały na degustację bożonarodzeniowych smakołyków. Z każdego kramiku dolatywały cudowne zapachy: soczystych grillowanych parówek wszystkich gatunków i rozmiarów, wonnych prażonych migdałów, arachidów, orzechów laskowych.

A nad nimi unosił się aromat czekolady: wybierasz sobie jaki chcesz owoc - truskawkę, banana, kiwi czy suszoną śliwkę - zanurzają go przy tobie w gorącej czekoladzie i wręczają w postaci ogromnego cukierka. A żeby było czym to popić, obok kramików z jedzeniem stoją kramiki z napitkami: z glintweinem, grzanym winem jabłkowym, piwem, reńskimi winami. W zależności od pogody czy od tego, czego dusza zapagnie, ludzie pociągają glintwein, cierpkie rieslingi albo bawarskie piwo o cudownej nazwie „Granatowy kozioł”, które warzą tu specjalnie na Boże Narodzenie.

W drewnianych rzeźbionych chatkach sprzedawano pamiątki z kamieni, drewna, skóry i ceramiki. Bezgłośnie kręciły się zwisające na niciach błyszczące ozdoby choinkowe. Z kramiku, handlującego wonnymi świecami, niosły się zapachy lawendy, jaśminu, goździków i mięty, jakby został przerzucony mostek do chatki naprzeciwko: sprzedawano tam rzeźbione figurki z aromatycznego mydła o takich samych zapachach. Działwa kręciła się na karuzeli przy dźwiękach *Jingle Bells*... I nie można się było precyzyjnie przecisnąć przez tłum na tym święcie życia.

Staralem się chować w cichych uliczkach. Ze Schweizer Strasse skręcałem w nabrzeże Muzealne, mijałem bajkowe, delikatnie podświetlone stare pałacyki, podziwiałem amfiladę ozdobionych świątecznymi lampkami mostów... Przechodziłem mostem Żelaznym na drugi brzeg, gdzie trwało kulinarne szaleństwo: na ogromnych patelniach skwierczały krewetki królewskie, w piecach dochodziły alzackie placki. A najlepszego grzanego wina spróbowałem w skromnym sklepiku o romantycznej nazwie „Chatka glintweinu”. Siedziałem tam, zapatrzony na most...

O śniegu we Frankfurcie można było tylko pomarzyć. Każdego roku wszyscy próbują zgadnąć, czy tym razem będzie „białe Boże Narodzenie”.

Siedziałem w tej chatce i wspominałem śnieżne zimy w Moskwie i Leningradzie... Oraz swego pedagoga, Dmitrija Fiodorowicza Jeriemina. Grubego, pogodnego człowieka, pierwszego fagocistę u Mrawińskiego. Siadał w fotelu Auera - w dwudziestym czwartym audytorium zajęcia prowadził legendarny Leopold Auer - skórzanym, z wysokimi oparciami, głębokim i miękkim. Zapadał się w nim i zasypiał. I bez względu na to, jak głośno studenci grali, nigdy się nie budził. W koncercie Webera jest jedna nieskończenie długa nuta w kadencji - ciągnąłem ją, aż zabrakło mi powietrza. Ale Jeriemin i tak się nie obudził; cały czas chrapał, słodko wzdychając.

Siedziałem w chatce na brzegu Menu, gdzie serwowano glintwein, i wspominałem dziewczyny z konserwatorium, cukierkowo śnieżny pył na skoczni w Komarowie, pierwszy łyk własnoręcznie zrobionego - na dacy koleżanki z roku - grzanego wina o aromacie cynamonu i goździków, które znaleźliśmy na półeczce z przyprawami.

Dopiero teraz się dowiedziałem, że był to glintwein...

Jednym słowem, potwornie się bez niej nudziłem.

Pewnego wieczoru wróciła zmęczona, nie chciała jeść - a ja zamierzałem wyciągnąć ją do jakiejś porządnej restauracji.

- Pokażę ci... jutro... - wymamrotała i natychmiast zasnęła jak dziecko. Ona w ogóle szybko zasypiała.

Nazajutrz zawiozła mnie do tego warsztatu.

Zeszliśmy po metalowych schodach do jakiejś hali, przeszliśmy przez trzy wielkie piwniczne pomieszczenia, mijając robotników - każdego z nich znała po imieniu. Jakiś Helmut zaprowadził nas za harmonijkowe drzwi, gdzie na metalowym sześcianie stał rekwizyt do programu: ogromne pudło o wielu krawędziach, nasadzone na pionowy rdzeń. W każdej krawędzi widniał owalny otwór.

- Chodź tutaj - zawołała. - Podejdz do którego chcesz, przysuń twarz... bliżej... podbródek trochę do przodu... o tak...

Przycisnąłem twarz do otworu w jednej z krawędzi, Anna stanęła przy drugim.

W środku zobaczyłem bezkresny las kolumn: na każdej z nich było owalne lustrzane okienko, w którym widziałem twarz - swoją albo Anny, w niezrozumiałej kolejności. Nasze twarze, zmieniając się, mieszając, zwracając do siebie, nikięły w nieskończonej dali - ta wewnętrzna przestrzeń nie miała granic.

Na początku zdziwiłem się, zachwyciłem... wydało mi się to zabawne i pomysłowe... Potem jednak poczułem, że nie mogę się oderwać... odejść... Patrzyłem i patrzyłem, jak mnożą się w lustrzanej pustyni nasze samotne twarze, nie mając żadnej możliwości, by zbliżyć się do siebie, złączyć w pocałunku, połączyć na zawsze...

Wpadłem w panikę. Ogarnął mnie potworny smutek: ta bezbrzeżna pustynna równina z ustawionymi na niej, ciągnącymi się w nieskończoność, dziwnymi, jakby tańczącymi kolumnami - i nasze twarze, milczące, nieprzerwanie spoglądające na mnie z oszałamiającej odległości... Tak, pomyślałem nagle, tak może wyglądać t a m t e n ś w i a t: twoja dusza i dusza najbliższego ci człowieka, uwięzione w lustrzanych słupach. Możecie tylko w milczeniu - i w nieskończoność! - patrzeć na swoje tysiącrotnie powtórzone, nieosiągalne odbicia...

Żeby jakoś strząsnąć z siebie ten czar i coś powiedzieć, zapytałem, patrząc na jej twarz w lustrzanej aureoli:

- Czym są połączone ścianki pudła... śrubami?

- Za pomocą zawiasów z bagnetowymi końcówkami - odpowiedziała jej nieosiągalna lustrzana twarz. - No i zatrzasków. Całe urządzenie można złożyć i rozłożyć w ciągu dziesięciu minut.

W drodze powrotnej zapytała:

- No i jak, spodobało ci się? Spodobało? - Była niezwykle ożywiona.

Ja zaś miałem ochotę jej powiedzieć: moje dziecko, moje drogie dziecko, co się dzieje w tej twojej główce, skoro znajdujesz tam podobne rajskie uciechy?

W nocy śnił mi się bezkresny las tańczących kolumn. Ocknąłem się zlany zimnym potem i obudziłem ją.

- Sama to wymyśliłaś? - zapytałem.

- Co? - wymamrotała zaskoczona.

- ...ten lustrzany koszmar w pudełeczku?

- Nie... to Houdin...

- Kto?!

- Francuski magik... Robert Houdin, żył w dziewiętnastym wieku w Blois... we Francji... Co ci jest? Która godzina? Daj papierosa...

Potem łaskawie wyjaśniła: Eliezer (o, ten tajemniczy, przekłety Eliezer, z którym prowadziła korespondencję swoim lustrzanym pismem - chciałbym go zobaczyć!) dzięki znajomym kijowianom znalazł w Bibliotece Kongresu opis niektórych wynalazków Houdina i odkrył ich sekret. A ona postanowiła, że spróbuje odtworzyć je, w wielkim przedstawieniu „Zaczarowane lustra”, ale skomplikowała zadanie, powiększając liczbę krawędzi... No i tak dalej...

- Rozumiem - powiedziałem, opadając na poduszkę.

Nawiasem mówiąc, tamtej nocy, ponieważ i tak nie mogliśmy zasnąć, opowiedziała mi zupełnie nieprawdopodobną - jakie tylko w życiu się zdarzają - historię ocalenia tego Eliezera i jego feralnego brata bliźniaka.

Wystraszona matka urodziła ich przed terminem, w mieszkaniu, w obecności swojej starej ukraińskiej niańki. Owej nocy Niemcy okleili całe miasto ulotkami, jak zwykle na szarym papierze pakowym: „Do wszystkich Żydów miasta Kijów...”. Kiedy dzieci umyto i matka, jęcząc, wymieniła ich imiona - każde po dziadku - niańka powiedziała: *Kyn' meni cych*

*dochlikiw, Riwa, ty jich nie dowezesz*¹¹⁸.

Wtedy myślano nie o śmierci, tylko o długiej podróży... Nazajutrz mąż wziął połoźnicę na plecy i zaniósł na miejsce zbiórki.

Kiedy starucha zrozumiała, że nikt nie wróci, a zrozumiała to bardzo szybko, wywiozła dzieci na wieś do szwagierki. I wpadła na świetny pomysł: opatuliła dwa malutkie pomarszczone strączki tak mocno, jakby to było jedno dziecko, i tylko dwie głowy na zewnątrz sterczały. W ten sposób pokonała wszystkie patrole i posterunki. Ot - płakała - wnuczka, *dywit'sia, narodyła uroda s dwoma gołowamy... A ja do sela jidu, w nas tam babka żywe, znacharka, wona jakus' trawku maje, to wid nei odna gotowa ota bila ta j widwały'sia...*¹¹⁹

Wszystko przewidziała, lepiej od niejednego psychologa. Nikt nie chciał patrzeć na dziecko potworka, każdy z przerażeniem odwracał głowę, machał rękami - idź sobie, idź, z tym swoim potworkiem, zejdź mi z oczu... Na wsi postawiła dzieci na nogi, wypielegnowała, a później, po wojnie, aż do jej śmierci mieszkali razem w małym pokoiku w komunałce na Podole. Baba Liza się nazywała. Taka to była ta baba Liza. Odłóżmy na bok rozważania na temat heroizmu prostego człowieka - Bóg z nim, z prostym człowiekiem, różnie to bywa... Najważniejsze, że zostawiła im imiona. Jak w radzieckim antysemickim Kijowie żyło się dzieciom z takimi imionami?

Ale nie zmieniła! Mówiła: matka im je nadała, a kim jestem, żeby z nią, nieboszczką, się sprzeczać?

Powiedzonko niańki na stałe weszło do rodzinnego słownika. „Nie łudź się - mówił albinos do swego brata. - Nie odpadnie!”. Rzeczywiście, jego biała głowa nie odpadła i jak opowiadała Anna, albinos całkowicie podporządkował sobie Eliezera.

Po tamtej nocy, niespodziewanie - w odróżnieniu od innych - ubarwionej dialogiem, nie podejmowałem już prób dotarcia do zawłości jej umysłu. Nie potrzebowałem tego.

Kłamię! Raz taka potrzeba się pojawiła, kiedy odważyłem się poprosić ją o przysługę. Bardzo chciałem pomóc Profesorowi w jego nieszczęściu. Staruszek po prostu miejsca sobie nie mógł znaleźć w związku z „kradzieżą stulecia”. W rzeczy samej - przecież doprowadzono mu oryginalnego stradivariususa, i to w jakim eleganckim stylu! Wciąż powtarzał, że wie, kto go okradł... Może się domyślał. Ale po co w takim razie zgadzał się na pomoc Anny?

118 (Ukr.) - Daj mi tych zdechlaków, Riwo, ty ich nie dowieziesz.

119 (Ukr.) - Oto wnuczka, popatrzcie, urodziła potwora z dwiema głowami... Idę na wieś, u nas tam babka jest, znachorka, ona ma jakieś zioła i sprawi, żeby jedna głowa, ta biała, odpadła.

Część czwarta

...lustra odmawiały zwrócenia ci twarzy, czy to z zachłanności, czy z bezradności, a kiedy próbowały, twoje rysy nie były wyraźne.

Josif Brodski, *Nabrzeże*

Skręciła w ulicę Iberville i przejechała kawałek. Na światłach - w tym miejscu zawsze czekało się wyjątkowo długo - stanęła obok peugeota, pod którego tablicą rejestracyjną, jak w każdym samochodzie z Quebecu był umieszczony ponury napis: *Je me souviens* - „Pamiętam, kim jestem”¹²⁰ Bezczelnie wtoczyła się na pasy dla pieszych i obejrzała na kierowcę - że niby przepuść, przyjacielu, dobrze? Ten z niezadowoleniem skinął głową.

Oto korzyść z posiadania motocykla, w dodatku takiego szybkiego potwora, jakim jest nowy model kawasaki ZZ-R1200, ważący z ćwierć tony. Ujeżdżała go niczym konia ze dwadzieścia minut, by poczuć, że jej biodra i lędźwie niemal wyrastają z siodełka. Dobrze, że posłuchała tego chłopaka w firmie wynajmu pojazdów i wzięła właśnie ten model. Chłopak miał rację: nawet w czasie korków na drogach motor był wystarczająco mobilny i mógł wcisnąć się w każdą szczelinę. I siedziało się na nim *wygodnie*, i siodełko było w sam raz, co na długich trasach pozwalało zmieniać pozycję. A na zakrętach maszyna utrzymywała stabilność.

W jednym z typowych piętrowych domów po prawej stronie drogi zauważyła wysunięty do przodu wielki balkon na palach, gęsto zastawiony drewnianymi donicami. We wzorzystej kracie barierki piętrzyły się kędzierzawe grona małych zielonych pomidorów, wśród których dumnie siedział, mrużąc w słońcu oczy, facet w krótkich spodenkach i z wywalonym brzuchem, zielonym jak pomidor.

Lubiła Montreal - to przyjemne, jasne, kościelno-cyrkowe miasto. Jego kokieteryjnie kręcone schody biegnące na zewnątrz budynków - jakby kobieta lekko unosiła brzeg spódnicy, demonstrując linię biodra; jego balkoniki, wzorzyste kratki, jasnoszare kamienie katedr i kościołów, spiczasty bluszcz, który zawłaszczył czworokątne kolumny podobnych do zamków willi w starej angielskiej dzielnicy Westmount, lubiła bajkową, groźnie wyglądającą bryłę szpitala Royal Victoria, jasny helm kopuły oratorium Saint Joseph oraz nienarzucające się połączenie francuskiej lekkości z angielską solidnością...

Zapaliło się zielone światło. Skręciła w Drugą Aleję, przepuściła dwa żółte szkolne autobusy, w których pewnie wieziono artystów, i wjechała na duży parking przed potężnym budynkiem Cirque du Soleil, gdzie mieściły się sale prób i administracja.

Zatrzymała się niedaleko wydzielonego zadaszzonego miejsca, gdzie parkował Guy Laliberte, zdjęła kask i rękawice i schowała je do bocznego pojemnika na bagaż. A teraz

¹²⁰ Wyraz protestu przeciwko władzom kanadyjskim w prowincji Quebec, która domaga się odłączenia.

plecaczek na ramię, bandana do kieszeni kurtki i jest już gotowa do rozmów.

Przed budynkiem stał na postumencie gigantyczny metalowy but z wywalonym jęzorem i rozwiązanymi sznurowadłami. Ponoć kopia pewnego rozdeptanego buta z przeszłości, w którym chadzał sam Guy Laliberte, patron, wielki człowiek, niegdyś uliczny smok, zionący ogniem, a obecnie pełnoprawny właściciel najpotężniejszego w świecie cyrkowego imperium. W samym tylko Las Vegas na okrągło wystawiano pięć jego show w różnych hotelach i kasynach.

Na dole, w przestronnym holu pod szklaną kopułą, siedziały w recepcji: uśmiechnięta Mulatka Lucy, drobniutka Chinka Szan-Szan, o zbyt długim, jak na nią, podwójnym imieniu, i Ester - wyniosła pani w okularach.

Na widok Anny wszystkie trzy wyszczerzyły zęby w różnych odcieniach bieli.

Przez szklaną ścianę widziała tłumy ludzi w stołówce: był to gorący okres dla Du Soleil, czas *formation*, kiedy na przesłuchania, próby i podpisywanie kontraktów zjeżdżali wyselekcjonowani na castingach sportowcy i cyrkowcy z całego świata.

Wszystkie stoliki były zajęte, do kasy wiała się ogromna kolejka - artyści w strojach treningowych, ktoś z administracji, dwie tłumaczki, masażysta Ronen... Dobrze by było coś przekąsić przed spotkaniem z Philippe'em, pomyślała.

Z dyrektorem artystycznym przyszłego show - dużego projektu, w zupełnie nowym dla Du Soleil gatunku (podstawą miały być: pudełeczko, pudełko, ogromne pudło) - Anna spotykała się kilka razy do roku, ale nie były to spotkania, które by ją satysfakcjonowały. Philippe wahał się, powtarzając, że trzeba przemyśleć kwestię ubezpieczenia i asekuracji. Lustra, Anna, to taka... krucha sprawa - śmiał się z własnego żartu. Nie zgadzała się z nim, proponowała warianty zabezpieczenia w postaci bardzo cienkich siatek asekuracyjnych, których nie będzie widać z widowni, próbowała przekonywać, ale... Niestety, trzeba przyznać, że cała wymyślona przez nią oprawa - co było niewątpliwą łyżką dziegciu w ich rozmowach - kosztowała niemałe pieniądze.

Wiedziała też, że grupa twórców show brała pod uwagę kilka innych wariantów. Był to zwykły rutynowy proces, ale tym razem trwał za długo.

W takich wypadkach wołała przeczekać. W końcu zawsze nadchodził moment, kiedy barka - ciężko załadowana barka zespołowej pracy - powoli ruszała z biegiem rzeki...

Anna wzięła kawę, wafelki truskawkowe i usiadła przy wolnym stoliku w kącie, obok fikusa, który niespodziewanie stwarzał tu domowy nastrój. I od razu dosiadł się do niej - można? - młody akrobata. Woltyżer, oceniła po budowie jego ciała i muskulaturze. Jak się okazało - „Siergiej z Ukrainy”, nieznośnie gadatliwy. Dobrze, że młody: póki piła kawę,

zdążył opowiedzieć jej całe swoje życie, od czasów szkolnej drużyny piłki nożnej w Dniepropietrowsku do młodzieżowej gimnastycznej reprezentacji Ukrainy...

Geneviève mówiła, że w tym roku Cirque du Soleil zatrudnił jeszcze więcej Ruskich. Czyli i Ormian, i Azerów, i Ukraińców. Teraz stanowią chyba z siedemdziesiąt procent wszystkich występujących. Ruscy - zawsze i wszędzie - wykonywali to, czego nie chcieli robić inni.

- Pani też tu pracuje? - zapytał Sierioha.

- Czasami - odparła.

Do spotkania miała jeszcze dużo czasu, więc przeszła się znajomymi ścieżkami: z dziesięć minut posiedziała w bibliotece przy jednym z komputerów, przeglądając strony w Internecie, później zajrzała do masażystów i nawet popedałowała na rowerze... Potem odwiedziła salę prób.

Zobaczyła dwóch ćwiczących facetów: akrobatę na trapezie, Rosjanina, którego widziała po raz pierwszy, i jeszcze jednego na drążku - Jerome'a z kadry narodowej Francji. Niedawno zerwał ścięgno Achillesa i teraz powoli dochodził do formy - nogę miał jeszcze zabandażowaną. Obaj trenowali w „szewjerach”, skórzanych sznurowanych kozaczkach bez podeszwy - wynalazku Du Soleil.

Rosjaninem zajmował się trener Roman Pietrowicz, facet niemłody, ale bez grama tłuszczu, z wielkim srebrnym krzyżem na obnażonej piersi. Trzymał lonżę i cierpliwie spoglądał na gimnastyka, który huśtał się niechętnie, jakby zastanawiając się, co by tu jeszcze zrobić... Powolne długie huśtanie, skok z czubków palców... i znów długie huśtanie... Widać, że był to sam początek przygotowań, jeszcze przed częścią artystyczną i oprawą choreograficzną.

Anna usiadła na jednej z długich niskich ławek, jakie stoją we wszystkich salach sportowych.

W tym najwyższym studiu na świecie zmieściłby się cyrk wędrowny. Wysoko pod sufitem ciągnęło się urządzenie do podwieszania, a balkon na wysokości pierwszego piętra okalał całą salę.

Było tu mnóstwo sprzętów: w dalszym kącie pod ścianą połączone dwa gigantyczne batuty, grube granatowe maty na podłodze, po lewej od wejścia - wzdłuż całej ściany - dwa głębokie rowy bezpieczeństwa pełne żółtych gąbek z lateksu. Po prawej stronie zwisała koreańska ramka wyglądająca jak ogromny metalowy kieliszek, potocznie nazywany „hemorojką”. Ćwiczą w nim łapacze: dolni akrobaci, którzy łapią i przerzucają woltyżerów.

Tu wszystko było prawdziwe, wszystko poza granicami ludzkich możliwości.

Rosyjski gimnastyk latał nad podłogą powoli, jakby od niechcienia... Roman Pietrowicz obejrzał się, zobaczył Annę, skinął jej głową i za pomocą kołowrotka zaczął podciągać trapez coraz wyżej.

Musiała już iść do Philippe'a.

*

Geneviève odprawiała czary nad gipsowym popiersiem. Stała pochylona nad stołem, plecami do Anny. Wyglądała śmiesznie: nóżki cieniutkie jak u ważki, rozczulająco sterczące z krótkich spodenek, skórzany fartuch z tyłu zawiązany na kokardkę.

Anna zatrzymała się w progu pomieszczenia. Na półkach stało mnóstwo słoików różnej wielkości i kształtów, wypełnionych gipsowymi uszami. Ściana po lewej stronie drzwi była cała oklejona gipsowymi uszami. Zabawna kolekcja, dziwactwo Geneviève, która od lat zbierała odrzuty swojej twórczości - uszy z gipsowych głów, niepotrzebne ani kostiumerom, ani charakteryzatorom, ani perukarzom. Sterczące i ciasno przylegające do czaszki, małe i wielkie, z dużymi płatkami, spiczaste, zwinięte w muszelki albo w podłużne eleganckie muszle... Mnóstwo różnych uszu, gipsowych futerałów do składowania wszystkich słów świata...

Dwie przeciwległe ściany zrobione były z luster i ponad nachylonymi plecami Geneviève Anna widziała siebie w tych zdumionych bliźniaczych okiennicach, które już oślepiły od widoku nieczułych gipsowych podobizn.

Cicho zagwizdała. Geneviève obejrzała się, zapiszczała, przesunęła na czoło wielkie plastikowe okulary, podbiegła i mocno objęła ją za szyję łokciami: obie ręce miała po łokcie umazane białym gipsowym pyłem.

- Byłaś już w domu? - zapytała. - Zostawiłam ci obiad w kuchni.

- Nie zdążyłam... ulice całkiem zakorkowane... a na Dwudziestej Piątej przewrócił się tir... Kiedy kończysz?

- Za jakieś czterdzieści minut. Zaczekaj na mnie, dobrze? Howard był dziś bardzo niespokojny. Wyczuwa cię na odległość, wariat. Co prawda rano powiedziałam do niego: „Dzisiaj przyjeżdża Anna!”. Nastroszył piórka, otworzył dziób: „Anna-chłopiec. Daj, pocałuję!”.

- Mój stary kumpel...

- Zwariować można. Posłuchaj... Muszę zrobić głowy dwóm Hiszpanom. Pomożesz? Świetne chłopaki, linoskoczkowie, siłacze. Przyjechali na *formation*.

- Ależ oczywiście, nie ma sprawy...

Wszyscy nowi na kontraktach przechodzili tu procedurę dla nich tajemniczą i mało

przyjemną: modelarze robili gipsowe odlewy ich głów, tak jak się robi maskę pośmiertną. Odlewy były przechowywane w magazynach cyrku nawet po wygaśnięciu kontraktu.

Rzędy tych niemych głów z bielkami zamkniętych oczu, mocno zakneblowanymi ustami i na wylot przewierconymi dziurkami w nosie stały na długich półkach w magazynach niedaleko warsztatu Geneviève.

Anna dość często zaglądała do tego ciasnego pomieszczenia, z trudem, prawie bokiem, przeciskając się między drewnianymi stelażami.

Po gipsowej głowie można było określić charakter i narodowość artysty. Rosjanie wyróżniali się napięciem w okolicach brwi i specyficznymi zaciśniętymi szczękami.

...Artyści mieli różny stosunek do tej pracochłonnej i nienaturalnej procedury. Trafiali się i tacy, którzy znosili to ciężko: przecież dobre pół godziny musisz siedzieć nieruchomo w gipsowym pancerzu, nic nie widząc i nie mogąc nic powiedzieć, a wszystkie pory twojej twarzy są zamurowane i możesz oddychać jedynie przez dwie dziureczki, które Geneviève trzonkiem pędzla litościwie wywierciła w gipsowym nosie...

Pewnego razu Anna była świadkiem, jak włoski klaun, nie wytrzymawszy krótkiej gipsowej śmierci, zerwał się z krzesła i na oślep torując sobie drogę rękami, rycząc i kiwając gipsową głową Minotaura, zaczął niszczyć wszystko dookoła.

*

Poznała Geneviève mniej więcej osiem lat temu na jednym z tych wystawnych przyjęć, jakie czasem urządzał Guy, ze wszystkimi dwuznacznymi uciechami: na przykład wyjeżdżającym ogromnym jak szpitalny wózek stoliku z nagą dziewczyną od głowy do stóp obłożoną malutkimi porcjami sushi - proszę się częstować!

Anna przyszła na bankiet zaproszona przez George'a, znajomego z castingu - eleganckiego geja, ponoć kochanka samego ministra kultury. Widział ją w berlińskim show - „Duchy w lustrach” - tym z lustrzanymi wielokrotnymi powtórzeniami, gdzie odbita postać, uwięziona między dwoma pomysłowo ustawionymi lustrami i przekazywana kolejnej parze luster, powoli znika w dalekiej perspektywie, odchodzi, rozplywa się, chociaż sam artysta w tym czasie stoi w miejscu, machając na pożegnanie swojemu oddalającemu się kapeluszowi.

George sam ją odszukał i entuzjastycznie zaproponował, że przedstawi ją dyrektorowi spektaklu „Drallion”, o którym później było głośno - jak zresztą o wszystkim, co pokazywano w Du Soleil - ale wówczas wystawienie tego spektaklu dopiero rozważano... Był przekonany, że jej „lustrzane sztuczki” spodobają się grupie pomysłodawców.

Wtedy jednak nie udało się ich sobie przedstawić w całym tym beztróskim i nieprzyzwoitym szaleństwie, bardziej podobnym do atmosfery burdelu. Anna chciała już iść; i

słyszając, jak sam Guy wrzeszczy: „Czyżby pan zapomniał, kim był pański tatuś?!”, ruszyła na poszukiwanie wyjścia wśród rzędów kędzierzawego, przystrzyżonego japońskiego ogrodu z papierowymi domkami i szklanymi wodospadami...

Tu dogonił ją zakłopotany George, ale nie sam: była z nim jakaś zabawna malutka kobieta - miała ostry profil, dziecięcą zapadniętą pierś i cienkie nóżki wązki. Anno, powiedział zdyszany, przepraszam cię, że tak wyszło, na pewno zrealizujemy nasz plan... ale teraz wszyscy upili się jak świnię i tylko chcą się bawić... A ty, pomyślałem, przecież nie masz gdzie się zatrzymać... Otóż Geneviève proponuje ci schronienie...

Geneviève niespodziewanie mocno uściśnęła jej dłoń. Okazało się, że jest modelarzem w Cirque du Soleil i cieszy się, że się poznały, bardzo się cieszy, i jest gotowa udzielić Annie „schronienia przed tym koszmarnym światem”.

Posiedzieli jeszcze w barze, napili się cydru, który podawano tu w glinianych czarkach przypominających Annie uzbeckie piaty. George gdzieś się ulotnił. A Geneviève była bardzo ożywiona, opowiadała o swoim dzieciństwie w Bretanii, bo rozmowa jakoś zesłała na ten temat, mówiła, że cydr jest tam trunkiem tak samo popularnym jak rum czy calvados, które zostały przywiezione przez piratów...

A ta mała raczyła się dziś nie tylko cydrem, pomyślała Anna. Ciekawe, czy w Bretanii rośnie marihuana?

I na długo utknęły w tej knajpie, gdzie serwowano frutti di mare, w tym ostrygi - *huitres de Belon* - których Anna nie cierpiała. Geneviève natomiast pochłaniała jedną za drugą i wytrzeszczając oczy i przebierając rozczapierzonymi z rozkoszy palcami, namawiała Annę do jedzenia.

- Ty co, nie lubisz?! Niemożliwe! Nie wierzę!

Kiedyś poczęstuję cię, powiedziała, prawdziwą bretońską babką *Le quatre quarts* - „Cztery czwarte”: daje się do niej po równo mąki, masła, jajek i cukru. I koniecznie upiekę babkę *Le far breton*, tak jak robiła to babcia. Piekła ją w takim gorącym piekarniku, takim gorącym... że skórka na górze robiła się czarna!

Potem wsiadły do starego renault clio i pojechały do Plateau.

- To taka dzielnica - szczebiotła wstawiona ptaszyna - wesola, zamieszкана przez bohemę. Dużo tam różnych sympatycznych wyrzutków... Wynajmowałam swoje mieszkanie przez osiem lat, a niedawno właścicielka przeniosła się do lepszego świata i dzieci - też są z Bretanii - tanio mi je sprzedały. Och, zaraz zobaczysz tę norę, tylko nie padnij z wrażenia!

To, że Geneviève jest niezwykle podniecona, Anna spostrzegła jeszcze w barze, ale wokół nich panował taki zgiełk połączony z głośną muzyką i śpiewem, że jej

podekscytowanie Anna przypisała działaniu alkoholu i próbom przekrzywienia hałasu... W samochodzie nagle pojęła prawdziwą przyczynę - Geneviève usilnie próbowała ją oczarować, natchniona nieśmiałą nadzieją... I Anna poczuła, jak ścisnęło się jej serce. Postanowiła natychmiast porzucić tę sympatyczną małą i gdzie indziej wynająć pokój. Przecież w Montrealu nie ma problemu ze znalezieniem noclegu...

- Geneviève - powiedziała miękko. - Ja chyba tu wysiądę... Wybacz, chodzi o to, że ja...

- Nie przejmuj się! - rzuciła Geneviève, nie odwracając głowy. Anna widziała tylko profil ptaszka w migających odbłyśkach neonowych reklam. - Od razu zrozumiałam, że nie jesteś nasza... Strasznie żałuję, ale co robić. Po prostu... na ciebie tak się chce patrzeć... Jesteś podobna do chłopca, do *Dawida Verrocchia*... Cieszę się, że mogę cię gościć. Mam przytulną dziuplę na dachu... Nikt nie będzie ci tam przeszkadzał.

I wtedy, pierwszego dnia znajomości, przesiedziały w kuchni do rana. Garbaty żako Howard na widok gościa strasznie się podniecił i gwałtownie dziobał pręty klatki, darł się po francusku: „Dbajcie o papugę!”, po każdym słowie swojej pani czule wzdychał: „Ko-o-oszmar, ko-o-oszmar”, błyskawicznie nauczył się imienia Anny i powtarzał je na różne sposoby, a nawet nucił... Krótko mówiąc, biedak wyraźnie się zakochał...

Geneviève oznajmiła ze śmiechem:

- Oboje zakochaliśmy się w tobie od pierwszego wejrzenia...

Dopiero nad ranem, objuczona kocem i naręczem bielizny pościelowej, Anna weszła na poddasze, do pokoiku, który od razu nazwała „gniazdkiem” i który od tamtej nocy był jej domem, kiedy tylko pojawiała się w Montrealu.

...Stawili się Hiszpanie - dwóch smągłych, czarniawych, krzepkich młodzianów, żywo gestykujących. Obaj „parterowcy”, dolni akrobaci, pobieżnie oceniła Anna. Mocno zbudowani.

Jak zwykle szybko zaczęła łapać ogólny sens ich ożywionej sprzeczki, a po pięciu minutach rozumiała już dostatecznie dużo. Przyswajając obce słownictwo, korzystała z „zasady lornetki”. Wpatrywała się w ruchy warg, kierując uwagę na dobywający się z nich potok słów... i jakby ustawiając ostrość. I tak samo jak każdy przedmiot widziany przez lornetkę, ów potok słów przybierał coraz bardziej znajome zarysy, aż cały k s z t a ł t j ę z y k a stawał się wyraźny.

Wiedziała jednak, że jak tylko chłopcy stąd odejdą, zabiorą ze sobą również i tę p o s t a c i o w ą w y r a z i s t o ś ć s ł ó w. Dlatego żadna książka w języku hiszpańskim nie wzbudzi w jej lustrach choćby odrobiny zrozumienia; będzie tylko zbiorem

słów...

I kiedy Geneviève, życzliwie szczebiocząc po francusku, rozrabiała w pojemniku gipsową masę, Hiszpanie przerzucali się uwagami na temat obu kobiet. Jeden powiedział: „Staruszki niczego sobie. Nie odmówiłbyś tej rudawej, co Francisco?”. Ten zaś odparł: „Ruda nie jest już wcale taka młoda, na jaką wygląda, ale jest jeszcze całkiem, całkiem. Figurę ma świetną. Tylko wydaje się, że ta para obsługuje się sama, bez naszej pomocy...”.

- Proszę, kto pierwszy? - Geneviève wskazała wysunięty na środek pokoju obrotowy fotel przeznaczony do egzekucji.

Chłopcy wymienili spojrzenia i ten, który na imię miał Francisco, usiadł, wytrzeszczając oczy z komicznym przestrawem.

Przez chwilę, póki Anna moczyła bandaże w umywalce, a Geneviève zakładała mu na głowę gumową, ciasno przylegającą czapkę, smarowała wazeliną brwi, rzęsy, szyję i klatkę piersiową, cyrkowcy sypali żarcikami. Jeszcze nie wiedzieli, co ich czeka.

- Zaczynamy... - Geneviève skinęła głową, polewając gipsową masą kark, szyję i ramiona Hiszpana.

Potem razem z Anną sprawnie obłożyła watą jego głowę i zaczęła ją mocno bandażować.

Na smagłej twarzy siedzącego atlety jeszcze utrzymywał się uśmiech - w kąciakach dużych ust. Ale jego przyjaciel od razu spoważniał.

- Hej! - krzyknął. - A jak Francisco ma oddychać?!

- Wszystko będzie dobrze... - Anna zwróciła się do niego po hiszpańsku. - Powiedz mu, żeby się nie bał. To potrwa najwyżej pół godziny. Faceci!

- Co, boją się? - zapytała Geneviève, szybko wyjmując mokre bandaże z pojemnika. - Sami sobie są winni. Gdyby mówili po francusku czy angielsku, wszystko bym im wytłumaczyła.

Pokazała gimnastykowi trzonek pędzla i uniosła go do swego ostrego noska, dodając:

- Będzie oddychał! Nie denerwować się!

I zaczęła ostrożnie czyścić z okruszków otwory w nozdrzach Hiszpana.

Przyzwyczała się już do tej niecodziennej zdolności Anny, która rozumiała każdy język, z jakim się zetknęła. Chociaż pierwsza rozmowa na temat jej d z i w a c t w nie była przyjemna.

- Wiesz, co mówi ta suczka Tina, dekorator z działu artystycznego? - powiedziała Geneviève, uśmiechając się.

Było to może pięć dni po tym, jak Anna zamieszkała w jej „gniazdku”. Przerobiły już

mnóstwo tematów, podyskutowały o Bretanii, Rosji, tajemniczym wielkim mieście Kijowie, różnicy między lekkimi a ciężkimi motocyklami... Geneviève zdążyła pozalić się Annie na swoją pierwszą miłość - artystkę, która przyjechała do ich miasteczka z Lyonu i z którą nakrył ją jej starszy brat, po czym stosunki z rodziną zostały na zawsze zerwane; pozaliła się również na drugą miłość - studentkę sławistyki, długonogą kapryśną Włoszkę. Jednym słowem, kiedy Geneviève już się wydawało, że zna Annę od lat...

- ...No więc ta suczka Tina mówi mi dzisiaj: „Wpuściłaś do siebie tę kobietę? Przecież to wiedźma!”.

Siedziały w „salonie”.

Mieszkanie Geneviève tak naprawdę było wykrojone z resztek po dwóch innych, porządnym i wygodnym mieszkaniach, które mieściły się po prawej i po lewej stronie, i składało się z dwóch klitek połączonych korytarzem oraz z trójkątnej, potwornie niewygodnej kuchni i toalety z prysznicem, gdzie dało się wykąpać, tylko stojąc na baczność.

Ale jedna z tych klitek - jakieś dwanaście metrów kwadratowych - była czarująca: z półokrągłą ścianą, z której wystawał, niczym dodatkowa kieszeń, oszklony balkon w kształcie eklera, cały zastawiony doniczkami z geranium. I widok z okna był przepiękny, absolutnie dickensowski - na róg cichej uliczki ze starym domem z siwego kamienia, obrośniętym gęstym ciemnozielonym bluszczem.

Anna obracała w dłoniach zepsutą kobzę. Próbowwała w nią dmuchać jak w swoją harmonijkę ustną, ale stary bukłak tylko wzdychał z zadyszką, bez powodzenia usiłując wzniecić w sobie zgasły płomień. Rozsądniej by było wyrzucić ją do śmieci, ale Geneviève uważała kobzę za najlepszy instrument na świecie, ponieważ grano na niej w Bretanii.

- Odpowiedziałam jej: „Co za bzdury wygadujesz?!”. - Kiedy zaczynała opisywać jakąś scenę czy rozmowę, za każdym razem przeżywała je na nowo i odgrywała całe zajście, po kolei przeistaczając się w postaci biorące w nim udział. I teraz jej policzki płonęły z oburzenia. - „Co złego zrobiła ci Anna?”, pytam. „Nic”, mówi i tak paskudnie się uśmiecha: „Po prostu jest wiedźmą!”.

Anna odłożyła kobzę i powiedziała:

- Jeśli rzeczywiście chcesz naprawić ten instrument, to zawiozę go do Sieni, a on już znajdzie fachowca.

I uniosła wzrok na Geneviève, która okrakiem siedziała na krześle, już gotowa porządnie obgadać „suczkę Tinę”; pewnie oczekiwała, że Anna jej w tym pomoże.

Ale Anna milczała.

- O co chodzi?! Pokłóciłyście się?

- Nie znam jej. Ze trzy razy widziałam ją na korytarzu.

- To po kiego diabła...?! Dlaczego?!

Anna uśmiechnęła się z rezygnacją, rozłożyła ręce i miękko odparła:

- Ponieważ jestem wiedźmą.

Howard dziobnął pręty klatki i westchnął:

- Ko-o-oszmar...

Geneviève zaczęła się głośno śmiać, ale nagle urwała i przez chwilę patrzyła na Annę.

- Co to ma znaczyć? - wymamrotała. - Potrafisz czary odprawiać?

- Nie... - Anna wzruszyła ramionami.

- Leczyć?

- Nie wiem... Nie próbowałam...

- To co w takim razie potrafisz? - Geneviève spojrzała na nią ze zdumieniem, ale i z obawą.

- Jak by ci to wyjaśnić... - niechętnie powiedziała Anna, patrząc przez okno: właściciel idyllicznego domu z naprzeciwka, przechyliwszy się przez szeroki parapet, próbował przyciąć ogrodowymi nożycami pędy bluszczu, które nachalnie wylażyły z gęstego dywanu zieleni... - Po prostu... coś tam widzę.

- Co?! - Geneviève skrzywiła się. - W jakim sensie... widzisz?

- No... czasami widzę taki film. Mogę przesunąć go do przodu, mogę do tyłu...

- Bujasz - po dziecinnemu rzuciła Geneviève. - Jaja sobie robisz! A mnie, moją rodzinę... możesz zobaczyć?

Anna westchnęła, posmutniała... Zawsze to samo. I ta sympatyczna mała Geneviève - przecież w niczym nie zawiniła. Jest taka spięta! Nie czuje się komfortowo, biedulka.

- Mogę. Twoja babcia mocno kulała, tak? Brat, starszy... przeklął cię, a sam przez wiele lat kochał cudzą żonę... Miałś ulubioną sukienkę, flanelową, ciemnogrnatową w drobne białe groszki. Z białym kołnierzykiem... Mając dziesięć lat, ukradłaś z portmonetki babci dziesięć franków, żeby kupić bilet na przedstawienie wędrownego cyrku, i do dziś nie daje ci to spokoju. - Zatrzymaj się, pomyślała ze smutkiem, a mimo to dokończyła: - Czasami... widzę twoje myśli. Ale tylko dlatego, że myślisz wyraźnie, konkretnie. Prawie jakbyś wypowiadała je na głos: pełnymi zdaniem.

Geneviève poderwała się z krzesła, oszołomiona. Z zakłopotaniem rozkładała ręce, jakby chciała je złączyć, ale nie mogła. A potem zaczęła się miotać.

- Nie! - odezwała się wreszcie. - Myśli?! No nie! Jakim cudem? Wygląda na to, że każdy jest dla ciebie... jakby goły?! Nawet gorzej! Czym jest nasze ciało w porównaniu z

naszymi myślami?! - Zatrzymała się przed Anną i nieufnie, sztucznie się uśmiechnęła. - Na pewno żartujesz! No... o czym, powiedz... o czym teraz myślę?

No i doigrałaś się, powiedziała sobie Anna. A na głos spokojnie odrzekła:

- Myślisz, że wkopałaś się w niezłą historię i... jak by teraz grzecznie mnie stąd wyprosić i... całe mnóstwo przekleństw.

Geneviève cofnęła się, jakby uderzona, oblała się rumieńcem i zakryła dłońmi twarz.

- Wybacz... - wymamrotała głucho.

...Kiedy spakowana Anna schodziła ze swego „gniazdka”, Geneviève gwałtownie otworzyła drzwi mieszkania i stając jej na drodze, zawołała:

- Nigdzie nie pójdziesz! Nie puszczę! A żeby ich wszystkich szlag trafił, załganych drani! Oto co myślę!

...Hiszpan z gipsową antyczną głową nienaturalnie znieruchomiał w fotelu. Po dwóch minutach jego muskularnymi ramionami, piersią i brzuchem wstrząsnęły dreszcze. Uwięziony Francisco przez kilka chwil mocno ścisnął oparcia starego skórzanego fotela, potem gwałtownie rozczapierzył palce i wyciągnął je do przodu, jakby próbując wymacać coś żywego w całkowitych ciemnościach, w których został uwięziony...

Jego przerażony przyjaciel w milczeniu spoglądał na kumpla, który z człowieka błyskawicznie przeistoczył się w potwora z gipsową głową. Tak... procedura, szczerze powiedziawszy, dość niezwykła i bezlitosna, pomyślała Anna. Jakby zamuroywali cię w ścianie, zaczynając od głowy. I mało człowieka wtedy obchodzi, gdzie sterczy jego tyłek i co robi... No cóż, dla firmy to rzeczywiście duża wygoda: odtąd, obojętnie w jak daleko położonej filii cyrku znajdowałby się artysta, graficy, krawcy, kostiumerzy, perukarze zawsze będą mieli pod ręką jego dokładne wymiary.

Zakuty w gips Hiszpan nagle panicznie zaryczał - i taka męka rozbrzmiała w tym głuchym, nosowo-gardłowym wrzasku! Anna ścisnęła silną dłoń hiszpańskiego linoskoczka, tak przypominającą jej rękę Wołod'ki... I ten, jak dziecko, z wdzięcznością kurczowo jej się uchwycił i nie puszczał już do samego końca, kiedy Geneviève wreszcie rozdzieliła stwardniałą formę na dwie części i zmyła z jego bladej twarzy, szyi i potężnych ramion brud, wazelinę i gipsowe okruszki...

...W nocy śniły jej się nieskończone rzędy gipsowych głów odbijających się w lustrach i stamtąd do niej kiwające. Próbowwały flirtować, szarmancko zagadywać w obcych językach - w odróżnieniu od tych na półkach, nieruchomo i z wyrzutem zastygłych w otepiałym milczeniu. Tak ma być, myślała we śnie, w Królestwie Luster wszystkie przedmioty ożywają.

I znów pędziła na motocyklu z maksymalną szybkością, odrywała się i leciała do góry,

do góry, póki nie przerywała cienkiej lustrzanej warstwy nieba, mieniającej się barwami tęczy jak benzyna na wiosennej kałuży.

A kiedy się obudziła - o szóstej rano - znów pomyślała o Maszucie.

W ostatnich latach myślała o niej coraz częściej. Dziwne, ale o wiele częściej myślała o niej niż o ojcu, którego wciąż kochała gorąco i z oddaniem, jak w dzieciństwie, i którego pochowała jak należy i opłakała jak trzeba, chociaż oszalała Christina nie chciała wpuścić jej do domu. *Ne pidpustyt' do Domowiny!*

I rzeczywiście, kiedy Anna, przyleciawszy porannym samolotem, zadzwoniła do drzwi, Christina (już ubrana, a może w ogóle nie kładła się spać) na widok swojej przemarzniętej wychowanki rozdarła się nie jak zwykle w „surżyku”, tylko po ukraińsku:

- *Dywit'sia, ludy dobri! Podywit'sia na ciu kurwu z cyrku!*¹²¹

W mieszkaniu nikogo prócz nich obu nie było, nie licząc ojca, który w salonie leżał w trumnie, z jakimś nieprzystępnym, niepodobnym do niego wyrazem twarzy.

- *Suka, suka treklata! Ridnu maty chowati nie pryichała, a za spadszczynoju zjawylasia!*¹²²

Anna podeszła do niej, w milczeniu objęła ją za szyję i przyciągnęła do siebie.

- Starczy już... - powiedziała z udręką w głosie. - Zamknij się. I czego to nagle przeszłaś na *ridnu mowu*¹²³?

Christina posłusznie przerwała teatralny wrzask i uwiesiła się na Annie całym, niemal wazącym ciałem.

- A żeby cię, Niuta! - zawyła przeraźliwie. - Żeby cię...!

- Tak już lepiej - wymamrotała Anna.

I mimochodem pomyślała, że jeszcze przyjdzie jej słono zapłacić za to, co zrobiła tam, w ambasadzie Ukrainy. Przypomniały jej się rozszerzone źrenice urzędniczki z działu wiz - jak ją nazywali? konsulem? - i jej własna, zimna, niepohamowana wściekłość, bo właśnie umierał ojciec... „Dobrze... Proszę odebrać paszport jutro o dziewiątej”. „Nie... - powiedziała bezbarwnym głosem, utrzymując tamtą kobietę m i ę d z y l u s t r a m i. - Zrobi to pani natychmiast... w trybie pilnym... Niech pani wyciągnie pieczętkę... Jest w drugiej szufladzie biurka...”.

Po raz pierwszy pomyślała o tym, że Christina kochała ojca. Nieprzypadkowo po śmierci Maszuty przeniosła się do jego mieszkania i do samego końca obsługiwała go z prawdziwie wiejską gorliwością, którą w sobie pielęgnowała i potrafiła zachować w tym

121 (Ukr.) - Patrzcie, dobrzy ludzie! Popatrzcie na tę kurwę z cyrku!

122 (Ukr.) - Suka, suka przeklęta! Na pogrzeb własnej matki nie przyjechała, a po spadek się zjawiała!

123 (Ukr.) - Ojczysty język.

wielkim zwariowanym mieście.

Następnego dnia po pogrzebie, starannym o d w r ó c o n y m pismem, tak pasującym do okoliczności, Anna spisała testament na rzecz Christiny, na kartce liniowanego papieru z niewyczerpalnego zapasu ojca na jego biurku. Dla pewności sporządziła też akt darowizny. Na idiotyczne załatwianie formalności u notariusza zmarnowała cały tydzień.

Christina jakoś tak od razu zamieniła się w staruchę. Głupią samotną staruchę, niewychodzącą z domu, z opuchniętą od płaczu czerwoną twarzą.

I co chwila, jak w dzieciństwie, wołała na całe mieszkanie:

- Niu-u-u-ta-a-a!

Anna stawała w drzwiach, cicho pytając:

- No, czego wrzeszczysz?

- *A wot uidesz' i nikogo ne budie, szob pozwaty*¹²⁴. o ojcu potrafiła opowiadać bez ustanku - co jadł, co pił, kto go odwiedzał w czasie choroby, jak dobrze był traktowany w szpitalu i jak pięknie został pochowany, nieprawdaż, Niutoczko?! A ile kwiatów, a jakie piękne słowa padły na pogrzebie! - widocznie te wiele razy powtarzane zaklęcia były jej potrzebne i działały na nią kojąco.

Anna zaś marzyła już tylko o tym, by jak najszybciej wyrwać się z tego toksycznego, przesiąkniętego szaleństwem i nieszczęściem, swojego - chociaż od dawna nienależącego do niej - domu.

- *A płakaw-to pered smertiu jak!*¹²⁵ - ciągnęła śpiewnie Christina, kiwając się na kanapie. Z „surżyka” przechodziła teraz na ukraiński i znów na „surżyk”. - *Bidnyj, jak płakaw!*¹²⁶

- Po Maszucie? - posępnie spytała Anna.

- Nie. - Christina ze zdziwieniem uniosła jasne brwi. - Po tobie... Takie łzy mu leciały... I cały czas powtarzał: „Christino, ileż jej było dane! Ile dane...!”. Ja po prostu cała zdrętwiałam! *Ta szo i eto, myślę, płacze, jak za pokojnycej...*¹²⁷ i nagle opamiętała się, przypomniawszy sobie, że została właścicielką takiego ogromnego bogactwa.

- *Dzerkało* z komórki wyjmę - powtarzała, żeby trochę się uspokoić. - *Odne dzerkało*¹²⁸ teraz ile kosztuje! Całe kurzem pozarastało.

- Później - poprosiła Anna. - Później, po moim wyjeździe.

...Ubrała się, siadła przy rozkładanym stoliku i dwie godziny pracowała na laptopie

124 (Ukr.) - Wyjedziesz i nie będzie nikogo, żeby go zawołać.

125 (Ukr.) - A jak płakał przed śmiercią!

126 (Ukr.) - Biedny, jak płakał

127 (Ukr.) - Czemu on tak... myślę, płacze jak po zmarłej...

128 (Ukr.) - Samo lustro.

Geneviève; zawsze brała go do siebie na dach, kiedy tu mieszkała w czasie swoich przyjazdów.

Na ekranie pojawiły się zdjęcia z Cirque du Soleil.

Fotografia była namiętnością Geneviève, z której nie czerpała korzyści. Ten świat, niezbyt dla niej życzliwy w realu, zmieniał się nie do poznania w obiektywie kamery wideo. Stawał się znaczący, wzruszający, wspaniały i do bólu przemijający. Szczególnie udane zdjęcia były później wykorzystywane przez Cirque du Soleil w broszurkach, albumach... I wisiały w gabinetach kierownictwa.

Granatowo-żółte pasy na kopule wędrownego cyrku są mocno skręcone w spirale niczym piasek na pustyni niesiony przez wiatr. Białe reflektory na wieżach, powiewające na wietrze chorągwie. Nawet wydaje się, że słychać cichą muzykę.

A to zdjęcie *house group* z „Allegrii”: cyrkowcy tłumnie zebrali się po przedstawieniu, jeszcze ucharakteryzowani, podnieceni, w kostiumach - ich sztucznie powiększone klatki piersiowe jakby wciąż unosiły się w przyspieszonym oddechu.

W świetle reflektorów widoczne są najdrobniejsze detale wyszukanego makijażu: kropeczki z kolorowego szkieleka oraz złotego i srebrnego brokatu. Maski monstrów i karłów wyglądają i strasznie, i śmiesznie: speszone, złowieszcze, smutne, groteskowe zjawy z bajek, powołane do życia mistrzowską ręką plastyków.

Niesamowite, wprost bajeczne kostiumy; każdy z nich to dzieło sztuki, przemyślane do najmniejszej kropki umieszczonej między brwiami. Każdy mieni się niczym weneckie szkło wszystkimi kolorami tęczy. Każdy detal kostiumu - spodnie z łosiowej skóry, kozaczki z zadartymi noskami, olśniewające sprzączki, zapięcia, guziki, epolety - jest niepowtarzalny i kosztuje masę pieniędzy. Tu pióropusz, tam wysoki jak rura cylinder. Ktoś ma na sobie stojącą dęba perukę, niby z nocnego koszmaru. I cała ta niewielka grupa artystów wygląda, jakby wychynęła z dziwaczego, śmiesznego i zarazem strasznego snu...

A oto na pierwszym planie smętny klaun, słynny Lonia Katkow. Białe wargi, wielkie jak racuchy, czerwona piłeczka na nosie, czarna łza ściekająca pod lewym okiem, a nad nim wysoko uniesiona brew niczym smętnie opadający spadochron...

Dziewczyna-wąż. Jest z Chin i nie ma sobie równych. Ogniste pawie oczka i zielonkawe łuski żmii na całym ciele. Ani jednej zmarszczki, kostium wygląda jak mocno naciągnięta skóra. Zdjęcie zrobiono w momencie, kiedy usiadła sobie na karku. Tajemniczo-beznamiętna twarz, podbródek oparty o podłogę, sztywne nogi wyprostowane nad głową.

Tu też ona: ciało zwinięte w kłębek, płatanina kończyn... Noga niczym chomąto zarzucona na szyję.

A to coś nowego: srebrzysto-biała akrobatka na batucie. Uchwycona przez polującego obiektyw w czasie robienia salta: ręce rozłożone, twarz niewyraźna, widać tylko ogromne oko i ze zdziwieniem uniesioną brew...

...Kiedy zeszła do kuchni, Geneviève już stała nad patelnią, przewracając nożem swoje firmowe *galettes bretones* - placuszki z mąki gryczanej z jajkiem.

Christina przez całe życie robiła takie same na śniadanie i nawet nie podejrzewała, że jest to jedno z podstawowych dań bretońskiej kuchni. Geneviève we wszystkim pozostała Bretonką. I katoliczką. Nad jej sofą wisiał krzyż i każdego ranka, ledwie zdążyła otworzyć oczy, odmawiała modlitwę żarliwym szeptem, a dopiero potem nalewała sobie pierwszy orzeźwiający kieliszek whisky czy koniaku.

Co roku w sierpniu wyjeżdżała do Bretanii, przez całe dni wałęsała się tam z aparatem fotograficznym i - polując na widoki - najmowała się do prac sezonowych, udając studentkę, i fotografowała jak opętana. Za każdym razem przywoziła komplet nowych zdjęć, całkowicie zmieniając ekspozycję na ścianach.

Te, które wisiały teraz, Anna знаła na pamięć. Oto trzech rybaków w zaskakująco różowych koszulach na tle nie mniej różowych fal. Wyciągają sieci: ich wspólny wysiłek współgra z miarowym kołysaniem się wody. Przypomina to nowoczesny balet - niewidoczny reflektor wschodzącego słońca jakby oświetlał scenę...

A oto kolejne zdjęcie. Brzegiem morza drepczą o zmroku dwie kobiety w czarnych sukienkach i w bardzo dziwnych nakryciach głowy - białych i wysokich jak kołpaki kucharzy. Na drugim planie, powtarzając ich chód, na szczycie wzniesienia oddalają się i nikną w drobnym jesiennym deszczu rzędy zgarbionych menhirów - nieociosanych grubych kolumn. Gdzieś daleko wznosi się latarnia na granitowej skale. I nawet czuć zapach jodu płynący od zmrożonych wodorostów, które na brzegu pozostawił przyływ.

W „salonie” wisiało też kilka zdjęć bardzo niespokojnego, wzburzonego morza. Tylko skłębiona woda ze strzępami piany na rozdętych, jak napięte mięśnie, wezbranych falach...

Milczący Howard dumnie przechadzał się na czubku swojej klatki: o poranku zwykle był małomówny. Ale na widok Anny ożywił się, natychmiast przeleciał na jej ramię, uszczypnął w płatek ucha i kłótliwym głosem intymnie się upewnił:

- Anna-chłopiec? Daj, pocałuję...

- No pocałuj - zgodziła się Anna, drapiąc go w garbik.

W odtwarzaczu wideo tkwiła kasetka ze spektaklu „Allegría” - widocznie Geneviève nie potrafiła przeżyć ani chwili bez ukochanego cyrku. Na ekranie Biała Śpiewaczka, jeden z symboli imperium Cirque du Soleil (pamiątkową lalkę o jej rysach i w białej sukni

sprzedawano w tutejszym sklepiku razem z firmowymi podkoszulkami, filizankami i innymi gadżetami), ciągnęła melodię głębokim wibrującym głosem, imitującym dźwięki kobzy.

- Wiesz, że to był mój pomysł? - Geneviève wskazała na ekran.

- Kobza, ponure głuche zawodzenie kobzy, oto co powinno towarzyszyć niezwykłym obrazom widowiska. A nasze spektakle zawsze są potwornie niespokojne... Muzyka, oświadczyłam, powinna być celtycka, erotyczna, oryginalna.

- Masz w komputerze nowe zdjęcia - powiedziała Anna. - Niektórych cyrkowców znam.

- A tak! Jest dwóch nowych Chińczyków. Widziałas ich przedstawienie? To prawdziwi mistrzowie! Mają niesamowite tempo. Jest jeszcze ktoś... - Zrobiła króciutką przerwę, a potem wypaliła jednym tchem: - Fenomenalna rosyjska gimnastyczka... Taka delikatna... Wiesz, akrobaci zwykle są nieokrzesani, ale ta... Ma na imię Jelena... Je-le-na... dobrze to wymawiam po rosyjsku...? Prawda, że to brzmi lepiej niż Hélène? Jest w tym jakaś nieskończoność, nieograniczona spółgłoskami...

No proszę! Wygląda na jej nową sympatię, pomyślała Anna, zerkając z ukosa na ostry profil Geneviève.

...Dziewczynka z cienkimi rękami i sterczącymi kolanami, uczennica wiejskiej szkoły katolickiej. Jej długa szyjka wystaje z czarnej wełnianej sukienki. Siedzi na przedstawieniu wędrownego cyrku - oszołomiona, wstrząśnięta! Chude dłonie o czerwonej popękanej skórze nieustannie poprawiają brzeg sukienki na kolanach. Błyszczące czarne oczy wpatrują się w akrobatkę w niemodnym różowym trykocie - gwiazdę owej żalostnej, nikomu nieznannej grupy, która odważyła się zajrzeć do ich głuszy na wybrzeżu... Nazwa cyrku?

Podobna do włoskiej, prawie nieczytelna na mokrym od deszczu namiocie wędrownego cyrku.

- Pojutrze wyjeżdżam - powiedziała Anna, dojadając placuszek.

Zobaczyła na ekranie dwóch identycznych, tak samo ucharakteryzowanych Mongołów, dużego i małego, z czerwonymi jabłuszkami rumieńców na wybielonych twarzach, którzy w zawrotnym tempie synchronicznie wykonywali swoje sztuczki jedną po drugiej. Pałace się pochodnie migotały, wlatywały do góry i kreśliły w powietrzu fantastyczne wzory; ogniste ogony zawijały się w monogramy i esy-floresy... Brawo! Doprawdy mistrzowski pokaz.

- Już pojutrze? - zdziwiła się Geneviève.

I Anna zrozumiała, że tak, stało się, jej przyjaciółka rzeczywiście poważnie się zadurzyła. W przeciwnym razie nie przyjęłaby z takim spokojem wiadomości o jej bliskim

wyjeździe.

- Muszę jechać do Bostonu, do Sieni. Wydarzyło się tam coś bardzo nieprzyjemnego: skradziono cenne skrzypce jego staremu przyjacielowi.

- O Jezu - westchnęła Geneviève. - Wszędzie jakieś problemy.

No właśnie, pomyślała Anna.

- Spotkasz się jeszcze z Philippe'em?

- Nie teraz... Szczerze mówiąc, jestem zdenerwowana po wczorajszym spotkaniu. Philippe to człowiek inteligentny, przewidujący, ale całkowicie pozbawiony zasad. No i ma w tym jakiś interes. Przepycha swojego człowieka i liczy, że Guy da się do tego przekonać. Jednym słowem... na razie trzeba sobie odpuścić. Niech sytuacja dojrzeje. Wolę włączyć się w sprawę w momencie, kiedy już nie mogą się beze mnie obejść. Nalej mi jeszcze kawy. Dziękuję!

I odrobinę mleka poproszę... Wymyśliłam pewną sztuczkę z oświetleniem... Można osiągnąć niesamowity efekt. Tego jeszcze nie było: obracające się graniastosłupy, świetlne skaner i cztery lustra, z których jedno będzie umieszczone za przezroczystą zasłoną...

...Tak naprawdę była niezadowolona z siebie i z tego, że wczoraj z takim zapałem opisywała Philippe'owi zalety swojego pomysłu: gigantyczne lustrzane pudło na kółkach, z odrzucanymi ściankami. Błyskawicznie się przemieszcza, rozkłada się i składa - mnóstwo możliwości do zupełnie paradoksalnych scen! Po co było wszystko ujawniać temu nieszczeremu człowiekowi... Niepotrzebnie się przed nim otwierać...

Philippe, mówiła, ja rzeczywiście jestem bardzo zainteresowana współpracą z wami. Z takim rozmachem jeszcze nie pracowałam. Pomyśl tylko, co będzie się działo na scenie i sali, kiedy wasza *house group* - tak naprawdę kilka osób - odbije się w moich lustrach! I zwielokrotnimy tylne rzędy... Niezliczona ilość bajkowych stworów! Wyobraź sobie, jak napierają ze wszystkich stron; gdziekolwiek spojrzysz - wszędzie ich pełno! Nawet na suficie! Mieszkańcy planety snów! Gigantyczny miraż! Inny lustrzany wszechświat!

Philippe siedział z nogą założoną na nogę i delikatnie poruszał czubkiem mokasy. Uśmiechał się i kiwał głową, dwoma palcami łagodnie głaszcząc swoją kasztanową, lekko siwiejącą brodę.

...Z domu wyszły razem. Niezadowolonego Howarda zamknęły w klatce i kiedy już schodziły, niósł się za nimi jego oburzony głos:

- Dbajcie o papugę-ę-ę!

*

Przed wyjazdem, jak zwykle, zaprosiła Geneviève na obiad do jednego z barów na

ulicy Sainte Catherine, gdzie zbierali się geje.

Wieczorami grała tam elektroniczna muzyka w stylu rave, przy której tańczyli przystojni młodzi mężczyźni, powoli się rozbierając: zdejmowali koszule i podkoszulki, demonstrując piękne ciała.

Geneviève z jakichś powodów nie lubiła tych głośnych męskich imprez. Anna zaś, zmęczona cyrkową hałaśliwą muzyką, od dawna nie znosiła wysokich tonów... oprócz wrzasków Howarda.

Ale w ciągu dnia można tu było zjeść obiad, i to dość smaczny.

- Nie będziesz miała nic przeciwko temu, żeby dołączyła do nas Jelena? - z samego rana zapytała Geneviève.

Anna uśmiechnęła się i powiedziała:

- Oczywiście, że nie.

- A ja - podchwyciła zadowolona mała - będę siedzieć i słuchać, jak rozmawiacie po rosyjsku!

Jelena była dość powściągliwą blondynką z wysoko uniesionymi brwiami, które nadawały jej twarzy wyraz nieco zdziwiony, z lekka pogardliwy. Jakby chwilę wcześniej dowiedziała się o czymś dla rozmówcy nieprzyjemnym... To właśnie brwi decydują o ogólnym wyrazie twarzy, pomyślała Anna. No cóż, jeśli Geneviève jest w niej zakochana, jeśli tamta potrafi obdarzyć ją odrobiną uczucia... W rzeczy samej: pora już, żeby ktoś prócz Howarda dotrzymał tej małej towarzystwa.

Niechętnie porozmawiały po rosyjsku - pod słodkim spojrzeniem Geneviève - wymieniając się uwagami na temat tutejszych cyrkowych zwyczajów i próbując wybadać, czy mają wspólnych znajomych. Próba okazała się bezskuteczna, ponieważ Jelena trafiła do Cirque du Soleil ze sportu, a nie z cyrku. Potem przeszły na taki sam sztuczny angielski, który nowa miłość Geneviève znała na poziomie programu szkolnego. Ciekawe, jak one się porozumiewają w takim ubogim języku? A zresztą, język nie ma tu żadnego znaczenia...

Po jakichś czterdziestu minutach - właśnie podano rybę - Jelena poszła do toalety, a Geneviève nachyliła się w stronę Anny i dotykając jej łokcia, zapytała z przejęciem:

- Spodobała ci się? Prawda, że jest elegancka?

- Bardzo - potwierdziła Anna, przypomniawszy sobie, jak wulgarnie określano podobne cipy w środowisku cyrkowców.

- Wydaje mi się, że ona... jest o ciebie trochę zazdrosna! - zachichotała Geneviève.

Anna poczuła znudzenie, co ostatnio zdarzało się dość często. Niespodziewanie ogarniała ją beznadziejna, nie fizyczna, tylko wewnętrzna śmiertelna słabość. W myślach

nazywała to nudą - „...nagle zawładnie mną, aniele mój, Niuto, gryząca suka-nuda...” - chociaż dawno już trzeba było nazwać to jakoś inaczej...

Coraz częściej czuła nieodpartą chęć, by znaleźć się gdzie indziej. Gdzie? Nieważne. Jak najszybciej wsiąść na motocykl i odjechać... Mknąć... aż zdrętwieją zmęczone mięśnie, jak to bywało w młodości, i zaczną wołać o wypoczynek...

I tym razem miała ochotę wstać, wyjść na świeże powietrze, osiodłać swego rumaka... Nawet już wymacała w kieszeni bandanę.

Nie, trzeba skończyć obiad, zapłacić i jak należy pożegnać się z Geneviève.

Rozejrzała się po barze, pustym o tej porze dnia, obojętnym wzrokiem prześlizgnęła się po przeciwległej ścianie, gdzie pomiędzy dwoma zupełnie szalonymi, czerwono-granatowymi plakatami z półnagimi chłopakami wisiało stare lustro w białawych plamach. Odbijały się w nim drzwi damskiej toalety. Właśnie się uchylily...

...i w ich prześwicie, który wyglądał niczym usta wykrzywione w potwornym bólu, ujrzała Jelenę huśtającą się w pętli lonży zaciśniętej na jej szyi. Patrzyła na nią szklanymi, nabiegłymi krwią oczami w zdziwionej martwej twarzy...

Anna zakrztusiła się, zakaszła... i z jękiem opadła na oparcie krzesła.

- Co ci jest?! - wystraszyła się Geneviève. - Anno?!

- Nic... - wymamrotała, ledwo ruszając językiem i zasłaniając twarz dłońmi. - Rozsadza mi głowę... to chyba migrena... może pogoda się zmienia...

Do stolika zbliżała się Jelena, cienkie usta miała świeżo pociągnięte szminką.

Po chwili przeprosiła i pożegnała się, mimo wyraźnego zmartwienia Geneviève.

Świdrujący ból, który przeszył głowę Anny w momencie, gdy ujrzała w uchylonych drzwiach toalety tamtą scenę, pulsował w oczodołach i wyglądało na to, że szybko nie minie.

Poprosiła kelnera o rachunek i przez chwilę się wahała...

Za oknem, na parkingu, stał jej motocykl. Muszę się pożegnać, ucałować Geneviève i wyjść, powiedziała do siebie... I zapomnieć o wszystkim...

Nie, nie wciągniesz mnie w to...! Psiakrew!!! Nie będziesz się mną bawić...!

Wstań, nakazała sobie, i wyjdź... Jesteś przechodniem, który przypadkowo podpatrzył nieprzeznaczoną dla niego intymną scenę...

- Geneviève... - powiedziała z trudem, nie ruszając się z miejsca.

- Posłuchaj mnie... Posłuchaj mnie, na Boga, i o nic nie pytaj. Tylko mi uwierz, nic więcej. Nie warto za bardzo przywiązywać się do tej dziewczyny.

I podniosła na nią zaczerwienione oczy z popękkanymi żyłkami.

Geneviève ze zdumieniem popatrzyła na Annę.

- Czemu tak mówisz?! - wymamrotała urażona. - To dziwne, no i... obraziłaś mnie!

Anna zrozumiała, że nigdy nie będzie mogła jej tego powiedzieć. Nigdy!

- Błagam... Błagam cię! - powtórzyła, ściskając dłonie koleżanki. - N i e przywiązuje się do niej!

- Ale dlaczego?! - zawołała Geneviève z obrażoną miną, wrywając ręce. Twarz jej pobladła, wargi drżały, jakby macała i próbowała powstrzymać słowa, które gotowe były bezpowrotnie wyrwać się z ust.

Anna milczała, nie unosząc wzroku. Ból wwierał się w l u s t r a, niczym niezwykle cienkie narzędzia inkwizytora...

Geneviève tymczasem, głośno wzdychając i gwałtownie gestykulując, mówiła:

- Ty...! Przez wiele lat byłaś dla mnie... Ale jestem tylko człowiekiem, rozumiesz, tylko człowiekiem, może żalonym, a nawet wykolejonym, jak mówią moi bracia... ale ja też potrzebuję odrobiny ciepła! - Wymachiwała rękami, jakby próbując zatrzymać potok słów, ale jej dłonie bezradnie opadały na blat stołu, by po chwili znów unieść się do twarzy. Duże utalentowane dłonie, które w jej przypadku były ważniejsze od małej twarzyczki z ostrym profilem śmiesznego ptaka. - Jestem tylko człowiekiem! A ty nic nie potrafiłaś mi... to znaczy, wybacz, nie chciałam, jesteśmy koleżankami, tak... ale ty też powinnaś mnie zrozumieć... To bardzo egoistyczne z twojej strony, jeśli ty...! Może boisz się o mieszkanie...? Nie martw się, zostawię ci twój pokój...

Przyniesiono rachunek. Anna wsunęła banknoty między twarde skórzane okładki, a na wierzch wysypała drobne na napiwek. Wstała, zdjęła z oparcia krzesła skórzaną ramoneskę, włożyła ją, zawiązała na szyi bandanę...

Geneviève siedziała przy stole z nieszczęśliwą miną, przeklinając siebie za to, że za wiele powiedziała.

Anna pochyliła się i kładąc obie ręce na jej szczupłych ramionach, pocałowała w zwichrzony jak u papugi czubek głowy:

- No tak, pokój... - rzuciła. - Pokój to duża wygoda.

Wyszła na parking i przez dwie minuty z przyzwyczajenia sprawdzała motor. Potem wsiadła, włożyła kask, upewniła się, czy wszystko w porządku - palce same przebiegły po wszystkich zapięciach.

Ból falował w oczodołach i czole, pulsował w skroniach niczym nieskończony przypływ...

Nawet przez okno widziała, jak przygnębiona jest Geneviève.

Jej samotna, lekko przygarbiona sylwetka pozostała nieruchoma, a później - kiedy

Anna podniosła podpórkę i ruszyła z miejsca - odplynęła w bok i do tyłu wraz z barem, stacją benzynową, beztruską dzielnicą Plateau oraz całym Montrealem z jego cyrkami i kościołami...

*

- Nie, kochanie, ja poprowadzę... Tu są zwariowane i źle oznakowane rozjazdy. A ty masz zwyczaj pędzić na złamanie karku. Wiesz, jest bardzo dobry przewodnik po tym mieście, podzielony na rozdziały: *Jak robić zakupy w Bostonie*, *Jak wybierać restauracje w Bostonie...* A rozdział *Jak prowadzić samochód w Bostonie* zawiera tylko jedno zdanie: *W Bostonie lepiej nie prowadzić samochodu.*

- Opowiedz mi o Mietlickim - poprosiła Anna.

- Pisałem ci, że u Mietlickiego nieszczęście. Zniknął jego stradivarius. I to wspaniały stradivarius.

- No oczywiście - przytaknęła.

- Nie, nie oczywiście! - zaprzeczył Sienia.

Rano odebrał ją z lotniska, bo wcześniej zdołał namówić, by nie brała motocykla, i w związku z tym był w świetnym humorze. Nie cierpiał jej szybkich maszyn i tego idiotycznego bajeranckiego szpanu w postaci skórzanej kurtki, kasku i koszmarnych rękawic.

- Wcale nie oczywiście! Stradivarius w ciągu całego swego życia wystrugał około dwóch tysięcy instrumentów. Nieudanych nie niszczył ani nie przerabiał. Poza tym nigdy nie wiadomo, czy instrument został wykonany osobiście przez mistrza, czy przez jego uczniów.

- A to niespodzianka... - z roztargnieniem zauważyła Anna.

Ale Sienia wiedział, że każde jego słowo natychmiast trafia na jakąś niedostępną dla niego półeczkę, skąd w dowolnej chwili można je wyciągnąć nietknięte, włączając intonację, z którą było wypowiedziane.

- Najlepsze skrzypce robił Guarneri - kontynuował. - Przez całe życie wykonał zaledwie parę sztuk i wszystkie są na wagę nawet nie złota, tylko brylantów... Widzisz, co wyrabia ten osioł? Nie włączył kierunkowskazu! Mówię ci, tu każdy jeździ jak chce. Zupełnie jak w Rosji. A tak, przepraszam! Stradivarius Mietlickiego. Był wspaniały i dlatego go skradziono.

- W jaki sposób?

- Skrzypce podprowadzili z garderoby. Są tam dwa przechodnie pokoje, drzwi z drugiego prowadzą na korytarz. Kiedy Profesor przyjmował gratulacje po koncercie, instrument po prostu wyniesiono... Skarbie... - Popatrzył na nią z poczuciem winy. - Przepraszam, że cię niepokoiłem... Ale pomyślałem, a nuż ci się uda...

- Zobaczymy - przerwała mu. - I patrz na drogę. Lepiej opowiedz o Mietlickim. Chyba jesteś do niego przywiązany.

- Tak - potwierdził Sienia. - To człowiek bardzo mi bliski. Jestem przecież wiecznym sierotą. A on w czymś przypomina mi dziadka. Ma w sobie naturalną, wrodzoną wyjątkowość... Trudno to wytłumaczyć... Pisałem i opowiadałem ci o nim. Urodził się w Warszawie, ale dzieciństwo spędził w Rosji i dobrze zna rosyjski; nawet nalega, by rozmawiać z nim po rosyjsku, bo chce „trenować mięsień mowy”. Zwariować można! Człowiek ma dziewięćdziesiąt trzy lata! Na takich właśnie ludziach stoi ten świat... „Trenować mięsień”, niezłe... Otóż w połowie lat dwudziestych szesnastoletni Andrzej Mietlicki pojechał do Niemiec i dostał się do klasy słynnego Karla Flescha. A ponieważ już wtedy grał z dużą wirtuozerią, maestro niezwłocznie zatrudnił go jako swojego asystenta. W każdym razie, kiedy u Flescha zjawiała się mała dziewczynka, ośmioletnia Ida Hendell - a Flesch nie przyjmował do swojej klasy dzieci - Mietlicki ulitował się nad nią i zaczął dawać jej lekcje... I ona do tej pory występuje, ukrywając swój wiek. Wszędzie pojawia się ze swoim pudelkiem, który wszystkim płcze się pod nogami i jest tak samo kapryśny jak jego pani. Tylko Mietlicki wie, ile ona ma lat...

...Przez dobre piętnaście minut jechali zadbanymi cichymi ulicami. Sądząc po platanach i lipach, ta dzielnica była stara i elegancka już sto lat temu. Droga prowadziła wśród nieskazitelnych trawników na zielonych pagórkach, na których wznosiły się wspaniałe rezydencje. Wszystkie domy miały okna z witrażami, rzeźbione kolumny i przestronne drewniane tarasy, gdzie w porannym wietrzyku poruszały się puste hamaki i lekkie fotele bujane. Zewsząd dobiegał ptasi gwar jak w lesie.

Wreszcie zatrzymali się przed jedną z willi - z takim właśnie hamakiem i bujanym fotelem, na którym siedziała wiewiórka spokojnie obracająca jakąś zdobycz w chwytnych łapkach.

- Ależ cisza... - powiedział Sienia, rozglądając się i zamykając drzwi samochodu. - Przyjechaliśmy dziesięć minut za wcześnie. Może Profesor nie jest jeszcze gotowy? No nic, chodźmy...

- A czy to wypada?

- Idziemy. Przyzwyczaili się tu do mnie jak do pomocy domowej na przychodne... Kiedyś występowałem w tej okolicy, nie mogłem uruchomić wozu, dotarłem tu pieszo, sprytnie dostałem się do środka... było już późno, więc nie chciałem budzić starego... położyłem się na sofie w salonie i świetnie się na niej wyspałem. A rano mnie nakarmili, jakby nigdy nic.

Spłoszyli wiewiórkę, weszli po drewnianych schodach, najwyraźniej wymagających malowania. Sienia pchnął drzwi - nie były zamknięte - i oboje znaleźli się w niewielkim holu zastawionym starymi meblami. Okrągły rogaty wieszak niczym się nie różnił od tych, które stały w każdym kijowskim urzędzie, kiedy Anna była mała.

Szeroko otwarte dwuskrzydłowe drzwi ukazywały część przestronnego salonu z kominkiem, rzeźbionymi i inkrustowanymi stolikami, fotelami, sekretarzykami, kozetkami, zasłanego mnóstwem różnorodnych dywanów i dywaników. Na wszystkich ścianach wisiały obrazy, rysunki i zdjęcia. Nikt nie dbał tu o styl, no i dobrze.

- Profesorze, gdzie pan jest?! - zawołał Sienia. - Andrzeju Władisławiczu!

Nikt się nie odezwał; słysząc było tylko szum lejącej się wody...

- Nie wypada - powiedziała Anna. - I jak tak można: zostawiać otwarte drzwi...

- W tej okolicy można zostawić nawet otwartą czaszkę... nikt niczego nie ukradnie.

- A co z guarnerim? Kąpie się razem z nim?

Sienia wybuchnął śmiechem, chociaż Anna mówiła poważnie. Zdarzało się, że na jej pytania reagował w taki dziwny sposób - uśmiechając się, a nawet rechocząc z niewiadomych przyczyn.

- Zaraz ci coś pokażę. - Otoczył ją ramieniem i poprowadził wzdłuż ścian, gdzie co chwila natykali się na stoliki i sekretarzyki, o mało nie przewracając poustawianych na nich świeczników, szkatulek oraz srebrnych pucharów. Chciał pokazać jej fotografie, na których Mietlicki był uwieczniony z takim mnóstwem znakomitości, że aż dech w piersiach zapierało.

Stare, wykonane w sepii, i nowe, kolorowe zdjęcia z zakładów fotograficznych, jak również amatorskie... Zrobione przelotnie na schodach i w foyer sal koncertowych, z orkiestrą na scenie albo w garderobach, wśród wiązanek kwiatów. Wakacyjne, szybko „pstryknięte” zdjęcia na statkach - w leżaku i z cygarem w zębach; za kierownicą samochodu wyglądającego na zabytkowy, jeszcze z klaksonem: aż trudno uwierzyć, że coś takiego kiedyś istniało; w restauracjach i barach, przy stolikach na tarasach paryskich, madryckich i londyńskich kawiarni; w holach eleganckich hoteli, wśród połączanego przepychu ogromnych lusterek, w barowych fotelach z ornamentami w kształcie lwich głów na oparciach, w studiach fonograficznych... Na trapach starych samolotów, a nawet przy otwartym luku helikoptera, gdzie mistrz, elegancki, w długim szarym palcie i miękkim filcowym kapeluszu - już gotowy, by zanurkować do środka, stał pochylony, z futerałem w rękach...

- Dziewięćdziesiąt trzy lata - podkreślił Sienia. - Miał dużo czasu na zdjęcia...

Wreszcie na schodach rozległy się niespieszne kroki i powoli ukazały się nogi w domowych kapciach i spodniach od piżamy. Potem zobaczyli szlafrok, lekko ściągnięty

paskiem na brzuchu... podkoszulek pod szlafrokiem... W końcu wyłonił się sam Profesor w całej swej okazałości.

Hmm... no cóż, oczekując gości, mógłby włożyć na siebie coś bardziej odpowiedniego niż szlafrok.

Ale stary wychudzony i zgarbiony mężczyzna z siwą rozczochraną grzywą włosów najwyraźniej czuł się komfortowo i tryskał świetnym humorem.

- O... - powiedział, kierując się w stronę Anny z wyciągniętą na powitanie ręką. - Simonie, opowiadał mi pan o niej, a nawet się nią chwalił, ale nie uprzedził mnie pan, że jest taka...

- Jaka? - przerwała mu Anna poważnym tonem. Mietlicki od razu jej się spodobał.

- Takich oczu, droga pani, nie spotyka się codziennie! Takie oczy widuje się od święta.

Krótko mówiąc, stary na dodatek okazał się szarmancki.

Wyjaśniło się, że zaraz powinna przyjechać Julia, córka Mietlickiego - ona też chciała poznać Annę - a także jego wnuczka („O, zobaczcie, jaka to ślicznotka, uwielbiam ją!”).

No tak, przypomniała sobie Anna. Sienia wspominał przecież o adopcji chińskiej dziewczynki.

- A na razie chyba możemy napić się kawy? - zapytał Sienia.

- Ależ oczywiście, jeśli zechcecie ją sobie przygotować - błyskawicznie zareagował Profesor.

- Tak myślałem, że przyjdzie mi obsługiwać całe towarzystwo...

Anna od razu się rozluźniła. Dawno nigdzie nie czuła się tak dobrze jak w tym domu, ogrzany światłem długiego życia i wypełnionym ukochanymi przedmiotami...

Sienia zniknął w kuchni, która znajdowała się tuż obok, za salonem, stamtąd, jakby grał w ping-ponga, dalej przerzucał się z Profesorem złośliwościami, dość niewinnymi. Wreszcie wrócił z tacą. Stały na niej filiżanki, cukiernica, miseczka z jakimiś herbatnikami.

- A niech to! - zawołał uradowany Mietlicki. - Widzę, że orientuje się pan w mojej kuchni lepiej ode mnie, skoro udało się panu znaleźć bardzo szkodliwe, ale smaczne ciasteczka, które Julia chowa przede mną od dwóch tygodni!

- Po prostu sięgnąłem do górnej półki.

- Niech pan rzuci swój fagot, bo, jak Boga kocham, lepiej się pan poczuje w charakterze mojej gosposi... Nawet opłacę panu emeryturę. Jestem nieśmiertelny jak stara papuga.

Na wzmiankę o papudze Anna zaczęła opowiadać o Howardzie. Profesor się śmiał,

wypytywał, wołał:

- Jak? Jak? „Dbajcie o papugę”? Ma ptak poczucie humoru...

Było tu dobrze... dobrze... Ciepły, dbający o swoich gości, radosny dom. Luster nie ma, szkoda! Nad kominkiem powinno wisieć wielkie kwadratowe lustro, chronić i pochłaniać...

Anna podniosła się, nawet tego nie zauważywszy, i zaczęła krążyć po salonie... Dobrze... dobrze...

Źródło niepokoju, czy wręcz strachu związanego z mieszkańcami tego domu, znajdowało się na zewnątrz. I niepokój, i strach były jakby polakierowane, niczym misternie wyprofilowana czerwona deka nowych chińskich skrzypiec.

- ...Nie, w Warszawie mieszkaliśmy na ulicy Miodowej dziesięć. Po polsku brzmi to jak legato: Miodowa... - mówił Mietlicki.

- Dom, tak zwana kamienica, był solidny, z wewnętrznym kwadratowym brukowanym podwórkiem... Fasada koloru ochry, jak to w Warszawie... Wszystko świetnie pamiętam... Widzi pan, Simonie, jak kiedyś robiono ludzi? Solidnie. Ja i Rosję dobrze pamiętam. Po rewolucji ojciec przeniósł się do Samary, a potem do Saratowa... Kontynuowałem tam naukę u profesora Ziskinda. Genialnego mistrza niewielkiego wzrostu... Czasy były straszne: głód, chłód... Żona nauczyciela projektowała damskie obuwie. Uszyła mi kozaczki. Z obcasami. I w wieku ośmiu lat chodziłem w kozaczkach na obcasach.

- Niebezpieczna rzecz, jak powiedzieliby tutejsi psychoanalitycy - zauważył Sienia. - Dolać panu śmietanki?

- Tak... kropelkę! Ależ niech pan tyle nie leje...! Jest bardzo niezdrowa, chociaż szkody mi nie wyrządziła, co może potwierdzić długa lista moich wybranek... Anno! - zawołał Profesor do odwróconej plecami kobiety. - Jeszcze jakieś dziesięć lat temu uległaby mi pani!

- Z największą przyjemnością - grzecznie odparła Anna.

A Sienia czule pomyślał, że ona zawsze świetnie współgra z rozmówcą, jakby odbijała jego osobowość i wraz z nim odbijała się w niewidzialnych lustrach...

- A to - powiedziała nagle, wskazując jedno ze zdjęć - garderoba w cyrku! O tu... mosiężny nit w rogu kufra.

Na zdjęciu młody Mietlicki stał obok roześmianego kędzierzawego młodzieńca.

- Zgadza się! - potwierdził Profesor. - Warszawski cyrk, lata dwudzieste.

- A to kto?

Mietlicki zmrużył oczy, zamyślił się...

- Nie wiem, czy jego nazwisko coś pani powie... Chociaż w Rosji powinni go jeszcze pamiętać. A w przedwojennej Europie znał go każdy pies... Kiedy pozowaliśmy do zdjęcia... byłem już popularny, dużo występowałem, a jego, choć wywierał niesamowite wrażenie, nikt jeszcze wówczas nie znał. Grał trupa... W cyrku.

- Co takiego? - Sienia parsknął śmiechem.

- Trupa - powtórzył Profesor, szeroko się uśmiechając. - Umierał na oczach publiczności, robił się sztywny, każdy mógł to sprawdzić. Ja też go dotknąłem... Potem ożywał...

- Tylko zapomniał pan nam wyjawić, jak on się nazywał.

- Naprawdę? Co pan powie! Ach, ta starość. A on znał moje imię już wtedy, kiedy wchodziłem do jego garderoby. Siedział i zmywał makijaż. Rzucił na mnie okiem, nie odwracając się od lustra, i powiedział: „A oto i Dzidek się zjawił!”. Oniemiałem.

- Ale mógł znać pana z afiszów.

- Powiedział: „Dzidek”. Tak mówili na mnie tylko w domu, rodzice, siostry... „A oto i Dzidek się zjawił”, oznajmił głosem mojej mamy... Był to legendarny Wolf Messing, który przepowiedział koniec Hitlera, a potem musiał uciekać do Związku Radzieckiego, gdzie został wykończony.

- Dlaczego „wykończony”? - zaprzeczył Sienia. - Występował w jakichś klubach do samej starości.

- Wy-stę-po-wał?! - zawołał Mietlicki z pogardą w głosie. - Człowiek, który widział przyszłość, umiał czytać w myślach rozmówcy i... i Bóg wie, co jeszcze potrafił... wy-stę-po-wał? Mówię, że został wykończony!

Z ulicy dobiegło trzaśnięcie drzwi samochodu, ktoś wszedł po schodkach i władczy kobiecy głos zawołał po angielsku:

- Tato! Znów masz otwarty garaż!

- Oto i cała Julia. Ledwie zdąży wejść, a już musi wydawać mi polecenia, jak mam żyć! - Profesor też przeszedł na angielski. Córka, wysoka, szczupła, z podobną do ojca brzydką, kanciastą twarzą i wielkim nosem, w biegu zdejmując płaszcz i wieszając go na staromodnym okrągłym wieszaku, natychmiast podchwyciła:

- Bo gdybym nie wydawała ci poleceń, robiłbyś, co chcesz.

- W moim nieszczęsnym wieku dziewięćdziesięciu trzech lat - dodał ojciec.

- W twoim pięknym wieku dziewięćdziesięciu trzech lat!

Anna popatrzyła na Sienię, który bez słowa się do niej uśmiechnął. Doświadczony duet tak zgodnie popisywał się przed publicznością przez lata wyćwiczonym programem, że

nie potrzebował już żadnych prób: potrafił zacząć od każdego miejsca w partyturze.

Julia obrzuciła przedstawioną jej Annę uważnym krytycznym spojrzeniem, nawet się z tym nie kryjąc. Dobrze, że nie kazała zdjąć obuwia i na wzór szkolnych dyżurnych nie sprawdziła czystości paznokci. Ale ta ostra, błyskotliwie reagująca na każde słowo kobieta nie była źródłem niepokoju ani strachu. Należała do tego domu, wychowała się w nim, kochała ojca i wszystko, co jest z nim związane.

- A gdzie Edna? - zapytał Profesor.

- Edna, nie wiem czemu, twierdzi, że jest strasznie zajęta. Ale postawiłam na swoim, przyjdzie. Później... No a wy chyba zgłodnieliście beze mnie? Przywiozłam masę smakołyków...

Skierowała się z torbą do kuchni, a ojciec ruszył za nią - przypilnować. Ich głosy dalej rozbrzmiewały w wesołych ostrych tonach, to wznosząc się, to lekko opadając... Kilka razy jednocześnie i identycznie się roześmiali. A nad tymi spokrewnionymi głosami, podrygując w napięciu, zawisło imię Edna.

...Przy stole ojciec i córka dalej zgodnie prowadzili partię ze sobą i z gośćmi. Jedno zaczynało zdanie, drugie kończyło. Widać było, że oboje bardzo się lubią, chociaż co chwila z siebie pokpiwali.

- Wdała się we mnie, poczynając od kościstego nosa dużego ptaka i niebywałej pracowitości.

- I kończąc na paskudnym charakterze - podchwyciła córka.

- O tak, charakter ma od urodzenia milutki. Pamiętam, że kiedy miała siedem lat, matka postanowiła zapisać ją do prestiżowej szkoły! Bardzo drogiej i bardzo prestiżowej! Nawet trzeba było przejść rozmowę kwalifikacyjną. Z rana ją wystroili: zrobili loki, ubrali w biały płaszcz, białe buciki...

- Miałam też czerwoną wstążkę, pasującą do moich kasztanowych włosów...

- Tak. Czerwoną wstążkę. Ale w czasie tak zwanej rozmowy...

- ...kiedy trzeba było oczarować swoim zachowaniem trzy przywidłe jędze...

- ...krótko mówiąc, w czasie rozmowy córka siedziała nabzdyczona i nie odezwała się ani słowem! W drodze powrotnej spytałem ją: „Czemu milczałaś, Julio, kiedy cię pytano?”. A ona na to poważnie: „Byłam niedysponowana”. Nic nie powiedziałem, ale kiedy...

- ...kiedy przechodziliśmy obok ogromnej kałuży, nagle mocno mnie popchnął, prosto w to śmierdzące błoto! Siedziałam tam, osłupiała, po szyję w błocie!

- Tak...! „Coś ty narobił?! - darła się z kałuży. - Dlaczego?!”.

Opowiadając, Profesor wrzeszczał na cały głos, wybałuszał niebieskie oczy w

głębokich zmarszczkach i wyraźnie czerpał przyjemność ze wspominania tego dawnego zdarzenia. Ale nigdy nie przerywał Julii we fragmentach zgodnie z partyturą należących do niej. I tym razem, wrzasnąwszy, zamilkł, pozwalając córce dokończyć:

- Ojciec wzruszył ramionami i odparł wzniośle: „Byłem dysponowany”.

Tymczasem Anna czuła coraz większe napięcie w czołowej części głowy.

Pulsujące zło pochodziło od imienia Edna.

Julia zadzwoniła do spóźniającej się córki - ta była już w drodze.

Anna uniosła wzrok na Sienię. Siedział w fotelu naprzeciwko i prawie cały czas milczał, spoglądając na nią ze skrywanym niepokojem. A kiedy Profesor i Julia zaczęli sprzeczać się zawzięcie, czy zimą trzeba podlewać kaktus na werandzie („Czemu to latem troszczysz się o zimowe samopoczucie tego gównianego kaktusa?”. „Gównianego?! Gównianego?! Świetne określenie rzadkiej rośliny, którą przywiozłam ci z Gwatemali, można rzec, na własnej piersi!!!”). „O, przepraszam bardzo, powinienem pamiętać, że tylko twoja cierpiętnicza pierś jest w stanie wytrzymać zetknięcie z tymi potwornymi kolcami, o które parę razy pokłułem sobie palec!”), Sienia posłał jej błagalny pocałunek, jakby zawczasu prosząc o wybaczenie - za co?

Profesor zdążył jeszcze opowiedzieć kolejną plotkę o starej grubej Phillis Lane, która nie wstaje z fotela na kółkach, a mimo to niestrudzenie przemierza kraje i kontynenty, wszędzie dając pokazowe lekcje. Wrzeszczy i wali w podłogę laską, wybijając nią rytm. Ma tylu uczniów, że kraje i miasta zupełnie pomieszały jej się w głowie. Ponoć ostatnio, jadąc pociągiem, zobaczyła obok siebie dziewczynę wiozącą skrzypce w futerale.

- O! - zawołała. - Pani też ze skrzypcami. Kto panią uczy?

- Pani, madame - odpowiedziała młodziutka uczennica.

Po Phillis Lane przeszli na temat skrzypiec i Julia przelotnie wspomniała o kradzieży. Wreszcie padło słowo „stradivarius”. Śmiech się urwał, Profesor spochmurniał...

- Byłbym pani bardzo wdzięczny, Anno... - powiedział. - Siemion Aleksandrowicz wspominał mi... Wiem, że pani kategorycznie odmawia pełnienia roli medium... ale proszę zrozumieć moją rozpacz...

- Rozumiem - przerwała mu Anna. - Spróbuję.

Chciała poprosić o chwilę do namysłu. Zło zbliżało się, nabierało delikatnych kształtów, wdzierało się w potylicę z taką złośliwą siłą, że musiała się gdzieś schować. Bała się spojrzeć w połyskliwy rząd luster, by się upewnić. Co dalej? Jak im, biedakom, o tym powiedzieć...

W ostatnim czasie coraz trudniej było zapanować nad nieposłuszną lustrzaną mocą

przyczajoną w jej czole. Coraz częściej cofała się przed palącymi, niczym uderzenie w twarz, oślepiającymi rozbłyskami - jakby k a r a n o j ą z a n i e p o s ł u s z e ń s t w o.

Rozległ się dzwonek u drzwi. Profesor i Julia chórem wrzasnęli, że jest otwarte, Jezu, nie wiesz, że jest otwarte, czy co... Trzasnęły drzwi i z holu dobiegł melodyjny głosik, który, niczym bułeczka, zawierał nadzieję, rozsiewając śmierdzący strach spłoszonego skunksa...

I nagle do pokoju weszły ogromne skrzypce!

Anna w pierwszej chwili się przeraziła: dziewczyna w jakiś niewytłumaczalny sposób chyba połknęła instrument i ten rozrósł się w niej, poruszając się i wyrwywając na zewnątrz!

Oczami wyobraźni ujrzała szczupłą zwinną postać... paskudne - latynoskie? - wąsiki, charakterystyczny wykrój oczu. Mężczyzna przemknął korytarzem, pospiesznie przyjął z rąk Edny skrzypce, zawinął je w kurtkę i pobiegł do służbowego wyjścia z sali koncertowej, obok ospałego czarnego ochroniarza...

I teraz musiała zburzyć ten szczęśliwy dom, zniszczyć kochający się duet ojca i córki, wnieść więcej zła w życie podrzutka - znalezionej przy drodze, delikatnej i niezwykle kobiecej młodej Chinki o przepelnionym strachem spojrzeniu, w której ciele wił sobie gniazdko malutki embrion...

Anna przymknęła oczy i wszyscy zamilkli. W starym zegarze stojącym w rogu salonu spadło, jedna za drugą, kilka nic nieważących miedzianych sekund.

Dwa podrzutki, dwie sieroty patrzyły na siebie... A niewinna kijanka w niewielkiej, lecz już pulsującej życiem macicy nieprzerwanie wiła poczętą z zakazanej miłości, sierocą nic...

Nie!

Nie będziesz się mną bawić!

- Nie widzę! - powiedziała Anna zachrypniętym, drżącym głosem. - Przykro mi... ale nic nie widzę.

- Mam w tej chwili mnóstwo pracy: kino akcji, triki jeden za drugim. Jestem rozchwytywany. Sam już teraz nie występuję, ale przygotowuję dużo trików... Nie, sportowe ani cyrkowe doświadczenie nie ma tu żadnego znaczenia. Wręcz przeciwnie: trzeba się porządnie przekwalifikować. Masz, na przykład, taki trik: upadek z wysokości... ze skały albo z okna, powiedzmy, piątego piętra. Nad lotem nie da się zapanować. I jeśli robisz to zgodnie ze wszystkimi zasadami akrobacji, już możesz uważać się za kalekę albo nawet nieboszczyka.

Poza tym w czasie zdjęć takie sytuacje się zdarzają, że ciągle trzeba uważać. Nie mają ze sportem nic wspólnego. Brałem udział w filmie *Lejtnant*. Zaczynał się sceną na polu walki: z płonącego czołgu wyskakiwał palący się czerwonoarmista. Zdjęcia kręcono na poligonie wojskowym pod Pitrem... Mieliśmy do dyspozycji stary czołg T-34 ze studia Lenfilm. Z tyłu na pancerzu umieszczono pojemniki z napalmem: nasączone benzyną podpalone szmaty.

A czołg, jak już mówiłem, stary, z podziurawionym pancerzem. System chłodzenia na olej, żeby woda nie zamarała. Wyobraża pan sobie? Na górze posadzono dwóch kaskaderów, ja siedzę na dole, przy dźwigniach. I oni kopią mnie raz w lewą, raz w prawą rękę, wskazując kierunek, bo ni cholery nie widzę, gdzie mam jechać, czołg przecież się pali... i tak powoli pokonuje dziury i koleiny... Krótko mówiąc, napalm przelał się do przedziału z silnikiem, rury się sfajczyły, olej zapalił.

Dostaję rozkaz: stop! Zatrzymuję się i gaszę silnik. I co dalej? Kiedy silnik zgasł, płomień wdarł się do środka kabiny. A ja siedzę sobie spokojniutko, niczego nie podejrzewam. Właz czołgu waży, nawiasem mówiąc, ze dwadzieścia pięć kilogramów, nie mniej. Otóż świadkowie opowiadali, że w chwili gdy czołg się zapalił, właz sam się otworzył, a ja wyleciałem stamtąd jak z procy, głową w dół... Czołg doszczętnie spłonął... Tak to wygląda...

Zmiana zawodu była przymusowa. I nie dlatego, że jestem niby taki przezorny i przewidziałem rozpad radzieckiego cyrku. Prawdziwa zapaść przypadła na początek lat dziewięćdziesiątych. Wyrwaliśmy się z pańszczyzny, odtąd sami mogliśmy podpisywać kontrakty, ustalać stawki. I wtedy ci, którzy coś znaczyli, posłali do diabła *glawk*¹²⁹ i jego wampiry rozbiegły się w różne strony. Nasze chłopaki pracują teraz we wszystkich zakątkach świata. Dużo Rosjan jest w Chinach - tam lubią cyrk; uważają, że to sztuka akademicka. W Szanghaju po podpisaniu kontraktu dostajesz kartę stałego pobytu, mieszkanie... W Rosji zostały żalosalne resztki: rozsadnicy kłótni, przestępstw, nikczemności... Wie pan, ile przedtem

129 *Glawk* (*glawnyj komitet*; ros.) - zarząd główny.

było numerów z linoskoczkami? Czterdzieści! A teraz: trzy-cztery... Niedawno zawalił się dach kolejnego cyrku, w Nowosybirsku. Nikt nie ucierpiał, cyrk od wielu lat był nieczynny. No i trwa spór sądowy.

Ale u nas zawsze była i dalej istnieje świetna szkoła cyrkowa. Do Rosji i teraz przyjeżdżają zimą włoscy uliczni cyrkowcy - bardzo zdolni ludzie - by uczyć się i pić...

Cyrk zawsze był śmierdzącym bagnem: łapówki, sukinsyny różnego rodzaju, prawdziwa przestępczość we wszystkich oddziałach gławka...

Ale nie o to chodzi... Wie pan, kiedy to się nam przydarzyło - jej i mnie... Kiedy nasz związek się rozpadł...

...Nie zgadnie pan, gdzie ona się ukryła po opuszczeniu szpitala - żeby dojść do siebie... Była przecież strasznie okaleczona przez te oto ręce... te pięści...

Nie u ojca! Nie u Ariszy, bo ta wówczas już przeprowadziła się do Belgii, wykładała w słynnej akademii karylionu w Malines i do Rosji wpadała tylko na jakieś konkursy... Przyczołgała się do Bluwsztejnów! Tych samych, którzy obrzucali nas bolszewickimi wyzwiskami, śledzili każdy nasz krok, wyłączali po nas światło, przezywali „cholernymi zadymiarzami z bohemy” i oskarżali o kradzież zapalek... Irina Bogdanowna miała już wtedy zaawansowanego alzheimera, pchły na sobie iskała w potwornym domu starców gdzieś na Szczołkowskiej¹³⁰, ale Isaj Borisycz jeszcze chodził z laseczką do sklepu po świeże bułeczki i kefirek... A mimo to, wyobraża pan sobie, przyczołgała się tam ze szpitala i przez trzy miesiące dochodziła do siebie jak zranione zwierzę w norze... Sienia, porzucony idiota, słał telegramy z Leningradu, przyjeżdżał na weekendy i wszędzie jej szukał - wtedy jeszcze nie wiedział, że ona pojawia się, kiedy sama zechce. A w tym czasie trockista Bluwsztejn karmił ją łyżeczką.

Sam mi później opowiadał: „Słyszę ustalony dzwonek do drzwi, dwa krótkie, jeden długi. Otwieram... stoi Anna, jakby z tamtego świata wróciła: blada, ledwo na nogach się trzyma, oparła się o ścianę... I mówi nieswoim głosem: «Isaju Borisyczu... nie mam gdzie się podziać»...”

Tak to... A ja, swoją drogą, kiedy po pół roku wyszedłem z więziennego sanatorium, zrozumiałem, że nie mogę i nie chcę wracać na arenę - jakby prąd mnie raził, kiedy trolejbus skręcał na Cwietnyj¹³¹. Zadekowałem się u przyjaciela, przez całe dni wylegiwałem się na tapczanie i oglądałem piracką szmirę z Hollywood... A pewnego dnia mnie olśniło: zrozumiałem, co powinienem zrobić. Muszę otworzyć szkołę kaskaderów! Naszych

130 Na Szadkowskiej - w rejonie stacji metra Szczołkowska w Moskwie.

131 Na Cwietnym Bulwarze znajdował się cyrk.

rosyjskich kaskaderów! W tym czasie pracowało już u nas kilka grup. Ale warunki były przerażające! Żadnego ubezpieczenia, żadnych składek na emeryturę. Chłopaki pracowały, gdzie się da - jeden jako dozorca, drugi w ochronie... Trzeba było jakoś zmienić tę sytuację.

Namówiłem parę woltyżerów, Sieriożę i Piet'kę Niestrojewów - ci już dosłownie jak wilki wyli na widok naszej cyrkowej biedy. Wynajęliśmy salę sportową w jednej ze szkół przy Stadionie Wodnym, a na hipodromie na Biegowej mieliśmy trenować... W gazecie daliśmy ogłoszenie o kompletowaniu grupy. Wtedy wszyscy chcieli pracować na własny rachunek. Naród walił do nas drzwiami i oknami! Przychodzili sportowcy i ludzie prosto z ulicy. To paradoks, ale kaskaderami często zostają osoby zakompleksione, które chcą się wykazać, mimo że w tym zawodzie trzeba mieć mocny system nerwowy.

Wybraliśmy z piętnastu chłopaków oraz cztery dziewczyny i rozpoczęliśmy morderczy trening! Motosport, walki, skoki z wysokości, nurkowanie, pirotechnika... I ludzie dziwni się trafiali, i sytuacje zabawne się zdarzały. A mnie ta sprawa po prostu postawiła na nogi. Wie pan, nie miałem czasu na opłakiwanie swojego porąbanego życia. Interes zaczął się kręcić.

Część chłopaków dość szybko trafiła do filmu. Ja wtedy też dużo grałem...

Pewnego razu pojawiła się u nas Anna.

Niby z ogłoszenia, ale ja w to nie wierzę. Myślę, że przyszła, by ratować mnie przed samym sobą. Wyleczyć i puścić wolno. Dlatego w ogóle się nie zdziwiła na mój widok: wiedziała, gdzie i po co przychodzi.

Tamten dzień będę pamiętał do końca życia. Kwiecień, niedziela... Czyste niebo i słońce mocno świeci w okna. Po treningu siedzę na krześle pośrodku sali - spocony, wyczerpany, wykończony, odpoczywam... jeśli oczywiście można odpocząć od samego siebie, nie...? I nagle, jak zdarza się tylko w filmie - sam zawsze się śmieję z takiej szmiry! - otwierają się drzwi i wchodzi Anna. I patrzy prosto, władczo - jakbyśmy znów byli razem na linie. A sala sportowa cała zalana słońcem, aż oczy boją!

No więc siedzę ja sobie w tym słońcu na krześle i nie mogę się podnieść. A ona podchodzi coraz bliżej, bliżej... i nagle jak poderwie mnie na nogi! Jak rzuci się obejmować! Od razu zrozumiałem - całym sobą - że nie chce do mnie wrócić, tylko chce puścić mnie wolno... Staliśmy skąpani w słońcu, tak samo jak wtedy, w dziewiątej klasie, mocno objęci niczym brat z siostrą... Jakby nie było między nami całego życia: ani miłości, ani cyrku, ani tułaczki... ani tamtego straszliwego wieczoru... To znaczy, wszystko było, było... a teraz zlało się w zbawienną braterską miłość.

Nie potrafiałem tego wyrazić... Serce mi się ścisnęło z tęsknoty i słodkiej udręki... Nie, nie

umiem tego opowiedzieć. Język mam drętwy!

Otóż... zaczęła z nami trenować, szybko odzyskała formę i otdąd pracowaliśmy razem... Był to ciekawy okres. Krótki, ale ciekawy.

Kiedyś dosłownie wyciągnęła mnie z tamtego świata... Zdarzyło się to w Pitrze, w dziewięćdziesiątym drugim... Trwały zdjęcia do filmu *Desant specjalny*. Zgodnie ze scenariuszem zaczynał palić się barakowóz długości dziesięciu metrów. Bohater miał wbiec, chwycić radiodbiornik i ratować wspólny dobytek. Taki bohaterski wyczyn. Reżyserem trików był słynny Makarski. Pirotechnicy twierdzili, że sami potrafią zorganizować cały ten pożar. Ale w tamtych latach trzymano się radzieckich norm przeciwpożarowych - krótko mówiąc, nie pozwolono im. Uparli się... W końcu wybuchł konflikt na planie! Pirotechnicy powinni byli nasmarować napalmem tylko drzwi i ramy okien wewnątrz, a oni, na złość kierownictwu, wysmarowali cały barak. Mówią do nich: „Podpalajcie!”. A oni na to: „Sami sobie podpalajcie!”. I poszli.

Kiedy wlałem do palącego się baraku, poczułem się jak w piecu hutniczym. Miałem czapkę uszanke, ale ręce odsłonięte, twarz też. Nagle czuję, że nie mogę oddychać ani otworzyć oczu. Zamiast do drzwi - których nie znalazłem - podbiegłem do ściany, przewróciłem wiadro z benzyną i spowodowałem wybuch! Twarz uratowałem tylko dzięki temu, że przed kadrem - jakbym przeczuwał! - zrobiłem koło drzwi nasyp ze śniegu. Otóż wyskoczyłem z baraku i padłem mordą prosto w ten śnieg... Jednym słowem: pogotowie, zamieszanie, rzucanie mięsem... szpital w Wyborgu... Wyglądałem jak zwęglona pochodnia... Kierownika od pirotechniki oczywiście wywalili. Tylko mnie to już nie mogło pomóc! I wtedy Anna od razu przyleciała do Wyborga, przesiedziała przy mnie kilka dni. Nie wiem, co robiła. Przecież ni cholery nie widziałem! Ale najgorszy ból zelżał już pod koniec drugiego dnia...

A tydzień później odleciała do Ameryki z cyrkiem Tram-Bon, ze skleconą naprędce chałturą. Może pan słyszał? Było o tym głośno. Zbieranina estradowa... Zostali w Atlancie bez grosza, okradzeni, głodni...

Ta sprawa od początku śmierdziała. Był to ewidentny przekręt. Chłopcy podpisali umowę z jakimiś podejrzanymi typami. Tamci zrozumieli, że wielkiej kasy na radzieckim cyrku nie zrobią, bo czasy nie te, i zwiali ze wszystkimi pieniędzmi ze sprzedaży biletów. A artyści zostali w samym środku przerażającej amerykańskiej dżungli... Niezły, powiem panu, sprawdzian wytrzymałości. W zasadzie byli w swoim fachu dobrzy, ale jako ludzie zupełnie niezaradni, przyzwyczajeni do chodzenia w szeregu, otrzymywania niewielkiej zagwarantowanej gaży, robienia tego, co im każą, jechania tam, dokąd kupią im bilety. A tu -

wolność wyboru, a do tego nieznajomość języka.

Nawet nie potrafili zebrać pieniędzy na powrót. Mieszkali pod mostem, pod jakąś estakadą, w namiotach - razem ze swoimi małpkami, pieskami, gołębiami...

I wtedy, wie pan, całe miasto rzuciło się im na pomoc. Tamtejsi Ruscy - hołota - sami jeszcze cienko przędli, ale zbierali dla artystów pieniądze i jedzenie. Jakiś emigrant rosyjski otworzył w garażu sklep spożywczy - byczki w tomacie, kilki w ostrej zalewie... Wpuszczał do siebie na nocleg, na drewnianej pryczy. Amerykanie też pomagali, zwykli ludzie. Z czasem jakoś się ułożyło. Rozlazło się towarzystwo w różne strony... Małpy oddano do zoo, boa gdzieś uciekły, artyści zatrudnili się w charakterze kelnerów i sprzątaczek... Większość nie chciała wracać. I jak to wszędzie się zdarza, jak to w życiu bywa - każdy coś otrzymał od losu zgodnie z zakupionym biletem, czyli w zależności od charakteru i szczęścia. Ktoś się rozejrzył i przystosował. Komuś załatwili kontrakt i teraz od wielu lat pracuje w Du Soleil lub w Ringling Brothers Circus. A ktoś doczekał się biletu powrotnego, kupionego przez rosyjskie Ministerstwo Kultury, i wrócił na stare śmieci...

No a Sienia gra! już wtedy w Baltimore czy Chicago w jakiejś orkiestrze... Myślę, że Anna dobrze wiedziała, gdzie i po co jedzie... I od razu znalazła Eliezera, oni przecież od dawna pisali do siebie.

Pamiętam, jak się wściekałem, kiedy natykałem się na jego listy z tymi zwariowanymi bazgrołami: czułem się wtedy jak ostatni kretyn...!

Wychodzę więc ze szpitala... Morda spuchnięta, blizny świeże - jak pijawki na czole... I dowiaduję się - nie pamiętam już od kogo - o amerykańskiej epopei naszych cyrkowców. Zrozumiałem, że Anna znów przepadła i, co gorsza, już na zawsze.

Ona w ogóle miała zwyczaj przepadać. Wie pan, jest takie powiedzenie: przepaść jak kamień w wodę. No więc w końcu rzeczywiście przepadła... w wodzie...

Krótko mówiąc, mija miesiąc, drugi... A ja po wypadku - z tymi bliznami na mordzie niczym zbój jakiś - wydaję ostatnie pieniądze i nie mam już sił rozkręcać kolejnego interesu. Byłem w takim dołku, że nawet się zastanawiałem, czy to nie pora już zarzucić sobie pętlę na szyję...

Aż tu nagle - telefon! Skąd wiedziałem, że to ona?! Nie mam pojęcia! Wyczułem jak pies, który stracił swojego pana! A przecież ona nienawidziła wszystkich tych telefonów, listów, telegramów... Przez całe życie zwałała się na głowę niezapowiedziana, kiedy chciała. A tu dzwoni! Tak poderwałem się do telefonu, że o mało się nie przewróciłem. I słyszę jej głos, spokojny, beznamiętny:

- Wkrótce otrzymasz - mówi - oficjalne zaproszenie.

- Co takiego?! Dokąd?! Gdzie jesteś?!

- Załatwiłam ci występy w Vancouver. Są tam coroczne imprezy, typu jarmarków, na otwartym powietrzu. Będziesz gwoździem programu...

- Co to za program?! - krzyczę i czuję, że rosną mi skrzydła jak niegdyś, kiedy nagle mnie informowała, że jedziemy tam i tam, a ja miałem ochotę zawołać: dokąd tylko zechcesz!

- Jaka różnica! - odpowiada. - Trzy razy dziennie będziesz chodził po linie... Wprawdzie na wysokości trzydziestu metrów i nad asfaltem. I lina zwisająca, nie naciągnięta... Ale będziesz po niej chodził.

- Dobrze... - posłusznie poruszam wargami.

- I bez lonży.

- Bez lonży...

- I pójdziesz. I nic ci się nie stanie.

A głos taki spokojny, beznamiętny, jak już mówiłem. Nawet nie zapytała: Co tam u ciebie? Jak leci...? Burknęła coś na pożegnanie i rzuciła słuchawkę...

To było w jej stylu: zwisająca lina, trzydzieści metrów nad asfaltem. Bez lonży.

Mało się nie rozplakałem, wie pan? Mało się nie rozplakałem ze szczęścia...

...Wyobraź sobie, że w miejscowym rosyjskim sklepie r z u c i l i prasowany kawior. Aż przyjemnie popatrzeć. A czy ty, moje lustreczko kochane, w ogóle wiesz, co to jest prasowany kawior?

To rarytas, nierozzerwalnie związany z moim dzieciństwem w Gurjewie. A kawior, który jada się w restauracjach i kupuje w słoiczkach - to kawior ziarnisty. Może być trochę rzadszy lub bardziej gęsty.

Natomiast kawior prasowany jest przyciskany ciężarem i formowany w kształt okrągłej bryły, dość twardej. Kroi się go nożem i przechowuje w lodówce do sylwestra. Sezon połowów zaś przypada na maj...

Gurjew leży przy samym ujściu rzeki Ural, a gotowe do tarła białugi i siewrugi przepływają przez miasto pod koniec maja. Kłusownictwo w tamtych czasach kwitło, nawet zdarzały się na tym tle zabójstwa i okaleczenia. Przez dwa tygodnie całe nasze osiedle nie spało po nocach, bo w każdej chwili mogli zadzwonić do drzwi, proponując kawior czy rybę - patroszoną albo z ikrą w środku.

Wszyscy sąsiedzi świetnie potrafili robić małosolny kawior. Jedzono go od zawsze tak samo: na posmarowany masłem kawałek ciemnego chleba kładło się grubą warstwę kawioru, a zakąsało gotowanym jajkiem, rzodkiewką i szczypiorkiem.

Całe miasto zajadało się w maju świeżutkim małosolnym kawiolem, aż do przesyty. Domowy kawior ziarnisty nie nadaje się do dłuższego przechowywania, bo z czasem zaczyna robić się gorzki. Ale kawior prasowany to co innego. Smak ma intensywny, przyklepia się do zębów i trzeba go długo przeżuwać. Idealnie pasuje do wódeczki i gotowanych jajek. Taka rozpusta była możliwa tylko w Gurjewie.

Nasi sąsiedzi Sołodowowie produkowali kawior w ogromnych ilościach: kręgi czarnego kawioru po pół metra średnicy robiły mocne wrażenie...

W okresie połowu zjeżdżała się do nich cała rodzina cioci Loli - najciekawsza była jej siostra Szura z Makiejewki, poseł do Rady Najwyższej Związku Radzieckiego. Kobieta o dużych gabarytach, serdeczna, chodziła na podwórku po swojemu, po chochłacku: w granatowych trykotowych spodniach i śnieżnobiałym atłasowym biustonoszu, o którym raz mówiła „nacycnik”, raz *titiosznik*¹³². Miejscowi szaleli na widok owej piękności - u nas kobiety nie pozwalały sobie na coś takiego. Poza tym ciocia Szura po mistrzowsku przeklinała - była brygadierem w hucie, „pchała koks” - a kiedy starsza siostra ją strofowała,

132 Od titki (ukr.) - cycki.

odpowiadała: „Lolka, toż nie wulgaryzmy, toż wyrazy ludowe! Jestem przecież posłem ludowym!”.

Nagle przyszło mi do głowy, że ty chyba nie masz pojęcia, jak ludzie się wtedy ubierali. Mężczyźni stroili się w białe jedwabne marynarki i płócienne spodnie z szerokimi nogawkami. Kobiety chodziły w trykotowych sukienkach z wyhaftowanymi z przodu małutkimi różyczkami, w takich czystych, nasyconych, nieradzieckich kolorach. Na atłasowych metkach naszytych po wewnętrznej stronie widniały kółka typu olimpijskich, i napis „Przyjaźń” jak emblemat¹³³. Panie kręciły w rękach chińskie parasolki z bambusowymi wstawkami...

Chociaż wątpię, żeby cię interesowały te jedwabne i trykotowe wspomnienia, biorąc pod uwagę twoje odwieczne sweterki i podkoszulki.

Otóż maj, miesiąc maj...

Czy wiesz, jak trudno jest korzystać z łazienki, kiedy w wannie miota się siewruga w agonii - perliście srebrna, z ciemnoszarym grzbietem, ostrym pyskiem i kokieteryjnie zadartym ogonem?

W ciągu dnia u Sołodowów trwały gorączkowe przygotowania: bręczano miskami, przemywano kawior w sitach, tak jak przepłukują złoto poszukiwacze; wiatr zwiewał z ryb gazę i ta leciała do sąsiadów; płotki nawlekano na żyłkę i potem całe podwórko było obwieszane tymi połyskującymi girlandami; siostry się krzątały, dzieci biegały na posyłki. Wujek Wasia dumnie sadowił się na swoim chwiejnym krześle i trzymając laskę w pogotowiu, kierował całym procesem przygotowywania kawioru, niezwykle podniecony taką ilością posłusznych mu bab. My, dzieci, nie dawałyśmy mu spokoju, prosząc, by pozwolił wbić gwoździć w skrzynkę (kawior przemycano jako konfitury), i kiedy wujek Wasia tracił cierpliwość, rzucał w nas laską. I zawsze trafiał!

...Do dziś mam przed oczami ciocię Szurę w atłasowym biustonoszu, ludową posłankę, mistrzynię mocnych wyrazów; wiatr wysoko unosi obłoczki gazy, a ja i przyszły mnich Gienka dumnie spoglądamy na wszystkich z wierzchołka morwy - po naszymu tutownika - ponieważ zbliża się moment wysyłki produktu, kiedy stajemy się ważniejsi od dorosłych.

Przyjaźniliśmy się z Guzelką i Rozką - córkami Batimy, kierowniczką poczty - które pomagały nam w wysyłaniu paczek, bo zgodnie z przepisami paczki trzeba było nadawać otwarte...

A w jakiej miłej rodzinnej atmosferze upływały nam wieczory! Wujek Wasia i ciocia

133 Odzież produkcji chińskiej zalewała rynek radziecki.

Lola, choć na co dzień z trudem się znosili - nawet dochodziło między nimi do bójek! - po wypiciu butelczyny obejmowali się i zgodnie zaciągali:

*Na ganeczku twoim
Każdy wieczór we dwoje
Długie godziny spędzamy
I na chwilę się rozstać nie chcemy...*

Głosy oboje mieli wspaniałe! Głębokie, wibrujące - sięgały najwyższych rejestrów, rozpadały się na dwa tony i łączyły ponownie... Reszta wtórowała - wszyscy byli tacy muzycalni i natchnieni! I taka majowa błogość płynęła w powietrzu, taka miłość do wszystkich i wszystkiego unosiła się nad posadzonym i wypielęgowanym na gurjewskiej glinie sadem wujka Wasi...

To z tamtego okresu pamiętam romanse i chwytające za serce przyśpiewki: „Zabarwił się księżyc czerwienią... jedziemy, ślicznotko, się kąpać... nazajutrz dwa trupy pływały...” albo „Ja muszę z ojczyzną się pożegnać, ze swoją rodziną i dziećmi, a potem, mój wieczny stróżu (czyli więzienie), znów do ciebie powrócę...”.

Tyle tam poznałem ludowych piosenek - więcej, niż było Kazachów w całym Gurjewie!

Kończył się okres połowów, wracała codzienność i ciocia Lola znów krzyczała do męża: „Bydlaku bezrogi! Masz jedną kończynę, a i tej porządnie umyć nie potrafisz!”.

W jednym ze swoich listów, regularnie przysyłanych do Pitra w czasie moich studiów - i była to chyba jedyna rzecz, z której się wobec mnie wywiązywała - moja matka opisała śmierć wujka Wasi i dalsze dzieje rodziny Sołodowów. Wujek Wasia umierał, już całkiem postradawszy zmysły. Siedział na łóżku, próbując naciągnąć prześcieradło na puste miejsce po nodze, patrzył w ścianę oszalałym wzrokiem i dławiąc się łzami, mamrotał: „Szanowni członkowie komisji partyjnej... Szanowni członkowie komisji partyjnej...”. Widocznie KPZR była obecna również w innych wymiarach...

Tuż przed śmiercią wujek Wasia wyznał swemu synowi Gience straszną tajemnicę: pod drzewem w swoim sadzie zakopał czterdzieści siedem tysięcy rubli. I przez kilka tygodni po pogrzebie ojca Gienka przekopywał ogródek jak opętany - tak samo zawzięcie, jak jego ojciec kiedyś te drzewka sadził. Wykarczował wszystkie korzenie i doszczętnie zniszczył sad... Niczego oczywiście nie znalazł. I od razu wyjechał z Gurjewa...

Może teraz w swoim klasztorze błaga o wybaczenie za zniszczenie ojcowskiego sadu?

Już kończę, nie chcę cię dłużej zamęczać swymi gurjewskimi fantomami. Teraz będę żył sierpniem, naszym spotkaniem w Roadene. Umawiamy się tam, gdzie ostatnio? Przy wodospadzie? Ale będziesz musiała włączyć komórkę, żebym mógł cię wytropić w labiryncie kanadyjskich highwayów...

Wiesz, z kim o mało nie spotkałem się w Middlebury?! Z twoją Ariszą. Prowadzi kurs gry na karylionie, ale nie zastałem jej, kiedy byłem tam z Mietlickim.

Profesor miał wykłady z porównania funkcji oraz wykorzystywania barokowych i współczesnych smyczków. Aby to zilustrować, razem zagraliśmy jeden z czterech *Koncertów królewskich* François Couperina na skrzypce i klawesyn oraz jakiś instrument basowy. Na przykład mój fagot.

Są to tak naprawdę taneczne suity, napisane dla rozweselenia króla Ludwika XIV - Króla Słońce. Ten słoneczny dureń potrafił stać przed lustrem po pięć godzin dziennie, ćwicząc piękne pozy; kładł na policzki jaskrawy róż, przyklejał muszki i zakręcał wąsy. Dziś każdy klub dla gejów przyjąłby go z otwartymi ramionami. Dlatego cała faktura Couperina tonie w różnorodnych trelach i mordentach - a wtedy muzyka jest tak przesłodzona, że aż mdli. Tylko w utworach Couperina można znaleźć taką obfitość ozdóbek: muszki, zakręcone wąsy, duże peruki. Trudno uczyć takiej muzyki, ale kiedy człowiek już przedrze się przez dżunglę ubarwień, sama gra wciąga bardziej niż jej słuchanie. Nie ma w niej prawdziwego melodyjnego piękna ani naturalności, wszystko jest sztuczne, wszystko wyssane z palca, przeważają takty na trzy czwarte lub sześć ósmych; to dlatego, że dla Francuzów źródłem wszystkiego jest taniec, nie śpiew. I żadnego cierpienia! Nie zasnął na mojej lekcji? Trochę cię jeszcze pozanudzam, mój skarbie, bo przecież nikt inny nie zechce mnie wysłuchać...

No więc na zasadzie kontrastu z ubarwionym niczym papuzka Couperinem zagraliśmy coś z tragicznego Iwana Chandoszkina.

Nie zwracaj uwagi na prostackie nazwisko. Był pierwszym rosyjskim skrzypkiem, synem nadwornych muzykantów pańszczyźnianych, trafił do pierwszej „szkoły muzycznej”, założonej, nie uwierzysz przez kogo - przez Piotra III - i niezamkniętej - chociaż to też dziwne - przez Katarzynę II, puszczalską i morderczynię. Szkoła istniała przy carskiej orkiestrze, pracowali w niej oczywiście Włosi, a dzieci pochodziły z pałacowej służby i miały posiadać n i e p a s k u d n e g ę b y - dosłownie. Mnie by nie przyjęli.

I ta oto szkoła, gdzie było jedenaścioro dzieci, wypuściła dwóch pierwszych rosyjskich kompozytorów: Chandoszkina i Bierzowskiego. Czasy na carskim dworze były bardzo rosyjskie - początek i połowa osiemnastego wieku.

Otóż Chandoszkin... Iwan Chandoszkin. Komponował oczywiście w stylu włoskim,

ale na rosyjskie tematy. Zalew tęsknoty w tej muzyce był więc gwarantowany. Potworna, zżerająca duszę, mistrzowska tęsknota - wszystko, jak na Rosję przystało. I nieważne, które stulecie mamy za oknem. Zagraliśmy z Profesorem wariacje na temat rosyjskiej pieśni *Tracę wszystko, co Kocham*. Tfu, tfu - do diabła z tym tematem!

A potem Andrzej Władisławowicz miał wykład o roli fagotu w orkiestrze. I kazał mi grać dla „tych gówniarzy, skoro już pana, Simonie, zaprosiłem tu na cały tydzień”.

Jako nauczyciel Mietlicki jest świetny i bezwzględny.

„Kto lepiej zrozumiał i odtworzył piękno związku klarnetu z fagotem?! - ryczał jak lew, tak że „gówniarze”: Hindus, dwie Chinki, Mulatka i trójka amerykańskich chłopców, których prapradziadkowie razem z moim prapraprzodkiem pewnie szyli kozaki i portki na brudnych uliczkach jakiejś Umani czy Berszadi zaledwie sto lat temu, tylko gapili się na niego z przestachem. - Kto stworzył piękno, od którego można umrzeć? Czajkowski! I komu powierzył główną partię w swojej *V symfonii*? Klarnet, po wykonaniu strasznej introdukcji, gra unisono z fagotem! Nie słyszeliście? Zazdroszczę wam! Simonie, proszę ich trochę postraszyć...”

I ja „straszyłem”, chętnie straszyłem tych „gówniarzy”, tym bardziej że sam lubię ów fragment głównej partii *V symfonii*, gdzie dusza miota się i nie znajduje wyjścia z zakłętego kręgu...

O, te stare amerykańskie uniwersytety, zmurszałe kampusy w budynkach sprzed dwustu lat! O, te łazienki z sitkiem prysznic na stałe przymocowanym na górze rury w latach trzydziestych zeszłego wieku! O, ta beznadziejna próba opłukania sobie intymnego miejsca...!

...A propos - na koniec - o intymnym miejscu. Chyba już ci opowiadałem, że niewinność straciłem jeszcze w Gurjewie, ze swymi koleżankami, siostrami Guzelką i Rozką. Były to dwie czarujące latawice strzelające oczami, które życzliwie, po przyjacielsku obdarowywały swoimi wdziękami raz mnie, raz Gienkę. Mieliśmy na brzegu Uralu niewielki szałas, który wspólnie postawiliśmy w błyskawicznym tempie - prawie w godzinę - podczas wakacji po ósmej klasie, popędzani nastoletnim pulsowaniem w naszych instrumentach perkusyjnych. Dziewczynki nam chętnie pomagały, ściągając gałęzie z pobliskiego wiązu... Obie wyraźnie były zaintrygowane moim fagotem - występowałem już wtedy na szkolnych koncertach. Może w wyobraźni łączyły ten tajemniczy instrument z moim drugim - nie mniej tajemniczym - narzędziem.

Pochodziły z rodziny tatarsko-czeczeńskiej. Ich ojciec był Tatarem, matka była Czczenką. Wyrosły na prawdziwe piękności, przy czym bardzo różne. Guzelka zamieniła się w drobną kokietkę z wysokimi kośćmi policzkowymi. Rozka, wręcz przeciwnie, bardzo

urosla, zrobiła się powolna i rozmarzona... Gachów miały na pęczki, z każdym wytrzymały jakieś dwa tygodnie, a potem ich odprawiały, ale nie puszczały wolno tak po prostu, tylko doszczętnie skompromitowanych. I mówiły: „Ja go okiziaczyłam!”. Wiesz, co to jest *kiziak*? To krowi nawóz. Byli wśród gachów również ci spoza miasta, którzy ślali naszym ślicznotkom płomienne listy.

A tatusiek, tatarska morda (jak go nazywała żona Batima), sprytnie wyjmował te listy ze skrzynki pocztowej i czytał. Po jakimś czasie został oczywiście przyłapany i skarcony, a dziewczyny kazały gachom pisać na poste restante.

Tatarska morda posmutniał... ale znalazł wyjście z sytuacji! Przychodzę do nich pewnego razu - już w czasach studenckich, będąc na wakacjach (dziewczyny zapraszały mnie po starej znajomości, jako kolegę z piaskownicy) - a morda siedzi w okularach przy kuchennym stole i czyta tom listów Tomasza Manna.

À propos Tomasza Manna i Niemców: weź ze sobą swoją harmonijkę, mój skarbie. Dawno już razem nie graliśmy *Lili Marlene*...

Coraz częściej dokuczały jej bóle głowy, przeszkadzał szum w uszach; zaczynało się od szmeru, czyjegoś zatrwożonego szeptu... i rozrastało się do niewyraźnego zgiełku, w którym rozbrzmiewały urywane wyrazy. W młodości bez trudu potrafiła odegnąć te obce głosy, odsunąć kakofonię dźwięków, p r z e t r z e ć w wyobraźni l u s t r a... Teraz, po chwilach napływającej falami tęsknoty, nie miała już na to sił i cudze myśli i zamierzenia krążyły niczym chmara muszek, atakując ją i gryząc; nie było sensu ich odpędzać...

Budowała lustrzany korytarz, którym podążała szybkim krokiem, próbując przekroczyć przeładowane strefy...

Najłatwiej było w drodze - na motocyklu, w samochodzie, w pociągach, w samolotach... Jakby szybkość przemieszczania się mogła uchronić ją od pościgu. Coraz częściej przyłapywała się na pragnieniu, by - jak to mówiła Christina - *dripanut'*, uciec. W ogóle. Na zawsze.

Zdarzały się dni, kiedy z rana pakowała plecak i wyjeżdżała, nieważne dokąd: czasami nawet niedaleko; chociaż wieczorem planowała, że przez cały dzień będzie pracować... Ale nadciągała noc, przygniatała ją i gnała, gnała przed siebie... a ona uciekała komuś, ten ktoś ją gonił... niewidoczny, chwycił z tyłu, ściskając łokcie w zacieklej miłosnej walce... i zmagala się z nim aż do świtu - *Nie, nie będziesz się mną bawić!* - i niespodziewanie puszczona wolno w wyniku czyjejś dobrej woli, bojąc się uwierzyć w swoje szczęście, leciała na motorze skrajem nieba - pełna nadziei, że tym razem uda jej się przerwać lustrzaną powłokę niebios.

...I tak oto w marcu, zatęskniwszy za Sienią, nagle się zebrała i pojechała do Rüdesheim, gdzie - jak na zawołanie - znów trafiła na gęstą mgłę, która kłębiła się i otulała górskie miasteczko niczym ciężka watowana kołdra. Zrobiło jej się jednak trochę lżej, jakby mgła otuliła również i jej biedną głowę, chroniąc, grzejąc, a nawet na chwilę osłabiając ucisk...

Do południa błądziła uliczkami, potem wpadła na obiad do głębokiej bielonej piwnicy, w której kiedyś była z Sienią. Zamówiła jakieś proste danie - duszoną kapustę z parówkami - i wszystko zjadła, zbierając resztki skórką chleba, co ostatnio rzadko jej się zdarzało.

Napiła się kawy i znów poszła na spacer. A kiedy znalazła się przy kasie kolejki linowej, niespodziewanie kupiła bilet i wsiadła do gondoli, która wyglądała tak, jakby pokręconą żelazną ręką trzymała się metalowej liny. Słyszała jeszcze dźwięki walca, granego przez małą orkiestrę w pobliskiej knajpce, i ludzkie głosy, miarowe potknięcia katarynki,

stukanie kół krótkiego - zaledwie pięć wagonów - podmiejskiego pociągu... Szlaban jakby ze zdumieniem rozłożył ramiona i utonął we mgle...

W miarę jak metalowa łódka unosiła się nad miasteczkiem, w dole otwierał się widok na łupkowe - przypominające mokre łuski smoka - czarne dachy: zamku z muzeum instrumentów muzycznych (cztery pinakle, na każdym chorągiewka z kogucikiem) oraz czterokątnej szarej kamiennej wieży klasztoru z muzeum winiarstwa... Widziała też równy, szeroki pas Renu, po którym leniwie płynęła płaska barka - doganiał ją stateczek „St. Nikolaus I” z dwoma pokładami. Na przeciwległym, porośniętym lasem brzegu wyłaniały się zarysy Zamku Wiedźmy. Potem i je pochłonęła mgła; zostały tylko bruzdy niskich kędzierzawych winnic przepływające pod gondolą, rzędy nieskończonych winorośli, przecinających zbocza w różnych kierunkach...

Wreszcie i te znikły. Wszystko wokół pogrążyło się w białawej zamglonej ciszy, przerywanej tylko ledwie słyszalnym łoskotem i delikatnym potrząsaniem.

Gondola zawisła we mgle, zaklinowana między fragmentami czasu, jakby ten wypadł z rowka i teraz przeskakiwał na jałowym biegu: wieża, zamek, pociąg, mgła... wieża... mgła... winnice... zamek... mgła...

Nagle ogarnęło ją przygnębiające uczucie, że fabuła się powtarza.

Czas wspinał się po zamglonej górze tylko dla niej... Czując narastającą panikę, pomyślała, że brakuje jeszcze tego albinosa z wylupiastymi oczami, wypływającego w gondoli z naprzeciwnika... podobnego do...

I natychmiast się pojawił: albinos w brązowym tyrolskim kapeluszu. Jakby w ogóle nie ruszał się stąd od czasu ostatniego spotkania, tylko wciąż unosił się i opadał, w górę i w dół, na metalowych linach ponad żłobionymi zboczami winnic, wytrzeszczając różowe oczka w pulchnej jak wata mgle... Tylko diabelskie operowe piórko na kapeluszu podrygiwało w takt łoskotu lin.

Minęło z pięć minut, a ona wciąż tkwiła w odrętwieniu, z zasłoniętymi mglistymi lustrami, nie mając siły się ruszyć...

I kiedy oszołomiona jechała z powrotem, cały czas powtarzała sobie, że takich grubasów o wylupiastych oczach i w tyrolskich kapeluszach jest w Niemczech na pęczki, że w końcu mógł to być miejscowy listonosz, który mieszka gdzieś w górskiej wiosce i każdego dnia zjeżdża w dół do pracy...

Wszystko na nic. Wydawało jej się, że kiedyś już przeżyła tę scenę z uspokajaniem siebie i z tajemniczym Tyrolczykiem, że wszystko to już kiedyś było i że ten błysk z przeszłości, odbiwszy się w lusterku jej puderniczki, potoczył się po zboczach winnic, a teraz

powrócił, ukazując obraz grubasa-albinosa...

Na dole mgła nie była już tak gęsta; zapaliły się latarnie, przybyło ludzi.

Trochę doszła do siebie i postanowiła natychmiast pojechać do hałaśliwego studenckiego Heidelbergu i być może gdzieś tam przenocować w jednym z dobrze znanych przytulnych hoteli... Ale skręciwszy w główną ulicę, znalazła się przed bramą zamku, do którego kiedyś usiłował zaciągnąć ją Sienia. A skoro tak, pomyślała, to teraz obejrzę sobie muzyczną kolekcję. Sienia będzie zachwycony...

...Młody człowiek w wymiętym kapeluszu kataryniarza, z postrzępionymi mankietami rękawów czarnego surduta, tym razem nie tracił czasu na dysputy z tłumaczką. Grupa była niemiecka, więc śpiewał jak słowik; gardłowym głosem, grasejąc, szczegółowo opowiadał o technologii wyrabiania starych wioli, muzycznych szkatulek, śpiewających lamp, grających pod tyłkiem krzesel...

W sali z mechanicznym pianinem - jednym z pierwszych, z połowy dziewiętnastego wieku - nawet zagrał w biegu początkowe takty nieśmiertelnej *Lili Marlene*...

Wreszcie - co widocznie było głównym punktem programu - przeszli do sali, gdzie według przewodnika płyty posadzki, starsze od zamku, pochodziły z jedenastego wieku, i gdzie stało jedynie wielkie dziwne urządzenie z dwoma pionowymi bębnami w górnym panelu: w każdym obracało się po pięcioro skrzypiec. A na dolny panel wyjeżdżały lalki i każda wykonywała swoje sztuczki: przytupywała, kiwała się, poruszała ręką lub nogą, otwierała usta, kręciła głową; wszystkie te mechaniczne cudeńka melodyjnie śpiewały, grały, miarowo pobrzękiwały, dzwoniły i głucho wybijały takty...

I znów poczuła, jak ogarnia ją g r y z ą c a n u d a, której nie potrafiła zwalczyć.

Odwróciła się od tego cudu techniki i wlepiła wzrok w wysokie okno, które sięgało od podłogi po sufit i wychodziło prosto na zbocze pagórka z winnicami, ukośnie pokreślone linami wciąż tej samej kolejki.

Puste gondole bezgłośnie przepływały, pojawiając się w górnym rogu okna i schodząc niebieskim szlakiem w dolny róg albo wylaniając się w dolnym rogu i unosząc się do górnego. O tej wieczorowej mglistej porze wyglądały jak puste widmowe łodzie Charona.

Dlatego nawet się nie zdziwiła - tylko znieruchomiała - kiedy w kolejnej zjeżdżającej gondoli rozpoznała tyrolski brązowy kapelusz i zobaczyła spokojny triumfujący uśmiezek na pulchnej twarzy albinosa.

Grubas trzymał w ręce gazetę zwiniętą w rurkę i wymachiwał nią, jakby dyrygował martwą muzyką mechanicznej maszyny tu, w sali...

Pod ostrym skrzydłem granatowej chmury broczył krwią ostatni promień zachodzącego słońca.

Ciemne mgliste meduzy obłoków sunęły w męcząco powolnym tańcu.

I znów posadzili ją przy oknie, koło iluminatora, tego diabelskiego wylotu, wzywającego, żarłocznego ujścia Królestwa Luster.

Obok siedziała wielka Mulatka, która musiała mieć wyjątkowo mocny pęcherz, zrobiony chyba z brezentu. Podczas lotu ani razu nie podniosła się z miejsca, nie dała chwili wytchnienia. A przepraszać ją i niepokoić... W ogóle zwracanie się do kogokolwiek ostatnio stało się dla Anny zbyt uciążliwe. Czasami miała wrażenie, że przed chwilą o coś prosiła albo coś powiedziała... i za każdym razem łapała się na tym, że tak naprawdę nie otworzyła ust, a to, co chciała powiedzieć na głos, wypowiedziała jedynie w myślach. Zamykam się w sobie, stwierdziła. Maszuta coraz częściej spoglądała na nią z luster - nie ta ze spuchniętą nalaną twarzą, tylko młoda, cała obsypana sympatycznymi piegami, tak pasującymi do jej bystrych brązowych oczu... I teraz też patrzyła na nią z iluminatora: „Niutoczko, czemu zawsze chodzisz w dzinsach, przecież nie jesteś chłopcem, jesteś dziewczynką...!”.

Nawet w samolocie nie mogła liczyć na odrobinę spokoju.

Z tyłu siedział kolejny młodo wyglądający Humbert Humbert ze swoją kasztanową kózką, nie, chyba jednak córką. Przez całą drogę rozwiązywali krzyżówki, chichotali, grali w karty, a panienka mocno kopała w fotel Anny swoimi długimi, ani chwili niepozostającymi w spokoju nogami w białych skarpetkach...

Kiedyś lubiła przyglądać się towarzyszom podróży, rozczulała ją odmienność ich wyglądu i losów.

Oto człowiek tak mocno zezujący, że jego twarz nabrała zdumionego i marzycielskiego wyrazu...

Dwumetrowa Mulatka, pięknie zbudowana: rzeźbione pośladki, pień potężnej pofałdowanej szyi, pęczki pracowicie zaplecionych filigranowych warkoczyków z koralikami - wysiłek wart uznania...

Wysoki mężczyzna z Północy z takim masywnym, wysuniętym do przodu podbródkiem, że było oczywiste - to natura chciała ochronić tego niezwykle wrażliwego człowieka, nadając mu wojowniczy wygląd.

Kędzierzawy dwudziestolatek delikatnej budowy wyglądał jak włócznik.

Indianka z wilgotnymi błagającymi oczami łani i miękkimi wargami barwy popiołu, lekko wysuniętymi do przodu, jakby prosiła o kawałek chleba z solą.

...Kiedy się obudziła i masowała dłońmi zdrętwiałą szyję, w iluminatorze robiło się

coraz jaśniej. Obłoki rozwarstwiały się, warzyły i przesuwały pod oślepiającym skrzydłem samolotu niczym potężne kry w czasie spływu.

Śpiąca obok Mulatka wyprostowała rękę i pierścionek z dużym granatem rzucił na ścianę pawi ogon tęczyowych blików, które zakolysały się jak piana skrząca się w misce...

*

Anna wspinała się za Ariszą na dzwonnice miejscowego kościoła uniwersyteckiego; szły po drewnianych schodach, które prowadziły między ciężkimi stropami a krzyżującymi się belkami. Pachniało zawilgoconymi ceglami starych ścian, zastarzałym kurzem, pleśnią, tranem i... nieuchwytnym zapachem cyrku... Dlaczego cyrku? Ponieważ w nocy na pewno odwiedzają to miejsce nietoperze, a ich zapach kojarzy się z moczem szczurów, od którego w cyrku rdzewiały stalowe liny.

- Wytrzymaj - powiedziała Arisza, ciężko dysząc. - Jeszcze trochę...

Obejrzała się na szczupłą Annę, gotową bez trudu wbiec na samą górę, i obie jednocześnie zaczęły się śmiać: jedna nad sobą, druga nad przyjaciółką.

W ostatnim czasie Arisza się roztyła, chociaż proporcje jej postawnej figury jeszcze się zachowały. A tego dnia specjalnie włożyła suknię koncertową, jaskrawo czerwoną, z dużym dekoltem na plecach - żeby Anna mogła ocenić jej występ w całej okazałości.

- Muszę schudnąć... - zauważyła skruszona, znowu się zatrzymując.

Stąd, z wysokości dzwonnicy, rozpościerał się widok na okolicę - rozległą panoramę łagodnych wzniesień z nielicznymi farmami. Całe miasteczko widać było jak na dłoni - z jego drewnianymi domami pomalowanymi na szaro, żółto i niebiesko, ze starymi budynkami uniwersytetu, polami do gry w krykieta i siatkówkę. W dole, prosto pod nimi, krzepki mężczyzna ścinał trawę, siedząc okrakiem na kosiarce, z rozstawionymi błyszczącymi kolanami piłkarza, a za nim ciągnął się kłujący meszek pachnącej łąki - jaśniejszy, odświeżony, jakby przesiany... I wszędzie, gdzie tylko zostawiano go w spokoju, panoszył się nostalgiczny perz o liliowych kłosach.

- A wiesz, że to ci pasuje! - powiedziała Anna. - Może dlatego, że trzeba być mocnym fizycznie, by wydobywać dźwięki z dzwonów? I ta sukienka jest przepiękna...

- Nie, muszę schudnąć!

Karylion, wciśnięty do mikroskopijnej klitki pod dachem, był połączony z każdym dzwonem prowadzącą w górę liną; i gdyby tak wejść wyżej po kilku stromych, wąskich stopniach i wyrzeć przez otwarty właz, można by zobaczyć skrawek lśniącego jak emalia grantowego nieba między żeliwnymi bokami czarnych dzwonów.

Zbite z desek ściany tej kabinki - też w pewnym sensie gniazdka - były całe oklejone

afiszami. Z koncertów Ariszy również.

- Siądź tu, na brzeżku. - Arisza wskazała niską, jak na sali sportowej, drewnianą ławkę ustawioną wzdłuż ściany. Widocznie zapraszano tu na koncerty tylko wybranych.

Anna usiadła. Arisza zajęła miejsce przy karylionie, na gładkiej, wypolerowanej tyłkami wielu wykonawców ławce, i lekko odwróciła się do przyjaciółki, mówiąc:

- Zaraz ci wszystko w skrócie wytłumaczę: tu jest górny rząd dźwigni. Prawda, że przypomina lody na patyku? Nad nim widać metalowy rząd regulatorów długości liny. A na dole: rząd pedałów do półtorej oktawy niższych dzwonów.

- A te wyglądają jak szewskie kopyto - wtrąciła Anna i wystraszyła się, że palnęła jakąś głupotę.

- Rzeczywiście! - ucieszyła się Arisza. - Nie mogłam sobie przypomnieć, do czego są podobne... No więc słuchaj. Wszystko opiera się na gamie. Dzwonów jest w sumie czterdzieści dziewięć. Najniższy to si bemol, dzwon ważący dziewięć ton... Wyobrażasz sobie, jakiego wysiłku trzeba, żeby zabrzmiał?

- No, graj już... - poprosiła Anna.

- A co ci zagrać?

- Jezus, skąd mogę wiedzieć. Coś... wspaniałego.

- Wspaniałego...! - mruknęła Arisza. - No dobrze. Słuchaj... *Menuet i trio na karylion*. Autorem jest mój nauczyciel Gustaw Nees... I to mnie go zadedykował.

Odwróciła się. Siadła prosto, w skupieniu i porządnie usadawiając pośladki na solidnej ławce, jakby chciała oswoić, zagospodarować teren.

Na chwilę odrzuciła głowę do tyłu, ściskając i rozwierając palce dłoni trzymanyh na kolanach. Uniosła rękę...

Anna wzdrygnęła się i cofnęła, jakby ktoś ją nagle zawołał: samotny rozpaczliwy krzyk przeszył ciszę uniwersyteckiego miasteczka. Jakby rzucono wyzwanie niebiosom i Ktoś postanowił rozpędzić obłoki, oczyszczając pole przed walką.

Powolnymi kamiennymi kulami potoczyły się dudniące dźwięki, jeden za drugim, coraz bardziej zwiększając moc i szybkość spadania. I oto już grzmiąca lawina kamieni dudniła ciężkimi odłamkami. Donośny bojowy okrzyk przeciął niebiosa, okrzyk bez odpowiedzi: jakby ktoś wzywał do walki przeciwnika, a tamten wciąż zwlekał...

Aż wreszcie się odezwał!

Kaskada potężnych jak grzmot dźwięków wstrząsnęła drewnianą budką. Ktoś walił i walił w gigantyczny miedziany dysk, zwołując świadków bitwy. Dudnienie, tupot nóg, skrzypienie i stukanie kół niebieskiego rydwanu niosło się ponad kościelnymi sklepieniami,

wyrywało się przez łuki dzwonnicy, przetaczało ponad wzniesieniami, spowijało cały Vermont...

...Mocno kiwając się na boki na drewnianej ławce, artystka podskakiwała, naciskała, przeciągała kantem dłoni, pięściami i łokciami, chwyciła dźwignie górnego rzędu dzwonów, a jednocześnie przydeptywała drewnianą pedał, popisując się niczym amazonką i wydobywając gwałtowny, dławiący się recytatyw huku, to groźny i potężny, to cichnący nad wzgórzami...

Huk niemal sięgał brzegów ciszy i nagle zniknął; jakby leśne strumienie spływały falami, źródlane, krystalicznie czyste...

I znów lawina wojowniczych okrzyków! I znów smętne wołanie... rozplywające się na wysokościach...

To walczyły ze sobą dwa anioły, biały i czarny, bezwzględne, nieprzejednane - do ostatniego jęku, ostatniego upadku. Była to walka dla niej, przez nią, o nią...

Nie, to była ona, to jej życie łamała potężna bezlitosna siła...

Dalekie wzgórza drżały i dwoiły się przed jej oczami, pełnymi łez. Zamknęła je i weszła do Królestwa Luster...

...Arisza umrze w dwa tysiące piętnastym roku w belgijskim szpitalu, gdzie będzie przechodzić rutynowe badania, w przerwie między dwoma koncertami. Nie pozna diagnozy - rak wątroby - ponieważ w oficynie, na oddziale dla zamożnych chorych, w nocy zapala się przewody i nie zadziała system ostrzegania przeciwpożarowego, w wyniku czego zginie kilkoro pacjentów, w tym sławna karylionistka, laureatka wielu międzynarodowych konkursów, ówczesna małżonka ministra kultury Belgii.

I wycie wozów straży pożarnej stanie się paskudną karykaturą lawiny dźwięków karylionu, które ta kobieta potrafiła wydobywać swoimi błogosławionymi rękami...

...Dzwoniącą ciszę wiejskiego południa przeszyły nawoływania krykiecistów i zdziwiony skrzekot sójki nad dzwonnicy.

- Cudownie... - powiedziała Anna z nieskrywaną udręką w głosie. - Radosna amazonka! Jesteś taka wojownicza wśród tych niebieskich błyskawic i wodospadów. I tak... tak ci pasuje ten ognisty kolor!

*

Przemknęła mostem i wyleciała na wzniesienie drogi... Stąd - pod alabastrową sztukaterią obłoków na nieosiągalnej wysokości - rozpościerał się widok na jezioro Champlain z białymi chorągiewkami jachtów wśród rozczochranych grzebieni fal.

Do Roadene było już niedaleko, a Sienia powinien dotrzeć tam przed nią - jakieś trzy

godziny temu dzwonił do niej na komórkę.

Półtorej godziny pędziła z szaloną prędkością, którą nazywała przyzwoitą. Dobrze, że drogi były świetne - motocykl pruł jak po torach.

Minęła kolejny most, wjechała do miasteczka i po chwili zatrzymała się na wybetonowanym parkingu, gdzie na turystów zwykle czekały dwa lub trzy autokary.

Miasteczko z malowniczym wodospadem podziwiane z punktu widokowego pewnie było jednym z przystanków na mapie turystycznej.

Anna wyjęła z plecaka zgniecioną puszkę po coli i podłożyła ją pod podpórkę motoru - wprawdzie upalny dzień chylił się ku końcowi, ale te ciężkie sportowe maszyny mają zwyczaj grzęznąć w roztopionym asfalcie - dźwigiem ich później nie wyciągniesz. Z ulgą zrzuciła kurtkę, rękawice, kask, wcisnęła do bagażnika na tylnym siedzeniu i skierowała się w stronę wodospadu.

Drewniany pomost punktu widokowego był zawieszony nad wąskim gardłem wąwozu, do którego wpadał niezbyt szeroki, ale rozszalały potok, wściekle pieniący się niczym piwo.

Tu, na górze, właśnie tłoczyła się jakaś włoska grupa z dziećmi i starcami. I wszyscy z zachwytem przechylali się przez poręcz, próbując zajrzeć w dół jak najniżej, by prześledzić bieg pędzącego wąwozem potoku.

Omijając pomost i zbiegając sześć-siedem metrów stromą boczną ścieżką, można było znaleźć się na niewielkiej polance wśród sosnowych zarośli, otwartej na wodospad, ale dobrze osłoniętej z pozostałych trzech stron. Z tego ukrytego wgłębienia, jakby wyciosanego przez naturę wyłącznie na własny użytek, rozpościerał się malowniczy widok na szalony potok i las, jeszcze oświetlony przez słońce.

Tę polankę Sienia odkrył zupełnie przypadkowo jakieś pięć lat temu, kiedy schronił się przed tłumem turystów, by odlać się na łonie natury. Od tamtej pory zawsze umawiali się w tym miejscu, kiedy on jechał do niej z Bostonu, a ona wyjeżdżała mu na spotkanie. Albo kiedy na spotkanie wyjeżdżał on, nie mogąc doczekać się jej przyjazdu.

Sienia rzeczywiście już tam siedział na rozścielonym kocu.

- Przypominasz muzułmanina przed modlitwą - powiedziała. Padła na niego i przez jakieś dwadzieścia minut po prostu leżeli w milczeniu, objęci, nasłuchując miarowego szumu ściany wody kędzierzawej od kropli.

- Jezu - odezwał się w końcu. - To nie do pomyślenia, żeby kobieta ciągle miała na sobie te koszmarnie buciory... - I oznajmił po raz setny: - Jak ja nienawidzę tego twojego motocykla!

- Ale szybko tu dotarłam - rzuciła słabym głosem i usiadła, obejmując kolana.

Gęsty las naprzeciwko był jeszcze skąpany w słońcu, które szybko przemykało po omszałych kamieniach i sosnach z czerwonymi pniami. Po tej stronie wszystko już było pogrążone w mroku; dziki wodospad, rozsiewający wodną mgiełkę, przecinał wąwóz na dwie części, dokładnie wzdłuż pęknięcia skały, a ostatnie promienie słońca oświetlały jej wnętrze z czarno-żółtymi cząstkami chalcedonu.

- A propos butów - powiedział Sienia. - W ostatnim tygodniu dwa razy śnił mi się dziadek. Stał boso, wyciągał do mnie kozaki zabitego włoskiego żołnierza i mówił: „Sienczis, u was tam w październiku są takie zamiecie, nie daj Boże. Weź, ogrzej sobie chociaż stopy...”. Dziwiłem się we śnie: „Ależ, dziadku, październik w Nowej Anglii to złota jesień...”.

- To co, jedziemy? - zapytała. - Ile można tu siedzieć?

Milczał i nawet się nie poruszył. Może zmęczył się w drodze?

Nagle jakoś tak z trudem przemówił niezwykle poważnym tonem:

- Wiesz co, Anno... pora już, byśmy się połączyli...

Po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu. Nie odpowiedziała. Przygarbiona siedziała tyłem do niego.

- Właśnie się dowiedziałem, co mnie dość przyjemnie zdziwiło, że zarobiłem nawet na skromną emeryturę... - ciągnął. - Mieszkanko wynajmiemy, gdzie zechcesz... Będę grał... Dobrych fagocistów jest mało... Słyszysz mnie? - rzucił jej w plecy trwożnie i natarczywie. I nie było w jego głosie zwykłej lekkości, typowej dla niego ironii. - Słyszysz? Nie chcę już żyć bez ciebie.

Obejrzała się, położyła obie dłonie na jego czole i przesunęła po twarzy delikatnym ruchem.

I jeszcze raz, i jeszcze - jakby zgarniała śnieg.

...Nigdy nie mogłem zrozumieć, co ona widzi w tych kawałkach szkła, jakimi właściwościami obdarza i czemu zawsze je uduchowia.

Chociaż nie: raz ja też coś w nich zobaczyłem i może coś zrozumiałem...

Profesor kończył dziewięćdziesiąt cztery lata. Rocznica nieokrągła i sądząc po jego kondycji, nie ostatnia, aczkolwiek w tym wieku każdy jubileusz może okazać się ostatni... Julia nalegała na wystawne przyjęcie z przemowami, listami gratulacyjnymi od różnych muzycznych akademii i z beczelnymi typami i ignorantami z telewizji, którzy potrafią zepsuć każde święto.

Tymczasem, dokładnie miesiąc po incydencie z tajemniczym zaginięciem stradivariusa, bostońska policja zwyczajnie złapała sprawcę.

Ukochany Edny - wąsaty spryciarz z meksykańskiej prowincji, który przez dwa lata był u Julii ni to ogrodnikiem, ni to chłopcem na posyłki i tak niespodziewanie się zwolnił - został schwytany na granicy z beczennymi skrzypcami w tanim futerale z dermy. Sprawa potoczyła się w błyskawicznym tempie.

To, że był kochankiem Edny, wyjaśniło się już na pierwszym przesłuchaniu. Wkrótce potem, łkając i siąkając nosem, dziewczyna przyznała się, że jest w ciąży. Szybko też z niej wyciągnęli, że to właśnie ona naprowadziła tego ciemnego typka na skrzypce dziadka. Bo skąd by wiedział, ile może kosztować takie drewno w tym ich dziwnym zadufanym świecie, gdzie nie wpuszczano go nawet na próg! Gołąbki miały zamiar uciec - nie pamiętam dokąd, ale to już nieważne.

Przez kilka tygodni rodzina była pogrążona w rozpacz, ale później się pozbierała - ze względu na m a l e ń s t w o, już wychowane, i to, które dopiero się urodzi...

Krótko mówiąc, byli zmuszeni się z tym pogodzić, ale huczne świętowanie zostało odwołane i w zamian wynajęto - dla dziesięciu najbliższych przyjaciół - niewielką salę we włoskiej restauracji niedaleko domu w Newtonville.

A kto się niezmiernie ucieszył na tę nowinę? Moja nieszczęsna dziewczynka. Mówię „nieszczęsna”, ponieważ pamiętam jej niewytłumaczalne przygnębienie w dniu, kiedy razem odwiedziliśmy Mietlickiego. Potwornie się zmieszałem, usłyszawszy z jej ust gwałtowne: „Do domu!”. Zebraliśmy się dosłownie w ciągu minuty i prawie uciekliśmy, niczym Szwedzi pod Połtawą.

Pamiętam nasz powrót i to, jak wchodząc na ganek, stwierdziła posepnie:

- A trupa udawać... wielka mi rzecz... Drobnostka, jarmarczne widowisko! Ja też tak

potrafię.

Ja zaś odparłem żartobliwie:

- Tylko nie w mojej obecności, dziecinko, zlituj się! Nie w mojej obecności!

Kląłem na siebie wtedy strasznie - po co, no po co zaciągnąłem ją do Profesora, dodatkowo narażając na krytykę złośliwej Julii, a przede wszystkim: jakim prawem obciążylem ją takim trudnym zadaniem?! Mnie, idiocie, wydawało się, że Anna była przygnębiona z tego powodu, że jej się nie udało.

Teraz już wiem: była przygnębiona dlatego, że jej się udało. Ale nie o tym chciałem, nie moja to sprawa - zajmować się darami niebios, które niosła... jak swój krzyż.

No więc Mietlicki kończył dziewięćdziesiąt cztery lata i Anna, radośnie ożywiona po wiadomości o znalezieniu stradivariusa, nagle powiedziała, że chce mu zrobić prezent. Jaki prezent? Lustro, oczywiście.

- Lustro? - zdziwiłem się. - Dlaczego myślisz, że potrzebuje lustro?

- Po prostu wiem - odparła twardo i z przekonaniem. - Ten dom jest zupełnie bezbronny. Zamkniemy go na wszystkie spusty przed każdym złem.

Nic na to nie odpowiedziałem, ale kiedy wieczorem zaproponowałem, byśmy wpadli do najbliższego sklepu gospodarstwa domowego - czy tam, gdzie coś takiego sprzedają - i wybrali lustro, gwałtownie się ode mnie odsunęła. Czy ja zwariowałem? Czy naprawdę uważam, że można wnieść człowiekowi do domu byle jakie lustro?! W dodatku takie tandetne sklepowe lustro, jakimi handlują na każdym rogu?!

Wtedy się zamknąłem, dziękując Bogu, że zostawił mi resztki rozumu w tej mojej siwej łepetynie... Nie, ona oczywiście sama je zamówi - wiadomo gdzie, w warsztacie Edwarda w Montrealu. Współpracuje z nim od lat i całkowicie na nim polega... Właśnie takie lustro jest potrzebne do salonu Profesora. Nad kominkiem. Tylko Edward potrafi wykonać wszystko w krótkim terminie i wysłać pocztą kurierską...

Ja miałem zrobić pomiary, co wykonałem z zakłopotaniem, pod zdziwionym spojrzeniem Profesora, tajemniczo się uśmiechając, balansując na chwiejnym taborecie z czasów wojny secesyjnej i przykładając palec do ust w odpowiedzi na wszystkie pytania.

W przededniu uroczystości w restauracji - jak było wcześniej uzgodnione - lustro dostarczono prosto do domu Mietlickiego. Maestro stał już ubrany jak do koncertu: w smokingu i śnieżnobiałej koszuli z muszką. Gońcy wnieśli ogromne prostokątne pudło, Anna podpisała odbiór i z namaszczeniem własnoręcznie je rozpakowała, niczym owiniętego w pieluchy niemowlaka. Wreszcie odpadła ostatnia warstwa papieru... Wszyscy zaniemówili.

Nie rozumiem, w jaki sposób ten kawałek szkła potrafił wchłonąć w siebie salon

Profesora ze wszystkimi stolikami, tacami, świecznikami, szkatułkami, kozetkami, fotelami i dywanami, a do tego jeszcze zahaczyć o przedpokój, bocznym ochraniającym odbiciem, i nawet - czego już zupełnie nie pojmuję - odbić, za pomocą niewielkiego lusterka w holu, kątem z drzwiami wejściowymi.

To była czarująca sztuczka mojej lustrzanej dziewczynki.

A poza tym lustro posiadało jakąś dodatkową głębię - zielonkawą, wilgotną głębię, wypełnioną taką podwodną ciszą, że nie zdziwiłbym się, gdyby za naszymi plecami plusnęła, machnąwszy ogonem, jakaś upiorna ryba... Ono oddychało, przysięgam! I najważniejsze, że nie tylko optycznie powiększało salon, ale też przydawało mu teatralnej doniosłości. Uroczystej doniosłości, równej i wartej długiego życia naszego jubilata.

Rama była zwykła, ciemnowiśniowa, prawie niezauważalna...

- Mój ty Boże... - powiedział oczarowany Profesor. - Ależ ze mnie dureń! Czemu nigdy nie przyszło mi do głowy, by zawiesić tu lustro?

A bystra Julia uroczyście odpowiedziała:

- Ono zawsze tu wisiało. Po prostu ty go nie zauważałeś!

A ja stałem i myślałem: ona nigdy, nigdy nie miała w ł a s n e g o domu, żeby ozdobić go takimi ochronnymi lustrami. Czy kiedykolwiek będzie miała? I taki żal ścisnął mi serce, jakby moja ukochana nie stała obok mnie, ale była już daleko. Bezwrotnie daleko.

*

...Jej obojętność, jeśli chodzi o miejsce zamieszkania, zawsze mnie zadziwiała, a czasami wręcz wprawiała w zakłopotanie. Zwłaszcza kiedy bardzo się starałem, szukając dla nas w Internecie jakiegoś wyjątkowego, przytulnego lokum.

Nie, źle powiedziałem: była to nie obojętność, tylko zupełna beztroska, radość z byle jakiego kąta. Potulność cyrkowego wędrowca. Kiedy dumnie otwierałem na oścież drzwi do naszego pokoju w uroczej starej willi pod Florencją, z wytwórną win i stadnią koni w okolicy, i pytałem:

- No i jak?!

Odpowiadała z radosną euforią niczym posłuszne dziecko:

- Tu jest wspaniale!

I z taką samą radosną euforią powtórzyła to na progu jakiegoś przypadkowego, podrzędneho motelu na granicy Belgii i Holandii, gdzie w drodze dopadło nas zmęczenie:

- Tu jest wspaniale!

- A co tu wspaniałego, potworze?! - wrzeszczałem obrażony.

- Cygańskie dziecko, hołoto cyrkowa!

Być może w takich chwilach głośno przemawiało przeze mnie miasto Gurjew...?

Chociaż pewnego razu trafiliśmy do naprawdę bajkowego miejsca, które wprawiło ją w niesamowity dziecienny zachwyt.

Zdarzyło się to w Karłowych Warach. W Grand Hotel Pupp, wybudowanym w pompatycznym osiemnastym wieku z jego pysznym barokiem, nadmiarem sztukaterii, połączanymi arabeskami na żeliwnych poręczach i frontonami pełnymi aniołków grających na harfach.

Coś musieli tam pokręcić z moją rezerwacją - chciałem taniego, choć i tak niesamowicie drogiego pokoju dla dwóch osób - i z przepaszającym uśmiechem przykładając plastikowe kartoniki do elektronicznych zamków w drzwiach, tłumaczyli mi, że muszą umieścić nas w luksusowym apartamencie. „Dworzak” - tu spojrzenie na mój futerał - będzie do pana pasował. Do diabła z wami, pomyślałem, niech będzie apartament. Niech będzie Dworzak...

Były to dwie niezwykle wysokie sale balowe.

Na suficie ze sztukaterią pięły się girlandy liści i wypukłych alabastrowych róż. Słodkie tyłeczki mieszały się z biustami, wstążki i kwiatki owijały czyjeś nóżki, a cały ten bachiczny korowód krążył wokół kryształowego, nisko zawisającego żyrandola ...

Roztańczone włoskie meble gotowe były zerwać się do kadryła. Na ścianach wisiały niezłe stare obrazy w połączanych ramach, a z portretów melancholijnie spoglądali Mendelssohn, Chopin i Smetana.

W kącie sali połyskiwał, niczym wielki blok masła, starodawny kafłowy piec z dwiema na amen zaryglowanymi zasuwami z brązu. Na górze, finezyjnie wygiętej na wzór chińskich pagód, pewien żartowniś - cukiernik¹³⁴ poupychał wiązanki kremowych ceramicznych róż i lilii w wiklinowych koszykach. Po czym odsunął się, ocenił, cmoknął i wycisnął z tubki ostatni delikatny listek...

Otworzyłem szeroko ogromne drzwi i wyszedłem na balkon: miał kształt kosza uplecionego z żeliwnych rozłożystych liści. Z dwóch kolumn na jego przeciwległych końcach wyrastały dwie rzeźbione postacie - męska i kobieca. Na ich głowach spoczywały dwa kędzierzawe kapitele niczym kosze z owocami. Oboje - i on, i ona - stali z rękami zarzuconymi za głowę i zaglądali sobie pod pachy: facet - z krzywym grymasem niesmaku na brodatej twarzy, a młoda Greczynka w tunice - z wyrazem zakłopotania, a nawet skruchy. Między jej ostrym podbródkiem a sterczącym sutkiem niewielkiej piersi poruszała się cienka pajęczyna.

134 Budowla została ufundowana przez słynnego cukiernika J.G. Puppa.

Oparłem się o barierkę. W dole, promenadą wzdłuż parującej Tepli, dostojnie kroczyło aż pięć - okutanych w czarne suknie i chusty - arabskich żon. Rzuciłem przez ramię uwagę, iż najwidoczniej sam prorok Mahomet każe organizować w tutejszym uzdrowisku radosne bzykanka.

Oszołomieni całym tym pałacowym przepychem błędziliśmy po dwóch przestronnych salach, włączając i wyłączając stojące i wiszące lampy, podziwiając malunki, zaglądając do szaf i znajdując a to sejf, a to jeszcze jakieś dodatkowe tajemnicze urządzenie - nie wiadomo do czego służące.

Na koniec zajrzeliśmy do łazienki.

Warta była apartamentu - ogromna, podłużna, w marmurze, trochę mroczna, stylizowana na rzymskie łaźnie. Z ciągiem lusterek przymocowanych do ściany kinkietami z brązu.

- To tu - powiedziałem - po przeczytaniu listu Cezara trzeba podciąć sobie żyły i pogrążyć się w wiecznym śnie...

Anna zatrzymała się przed marmurową lamperią z dwiema mozaikowymi umywalkami; na półkach stały koszyczki z pachnącymi drobiazgami do kąpielii oraz świece w lichtarzach z brązu. Popatrzyła w lustro i radośnie podniecona zawołała:

- Co tam się dzieje! Jaka rozpusta! Nawet sobie nie wyobrażasz...!

Objąłem ją z tyłu, przytuliłem i cicho zapytałem:

- Co? Rzymskie uciechy?

- Tak! - Roześmiała się, ledwie reagując na dotyk moich rąk, które ukradkiem podciągnęły i szybko zdjęły z niej sweterek...

I jak zwykle, nagle poddając się i niemal tracąc przytomność, powtórzyła:

- Tak!

- A tak? - zapytałem, muskając ustami jej gorącą nagą szyję, a moje palce, jakby przebiegając po przyciskach fagotu, już rozpinały guzik i suwak jej dzinsów.

- Ta-a-ak... - wyszeptała z przeciągłym, stłumionym jękiem.

- I tak?!

- Tak! Tak!

- I tak?!

A ona, jakby miała w malignie wyschnięte gardło, kilka razy z rzędu, coraz bardziej rytmicznie i wściekle, wykrzyczała:

- Tak! Tak! Tak! Tak!

I dwa instrumenty błyskawicznie, z półtonu, zestroiły się w przez lata zgrany duet:

krótkie nawoływanie, kilka próbnych taktów i... zerwało się allegro vivace, błogie, niezmiernie piękne, nawet jeśli znasz je na pamięć...

...W tym zawsze była niezwykle muzykalna... i dyrygowanie utworem całkowicie powierzałem jej czujnym biodrom, które ledwie zauważalnym ruchem mogły wskazać smyczkom, by przystopowały i przeszły na *ada-agio*, albo nawet na *la-argo*... i szerokimi swobodnymi kontrapunktami - *staccato* czy *legato* - powtórzyły niespodziewany temat dętych... pozwalając zagrać mistrzowskie solo fagotowi... i niech ten podtrzyma fermatę... nieważką trwającą chwilę... zwłaszcza przed kodą, która... która, no wiesz, już nadciąga z naporem i niepowstrzymanie i... oto... oto... i oto zaraz... w finałowych taktach tutti całej orkiestry...

W tym momencie przeniosłem wzrok z jej niewyobrażalnie płaskich smyczkowych pleców na lustro... i nagle zrozumiałem, że nie gramy w duecie. Nie! To był kwartet, a para w lustrze poruszała się w nieco innym rytmie, spóźniając się odrobinę, jak lustrzane echo powtarzając i zapamiętując najdrobniejsze ruchy naszych rąk, brzuchów, bioder i sutków... A więc partytura była bardziej skomplikowana, niż sądziłem... I muzyk w lustrze, bezczelny satyr, w nie do końca rozpiętej w pośpiechu koszuli ukazującej siwą pierś, chyba nawet puścił do mnie oko, chcąc podać mi takt...

.. ale wyczerpująco długie rondo mknęło już ku finałowi; cały wysiłek fizyczny i oddechy muzyków były skupione na ostatnim, omdlewająco błogim wschodzącym pasażu...

Rozbrzmiały triumfalne dźwięki instrumentów perkusyjnych!

Mocny finałowy akord, słodko gasnący w głębi ciał jeszcze przez kilka sekund...

I krótka chwila nieistnienia...

Włączyłem szum oklasków, stając pod włoskim prysznicem w tej wspaniale wyposażonej łazience...

Część piąta

Skończą się pociski, skończy się wojna.
Przy ogrodzeniu w zmroku sama
Będiesz stała pod tymi murami,
Pod tymi murami
Stała i na mnie czekała,

Lili Marlene

W samolocie zdrzemnęła się i we śnie znów leciała pod niebiosami, nad wodną lustrzaną gładzią, w której odbijała się płonąca piętka słońca.

Kiedy otworzyła oczy i spojrzała w iluminator, zobaczyła przepływające w dole górzyste wyspy z pajęczynami dróg, podobne do map plastycznych, które w dzieciństwie razem z Ariszą robiła na lekcję geografii: rozmazana na kawałku kartonu zielona plastelina była równiną, brązową zbierały na kupkę i formowały góry, jak garby wielbłąda. Skorupa rozłupanego na pół orzecha włoskiego udawała wyspy. Układały ją grzbietem jak u skarabeusza do góry i zachwycaly się - ależ pięknie! Arisza miała umazane plasteliną palce, nos, podbródek. Była kolorowa niczym klaun - ze swoim chytrze zezującym okiem - i patrzac na chichoczącą Niutę, żałośnie pytała:

- Jestem ładna?

I ona, śmiejąc się, odpowiadała:

- Potwornie!

W fotelu obok siedział młody misjonarz - chyba baptysta. Przez cały czas czytał jakąś książkę, a może tylko ją kartkował. Anna zerknęła kątem oka - był to podręcznik do nauczania wiernych. Rozdziałiki miały rozczulające tytuły: *Podążaj duszą ku niebu, Rozjaśnij wzrok modlitwą...* Dobra, błogosławiona książka bez treści.

Na początku lotu zamienili parę zdań, po czym Anna, obawiając się serdecznej rozmowy, szybko zamknęła oczy. Ale tym razem ją przyłapał. A może zauważył przelotne zainteresowanie książką.

- Chce pani obejrzeć? - zapytał z uprzejmą gorliwością.

- Nie, dziękuję - odparła zbyt pośpiesznie. Niegrzecznie.

Ale chłopak nie na próżno uczył się na jakichś tam kursach werbowania ludzi.

- Nawet sobie pani nie wyobraża, jaką światłość, jaką jasność i przenikliwość spojrzenia zsyła Pan po szczerej modlitwie! - ogłosił z przejęciem.

- Co pan powie - uprzejmie rzuciła Anna.

- Naprawdę! Będzie pani wstrząśnięta, pani zdolność percepcji tak się wyostrzy, że zacznie pani czytać w myślach!

- No, tu już pan przesadził, mój drogi - odezwała się niechętnie. - Kto w to uwierzy!

I odwróciła się.

W dole, pośrodku morskiego granatu, dostrzegła statek z białym jak piórko śladem ciągnącym się za rufą.

W Indianapolis lądowali o zmroku. Miasto jaśniało światłami przypominającymi grudki koralu i wielki płonący wiór, jakby zamieciony do kąta gigantyczną miotłą.

Eliezer jak zwykle wyjechał po nią swoim starym fordem. Sam też był stary, gruby i łysy...

Kiedy odwiedziła go po raz pierwszy, nie mogła przyzwycząić się do dużych zmian, które w nim zaszły: okazało się bowiem, że jego ogromna głowa była zaledwie niewielką donicą dla wspaniałego kłującego krzaka czarnych niczym smoła włosów. A kiedy krzak stracił liście, donica zmurszała. Tylko duży nos i ironicznie wytrzeszczone oczy-wisienki pozostały takie jak przedtem...

Eliezer nerwowo krzątał się wokół niej, ciężko kołysząc się na boki. Znow próbował zabrać jej nic nieważący plecaczek, a w samochodzie zaczął otulać jej nogi kocem.

- Przeziębisz się, Niuto, mówię ci! Taki tu parszywy klimat!

- Świetnie, że nauczyłeś się prowadzić - zauważyła i tym razem.

- To po śmierci Abrama. Musiałem się nauczyć samodzielności.

- Spojrzał na nią z ukosa i pochwalił się jak dziecko: - I nauczyłem się!

Podjechali pod Regency Park. Był to piętrowy budynek, podobny do tych, które w jej poprzednim cyrkowym życiu nazywano hotelami robotniczymi: długi korytarz i drzwi po obu stronach prowadzące do mikroskopijnych mieszkań - dwa pokoje, łazienka i wnęka z kuchenką i szafką.

Weszli na pierwsze piętro i powoli ruszyli korytarzem. Zauważyła, że Eliezer ma poważne problemy z poruszaniem się. A on zawsze wykorzystywał okazję, by pochwalić się Niutą.

- Córka przyjechała, Eliezerze Markowiczu?

- Có-órka, có-órka...

Co to jest córka, stare krowy? To osobny człowiek, wydobyty na światło dzienne z mętnego nasienia mojego ciała... Nie, nie jest moją córką. Jest moją duszą w lustrzanym odbiciu...

Przez otwarte na oścież drzwi dobiegały fragmenty rozmów prowadzonych po rosyjsku.

- Była bardzo twarda! Miała dziewięćdziesiąt pięć lat! Chciała już umrzeć i umarła.

- *Kamo-on!* Jak to: chciała umrzeć! Wszyscy chcą!

- A tak to! Wieczorem powiedziała: „Koniec. Jestem zmęczona. Mam już tego dość!”.

I nazajutrz znaleźli ją w mieszkaniu martwą. Nie zamknęła drzwi, żeby nie trzeba było wyłamywać zamka.

- *Kamo-on!* A jak to zrobiła?

- Nic nie zrobiła! Po prostu umarła. Miała twardy charakter. Chciała umrzeć i umarła!

- Wiesz co - powiedział dumnie Eliezer, przekręcając klucz w zamku. - Zamówiłem jedzenie w chińskiej knajpce, tu, po sąsiedzku. Wygląda zachęcająco!

- No to świetnie!

Weszli do pokoju, który nazywał jej pokojem. Stały tu kanapa, okrągły stół obiadowy, komódka i krzesła. Drzwi po prawej prowadziły do sypialni, tak samo małej, schludnej i staromodnie urządzonej. Jak w typowym zadbanym kijowskim mieszkanku.

Na ścianie wisiało zdjęcie zmarłego brata bliźniaka, który jeszcze bardziej przypominał negatyw Eliezera, i wydawał się całkiem zadowolony ze swojego pełnego i ostatecznego wcielenia. Anna zawsze unikała patrzenia na to zdjęcie.

Jednak odpadłaś, biała głowo...

- Nie chciałem ciągnąć cię do naszej stołówki - powiedział Eliezer, zawiązując fartuch na brzuchu. - Dają tam zwykle paskudne amerykańskie zarcie. No, myj ręce i siadaj do stołu. Wszystko już przygotowałem.

I kiedy myła ręce, krzyczał z mikroskopijnej wnęki kuchennej:

- Mamy tu coś podobnego do pensjonatu i czasami udaje mi się załapać na darmowe jedzenie. Ale przecież nie każdego dnia odwiedza mnie mój anioł Niuta, pomyślałem. Prawda?

- Prawda! - zgodziła się, wychodząc z klitki nazywanej łazienką.

Najważniejsze to dalej udawać świetny nastrój i zmusić się do jedzenia. Chińska kuchnia bywa całkiem niezła.

Starła się go odwiedzać przy każdej okazji. Nawet do Sieni nie wpadała tak często. I za każdym razem musiała wysłuchiwać szczegółowych wiadomości z życia Eliezera, począwszy od roku siedemdziesiątego ósmego, kiedy to brat przywłókł go za włosy do błogosławionej Ameryki. Gdyby ktoś jej powiedział, że Eliezer ma szybko postępującego alzheimera, plunęłaby mu w twarz.

- Da się tu żyć! - wciąż krzyczał, nie zwracając na nią uwagi. - Raz w tygodniu przyjeżdża autobus z debilnym czarnym kierowcą, którego, nie rozumiem czemu, nie można nazywać Murzynem... No to jak ja mam go nazywać, tego kretyna? Zabiera nas na zakupy!

- Słyszę - powiedziała. - No dawaj, co tam masz do zarcia!

- Będiesz się ze mnie śmiała, ale koperek mam własny. Widzisz skrzynkę na balkonie? Głupki sadzą kwiatki, a ja hoduję coś pożytecznego.

Przymknęła oczy i pomyślała: Boże... nikt, nikt prócz mnie nie wie, że ten gruby

stuknięty człowiek z koperkiem na balkonie mógłby być wielkim naukowcem... I że jego geniusz, jego ufna, czuła natura zostały zdeptane przez zazdrosnego i okrutnego białego odmieńca.

- Dzielny jesteś! - oświadczyła.

- Mam nadzieję, że zostaniesz u mnie choć na parę dni?

Za każdym razem miał nadzieję, że zostanie u niego na parę dni.

- Nie, mój drogi... Jutro muszę być w Chicago. Już zamówiłam sobie motocykl.

Podczas kolacji zdawała mu relację ze swoich spraw. Żądał najdrobniejszych szczegółów: „I co mu odpowiedziałas?” - „Zuch dziewczyna, a on co na to?” - „Ależ bzdury, tam wszystko można wyliczyć co do milimetra i całość zbudować z wklęsłych i sferycznych luster!” - „Dobrze! A kiedy on wraca z Ameryki?”.

Z zapalem mu przytakiwała, odpowiadała, odpierała kontrargumenty, zadawała pytania, często mając wrażenie, że gada do siebie. A on - do siebie. I ta lekka, czasem nawet jakby niema rozmowa, w ostatnich latach była dla niej chyba jedynym, co ją uspokajało.

Interesowały go takie bzdury, że wprost nie mogła się nadziwić: jak ten genialny człowiek, radzący sobie z najbardziej skomplikowanymi wywodami, jednocześnie może się dopytywać, dlaczego w Cirque du Soleil nie opłacają urlopów pracownikom na kontraktach? Ale co mają do tego pracownicy na kontraktach, zapytała, czegoś się tak uczepił - i jak często się ostatnio zdarzało, przyłapała się na tym, że nie wypowiedziała tego na głos, tylko pomyślała.

- No i jak ci smakuje ta kaczka? - zapytał Eliezer, przeżuwając ze smakiem, a jego potrójny podbródek drżał i falował. - Niezła, co?

- Pyszna!

Chociaż akurat tej knajpki zdecydowanie nie można było zaliczyć do najlepszych, jeśli chodzi o kuchnię chińską.

- Chcesz odpocząć? - zapytał ją po kolacji. - Połóż się na kanapie, zaraz przyniosę ci koc.

Nie trzeba, nie jestem zmęczona... rzuciła w ślad za nim, a tak naprawdę tylko pomyślała.

Kiedy Eliezer wygrzebał koc z szafy i wrócił do pokoju, Niuta już spała w fotelu z odrzuconą do tyłu głową jak zmęczone bieganiem dziecko.

Cichutko ją przykrył, usiadł w fotelu obok i zaczął jej się przyglądać.

Czasami miał wrażenie, że w ogóle się nie zmieniła. W każdym razie nie zaszła w jej wyglądzie żadna zmiana na gorsze, co się przydarza większości ludzi po czterdziestce. To

zrozumiałe, to jej cyrkowe przygotowanie, motocykl, kaskaderskie życie... Idiocyzm, jak się dobrze zastanowić... Boże, jakim idiocyzmem jest całe życie tej kochanej dziewczynki! I nawet teraz, teraz... te głośne idiotyczne widowiska - czy do tego został stworzony jej ostry, bystry, jasny umysł?

Czy po to szlifują na boskich obrabiarkach tak znakomite egzemplarze ludzkiego gatunku?

Patrzył na nią, nie odrywając oczu, i mógłby tak patrzeć w nieskończoność, czując spokój i szczęście na jej widok. Czasami - może to było z jego strony szaleństwem - wydawało mu się, że patrzy na siebie samego, że to on teraz poruszył ręką i westchnął, pogrążony we śnie. Dziwne: będąc bliźniakiem, czuł, że jego prawdziwym duchowym odbiciem jest nie brat, tylko ta dziewczynka, przypadkowo spotkana trzydzieści lat temu w klubie zakładów mleczarskich. To było całkowite pokrewieństwo dusz i nikt nie wiedział o tym, że przez te wszystkie długie lata rozłąki ciągle powtarzał jej imię, mówiąc do siebie: „Widzisz, Niuto, zdążyłem i naczynia pozmywać, i spodnie uprać...”.

Po dwudziestu minutach obudziła ją głośna rozmowa na korytarzu:

- Faniu, proszę pamiętać, że jestem pani winna półtora dolara!

- Och, niech pani nie żartuje!

W pokoju paliła się lampka. Eliezer siedział w fotelu wyciszony, smutny, z własnym negatywem za plecami.

Nagle przypomniał jej się zatęchły zapach pasty do butów w ciemnym krętym korytarzu jego komunalni na Podole. Paskudna woń mieszanki szuwaksu, maści do nart i przypalonej kaszy w kuchni. Skradające się kroki tuż za nią i nagły strach, od którego ścierpła jej skóra na głowie.

- Stój! - glucho rzucił odmieniec, dopadając ją przy drzwiach i chwytając za ramię. - Zatrzymaj się!

Stali w ciemnym korytarzu, ciężko dysząc, jakby biegły na wyścigi: jej pospieszny przerywany oddech i jego rozloszczone sapanie.

- Przecież zabroniłem ci tu przychodzić! Kazałem zostawić brata w spokoju!

Nie odezwała się, nie mając siły oderwać wzroku od koszmarnej obrazki: migających w ciemności korytarza białych włosów i pary, jakby zawieszonych w pustce, białych brwi.

- Słyszysz mnie?! Nie rozumiesz po dobroci, uparta szmato?! Nie pozwolę, by przez ciebie całkiem zwariował! Zabiorę go stąd, rozumiesz?! Zabiorę daleko i na zawsze!

- Nie na zawsze! - wyszeptala z zapartym tchem, przerażona, że zaraz powie coś,

czego mówić nie powinna, a jednak musi to zrobić: - Umrzesz tam, i to niedługo. Zostanie sam. A ja go odnajdę!

Ciemność pękła od dźwięku wymierzonego policzka, rozbłysła w lustrach, tak ją oślepiając, że nie od razu zrozumiała, że została uderzona!

- *S-suka!!! - wysyczał jej w twarz i tak samo szybko oddalił się korytarzem...*

- Nie, Faniu, nie lubię mieć długów!

Eliezer opuścił plastikową nóżkę starej kijowskiej lampy, żeby światło nie raziło Anny w oczy. Siedział, podpierając dłonią gruby zwiędły policzek i spoglądając na nią z niepokojem.

Biedak, tak jej wyczekiwał, a ona znów wpadła do niego na jeden dzień, i w dodatku zasnęła.

- Wyglądasz na zmęczoną - powiedział cicho. - Ty w ogóle nie odpoczywasz, w ogóle. Na urlopie nie byłaś od lat.

- Na urlopie?! O czym ty mówisz?

- Musisz pojechać do sanatorium.

- Urlop... Sanatorium... - mruknęła. - Chyba wcale nie wyjechałeś ze swojego Kijowa, wcale.

Uśmiechnął się jak dziecko i powiedział:

- Przypomniało mi się niedawno, jaka byłaś zdziwiona, kiedy zrozumiałaś, że nie potrafię czytać w twoich myślach. Myślałaś, że zdolność widzenia w lustrach jest związana...

- Wiesz, rzeczywiście czuję się bardzo zmęczona - przerwała mu. - Często boli mnie głowa. Ale nie to jest najważniejsze.

Zamilkła. A później spojrzała na niego i powtórzyła:

- Nie to jest najważniejsze. Lustro robią się mętne, Eliezerze... utleniają się czy... - chciała coś dodać, ale zrezygnowała. I w zamyśleniu zauważyła: - Starych lusterek nie ma czym zastąpić...

Przyniósł czajnik, nalał esencji z gżelskiego imbryczka, a potem przegotowanej wody, ukroił cienki plasterki cytryny i z noża zsunął do jej filiżanki.

- Eliezer...? - zapytała nagle. - Po co ja żyję?

A on nie uśmiechnął się w odpowiedzi, jak zwykle. Serce mu się ścisnęło.

- Chyba po to - odparł po chwili milczenia - żeby pokazać ludziom, jakimi mogą być.

- Czyli jakimi? - Skrzywiła się. - Przecież jestem potworem. Wpędziłam do grobu swoich rodziców: niewinnych ludzi, którzy mnie przygarnęli, uratowali mi życie i kochali bezwarunkowo. Doprowadziłam Maszutę do obłądzenia, a ojciec, człowiek bezgranicznie dobry i

kochający, po prostu zgasł po jej śmierci, bo nie miał siły bez niej żyć. A ja zostawiłam go samego... Że niby najważniejsze, by Christina prała mu gacie i gotowała kaszkę. Wysyłałam im pieniądze. Nigdy nie przywiązywałam wagi do tych papierków... Lustra: oto co mnie fascynowało. Taka jest moja natura... Nikomu nie sprawiłam ani trochę radości. Tylko same nieszczęścia sprowadzam. Wiesz, że już się mnie boją. Uważają, że jestem wiedźmą. Jeszcze nie mówią mi tego otwarcie, ale wielu myśli, że mój udział w jakimkolwiek przedsięwzięciu to zły znak. A teraz Philippe Gautier waha się, bo nie wie, czy chce mieć ze mną do czynienia.

Uniosła głowę i miękko się do niego uśmiechnęła.

- Powiedz mi, Eliezerze: czy znalazłam się tu tylko po to, żeby wykonać kilka cyrkowych trików i wymyślić parę lustrzanych sztuczek? I tyle? Salwy ze wszystkich armat... dla zupełnej głupoty...?

- Nie mów tak! - przerwał jej z oburzeniem. - Nie masz racji! Nie masz prawa siebie osądzać! To nie należy do ciebie! - Podniósł się: gruby, niezgrabny, z drżącymi rękami, którymi wymachiwał w tym pokoiku tak nieostroźnie, że aż dziw, że nie zbił lampy na stole albo nie zrzucił ze ściany zdjęcie brata. - A może ty sama, po prostu taka, jaka jesteś... to nadzieja na przyszłe życie? Może jesteś takim pozdrowieniem Stwórcy, jego uśmiechem, zajączkiem słonecznym, które On, niczym dziecko, puszcza na Ziemię, bawiąc się swoim niebieskim lusterkiem i próbując zwrócić na siebie uwagę ludzi?

Niewesoło się roześmiała, co strasznie go rozzłościło.

- Oczerniasz siebie, niepotrzebnie siebie oczerniasz! - krzyknął. - Jesteś wspaniała! Jesteś uczciwym, szczerym człowiekiem. Po prostu nigdy nie potrafiłaś kłamać, i to wszystko. W tym całe twoje nieszczęście!

- Kłamałam - zaprzeczyła. - Dzisiaj pochwaliłam tę paskudną kaczkę z restauracji.

- No widzisz... - westchnął ze znużeniem. - Nawet teraz nie potrafisz się przyznać.

Zamilkli. Siedzieli w półmroku, nasłuchując zamierających dźwięków na korytarzu.

- Wiesz co - odezwał się. - Tylko tobie mogę o tym powiedzieć: po śmierci Abrama poczułem ulgę. Czy to nie bluźnierstwo?

- Nie.

- Jesteś jedyną osobą, której odważyłem się do tego przyznać.

- Ponieważ jestem cyniczna i zimna jak wciągające bagno? - Uśmiechnęła się. - I przetrawię każde wyznanie?

- Nie! Ponieważ jesteś spokojna i głęboka jak zapadlina oceaniczna. Pochłoniesz wszystko, każde moje wyznanie - odparł. - Tak, zniknęła para oczu, która przez całe życie

krytycznie mnie obserwowala... Całe życie spędziłem pod czujnym okiem swego odbicia. Ten, kto sądzi, że bliźniakom jest łatwiej, nic nie rozumie. A teraz mówię do niego: śpij spokojnie, Bumo... i biorę sobie jeszcze jednego cukierka.

- Lepiej z tym nie przesadzaj - wtrąciła.

Nagle załkał i pospiesznie wytarł dłonią oczy.

- Prócz Abrama byłem przywiązany tylko do jednego człowieka na świecie - powiedział. - Do ciebie.

- Wiem.

- Nawet płakałem, kiedy mnie zabierał.

- No, uspokój się. To wszystko jest już za tobą.

- Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, po co był ci ten chłopak, twój mąż...

- Przestań. I to minęło...

- ...nie mówiąc już o niewłaściwych stosunkach z tym starym muzykiem bez dachu nad głową, bez przyszłości, bez...

Milczała.

- Nie - zreflektował się. - Bez wątpienia jest utalentowany! Tej płyty z koncertami Vivaldiego, którą przywiozłaś mi poprzednio, słuchałem bez przerwy: jakie to szczęście słuchać brzmienia jego fagotu! Dziwny instrument, jakby coś w ślad za tobą dopowiadał, żegnając się, żegnając i żegnając... W nieskończoność...

Nadal się nie odzywała, przymknawszy oczy.

- Chciałem ci jednak powiedzieć, że jesteś jeszcze młoda, pełna sił twórczych i taka różnica wieku wcale nie... Musisz pomyśleć o przyszłości, Niuto!

- Już nie muszę - ucięła takim tonem, że Eliezer zamilkł.

Rankiem jak zwykle zjedli śniadanie i sprawdzili obliczenia, które przygotowywała dla Philippe'a. I jak później wspominał Eliezer w rozmowie ze śledczym z Interpolu, była zadowolona z jego pochwały. Nawet zanotowała kilka jego uwag. W ogóle wyglądała całkiem normalnie.

Jakby wcale nie było wczorajszej rozmowy.

Po dwunastej jakiś młodociany głupek Afroamerykanin ze zwisającymi na tyłku obszernymi dzinsami przyprowadził zamówiony przez Annę sportowy motocykl. Eliezer zmusił ją jeszcze do wypicia herbaty, na d r o g ę, i zjedzenia kawałka tortu kijowskiego¹³⁵ kupionego w r o s y j s k i m sklepie.

¹³⁵ Tort kijowski - tort beżowy z kremem śmietankowym i dużymi kawałkami orzechów, firmowy produkt miasta.

- I to ma być kijowski! - oburzał się. - Pamiętasz prawdziwy kijowski? Wypiekano go w zakładach imienia Karola Marksa, w takich staroświeckich okopconych piecach sprzed dwustu lat. Kiedy przeprowadzano reorganizację i remont fabryki, dyrektor, mądry człowiek, zgodził się na wymianę całego wyposażenia prócz tych pieców. Domyślił się, że cały sekret niepowtarzalnego smaku prawdziwego tortu kijowskiego kryje się właśnie w owych piecach...

Wreszcie wyszli na zewnątrz. Pożegnali się na schodach. Nie pozwoliła mu iść dalej, żeby nie płatał jej się pod nogami, kiedy będzie sprawdzała koła i olej w silniku.

Eliezer nienawidził momentu, kiedy wkładała kask i te ogromne miękkie rękawice, od razu przeistaczając się w Marsjankę i unosząc się myślami gdzieś daleko, zanim motocykl zacznie furczeć, ryczeć i ujadać... i nic już nie będzie słychać. Ani jednego słowa...

Ona zaś myślała tylko o tym, że zaraz jak zwykle zapyta ją...

I on, jak zwykle, błagalnie patrząc w oczy, zapytał:

- Niuto, mój aniele... Czy jeszcze się zobaczymy?

Wsiadła na biker, uniosła podpórkę, obejrzała się i rzuciła:

- Nie!

Odpaliła silnik i ruszyła z miejsca, by powoli okrążyć podwórko i wrócić do niego: stojącego na schodach samotnego grubasa.

- Masz problem z nogami, Eliezerze! - zawołała, przekrzykując ryk motocykla. - Uważaj na nogi!

A on stał i patrzył, jak jej delikatna i niezmiernie mu droga postać oddala się bulwarem Golby w stronę Osiemdziesiątej Szóstej Ulicy. Na skrzyżowaniu z Meridian Anna przechyliła maszynę, jakby natknęła się na niespodziewaną przeszkodę, przecięła zakręt i znikła.

*

René Burdieu stał obok recepcji biurowca Cirque du Soleil i rozmawiał przez telefon. Zobaczywszy Annę, przerwał na chwilę i unióś rękę, by ją pozdrowić i jednocześnie zatrzymać. Przystanęła, czekając, aż René skończy rozmowę, i nie spojrzała w głąb holu, gdzie na wysokim trójnogu między dwiema palmami w donicach wystawiono portret w czarnej ramce.

Ciekawe, czy René jest tu sam, czy z Sophie?

Ta para tancerzy była już po sześćdziesiątce. Kiedyś, w młodości, występowali w słynnych europejskich salach dansingowych.

Zgrabni, zwinni, elegancyści... Patrząc na smagłą, opaloną Sophie, Anna zawsze myślała o wiolonczeli - tej, która stała w ciemnym zakątku komunałki, oparta o ścianę

wypolerowanym bokiem.

Jakiś mądrała z castingu przejrzał stare afisze i odnalazł tancerzy, od dawna niebędących razem. Zaproszono ich do wzięcia udziału w erotycznym show, który, według pomysłu reżysera i choreografa, miał wysławiać miłość w każdym wieku. I ta niemłoda para z takim - już ostatnim - żarem przystąpiła do pracy, że nawet chyba znów zaczęła ze sobą romansować.

René był sympatycznym człowiekiem, ale wieczorkiem lubił wypić w towarzystwie i wtedy stawał się nieco uciążliwy. Niby w młodości przyjaźnił się z Edith Piaf, wówczas już u schyłku kariery, i zawsze dawał do zrozumienia, że był z nią w bardzo, i to bardzo bliskich stosunkach. No cóż, czemu nie? Do tej pory prezentował piękne ciało. Twarz miał całą poraną drobnymi zmarszczkami, ale postawę zachował młodzieńczą. Zresztą oboje z Sophie chyba mieli w środku jakąś sprężynę, niczym szkatułka muzyczna, którą wystarczy przekręcić do oporu, by potem w nieskończoność słuchać *Ach, mój miły Augustynie* czy choćby *Lili Marlene*.

Anna lubiła oglądać ich występy. Tańczyli nago, demonstrując ekspresyjne łączenie bioder i rąk... W takich chwilach zwykle myślała o sobie i Sieni.

Wreszcie René odłożył słuchawkę i odwrócił się do Anny.

- Już wiesz? - zapytał, wskazując ręką w stronę trójnogu z portretem i uważnie patrząc jej w oczy. Najwyraźniej postanowił dowiedzieć się wszystkiego, i to natychmiast, na prawach przyjaciela.

Każdy zacznie teraz obserwować jej twarz, szukając w niej mrocznych przepowiedni dla siebie. Wielu zapobiegliwie będzie trzymać się od niej jak najdalej - tak na wszelki wypadek.

- O czym ty mówisz? - zapytała, próbując zachować spokój.

- Nie czytałaś w gazetach?

- Nie czytuję gazet, René.

- Jak można w naszych czasach nie czytać gazet!

- Jeśli chcesz mi opowiedzieć, co tam wyczytałaś, rób to szybciej, bo mi się spieszy.

Spojrzał w jej nieprzeniknioną twarz z jeszcze większym niepokojem. Widać było, z jaką ciekawością przysłuchują się ich rozmowie dziewczyny w recepcji.

Zawsze to samo...

- Mówisz poważnie?! - zawołał René. - Zginęła Hélène, ta nowa rosyjska akrobatka. Zaplątała się w lonżę. Udusiła się w pętli!

- O! - Anna uniosła brwi, jednocześnie przypominając sobie, jak to robiła zmarła. -

Potworne. Biedaczka... I czego tak się na mnie gapisz, jakbym była prorokiem Eliaszem?

Zmieszał się, a nawet opuścił wzrok, ale po chwili powiedział stanowczym głosem:

- Wszyscy wiedzą, Anno, że przewidziałaś jej śmierć.

- Naprawdę? Tako rzecze Zaratustra?

- Geneviève twierdzi, że wiedziałaś. Choć ona całkiem oszalała, wygaduje o tobie straszne rzeczy... Ale zaklina się na wszystkie świętości, że wiedziałaś, że Hélène zginie. A jeśli rzeczywiście tak było... czy nie wydaje ci się, że powinnaś była tę dziewczynę uprzedzić?

- Czy nie wydaje ci się, René - odparła - że zaraz poślę cię w diabły?

Do lobby zeszła sekretarka Philippe'a.

- Pani Nesterenko? Pan Gautier czeka na panią.

Ta też się gapi. Myśli ma żalosalne, chaotyczne, tchórzliwe... Chciałaby zapytać, czy po strasznej awanturze William jeszcze zadzwoni, ale potwornie się boi. Tak, ta siksa po prostu się mnie boi.

To koniec, myślała, idąc na górę za sekretarką. I po co ci ta ostatnia scena, którą ten szczywany lis zaraz przed tobą odegra? Co to - idiotyczne poczucie obowiązku? Bezsensowne dążenie, by doprowadzić sprawę do finału? Czy zwyczajne lenistwo, które sprawia, że do końca oglądasz szmirowaty serial, bo nie chce ci się wyciągnąć ręki i wyłączyć telewizora?

Sekretarka podniosła słuchawkę telefonu na swoim biurku:

- Panie Gautier, pani Nesterenko już jest... okej, okej... - I w stronę Anny, przymilnie, ale i z obawą: - Proszę, może pani wejść.

W progu natknęła się na Philippe'a, który spieszył się, by ją przywitać. Mało nie padła mu w ramiona w nagle otwartych drzwiach.

- Anne, cieszę się, że cię widzę! Siadaj, moja droga... Napij się czegoś? Kawy? A może zjesz kanapkę? No, jak chcesz... Co u ciebie, jak wyjazd do Europy?

I tak dalej, i tak dalej...

Przez parę minut rozmawiali o sytuacji małych wędrownych cyrków w Europie. Philippe przywołał na twarzy wyraz zainteresowania i jak zwykle kiwał czubkiem buta w takt jakiejś melodyjki. Nie, nie był niezdarnym krętaczem. Był mistrzem intrygi; w przeciwnym razie nie zaszedłby tak wysoko. A najzabawniejsze, że Anna mu się podobała. I jej pomysł podobał mu się bardziej od innych. Ale Philippe nigdy nie kierował się odruchem serca... Czy on w ogóle miał takie odruchy? Nie mógł sobie pozwolić na taką przyjemność. Tworzył mapę pola walki, biorąc pod uwagę najdrobniejsze szczegóły terenu i obliczając, skąd powieje wiatr. I zawsze wygrywał!

Żebyś wiedział, pomyślała, jak łatwo by mi było zrobić z ciebie swego oddanego sprzymierzeńca, płomiennego towarzysza, który nawet będzie mnie poganiał, zniecierpliwiony: szybciej, szybciej, bierzmy się do roboty!

Rok. Cały rok straciła na to, by stosunki między nimi dobrze się układały. By dalej mogli się szanować. Przecież było oczywiste, że jego uprzejmość to w rzeczywistości tchórzliwa uwertura do odmowy. Czemu podryguje niczym karaś na patelni? Niech powie, jak jest. Różnie w życiu bywa... O-o-o... Ten też jej się boi!

- Parę dni temu spotkałem się z Davidem i Markiem, obgadaliśmy nasze plany... Z przyjemnością zaprosilibyśmy również i ciebie, ale byłeś w Europie. Nie ukrywam, że twoja propozycja jest bardzo ciekawa. Bardzo kusząca i ciekawa. Chociaż kosztowna. Ale nie o pieniądze tu chodzi. Musimy się zastanowić, na ile odpowiada ogólnej koncepcji spektaklu. Chłopcy nie są pewni, czy warto zamieniać show w ogromny pokaz magiczny.

- To nie jest pokaz magiczny - zaprzeczyła. - Nie w czystej postaci. Już o tym mówiliśmy. To mieszanka gatunków, chyba zgodnie z waszymi zasadami...

Nagle ogarnęło ją potworne zmęczenie. I jak nieraz zdarzało się w ostatnich miesiącach, urwała w pół zdania, pewna, że z galanterią zakończyła rozmowę i pożegnała się, a nawet wyszła... ale po chwili uświadomiła sobie, że wciąż tkwi w fotelu, milcząca i znużona... Granica między słowami brzęczącymi w jej głowie a słowami i wypowiedzianymi zacierała się, rozmywała... Lustra robiły się coraz cieńsze.

Siedziała, oglądając wiszące na ścianach wielkie kolorowe postery spektakli i nie odzywając się do zaniepokojonego jej milczeniem Philippe'a.

- Zrozum, to jeszcze nie jest ostateczna odmowa - usłyszała. - Po prostu musimy wszystko rozważyć, podliczyć... Daj nam trochę czasu!

Podniosła się i skierowała do drzwi.

- Anna! - zawołał po chwili wahania.

Obejrzała się.

Mrużył oczy w nerwowym uśmiechu, głaszcząc bródkę dwoma palcami; tak pilna uczennica wygładza sukienkę. No jasne, przecież trzeba zakończyć rozmowę po przyjacielsku, optymistycznie... Nie, to co innego. On się waha... i myśli ma rozdarte... jak stare skarpetki... Zadziwiająco: doświadczony strateg skomplikowanych intryg - i ma taki mętlik w głowie.

- Krążą tu różne plotki... na temat tego, że nasza gimnastyczka, ta nieszczęsna Rosjanka... no wiesz?

- Coś słyszałam - rzuciła, wzrokiem przykuwając go do fotela. Jeszcze tego

brakowało, żeby ścisnął jej dłoń na pożegnanie.

Philippe niespokojnie się poruszył... i został w fotelu.

- Przepraszam... chciałbym jednak zrozumieć... - ciągnął zakłopotany. - Szczerze mówiąc... wszyscy są zszokowani. Nawet nie wiem, jak teraz będą cię traktować artyści, jeśli postanowimy wrócić do twojego pomysłu... Nie chcesz mi tego jakoś wytłumaczyć?

- Chcę! - I wyjaśniła, wypowiadając długie, starannie przetłumaczone na francuski zdanie, które docenić i pochwalić zdołaliby tylko jej pijani koledzy z cyrku albo kierowcy z zakładów mleczarskich na niezapomnianej ulicy Żyłańskiej.

I od razu jej ulżyło.

Mogła teraz odejść na zawsze, grzecznie zamykając za sobą drzwi.

*

Idąc po schodach do mieszkania Geneviève, zawahała się i usiadła na ostatnim stopniu, by przeczekać kołatanie serca.

Od niedawna miewała takie napady kurczowego trzepotania w klatce piersiowej; czuła nie ból, tylko łaskotanie: jakby pisklę próbowało wzlecieć, machając nieopierzonymi skrzydełkami. Trwało to z pięć minut, nie dłużej, pozostawiając po sobie mdlącą słabość i zgaszone lustro.

Drzwi gwałtownie się otworzyły. Na progu stała Geneviève. Wyglądała dość niechlujnie - podarte krótkie dzinsowe spodenki i czerwony podkoszulek na ramiączkach, czymś poplamiony na piersi.

- Zobaczyłam cię przez okno! - rzuciła ostro. - Po co przyszedłeś?

Anna podniosła się. Widać było, że Geneviève pije od kilku dni. I nie tylko pije. Zza uchylonych drzwi dolatywał cierpki zapach marihuany.

- Po co przyszedłeś?! - wrzasnęła. Zachrypnięte echo przetoczyło się po schodach, zaliczając wszystkie piętra.

Anna delikatnie wepchnęła ją do mieszkania i weszła za nią.

- Musimy coś sobie wyjaśnić, Geneviève.

Jej głos usłyszał Howard. Spod narzuconej na klatkę granatowej chusty dobiegł jego przenikliwy wrzask:

- Anna! Ko-o-szmar! Ko-o-szmar!

Widocznie Geneviève przykryła go, by nie przeszkadzał, i Bóg jeden wie, ile dni ten nieszczęsny ptak przesiedział w ciemności, żywiąc się wyłącznie zapachem trawki. Jaki dziwny zapach. Haszysz? Chyba nie... haszysz, marihuana rozluźniają. A Geneviève była wściekła.

Anna ściągnęła chustę, otworzyła klatkę, nasypała do miseczki pestek z torebki. Biedny rozczochrany garbus natychmiast wyskoczył na zewnątrz i usiadł jej na ramieniu, pospiesznie coś powtarzając, skarżąc się i podgryzając swoją ulubienicę w płatek ucha.

- Zostaw go! - krzyknęła Geneviève. - Odczep się! Zostaw ptaka, wiedźmo! Wiedźmo!

- Uspokój się.

Anna zdjęła Howarda z ramienia i posadziła go na klatce, gdzie od razu zaczął nerwowo biegać, niezgrabnie kiwając się na boki. Usiadła w fotelu. A więc tak to wygląda: na podłodze, na stole walają się puste opakowania po tabletkach. Amfetamina, kokaina? Trzeba całkiem zwariować, żeby mieszać trawkę z jakimś paskudztwem!

- I czego tak stoisz? - zapytała. - Geneviève, proszę cię, usiądź, nie wrzeszcz i nie rzucaj się. Muszę ci coś powiedzieć. Będiesz w stanie mnie wysłuchać?

- Wiem, kim jesteś! - wypaliła wzburzona mała, ciężko dysząc, jej czoło błyszczało od potu. - Ale nie boję się ciebie!

- No to świetnie. Usiądź.

Ta jednak, na wszelki wypadek, dalej stała przy drzwiach, gotowa w każdej chwili rzucić się do ucieczki albo zaatakować. Żyły na jej czole nabrzmiały, w oczach popękały naczynka. Biedna Geneviève...

Biedna Geneviève przeżyje, niestety, długie, bardzo długie samotne życie, często wspominając tę chwilę...

- Wiem, kim jesteś! - powtórzyła. - Kiedy byliśmy dziećmi, babcia opowiadała nam o takich jak ty. Najpierw podstępnie zdobywają zaufanie, żeby potem jak żmija ukąsić w samo serce! Przekłeta, złośliwa wiedźma, sprowadzająca na ludzi śmierć! Czynisz zło! Samo zło! A ja, żalonna idiotka, nic o tym nie wiedziałam... Tyle lat...

Howard niespokojnie przebierał łapkami na prętach kratki, rozkładał skrzydła, otwierał dziób, mamrotał swoje „dbajcie-o-papugę-koszmar-Anna-koszmar”, klekotał, zdenerwowany, że nie może zrozumieć, co się dzieje pomiędzy tymi dwiema kobietami, które tak kochał.

- Zamknij się! - warknęła Geneviève, nie spuszczając oczu z Anny, jakby bała się przegapić jej najmniejszy ruch.

- Posłuchaj - powiedziała Anna. - Przecież już o tym rozmawialiśmy wiele lat temu. Mówiłam ci o wypadku w szkole cyrkowej... Zrozum: jestem tylko zwierciadłem. Po prostu zwierciadłem. Czasami coś mi się ukazuje, ale niczego nie mogę zmienić, ja tylko odbijam... My w ogóle nie jesteśmy w stanie czegokolwiek zmienić, Geneviève. Inni czytają książkę,

sylabizując słowo po słowie, linijkę po linijce, i zatrzymują się przy każdej literze. A ja znam całą treść. Ale nie potrafię zmusić autora, by napisał stronę od nowa.

- Nie... nie... - wymamrotała Geneviève. - Wmawiasz mi jakieś bzdury, wiedźmo! Wreszcie to zrozumiałam, ale było za późno, moja ukochana już zginęła! Chcę zdechnąć!

Od jej krzyku w piersi Anny znów zatrzepotało pisklę. Odruchowo się skrzywiła, co do reszty rozwścieczyło Geneviève.

- To ty, ty posłałaś ją na śmierć! Obojętna, złośliwa, zawistna żmija, zimna jak głaz! Bezдушna kreatura! Czarownica!

No tak, pomyślała Anna, prawdopodobnie siedzi tu zamknięta od kilku dni, pod wpływem jakiegoś paskudztwa. Dlatego jest taka agresywna.

- Daj mi ręce - powiedziała, przechylając się w stronę koleżanki.

- Poczujesz ulgę... Chodź tu! Pomogę ci dojść do siebie.

Ale Geneviève głośno się roześmiała, cofając się coraz dalej.

- Myślisz, że jestem głupia i całkowicie bezbronna?! Wykorzystywałaś mnie przez tyle lat! Tyle lat byłaś dla mnie jedyną radością w życiu... Jak ja czekałam na twoje przyjazdy! Leżałam tu sama, gryząc poduszkę i nasłuchując warkotu twojego odjeżdżającego motocykla... Odtwarzałam w pamięci wszystkie twoje gesty, słowa! Cały czas miałam nadzieję... przez tyle lat! I kiedy wreszcie uwolniłam się od ciebie, zrzuciłam cię jak znoszone ubranie, nie wybaczyłaś mi tego, o nie! Nie wybaczyłaś. Ty i teraz jesteś przekonana o swojej mocy, nieprawdaż?! Ale nie boję się ciebie, nie boję! Jeśli jesteś taką przewidującą wiedźmą Morgana, to powiedz mi, co mam zamiar teraz zrobić?! No powiedz! Zobacz w swoich lustrach! Nie potrafisz?! Nie po-tra-fisz...

- Dlaczego nie - wyszeptała Anna ze znużeniem i współczuciem. Znów ogarnęła ją g r y z ą c a n u d a i targała, obracała nią, przygniatając swoim ciężarem. - Masz zamiar mnie zabić.

Geneviève odrzuciła głowę, jakby uderzono ją w twarz, i oparła się o ścianę. W ciszy słychać było tylko mamrotanie Howarda i urywany oddech oszołomionej Geneviève, która ostrożnie dreptała wzdłuż ściany, zachodząc Annę od tyłu...

A ta siedziała, wyczuwając plecami, karkiem, szyją każdy ruch Geneviève... Wiedziała, że musi przerwać to narkotyczne szaleństwo, podnieść się i na zawsze opuścić również i ten dom...

Ale jej puls już spowalniał, temperatura gwałtownie spadała, ciało pogrążało się w lepkiej lodowatej glinie. Pierwsze, jak zwykle, ziębły i drętwiały nogi.

Nagle Geneviève skoczyła jej na plecy i przygniotła, zaciskając dłonie na szyi.

Anna nie szarpnęła się, nie poruszyła... Tylko jej szyja w rękach ryczącej Geneviève coraz bardziej stygła... sztywniała...

Howard jak oszalały miotał się na prętach swojej klatki. Do dźwiękowego pasażu, starczego skrzekotu i chrapliwych wrzasków dołączyły jęki, kobiecy płacz i głośne terkotanie telefonu... Kiedy Anna znieruchomiała w fotelu, a w pokoju zapanowała głucha cisza przerywana jedynie skowytem Geneviève, przypominającym skomlenie szczeniaka, Howard wzbił się w powietrze i rzucił się na swoją panią, z całych sił dziobiąc ją w kark.

Ona jednak chyba nawet tego nie poczuła; złączywszy nieposłuszne dłonie na gardle Anny, próbowała ścisnąć je mocniej, mocniej, ale niczym w koszmarnym grząskim śnie, skamieniała szyja nie poddawała się uciskom. A Howard walił i walił ją dziobem w głowę i w twarz... Gorąca czerwona strużka spłynęła po czole Geneviève, zalewając jej oczy i ściekając na rudy czubek głowy Anny... Ale Geneviève nie była już w stanie rozewrzeć swoich kleszczy. Dopiero kiedy oszalały Howard, atakując po raz kolejny, zaczął wściekle dziobać jej dłonie - te w końcu się rozwarły. Ześlizgnęła się na podłogę, za oparcie fotela, i zwinęła tam się w kłębek, zasłaniając twarz zakrwawionymi rękami. Długo leżała nieruchomo, cichutko pojękując... Zdawało jej się, że jest osiłą karuzeli i że ktoś bawi się, rozpędzając pokój coraz mocniej i mocniej. Nawet mając zamknięte oczy, widziała fotel, w którym ktoś siedział... Tylko nie wiedziała kto.

Wreszcie karuzela zwolniła i pokój razem z fotelem, w którym k t o ś s i e d z i a ł, zatrzymał się w miejscu. Geneviève spróbowała otworzyć zalane krwią oczy.

Niczym samotna skała pośrodku wszechświata tkwił fotel, a ona koniecznie musiała sobie przypomnieć, kto w nim s i e d z i.

Poczuła straszliwe mdłości. Ręce i nogi jej się trzęsły. Dlaczego jest tak przerażająco cicho? Gdzie się podział Howard? I czy teraz jest dzień, noc, zmierzch? Jak długo leżała w tej kałuży, która nie wiadomo skąd się tu wzięła...?

Z trudem dźwignęła się na klęczki... i zamarła... Uchwyciła się wysokiego oparcia fotela i za trzecim razem się podniosła. I wtedy jej spojrzenie padło na nieruchomy kark Anny. Balansując obiema rękami, Geneviève na palcach obeszła fotel.

Zobaczyła w nim martwą Annę.

Na widok tej twarzy z otwartymi nieruchomymi oczami Geneviève ogarnęła taka panika, że odskoczyła do tyłu i wrzasnęła.

- Anno! Anno! - wołała przeraźliwie, czkając. Po jej drżących nogach ściekał mocz. - A-a-an-n-o-o-o!!!

Koszmarny sen gwałtownie nabierał realnych kształtów. Dopiero teraz do niej dotarło,

co się stało. Jej wielodniowe przerażenie i ból, gorączkowa nienawiść i bzdurne fantazje urzeczywistniły się w obrazie martwej Anny z zastygłym spojrzeniem. Do lamentującej Geneviève dołączył całkiem oszalały Howard, wypróbując cały wachlarz dostępnych mu głosów i dźwięków.

Geneviève cofnęła się, potknęła o rzucony na podłogę plecak Anny, upadła, znów zerwała się na nogi...

Zwymiotowała na dywan. I w ten sposób, cofając się i nie potrafiąc oderwać wzroku od zastygłej twarzy, dotarła do korytarza, uderzyła plecami w drzwi i wypadła z mieszkania...

Howard od razu się uspokoił.

W całkowitej ciszy wylądował na ramieniu zmarłej, otworzył dziób, przechylił głowę, uważnie oglądając płatek ucha, jakby się przymierzał, gdzie by tu uszczypnąć...

- Anna... - zaskrzeczał. - Anna-chłopiec! Daj, pocałuję!

*

Miała jeszcze wilgotne włosy. Mimo potwornej słabości umyła je pod kranem w toalecie greckiej kawiarni, do której weszła, nie całkiem zdając sobie sprawę, po co to robi.

Idąc ulicą, przez okno zobaczyła przytulny kącik między dwiema długimi ławami zasłanymi makatkami. W klatce pod sufitem siedział jakiś żółty ptaszek i bez przerwy powtarzał ten sam dźwięczny i zadziorny refren. Najważniejsze, że było tu cicho i pusto. Żywej duszy.

Kelnerka przyniosła na tacy kieliszek koniaku i filiżankę kawy, postawiła przed Anną i nagle wystraszona, patrząc na czubek jej głowy, zawołała:

- Pani ma ranę na głowie! Nie czuje pani tego? Krwawi pani!

- O, dziękuję! - Anna przesunęła dłonią po włosach, opuściła ją i obejrzała. - Chyba się... uderzyłam.

- Przynieść coś do odkażenia?

- Nie, dziękuję... Może ręcznik...

Po umyciu głowy długo odpoczywała w kąciku, pod zdjęciem kędzierzawej bosej dziewczynki siedzącej na stopniach greckiej świątyni. Dziewczynka była bardzo podobna do małej Ariszy. Chyba nawet miała zeza.

Przy wejściu do kawiarni sterczało na słupie okrągłe lustro, stare uliczne lustro, które połknęło w swoim życiu taką ilość samochodów i przechodniów, że groziło to niestrawnością.

Szczerze powiedziawszy, Anna nie miała pojęcia, jak trafiła na tę wąską stromą uliczkę w Outremont. Gdyby nie troskliwe podszcypywanie mądrego i oddanego Howarda oraz długie brzęczenie telefonu, nie zdołałaby tak szybko wrócić do rzeczywistości... Jak

dobrze, że za prowadzenie wszelkich pojazdów odpowiada u niej nie mózg, tylko wyraźnie co innego... Nie mogła zrozumieć, skąd wzięła siły, by zwlec się z czwartego piętra i wsiąść na motocykl.

W dwupiętrowym ceglany budynku naprzeciwko, z biegnącymi po obu stronach kręconymi schodami (niczym ręce wsparte na bokach), mieścił się warsztat wykonujący ramy. Jego właściciel - człowiek jak widać pomysły - wymyślił ciekawe rozwiązanie: na wystawie i ścianach w głębi pomieszczenia zawiesił, w zupełnym nieładzie, mnóstwo luster w ramach o kształcie kwadratów, kwadracików, trapezów i prostokątów.

W każdym z nich odbijał się fragment ulicy: róg budynku z latarnią, przystanek, witryna sklepu z damską bielizną, z dwoma rozebranymi na części manekinami i jedną odwróconą nogą ustawioną tak, że stopa w granatowej skarpetce była skierowana do góry (i jakby pytała: pamiętasz pogrzeb bohaterskiej protezy na pustym placu? A ja tu prowadzę bardziej ciekawe życie towarzyskie).

W największym ostrokątnym lustrze widać było szyld nad drzwiami chińskiej restauracji i okno kawiarni, w której siedziała Anna. A dokładniej: lustro ukazywało jedynie monogram na metalowym oparciu pustego fotela naprzeciwko i dłoń z filizanką kawy. Chaotyczne fragmenty zburzonego świata, rozkręconego na części, zwalonego na gigantyczną stertę...

Nagle poczuła nieodpartą chęć ucieczki, wyrwania się, wykaraskania z tych ruin.

Przywołała kelnerkę, zapłaciła, podniosła się i wyszła.

Musiała się gdzieś zadekować. Samolot do Frankfurtu wylatywał dopiero rano i chociaż ostatnio myśl o locie była dla niej wręcz nie do zniesienia, jak zresztą myśl o czymkolwiek, pocieszała się nadzieją, że we Frankfurcie przeczeka ze trzy dni w swojej - n i e n a l e ż ą c e j d o n i e j - mansardzie. A tam już i październik blisko, październik z jego niezwykle, wczesnymi opadami śniegu, dzięki którym nic nie widać.

Nagle przypomniała sobie, że za dziesięć minut rozpoczyna się, jak co wieczór, pokaz sztucznych ogni na wyspie Sainte Hélène. Ten festiwal fajerwerków, na którym miał opierać się jej przyszły show w kasynie De Montreal.

No, to popatrzmy jeszcze raz na tę zabawę, powiedziała sobie z uśmiechem.

W wilgotnym granatowym mroku dojechała do starego portu z głuchymi betonowymi cylindrami elewatorów i dźwigami przypominającymi gigantyczne owady.

Nie zdążyła dotrzeć do wielopoziomowego parkingu, gdzie miała zamiar zostawić motocykl, jak w górze gruchnęło, niebo rozbłysło złotymi kroplami, a na ogromnym czarnym poligonie nad jej głową wszystko nagle zawirowało.

Zatrzymała się.

Od dzieciństwa uwielbiała te strzelające ognie. W czasie świąt zawsze jeździła z ojcem na Włodimirską Górkę, żeby oglądać fajerwerki obok pomnika świętego Włodimira - otwierał się stamtąd wspaniały widok na całe miasto. Rozległa, jak na okolicznościowych medalach, panoramę lewego i prawego brzegu rzeki rozświetlała luna wybuchających ogni. Ale i każdy pojedynczy wystrzał czy samotnie spadająca gwiazda również ją zachwycały. Śledziła całą ich zaczarowaną trajektorię aż do zgaśnięcia, do niewidocznych kręgów na czarnej powierzchni nieba...

Fajerwerki z czasów jej dzieciństwa nie mogły się jednak równać z tutejszym rozbuchanym szaleństwem.

Zza drzew i domów w zawrotnym tempie wyrastały bukiety wirujących, ognistych trąb powietrznych, wybuchaly czerwone, jaskrawozielone, żółte kule obsypywane deszczem drobnych fioletowych koralików, z sykiem pełzających w dół na tle czarnego lustra, a po nich już nadciągały z łoskotem niebieskie fale, wystrzeliwały pojedyncze białe i granatowe kwiaty z powoli wyrastającą nad nimi, w przerażającej ciszy, gigantyczną zieloną palmą, która, kiwając się, spadała na miasto i z hukiem znikala w rzece...

Niski las białych światełek kładł się na horyzoncie, dogorywając z głuchym powarkiwaniem. Na chwilę zapanowała nabrzmiata oczekiwaniem cisza - i nagle rozbłysły setki wiązanek złocistego ognia i niebo zahuczało po raz kolejny, wijąc się w konwulsjach wymyślnych perskich wzorów, które rozrastały się, rozpychały przestworza, haftując na przestrzennym płótnie coraz to nowe liliowo-lazurowe kwiaty. A gdzieś tam, na wyspie Sainte Hélène, brygada pierwszorzędnych pirotechników przygotowywała się do kolejnej rundy szaleńczego ognistego tańca.

Z miejsca, gdzie stała Anna, otwierał się rozległy widok na łuk zatoki Świętego Wawrzyńca i wiszący nad nim most Cartier, jaśniejący światełkami niczym sieci rybaków. Widmowy statek-kasyno De Montreal na wyspie Notre-Dame był utkany z mnóstwa światełek. Gigantyczna przezroczysta kula amerykańskiego pawilonu EXPO-67 zastygła nieopodal diabelskiego koła...

Wypukłe czarne lustro wody pulsowało w potężnych rozbłyskach fajerwerków, łącząc się z czarnym lustrem nocnego nieba.

Anna stała z uniesioną głową, wdychając ostry zapach wodorostów dolatujący od rzeki. Zamykała oczy przy szczególnie mocnych wybuchach i głośno wołała: „Brawo...!”. I znów, poruszona widokiem liliowego srebra rozsypanych po niebie ptaków, dawała się ponieść ściskającemu serce napływowi podniecenia i zachwyty: „Brawo! brawo!”.

Nagle odniosła wrażenie, że stalowy ucisk jej niewidocznego stróża zelżał, że dano jej spokój... puszczono wolno...! Zamierając w nadziei, zachwiała się, jakby wypróbowując granice swobody dla zdrętwiałego od okowów, wyzwolonego serca, nie śmiejąc jednak uwierzyć, że jest to możliwe... Jej serce zaczęło mocno walić... Czy to możliwe, że... nastął koniec, upłynął termin i wszystko zostało odwołane... - i okrutny wyrok, i śnieżna zamieć, i męcząca beznadzieja tułaczki... że zaraz, z deszczu ognia, wpadnie jej prosto do rąk akt łaski, przy wtórze świergotu kolorowych słowików w rajskim ogrodzie... i aksamitnym śpiewie zakochanego fagotu Sieni?!

- Trudno uwierzyć, że dotarli aż tutaj! Po prostu zdębiałem. Gdzie ja jestem, myślę, w Montrealu czy na promenadzie w Soczi...? Przecież widziałem, pod którym napaństwem jest ta przeklęta kulka, widziałem!

- Głupku, toż oni właśnie przez tę pewność cię ogrywają. Takich frajerów jak ty wszędzie mają na pęczki... Ale jakie sprytne ręce miał ten rudy, nie?! Widziałeś? Aż się chciało odbić go policji i zatrudnić w firmie jako kierownika zbytu!

Ktoś wybuchnął śmiechem i dopowiedział:

- Zbytu powietrza!

I w tym momencie Annie się wydało, że ktoś ją woła. Po rosyjsku...

Niedaleko, obok jednego z samochodów, w żółtym martwym świetle latarni na parkingu, stał grubas-albinos w wymiętoszonym tyrolskim kapeluszu. Był wyraźnie pod muchą. Kręcił się przy aucie, bez skutku próbując otworzyć bagażnik, i żartobliwymi gestami przywoływał Annę, by mu pomogła... spróbujmy razem!

Anna cofnęła się... nie mogąc złapać tchu, i wszystko zrozumiała! N i e ł u d ź s i ę, n i e o d p a d n i e...! No i masz tu swój akt łaski. Innego nie będzie.

No cóż, powiedziała sobie.

Wsiadła na motocykl i rozpędziwszy go do maksymalnej prędkości (Christina wrzasnęła oszalałym głosem: *Niuta, ne chod' tudy!!! Ne chod' tudy-y-y!!!¹³⁶*), postawiła go dęba na środku mostu Cartier, wyleciała poza barierkę i pomknęła lustrzanym korytarzem między czarną, rozświetlaną ogniami zatoką Świętego Wawrzyńca a czarnym zalewem złocistego, jaśniejącego od fajerwerków nieba...

136 (Ukr.) - Niuta, nie idź tam!!! Nie idź ta-a-am!!!

- Która to godzina? Ojoj! Nieźle sobie posiedzieliśmy, Robercie... Nawet nie zauważyłem, jak się ściemniło. Chyba musimy kończyć... Młodzieży jest coraz więcej. Od ich muzyki pęka mi głowa. Zanudziłem pana na śmierć, nie? Widzę, że zanudziłem. Ma pan twarz jakąś taką... nieprzytomną.

Chwileczkę, gdzie ja swoją torbę zgubiłem? Reklamówkę taką niewielką z logo cukierni, no tej na Saint-Denis... O, jest! Sam przecież powiesiłem na wieszaku, jak tu wszedłem. I zapomniałem. Chciałem panu przekazać coś, czego pan jeszcze nie widział. Nie mógł widzieć.

Wtedy wydawało mi się, że nie mają dla śledztwa znaczenia. Poza tym wszystko się we mnie buntowało na myśl, że ktoś będzie je czytał, oglądał... Ale teraz pomyślałem: a niech tam. Przecież nie aresztuje mnie pan za ukrywanie dowodów potrzebnych w dochodzeniu, nie? No dobra. Proszę!

Co pan tak na mnie patrzy? To listy, może pan sprawdzić. Listy Sieni do niej. Widzi pan, jaka gruba paczka? Latami pisał: widać miał zdolności i chęć do pisania, w odróżnieniu ode mnie.

Zaraz panu wytłumaczę, jak do mnie trafiły. Tak, wiem, przeszukiwaliście jej mansardę. Ale byłem tam wcześniej od was. Pamięta pan, po jej zniknięciu szukał mnie pan w Berlinie, gdzie kręciłem zdjęcia do filmu...

Otóż jeszcze tego samego wieczoru wyjechałem pociągiem do Frankfurtu. Miałem klucz do jej mansardy: czasami się tam zatrzymywałem, kiedy siedziała w Montrealu czy jeszcze gdzieś. Wydawało mi się, że tylko ja, właśnie ja potrafię ją odnaleźć... wpaść na jej trop... zrozumieć, gdzie mogła się podziać... Byłem jak opętany! No i pojechałem tam... szukałem całą noc... Niczego nie znalazłem! A potem otworzyłem nasz stary kufer... To taka ogromna cyrkowa walizka, jak skrzynia... Ma swoją historię, nie gorszą od „Titanica”. Wie pan, ile miast ten kufer z nami zjeździł? Anna go uwielbiała! Ona przecież, kiedy wyszła ze szpitala i dowlokła się do trockisty Bluwsztejna, spała w tym kufrze. Isaj Borisycz już wynajmował naszą klitkę jakiejś starej pannie, bibliotekarce. Anna nie miała gdzie spać, no chyba że w jednym łóżku z Bluwsztejnem - na waleta. Wtedy chłopaki przywiezły jej kufer i ona w nim spała... była przecież nieduża, jak chłopiec.

Więc go otworzyłem... a tam: zdjęcia, kostiumy... całe nasze życie! Wszystko prócz niej. Prócz Anny... Stałem nad naszym życiem i... ale mniejsza z tym... Nieważne! Przypomniałem sobie, jak otwierała ten kufer, stawiała go na sztorc, wchodziła między dwie

połówki i rozpościerała ramiona, udając anioła z purpurowymi skrzydłami, który wylądował na ziemi. I nagle wydało mi się - no, miałem taki kaprys! - że jeśli się położę, zwinę w kłębek... to wtedy od razu wszystkiego się dowiem: gdzie jest i dokąd odleciała... Położyłem się, zwinąłem w kłębek i wie pan... zawyłem jak bezpański pies. Nawet teraz, kiedy o tym wspominam, sam się sobie dziwię... Jak to się nazywa... działanie w afekcie, tak? Krótko mówiąc, leżałem w kufrze i wyłem na myśl o naszej przeszłości... no i o przyszłości też!

Aż natknąłem się tam na grubą paczkę listów od Sieni, starannie obwiązana gumką. Nie uwierzy pan! Nie były otwarte. Chyba godzinę ślęczałem nad tą paczką, próbując pojąć, co to może znaczyć? Dlaczego tych listów nie otworzyła? I wie pan, do czego doszedłem? Tylko niech pan nie uważa mnie za durnia. Otóż myślę, że nie musiała ich otwierać, rozumie pan? Nie? Po prostu w i e d z i a ł a, co jest w liście, biorąc kopertę do rąk...

Krótko mówiąc, nie dopuszczałem do siebie myśli, że ktoś obcy będzie w nich grzebał, otwierał je... zamiast niej. No i wziąłem sobie tę paczkę. Sieni też nic o tym nie powiedziałem. On wtedy miotał się jak opętany po całej Kanadzie; latał z Indianapolis do Bostonu, z Bostonu do Montrealu, wszędzie, gdzie był choćby cień nadziei. Jemu też się zdawało, że tylko on... tylko on... No a potem i jego zabrakło.

A ten zielony notes... Niech pan zaczeka i go nie otwiera... zaraz kończę. Otóż zielony notes znalazł się u jego przyjaciela, słynnego skrzypka, starego Mietlickiego. Sienia akurat zamierzał zmienić mieszkanie i zostawił u niego swoją torbę, kiedy wyjeżdżał na ten cholerny koncert... Ja też przeprowadziłem własne śledztwo. I Mietlickiego odwiedziłem, widziałem jego córkę - no wie pan, tę znaną amerykańską dziennikarkę, co zawsze trafia w sam środek politycznego skandalu. Długo sobie ze starym rozmawialiśmy, tak serdecznie. On nawet łzę uronił. A córka do niego: „Tato, pierwszy raz widzę cię płaczącego! Nie płakałeś nawet wtedy, gdy chowaliśmy mamę”.

No więc dał mi na pamiątkę ten notes Sieni. Zajrzałem do środka... i się przeraziłem: tam wszystko było wyłącznie o niej! Zamknąłem notes i leży teraz u mnie. I niech leży. Odbiorę go od pana później... a na razie proszę sobie poczytać. Może znajdzie pan coś ciekawego. Bo ja straciłem już wszelką nadzieję...

*Mesje! Le kont sil wu ple!*¹³⁷

Nie-e-e, nie trzeba, to spotkanie było może bardziej potrzebne mnie niż panu. Ja stawiam... Ach tak? No cóż... Bardzo miłe wydatki służbowe, bardzo... To w takim razie, panie Kerler, ja spadam, jak mawiano u nas w cyrku! Cała przyjemność po mojej stronie...

Chociaż nie! Jaka tam przyjemność! Zdenerwował mnie pan! Albo ja pana

137 (Zniekszt. fr.) - Proszę pana! Poproszę rachunek! (przyp. autorki).

zdenerwowałem... Pójdę już. Chyba już sobie pójdę. Wszystkiego dobrego!

...Przepraszam. Proszę się nie dziwić, że wróciłem... Nie, niczego nie zapomniałem. Zdecydowałem się! Mam dla pana jeszcze jeden list.

To jego o s t a t n i list do niej, napisany już po jej zniknięciu. Miał go w wewnętrznej kieszeni marynarki. Woził go ze sobą wszędzie... Mietlicki mi oddał. To jedyny list, który przeczytałem. Dlatego że te słowa zwrócone są już nie do żywej, tylko jakby do anioła. Znam go na pamięć. Mogę powiedzieć, jak się zaczyna:

„Dziecinko, tu jakiś śledczy z Interpolu znalazł mnie na próbie i powiedział, że zniknęłaś. Co to ma znaczyć...?”.

Drogi Arkadiju Wiktorowiczu!

Jest mi strasznie wstyd: minęły dwa miesiące od pańskiego wyjazdu, a ja wciąż do pana nie napisałem. Jak szybko mija czas: wydaje się, że dopiero wczoraj siedział pan u nas i mówił: „Robercie! Jesteś kretynem! Twój zawód to żyła złota! Interpol! Tyle fabuł! Tylko siadać i pisać kryminał, z którego zrobimy bestseller i wydamy w dwa tygodnie!”. Wtedy, pamiętam, przez całą noc przewracałem się z boku na bok i myślałem: rzeczywiście, mieć za krewniaka dyrektora największego rosyjskiego wydawnictwa i tego nie wykorzystać!

Przyznam się, że od czasu do czasu kartkuję wydawane przez was książki, wszystkie te damskie wypracowania na tematy kryminalne. Nie jest to Dostojewski. Sam pan zresztą przyzna. Wciąż jakieś schematy i banalne, powtarzające się sytuacje. Nuda! Od pierwszej strony już wiem, co zrobi przestępca i na czym go złapią. Proszę mi wierzyć, życie jest znacznie bogatsze. A człowiek - bardziej skomplikowany. Czasami takie rzeczy się zdarzają! Sprawę już właściwie zamknąłeś, jesteś zavalony robotą, ale nie możesz przestać myśleć o tamtych ludziach.

I wciąż się nad tym zastanawiam: to fakt, mam wszystkie asy w rękawie, w tym sensie, że z racji swojej pracy znam tyle prawdziwych przypadków. A styl w tego typu literaturze nie jest taki ważny. Przecież macie tam redaktorów, speców od literatury, w razie czego poprawią. A jeśli chodzi o język rosyjski, to znam go nieźle. Moi rodzice przywieźli mnie do Kanady, kiedy miałem piętnaście lat, ale zawsze lubiłem czytać i nigdy nie zerwałem z językiem ojczystym. Oczywiście, w obcym otoczeniu kulturowym ten język błędnie, ubożeje... ale w dzisiejszej erze Internetu to nie jest tragedia. W końcu nikt nie oczekuje *Białej gwardii* czy *Czarnego barona*.

Kiedy zacząłem poważnie zastanawiać się nad książką, przypomniała mi się pewna sprawa sprzed czterech lat. Sprawa niezwykła.

Zniknęła bez śladu kobieta, w swoich kręgach dość znana. Policja zwróciła się do Interpolu. Włączyliśmy się. A wszystko zaczęło się bardzo dziwnie - do jednego z komisariatów w Montrealu wbiegła zakrwawiona osoba: panienka nie panienka, ktoś... raczej podobny do Pinokia w nieokreślonym wieku. Wbiegła i padła na podłogę. Kiedy doprowadzili ją do porządku - żeby pan widział to czupiradło w moczu i rzygowinach - kiedy opatrzyli rany (dziwnie wyglądały, jakby ktoś kawałki mięsa wrywał szczypcami), kiedy zrobili wszystkie niezbędne badania i zmierzili poziom alkoholu i narkotyków we krwi tej niepoczytalnej osoby... Jednym słowem, wyjaśniło się, że zraniła ją ukochana papuga, taki

miły ptaszek. Ale jego właścicielka okazała się jeszcze lepsza: oznajmiła, że przed chwilą udusiła w mieszkaniu swoją koleżankę i że ta siedzi tam w fotelu, martwa i „twarda jak gład"! Mówi o tym i ryczy, wrywa sobie włosy z głowy i w miarę jak trzeźwieje, coraz trudniej się z nią porozumieć. Kiedy, pytają, udusiłaś?

Przed chwilą! No to jak ona może być sztywna? Coś tu nie gra.

Gliny biorą obandażowaną przestępczynię, jadą z nią do mieszkania. No i rzeczywiście żadnego trupa nie ma, choć wszędzie bajzel okrutny. Papuga lata niczym jastrzęb i na widok tej wariatki próbuje ją zaatakować - policjanci z trudem odparli atak i jakoś wepchnęli ptaka do klatki. Ja, szczerze mówiąc, bym go zastrzelił. Dziób miał jak orzeł.

Jednym słowem, trupa nie ma, krew wyłącznie właścicielki. Panienska nadaje się na odwyk. Sprawa jest jasna!

Ale tego samego wieczoru grupa turystów z Niemiec (przyjechali na coroczny Festiwal Sztucznych Ognii: tu u nas od połowy czerwca do początku sierpnia każdego dnia urządzają pokaz fajerwerków na wyspie Sainte Hélène; niesamowite widowisko!) - aczkolwiek turystów rosyjskojęzycznych, z miejscowym przewodnikiem, który właśnie zgłosił wypadek na policji - no więc ta grupa twierdziła, że pewna kobieta na motocyklu na ich oczach wypadła z mostu Cartier i... odleciała. Jak to odleciała? A tak to, odleciała. W przestworza. Na motocyklu?! Tak jest, na motocyklu. I zdaje się, że ta motocyklowa Walkiria bardzo przypominała ową nieboszczkę, co uciekła. Czy podoba się panu takie rozwiązanie, drogi Arkadiju Wiktorowiczu, wujku Arkaszo - jeśli pan pozwoli. W końcu jest pan rodzonym wujkiem mojej żony...

Rozpocząłem śledztwo na podstawie tych wszystkich informacji. Nie będę panu długo zawracał głowy, no i późno już się robi, a jutro mam zawieźć młodszą córkę na obóz skautów. Nurkowie nic nie znaleźli. Zupełnie nic.

Nawiasem mówiąc, kilka lat temu stworzono tu u nas speckomisję zajmującą się zapobieganiem próbom samobójczym na moście Cartier, który prócz jezdni ma jeszcze ścieżkę rowerową i chodnik. Komisja zarekomendowała, by po obu stronach mostu wzniesć b a r i e r k i z a p o b i e g a j ą c e s a m o b ó j s t w o m... Otóż na jednym z odcinków mostu prowadzone były prace budowlano-remontowe i wznosił się tam nasyp, który nasza bohaterka wykorzystała jako trampolinę.

A teraz proszę mi szczerze powiedzieć, wujku Arkaszo: czy wierzy pan w parapsychologię? To znaczy, we wszystkie te bujdy typu: czytanie w cudzych myślach i przepowiadanie przyszłości... Ja w to w ogóle nie wierzę. Powiedziałbym, że parapsychologia tak się ma do psychologii jak krzesło elektryczne - do zwykłego. I tam, gdzie zaczyna się

parapsychologia, zapotrzebowanie na zwyczajną psychologię i jej zrozumienie automatycznie odpada. Podczas przesłuchań krążyłem wokół tych zagadnień, zadając sobie pytanie: czy jestem normalny? Czy nie? To niemożliwie, żeby ci wszyscy ludzie, którzy opowiadali mi owe bzdury o zaginionej, byli wariatami! Choć tak z ręką na sercu: a czterej ewangeliści nie byli stuknięci? Mimo to czytamy, jak On szedł po wodzie, niczym po łądzie, i nic dziwnego w tym nie widzimy, bo to działo się w zamierzchłych czasach... Załóżmy, że rodzi się taki sam współczesny mit... Ale gdzie jest chłopiec?! To znaczy, dziewczynka. To znaczy, całkiem dojrzała osoba, według metryki, ale, wie pan... nie chcę opisywać swoich odczuć, tu wyraźnie przydałoby się pańscy spece z wydawnictwa. Ze wszystkich tych opowiadań wyłania się wzbudzający smutek, dziwny obraz samotnej postaci... Krótko mówiąc, niejedną raz żałowałem, że jej nie znałem. Dużo bym dał, żeby się z nią spotkać.

Oczywiście przeszukaliśmy jej mieszkanie we Frankfurcie - wynajmowała niewielką mansardę w jednym z luksusowych domów na cichej uliczce w dobrej dzielnicy. Zapewniam pana: nic bardziej ascetycznego nie widziałem. W ogóle nie posiadała rzeczy osobistych, wie pan, z tych, co to kobiety wożą ze sobą po świecie. Miała tylko ogromną starą cyrkową walizę, prawie pustą, z resztkami rekwizytów, i jakieś czasopisma z dziedziny optyki. Były też broszury, a od ich tytułów można by zwariować: *Podręcznik fizyki fraktalnej*, albo jeszcze lepiej: *Podręcznik analizy tensorowej oraz wizualizacji krzywej czasoprzestrzeni*. Nieźle jak na cyrkówkę, nieprawdaż?

Ale wracając do tematu: nikt niczego nie znalazł, żeby nie wiem jak się starał! Zniknęła bez śladu. Można powiedzieć - odfrunęła. To zależy od tego, co wysmażymy: kryminał, thriller czy powieść mistyczną. Proszę mnie powiadomić, na co jest zapotrzebowanie.

Otóż... jak tylko przypomniałem sobie o tej tajemniczej kobiecie, postanowiłem odświeżyć swoją pamięć i zaproponowałem spotkanie jednemu ze świadków w tym dawno już zamkniętym dochodzeniu.

Musiałem trochę nakłamać: powiedziałem mu, że wróciliśmy do sprawy, żeby coś jeszcze wyjaśnić. W przeciwnym razie by nie przyszedł. Jej były mąż. Żeby pan widział tego byczka: ogolony na łyso, na twarzy blizny po oparzeniach, bicepsy niczym stalowe kule. Wygląda, szczerze mówiąc, jak recydywista. Ale okazał się człowiekiem bardzo delikatnym, a nawet wrażliwym. Podczas rozmowy ze trzy razy odwracał się, żeby ukryć łzy. W śledztwie figurował jako cyrkowy partner, kolega, stary przyjaciel... a tu nagle mnie olśniło! Nie owijając w bawelnę, zapytałem go, jak to rzeczywiście między nimi wyglądało? I okazało się, że był nie tylko partnerem! Za bardzo rozpacza - do tej pory.

Przesiedzieliśmy w kawiarni bite trzy godziny, on opowiadał o ich wspólnym życiu, potem wręczył mi plik listów do niej - nie swoich, tylko jej kochanka, muzyka, który grał na fagocie. Mam też zapisany przez tego fagocistę notes z obszernymi rozważaniami, dość niezwykłymi.

Pomyślałem sobie, wujku Arkaszo, czy nie wysmażyć powieści na ten temat? Wykorzystać wszystkie listy i notatki - tym bardziej że muzyk przeniósł się już do lepszego świata, więc nikt nie będzie miał pretensji. Były mąż się nie liczy.

No i rzecz najważniejsza - trzeba wymyślić odpowiednie zakończenie. Co pan na to? Jakieś niesamowite zakończenie. Krótko mówiąc, niech pan zmobilizuje swoich znawców. Ja też się nad tym zastanowię.

Aha, byłbym zapomniał: jest w tej sprawie jeszcze jeden świadek, zabawny stary grubas, który znał ją od dziecka. W ciągu kilku lat wbił do głowy tej genialnej dziewczynce cały uniwersytecki kurs matematyki i fizyki, a potem przez pół życia z nią korespondował, posługując się takim odwróconym pismem, które nawet kryminolodzy w poprzednich stuleciach uważali za szyfrowane. (Na okładce przyszłej powieści - ależ się rozmarzyłem! - dobrze by było zamieścić parę zdań nakreślonych takim „pismem Leonarda”).

Jak pan sądzi? Przecież to jest kolejny wątek powieści!

Kiedy z nim rozmawiałem w jego schludnym pokoiku w typowym domu dla samotnych staruszków, całkiem poważnie mnie przekonywał, że „Niuta” - jak ją nazywał - przeniosła się do innego, „lustrzanego” wszechświata. Zrozumiałem, że mam do czynienia z wariatem, i niewinnie zapytałem: w jaki sposób? Przez jaką furtkę? Nie przez furtkę, odpowiedział niewzruszony, tylko lustrzanym korytarzem stworzonym przez lustrzaną materię. I wtedy wysłuchałem całego wykładu, z którego, rzecz jasna, niewiele zrozumiałem. Przedstawię to w skrócie na wypadek, gdybyśmy się zdecydowali dodać ten bzdurny fantastyczny wątek.

Chodzi o dawną teorię niejakiego Everetta o istnieniu wielu równoległych wszechświatów. I najważniejsze, że taki poważny teoretyk Deutsch udowodnił, że matematyka, bazująca na ideach tego Everetta, niespodziewanie prowadzi do znanych formuł fizyki kwantowej. Dzięki temu w dzisiejszej kosmologii pojawił się motyw istnienia równoległych światów, do których prowadzą pewne „czasoprzestrzenne tunele”, czyli „korytarze” tworzone w środku czarnych dziur przez pewien typ energii, która te dziury rozpycha. Z tego - jako oddzielny temat - zrodziło się przypuszczenie o możliwości przejścia nie tylko do „równoległego”, lecz także do „lustrzanego wszechświata”. Ponieważ każda cząstka elementarna ma swojego „lustrzanego sobowtóra”. Piszę dość chaotycznie i

niezrozumiale - bo tyle zapamiętałem z rozmowy ze starym dziwakiem.

A kiedy, tłumiąc śmiech, próbowałem uściślić, jak znaleźć wejście do tego „lustrzanego korytarza”, on tak samo poważnie wyjaśnił, że wraz z „Niutą” przez wiele lat omawiał stworzenie „urządzenia zapewniającego przenoszenie do innego wymiaru”. I jak się panu podoba ta historia?! Tak to w skrócie wygląda. Jeszcze pan nie zasnął, wujku Arkaszo?

W razie ewentualnego zajęcia się tym tematem na poważnie (czego nie jestem pewien), warto by zwrócić się do specjalistów, aby to wyglądało bardziej wiarygodnie.

Ale wymyślić jakieś sensowne zakończenie będzie trzeba.

Przecież bohaterka powieści nie może ot, tak sobie zniknąć bez śladu. Coś takiego zdarza się tylko w życiu. Z tym że w życiu tego chłopaka, któremu przetrąciła kręgosłup, ona wciąż leci po niebie na motocyklu! Do tej pory wciąż leci i leci... leci i leci...

PS Zapomniałem powiedzieć, że na moście znaleziono jej plecak. Taki lekki plecaczek, prawie pusty. To dziwne: upuściła go w czasie lotu przy takiej prędkości? Czy zwyczajnie wyrzuciła, bo już nie był jej potrzebny? Co za różnica, z jakim bagażem na zawsze zanurzasz się pod wodę? Rybia straż celna przepuści wszystko.

Nie uwierzy pan, ale myślę o tym jak opętany. Czy to możliwe, że przed ostatnim lotem po prostu zrzuciła z siebie niepotrzebny balast?

Cholera! Aż sam się dziwię, jak mnie to wzięło!

Dziecinko, tu jakiś śledczy z Interpolu znalazł mnie na próbie i powiedział, że zniknęłaś. Co to ma znaczyć?

Jego też o to samo zapytałem: Co to ma znaczyć?

Nie chcę wpadać w paranoję, ponieważ wiem, że coś takiego nigdy nie miało prawa się zdarzyć. Obiecałaś mi, że będziesz obok mnie w chwili... Krótko mówiąc - nie wierzę!

Dziecinko, posłuchaj mnie... Posłuchaj mnie, dziecko moje... Piszę do Ciebie, jak zwykle, do Frankfurtu, ale proszę Cię, żebyś natychmiast się odezwała. Znow masz wyłączoną komórkę. Nic nowego.

Nie mówię, że jestem zaskoczony, tylko jakoś rozdrażnił mnie idiotyczny telefon tego śledczego. Zresztą, to wszystko nas nie dotyczy.

Rzecz w tym, że coraz częściej o Tobie myślę. Myślę o Tobie bez przerwy. To nie jest list miłosny, skarbie. To nie jest list miłosny...

Myśl, która nie daje mi spokoju, nie ma nic wspólnego z pożądaniem.

Próbuję zrozumieć, skąd, już we wczesnych latach życia, miałaś w sobie tyle siły, by zrezygnować z korzystania ze swego zadziwiającego daru, odwrócić się od tego, co dla większości ludzi na Twoim miejscu mogłoby stanowić źródło niemałych dochodów. Wielu z nich chciałoby pokazywać publiczności jarmarczne sztuczki w wędrownym cyrku: czemuż by nie zarobić parę groszy na czytaniu cudzych myśli, poszukiwaniu zgubionej portmonetki czy na poradach - jak obejść i przechytrzyć los?

Jesteś podobna do wędrowca ze wschodniej bajki, któremu przyśnił się anioł i wskazał miejsce pod mostem, gdzie zakopana jest skrzynia pełna kosztowności. Wędrowiec odkopał skrzynię, posiedział nad oślepiającym oczy skarbem, przesywał między palcami stertę złotych monet, zamknął pokrywę i pogrzebał skrzynię na zawsze.

Jesteś najsilniejszą i najbardziej harmonijną osobą, jaką spotkałem w swoim życiu. Z godną pozazdrosczenia pogardą odrzuciłaś niechciany przez Ciebie dar niebios.

Cały czas o Tobie myślę.

W dzieciństwie dziadek opowiadał mi historię biblijnych bohaterów, tak jak się opowiada zwykle historie małżeństw, śmierci, kłamstw oraz zdrad bliskich i dalszych krewnych. Wtedy wszystkie te starożytne postacie z grubej postrzępionej książki wydawały mi się dziwnymi, prymitywnymi, a nawet głupimi ludźmi. Teraz jednak coraz częściej wracam do tych przypowieści, które jeszcze głębiej poruszają mnie swoim - ponad ludzkimi emocjami - uniwersalnym sensem.

Pamiętam, że denerwowała mnie zwłaszcza historia Jakuba do świtu walczącego ni to z Aniołem, ni to z Bogiem, ni to z samym sobą: „Gdy zaś wrócił i został sam jeden, ktoś zmagął się z nim aż do wschodu jutrzeźki”¹³⁸. Każde słowo draźniło nieprecyzyjnością sensu i nieokreślonością czynów. A dziadek prawie że wyśpiewywał ten fragment, delectował się nim, smakował w ustach niczym słodki łyk niebiańskiego nektaru: „...widząc, że nie może go pokonać, dotknął jego stawu biodrowego i wywichnął Jakubowi ten staw podczas zmagania się z nim. A wreszcie rzekł: Puść mnie, bo już wschodzi zorza!”¹³⁹.

Nie mogłem zrozumieć, co takiego zachwyca dziadka w zaciętej walce z nienazwanym przeciwnikiem? I ta niewyraźna, nieścista wzmianka o dożywotniej kulawości, która pozostała Jakubowi po nocnym starciu... a przecież ten ktoś ledwie go „dotknął”! Nie widziałem też żadnego sensu w finale tego idiotycznego pojedynku: „Słońce już wschodziło, gdy Jakub przechodził... utykając na nogę”¹⁴⁰. A najbardziej draźniły mnie jego całkiem już niezrozumiałe słowa: „Mimo że widziałem Boga twarzą w twarz, jednak ocalałem me życie”¹⁴¹.

Nie przestaję myśleć o Tobie, o Twoim życiu - w którym byłaś sama, zawsze sama, ponieważ zdecydowałaś się na pozostanie w samotności, żeby móc w pojedynkę walczyć do wschodu słońca. I nikt nie mógł stanąć obok Ciebie w tym zaciętym boju z Niewidzialnym Przeciwnikiem!

Teraz jestem już pewien, że całe moje życie toczyło się na obrzeżach Twojego życia; byłem tylko wtórującym z oddali głosem fagotu, wariacją na Twój temat. A moja muzyka... to Twoje lekcje wydobywania najbardziej doskonałego, najbardziej czystego dźwięku.

To Ty nauczyłaś mnie, bym nikogo nie oszczędzał dla krystalicznego dźwięku niebios, w imię prawdy, którą widziałaś w swoich lustrach, dla mnie niedostępnych... Boleśnie próbuję teraz zgadnąć: czyj wysoki głos przemawiał przez Ciebie, co słyszałaś w tych nawoływaniach? Kto Cię wzywał, jednocześnie nie pozwalając osiągnąć tajemniczych lustrzanych granic?

Twoja niezgoda na kłamstwa - prawdopodobnie wrodzona - nieraz powstrzymywała mnie przed pewnymi czynami i wypowiedziami, całkiem ludzkimi, całkiem zwyczajnymi. I - tysiące kilometrów od Ciebie - coś w ostatniej chwili sprawiało, że rezygnowałem z dwuznacznego żartu, plotki, kłamstwa. Co? Nie wiem. Może po prostu sam fakt Twojego istnienia.

138 Księga Rodzaju 32, 25 (wszystkie cytaty pochodzą z Biblii Tysiąclecia).

139 Księga Rodzaju 32, 26-27.

140 Księga Rodzaju 32, 32.

141 Księga Rodzaju 32, 31.

Były w Tobie jakby dwie różne postacie: szamotałaś się w stalowych kleszczach Niewidzialnego, a jednocześnie trzymałaś w śmiertelnym uścisku tego, który był najbliżej Ciebie. To Ty łamałaś biodro i Tobie łamali biodro. Być może wszyscy jesteśmy skazani na zaciętą, beznadziejną walkę z najbliższymi nam, najukochańszymi ludźmi...?

Pamiętam, jak w berlińskim muzeum nie mogłem oderwać oczu od obrazu Rembrandta, na którym ogromny anioł z potężnymi skrzydłami mocno trzyma Jakuba, patrząc na niego z taką czułością! Jesteś ukochanym synem moim - popatrz na mnie, popatrz! A Jakub się odwraca, nie chce spojrzeć w tę jasną twarz przepelnioną taką miłością. Dlaczego? Boi się ugiąć? Przepaść, rozplynać się w wodach rozkoszy? Przestać być sobą? Czyżby własna dusza była mu bliższa niż wieczna miłość Boga?

Nie mogłem odejść od tego obrazu. Lawina myśli - o sobie, dziadku, mamie, Tobie, nie wiem przez kogo zamordowanym moim ojcu - porwała mnie i kręciła, kręciła mną jak ten burzliwy potok, w którym zrzędzeniem losu miotaliśmy się, na podłodze mojego pokoju hotelowego, kiedy po raz pierwszy przyszałaś do mnie. Pamiętasz, jak oznajmiłaś mi, że teraz należymy do siebie, i rzuciłaś się na mnie jak do potoku - być może po to, by mieć choć odrobinę przewagi w tym zmaganiu... Otóż chcę Ci powiedzieć: zwyciężyłaś. I nie potrafię już oderwać oczu od Twojej twarzy, gdziekolwiek byś się znajdowała.

Teraz już nie wiem, czy wysłę ten list. Wydaje mi się, że pisałem go do siebie samego. Nieważne, czy go przeczytasz, czy nie. Ja tylko błagam Cię w myślach, żebyś się pojawiła - gdzie zechcesz, jak zechcesz, byłaś tylko się pojawiła, w swoim sweterku i džinsach, na tym znieawidzonym przeze mnie motocyklu.

Ale nawet gdybyś się nie odezwała, nawet gdybym stracił Cię na wieki, nawet gdybym przez resztę życia miał kuleć o wschodzie słońca - już się nie boję, bo „mimo że widziałem Boga twarzą w twarz, jednak ocaliłem me życie...”.

Dwa miesiące Sienia miotał się po Kanadzie, bezskutecznie poszukując Anny: zaglądał do wszystkich znanych mu hoteli i przydrożnych moteli, zajeżdżał do wszystkich miejscowości, osad i miasteczek ciągnących się wzdłuż dróg, obszedł sklepy, bary, kawiarnie...

Dwukrotnie w jakichś zapadłych dziurach otrzymał dość wierny opis kobiety na motocyklu, a w jednej z podrzędnych knajpek, w mieście przy granicy ze Stanami, zapewniano go, że właśnie tego ranka dokładnie taka kobieta zamawiała u nich kawę z wafelkami, siedziała przy oknie, paliła papierosa i coś kreśliła w swoim notesie. Potem wyjęła z kieszeni ustną harmonijkę i cicho na niej grała... Nie to, żeby jakoś ładnie - śmiały się kelnerki.

Przez całą dobę bez wytchnienia gnał we wskazanym kierunku, głośno trąbiąc w plecy wszystkim motocyklistom, i zdawało mu się, że to ona oddała się od niego na zawołanie zamglonego nieskończonego lustrzanego korytarza...

Indianapolis też odwiedził.

Eliezer, wyniosły i pogardliwy, niczym stary patrycjusz, siedział w zapadniętym fotelu i mówił do Sieni „młody człowieku”, chociaż tak naprawdę był jego rówieśnikiem.

Plótł jakieś bzdury na temat Platona, a ściślej: jego mitu o „połówkach” - że niby wszyscy w niebie są połówkami jakiejś całości, ale przed narodzinami tę całość dzielą i każda z poówek duszy otrzymuje inne ciało, które przez całe życie tęskni za swoją utraconą częścią; i ta właśnie tęsknota nazywa się miłością, ale miłością cielesną. Podobnie istnieją „lustrzane” dusze, które rozumieją się tak, jak tylko człowiek potrafi rozumieć samego siebie, ponieważ są wzajemnym „odbiciem” w „wewnętrznym lustrze duszy”. Lustra zaś przyciągają nas nie dlatego, że widzimy w nich siebie, tylko dlatego, że patrząc w nie i nie zdając sobie z tego sprawy, widzimy naszego nieznanego sobowtóra, nasze mistyczne alter ego, z którym, w odróżnieniu od „poówek” Platona, nie możemy się połączyć, ponieważ jest lustrzany... Rodzi to tęsknotę, która jest nie miłością fizyczną, tylko zupełnie innym uczuciem - „mistyczną tęsknotą za sobowtorem”...

...i tym podobne bzdury, których nie dało się słuchać. Parę razy Sienia podrywał się, zamierzając wyjść, aż w końcu się podniósł i ruszył do drzwi.

- „Niewiedzący, kim jest i po co został zrodzony - powiedział Eliezer powoli i beznamiętnie, patrząc gdzieś obok niego w ścianę - i w jakim świecie, i z kim dzieli ten świat, i co jest dobrem i złem... pozostając zupełnie ślepy i głuchy...”.

Sienia się zatrzymał.

- Co?! - zapytał, mrużąc oczy. - Co pan powiedział?!

- To nie ja powiedziałem - odrzekł grubas. - To rabbi Josi. W swoim traktacie *Rozmowy...* Niech pan się nie gorączkuje bez potrzeby. Niuta nie wróci.

- Dlaczego?! - wrzasnął Sienia, którego drażnił ten wzniosły worek sadła.

- Ponieważ tak powiedziała - spokojnie odparł Eliezer.

- Co znaczy: powiedziała! Co to znaczy?! I skąd nie wróci?!

- Niech pan przestanie krzyczeć - uciał stary, gruby człowiek.

- Niech pan się z tym pogodzi. Tak jak i ja się pogodziłem. Niuta nigdy nie kłamała.

W połowie października Bostońska Orkiestra Symfoniczna wznowiła z nim kontrakt i dłużej już nie mógł zwlekać z decyzją.

Wrócił.

Jego stary ford włókł się wzdłuż rozciągniętego niczym szara kiszka jeziora Champlain, które nie miało końca. Migwały przystanie, drewniane domki, przewrócone dnem do góry łódki i znów przystanie... I cały czas po jego lewej stronie trwożnie falowała brunatna woda z równie brunatną, jakby mydlaną pianą...

Wrócił do fagotu, którego nie brał do rąk od dwóch miesięcy i który, burcząc z niezadowoleniem, kaszląc i budząc się ze snu, najpierw wygarnął mu wszystko, co myśli o porzuconych facetach i porzuconej miłości, a potem z wolna się rozgrzał, podniósł się na duchu i zaśpiewał, zamamrotał wciąż o tym samym - o długich pożegnaniach...

Zaczęły się próby, ciekawy nowy program, koncerty...

Przed występami muzycy za kulisami stroili instrumenty. Przechadzali się w tę i we w tę w smokingach i muszkach, brzdąkali, podkreślali kołki, wzajemnie podawali sobie „la”, a jemu się przypomniało, że wtedy mówiła: „Jakby dawali przypalić papierosa”.

On też był w smokingu - szczupły, elegancki, ze swoim pięknym fagotem. Mrużył szare oczy i z roztargnieniem się uśmiechał...

Poza orkiestrą kontrakty wznowił z nim również kwintet dęty Johna Clarka z Albany, dokąd co roku zapraszano go na dwa ważne koncerty: każdej jesieni odbywał się tam minifestiwal zespołów kameralnych. Nie bardzo mu to pasowało, dlatego że musiałby wyjechać dwa dni wcześniej i przeprowadzić chociażby dwie próby przed występem. Musiał też dogadać się ze swoją orkiestrą, by go puściła, ale to od lat mu się udawało. Szkoda było odmawiać namiętnym i oddanym prowincjuszom.

Również i tym razem poprosił Jacoba Ringa, dyrektora artystycznego, o trzy wolne dni. Ring posiadał wręcz mistrzowską zdolność gaszenia sprzeczek, rozpędzania trosk,

łagodzenia pretensji oraz tworzenia pogodnej i przyjaznej atmosfery w zespole - „miłujmy się wszyscy!”. Zresztą Sienia sam już dogadał się z kolegą fagocistą, który mógł go zastąpić. Kolega miał z tego same korzyści: spływał na niego i splendor, i dodatkowy zarobek. Tak więc wszystko było załatwione.

- A ty co, chcesz jechać samochodem? - zapytał go Jacob.

- Nie, na wrotkach - odparł Sienia.

- Pytam, bo na jutro zapowiadają wyjątkowo wczesną zamięć, poważnie.

Obaj, jak na rozkaz, popatrzyli przez okno - na tle granatowego nieba pąsowy kanadyjski klon czule przytulał się do jesionu: złotego baranka z cienkimi nóżkami. I Sienia powiedział po rosyjsku:

- *Buria mgłoju niebo krojet*¹⁴².

- Co?

- Nic. Trzeba by pogonić tych wszystkich synoptyków razem z ich śnieżną zamięcią.

Wczesnym rankiem zatankował bak do pełna i odjechał.

Drzewa za miastem też płonęły pąsowymi, żółtymi, miedzianymi, purpurowymi i słomkowymi barwami. Pagórki pęcniały, gotowały się, kędzierzawiły krzewami, tworząc kolorowy dywan, złote runo Nowej Anglii...

Na zboczach wzdłuż drogi migały ukośne kawałki czarnego łupka: wyrobisko wyglądało niczym wypatroszony portfel. Przypomniało mu się, jak pewnego dnia w Alpach na podobnej drodze Anna przeszywała jeden tunel za drugim, wołając: „Brawo!”, a jaskrawe słońce za każdym razem oślepiało ich po chwili całkowitej ciemności. Sienia gnał samochodem z niebywałą dla niego szybkością, prawie jak Anna. Żeby o niczym nie myśleć. Nie myśleć. Nie myśleć!

...Po mniej więcej czterdziestu minutach pogoda zaczęła się psuć. Jaskrawy błękit na bezkresnej wysokości był tu i tam jakby przegryziony przez niebiańskiego żuczka, który ciągnął za sobą krosty ciemnych chmur; jakoś panicznie szybko zaczęło się ściemniać. Sienia zwolnił, przetarł okulary i uważnie spojrział w niebo. Dziwne, pomyślał. Chmury napływały zbyt gwałtownie: Allegro maestoso...

Przez pół godziny wiatr nasilał się i szalał, ściągając coraz więcej ciężkich burzowych chmur, nabrzmiałych i fioletowych, z ropno-żółtym brzuchem; wkrótce nisko zawisł dach z kilkoma ołowianymi warstwami.

Tak w pierwszej części *IV symfonii* Czajkowskiego najpierw krąży tragiczny walc, krąży i gaśnie, a potem klarnet wyśpiewuje przejście do ciszy - gęstymi bemolami

142 „Zamięć mgłami niebo kryje...” - Aleksander Puszkina, *Wieczór zimowy* (przekł. Julian Tuwim).

równoległego duru. I dopiero wtedy rozległym recytatywem odpowiada mu fagot: zapomnij... zapomnij... zapomnij...

Nagle zagrzmiało. I jeszcze raz, i jeszcze... Błyskawicznie nadciągnęły ciemności, niczym zmierzch w górach. I po kilku uciążliwych, jakby błagających o łaskę chwilach spadła ulewa.

Tego mi jeszcze brakowało na drodze numer dwa, pomyślał Sienia. Już i tak jest niebezpieczna. A przecież zostało nie więcej niż czterdzieści pięć mil!

Kiedy skręcił na drogę numer dwa i zaczął pokonywać zakręty - co rusz zjeżdżając na pobocze, żeby przeczekać potężny wodospad z niebios - całkiem się ściemniło. To nie do wiary, że była dopiero dziesiąta rano, że jeszcze niedawno zastanawiał się, co na siebie włożyć - czy brać lekką kurtkę, czy może wystarczy sam sweter. I nie wziął kurtki.

Deszcz smagał i smagał, jakby szalony strażak ścisnął niezawodną sikawkę w skostniałych palcach.

Przez pierwsze dwadzieścia minut Sienia jeszcze próbował pomału jechać śliską drogą, aż nagle deszcz przeszedł w mokry tnący śnieg, a potem sypnęło dużymi świątecznymi płatkami. Synoptycy, sukinsyny, nie zawiedli!

Porywy sztormowego wiatru ciskały w szyby samochodu garściami śnieżnych upiornych duchów z taką wściekłością, że Sienia coraz częściej przezornie zjeżdżał na pobocze w nadziei, że przeczeka tam atak zimy. Ile może potrwać to szaleństwo? W październiku?! Nie do wiary...

Słyszał trzaski po obu stronach drogi. To drzewa, które jeszcze nie zdążyły zrzucić liści, padały na jezdnię, nie wytrzymując ciężaru śniegu. Jedno z nich - chyba potężna brzoza, a zresztą cholera wie w takich ciemnościach - cudem nie zmiażdżyło samochodu, zwalając się tuż przed nim i konwulsyjnie podrzucając drżącą koroną, a po chwili zostało pożarte przez białą burzową bestię. Droga zrobiła się zupełnie nieprzejezdna. Śnieg sypał w najdziwniejszych kierunkach. Płótna białej nieposkromionej materii falowały na wietrze. Przypominało to nagły atak z powietrza wielkiego klucza gęsi...

W mgnieniu oka wokół wyrosły piękne parafinowe zaspasy.

Dobrze, że mam pełny bak, pomyślał, włączając ogrzewanie.

Po godzinie wiatr trochę się uciszył, ale śnieg wciąż padał, zasypując samochód.

Sienia dwa razy wyskakiwał na zewnątrz w swoim lekkim sweterku, by oczyścić rurę wydechową. Lodowaty śnieg ciął policzki, zalepiał usta i oczy. Sienia pluł, mrużył powieki, dusił się na wietrze i wracał do samochodu.

Wszystko wokół spowijała przepiękna zamglona zima, bardzo niebezpieczna dla jego

wiśniowego fagotu, bezcennego fagotu wykonanego przez mistrza Pietera de Koeniga - niech Bóg pobłogosławi jego ręce!

Przecież siedzę tu już od półtorej godziny, w środku tej pięknej gwałtownej zamieci, pomyślał. Żeby tylko mój chłopak nie popękał... Zaraz, chwileczkę, powiedział do niego Sienia. Zaraz cię rozgrzeję, kolego! Zaraz coś zagramy, żebyś się rozgrzał... Trzasnął zapięciami futerału, otworzył go i ostrożnie, jak dziecko z pieluszek, wyjął instrument.

Aksamitnym stłumionym głosem - trochę przez nos - fagot zaintonował początek *Opowieści księcia Kalendera*¹⁴³: marzenie i zapomnienie...

I przez kolejne półtorej godziny Sienia grał wszystkie swoje partie z koncertów Vivaldiego, symfonii Szostakowicza, *I symfonii* Mahlera... Oraz ten fragment z pierwszej części *V symfonii* Czajkowskiego, gdzie dusza miota się w kręgu i nie znajduje ratunku...

Pługi do usuwania śniegu nie były widocznie przygotowane na tak wczesny atak zimy. Komórka, którą rano zapomniał naładować (a ładowarkę zostawił w domu), zapadła w głęboki sen. Nie miał innego wyjścia, jak tylko czekać, kiedy ockną się durnie z drogówki albo ci, co zarządzają tym wszystkim.

Od czasu do czasu wyłączał ogrzewanie, żeby się nie udusić. Śnieg sypał w miarowym tempie, powoli grzebiąc samochód. Sienia grał i grał cały swój repertuar, sam jak palec we wszechświecie, w środku przedterminowej ogłuszającej zimy i kruchej porcelanowej ciszy; i tylko słychać było gorzki, niespieszny, czuły, słodki głos fagotu, który kogoś szukał, kogoś błagał o powrót...

W końcu zmęczył się graniem i po prostu siedział, ciężko dysząc. Nie miał pojęcia, jak długo tkwił pośrodku oślepiającej zimy, wśród leniwie spadających płatków śniegu, otulony najskrytszymi westchnieniami fagotu...

Po raz kolejny wyszedł na zewnątrz, żeby odgarnąć śnieg wokół rury wydechowej, i szybko wrócił do środka, brzegiem swetra ocierając skostniałe dłonie.

Znów wziął fagot, rzucając pobieżne spojrzenie we wsteczne lustro.

W lewym kącie samochodu, na tle wybielonej śniegiem szyby, wygodnie podwinąwszy nogi, siedziała Anna.

Jego serce na chwilę stanęło, a potem zaczęło bić coraz szybciej, pograżając się w otchłani szalonej zamieci.

- Ty... dawno tu jesteś...? - zapytał, nie odwracając głowy.

A ona odparła zwyczajnie:

- Cały czas. Ale ty graj, graj... Co to było? Czajkowski?

143 Część suity *Szeherazada* Nikołaja Rimskiego-Korsakowa.

- Strawiński, głuptasie! - poprawił ją czule, z trudem łapiąc oddech. - Kołysanka z *Ognistego ptaka*.

- No to graj dla nas tę kołysankę.

- A masz ze sobą harmonijkę?

- Oczywiście.

- W takim razie zagrajmy *Lili Marlene*, moje dziecko!

- Czy jest coś okrągłego od moich kolan?

- Kolan twych, *ich liebe dich*...

Wyciągnęła z kieszeni dzinsów swoje odrapane trofeum, przyłożyła do ust, rozchyliła wargi i dmuchnęła na próbę: wytrzeszczyła zielone oczy, a półkola bruzd przy jej ustach stały się bardziej widoczne...

Czy jest coś bardziej banalnego niż śmierć na wojnie...

I bardziej sentymentalnego niż randki przy księżycu...

Czy jest coś bardziej krągłego niż twe kolana...

Jej harmonijka chrypiała, kaszłała, dusiła się.

Sienia błogo się zaśmiał i podniósł fagot do ust.

...Po prawie trzech godzinach z najbliższego miasteczka wreszcie dotarł spychacz służby drogowej.

Zauważywszy na poboczu samochód, robotnik zeskoczył na ziemię, podbiegł do auta i zaczął zdrapywać z szyb ciężką mokrą kaszę.

W środku, odrzuciwszy głowę na oparcie fotela, w swobodnej pozie siedział mężczyzna z jakimś wielkim saksofonem w dłoniach. Wyglądał tak, jakby dopiero co oderwał instrument od ust i nasłuchiwał zamierających dźwięków. I musiały to być słodkie dźwięki, bo siateczka zmarszczek wokół jego oczu utrwaliła dziwny marzycielski uśmiech.

Robotnik od razu wszystko zrozumiał i wezwał policjantów przez radio. A do przyjazdu pogotowia oraz policji siedział na stopniach swojego spychacza, paląc papierosa za papierosem, i nie potrafił oderwać oczu od bocznego lusterka samochodu, w którym odbijały się: zapadnięta skroń muzyka, siwy zarost na jego kości policzkowej i szare uśmiechnięte oko.

Martwy muzyk patrzył w górę, tak jak patrzy się za ukochaną osobą.

A tam, na wysokościach...

...niczym głębokie granatowe lustra, otwarły się dwa podniebne jeziora, urzekająco

powoli zmieniające linie brzegów...

Jerozolima, 2007-2008

Podziękowania

Gorące podziękowania dla wszystkich moich przyjaciół i tych, którzy zostali moimi przyjaciółmi, kiedy pracowałam nad tą książką.

Przede wszystkim: dla świetnej artystki cyrkowej Liny Nikolskiej, która prowadziła mnie po linie nad przepaścią tej powieści, nie pozwalając, bym się poślizgnęła. Oraz dla:

kaskadera Dmitrija Szulkina

kijowian: Siergieja Baumsztejna, Saszy Chodorkowskiej, Świetlany Blaus i Jeleny Miszczenko

„lustrzanych kobiet”: Larysy Gersztejn i Leny Kotlarenko

Mariny Dudiłowskiej

Rafała Nudelmana

fagocisty Aleksandra Fajna

Aleksandra Krupickiego

mojej siostry skrzypaczki Wiery Rubinej

karylionistki Jeleny Sadinej

Jewgienija Terleckiego

Żanny Pricker

Maszy i Julii Szuchman

Jakowa Szechtera

Soni Czerniakowej

papug: żako Szuroczki i amazonki Mani z rodziny Liny i Nikołaja Nikolskich.

A także dla całej mojej rodziny - za ich bezgraniczną cierpliwość.

Dina Rubina